JOSÉ FRÈCHES

JEDWABNA CESARZOWA

OCZY BUDDY

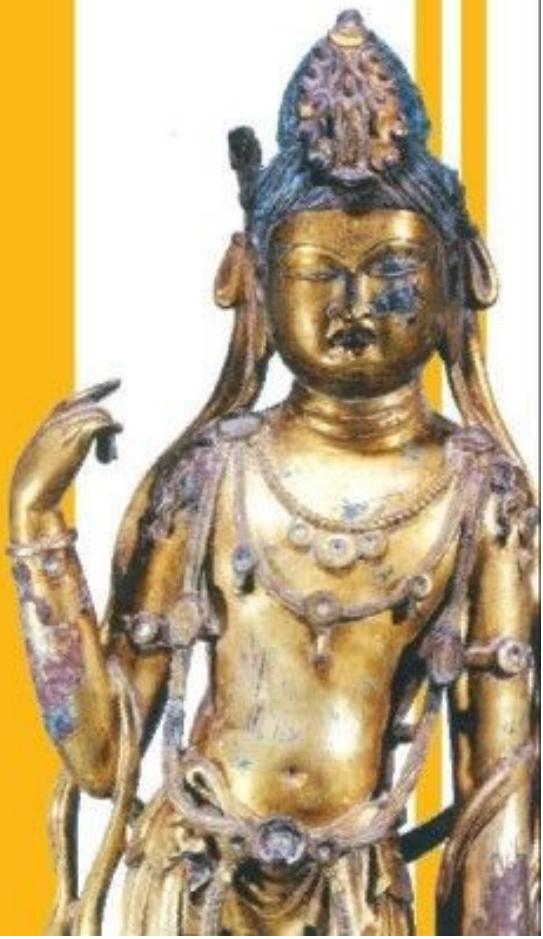

JOSÉ FRECHES

Oczy Buddy

Jakie jest oblicze tego, który błądzi? Jest to oblicze człowieka pyszniącego się swoją kastą, pyszniącego się swym bogactwem, pyszniącego się swym potomstwem, a pogardzającego swoimi rodzicami.

Budda

Główne postacie

Addai Aggai — biskup Kościoła nestoriańskiego w Dunhuangu.

Buddhabadra — przełożony Klasztoru Jedynej Dharmy w Peszawarze (Indie), przywódca buddyjskiej szkoły Małego Wozu; wyruszył w tajemniczą podróż do Samye (Tybet) i zaginął.

Czysta Uroda — pierwsza konkubina cesarska, usunięta przez Wu Zhao.

Czystość Pustki — przełożony Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu (Chiny), przywódca buddyjskiej szkoły Wielkiego Wozu.

Diakonos — zaufany Addaia Aggaia, odpowiedzialny za nielegalną tkalnię.

Dobrodziejstwo Potwierdzone — przełożony Klasztoru Wielkiego Wozu w Turfanie.

Gaozong — zwany Li Zhi, gdy był następcą tronu, syn Taizonga, cesarza Chin.

Golea — zwana Górą, opiekunka Umary.

Klejnot Doktryny — mnich rywalizujący z Orężem Prawa.

Kłębek Kurzu — chiński sierota, przyjaciel Umary.

Kosz na Ofiary — mnich odpowiedzialny za słonie z klasztoru w Peszawarze.

Lama Gampo — przełożony klasztoru buddyjskiego Samye (Tybet), niewidomy.

Lama Tö Ling — sekretarz wielebnego lamy Gampo.

Li Hong— syn Wu Zhao i Gaozonga, ustanowiony księciem następcą tronu na miejsce Li Zhonga.

Li Jingye — prefekt, Wielki Cenzor Cesarski.

Li Zhong — syn Czystej Urody i Gaozonga.

Lujipa — mistrz Szalonego Obłoku, którego wtajemniczył w tantryzm.

Madiib — herszt bandy perskich rozbójników.

Mały Supełek Łatwy do Rozwiązania — sprzedawca ziół leczniczych na Jedwabnym Szlaku.

Manakunda — młoda mniszka z klasztoru Samye, zmarła przy wydawaniu na świat Niebiańskich Bliźniąt.

Manipa — wędrowny mnich, przyjaciel Pięciu Zakazów.

Napełniony Spokojem — zwany Mistrzem Doskonałym, zwierzchnik Kościoła manichejskiego w Turfanie.

Nefrytowy Księżyc — chińska robotnica ze Świątyni Nieskończonego Przędziwa, kochanka Świetlistego Punktu.

Niebiańskie Bliźnięta — dziewczynka i chłopiec o imionach Klejnot i Lotos, wydani na świat przez Manakundę. Dziewczynka ma owłosioną połowę twarzy.

Niemowa — niewolnik Wu Zhao turecko-mongolskiego pochodzenia.

Oręż Prawa — prawa ręka Buddhabadry, wyruszył na poszukiwanie mistrza. ***Ormul*** — uczeń z Kościoła manichejskiego w Turfanie.

Pani Wang — pierwsza oficjalna małżonka Gaozonga, usunięta na rzecz Wu Zhao.

Pierwsze z Czterech Słońc Oświetlających Ziemię — mnich z Luoyangu.

Pięć Zakazów — mnich z Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu (Chiny), wysłany przez swego przełożonego do Samye (Tybet), odpowiedzialny za los Niebiańskich Bliźniąt.

Skupienie Powagi — przełożony Klasztoru Zbawienia i Miłosierdzia (Dunhuang).

Skuteczność Pozorów — minister jedwabiu.

Szalony Obłok — hinduski wyznawca tantryzmu, narkoman i morderca.

Szlachetna Ośmioraka Ścieżka — mnich buddyjski z klasztoru w Peszawarze, urodzony w Turfanie.

Szybki Pędzelek — kaligraf i malarz, Chińczyk, członek Siatki Czerwonego Kordonka.

Świetlisty Punkt — Uczeń z Kościoła manichejskiego w Turfanie, odpowiedzialny za nielegalną hodowlę jedwabników, kochanek Nefrytowego Księżyca.

Taizong — ojciec Gaozonga, cesarz Chin.

Torlak — zwany Zielonym Kolcem, młody Ujgur nawrócony na manicheizm, odpowiedzialny za Siatkę Czerwonego Kordonka.

Ulik — tłumacz z bandy perskich rozbójników.

Umara — córka biskupa nestoriańskiego Addaia Aggaia.

Wu Zhao — piąta nałożnica cesarska, później oficjalna małżonka cesarza Gaozonga.

Yarpa — kapłanka bon-po w Krainie Śniegów.

Zhangsun Wuji — stryj Gaozonga, generał, najwyższy wódz armii, były premier.

Żywy Karmin — właściciel sklepu Pod Jedwabnym Motylem, paser sprzedający jedwab z przemytu.

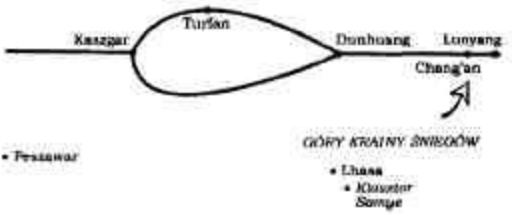

1

Mieszkanie Szybkiego Pędzelka, Chang'an, stolica dynastii Tang, Chiny

Skamieniały jak posąg Zielony Kolec zaciskał pięści, siny z wściekłości.

Klęska była dotkliwa i rozwiewała wszystkie nadzieje, jakie pielęgnował, wracając Jedwabnym Szlakiem do Chang'anu.

Czy powinien natychmiast stłuc dziewczynę na kwaśne jabłko, podrapać do krwi i wyrwać jej język, czy też zaczekać na powrót Świetlistego Punktu, żeby zrobić to na jego oczach?

Po raz pierwszy potraktowano w taki sposób tego tajnego agenta, Ujgura o raczej chińskiej powierzchowności, który przybył do Chang'anu, aby pilnować spraw Kościoła manichejczyków.

Oczekiwał, że tak łatwa dziewczyna pozwoli się pocałować, a nawet zrobi to z radością. Zamiast tego jednak dostał w twarz tak mocno, że potrącił niski stolik i przewrócił stojące na nim czarki, do połowy napełnione ryżową wódką.

Ale bardziej jeszcze niż uderzenie jego dumę uraziły jej słowa:

— Świntuch! Kocham jego, a nie ciebie!

Na szczęście jego żałosne zaloty odbyły się bez świadków.

Doszło do nich w sekretnym pokoiku, w którym Nefrytowy Księżyc i Świetlisty Punkt oddawali się z zapałem miłosnym zapasom. Zgodnie ze swym planem, Zielony Kolec uzyskał u Szybkiego Pędzelka obietnicę, że ten wyśle gdzieś kochanka dziewczyny, mówiąc mu, że oczekuje ważnych gości.

Świetlisty Punkt dał się nabrać.

Nefrytowy Księżyc została więc sama na łasce i niełasce Ujgura, który wdarł się do środka w chwili, gdy rozchyliwszy szeroko uda, depilowała sobie intymny zakątek.

Odkąd kochankowie zauważyli, że po tej operacji czują większą rozkosz, zabierała się do odpowiednich zabiegów, gdy tylko jej dolinę róż zaczynał pokrywać lekki meszek.

Zazwyczaj po dokładnym wypieleniu swej rozkosznej grządki smarowała ją maścią, żeby uniknąć podrażnienia, po czym na oczach rozczulonego i podnieconego Świetlistego Punktu doznawała orgazmu, co niezwykle podniecało stojącego za przepierzeniem Zielonego Kolca.

Ujrzawszy, że do pokoju wchodzi ktoś obcy, Nefrytowy Księżyc, zawstydzona niby dziewica, sięgnęła po ażurową chustę z jedwabiu i prędko się nią okryła.

Wciąż była półnaga i ta lekka tkanina nie skrywała jej wdzięków.

— Proszę natychmiast stąd wyjść, bo zawołam mojego męża! — wykrzyknęła, przerażona tym nieoczekiwanym najściem.

Ta bezwstydnica śmiała nazywać Świetlisty Punkt mężem!

Nieprzytomny z zazdrości Zielony Kolec, którego członek nabrzmiał boleśnie, podszedł do niej niczym koń, przyciągnięty miarką obroku w wyciągniętej dłoni stajennego.

—Zielony Kolcu, proszę się do mnie nie zbliżać, bo zacznę krzyczeć!

—Nefrytowy Księżycu... nie bój się! Jesteś taka piękna... Zrobię to równie dobrze jak Świetlisty Punkt... Mam przymioty, których się nie spodziewasz... — wyjąkał Zielony Kolec.

—Myślałam, że chciałeś naszego dobra, ukrywając nas tutaj.

—Nie tylko chcę twego dobra, ale cię pożądam! — jęknął Zielony Kolec, nie zamierzając być powściągliwym wobec prawie całkiem nagiej młodej kobiety, którą miał przed sobą.

—Nie pozwalam, byś mnie dotykał! — krzyknęła, odskakując do tyłu, w chwili gdy Zielony Kolec złapał ją za rękę.

Była zwinna i szybka, więc z łatwością się uwolniła.

—Nie płoszysz się tak w ramionach Świetlistego Punktu! — mruknął, próbując niezręcznie znowu chwycić ją za przegub.

—Skąd wiesz, świntuchu? — syknęła, dysząc z wściekłości.

—A gdybym ci powiedział, że pewne osoby przyglądają ci się, gdy się z nim kochasz?

—To niemożliwe!

—Podejdź do tego obrazka, a zobaczysz, że jest to sztywne płótno z tysiącami otworków, przez które można patrzeć! Chowałem się za nim! — rzucił, wskazując fałszywy pejzaż zajmujący całą ścianę.

Zielony Kolec stracił nad sobą panowanie; uniósł pięść i rąbnął nią w sam środek górskiej kaskady, namalowanej przez Szybkiego Pędzelka. Kiedy cofnął rękę, została po niej wielka dziura, za którą ukazał się sekretny pokoik.

— Co za niegodziwość! Byliśmy szpiegowani! Ten wasz Czerwony Kordonek to tylko siatka wulgarnych podglądaczy! Świetlisty Punkt lepiej by zrobił, gdyby mnie posłuchał, kiedy mówiłam mu, żeby ci nie ufał! — wykrzyknęła dziewczyna, odkrywając za postrzępionym pejzażem klitkę, z której Zielony Kolec ją obserwował.

Złość przydała jej piękności i Ujgur czuł się jak mały chłopiec przed straganem cukiernika.

— Gdyby Czerwony Kordonek was nie ukrył, gnilibyście teraz oboje w którymś z więzień Wielkiego Cenzoratu. Daj mi się objąć, Nefrytowy Księżycu, a będziesz mogła opuścić to miejsce! Powiedz mi, czego pragniesz, a ja ci to dam!

—Nigdy! Jesteś świntuchem i budzisz we mnie odrazę! Nie dotykaj mnie!

—Ale dlaczego on, a nie ja? —jęknął skrzekliwym falsetem Zielony Kolec.

Otrzymał w odpowiedzi policzek, któremu towarzyszyły straszne słowa.

Obiektem jej miłości był więc jedynie ten przeklęty Świetlisty Punkt!

Zielony Kolec zacisnął pięści tak mocno, że zrobiły się białe jak kość słoniowa.

Przyglądał się Nefrytowemu Księżycowi, która stanęła na wprost niego, tak że dostrzegał małe złote kółko w jej pępku. Chociaż owinęła się chustą, wydawała się jeszcze bardziej naga i ponętna niż zwykle.

Miał ochotę zbić ją na miazgę, ale także zamknąć w ramionach, okryć pocałunkami od stóp do głów, zanurzyć twarz w jej włosach, a nade wszystko wejść w nią przez wszystkie furtki, jak to wcześniej tyle razy robił na jego oczach Świetlisty Punkt.

Gotów był rzucić się na nią niczym dzika bestia, powstrzymał się jednak: gdyby zrobił sobie z niej nieubłaganego wroga, musiałby rozstać się z nadzieją, że kiedykolwiek weźmie ją w objęcia.

Trzeba było wymyślić coś innego, dzięki czemu młoda buntowniczka pozostałaby nietknięta i nadal w jego zasięgu, ale co zobowiązałoby ją do większej przychylności.

Czując, że jego głowa za chwilę eksploduje, podjął decyzję.

Znalazł równie skuteczny, co okrutny sposób, by Nefrytowy Księżyc zapłaciła za policzek, a nade wszystko za to, że wolała innego: wystarczy zadenuncjować jej kochanka chińskim władzom.

Taka zemsta pozwoliłaby mu usunąć rywala i postawić dziewczynę w trudnej sytuacji. Pozbawiona wsparcia, ścigana też przez tajną policję, nie miałaby innego wyjścia, jak tylko rzucić się w jego objęcia.

Upiekłby dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Nie wątpił, że jego donos zostanie przyjęty jak informacja na wagę złota, w sytuacji gdy władze, zaniepokojone handlem przemycanym jedwabiem, prowadziły bez skutku śledztwo dotyczące zniknięcia młodych ludzi, których gościł kupiec Żywy Karmin.

Za tak ważną wiadomość otrzymałby tyle, że mógłby ofiarować Nefrytowemu Księżycowi to, czego nigdy nie miała: klejnoty z czystego złota, jedwabne suknie, pudełeczka cennych maści, by nie wspomnieć o wszelkiego rodzaju zwierzętach do towarzystwa. A Ujgur był pewny, że kobieta pokroju Nefrytowego Księżyca, o tak wyrafinowanym smaku, nie będzie umiała oprzeć się wszystkim tym wspaniałościom, którym ulegały najpiękniejsze kurtyzany.

Czyż nie był to sposób najprostszy i zarazem najbardziej skuteczny, żeby osiągnąć cel?

Po ostatecznym wyeliminowaniu Świetlistego Punktu będzie mógł zawładnąć młodą kobietą i korzystać z niej do woli, ponieważ tak naprawdę nie będzie miała wyboru.

Wyobrażał już sobie z rozkoszą przerażenie, jakie wypełni oczy Świetlistego Punktu, gdy o bladym świcie uzbrojone chińskie straże wtargną do pracowni Szybkiego Pędzelka, żeby złapać bezwstydnika.

W przypływie uniesienia widział już, jak pozwala sobie na luksus zakomunikowania im, że powinni puścić wolno młodą kobietę, ponieważ nie jest zamieszana w handel jedwabiami.

Radując się w duchu, wyobrażał sobie nawet, jak mówi strażnikom, że Świetlisty Punkt ją uwięził i sterroryzował, a jeśli dziewczyna zaprzecza, to tylko ze strachu przed porywaczem.

Był pewny, iż w ten sposób otrzyma godną rekompensatę nie tylko za afront, jaki mu uczyniła, ale i za pożądanie, jakie wobec niej odczuwa.

W chwili gdy szykował się, żeby opuścić pokoik i udać się do władz z donosem na haniebnego rywala, usłyszał, że ktoś go woła.

— Zielony Kolcu, tyś chyba oszalał! Popatrz tylko, co zrobiłeś z moim malowidłem!

Był to Szybki Pędzelek, który przybiegł, usłyszawszy hałas, wywołany gwałtownym uderzeniem pięści Zielonego Kolca w fałszywe przepierzenie. Zaraz za nim nadbiegł Świetlisty Punkt.

Ta sama pięść rąbnęła z taką samą siłą w sam środek twarzy malarza podglądacza, którego nos, niczym dojrzały owoc granatu, trysnął strumieniem krwi.

— Popatrz tylko, co teraz zrobię z twoją małpią gębą! — wrzasnął Ujgur do Szybkiego Pędzelka, który upadł na ziemię.

Świetlisty Punkt nie zdążył rzucić się na Ujgura, żeby go obezwładnić, gdyż ten popędził jak oszalały bawół do wyjścia, pokonał schody, przeskakując po cztery stopnie, i zniknął.

—Co tu się stało, kochana? Czy on cię skrzywdził? Miał minę jak tygrys w czasie rui! — dopytywał się Świetlisty Punkt. Nefrytowy Księżyc rzuciła się w jego ramiona, płacząc rzewnymi łzami.

—Zielony Kolec próbował mnie wykorzystać. Razem z tym podłym malarzem podglądali nas! Popatrz, za tym obrazem jest sekretny pokoik! Zakradali się tam, gdyśmy się kochali! — jęknęła.

—To niewiarygodne! Pomyśleć tylko, że podał się za przywódcę Siatki Czerwonego Kordonka i nas ukrył! Gdyby Doskonały wiedział, że nitka, którą obwiązał mi nadgarstek, sprowadzi na nas takie nieszczęścia, jestem pewny, że dałoby mu to do myślenia... — powiedział Świetlisty Punkt, włożywszy głowę w dziurę w obrazie.

—Kiedy ten podły Zielony Kolec zbliżył się do mnie niczym wściekły bawół, miał minę szaleńca! Gdybyś wiedział, jak się bałam! — szepnęła dziewczyna, kuląc się w ramionach kochanka i drżąc.

Żeby ją uspokoić, Świetlisty Punkt uścisnął ją czule i ich języki znowu się złączyły, łagodząc skutki doznanego szoku.

—A ja myślałam, że ten Szybki Pędzelek to kaligraf o subtelnej naturze! — odezwała się, rzucając poirytowane, ale też pełne wyrzutu spojrzenie na malarza, który wciąż leżał nieprzytomny.

—Być może znajduje inspirację tylko wtedy, gdy ogląda piękne kobiety! — zażartował Świetlisty Punkt, próbując pocieszyć ukochaną.

—Albo i ładnych chłopców! — dodała z uśmiechem dziewczyna. Świetlisty Punkt zaczął pieścić świeżo wydepilo-wany intymny zakątek kochanki, zwilżony jeszcze maścią, którą się smarowała, kiedy zaskoczyła ją napaść Zielonego Kolca.

Niepoprawny młodzian poczuł, że jego członek twardnieje.

Tak było zawsze. Gdy tylko jej dotykał, budziło się w nim gwałtowne pożądanie.

Niewiele brakowało, a znowu oddaliby się miłosnym zapasom, gdyby Nefrytowy Księżyc nie zaczęła się ubierać.

— Nie przejmuj się nim, moja droga, tego człowieka już tu nie ma! Gdyby został, to nie bacząc na fakt, czy jest, czy nie jest członkiem Czerwonego Kordonka, zrobiłbym z niego marmoladę!

Kiedy wkładała obcisłą sukienkę w kwiaty, wydawała mu się bardzo przygnębiona.

—Jesteś smutna, kochana. Czy to z mojego powodu?

—Mam złe przeczucia. Uciekając stąd, Zielony Kolec wydawał złe tchnienia *qi!*

—My, kuczanie, nie znamy złych ani dobrych tchnień.

—No cóż, ale ja w nie wierzę. Wprowadziła mnie w te sprawy stara farbiarka ze Świątyni Nieskończonego Przędziwa, wyznawczyni taoizmu i czarownica. Na początku niczego nie rozumiałam. Pewnego wieczoru zaprowadziła mnie do lasu i wyjaśniła, jaką trzeba przyjmować postawę, żeby łapać dobre tchnienia wychodzące z trzewi ziemi, z miejsca, w którym śpią smoki.

—Naprawdę myślisz, że pod naszymi stopami żyją smoki?

—Smoki są wszędzie, Świetlisty Punkcie! W większości są łagodne. Wystarczy ich nie drażnić, kiedy stawia się dom albo kopie grób. Praktyki polegające na tym, żeby jak najmniej drażnić ziemne smoki, określamy tu mianem *feng shui,* czyli „wiatr i woda".
—Kiedy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy, odczułaś dobre tchnienie?
—Jeśli chcesz wiedzieć, było tak silne i przyjemne, że poczułam się lekka jak piórko! Nigdy nie zadałeś sobie pytania, dlaczego tak chętnie uległam twoim zalotom? Nie jestem istotą, którą łatwo zdobyć. Szybko nabrałam pewności, że ty jesteś moim *yang,* a ja twoim *yin.* Połączenie naszych ciał zrodziło Wielką Harmonię. To dlatego tak lubimy się kochać, Świetlisty Punkcie! — szepnęła czule.
—Rozumiem, co masz na myśli, nawet jeśli ma to źródło w obcych mi praktykach i pojęciach, których nie rozumiem. Dla nas, manichejczyków, rolę twoich tchnień odgrywa Światłość.
—Kochamy się, to jest najważniejsze! — podsumowała dziewczyna. — I w naszym interesie jest jak najprędzej opuścić to miejsce.
—Ale za nasze głowy wyznaczono cenę! Nikt nie wie, że tu jesteśmy.
—Wątpię w to! Negatywna energia, jaką emanował Zielony Kolec, przekonała mnie, że zamierza zadenuncjować nas władzom. Widziałam w jego błędnym spojrzeniu błysk zemsty. Trzeba się stąd zabierać! — szepnęła Nefrytowy Księżyc ze łzami w oczach, opierając głowę o muskularną pierś Świetlistego Punktu.
—Uspokój się, kochana.
—Zapewniam cię! Musimy uciekać z Chang'anu!
—Ale nierozsądnie byłoby opuścić Chang'an bez gąsienic i kokonów jedwabnika.
—Przecież powiedziałeś, że wróciłeś tu dla mnie!
—Przyjechałem, żeby cię odszukać, ale nie mogę wrócić

do Turfanu z pustymi rękami. W dodatku w twoim towarzystwie. Napełniony Spokojem nigdy by tego nie zrozumiał i nie wybaczył! — zaprotestował chłopak.

—Jesteś gotów zabrać mnie z sobą? — spytała zachwycona Nefrytowy Księżyc.

—Oczywiście. Przyrzekłem ci przecież, że już nigdy się nie rozstaniemy! Postaram się, żeby Napełniony Spokojem udzielił nam specjalnego zezwolenia. Zostaniemy mężem i żoną!

Dziewczyna wręczyła mu z promiennym uśmiechem mały płócienny woreczek.

Świetlisty Punkt stwierdził ze zdumieniem, że zawiera on tuzin kokonów, a także maleńkie ciemne jajeczka, jakich tysiące składał jeden tylko jedwabnik.

—Nefrytowy Księżycu, widzę, że pomyślałaś o wszystkim! — wykrzyknął zachwycony.

—Zrobiłam zapas na wszelki wypadek! Zaopatrzyłam się w to wszystko tego samego popołudnia, kiedy przyszedłeś po mnie w zeszłym tygodniu do Świątyni Nieskończonego Przędziwa... Byłam pewna, że mnie o to poprosisz! — powiedziała, ocierając resztki łez.

—Dobrze zrobiłaś! Mając to, jestem pewny, że Napełniony Spokojem mi przebaczy i zwolni mnie ze ślubów Ucznia! A wtedy nasz ślub według rytuału Kościoła Światłości będzie tylko formalnością...

—Nic już nas nie wstrzymuje. Znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie, a czas działa przeciwko nam. Musimy uciec, nim nas dopadną! — wykrzyknęła porywczo Nefrytowy Księżyc, biorąc ukochanego za rękę.

Oboje gotowi byli wypełnić to, co przeznaczył im los.

Leżący w kącie pracowni u stóp złoconego parawanu Szybki Pędzelek, którego opuchnięta twarz przypominała dynię, nie odzyskał jeszcze przytomności.

— Droga jest wolna, ale niebezpiecznie byłoby wyjść stąd tak po prostu! Jeżeli ten przeklęty Zielony Kolec poszedł na

nas donieść, z pewnością opisze władzom, jak wyglądamy — zauważyła Nefrytowy Księżyc.

Dostrzegłszy na półce stos ubrań, w które malarz przebierał swoich modeli, przejrzeli je i wybrali te, które mogli prędko włożyć: ona przebrała się za chińskiego żołnierza, on zaś za taoistycznego kapłana.

—Doskonale ci w tym turbanie, Nefrytowy Księżycu! Jesteś nie do rozpoznania, kochana! — wykrzyknął wesoło Świetlisty Punkt.

—A ty wyglądasz jak prawdziwy taoistyczny medyk! — odparła dziewczyna, dotknąwszy jego kapelusza, podobnego do nakryć głowy, jakie nosili kapłani z taoistycznych świątyń.

—Mój mały żołnierzyk obroni mnie nawet bez szabli, gdyby pacjenci byli zawiedzeni, że nie potrafię ich wyleczyć! — zażartował chłopak.

Zauważył ze zdziwieniem, że Nefrytowy Księżyc sięga do kamionkowego garnka po jeden z dużych pędzli z końskiego włosia, jakich malarze używali do malowania chmur, maczając je w atramencie i przyciskając do ryżowego papieru.

— Może się nam przydać! — wyjaśniła tajemniczo.

Sprawdziwszy, czy nikt nie pilnuje wejścia od ulicy, wymknęli się z pracowni Szybkiego Pędzelka i ruszyli, trzymając się blisko ścian i starając nie robić hałasu.

Uliczka, na którą prowadziło wyjście, była pusta.

— W jakim kierunku trzeba iść, żeby znaleźć się na Jedwabnym Szlaku? — zapytał szeptem fałszywy taoistyczny kapłan.

— Idź za mną! — odparł „chiński żołnierz".

Dzielnica, w której mieszkał Szybki Pędzelek, znajdowała się we wschodniej części Chang'anu, i to tak daleko, że aby dotrzeć do Bramy Zachodniej, musieli przebyć całe śródmieście stolicy dynastii Tang.

Znająca miasto Nefrytowy Księżyc służyła ukochanemu za przewodnika, mówiąc mu po drodze, jak nazywają się im-

ponujące gmachy, stojące przy szerokich alejach dzielnicy rządowej — pałace ministerstw i gmachy administracji.

—Tu jest ministerstwo cesarskich sił zbrojnych! — powiedziała na widok ogromnej, zwieńczonej blankami i niemal zupełnie pozbawionej okien fasady, której ściany najeżone były ostrymi występami.

—Ta ściana przypomina pancerz smoka... — mruknął kuczanin.

—To dlatego, by gmach był nie do zdobycia na wypadek zamieszek...

—O jakich zamieszkach mówisz? Zauważyłem, że policjanci rozpędzają najmniejszą grupkę gapiów...

—Gdyby ludziom ze wsi, których synów wciela się siłą do oddziałów cesarskich i którzy stale cierpią głód, ponieważ wojska regularnie ograbiają ich spichrze, przyszło do głowy, żeby okazać gniew pod tym ministerstwem, jego widok wystarczyłby aż nadto, żeby skłonić ich do pójścia dalej!

—Nie miałem pojęcia, że lud tak bardzo cierpi i że cesarskie wojska mogą zachowywać się tak okrutnie!

—Nie dość, że władze pozbawiają wieś siły roboczej, to czasami dobierają się do całych rodzin! Tak przesiedlono tu w całości moją wioskę, jako zwykły wojenny łup! Lud Państwa Środka jest uciskany przez elitę rządzącą, żywiącą się nim jak grzyb pniem drzewa, na którym rośnie.

—W takim razie w środkowych Chinach w każdej chwili może wybuchnąć rewolucja! — stwierdził Świetlisty Punkt.

—Cesarz stara się nie pokazywać, w jakim zbytku żyje, ponad to, co konieczne, aby poddani go szanowali. Dlatego zewnętrzne mury wszystkich cesarskich pałaców są tak wysokie, że trzeba by zamienić się w feniksa, żeby zobaczyć, co się za nimi kryje.

—A mimo to wędrowni handlarze, kumoszki i przechodnie, których mijamy, mają roześmiane twarze!

—Naród Han jest z natury dobroduszny i wesoły. Przyzwyczaił się do powodzi, suszy i głodu. Ale nie wolno dać

zwieść się pozorom. Wszyscy boją się policji Wielkiego Cenzoratu Cesarskiego. Na przykład w Świątyni Nieskończonego Przędziwa zachowujemy ogromną ostrożność, ponieważ nikt tak naprawdę nie wie, kto kogo szpieguje!

— Mówisz jak stary mędrzec! — zauważył kuczanin z rozbawieniem, a przede wszystkim podziwem dla bystrości umysłu, jakiej dowody dawała jego ukochana.

Szli przez dobre dwie godziny, zanim nagle ukazała się masywna i niekształtna bryła Bramy Zachodniej, łatwo rozpoznawalna po zakrzywionych dachach, których wyniosłe szczyty odcinały się na tle nieba, przy końcu szerokiej alei zatłoczonej wozami i ręcznymi wózkami wieśniaków, przybyłych, żeby sprzedać płody rolne na niezliczonych targowiskach stolicy.

Zbliżając się do bramy, przez którą opuszczało się Chang'an, stwierdzili nie bez strachu, że wije się przed nią długa kolejka oczekujących.

—Co się dzieje? Zwykle nie ma tu takiego ogonka! — zdziwiła się Nefrytowy Księżyc, mówiąc do jakiegoś staruszka.

—To z powodu jakichś dziwnych działań administracji pobierającej myto. Można odnieść wrażenie, że poddano celników ścisłemu nadzorowi! Mój synku, ktoś, kto czeka na mnie na wsi, będzie się niepokoił! — jęknął wieśniak.

—Na szczęście zrezygnowali z drobnych szwindli, dzięki którym wchodzący i wychodzący mogli wbrew zarządzeniom uiścić myto towarem, który trafiał prosto do kieszeni urzędników — rzucił inny człowiek, wyglądający na respektującego prawo konfucjanistę.

—Żądają pieniędzy! Pozostaje mi wrócić do domu! — krzyknęła z wściekłością jakaś kobieta, z wózkiem wypełnionym po brzegi warzywami, którą właśnie odepchnięto od bramy.

— Słyszałem, jak strażnik szeptał do ucha swojemu koledze, że wpadli tu niespodziewanie agenci Wielkiego Cenzoratu! Za wszelką cenę starają się przeszkodzić naszej ucieczce ze stolicy! — szepnął do taoistycznego kapłana „chiński żołnierz",

który podszedł pod samą bramę. Zaczęła się właśnie drobiazgowa kontrola, pod nieufnym okiem policjantów, noszących złowróżbną białą opaskę służb prefekta Li.

—Nie uda nam się! Dopadną nas! A może zawrócimy? — szepnął Świetlisty Punkt.

—W żadnym razie! Tylko zwrócilibyśmy na siebie uwagę... Chodź i zdaj się na mnie. W tym mundurze wojaka nie boję się niczego! — odparła jego ukochana, starając się ukryć niepokój.

—Ale jak mam ominąć tę kontrolę? Widzę naokoło tylko buddyjskich mnichów. Jako jedynemu taoistycznemu kapłanowi będzie mi trudno przejść niezauważonym! Pośpiech nie jest dobrym doradcą, Nefrytowy Księżycu... — szepnął coraz bardziej niepewny Świetlisty Punkt.

Okoliczności nie zostawiły im czasu na zastanowienie. Ledwie chłopak wypowiedział te słowa, gdy usłyszał, że go wołają.

— Jakiś człowiek dostał konwulsji i stracił przytomność! Taoistyczny kapłan na pewno będzie wiedział, czym go okadzić, żeby oprzytomniał!

Umundurowany mężczyzna, który zwrócił się do Świetlistego Punktu, miał na ramieniu dwa czarne znaki, „Wielkie" i „Biuro", wypisane na białym tle i wskazujące na jego przynależność do oddziałów specjalnych Wielkiego Cenzoratu Cesarskiego.

Wpatrując się w nie, kochanek Nefrytowego Księżyca poczuł, że bierze go we władanie strach. Odwrócił się niepewnie, nie wiedząc, jak się zachować, i spojrzał pytająco na ukochaną.

Odpowiedź była jasna: skośne oczy Chinki nakazały mu podejść do chorego.

— Zaprowadź mnie do niego, to go zbadam — mruknął, starając się nadrabiać miną.

Chory leżał pod okienkiem, w którym pobierano opłaty za wyjście. Świetlisty Punkt pochylił się nad nim i przyłożył ucho do jego ust, żeby sprawdzić, czy oddycha.

Serce waliło mu jak młotem i o mało nie krzyknął, kiedy mężczyzna szepnął do niego:

—Błagam cię, miej litość nade mną! Powiedz im, że umarłem. To dla mnie jedyny sposób, żeby stąd wyjść, nie płacąc myta.

—A więc, co możesz dla niego zrobić? — zapytał agent.

—Niestety! Ten człowiek nie żyje. Przestał oddychać. Choć jestem taoistą, nie mogę mu pomóc!

—Nie masz przy sobie nawet tej waszej pigułki nieśmiertelności? W takim razie co z ciebie za kapłan? — zaśmiał się tajny agent, którego wątpliwej jakości żart wywołał w kolejce wybuch głośnego śmiechu, jako że tłum pragnął wkraść się w łaski człowieka, który jednym uniesieniem brwi mógł posłać każdego do więzienia.

—Cały zapas zostawiłem w świątyni! —jęknął „medyk".

— Wracaj do kolejki! — polecił mu agent.

Wróciwszy na swoje miejsce, przygnębiony Świetlisty Punkt zorientował się, że Nefrytowy Księżyc zniknęła.

— Niech wyniosą ciało za miasto, na najbliższy cmentarz — rozkazał agent.

Wyszedłszy ze swojej budki, celnicy pospieszyli z pochylonymi głowami spełnić polecenie człowieka, który przybył, żeby przerwać lukratywny proceder, jakiemu się oddawali.

Rzekome zwłoki opuściły Chang'an, nie płacąc rogatkowego.

Świetlisty Punkt stwierdził z niepokojem, że nawet poborcy myta czują respekt przed agentem Cenzoratu.

Dotarł w końcu przed okienko celnika o czerwonej ospowatej twarzy. Z jego bezzębnych ust dobywał się wstrętny odór.

—Płacisz dwa brązowe taele! — rzucił celnik. Świetlisty Punkt odruchowo cofnął się o krok, bo nie spodziewał się takiego fetoru.

—Nawet jeśli jestem taoistycznym kapłanem?

—Opłata przy wejściu i wyjściu jest obowiązkowa! Tak mówi cesarski dekret! — rzucił tamten ze znaczącą miną.

Wskazywał wzrokiem tajnego agenta, kilka kroków dalej obserwującego niekończącą się kolejkę tych, którzy tego dnia zapragnęli opuścić stolicę.

—A jeśli przez zapomnienie zostawiłem w świątyni wszystkie pieniądze? — zasugerował Świetlisty Punkt, starając się ze wszystkich sił zachowywać jak najnaturalniej.

—No cóż, w takim razie będziesz musiał po nie iść. Niedopuszczalne jest żadne odstępstwo od przepisów. Od dzisiejszego ranka nie można wyjść z Chang'anu bez zapłacenia kaucji w wysokości dwóch taeli z brązu! — odburknął celnik.

—Znowu podnieśli opłatę! Cesarz Gaozong każe nam płacić coraz więcej... — odezwała się gderliwie, ale cicho starsza kobieta, stojąca tuż za kuczaninem.

Speszony Świetlisty Punkt, obawiając się, że zgubił ukochaną, czynił sobie w duchu wyrzuty, że zapomniał o obowiązku opłacenia rogatkowego.

— Przepuśćcie tego kapłana! Jeżeli nawet nie ma czym zapłacić, ja za niego ręczę! Słowo oficera armii cesarskiej!

Żołnierz, który wypowiedział te słowa najpoważniej w świecie, miał pod nosem cienki wąsik, który przydawał mu buńczucznego wyglądu.

Gruby celnik wychylił się, żeby zobaczyć, gdzie znajduje się agent.

— Przechodź tędy! Następnym razem pamiętaj, żeby przynieść mi pigułkę nieśmiertelności, i będziemy kwita! ->- rzucił rad nierad do kuczanina, który bez ociągania się przekroczył przeklętą Bramę Zachodnią, obawiając się, że w każdej chwili może zostać zatrzymany przez pilnujących jej agentów.

Prędko wtopił się w pstrokaty tłum. Kupcy i mnisi, wieśniacy i podróżni, awanturnicy i bohaterowie, oszuści i złodzieje szykowali się do drogi. Jedni oporządzali konie i wielbłądy, podczas gdy ci, którzy musieli polegać na własnych nogach, nacierali maścią łydki albo dokładnie zawiązywali obuwie, żeby nie dały im się we znaki ostre kamienie na gościńcu.

U początku wielkiej drogi, rozciągającej się między światem azjatyckim i światem zachodnim, w nieopisanym zamęcie,

pośród porykiwania jucznych zwierząt, pobekiwania owiec i krzyków ptactwa zamkniętego w bambusowych klatkach, do uszu Świetlistego Punktu dochodziły wszystkie niemal języki ziemi.

Manichejski uczeń, podniesiony nieco na duchu tym, że udało mu się uniknąć kłopotów, niepokoił się losem ukochanej.

Gdzie ona się podziała?

W chwili gdy odruchowo włożył rękę do kieszeni, żeby sprawdzić, czy jest w niej woreczek z kokonami i jajeczkami jedwabników, omal nie potknął się o małe jagniątko o czarnej kręconej sierści, które próbował sprzedać jakiś pasterz.

Stwierdził z ulgą, że woreczek jest na swoim miejscu.

Będzie mógł przynajmniej dostarczyć Napełnionemu Spokojem to, o co go prosił.

Nie chciał jednak wracać do Turfanu bez Nefrytowego Księżyca.

Był coraz bardziej zdenerwowany, w końcu zaczął obawiać się najgorszego.

Co tu robić?

Jeśli zatrzyma się w karawanseraju, żeby na nią zaczekać lub dowiedzieć się, co ją spotkało, narazi się na ogromne ryzyko.

Tu i tam, pośród mężczyzn i kobiet, a nawet dzieci, kończących przygotowania i dociągających sznury mocujące towary na grzbietach zwierząt, widać było policjantów z patrolu rynkowego, rozpoznawalnych po czerwono-białych pasach, którzy dokładnie sprawdzali bagaże i wypytywali kupców, co zamierzają robić i dokąd się udają.

Kiedy stawali się zbyt natarczywi, kupcowi, któremu wsiedli na kark, nie pozostawało nic innego, jak uciec się do daniny w naturze, aby powstrzymać zapędy siepaczy, aż za dobrze znanych ze swej chciwości.

Świetlisty Punkt pomyślał, że najlepiej będzie ruszyć w drogę i zaczekać na ukochaną w pierwszej wiosce. Jeśli się nie

doczeka, przebierze się, zdobędzie jakoś pieniądze, opłaci rogatkowe i wróci do stolicy, aby jej szukać.

Przygnębiony Świetlisty Punkt szykował się więc, żeby dołączyć do tłumu na drodze, kiedy usłyszał, że ktoś cicho go woła.

— Nefrytowy Księżycu, gdzieś ty się podziewała? Śmiertelnie mnie przestraszyłaś!

Ku swojej wielkiej uldze zobaczył promienny uśmiech na ustach, które tak dobrze umiały całować.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni pęczek czarnych włosów, które wcześniej przykleiła sobie pod nosem.

— Więc nie rozpoznałeś wąsatego żołnierza? Nie bez powodu zabrałam pędzel malarza podglądacza! — wykrzyknęła, wybuchając śmiechem.

Chłopak nawet nie zdążył się zaśmiać z podstępu dziewczyny, kiedy przy Bramie Zachodniej rozległy się głośne krzyki. Nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do intencji tych, którzy je wydawali:

—Zawracać! Rozstąpić się! Między wami jest dwoje uciekinierów! Nefrytowy Księżyc i Świetlisty Punkt! Jeśli nas słyszą, niech natychmiast zgłoszą się do cesarskich władz! Jeśli będą posłuszni, nie stanie im się nic złego!

—Łajdaki! Pomyśleć, że gdyby nas dopadli, zrobiliby z nas miazgę! — szepnęła Nefrytowy Księżyc, której natychmiast zrzedła mina.

Był to ten sam agent Wielkiego Cenzoratu, który wcześniej lustrował kolejkę.

W towarzystwie trzech mężczyzn powtarzał swoje wezwanie, przykładając do ust dłonie złożone w trąbkę, podczas gdy stojący im na drodze ludzie opuszczali głowy i rozstępowali się jak drób w kurniku przed lisem.

— Tym, którzy dostarczą informacji o dwojgu poszukiwanych przestępcach, zostanie zwrócona opłata za wyjście ze stolicy i dostaną kwit zwolnienia od opłaty przy następnym wejściu! — krzyczał inny agent, którego głos niebezpiecznie się przybliżał.

—Trzeba ruszać! Obawiam się, że sprawy prędko przybiorą jeszcze gorszy obrót! — szepnął Świetlisty Punkt.

—Spróbujmy nie tracić się z oczu, żebyśmy się nie zgubili. Musimy zachowywać się tak, jakbyśmy się nie znali, aż do następnego postoju i porzucenia tych zbytnio rzucających się w oczy ubrań! — powiedziała Nefrytowy Księżyc, ukradkiem głaszcząc ukochanego po ramieniu.

—Im dalej od ośrodka władzy, tym nadzór staje się mniej surowy. Po dwóch dniach zobaczysz, jak rzadko będą pojawiać się policyjne patrole!

—Ale na razie depczą nam po piętach! — jęknęła dziewczyna i odsunęła się, a potem znikła za wózkiem pełnym bambusowych prętów.

Nagle Świetlisty Punkt poczuł, że ktoś klepie go po plecach. Odwrócił się, gotów skoczyć na człowieka, którego podejrzewał, że jest jednym z agentów tajnej policji.

— Znasz się na leczniczych roślinach? — spytał mężczyzna. — Wszyscy taoistyczni kapłani są też lekarzami!

Jego pomarszczoną jak zwiędłe jabłko twarz pozbawioną zarostu skrywał wełniany czepek. Zaskoczony kuczanin zauważył również, że staruszek ma na sobie szeroki płaszcz z króliczych skórek.

—Pozwól, że się przedstawię: Mały Supełek Łatwy do Rozwiązania, do usług...

—Och!... A ja mam na imię Ucho Igielne! Miło mi cię poznać...

Zaraz za nim Świetlisty Punkt dostrzegł Nefrytowy Księżyc, która z dłonią na ustach przyglądała mu się zza wózka z bambusem, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

Ucho Igielne!

Na jej oczach postawny Świetlisty Punkt zmienił się w maleńką dziurkę!

—Ucho Igielne? Co za dziwaczne imię! Dokąd idziesz?

—Dlaczego pytasz, Mały Supełku?

—Mam pieniądze i płacę gotówką! — odparł dziwny

osobnik ze znaczącą miną, jakby proponował doskonały interes.

Przekładał z ręki do ręki, tuż pod nosem Świetlistego Punktu, pięknego srebrnego taela: zdawał się mówić, że za taki pieniążek można jeść przynajmniej przez miesiąc, i to w dobrej garkuchni.

—Jeżeli zgodzisz się zrobić ze mną parę dobrych interesów na Jedwabnym Szlaku, dam ci trzy srebrne taele! Staniesz się bogatym człowiekiem... — dorzucił z napuszoną miną.

—Jesteś więc kupcem?

—Tak! Handluję leczniczymi ziołami. A kiedy robię to w towarzystwie medyka, klienci ciągną do mojego straganu i sprzedaję dużo więcej medykamentów...

Za plecami Małego Supełka sługa o smagłej cerze trzymał dwa wielbłądy na długich postronkach przytwierdzonych do kółek, przechodzących przez ich nozdrza.

Zwierzęta dosłownie ginęły pod płóciennymi workami, zakrywającymi całe ich cielska z wyjątkiem nóg, szyj i łbów.

— Oto moja wędrowna apteka. Mam wszystko, co leczy choroby i cierpienia cielesne: środki o naturze Czterech Żywiołów, zimna, gorąca, ciepła i świeżości; te, które pochodzą od Pięciu Elementów, metalu, wody, drewna, ziemi i ognia. Poza tym leki z rodzaju *yang,* rozgrzewające, i z rodzaju *yin,* chłodzące! Mam piżmo tybetańskiego koziorożca przedniej jakości, po bezkonkurencyjnej cenie, na wagę czystego złota; mam też żółć czarnego jadowitego węża z Yunnanu; nasiona rzodkwi, która działa na śledzionę, i żeń-szeń z Mandżurii, mam tojad, który nie truje, a także kamień bezoar, żołądkową konkrecję bawołu, by nie wspomnieć o suszonej żółci nie dźwiedzia, proszku z kości tygrysa, a również z rogu młodego jelenia, i oczywiście z szabli starego samca nosorożca. Mam proszek *tutie* na bolące i niewidzące oczy, mam anielskie *danggui,* którego składnik działa przeciwzapalnie, a także owoce rzepienia i ambrowca, łagodzące bóle reumatyczne. A tym, którzy gotowi są zapłacić, proponuję nawet proszek długo-

wieczności! Ty, Ucho Igielne, jako dobry taoista, powinieneś znać ten specyfik...

— Oczywiście! Chodzi o proszek z nefrytu, z którego są owoce rosnące na Wyspach Nieśmiertelnych! A mówiąc poważ nie, kiedy nie ma możliwości, żeby je zerwać, wystarczy zmieszać trochę cynobru z ekstraktem miłorzębu zwanym też drzewem dziesięciu tysięcy lat. Otrzymuje się ciemną pastę, z której wystarczy ulepić bardzo skuteczne pigułki — odparł najpoważniej w świecie Świetlisty Punkt.

Jako dobry manichejczyk, nie wierzył jednak ani słowu legendy, według której porośnięte drzewami o owocach z nefrytu wyspy nieśmiertelności miały pływać na grzbietach olbrzymich żółwi, na pełnym morzu u chińskich wybrzeży.

Ale jeśli chciał nabrać swego rozmówcę, musiał udawać, że bierze za dobrą monetę te nader popularne wierzenia, z których kler taoistyczny czerpał dochody, sprzedając po niezwykle wysokich cenach pigułki i proszki na bazie cynobru, mające przynieść „dziesięć tysięcy lat więcej" tym, którzy będą je połykali.

Na szczęście Nefrytowy Księżyc opowiedziała mu tę legendę. Gdy opowiadali ją blagierzy, którzy włóczyli się po targowiskach, zachwalając łatwowiernym tłumom sekrety swoich bezcennych remediów, była o wiele dłuższa.

— To ku tym boskim wyspom pierwszy cesarz Qin Shi Huangdi wysłał pewnego dnia tysiąc młodych chłopców i tysiąc młodych dziewcząt, prosząc ich, aby przywieźli mu te owoce o cudownym smaku i wyglądzie! Nasz dzisiejszy władca Chin nie ośmieliłby się rzucić w podobną przygodę! — dodał, zanosząc się dziwnym gardłowym śmiechem Mały Supełek Łatwy do Rozwiązania, co było pewną nieostrożnością, jeśli sądzić po zdumionych spojrzeniach, jakimi zmierzyli go dwaj ludzie trzymający wielbłądy.

Albowiem nie było rzadkością, że po donosie anonimowego świadka karano ludzi wysoką grzywną i wysmaganiem, a nawet obcięciem nogi, za drwiny z najwyższej władzy.

—A jeśli się zgodzę, jak długo będziesz mnie potrzebował? — zapytał Świetlisty Punkt, który dostrzegł w propozycji handlarza sposób na zachowanie anonimowości.

—Tylko jutro i pojutrze. Potem będziesz mógł iść swoją drogą. A zresztą, widzisz, nigdy bym nie śmiał zatrudnić cię na stałe... zbyt drogo by mnie to kosztowało.

Świetlisty Punkt starał się odczytać w oczach Nefrytowego Księżyca, która nie przestawała go obserwować, jak powinien się zachować.

Niedostrzegalne kiwnięcie głową „chińskiego żołnierza" kazało mu przyjąć, i to bez dyskusji, propozycję Małego Supełka.

A zresztą widok zbliżającego się agenta z białą opaską, przepychającego się przez tłum w ich kierunku, wciąż trzymającego przy ustach dłonie złożone w trąbkę, wykluczał wahanie.

Świetlisty Punkt zajął miejsce na grzbiecie jednego z wielbłądów i chwilę potem konwój handlarza ziołami ruszył wolno i majestatycznie Jedwabnym Szlakiem, między stadem owiec i wózkiem ciągniętym przez człowieka, który wiózł gdzieś — kto wie, być może ku lepszemu życiu — żonę i pięcioro dzieci.

Następnego ranka, w mieście, na obrzeżach którego spędzili noc, rozstawili stragan na targowisku. Cenę za miejsce Mały Supełek wytargował przedtem ostro z miejskim urzędnikiem, zajmującym się wynajmowaniem wędrownym kupcom miejsc na targu.

— Zbliżcie się, dobrzy ludzie, podejdźcie bliżej! Mam tu medykamenty i mam też lekarza!

Człowiek w płaszczu z króliczych skórek nie potrzebował tego powtarzać: tłum gapiów gromadził się już jak chmura much wokół plastra miodu.

Świetlistemu Punktowi spodobała się rola sprzedawcy ziół i medyka.

Z mądrą miną udzielał porad, wyjaśniając bardzo szczegółowo, jak należy nakładać taką czy inną maść albo jakie jest

dawkowanie tego czy innego rodzaju pigułek. Handlarz nauczył go nawet, jak wykonać przyżeganie, spalając bylicę, którą kładło się w maleńkich drobinkach na czole pacjenta, zachwyconego metodą, którą uważano za niezawodny sposób na cudowne usuwanie bólów głowy.

Omal nie pękł ze śmiechu na widok Nefrytowego Księżyca, która pozbywszy się stroju chińskiego żołnierza, przyglądała mu się z rozbawieniem, stojąc obok straganu ogrodnika, proszącego ją, żeby pomogła mu pilnować warzyw.

— Mój syn jest kaleką bez nóg! Co mógłbyś dla niego zrobić?

Twarz policjanta, który zadał to głupie pytanie, nie zwróciła uwagi fałszywego medyka, który omal nie wybuchnął śmiechem, zanim nie zorientował się, że ma przed sobą człowieka wysokiej rangi.

Czy on żartuje? A może czegoś się domyśla?

Kuczanin postanowił mieć się na baczności.

—Musiałbym go zobaczyć! Lekarz musi obejrzeć chorego! — oświadczył, czując, że w jego trzewiach zagnieżdża się niepokój.

—To prawda, nie pomyślałem o tym. Będziecie tu jutro?

—Jutro będziemy już na innym targowisku! Obowiązek woła nas gdzie indziej, musimy leczyć innych chorych! — odparł teatralnym tonem handlarz. Zbity z tropu policjant odwrócił się i odszedł.

A więc wcale nie żartował!

Jak wielka może być ludzka łatwowierność!

Następne targowisko, dzień później, nie różniło się od poprzedniego.

Ku wielkiemu zadowoleniu wielbłądów Małego Supełka, ubyła połowa tłumoków z roślinami i maściami, dzięki czemu mogły kroczyć dużo żwawiej niż przedniego dnia.

Tego samego wieczoru, w chwili gdy mieli się rozstać, Mały Supełek był tak zadowolony ze współpracy ze Świetlistym Punktem, że zaproponował mu spółkę.

—Ucho Igielne, jesteś najbardziej utalentowanym lekarzem, z jakim miałem okazję pracować. Moglibyśmy iść dalej razem. Masz też smykałkę do handlu. Dzięki tobie w ciągu dwóch dni moje zarobki się podwoiły. Co o tym myślisz?

—Dzięki za zaufanie. Ale mam coś do zrobienia dużo dalej na zachodzie, prawie na drugim końcu Jedwabnego Szlaku!

—Dokąd się udajesz? Ostatecznie mógłbym zmienić trasę! Jeśli tylko są tam targowiska, to by mi odpowiadało!

—To absolutnie niemożliwe, Mały Supełku.

—We dwóch prędko zbilibyśmy majątek! Jedwabny Szlak, jeżeli umie się go wykorzystać, to prawdziwa kopalnia nefrytu!

—Kto wie, być może pewnego dnia będziemy mieli okazję razem popracować! Na razie nie jest to możliwe.

—A jeśli zaproponuję ci pięć taeli dziennie? — zapytał handlarz, który był coraz bardziej natarczywy.

—Ucho Igielne, wreszcie cię znalazłam! Twoja rodzina czeka w Dunhuangu. Szukamy cię wszędzie już od tygodnia!

Była to Nefrytowy Księżyc, która zjawiła się, żeby pomóc ukochanemu.

—Przedstawiam ci moją siostrę. Wyszła mi na spotkanie.

—Udajesz się aż do Dunhuangu! Nigdy jeszcze tam nie dotarłem. Powiadają, że miasto to słynie z wyjątkowych targowisk... Ile potrzeba dni, żeby tam dojść?

—Co najmniej dwadzieścia, i to szybkiego marszu. Ale przedtem należy zapłacić bardzo wysokie myto przy przechodzeniu przez Nefrytową Bramę. Z takim ładunkiem ziół ryzykujesz, że zostawisz tam wszystko, co zarobiliśmy przez ostatnie dwa dni!

—Nie ma jakiejś bocznej drogi, żeby ominąć celników? — zapytał naiwnie handlarz, który nie mógł pogodzić się z myślą o rozstaniu z lekarzem o tak wielkim talencie kupieckim.

—Jest ich wiele wzdłuż całego Jedwabnego Szlaku. Ale

trzeba pokonać kamieniste wzgórza i nietrudno paść ofiarą bandytów, grasujących w poszukiwaniu przemycanych towarów. Niewielu podróżnych podejmuje to ryzyko, zwłaszcza gdy wiozą tak cenne ładunki jak twoje... — wyjaśnił młodzieniec. Handlarzowi zrzedła mina.

Świetlisty Punkt pożegnał się z Małym Supełkiem Łatwym do Rozwiązania, na którego obliczu malowało się głębokie rozczarowanie.

— Do zobaczenia któregoś dnia, być może! Gdybyś mnie potrzebował, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Jeszcze dwa targowis ka, a potem wracam do Chang'anu, i tak w kółko. Do tej pory nigdy nie zapędziłem się dalej! Twoja śliczna siostra bardzo mi się podoba! — westchnął smutno handlarz.

Znowu sami i szczęśliwi, zakochani ruszyli w drogę wraz z karawanami i stadami owiec.

Pomimo lodowatego wiatru początków zimy, który wysuszał im usta tak bardzo, że robiły się twarde jak odlane z laki, a do tego szczypał w uszy i czubki nosów, posuwali się naprzód tak energicznie, jakby nic nie mogło pozbawić ich energii.

Byli młodzi i piękni, a przy tym bystrzy, i wierzyli, że czeka ich lepsza przyszłość.

Kochającej się parze wszystko wydawało się łatwiejsze, nawet na pustkowiu. Konwoje, pragnące jak najprędzej dotrzeć do miejsca postoju, mijały ich obojętnie, nie interesując się dwojgiem młodych ludzi o tak gładkich buziach, że brano ich za dzieci.

Jednak pewnego dnia, gdy wędrowali górzystą krainą, gdzie śnieg przyprószył już granie i wierzchołki gór, Nefrytowy Księżyc zaczęła szlochać.

Świetlisty Punkt dopytywał z troską, o co chodzi.

— Jesteś pewny, że Napełniony Spokojem wybaczy ci twoje wybryki i pozwoli nam się pobrać? — wyjąkała w końcu, po długich naleganiach.

—Nefrytowy Księżycu, czyżbyś nie chciała iść ze mną do Turfanu?

—Sama nie wiem... Boję się, Świetlisty Punkcie, że los nas rozdzieli... Złożyłeś śluby. Twoi zwierzchnicy mogą cię oskarżyć o odstępstwo, gdy dasz im do zrozumienia, że chcesz połączyć swoje życie z moim. Wtedy mogę stać się dla ciebie ciężarem. A ja, Świetlisty Punkcie, nie chcę tego! — szepnęła zatrwożona.

Rzuciła się w jego ramiona jak mała przestraszona dziewczynka.

—Gdybyś znowu mnie opuścił, nie zniosłabym tego! Jeśli miałoby tak być, to już lepiej rozstańmy się teraz! — zaszlochała.

—Nigdy cię nie opuszczę, kochana. Jeśli wróciłem do Chang'anu, to tylko dla ciebie! Zniszczyłem nawet wszystkie żywe kokony z hodowli... Popełniłem przestępstwo przeciwko Wspólnocie Światłości! Czyż to nie jest świadectwo mojej miłości? Moje czyny dowodzą, że dokonałem wyboru między wiarą i miłością do ciebie!

—W imię czego Napełniony Spokojem, którego nazywasz Doskonałym, miałby zwolnić cię ze ślubów? Wolę, żebyś wiedział: nie będę chowającą się w cieniu kochanką Świetlistego Punktu! Chcę być twoją żoną! — wykrzyknęła porywczo.

—Jeśli Napełniony Spokojem nie będzie miał jedwabiu, z jego planów założenia w środkowych Chinach Kościoła Światłości nic nie wyjdzie! A czy będzie go miał, Nefrytowy Księżycu, zależy od tego! — Świetlisty Punkt potrząsnął woreczkiem z kokonami i jajeczkami.

—Ale czy ten kapłan dotrzyma słowa? Gdy dostarczysz mu kokony i jajeczka, nie będziesz mu do niczego potrzebny!

—Nefrytowy Księżycu, jesteś zbyt nieufna! Wyznawcy mojej religii to ludzie szlachetni.

—Nie ufam kapłanom i Kościołom. Dla nich cel uświęca środki!

—To prawda, że wiara zaślepia czasem ludzi tak bardzo, że popełniają najgorsze zbrodnie, ale ja ufam Doskonałemu. To dobry człowiek. A zresztą zaraz po powrocie powiem mu o naszych zamiarach.

—Mam nadzieję, Świetlisty Punkcie, że ten religijny człowiek nie zlekceważy uwielbienia i zaufania, jakim go darzysz. Mogę cię zapewnić, że pragnę tylko jednego: żebyś miał rację, najdroższy...

—Nie niepokój się. Mamy mnóstwo czasu, żeby zastanowić się nad tym, w jaki sposób przedstawimy mu sytuację. Na razie musimy przeskoczyć Nefrytową Bramę, do której mamy niedaleko.

—Kiedy do niej dotrzemy?

—Za mniej niż dziesięć dni! Po drugiej stronie Wielkiego Muru chińskie władze nie będą już deptały nam po piętach — powiedział chłopak, biorąc ukochaną za rękę.

—Pójdziemy bocznymi drogami, o których mówiłeś handlarzowi ziół. Opis, jaki mu przedstawiłeś, nie da mu pewnie spać przez wiele nocy! — rzuciła, wybuchając śmiechem. Najwyraźniej przezwyciężyła swoje obawy.

Każdy mijający dzień obdarowywał kochanków cudownymi krajobrazami, w miarę jak zostawiali za sobą gęsto zaludnione wiejskie regiony środkowych Chin.

Niemal niedostrzegalnie wkraczali w pustynne, prawie bezludne rejony. Drzewa stopniowo traciły bujne listowie, ustępując miejsca karłowatej roślinności, jakby walka z suszą była dla niej starciem, w którym wszystkie chwyty są dozwolone. W miejsce coraz rzadszych wiosek pojawiły się najpierw osady, potem samotne domki, wreszcie namioty, w których mieszkali pasterze.

Zachodzące słońce zalewało górskie szczyty coraz bardziej płomienistym blaskiem. Były podobne do drogocennych kamieni, jaśniejących na tle firmamentu, mieniących się wszystkimi odcieniami zieleni i błękitu.

Dzięki pieniądzom zarobionym u Małego Supełka Świetlisty

Punkt i Nefrytowy Księżyc mieli czym płacić za smakowitą pieczeń z przyprawionej ostro baraniny, którą wraz z czarną herbatą wędrowne garkuchnie oferowały podróżnym, zgłodniałym po marszu w lodowatym wietrze.

Wieczorami wynajmowali pokój w którymś z niezliczonych zajazdów Jedwabnego Szlaku, gdzie spali, złączeni miłosnym uściskiem.

Czasami, co było ogromnym zbytkiem, wynajmowali namiot od wędrownych pasterzy, dzięki czemu mogli się kochać, przykryci skórą jaka, i nikt im nie przeszkadzał.

Dni płynęły, a oni wytrwale posuwali się naprzód.

Pewnego ranka porzucili Jedwabny Szlak i zagłębili się w góry, wędrując wąskimi dróżkami, z których korzystali tylko pasterze i ich stada.

—Popatrz na te mury w oddali: to Nefrytowa Brama! Ominęliśmy ją! To Napełniony Spokojem doradził mi ten szlak przez góry, żeby uniknąć opłat celnych i kontroli! — wykrzyknął kuczanin pod koniec dnia wyczerpującego marszu, w czasie którego nie napotkali żywej duszy.

—Jaka piękna jest ta brama i jej wspaniałe umocnienia! Przypomina pałac! — szepnęła zachwycona Nefrytowy Księżyc.

—Dobrze zrobiliśmy, nie zbliżając się do niej! To główne miejsce pobierania cła między Wschodem i Zachodem, to znaczy między Chinami i resztą świata. W tym mieście jest więcej szpiegów i policjantów niż zwykłych mieszkańców!

Maszerowanie po kamienistych ścieżkach było dużo trudniejsze niż wędrówka Jedwabnym Szlakiem. Nefrytowy Księżyc, którą bolały nogi, cierpiała też z powodu pęcherzy na stopach. Bardzo chciała, żeby urządzili sobie postój.

— To łożysko wyschniętego potoku wypełnione jest mięk kim piaskiem. Będziemy mogli przynajmniej wygodnie się w nim wyspać... Odkąd porzuciliśmy trakt karawan, bolą mnie plecy, a nogi ledwo mnie już niosą! —- jęknęła.

Ujrzawszy krzew, którego suchych gałęzi można było użyć do rozpalenia ogniska, Świetlisty Punkt postanowił zatrzymać

się w tym obiecującym miejscu. Wziął Nefrytowy Księżyc na ręce i położył delikatnie na miękkim piasku.

— Ten piasek jest mięciutki jak mąka... Będzie ci tu dobrze! — szepnął jej do ucha.

Ułożył ją parę kroków od wysokich trzaskających płomieni ogniska, które wcześniej rozpalił, i zabrał się do pieszczot.

W kilka chwil później zasnęli, objęci, pewni, że nikt nie będzie ich niepokoił. Nie spodziewali się, że ta noc będzie bardzo krótka.

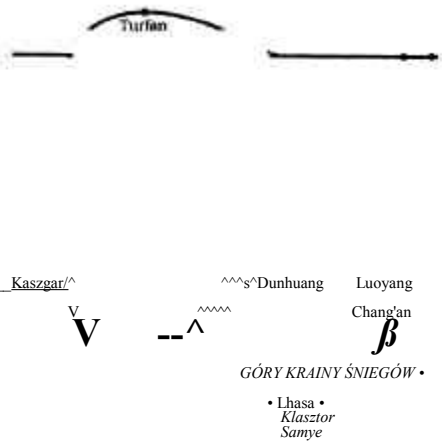

2

Pałac cesarski,
Chang'an, Chiny, 7
kwietnia 656 roku

W apartamentach w cesarskim pałacu w Chang'anie, wyciągnięta na jedwabnych prześcieradłach, Wu Zhao wysysała resztki cennego płynu z nefrytowego trzonka cesarza Gaozonga, co sprawiało, iż wydawał jęki rozkoszy, z których śmiali się po cichu dworzanie.

— Wasza Wysokość, chcecie, żebym udała teraz wilgę, która macha skrzydłami nad gałęzią, na której chce usiąść? — zapytała słodko Wu Zhao, choć małżonek chrapał już jak syty zwierz.

Zadowolona, że nie musi wykonywać miłosnej figury, którą Gaozong uwielbiał, a która polegała na tym, że siadała na nim

okrakiem, poleciwszy mu uprzednio wyciągnąć się na plecach, i długo pocierała swoją doliną róż o sterczący członek cesarza, zsunęła się cicho z łóżka i wezwała pokojówkę, żeby ją ubrała.

Roztargniona, pozwoliła ozdobić sobie czoło wspaniałą złotą tiarą, w którą wpatrywały się zawsze wszystkie konkubiny. Od dwóch dni męczyła ją migrena, nie potrafiła też ukryć niepokoju.

Co przyniesie dzień, który właśnie wstał?

Tego ranka miał do niej przyjść prefekt Li, żeby podzielić się z nią tym, czego dowiedział się o handlu przemycanym jedwabiem. Do służby Wielkiego Cenzoratu odnosiła się nieufnie, od czasu gdy dowiedziała się od Niemowy, że po mieście krążą plotki na temat opieki, jaką miała otaczać tych, którzy trudnili się zyskownym nielegalnym handlem.

Olbrzymi Turko-Mongoł, który zwykle obojętnie przekazywał swej pani podsłuchane rozmowy, był niezwykle wzburzony, gdy dwa dni temu opowiadał jej o tym, co usłyszał.

— Knują spiski przeciwko wam, pani! Wszyscy rozmawiają o handlu przemycanym jedwabiem. Według starego generała Zhanga wy macie być jego mózgiem... — wymruczał niemożliwym do naśladowania głosem, który był skutkiem okaleczenia języka. Tylko cesarzowa potrafiła go zrozumieć.

Wu Zhao wiedziała o nienawiści, jaką zionęły stare szlacheckie rody, z których wywodziła się pani Wang, dawna żona Gaozonga.

W swej naiwności myślała, że czas i coraz większy wpływ na Gaozonga pomogą jej zmniejszyć kiedyś tę wrogość.

Czyż kilka miesięcy temu nie wymogła na cesarzu, aby pozbawił księcia Li Zhonga tytułu Oficjalnego Następcy na rzecz Li Honga, dziecka, które miał z nią, i które wkrótce miało skończyć trzy lata?

To jednak nie wystraszyło jej wrogów, za to sprawiło, że ich złość i nienawiść stały się jeszcze większe.

Teraz lepiej pojmowała sens określenia „klasa szlachetnych", jak niektórzy intelektualiści nazywali tę warstwę. Nazywano ją też Trzystoma Rodzinami, i za wszelką cenę starała się ona zachować przywileje.

Cesarzowa miała już pewność, że Trzysta Rodzin nigdy nie dopuści do swego grona plebejuszki i że zrobią one wszystko co w ich mocy, by ją wyeliminować.

Najgorsze było to, że oskarżano ją, iż jest zamieszana w przemyt jedwabiu, podczas gdy ona nie mogła nawet dotrzymać obietnicy danej przełożonemu największego buddyj-

skiego klasztoru w Chinach, że dostarczy mu jedwab na chorągwie. Dostała również wyraźny znak, że jej wrogowie przystąpili do ataku, a nawet że postanowiono ją obalić!

Rozumiejąc, że brak jedwabiu na rynku nie pozwoli jej dotrzymać obietnicy, nakazała pilnie wezwać przełożonego Czystość Pustki.

Pragnęła powiedzieć mu, że ona ze swej strony zrobi wszystko, by zdobyć jedwab, on zaś modlitwami i oficjalnie okazanym poparciem musi ją wspomóc. Była wszak zagorzałą buddystką i nigdy nie porzuciła wiary w Drogę Wyzwolenia, o jakiej nauczał Błogosławiony.

Potrzebowała tego wsparcia, by stawić czoło plotkom i oszczerstwom, mającym zaszczepić wątpliwości w umyśle Gaozonga.

Dwa dni wcześniej przyjęła mnicha Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, którego, w odpowiedzi na jej list, posłał do niej przełożony Czystość Pustki.

Ta wizyta nie uspokoiła jednak cesarzowej Wu Zhao.

Mnich Pierwsze z Czterech Słońc Oświetlających Ziemię, który odznaczał się tak majestatyczną posturą jak Czystość Pustki, był drugą osobą w hierarchii Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa.

Ze swym spojrzeniem, zarazem jasnym i nieprzejednanym, z wyniosłą postawą i gładką czaszką, przypominającą wypukłością kości potylicznej święte góry, które malarze buddyjscy potrafili namalować jednym pociągnięciem pędzelka na długich papierowych zwojach, był człowiekiem wywierającym wielkie wrażenie.

—Mam nadzieję, że mistrz Czystość Pustki nie ma do mnie żalu i nadal wierzy, iż wierna buddystką, jaką jestem, robi wszystko, co w jej mocy, aby spełnić obietnicę! — zakończyła, wyjaśniwszy mu powody opóźnienia w dostawie jedwabiu przyrzeczonego jego przełożonemu.

—Wasza Wysokość, mistrz Czystość Pustki w was nie wątpi, a nawet kazał wam powiedzieć, iż Wielki Wóz stoi

wobec ogromnego zagrożenia! — odpowiedział zdumionej władczyni Pierwsze z Czterech Słońc Oświetlających Ziemię.

W pierwszej chwili pomyślała, że żartuje, chociaż można go było posądzić o wszystko z wyjątkiem skłonności do żartów!

—Jakim sposobem religia, która ma najwięcej wyznawców, może być zagrożona?! — wykrzyknęła zdumiona.

—Zerwany został rozejm i z pewnością wybuchnie wojna między buddyjskimi szkołami! Mój przełożony liczy na wasze wsparcie i na wpływ, jaki możecie wywrzeć na cesarza Gaozon-ga, aby skłonić go do pomocy. Zapewnia, iż pokłada w was niezachwiane zaufanie.

—Nie wątpię! Ale o jakim rozejmie mówi mistrz Czystość Pustki? Nigdy nie słyszałam o pakcie między buddyjskimi szkołami!

—Wasza Wysokość, nie mam upoważnienia, aby powiedzieć wam więcej. Czystość Pustki kazał mi przysiąc, że przekażę wam słowo w słowo jego zapewnienia. Co do reszty, to ponieważ sam pozostaję w niewiedzy, nie mogę niestety powiedzieć więcej! — odrzekł tonem usprawiedliwienia Pierwsze z Czterech Słońc Oświetlających Ziemię.

—Czy rzeczywiście wydawał się zaniepokojony?

—Bardzo, Wasza Wysokość. Nigdy nie widziałem go w takim stanie! Jest to jednak człowiek, który za sprawą ascetycznego życia i medytacji ma nad sobą kontrolę! Od czasu ostatniej podróży do Krainy Śniegów zmienił się... Spędza całe dnie zamknięty w swej komnacie, jakby oczekiwał czyjejś wizyty, której opóźnienie wyprowadza go z równowagi!

Wu Zhao nie mogła dowiedzieć się niczego więcej od wysłannika Czystości Pustki, ale im dłużej o tym myślała, tym głębszego nabierała przekonania, że wydarzy się coś ważnego.

A ponieważ przełożony z Luoyangu kazał powtórzyć jej taką wieść, musiało chodzić o wydarzenie brzemienne w skutki dla buddyjskich szkół, mogące postawić pod znakiem zapytania potęgę mahajany, której ona tak bardzo potrzebowała, aby wcielić w życie swe wielkie plany.

Jakby nie dość było jednej złej wiadomości, następnego dnia Niemowa powiedział jej, że sklepikarz Żywy Karmin został znaleziony z rozprutym brzuchem w swoim sklepie w Dzielnicy Jedwabnej.

To jeszcze bardziej wzmogło niepokój cesarzowej Chin.

Kto mógł popełnić taką zbrodnię? Czy pewni ludzie nie dowiedzieli się, że przyjęła w tajemnicy tego sklepikarza, żeby zaproponować mu układ? Czy jego śmierć była więc sprawą przypadku? Czyż nie krążyła plotka, że to ona zleciła morderstwo?

Czy tak zawzięci wrogowie cesarzowej nie przypisywali właśnie jej wszystkich intryg i zbrodni?

A jako że każdy mijający dzień przynosił kolejne złe wiadomości, nie bez niepokoju oczekiwała na rozmowę z prefektem Li, który żywił takie same obawy jak ona, choć z innych powodów.

Gdy pokojówka kończyła ubierać cesarzową, także prefekt Li przygotowywał się do audiencji, jakiej miała mu udzielić.

Odgadując, że zależy jej na wieściach na temat śledztwa dotyczącego jedwabnego przemytu, trochę niespokojny szef Wielkiego Cenzoratu poszedł zasięgnąć porady u swego mentora, starego generała Zhanga, byłego pierwszego ministra i stryja cesarza Gaozonga.

Z przygnębioną miną, która wiele mówiła o dręczących go troskach, usiadł naprzeciwko zaprzysięgłego wroga cesarzowej, pijącego z seledynowej czarki o dyskretnym ornamencie zieloną herbatę, którą kazał sprowadzić z Yunnanu.

—Drogi generale, co mam powiedzieć cesarzowej? — zapytał zdenerwowany.

—Absolutnie nic! — odparł krótko Zhang.

Odstawił czarkę na mały stolik w kształcie sześcianu, którego laka błyszczała tak, że nie można było określić jej koloru, a przy okazji włożył do kieszeni mały przedmiot, którego nie chciał pokazywać Wielkiemu Cenzorowi.

—Ale ona wezwała mnie pismem z oficjalnym stemplem, jako przedstawicielka cesarza...

—Powiedziałem ci: nic! — powtórzył generał.

—Ależ jeśli nic nie powiem, będzie to oznaczało, że nic nie wiem. Czy to nie krępujące dla Wielkiego Cenzora, który z racji swego zawodu powinien wiedzieć wszystko?

—Będziesz lawirował! Gdybyś nie potrafił unikać raf, nie zostałbyś Wielkim Cenzorem cesarstwa! A zresztą, czyż nie jesteś jedynym dygnitarzem, który ma prawo nosić odznakę Xiezhai?

Order ten, przedstawiający białego lwa z rogiem, ozdabiał ceremonialny uniform Wielkiego Cenzora, albowiem jedynie to mityczne zwierzę umiało osądzić jednym spojrzeniem, co jest dobre, a co złe.

—Ale zgodzi się pan, że nie wolno robić niczego, co mogłoby zdyskredytować Wielki Cenzorat...

—Znasz przysłowie: Tak jak wysokie drzewo przyciąga wiatr, wysokie stanowisko przyciąga troski! — odciął się generał, wyznawca konfucjanizmu.

—Niestety, tak, słyszałem już to powiedzenie i uważam je za nader trafne! — mruknął posępnie cenzor.

—Dość żartów! Jeśli nawet ten kretyn Gaozong oficjalnie powierzył to śledztwo uzurpatorce, nie możemy jej nic powiedzieć! — zagrzmiał były pierwszy minister Taizonga.

—Już od tygodni śledztwo stoi w miejscu. Cesarz w końcu się zdenerwuje, i słusznie. Pomyśli, że Wielki Cenzorat nic nie robi! — bąknął coraz bardziej niespokojny prefekt Li, którego wcale nie cieszyła perspektywa stanięcia przed cesarzową.

—Czy znasz jakieś nowe fakty, które mogłyby posunąć śledztwo do przodu?! — wykrzyknął zdenerwowany generał.

—Jest jeden!

—Mów więc! Na co czekasz?

—Wczoraj wieczorem jednemu z moich ludzi z pierwszej brygady specjalnej złożył wizytę niejaki Zielony Kolec. Jak się

wydaje, osobnik ten, Ujgur z pochodzenia, zamierza wskazać miejsce, gdzie według niego ukrył się młody człowiek, którego gościła u siebie ta dziewczyna, Nefrytowy Księżyc, nad sklepem kupca znalezionego z rozprutym brzuchem...

—Na Konfucjusza, wreszcie coś interesującego!

—Według niego człowiek ten nazywa się Świetlisty Punkt i uwięził młodą kobietę, która zniknęła zresztą w tajemniczych okolicznościach z cesarskiej Świątyni Nieskończonego Przędziwa. Przeprowadzałem tam nawet kontrolę, próbując ją złapać.

—I na co czekasz? Skorzystaj z propozycji Zielonego Kolca. Niczego nie ryzykujesz. Z takimi ludźmi trzeba postępować jak z *hufu,* figurką z brązu, przedstawiającą tygrysa przeciętego na pół, używaną w Chinach w epoce Walczących Królestw*. Jedną połowę *hufu* miał generał, który zmagał się na polu walki, drugą zatrzymywał cesarz, i żaden rozkaz nie był wiarygodny, jeżeli nie towarzyszyło mu połączenie dwóch połówek *hufu,* które musiały dokładnie do siebie pasować. Generałowi dawało to pewność, że decyzję podjął osobiście cesarz, a władca mógł być spokojny, że rozkaz zostanie przekazany właściwej osobie! — wyjaśnił generał, rad, że może w ten sposób pochwalić się wiedzą.

—Ale jak zastosować zasadę *hufu* do Zielonego Kolca? — zapytał prefekt Li, który błądził myślami gdzie indziej, przytłoczony perspektywą wizyty, jaką miał złożyć Wu Zhao.

—Wydawałoby się, że potrafisz zrobić to śpiewająco! Każesz wręczyć temu człowiekowi połowę uzgodnionej zapłaty, a druga połowa zostanie mu przekazana po sprawdzeniu, że informacja, jakiej wam udzielił, jest coś warta! To proste! I wierz mi, skuteczne... — zapewnił coraz bardziej znużony generał.

—Na razie aresztowałem Zielonego Kolca i sprawdzamy

* Epoka Walczących Królestw — okres od V do III wieku p.n.e. (480—249 r. p.n.e.).

prawdziwość jego zeznań. Kazałem wzmocnić straże przy bramach stolicy, aby zapobiec ewentualnej ucieczce tych młodych ludzi.

—To jest absolutne minimum! — rzucił kwaśno były pierwszy minister.

—Panie generale, czy mam wspomnieć Wu Zhao o tym nowym wątku?

—Z pewnością nie. Zastanów się! Gdyby informacja Zielonego Kolca okazała się nieprawdziwa, tylko byś się ośmieszył, a wraz z tobą cały Wielki Cenzorat! — wykrzyknął generał Zhang, któremu sługa przyniósł właśnie czarkę pełną jego ulubionych smażonych skórek pomarańczowych w słodkim syropie imbirowym. — A gdyby zeznania Zielonego Kolca okazały się prawdą, wtedy na pewno nie należałoby ich rozgłaszać... Ponieważ, jak napisał mistrz Konfucjusz: wystarczy najmniejszy kamyk, aby stłuc największy dzban! — dodał, zerkając łakomie na swój przysmak.

—Jeśli dobrze rozumiem, drogi generale, nakłania mnie pan, abym okazał nielojalność! — skonstatował prefekt Li.

—Prawo Wu Zhao do tronu jest nie większe od ziarenka gorczycy!

—Ale nie jej inteligencja i umiejętność snucia intryg, drogi generale!

—Jest sprytna, to pewne! Ale jestem przekonany, że odegrasz przed nią swoją rolę jak dobry aktor! — rzucił były pierwszy minister wielkiego Taizonga, gdy Cenzor się z nim żegnał.

Wsiadając do lektyki, która miała go przenieść do cesarskiego pałacu, prefekt Li nadal nie wiedział, jaką postawę powinien przyjąć przed obliczem cesarzowej Chin.

Czy nieprzejednanie i nienawiść generała nie były złymi doradcami? A nade wszystko, czy zapewniając, iż Wu Zhao nie pozna się na kłamstwie, nie starał się uczynić z Wielkiego Cenzora narzędzia, aby posłużyć się nim, gdy nadejdzie stosowna chwila?

Żałował, że odwiedził tego starego zgorzkniałego konfucjanistę.

Czuł się nieswojo i starał się ukryć drżenie członków, kiedy uzbrojony strażnik wprowadzał go do Wu Zhao. Musiał bardzo się starać, żeby nie stracić rezonu.

Cesarzowa wydała mu się jeszcze piękniejsza niż zwykle. Jej nieskazitelne czoło zdobiła tiara z ptakami, których turkusowe oczy zdawały się przenikać jego myśli.

Tuż za nią, z miną groźniejszą niż zwykle, stał jej niepokojący olbrzymi służący bez języka.

Już od tygodni migreny, które dręczyły małżonkę Gaozonga, sprawiały, że miała lekki sen i budził ją najlżejszy szmer. Wystarczało, że przez podwórze przeszedł kot albo liść spadł na marmurową posadzkę jej ogródka lub nawet że Gaozong się poruszył, gdy spali razem, a zrywała się z bijącym sercem, w szponach straszliwych lęków, które jeszcze mocniej zaciskały kleszcze bólu na jej skroniach.

Mimo malującego się na twarzy zmęczenia wyglądała pięknie.

Zgodnie z etykietą, jak wszyscy wysocy urzędnicy w obliczu władzy, Wielki Cenzor rzucił się do stóp cesarzowej.

Kiedy uniósł głowę, zachwycając się mimochodem jej ciałem, którego kształty odgadywał bez trudu pod dopasowaną, wysoko rozciętą suknią, był nieprzytomny z niepokoju.

W obecności cesarzowej pozbył się wszelkich wątpliwości: linia postępowania zasugerowana przez generała Zhanga świadczyła o karygodnym zaślepieniu, spowodowanym nienawiścią, jaką stary dygnitarz żywił do władczyni.

Prefekt Li nie znalazł więc w sobie wystarczająco buntowniczego ducha, aby rzucić wyzwanie małżonce Gaozonga, okłamując ją. Wciąż klęcząc u jej stóp, próbował się rozeznać, czy lojalność względem najwyższej władzy jest u niego szczerym odruchem.

Poczuł się zupełnie bezbronny, kiedy poleciła mu wstać i zbliżyć się do fotela, na którym usiadła.

— Przypuszczam, że prefekt Li domyśla się, o czym będzie my rozmawiali? — zapytała, od razu przechodząc do rzeczy.

Jako osoba ostrożna i mająca się na baczności zdumiała się wielce, gdy Wielki Cenzor, po którego twarzy spływały wielkie krople potu, wykrzyknął:

— Wasza Wysokość, prawdopodobnie zdemaskowałem siat kę szpiegowską zorganizowaną przez przemytników...

Cesarzowa patrzyła na niego obojętnie.

Dobrze natarty oliwą sztuczny warkocz wystający spod czepka łagodził nieco surowość tego osobnika, podrygującego przed nią niezręcznie, jakby z trudem przychodziło mu zachowanie spokoju. Wysoki funkcjonariusz w szamerowanym mundurze prefekta, a taki niespokojny, pomyślała Wu Zhao. To dowód na jego dwulicowość.

—A więc twoje śledztwo się rozwija... — odparła cicho.

—Tak, Wasza Wysokość! A nawet postępuje wielkimi krokami!

—Nie wątpię! Ale jeszcze...

Cesarzowa postanowiła ukrywać emocje, aby prefekt, który był wrogo do niej nastawiony, o czym doskonale wiedziała, nie mógł zgadnąć, czy jego słowa zadowalają ją, czy też gniewają.

—Wkrótce, Wasza Wysokość, będziecie mogli przekazać cesarzowi Chin dobre nowiny. W samej rzeczy, nie dalej jak wczoraj wieczorem uzyskałem informację, która z pewnością zadowoli Waszą Wysokość, jako osobę oficjalnie wyznaczoną przez Gaozonga do prowadzenia śledztwa i wyjaśnienia tej tajemnicy.

—O co chodzi?

Wielki Cenzor zebrał się na odwagę i rzucił na głęboką wodę.

— Pewien Ujgur zwący się Zielony Kolec skontaktował się z moimi służbami, aby donieść, że osobnik o imieniu Świetlisty Punkt uwięził młodą robotnicę ze Świątyni Nieskończonego Przędziwa — Nefrytowy Księżyc.

—Coś takiego!

—To podwójny zbieg okoliczności, Wasza Wysokość. Ta robotnica, mieszkająca tuż nad sklepem kupca, który sprzedawał przemycany jedwab i którego znaleziono z rozprutym brzuchem, nie pokazała się więcej w przędzalni! — wyjaśnił drżącym głosem.

—Czy pewne jest, że ten człowiek powiedział prawdę?

—Zatrzymaliśmy go w areszcie, Wasza Wysokość. Będę wiedział więcej dziś wieczorem. W chwili gdy rozmawiam z Waszą Wysokością, podejmujemy czynności mające na celu sprawdzenie jego donosu.

—Jak nazywał się zamordowany kupiec? — zapytała cesarzowa, która przecież doskonale znała jego imię.

—Żywy Karmin, Wasza Wysokość!

Wu Zhao powstrzymała westchnienie, starając się ukryć niepokój.

Wiele przemawiało za tym, że Wielki Cenzorat położył rękę na jednym z głównych ogniw sieci handlu przemycanym jedwabiem. Likwidacja tego ogniwa uniemożliwiała jej dotrzymanie obietnicy dostarczenia materiału na chorągwie Klasztorowi Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu.

—Nie będziesz miał mi za złe, jeśli wezwę tego Zielonego Kolca, żeby przesłuchać go osobiście? Dzięki temu przyspieszymy bieg spraw! — zaproponowała, używając możliwie najbardziej stanowczego tonu, aby zawczasu uciąć wszelkie obiekcje.

—Wam, Wasza Wysokość, powierzono śledztwo dotyczące przemytu jedwabiu, i z tego tytułu macie do tego prawo! — wyjąkał Wielki Cenzor, skonsternowany.

Nie bez rozgoryczenia stwierdził, że postąpił dokładnie odwrotnie, niż nakazał mu generał Zhang. Nie miał jednak czasu na czynienie sobie dalszych wyrzutów, ponieważ do komnaty wszedł sam cesarz Gaozong. Władca Chin musiał dopiero co wyskoczyć z łóżka, gdyż miał na sobie tylko spodnie od piżamy i koszulę z białej bawełny.

—Moja słodka przyjaciółko, tak prędko wymknęłaś się tego ranka! Chętnie zatrzymałbym cię trochę dłużej... — szepnął do swej małżonki, ziewając.

—Wasza Wysokość, właśnie dla ciebie pracuję! Ale zamiast „ja", powinnam raczej powiedzieć „my", nieprawdaż, panie Wielki Cenzorze? — wykrzyknęła nie bez pewnej emfazy Wu Zhao.

—Ach! Prefekt Li! Nie zauważyłem cię! — wykrzyknął Gaozong do Wielkiego Cenzora, który powitał go, zginając się wpół.

Najpotężniejszy władca na świecie, poświęcając swemu Wielkiemu Cenzorowi nie więcej uwagi, niż gdyby chodziło o jakiegoś owada, objął żonę w pasie, przeciągając jednocześnie dłonią po jej drogocennej tiarze, jakby chciał popieścić ptaszki o turkusowych oczkach.

Wu Zhao cofnęła się o krok, aby uwolnić się z jego objęć, po czym rzuciła z wyzywającą miną:

— Wasza Wysokość, mogę już powiedzieć, że śledztwo dotyczące przemytu jedwabiu będzie niezmiernie trudne. Jeden z podejrzanych, któremu poleciłam stawić się tu, aby osobiście go przesłuchać, niejaki Żywy Karmin, kupiec jedwabny, został kilka dni temu znaleziony w swoim sklepie z rozpłatanym brzuchem!

Zaskoczony i pełen podziwu prefekt Li mógł tylko stwierdzić niezwykłą zręczność tej kobiety, która, dzięki temu prostemu zdaniu, uwalniała się od wszelkich podejrzeń, jakie mógł żywić wobec niej Gaozong, wyjawiając mu zarazem, iż rzeczywiście przyjęła w cesarskim pałacu handlarza jedwabiem.

Jej inteligencja i zmysł taktyczny były zatrważające.

—Przyjmujesz, pani, w tym pałacu osobników, których znajdują potem z rozprutym brzuchem?! — wykrzyknął zaniepokojony i zaskoczony władca.

—Staram się jak najsumienniej prowadzić śledztwo, które zechcieliście mi powierzyć...

—Nie trzeba narażać się na niepotrzebne niebezpieczeństwo,

moja słodka przyjaciółko. Masz do roboty ciekawsze rzeczy! Rozumiemy się, nieprawdaż, moja droga?

Lubieżne spojrzenie cesarza nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Prefekt Li, zażenowany, że jest świadkiem tak intymnego dialogu, nie mógł powstrzymać się od myśli, iż Gaozong jest jeszcze głupszy i bardziej wulgarny, niż mówiono.

—Wasza Wysokość, nic nie stoi na przeszkodzie, abym powtórzyła obietnicę, że doprowadzę moje śledztwo do końca — oświadczyła Wu Zhao stanowczo, świadomie kładąc nacisk na to, co pragnęła podkreślić.

—No cóż, niech będzie, moja słodka przyjaciółko! Czas, abym kazał się ubrać. Niebawem zaczynają się audiencje! — westchnął boleśnie władca, po czym zostawił żonę z Wielkim Cenzorem, nie obdarzając go nawet przelotnym spojrzeniem.

Wu Zhao dała znak Niemowie, żeby przyniósł jej maleńkie pudełeczko z pigułkami, leżące na narożnej rzeźbionej szafce.

—To na ból głowy! Nie opuszcza mnie od dwóch dni! Bez tego chybabym umarła! — wyjaśniła prefektowi Li, przełknąwszy, krzywiąc się, małą żółtą pigułkę, po czym zapytała ostro:

—Mogę na ciebie liczyć?

—Jakże mogłoby być inaczej, Wasza Wysokość? — wymamrotał Li.

—Mam wielu wrogów... Wokół mnie krążą złe życzenia! Najlepszym tego znakiem są moje migreny!

—Wasza Wysokość, wysoki urzędnik, jakim jestem, nie działa tak, jakby z przodu był biały, a z tyłu czarny. Jest z zasady lojalny wobec swego zwierzchnika! — wyjąkał Wielki Cenzor.

—Nie wiem, co to jest lojalność z zasady, panie prefekcie! Dla mnie, kiedy ktoś jest lojalny, jest taki z natury... — szepnęła oschle, jakby mówiła do siebie.

Zakłopotany prefekt Li spuścił głowę.

— Dziękuję za informacje, panie prefekcie! —powiedziała Wu Zhao, dając znak Niemowie, by odprowadził Wielkiego Cenzora do drzwi.

Gdy prefekt wyszedł, cesarzowa kazała przywołać tłustego szambelana, który pocąc się ze strachu, że nie odpowie w wymaganym czasie na polecenia cesarzowej, pospiesznie zanotował jej żądania w małym zeszycie.

Następnie trójka jej ulubionych muzyków zagrała kilka melodii na flecie *chi,* cytrze *se* i organkach *shen.* Chwila muzyki na początku dnia odprężała ją i łagodziła ból głowy.

Mały koncert nie skończył się jeszcze, gdy stanął przed nią w eskorcie trzech uzbrojonych strażników więzień, którego kazała przyprowadzić z lochów brygad specjalnych.

Twarz Zielonego Kolca tak gęsto pokryta była siniakami, że przypominała małą niebieskawą poduszeczkę, na której szlachetne damy kładą ręce, gdy służąca poleruje im paznokcie.

— Powiedz mi wszystko, co wiesz, Zielony Kolcu, a ujdziesz z życiem! Nazywamy to „doniesieniem-wybaczeniem". Znajdziesz się pod moją opieką. Jeśli będziesz milczał, Niemowa z przyjemnością dokończy roboty twoich katów — rzekła Wu Zhao obojętnym tonem.

Ujgur był tak pobity, że ledwo trzymał się na nogach.

— Niemowo, idź z łaski swojej po kompresy z ciepłej wody i po balsam. Ulżymy cierpieniom tego człowieka! — poleciła cesarzowa.

Następnie zajęła się więźniem osobiście, obmyła mu twarz i przetarła spuchnięte powieki.

W miarę usuwania śladów zaschniętej krwi twarz Zielonego Kolca odzyskiwała normalny wygląd.

— Dlaczego, pani, to robisz? Gdzie jestem? — wymamrotał drżącym głosem.

— Stoisz przed cesarzową Chin — odparła Wu Zhao.

Więzień, który nie doszedł jeszcze do siebie, mógł teraz przyjrzeć się lepiej kobiecie, której kształty rysowały się pod

bluzką z głębokim dekoltem i w długim rozcięciu, rozdzielającym jej spódnicę na dwie równe poły.

Jeśli mówiono w Chang'anie, że jest piękna, to patrząc na nią z tak bliska, Zielony Kolec stwierdził, że jest jeszcze piękniejsza, niż mógł sobie wyobrazić.

Chociaż razy siepaczy poważnie uszkodziły mu nos, czuł upajający zapach jej perfum, w których zapach kwiatu pomarańczy mieszał się z cynamonem.

Było to coś zdecydowanie odmiennego od odrażającego zapachu potu i zaschniętej krwi w lochu, do którego po morderczych przesłuchaniach wrzucili go ludzie prefekta Li.

— Chciałabym, abyś zrozumiał, że jeśli zdecydujesz się na to teraz, zostaniemy sprzymierzeńcami! Wierz mi, jestem kobietą dotrzymującą słowa! — szepnęła mu do ucha.

Zielony Kolec nie tracił czasu, i od razu zdecydował, że przyjmie propozycję władczyni.

Wbrew temu, czego oczekiwał, policjanci Wielkiego Cenzoratu nie przyjęli go z otwartymi ramionami-, gdy po opuszczeniu pracowni Szybkiego Pędzelka zjawił się u nich z tajemniczą miną, żeby zdradzić im sekret Świetlistego Punktu.

Gdy tylko złożył zeznanie podejrzliwemu sierżantowi, poprowadzono go przed oblicze drobiazgowego kapitana, który kazał mu powtórzyć je ze szczegółami, a potem do trochę tym zaskoczonego komendanta, któremu musiał jeszcze raz wyjawić swoją tożsamość i opowiedzieć to, co wiedział.

I za całe podziękowanie ten wysoki oficer kazał go wtrącić do więzienia, gdzie złe traktowanie bynajmniej się nie skończyło, gdyż strażnik, Mongoł o dłoniach wielkich jak łopaty, zdawał się odczuwać przyjemność w biciu więźnia.

Udręczony Ujgur zaczął żałować impulsywności, która popchnęła go do zadenuncjowania zbirom Wielkiego Cenzoratu Świetlistego Punktu i Nefrytowego Księżyca.

Rozdarty między nadzieją znalezienia się pod opieką tak pięknej kobiety i losem, jaki prawdopodobnie zgotowałyby mu służby specjalne, gdyby przestał być użyteczny, szybko dokonał wyboru.

Wu Zhao łatwo przyszło zdobyć jego zaufanie.
—Wasza Wysokość, wyglądało to tak, że ja nadzorowałem sprzedaż przemycanego jedwabiu, na polecenie jednego z organizatorów tego procederu... — powiedział cicho.
—Kto był w to zamieszany?
—Dwa zachodnie Kościoły, Wasza Wysokość: nestorianie i Kościół Światłości.
—Kościół nestoriański dawał już powody, żeby o nim mówiono — powiedziała w zamyśleniu cesarzowa. — Opowiadają, że jego wyznawcy są coraz bardziej aktywni na obrzeżach środkowych Chin, w oazach Jedwabnego Szlaku. Wierzą w jednego Boga, a ich religia jest bardzo daleka od Szlachetnej Prawdy Błogosławionego Buddy. Za to po raz pierwszy ktoś wymawia w mojej obecności tę ładną nazwę — Kościół Światłości!
—A jednak, Wasza Wysokość, działam tu właśnie w jego imieniu! Jeśli tego pragniecie, mogę powiedzieć wam słówko na temat tego Kościoła!
—Czego ten Kościół o tak ładnej nazwie uczy swoich wyznawców?
—Naszą religię objawił ludziom prorok Mani. Ten świątobliwy, zmarły na krzyżu człowiek naucza nas, że istnieje światłość i noc; że jest dobro i jest zło... i że ludzie rozpięci są między tymi dwoma przeciwnościami! Poprzez nasze rytuały i posty błagamy Maniego, aby ustrzegł nas od sił zła i nocy, i poprowadził ku boskiej światłości — wyjaśnił Zielony Kolec, nie wdając się w subtelności manichejskiej doktryny, jakie wpajał wyznawcom Wielki Doskonały, Napełniony Spokojem.
—Podążać ku boskiej światłości... Bardzo mi się podobają twoje słowa.
—Wasza Wysokość, dla naszego Kościoła światłość jest źródłem wszelkiego życia!
—Niektórzy buddyjscy mnisi opowiadają, że uratował ich od śmierci na pustyni bodhisattwa, który zamienił swoje ręce w pochodnie, aby przeprowadzić ich przez burzę piaskową, gdy przez nieuwagę zeszli z karawaną z Jedwabnego Szlaku!

—To prawda, Wasza Wysokość, niektórzy przewodnicy karawan modlą się co rano w oazach do bodhisattwy o „ognistych rękach"! — potwierdził Zielony Kolec, który wiele razy słyszał tę budującą historię, wymyśloną na użytek mnichów i pielgrzymów idących z karawanami Jedwabnym Szlakiem.

—Ale czy przeciwstawiając światło ciemności i dobro złu, twoja religia nie uznaje tego, co my nazywamy pierwiastkami *yin* i *yangl* — spytała Wu Zhao.

Według taoistów, światem miała rządzić zasada dopełniających się przeciwieństw, *yin* i *yang,* chodziło więc o to, aby je łączyć, gdyż tylko stopienie przeciwieństw pozwala osiągnąć Najwyższą Harmonię.

—Wasza Wysokość, nie wiem nic ani o *yin,* ani o *yang...* — wyznał Ujgur.

—Niczego nie straciłeś. Nauczanie Błogosławionego Buddy daje istotom ludzkim dużo więcej niż Tao! Najświętszy Gautama dowiódł, że każdemu dostępny jest raj nirwany, pod warunkiem że opuści drogę bólu i pożądania, prowadzącą grzeszników do niekończących się odrodzeń, w których nigdy nie osiągają spokoju — powiedziała cesarzowa, starając się ukryć drżenie głosu.

To, co wyjaśniła właśnie Zielonemu Kolcowi na temat pożądania, przyczyny bólu istnienia, pogrążało ją zawsze w otchłani zakłopotania.

Poddając się zwątpieniu, jeszcze raz zadała sobie pytanie, czy jej żywot cesarzowej, otoczonej dworskim zbytkiem, a także wpływ na Gaozonga, wywierany poprzez seksualne pożądanie, jakie starała się w nim wzniecać, są zgodne z zaleceniami Gautamy Buddy.

— Wasza Wysokość, jestem do waszych usług! — szepnął Zielony Kolec, który zastanawiał się, co może oznaczać mil czenie, w jakim zamknęła się nagle cesarzowa.

—- Opowiedz mi o tej twojej nadzorującej siatce! Wyjaśnij mi, jak nestorianie i manichejczycy dzielili między siebie... tę godną uwagi pracę, która pozwalała im sprzedawać jedwab tuż pod nosem administracji tego kraju. Chcę wiedzieć wszyst-

ko! —poleciła, uświadamiając sobie, że lepiej będzie postawić mu wszystkie te pytania, niż poddawać się zwątpieniu, wywołującemu zawroty głowy.

—Od czego mam zacząć, Wasza Wysokość? — spytał naiwnie Ujgur.

—Od początku!

Opowiedział jej zatem ze szczegółami, jak to jego duchowy mistrz z Turfanu wysłał go do Chang'anu, by nadzorował realizację uzgodnień, jakie zawarli nestorianie i manichejczycy.

Opisał wszystko, od wytwarzania jedwabnej przędzy w Turfanie aż do zorganizowania przez Napełnionego Spokojem Siatki Czerwonego Kordonka, która miała kontrolować rozprowadzanie jedwabiu w Chang'anie przez nestorianów, napomknął też o tkalni, którą dzięki swej fachowej wiedzy urządził w Dunhuangu biskup Addai Aggai.

W uniesieniu wtajemniczył nawet Wu Zhao w tajniki organizacji, którą władze chińskie nieświadomie pozbawiły głowy, aresztując go.

Wyjawiając tę moc sekretów, dostrzegał, z jaką uwagą cesarzowa go słucha. Pragnęła zapamiętać wszelkie szczegóły, aby wyciągnąć z opowieści Ujgura jak najwięcej korzyści.

Myśl, że dwa obce Kościoły, oddalone od swych ośrodków władzy, podały sobie rękę, aby obejść — i to z jakim powodzeniem — ustanowiony przez najpotężniejszą dynastię na świecie monopol na jedwab, nie wydała się buntowniczej Wu Zhao niemiła.

Była pierwszą osobą, która gotowa była przyznać, że jedwab, niezależnie od swej szlachetności, jest narzędziem władzy i podboju, także dla religii. Bo jeśli nie, to dlaczego zaproponowała Czystości Pustki, że dostarczy mu to, czego tak bardzo potrzebował? Czy zamysły biskupa z Dunhuangu i Doskonałego z Turfanu nie przypominały dziwnie jej własnych?

Niewiele brakowało, a weszłaby z nimi w zmowę, jeśli nawet jej sympatia kierowała się ku Kościołowi Światłości, któremu czuła się bliższa.

Jakże słuszne wydało jej się teraz, kiedy znała już wszystkie szczegóły, że próbowała wszelkimi sposobami wesprzeć ten nielegalny handel!

—Zielony Kolcu, licząc od tego dnia, jesteś u mnie na służbie. Będziesz pomocnikiem szambelana! — oznajmiła, kiedy skończył swą opowieść.

—Wasza Wysokość, to wielki honor dla zwykłego Ujgura, jakim jestem!

—Niemowa zwróci się do kancelarii, żeby przygotowała potrzebną nominację! W zamian musisz mi przyrzec, że nigdy nie opowiesz nikomu tego, co tu wyjawiłeś.

—Nawet Wielkiemu Cenzorowi? — spytał Ujgur.

—Przede wszystkim jemu! Wiedz, że w dniu, w którym nie będziesz już mógł dostarczać sekretnych informacji ani wskazać potencjalnych ofiar, będziesz dla tych ludzi człowiekiem martwym...

—Domyślałem się tego, Wasza Wysokość! Nie zastanowiłem się, idąc do nich... Gdybym wiedział, poprzestałbym na przesłaniu anonimowego donosu! — wyznał zmartwiony Zielony Kolec, świadomy tego, że trafiła mu się szansa wymknięcia ze straszliwej pułapki, w jaką sam się wpakował.

Nie zdawał sobie sprawy, że jego odpowiedź odebrała cesarzowej wszelkie złudzenia, jeśli jeszcze je miała, co do lojalności rozmówcy.

Jeśli ktoś był zdrajcą, jest nim nadal. Pewnego dnia zdradzi znowu.

Jeśli Wu Zhao postanowiła skorzystać z usług Zielonego Kolca, zrobiła to nie tyle po to, by uratować go ze szponów prefekta Li, ile dlatego, że w tym momencie niezmiernie użyteczne było posiadanie takiej kopalni informacji.

—Niemowa dostarczy ci ubrań godnych sługi cesarzowej Chin! Jako pomocnik szambelana będziesz nosił Odznakę Rajskiego Ptaka!

—Wasza Wysokość, będę wam wdzięczny aż do śmierci! Uratowaliście mi życie! — wykrzyknął Zielony Kolec w przy-

pływie szczerości, która wiele mówiła o udrękach, jakie cierpiał, gdy Wu Zhao kazała przyprowadzić go przed swoje oblicze.

— Witaj w bractwie zaufanych cesarzowej! Niewybaczalna jest tu tylko jedna rzecz: zdrada! — ostrzegła na pożegnanie, dając znak Niemowie, że jej rozmowa z Zielonym Kolcem dobiegła końca.

Gdy została sama, podeszła do klatki ze świerszczem, żeby zdjąć chustkę, która ją przykrywała.

Owad zaczął śpiewać.

Przeniosła klatkę na zadrzewiony wewnętrzny dziedziniec, na który wychodziła jej komnata. Jego środek zajmował miniaturowy ogródek z karłowatymi klonami, puszystymi mchami i maleńkimi skałkami wokół okrągłego basenu, w którym ogromne karpie, czerwone, czarne i białe, czekały niecierpliwie na cesarzową, karmiącą je ziarnami ryżu. Gdy tylko zobaczyły, że nadchodzi z małą czarką w dłoni, podpłynęły gromadnie i wystawiły łebki z wody. Gdy Wu Zhao rzuciła pierwsze ziarenko ryżu, rozpoczęła się walka na uderzenia płetw i ogonów, aż z basenu zaczęła wylewać się woda.

Cesarzowa przyglądała się w zamyśleniu tym akrobacjom, gdy niespodziewanie zjawił się Niemowa.

— Niemowo, taoistyczny mnich powiedział mi pewnego dnia, że woda z rzeki Luo He, która płynie przez Luoyang, jest doskonała na bóle głowy! Szkoda, że Gaozong przebywa tylko przez kilka dni w roku w letnim Pałacu Dziewięciu Cnót! — westchnęła.

Niemowa popatrzył na nią z uśmiechem, kiwając głową. Zawsze zgadzał się ze spostrzeżeniami swej pani, jako dobry, gorliwy i wolny od wszelkich humorów sługa, którego los był w rękach tej kobiety, zdolnej zarówno do najlepszych, jak i najgorszych postępków, o czym on wiedział doskonale.

Wu Zhao dała mu znak, że może zawiesić klatkę ze świerszczem na wieszaku, zainstalowanym specjalnie w tym celu, a potem nakryć ją czarną chustką.

— Kiedyś, później — dodała przyciszonym głosem — kiedy będę już władczynią Chin, założę siedzibę cesarstwa w jakimś

zachodnim mieście. Bo co może być bardziej skuteczne, aby dać ludziom jasno do zrozumienia, że władza przeszła w inne ręce, niż przeniesienie stolicy cesarstwa? A zresztą, Luoyang jest dużo przyjemniejszym miastem niż Chang'an! Nieprawdaż, Niemowo?

Olbrzymi Mongoł z obciętym językiem przytaknął.

— Gdybyś wiedział, jak mnie boli głowa! —jęknęła, a potem osunęła się na poduszki z mięsistego jedwabiu, którymi wyłożony był masywny hebanowy fotel, nie zauważywszy nawet, że ze stanika wysunęła się jedna z jej zachwycających piersi.

Nie widziała zresztą powodu, by krępować się obecnością służącego...

Stopniowo ten wielki Mongoł, uważany na cesarskim dworze za pariasa bez języka, któremu kaprys władczyni uratował głowę, stał się wiernym towarzyszem dobrych i złych dni Wu Zhao.

Czasami przyglądała się z ciekawością potężnym ramionom olbrzyma, pokrytym tatuażami; ktoś, kto by się w nich skrył, bez wątpienia mógł poczuć się bezpiecznie.

Myśl, że mogłaby się kochać z takim osiłkiem, którego nefrytowy wisiorek musiał być z pewnością potężnych rozmiarów, nie była jej przykra. Wręcz przeciwnie.

Miała zresztą pewność, że wystarczy zaczekać na odpowiedni moment, kiedy stopień zażyłości z olbrzymem osiągnie stadium, w którym takie wydarzenie stanie się nieuchronne...

Była kobietą wyjątkową, zarówno ze względu na swe zalety — odwagę, wytrwałość, poczucie sprawiedliwości i szczodrość — jak i wady: okrucieństwo, dwulicowość, głód władzy.

Była niezwykle religijna, choć buddyzmu nie wahała się przystosować do własnych wymagań.

Była wyjątkową cesarzową; umiała pociągać za właściwe sznurki i doskonale rozumiała, że dopuszczając się niegodziwości, musi pokonać jeden po drugim stopnie prowadzące do władzy!

Taka była Wu Zhao, przyszła Wu Zetian, której imię zostało na zawsze zapisane w annałach cesarstwa z racji niebywałej drogi, jaką przebyła, aby stać się pełnoprawną władczynią!

Pochylona nad przejrzystą wodą ulubionego basenu, w którym kręciły się trójbarwne ryby, nie potrafiła sobie wyobrazić, w jakim punkcie ścieżka wiodąca do najwyższej władzy stanie się stroma i usiana zarówno trupami i zdradami, jak i czynami świetnymi i miłosiernymi, nie tylko dla buddyjskiej wspólnoty, jej najbliższego sprzymierzeńca, ale również dla biednych i pokornych, tych, którzy odczuwali boleśnie surowość państwa, sprawiającą, że często życie nie wydawało się warte nawet tego, by żyć, tak było ciężkie i krótkie. Poprzez sprawiedliwe dekrety dawała tym ludziom choć trochę godności.

Albowiem aby osiągnąć tę ostatnią, najwyższą pozycję, dostępną tylko mężczyznom, musiała wziąć na swoje barki wszystko, zarówno najgorsze, jak i najlepsze.

Czy jednak nie warto było zapłacić tak wysokiej ceny, by pewnego dnia stać się równą mężczyźnie?

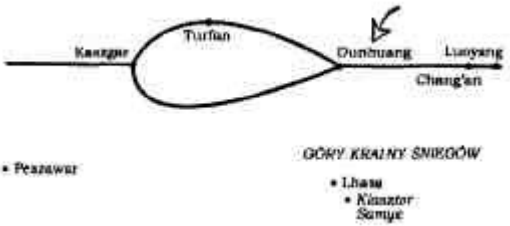

3

Oaza Dunhuang, Jedwabny Szlak

Spotkaniom ludzkich istot na Jedwabnym Szlaku sprzyjało przeznaczenie i szczęście jednych albo błogosławieństwo Boże czuwające nad innymi. Inaczej ich drogi nigdy by się nie skrzyżowały.

Dla Umary i Pięciu Zakazów wszystko zaczęło się w Dunhuangu, gdzie tych dwoje młodych spotkało się z bijącymi sercami pod murem ogrodu nestoriańskiego biskupstwa, jak to sobie wcześniej przyrzekli.

W cieniu powykrzywianych gałęzi drzew morelowych i brzoskwiniowych połączyły się znowu ich spragnione usta i splotły języki.

Pięć Zakazów odnalazł niewysłowiony smak warg Umary.

Jego dłonie przyprawiły Umarę o rozkoszne mrowienie, gdy tylko ją objął, żeby przyciągnąć do siebie.

Poczuli się tak samo nieodwracalnie złączeni jak pierwszego dnia.

Stało się to ich zwyczajem: gdy wszyscy w oazie Dunhuang zasypiali, oni wyznaczali sobie schadzkę.

Tego wieczoru zimowy księżyc zalewał ich twarze bladą poświatą.

— Pięć Zakazów, jak tu zimno! A gdybyśmy schowali się w domku naszego ogrodnika? — zaproponowała Umara po pierwszym długim pocałunku.

Przeskoczyli przez murek, a potem przycupnęli skuleni jedno przy drugim w altance, gdzie mnich wyznaczony do pielęgnowania zieleni trzymał narzędzia do przycinania gałęzi drzew owocowych, a także drabinki, które służyły do zrywania owoców w czasie zbiorów. Była tam także słoma, przeznaczona do ochrony roślin przed mrozem, gdy zima była wyjątkowo surowa.

To na tej słomie, pospiesznie rozłożonej przez Pięć Zakazów na ziemi, po raz pierwszy odkryli nawzajem swoje ciała.

Pięć Zakazów zapamiętał na całe życie wstrząs, jakiego doznał, gdy z bijącym sercem i nefrytowym trzonkiem nabrzmiałym z pożądania tak, że omal nie eksplodował, poczuł w dłoni słodkie ciepło piersi Umary.

Umara zaś zachowała na zawsze pamięć poruszenia, o jakie przyprawiło ją nieco szorstkie, ale jakże czułe dotknięcie twardej dłoni Pięciu Zakazów, kiedy sięgnął do jej piersi, które odsłoniła, odpiąwszy gorset bluzki, gdy tylko położył ją na słomie.

Dla obojga oczarowanie tym przebudzeniem pożądania, wywołanym bliskością ukochanej istoty, było pamiętne i upajające.

Ponieważ było zimno, nie zdjęli ubrań.

— Chcę żyć z tobą! Chcę dzielić z tobą wszystko! Nie chcę się z tobą rozstawać! — szeptała Umara, przywierając do ramienia młodego mnicha.

Oprócz ciepła jej piersi Pięć Zakazów wyczuwał ich pulsowanie, znak, że pożądanie rośnie także w ukochanej.

—Ale ja jestem tylko biednym buddyjskim mnichem, który w dodatku mieszka tak daleko stąd! — westchnął, jakby nagle przeraził się, że znajdzie się w sytuacji, nad którą nie będzie mógł zapanować.

—Nie kochasz mnie?! — wykrzyknęła dziewczyna.

—Czuję do ciebie, Umaro, coś, czego nie czułem nigdy do nikogo. To musi być to, co nazywają gorącą miłością!

—Czy w takim razie mógłbyś żyć beze mnie?

—Z pewnością nie, moja słodka, kochana Umaro!

—No cóż, jeżeli o mnie chodzi, to jestem gotowa pójść za tobą na koniec świata! — oznajmiła, po czym przywarła ustami do jego ust.

—Ale ja mam pod opieką dwoje niemowląt i muszę wyrwać je z rąk perskiego zbója, który nas uwięził, ponieważ zamierza je sprzedać po powrocie do Persji.

—Zabierzesz mnie razem z nimi?

—A twój ojciec?

—Chcę żyć z tobą! Wszystko mi jedno gdzie! — odrzekła Umara porywczo, bez cienia wahania.

Ich pocałunki ciągnęły się w nieskończoność, budząc w obojgu pragnienie, aby sprawić przyjemność partnerowi i dojść razem jak najdalej we wzajemnym obdarzaniu się rozkoszą.

Świat zaczynał już jaśnieć, kiedy się pożegnali, przysiągłszy sobie, że spotkają się następnego dnia w tym samym miejscu.

Gdy Pięć Zakazów, wciąż jeszcze upojony zapachem Umary, schodził jak gdyby nigdy nic z sypialni, by zjeść śniadanie, natknął się na Ulika, który promieniał.

—Co się stało, mój drogi Uliku, że jesteś w tak świetnym nastroju? — zapytał.

—Nie poznaję Madżiba! Dał mi srebrną monetę i pochwalił moją pracę, co się jeszcze nie zdarzyło, odkąd się do niego przyłączyłem! Wciąż jestem tym poruszony!

Od chwili gdy przybył do Dunhuangu, perski herszt nie był już nieufnym ponurym osobnikiem, którego burza śnieżna zapędziła na niegościnne szlaki Tybetu.

Jak to opisał ze szczegółami Ulik, milczący zazwyczaj Madżib kipiał żywiołową radością, gdy tylko wstał z łóżka.

— Masz pojęcie, Uliku, jakie to szczęście, że natknęliśmy się na tego nestoriańskiego biskupa tuż przed dotarciem do miasta? Niech skonam, ale nie przypominam sobie, żeby mi się

przydarzyło coś takiego... Gdyby ten człowiek nie miał kłopotu z wyschniętym źródłem, nigdy nie otworzyłby swego serca, pozwalając nam od razu znaleźć to, czego szukamy!

—Od czasu do czasu los musi dać szansą innym, a nie ciągle tym samym ludziom. Już od lat nasz lud walczy o przeżycie! — odparł zdawkowo Ulik, zaskoczony zachowaniem Madżiba, który rzadko się do niego odzywał.

—Już to, że w nasze ręce wpadły Niebiańskie Bliźnięta, było z pewnością przejawem dobroci Zaratustry! Ale napotkanie biskupa, który potrzebuje moich usług, usprawiedliwia całą naszą podróż, a być może nawet zapewni nam nagrodę... Gdyby to źródło nie wyschło, nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdzie się znajduje tkalnia biskupa Addaia Aggaia! Syryjski kupiec z Szirazu, który przysięgał na głowę swego syna, że w Dun-huangu działa nielegalna tkalnia jedwabiu, nie mylił się! Pomyśleć tylko, że nasz książę Jazdegerd omal nie uniemożliwił nam wyjazdu pod pretekstem zbyt wysokich kosztów ekspedycji! Na szczęście nie ustąpiłem! — wykrzykiwał herszt, pusząc się jak paw.

—Byliście przewidujący, panie! To dobrze.

—A stosunki, jakie nawiązałem z biskupem, pozwalają wróżyć na przyszłość skuteczną współpracę. Popłynie w końcu strumień pieniędzy i będziemy mogli stworzyć armię, której nam brakuje, żeby wygnać z Persji wyznawców proroka Mahometa...

—Jak zamierzacie przywrócić życie temu źródłu? — ośmielił się zapytać młody tłumacz, który nie podzielał optymizmu swego pana.

—Trochę cierpliwości! Zobaczysz... Zaratustra jest z nami, Uliku! Wszystko idzie dobrze! Za parę dni dostaniesz zapłatę, jakiej nigdy nie widziałeś...

Ten nowy stan ducha Madżiba sprawił, że tłumacz pokazał się tego ranka Pięciu Zakazom, Orężowi Prawa i manipie wesoły jak szczygiełek.

Gdy tylko rozradowany perski herszt zobaczył, że siadają do stołu, by zjeść śniadanie, dał znak, żeby do niego podeszli.

Uczynili to chętnie, skoro Madżib był w tak doskonałym humorze.

—Madżib mówi, że wyruszamy jutro, żeby założyć obóz w pobliżu tego źródła. Liczy na to, że was zadziwi, przywracając mu życie... — poinformował ich Ulik, kiedy herszt zakończył długi monolog, podczas którego pokazywał na migi, w jaki sposób nakaże trysnąć wodzie.

—Czy on nie mógłby zostawić tu mnie i manipy, żebyśmy zaczekali na jego powrót? Byłoby nam łatwiej zajmować się dziećmi! — wykrzyknął Pięć Zakazów, którego perspektywa oddalenia się od Dunhuangu, a więc od Umary, wcale nie zachwycała.

Chodziło mu też po głowie, że miałby dużo większe szanse na pozbycie się towarzystwa Persów w małym miasteczku niż w jakimś odludnym miejscu.

Tłumacz przełożył sugestię Pięciu Zakazów.

Pers odpowiedział.

—Madżib żąda, żeby wyruszyli wszyscy. Mówi, że nie ma zaufania ani do ciebie, ani do niego! — wyjaśnił z zatroskaną miną Ulik.

—Byłem pewny, że nie spuści z nas oka... — jęknął wędrowny mnich.

—Natomiast jeśli chodzi o was, to Madżib mówi, że nie musicie jechać z nami na pustynię. A zresztą chodzenie po piasku męczy słonie! — dodał, zwracając się do Oręża Prawa i opiekuna słonia, który, stojąc jak zwykle za plecami swego pana, żuł kawałek korzenia lukrecji.

Madżib rzucił wrogie spojrzenie Pięciu Zakazom, a ten zrozumiał, że sprzeciw na nic się nie zda.

Aby się upewnić, że młody wyznawca mahajany nie opuści go bez pożegnania, tego samego wieczoru Madżib kazał mu położyć się tuż obok siebie na pryczy, zrozpaczony Pięć Zakazów nie mógł więc iść na spotkanie z Umarą, jak jej to przyrzekł.

Spędził okropną noc, nie zmrużywszy oka, rozmyślając, jak

straszny zawód musiała przeżyć biedna dziewczyna, kiedy stwierdziła, że nie dotrzymał obietnicy.

Musi powiadomić ukochaną o swoim położeniu.

Ale jak?

Szpiegowany przez coraz bardziej nieufnego Madżiba, nie widział innego wyjścia, jak otworzyć serce przed Orężem Prawa.

Tylko on, jako że nikt go nie pilnował, mógł służyć za pośrednika.

—Masz zmartwioną minę. Co ci jest? — zapytał go następnego ranka Oręż Prawa.

—Źle spałem...

—Widzę to po twoich podkrążonych oczach. Jest coś, co nie idzie jak należy?

Głos jego towarzysza tchnął taką życzliwością, że Pięć Zakazów porzucił resztki skrupułów i rzucił się na głęboką wodę.

—Zdarzyła mi się rzecz niezwykła: zakochałem się! — powiedział z zagadkową miną.

—To niemożliwe. Mnich nie ma prawa się zakochiwać. Żartujesz! — wykrzyknął Oręż Prawa.

—Ta miłość spadła na mnie niespodziewanie. Nie miałem w tym absolutnie żadnego udziału.

Zdumiony Oręż Prawa cofnął się o krok, jakby chciał się upewnić, czy jego rozmówca nie odgrywa przed nim komedii.

Nie mogło być żadnej wątpliwości.

Pięć Zakazów miał poważną minę, a głębokie wzruszenie malujące się na jego twarzy świadczyło o wstrząsie, jakiego doznał.

—Kiedy cię to dotknęło?

—Jakieś dziesięć dni temu! — szepnął.

—A co z zaleceniami Vinaji*? W Peszawarze nowicjusz, który się zakocha, ryzykuje, że zostanie wydalony z klasztoru.

* Na końcu książki znajduje się słowniczek, w którym objaśnione są terminy związane z buddyzmem i nie tylko.

—Ja tego nie szukałem. Nie czuję się winny w świetle teorii dojrzewania czynów, jakiej uczył nas Błogosławiony! — bronił się Pięć Zakazów, którego obiekcje Oręża Prawa bynajmniej nie zaskoczyły, ponieważ sam zastanawiał się już nad tą kwestią.
—A więc za wszystko odpowiedzialna jest osoba, w której się zadurzyłeś?
—To córka nestoriańskiego biskupa, której spojrzenie skrzyżowało się po raz pierwszy z moim na Jedwabnym Szlaku, tuż przed naszym przybyciem tutaj. Nie spodziewała się tego uderzenia pioruna tak samo jak ja...
—Umara?
—Właśnie ona. Córka człowieka, którego źródłu ma przywrócić życie Madżib.
—Uderzenie pioruna! Nie chcesz chyba powiedzieć, że w ciągu paru dni zakochaliście się w sobie na śmierć i życie?
—To spadło na nas w jednej chwili, Orężu Prawa. Tak nagle jak oświecenie! I okazało się tak skuteczne, jak dla Buddy wejście w stan *bodhi,* gdy odkrył Cztery Szlachetne Prawdy! — wykrzyknął głęboko poruszony Pięć Zakazów.
—Przesadzasz! Miłość cię zaślepia! — mruknął mnich Małego Wozu, zakłopotany szczerością przyjaciela.
—Po spotkaniu na Jedwabnym Szlaku los skierował nasze kroki do urwiska, na którego szczyt się wdrapałem. Ty zostałeś na dole, żeby grać z manipą w kości... I ona tam była, w miejscu, w którym nie powinna nigdy się znaleźć!
—Teraz rozumiem, dlaczego tak zwlekałeś z zejściem! Wyobraź sobie, zauważyłem, że wróciwszy na dół, miałeś dziwną minę! Ale przez delikatność nie śmiałem o nic cię pytać.
—Nigdy nie mogłem pojąć, o czym mówi chińskie przysłowie: „Jeśli przeznaczenie tak zdecydowało, woda i góra zawsze się spotkają". Teraz rozumiem jego sens! Wystarcza mi, że zastąpię słowo „przeznaczenie" imieniem Błogosławionego!

—Naprawdę uważasz, że to Budda Śiakjamuni chciał, żebyście się spotkali?

—Jakże mógłbym w to wątpić? Czyż nie byłem zawsze wiernym jego wyznawcą, pragnącym żyć w poszanowaniu nauki, jaką głosił?

—Być może zabierasz się do rzeczy trochę za szybko!

—To, co mi się przydarzyło, jest zdumiewające, Orężu Prawa. Byłem daleki od myśli, że miłość do tego stopnia może odmienić ludzką istotę! Nie jestem już tym, kim byłem przedtem! Przynajmniej tak to odczuwam w głębi serca...

—Ona jest chrześcijanką, a ty buddystą!

—To bez znaczenia! Miłość, jakiej doświadczamy, wykracza poza nasze wierzenia. Czyż szacunek należny innym, a zatem i wszelkim ich poglądom, łącznie z religijnymi, nie jest częścią współczucia, tego samego, które mamy praktykować, jak tego pragnął Błogosławiony?! — mówił z egzaltacją Pięć Zakazów.

—W tym punkcie moje poglądy nie różnią się zbytnio od twoich.

—A widzisz! — wykrzyknął z triumfującą miną młody mnich.

—Powiedz mi, czy wczoraj wieczorem nie byłeś umówiony z małą Umarą?

—Skąd wiesz?

—Podobnie jak przedwczoraj i jeszcze dzień wcześniej, nieprawdaż? Widziałem, jak się wymykałeś w środku nocy... Myślałem, że cię przypiliło!

W obliczu widocznego zakłopotania Pięciu Zakazów zdumienie Oręża Prawa zaczęło ustępować zrozumieniu.

—Wiem już, dlaczego byłeś dziś rano tak zmartwiony: gnębiło cię, że twoja ukochana daremnie na ciebie czekała! — dodał łagodnie, z uśmiechem.

—Gdzie nauczyłeś się czytać w sercach innych? — zdziwił się Pięć Zakazów.

—Jesteś o parę lat młodszy ode mnie. Zastanawiając się nad położeniem, w jakim się znalazłeś, próbuję wyobrazić sobie, niby starszy brat, że jestem na twoim miejscu!

—Twoja troskliwość chwyta mnie za serce. Tak się bałem, że osądzisz mnie surowo i potępisz! — Pięć Zakazów ścisnął ramię Oręża Prawa.

—Twoja szczerość przynosi ci zaszczyt. Wiedz, że jestem tu po to, żeby ci pomóc, a w żadnym razie zaszkodzić!

— Byłbyś gotów przekazać Umarze wiadomość ode mnie?

Oręż Prawa wahał się przez chwilę, jakby ta prośba czyniła z niego wspólnika ciężkiego grzechu *kamamithjakary,* a przecież był mnichem respektującym reguły *sanghi.*

Sympatia, jaką czuł do Pięciu Zakazów, stłumiła jednak wszelkie wątpliwości.

—Nie tylko przekażę wiadomość, jak tego pragniesz, ale mam wielką nadzieję, że będę mógł towarzyszyć ci do tego wyschniętego źródła. Kto wie, być może tam nadarzy się okazja, żeby ci pomóc w uwolnieniu się od towarzystwa Persów! A w każdym razie, jeśli nadal masz takie zamiary...

—Bardziej niż kiedykolwiek, Orężu Prawa.

—Byłbyś więc gotów zostawić tę dziewczynę własnemu losowi, mimo że się w niej zakochałeś?

—Ona ruszy za mną! Umara i ja przysięgliśmy sobie, że nigdy się nie rozstaniemy! — oznajmił asystent Czystości Pustki oszołomionemu mnichowi z Peszawaru.

Ich rozmowę przerwały suche rozkazy, które rzucał swym ludziom zniecierpliwiony Madżib.

Trzeba było szybko się spakować, osiodłać konie i zapłacić gospodarzowi.

Nestoriański biskup uzgodnił z Madżibem, że spotkają się najprędzej jak to możliwe na Jedwabnym Szlaku, na rozwidleniu, pod ciernistym krzakiem, skąd wiodła droga do wyschniętego źródła.

Widząc, że Pięć Zakazów ma coraz bardziej niepewną minę, Oręż Prawa dał znak Ulikowi, żeby się zbliżył.

— Powiesz Madżibowi, że jeśli sobie życzy, mogę towarzyszyć mu do źródła. Nigdy nie wiadomo, czy słoń Sing-sing na coś się nie przyda!

Ulik przekazał hersztowi propozycję Oręża Prawa.

—Madżib dziękuje ci, ale biorąc pod uwagę to, co zamierza tam robić, nie widzi, do czego mógłby się przydać twój słoń.

—Zdarzają się ciężkie prace, które może wykonać tylko słoń! Nie wiemy, na co cierpi to źródło. Nigdy nie wolno sprzedawać skóry na niedźwiedziu, zanim się go nie uśmierci...

Sing-sing, który zdawał się rozumieć zamiary swojego pana i cieszył się, że znowu go widzi, kiwnął głową.

— Madżib nie znajduje przeszkód, abyś poszedł z nami do pustynnego źródła! — oznajmił w końcu Ulik, przetłumaczywszy uprzednio słowa Oręża Prawa.

W czasie drogi mnich Małego Wozu próbował pocieszyć Pięć Zakazów.

—Gdy tylko wrócimy do Dunhuangu, zaniosę wiadomość tej młodej dziewczynie, żeby usprawiedliwić twoją nieobecność! Ona zrozumie, jeśli tylko kocha cię tak bardzo, jak ty ją!

—A jeśli ci zbóje postanowią nie wracać do Dunhuangu, co wtedy poczniemy, Orężu Prawa?

—To jeszcze jeden powód, żeby zrobić wszystko, by pozbyć się towarzystwa tej bandy dzikusów! — zapewnił Oręż Prawa, pilnując się, żeby nie okazywać przyjacielowi zdenerwowania, które dopadło go, gdy konwój wkraczał na Jedwabny Szlak.

Czy możliwe będzie wyrwanie się spod „opieki" Persów w miejscu tak odludnym, gdzie nie można liczyć na wtopienie się w tłum, jak w dni targowe w Dunhuangu?

— Mam nadzieję, że nasz plan się powiedzie! — szepnął tylko Pięć Zakazów, przytłoczony czarnymi myślami, które znikły, gdy dojrzał przed tkalnią, u boku biskupa, drobną sylwetkę Umary.

W oczach młodego mnicha Wielkiego Wozu można było wyczytać wielką radość.

— Nie będziesz mnie potrzebował, żeby przekazać jej wia domość! — szepnął Oręż Prawa.

Pięć Zakazów był tego pewny: stadło, jakie zamierzał stworzyć z Umarą, cieszyło się błogosławieństwem Buddy we własnej osobie.

„Spotkanie jest zawsze owocem boskiego zrządzenia", mówi poeta, a zdanie to wielu zakochanych w Chinach lubiło przypominać swoim wybrankom...

—Witaj w tkalni jedwabiu, Madżibie! — wykrzyknął Addai Aggai, po czym niezwłocznie poprowadził Persa do wyschniętego źródła.

—Źródło w takiej okolicy to cud! — stwierdził herszt, gdy biskup pokazał mu miejsce, z którego jeszcze przed kilkoma tygodniami tryskała woda.

Poddawszy źródło dokładnemu badaniu, przy którym posunął się do włożenia głowy w otwór, Madżib zaczął z emfazą rzucać rozkazy swoim ludziom, wymachując rękami. Zdumieni nestorianie, Pięć Zakazów, Oręż Prawa i manipa sceptycznie przypatrywali się tym przygotowaniom.

Herszt rozpalił ognisko, wdział długą białą szatę i włożył na głowę dziwny spiczasty kapelusz z czarnej satyny, haftowany w srebrne gwiazdki.

Wyglądał jak mag.

Zgodnie z jego poleceniami, zbóje ustawili się, tworząc koło. Madżib wsypał trochę kadzidła do wypełnionego czerwieniejącymi węglami naczynia i zaczął kołysać nim do przodu i do tyłu, intonując monotonną melodeklamację, której sensu nie rozumiał nikt poza nim samym.

Nie przerywając deklamacji, wdrapał się na otaczające źródło skały, po czym rzucił kadzielnicę w ziejący otwór, z którego buchnęły kłęby dymu, zupełnie jakby miały zastąpić żywą wodę.

— Wyznawcy Ahura Mazdy, módlcie się i padnijcie na twarz! To Ahura Mazda stworzył świat, niebo, ziemię i wodę! Niechże więc błogosławiony i nieśmiertelny Ahura Mazda da znowu życie temu źródłu, które wyschło za sprawą Arymana,

tego tworu ciemności tam, w dole. Ahura Mazdo, przyjmij skargę twego wiernego sługi! — zagrzmiał Madżib.

Ulik tłumaczył jego słowa.

Mimo iż wielokrotnie obszedł źródło, akcentując swoje kroki inwokacjami do dobroczynnego boga Ahura Mazdy, w głębi otworu, wokół którego wszyscy się pochylali, nie błysnęła nawet kropla wody.

— O Saoszjancie, trzeci synu Zaratustry, ty, który wstawiasz się za ludźmi u twego boskiego ojca, wygnaj stąd Arymana i pozwól wodzie znowu wytrysnąć! Zaklinam cię, zrób to dla dobra tych ludzi! — wołał coraz bardziej niespokojnym głosem Pers, zwracając się tym razem do tego z synów Zaratustry, o którym mówiono, że chętnie słucha ludzkich modlitw.

Ale nie wydawało się, niestety, aby ta druga inwokacja spotkała się z większym zrozumieniem niż pierwsza.

—A gdybyś odwołał się do Zurwana, najwyższego Boga, który dał życie Ahura Mazdzie i Arymanowi? — ośmielił się zapytać jeden z jego kompanów.

—Zurwan nie może nic dla nas zrobić! Nie więcej niż Mitra, sędzia dusz! — odciął się jakiś głos.

—Zurwan! Niektórzy twierdzą nawet, że on nie istnieje! — dodał inny.

—Milczeć wszyscy! Powstrzymajcie się od bluźnierstw, bezbożnicy! To Aryman, na czele złych sił, mąci wam w głowach! — wrzasnął Madżib, kipiąc z wściekłości.

Po tym upomnieniu w kole Persów zapadła głęboka, pełna wątpliwości cisza. Coraz bardziej oszołomiony Madżib miotał się pośrodku nich, przewracając oczami i kręcąc kadzielnicą jak procą.

— A gdybyśmy użyli Sing-singa? Mógłby odsunąć ten głaz i stos kamieni, które zdają się tamować drogę wodzie — odezwał się Oręż Prawa. Wskazał obecnym, którzy nie mogli powstrzymać się od cichego okrzyku zdumienia, ogromną skalną bryłę wystającą z urwiska, u stóp którego znajdował się otwór wyschniętego źródła.

Przy zachęcających okrzykach Persów i wobec braku reakcji ze strony Madżiba, który w chmurze kadzideł i ze wzrokiem utkwionym przed siebie nadal mechanicznie recytował rytualne formułki, Oręż Prawa polecił koniakowi wprowadzić zwierzę na urwisko.

Wystarczało je obejść, żeby dotrzeć na szczyt przez skalny płaskowyż, górujący nad małym zagłębieniem, w którym Addai Aggai zbudował tkalnię.

Majestatycznym krokiem Sing-sing ruszył z koniakiem na grzbiecie, siedzącym między dwoma ogromnymi uszami, bijącymi powietrze niczym wachlarze.

Po niedługiej chwili słoń ukazał się na szczycie urwiska.

Ku wielkiemu zadowoleniu Oręża Prawa Sing-sing ruchem nogi zdołał poruszyć wielki głaz, który spoczywał w chwiejnej równowadze na krawędzi stromej ściany.

Potem, reagując na ledwo słyszalne pomrukiwania kornaka, zaparł się nogami, i przyłożywszy czoło do ogromnego głazu, zaczął powoli spychać go ku przepaści, aż ten stoczył się z przerażającym hukiem w sam środek stosu kamieni, spod których przedtem sączyła się woda.

Gdy opadła chmura kurzu, dziwaczna grupka nestoriańskich mnichów i mazdaistycznych zbójów zaczęła wznosić okrzyki radości i klaskać. Jedni i drudzy byli jednakowo zdziwieni tym, co zobaczyli.

— To cud! — krzyczeli, każdy w swoim języku.

Między odłamkami potrzaskanych skał pokazała się woda!

Addai Aggai był pierwszym, który padł na kolana i podziękował swemu Jedynemu Bogu za wysłuchanie jego modlitw. Otaczający biskupa mnisi robotnicy z tkalni uśmiechali się uszczęśliwieni i wznosili, jak on, dziękczynne inwokacje: „Bóg chciał, aby pokazała się źródlana woda", intonowali w ekstatycznym uniesieniu.

Nie był to jeszcze rwący strumień, lecz tylko cienki, lśniący srebrzyście strumyczek, niemniej jednak tryskał znowu w środku pustyni z trzewi ziemi.

— Niech żyje słoń Sing-sing! — słychać było okrzyki po chińsku, syryjsku i persku.

Podczas gdy Madżib chełpił się bezwstydnie przed Addaiem Aggaiem, że jego zabiegi odniosły skutek — posunął się do twierdzenia, że wymógł na Ahura Mazdzie, a przede wszystkim na Saoszj ancie, aby pobłogosławili słonia — Pięć Zakazów, korzystając z wrzawy i zamieszania, zbliżył się dyskretnie do Umary.

—Musisz mi wybaczyć wczorajszy wieczór! Ten Pers tak mnie pilnował, że w żaden sposób nie mogłem się wymknąć. Mam nadzieję, że nie zaniepokoiłaś się zbytnio — szepnął jej do ucha.

—Bardzo się bałam, że coś ci się stało! — odszepnęła, odciągając go dyskretnie na bok.

—Ale znowu jesteśmy razem. Czy to nie dowód, że tak chcieli twój Bóg i Błogosławiony Budda? — szepnął, głaszcząc ukradkiem jej ramię.

—To prawda, że zawsze spotykamy się tam, gdzie jest to najmniej prawdopodobne! — odpowiedziała Umara z uśmiechem.

—Nic nie jest nieprawdopodobne, Umaro! A nasze spotkania nie bardziej niż pojawienie się wody dzięki temu słoniowi!

—Nie do wiary, ale to zwierzę ma niezwykle rozumną minę. Patrzy jak człowiek!

—Dusza, która się w nim odrodziła, po śmierci jej obecnej powłoki może ukryć się w ciele mężczyzny albo kobiety!

—Tak czy inaczej, ten słoń spisał się doskonale!

—Swoim zachowaniem zilustrował to, co buddysta nazywa „dojrzewaniem czynów"!

—Po raz pierwszy słyszę to określenie.

—Odsuwając ten głaz, spełnił uczynek, którego skutkiem było tryśnięcie wody... Dojrzewanie czynów pozwala określić, czy taki albo inny uczynek jest dobry czy zły, ponieważ liczy się intencja: jeżeli jest dobra, poprawia karmę, jeśli nie — zaszkodzi jej — wyjaśnił, głaszcząc ukochaną po włosach.

—Według ciebie, jeśli nie ma złych intencji, nie powinno być i grzechu?

—Tego nauczył nas Błogosławiony. I przeciwnie, jeśli intencja jest zła, to nawet jeśli czyn nie „dojrzeje", czyli nie dojdzie do jego spełnienia, popełnia się przewinienie!

—To wydaje mi się sprawiedliwe!

Tę filozoficzną dysputę przerwał Addai Aggai, który podszedł, by zaprosić Pięć Zakazów na poczęstunek przygotowany dla uczczenia powrotu wody.

— Umaro, powiedz temu młodemu mnichowi, że może przyłączyć się do innych! — powiedział do córki, po czym obwieścił wszystkim: — Czas, żebyście się posilili i napili, ile tylko chcecie! Częstuje was Kościół nestoriański.

Nad ogniskiem zaskwierczały kawałki baraniny polane wonnym olejem.

Ich zapach wypełniał powietrze, gdy Addai Aggai kazał otworzyć na cześć Madżiba baryłkę mszalnego wina, którą kilka tygodni temu, za pośrednictwem Diakonosa, przysłał mu z Turfanu Napełniony Spokojem.

Ucztowanie na pustyni Gobi z okazji przywrócenia wody trwało do późnej nocy. Śpiewano hymny, wyrażając wdzięczność komu należy, próbowano też pogańskich tańców, którym towarzyszyły coraz mniej pobożne, a coraz bardziej barbarzyńskie śpiewy, wspomagane manichejskim alkoholem.

Po kilku godzinach pijaństwa, śpiewów i tańców, w chwili gdy mała dolinka znowu pogrążyła się w nocnej ciszy, nagle zaczęły szczebiotać Niebiańskie Bliźnięta pilnowane przez czujną Lapikę.

Pięć Zakazów, który nie skosztował nawet kropli wina, rzucił się ku nim wraz z Umarą.

— Jakie one rozkoszne! Zwłaszcza dziewczynka, pomimo tej niezwykłej buzi! — szepnęła Umara, biorąc maleństwo na ręce.

Na delikatnych ustach dziecka pojawił się uśmiech.

— Ona bierze cię za swoją mamę! Od czasu gdy opuściła Samye, widywała tylko mężczyzn!

—Jest sierotą?

—Nie wiem. Tak przypuszczam. Gdyby te dzieci miały rodziców, nie powierzyłby mi ich lama z tybetańskiego klasztoru Samye!

—Teraz, kiedy je widzę, lepiej rozumiem, dlaczego te małe istotki tak pokrzyżowały twoje plany!

—Mimo wszystko mniej niż nasze spotkanie... — odparł Pięć Zakazów, obejmując dziewczynę.

Widok, jaki ukazał się ich oczom, gdy wrócili do wygasłego ogniska, mógł ich tylko ucieszyć, zważywszy na zamiary obojga.

Na ziemi, owinięci derkami, spali z zaciśniętymi pięściami pijani Persowie z Madżibem na czele.

Młodzi zajrzeli też do tkalni, skąd dochodziło chrapanie biskupa i jego mnichów, którzy także spróbowali mszalnego wina i których przeżycia minionego dnia bardzo wyczerpały.

—Czy nie nadeszła ta chwila: teraz albo nigdy? — szepnęła drżącym głosem Umara.

—Naprawdę tak myślisz? Byłabyś gotowa ze mną wyruszyć?

—Ruszajmy, mój Pięć Zakazów! Serce mi mówi, że to właściwy moment!

—A twój ojciec, kochana? Pomyślałaś o jego rozpaczy, kiedy zorientuje się, że jego jedyna córka zniknęła?

—Jak każdy ojciec kochający swoją córkę, Addai Aggai pragnie tylko mego dobra! Mam nadzieję, że pewnego dnia będę mogła mu wyjaśnić, dlaczego jedynym wyjściem było dla mnie wyruszenie z mężczyzną mojego życia, którego perscy zbóje trzymali jako jeńca tylko dlatego, że wziął pod opiekę dwoje małych dzieci!

—Dziewczyna ma rację. Musimy się wymknąć natychmiast, dopóki wszyscy śpią — dodał manipa, podchodząc do nich.

Lapika zaczęła lizać dłonie Umary, jakby wyczuwała, że dzieje się coś ważnego.

— Popatrzcie tylko na tę płową sukę! Ona wszystko rozu mie! — wykrzyknęła rozbawiona dziewczyna.

— Jeśli ta suka obdarza Umarę zaufaniem, to znak, że nadszedł moment porzucenia towarzystwa tych zbójów!

Rzekł to Oręż Prawa, który zszedł właśnie z wysokiego urwiska, skąd przyglądał się i przysłuchiwał wszystkiemu.

—Bez twojego słonia, Orężu Prawa, woda nie wytrysnęłaby ponownie, a my wszyscy bylibyśmy nadal w niewoli. Jeśli możemy wyruszyć, to dzięki tobie! Jak ci podziękować za to, czego dokonałeś? — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—Zrobiłem, co mogłem — odparł skromnie mnich z Peszawaru, któremu serce ściskało się na myśl, że straci przyjaciela, do którego tak się przywiązał w ciągu zaledwie paru tygodni. — Opiekuj się dobrze boskimi dziećmi. To jedyna rada, jaką pozwalam sobie dać ci w chwili pożegnania! Nie wątpię zresztą, że będą w dobrych rękach...

—Będziemy ich pilnowali jak źrenicy oka! — zapewniła Umara, ujmując dłonie mnicha Małego Wozu.

Pięć Zakazów wykorzystał ten moment, aby odejść na bok w towarzystwie manipy. Między mnichami wywiązała się ożywiona dyskusja, przy czym Pięć Zakazów zdawał się domagać czegoś z naciskiem od wędrownego mnicha.

Kiedy wrócili, manipa rzekł do Oręża Prawa:

— *Om!* Orężu Prawa, muszę ci powiedzieć o ważnym fakcie: jakiś czas temu spotkałem twojego przełożonego Buddhabadrę. *Om!*

Już od wielu dni Pięć Zakazów nakłaniał go do uczynienia tego wyznania, ale manipę powstrzymywała dręcząca obawa, że obudzi złe wspomnienia, które udało mu się niemal przegnać.

Teraz jednak, w chwili gdy ich drogi miały się rozejść, Pięć Zakazów osądził, że najwyższy czas, aby wędrowny mnich wyjawił ich przyjacielowi prawdę.

Jego słowa sprawiły, że serce pierwszego pomocnika Buddhabadry zabiło żywiej. Czyż nie podjął tej długiej podróży po to, aby spróbować, jak dotąd na próżno, dowiedzieć się czegoś o przełożonym?

—Czy to możliwe? Gdzie, kiedy? Dlaczego mówisz mi o tym tak późno, manipo? — ryknął Oręż Prawa niczym rozjuszony lew.

—To było na kilka tygodni przed twoim przybyciem do gospody w górach, w której skrzyżowały się nasze drogi! Widziałem go w górskiej grocie, z innym mnichem. *Om!*

—W grocie?

—Tak! Miała wyjście na stoku, na skraju drogi, która prowadzi do tybetańskiego klasztoru Samye! *Om!*

—Kiedy więc widziałeś człowieka, którego szukam?

—Będzie jakieś półtora księżyca, nie więcej, słowo manipy! *Om mani peme hung!*

Oręż Prawa, którego serce waliło jak młotem, stał osłupiały.

— Już od dawna naciskam go, żeby ci o tym powiedział... To zdarzenie pozostawiło w nim tak złe wspomnienie, że jest mu ciężko o tym mówić. Buddhabadra nie był sam. Człowiek, który mu towarzyszył, przeraził manipę... — wyjaśnił Pięć Zakazów.

Umara omal się nie przewróciła, usłyszawszy imię Buddhabadry z ust wędrownego mnicha. Ścisnęła Pięć Zakazów za ramię.

—Co ci jest, Umaro? Masz zatroskaną minę! Czy to dlatego, że niebawem wyruszamy? — zapytał ją łagodnie.

—Nie! Chodzi o coś innego. Ale to nie jest odpowiednia chwila, żeby o tym mówić... — szepnęła dziewczyna, przytulając się do niego.

—Umaro, jesteś bardzo blada!

—Później, kiedy będziemy spokojniejsi, opowiem ci o tym... Wtedy zrozumiesz... — wyjąkała.

Pięć Zakazów był tak pochłonięty realizacją swego planu, że nie nalegał.

Oręż Prawa nadal wypytywał manipę o okoliczności, w jakich spotkał przełożonego.

A więc Buddhabadra żyje!

Była to bardzo dobra nowina. Oręż Prawa poczuł ogromną ulgę.

Jego Nieoceniony Przełożony nie zniknął więc w górach bez śladu.

— Czy rozmawiałeś z nim? Był zdrowy? Co mówił? Gdzie jest teraz? Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? To okropne, pozostawiać mnie w takiej niewiedzy, gdy ja od miesięcy szukam go jak obłąkany!

Pytania Oręża Prawa padały jedno po drugim; niektóre brzmiały jak wymówka.

—Jeśli nie powiedziałem ci o tym wcześniej, to dlatego, że bałem się obudzić bardzo złe wspomnienia! — odrzekł żałośnie wędrowny mnich, tonem usprawiedliwienia.

—Opowiedz mi szczegółowo o okolicznościach waszego spotkania.

—Szedłem drogą. Zaczepił mnie jakiś nieznajomy i kazał wejść do groty, gdzie leżał na ziemi Buddhabadra w szponach silnych bólów, które nie pozwalały mu się podnieść...

—Był chory?! — wykrzyknął wstrząśnięty Oręż Prawa.

—Bolała go noga. Nie wyglądało to na nic poważnego, ale musiał wypocząć. *Om!*

—W jakim celu ten nieznajomy zaprowadził cię przed oblicze mojego przełożonego?

—Na początku nie wiedziałem. Jednak wkrótce obaj zaproponowali mi coś w rodzaju układu. *Om!* Miałem iść po pewien rękopis do klasztoru Samye i go im przynieść. Przyrzekli mi w zamian dużą sumę pieniędzy.

—Poszedłeś więc do Samye?

—*Om!* Ale nie zdobyłem tego rękopisu. A tymczasem przełożony Samye, czcigodny lama Gampo, poprosił mnie, żebym oddał się na usługi Pięciu Zakazów i pomógł mu dowieźć boskie dzieci aż do Luoyangu... No i okazało się nagle, że nie mogę dotrzymać umowy zawartej z tamtymi dwoma... Gdybym się na nich natknął, zabiliby mnie! — zakończył manipa.

—Niczego nie rozumiem z tych poczynań, które zupełnie nie pasują do mojego szlachetnego przełożonego, zapewniam

cię! Pozbawienie cię życia? To nie jest podobne Buddhabadry. Ten człowiek nienawidzi przemocy w każdej postaci! — zapewnił mnich z Peszwaru.

—Ale to święta prawda! Na głowę Awalokiteświary! *Om mani peme hung!* Źle postąpiłem. Wszystkie pieniądze, które wręczyli mi jako zadatek, oddałem biednym, po czym dopędzi-łem Pięć Zakazów, żeby służyć jemu i Niebiańskim Bliźniętom, jak tego pragnął czcigodny lama Gampo — tłumaczył wędrowny mnich.

—I żałujesz tego? — zapytał Oręż Prawa.

—Wcale nie! Z wyjątkiem tego, że słusznie musieli mieć do mnie żal! Ale gdybym spełnił ich żądanie, dopuściłbym się ciężkiego grzechu nieposłuchania nakazu przełożonego najstarszego klasztoru kraju Bod! — podsumował manipa.

—Gdybym wiedział to wszystko wcześniej, nie napsułbym sobie tyle krwi! Pozostaje mi tylko udać się do Samye... Jeśli Buddhabadry tam nie ma, musi być gdzieś niedaleko! — westchnął uspokojony Oręż Prawa.

—Czcigodny przełożony Gampo na pewno będzie mógł powiedzieć ci więcej... — dodał manipa.

—Trzeba ruszać! Oni mogą obudzić się w każdej chwili... — wtrącił Pięć Zakazów.

Mała grupka roztopiła się w ciemnościach nocy. Manipa zamykał pochód, prowadząc za cugle Wprost Przed Siebie, by nie zboczył z drogi, co naraziłoby na niebezpieczeństwo ładunek, którego płowa suka pilnowała jak najcenniejszego skarbu. Poganiany przez kornaka Sing-sing stąpał królewsko majestatycznym krokiem, wioząc kornaka i Oręż Prawa. Umara i Pięć Zakazów szli, trzymając się za ręce.

Dziewczyna, która troszczyła się o los dwojga dzieci tak, jakby była ich matką, spoglądała co chwila na swego towarzysza, a jej dwukolorowe oczy rzucały radosne błyski.

Przed nimi otwierało się szczęście, niczym ogromne nieznane terytorium, które spieszno im było odkryć.

Niebawem mała gromadka dotarła do ciernistego krzaka znaczącego rozwidlenie dróg.

Jedwabny Szlak przypominał tu długą szarawą wstęgę, o tej późnej godzinie zupełnie pustą.

Rozdzielili się, by ruszyć w przeciwnych kierunkach: Pięć Zakazów, Umara i manipa na wschód, a Oręż Prawa z kornakiem i słoniem na zachód.

Nadeszła chwila rozstania. Pożegnanie było niezwykle smutne.

—Mam dług wobec ciebie. Bardzo bym chciał móc pewnego dnia go spłacić! Mam nadzieję, że Błogosławiony sprawi, że nasze drogi znowu się skrzyżują! — szepnął Pięć Zakazów, a jego oczy wypełniły się łzami.

—Będę się modlił gorąco, żeby tak się stało... — zapewnił Oręż Prawa, ściskając przyjaciela.

—Nie zapomnij, gdybyś mnie potrzebował, najpewniej znajdziesz mnie w Luoyangu! — dodał Pięć Zakazów.

—Niech Budda pobłogosławi wasz związek i wasze wspólne życie! — rzucił mocnym głosem Oręż Prawa dwojgu młodym, którzy wyruszali z Niebiańskimi Bliźniętami w nieznane, za cały dobytek mając tylko swoją miłość.

Chwilę potem obie grupy zniknęły w gęstych ciemnościach bezgwiezdnej nocy, kierując się ku swemu przeznaczeniu. Ich drogi rozdzieliły się niczym strumyki, tak bliskie u źródeł, którym jednak niewidzialna linia wododziału każe płynąć jednym na zachód, drugim na wschód.

Umara i Pięć Zakazów, idąc przytuleni, obejrzeli się, gdy Sing-sing był już tylko małą plamką na Jedwabnym Szlaku.

—Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa! — wykrzyknęła Umara.

—To, co przeżywam od kilku dni, zaprzecza słynnemu chińskiemu powiedzeniu: „Szczęście to pokój i spokój". Kiedy

opuszczałem Luoyang, nie podejrzewałem nawet, że wrócę z kobietą i dwojgiem dzieci! — zażartował Pięć Zakazów.

— Mój nauczyciel chińskiego nigdy nie cytował takiego przysłowia... Kto wie, może pewnego dnia, mój kochany Pięć Zakazów, będziemy żyli w pokoju i będziemy spokojni! — odparła Umara, wybuchając śmiechem.

Wędrówka w towarzystwie beztroskiego manipy i ślicznych niemowlaków, drogą zatłoczoną od brzasku do zachodu słońca karawanami i stadami, które trzeba było wymijać, była przyjemnością zarówno dla Pięciu Zakazów, jak i dla Umary, mimo przestojów spowodowanych zatorami.

W ciągu ośmiu dni pokonali dystans dzielący Dunhuang i Nefrytową Bramę Wielkiego Muru Chińskiego, podczas gdy zwykle trzeba było na to dwunastu.

— Ta warownia, którą widać na horyzoncie, to Yumen! U jej stóp płynie rzeka Taolai — wyjaśnił Pięć Zakazów.

W oddali, u podnóża gór Qilian, zwieńczone dachami wieże przejścia, dumnie zagradzającego Jedwabny Szlak, odcinały się na niebie w świetle późnego popołudnia. Ostatnie promienie zimowego słońca okrywały je majestatyczną purpurą.

—Proponuję, żebyśmy skręcili w boczną drogę i ominęli te bastiony, koło których pełno jest z pewnością celników i policjantów... Ponadto myto pobierane od podróżnych musi być bardzo wysokie! — ostrzegł pomocnik Czystości Pustki.

—On ma rację, grozi nam nie tylko utrata pieniędzy, ale przede wszystkim narazimy na niebezpieczeństwo dzieci! Bez żadnej wątpliwości zatrzymają nas i będą przesłuchiwali! — dodał manipa.

—No cóż, pójdziemy zatem pasterskimi ścieżkami, które prowadzą w stronę gór! Unikniemy tłoku na Jedwabnym Szlaku! — podsumowała dyskusję Umara. Bezgranicznie ufała mężczyźnie, z którego losem postanowiła złączyć swój los.

Wędrowcy porzucili więc bez zwłoki trakt karawan, żeby ruszyć wąską ścieżką wijącą się górzystymi pagórkami rozciągającymi się na północy.

Odblaski zachodzącego słońca zalewały czerwienią skały i szczyty o dziwnych kształtach, które zdawały się tworzyć honorowy szpaler, kiedy szli wąską ścieżyną wydeptaną przez pasterzy i przemytników.

W miarę jak pięli się pod górę, robiło się coraz chłodniej.

Po jakimś czasie kwilenie dochodzące z koszyka przywiązanego do grzbietu Wprost Przed Siebie przypomniało im, że nadeszła godzina karmienia boskich maleństw.

—Trzeba się zatrzymać, dzieci są głodne. Czemu nie tutaj? Ziemia wydaje się miękka — zaproponowała Umara.

—Maszerujemy łożyskiem wyschniętego strumienia — wyjaśnił Pięć Zakazów.

Od kilku chwil szli w bladym świetle księżyca po gładkim piasku wyschniętej rzeczki.

Postawili kosz i bagaże u stóp dużej skały.

— Dzieci będą miały osłonę! — ucieszył się manipa.

I właśnie w tym momencie zdarzyło się coś niewiarygodnego.

Zaledwie Umara przyłożyła usta bliźniąt do sutek suki karmicielki, po drugiej stronie skały ukazała się, drżąc ze strachu, para młodych ludzi, z oczami zamglonymi od snu.

Pięć Zakazów natychmiast stanął w pozycji zaczepno--obronnej i uniósł ręce, krawędzie dłoni kierując w stronę intruzów. Jednocześnie dłoń manipy zacisnęła się na rękojeści jego rytualnego sztyletu *phurbu.*

— Nie atakujcie nas! Nie robimy nic złego! Śpimy spokojnie, jedno w ramionach drugiego, i wasze przybycie po prostu nas obudziło! — zawołał przestraszony młody mężczyzna, podczas gdy jego partnerka kryła się lękliwie za jego plecami.

Pięć Zakazów dostrzegł na ich młodych twarzach zdumienie i strach.

Mężczyzna miał niebieskie, ale nie skośne oczy, zdradzające jego zachodnie pochodzenie. Za to czarne włosy jego towarzysz-

ki, proste i błyszczące niby jedwab, nie pozostawiały wątpliwości, że jest Chinką: była to więc para podobna do tej, jaką tworzył z Umarą, z tym że w odróżnieniu od nich w tamtym przypadku Chinką była kobieta, a cudzoziemcem mężczyzna.

Dalecy od przyjmowania agresywnej postawy, nieznajomi wydawali się niezwykle sympatyczni.

Młoda Chinka pierwsza zrozumiała, że Pięć Zakazów nie żywi wobec nich wrogich zamiarów, i pozdrowiła go skinieniem głowy.

— Kim jesteście? — zapytała z uśmiechem.

Pięć Zakazów opuścił ręce i dał znak manipie, żeby schował sztylet.

—Jesteśmy wędrowcami, jak wy! Nie bójcie się! — rzekł spokojnie.

—A my śpimy w łożysku wyschniętego strumienia. Jak mówią, plączą się tu dzikie psy... Napędziliście nam strachu! — wyjaśniła Chinka, stając obok młodzieńca, za którym kryła się aż dotąd, i wskazała Lapikę, gotową rzucić się na nich na najmniejszy znak Pięciu Zakazów.

Chociaż reprezentowała inny typ urody niż Umara, Pięć Zakazów, który przed poznaniem młodej nestorianki nie spojrzał nigdy z ciekawością na najskromniejszą choćby przedstawicielkę płci odmiennej, stwierdził nie bez zdziwienia, że drobna Chinka o ślicznej buzi i nienagannych manierach ma wiele uroku.

Co do jej towarzysza, to mimo iż był zaspany, miał miły wygląd i śmiałe spojrzenie.

Najwyraźniej ci młodzi ludzie stanowili parę dobraną równie dobrze, jak ta, którą utworzył z córką Addaia Aggaia.

—Jak masz na imię? — zapytał chłopca o niebieskich oczach. — Ja nazywam się Pięć Zakazów.

—Mam na imię Świetlisty Punkt, a ona Nefrytowy Księżyc!

—A ja Umara! — wykrzyknęła młoda chrześcijanka.

—A ja jestem wędrownym mnichem z Tybetu. U nas nazywają takich manipa!

Po czym zaprezentował jedną ze swych ulubionych sztuczek: zrobił szpagat, rozkładając płasko nogi i opierając czubki stóp o dwie skały.

—Ten wędrowny mnich ma za pazuchą niejedną niespodziankę. Potrafi nawet połykać szable i ziać ogniem! — zażartował Pięć Zakazów.

—Miał w ręku dziwny sztylet! — szepnęła Nefrytowy Księżyc.

—*Om!* Ten rytualny sztylet służy do unicestwiania krążących w powietrzu demonów. Służy też za latawiec dla duszy! Daleki jestem od myśli, żeby podnosić rękę na tak czarującą istotę jak ty! *Om!* — wykrzyknął Tybetańczyk.

Młodzi ludzie skwitowali jego słowa wybuchem szczerego śmiechu.

Spontaniczność ich reakcji, wolnych od jakichkolwiek ukrytych myśli, stopiła lody i wprowadziła nastrój odprężenia.

—Skąd idziecie? My wyruszyliśmy z Dunhuangu osiem dni temu! Ja jestem buddystą, a ona chrześcijanką— powiedział Pięć Zakazów.

—A my już dobry miesiąc idziemy z Chang'anu! Ja jestem wyznania manichejskiego, a Nefrytowy Księżyc nie została wychowana w żadnej konkretnej religii — odparł Świetlisty Punkt.

—Byłam pracownicą farbiarni w wielkiej cesarskiej tkalni jedwabiu, Świątyni Nieskończonego Przędziwa w Chang'anie — dodała Chinka.

—To tam, dokąd zamierzamy się udać! A oto stworzenia, z powodu których woleliśmy nie przechodzić przez Nefrytową Bramę! — wyjaśnił Pięć Zakazów ze znaczącą miną.

Wskazał dwa maleństwa, owinięte aż po szyję kołderką. Umara wyjęła je z koszyka, a potem umieściła przy piersi suki, do której przytuliły się natychmiast jak szczenięta.

— Wieziemy dwoje dzieci. Bliźnięta — dodała Umara, dumna, że może je pokazać.

—Niebiańskie Bliźnięta! — uzupełnił manipa.

—To niewiarygodne! Nigdy nie widziałem czegoś takiego! Połowa twarzy tego dziecka jest owłosiona jak u małpki! — wykrzyknęła młoda Chinka, która podeszła do Lapiki.

—To jest dziewczynka. Ale wierz mi, nie przeszkadza jej to wcale szczebiotać i mieć dużo uroku! — skwitowała z uśmiechem Umara.

Gdy dzieci się najadły, rozpalili ognisko, żeby zaparzyć garnek herbaty, w której manipa rozpuścił wielką łyżkę miodu. Usiadłszy wokół ognia, uciekinierzy, którym przeznaczenie pozwoliło się spotkać, odkryli ze zdziwieniem, że dzielą ten sam los, choć z różnych powodów.

I mimo iż dopiero się spotkali, prędko opowiedzieli o sobie tyle, aby dobrze się poznać.

—Tak więc obaj musimy uzyskać przebaczenie naszych przełożonych, bo złamaliśmy śluby; ty od mistrza Czystości Pustki, a ja od Napełnionego Spokojem! — rzekł w końcu Świetlisty Punkt do Pięciu Zakazów.

—Ośmielam się mieć nadzieję, że mój przełożony udzieli mi rozgrzeszenia! Ale gdyby tak się nie stało, w niczym nie zmieni to mojej decyzji, żeby żyć z moją Umarą — odparł ten ostatni najspokojniej w świecie.

—Co do mnie, to wyruszyłam, nawet nie pożegnawszy się z ojcem! A przecież jestem jego jedynym dzieckiem... Gdyby ktoś powiedział mi dzień wcześniej, że przytrafi mi się coś takiego, wzięłabym go za kłamcę! Miłość, kiedy ma się szczęście ją spotkać, przynosi wiele niespodzianek... — szepnęła zamyślona Umara.

—Koniec końców, tylko ja nie muszę się nikomu tłumaczyć. Już dawno temu rodzice zostawili mnie własnemu losowi! Wiem jedynie, że miłość jest silniejsza od wszystkiego! — odparła wesoło Nefrytowy Księżyc, przytulona do ramienia ukochanego.

Płomienie ogniska oświetlały jej piękną twarz, a malujący się na niej uśmiech świadczył zarówno o szczerości młodej

robotnicy z tkalni Świątyni Nieskończonego Przędziwa, jak i o tym, że jest teraz bardzo szczęśliwa.

—Dokąd zamierzacie się udać? — zapytał Pięć Zakazów.

—Chcemy dotrzeć tam, skąd przybyłem, do Turfanu! — odparł Świetlisty Punkt.

—To macie przed sobą bardzo długą drogę! Dlaczego opuściliście Chang'an? — chciał wiedzieć Pięć Zakazów.

Świetlisty Punkt szybko doszedł do wniosku, że może powiedzieć wszystko temu młodemu mnichowi i jego ukochanej, której dwubarwne oczy lśniły nieporównanym blaskiem spojrzenia wolnego od jakichkolwiek skrytych myśli.

—Musieliśmy uciekać. Na naszym tropie jest cesarska policja! — wyznał szeptem kuczanin.

—Zdradził nas człowiek o imieniu Zielony Kolec, powodowany czystą zazdrością! Nie zaprowadzi go to do raju! — dodała Nefrytowy Księżyc.

—Gdybyście mieli kłopoty i chcieli zatrzymać się w Dunhuangu, który leży w połowie drogi, moglibyście pójść do mojego ojca! On jest biskupem Kościoła nestorianów w tej oazie... Obiecajcie jednak, że nie opowiecie mu, iż spotkaliście jego córkę tu, na drodze przemytników! — powiedziała Umara.

—Więc twoim ojcem jest Addai Aggai? — zdumiał się Świetlisty Punkt, wytrzeszczając niebieskie oczy.

—Skąd znasz jego imię? — Umara była równie zaskoczona jak on.

—Słyszałem, jak mówił o nim Diakonos, jego pomocnik. Człowiek ten wiele razy przyjeżdżał do Turfanu na spotkania ze zwierzchnikiem mojego Kościoła. Manichejczycy przędą nielegalnie jedwab, a nestorianie go tkają, zajmują się też rozprowadzaniem go w środkowych Chinach! Dwa Kościoły podzieliły pracę między siebie — wyjaśnił Świetlisty Punkt.

—Mój ojciec jest niewątpliwie jeszcze bardziej skryty, niż myślałam! Uruchomił więc prawdziwą tkalnię... — westchnęła w zamyśleniu Umara, która dopiero teraz mogła w nieco innym

świetle zobaczyć nieszczęście, jakim było wstrzymanie pracy w małej tkalni na pustyni.

—O ile wiem, jest to jednak działalność zakazana, przynajmniej według chińskiego prawa, które ustanowiło monopol na wytwarzanie jedwabiu! Dlaczego te dwie obce religie poświęcają się tak niebezpiecznemu handlowi w moim kraju? — zapytał Pięć Zakazów, poruszony tym, co usłyszał.

—Przemycanie jedwabiu przynosi ogromne dochody! Nestorianie i manichejczycy marzą, żeby poszerzyć wpływy swoich religijnych wspólnot w środkowych Chinach, które uważają za główny teren misyjny. Ich Kościołom potrzebne są na to ogromne środki, ponieważ nie posiadają bogactw ani majątków ziemskich tak jak wielkie klasztory buddyjskie! — odparł kuczanin.

—Ale czy nie narażają się na ogromne ryzyko? Jak powiadają, administracja jedwabiu tropi najmniejsze skrawki, które nie mają oficjalnego stempla! Tym, którzy naruszają monopol na produkcję, grozi kara śmierci! — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—Wszystkie wielkie przedsięwzięcia zmuszają tych, którzy się ich podejmują, do sięgania po tysiące wybiegów, aby tylko osiągnąć cel. Gdy walczy się o zwycięstwo własnej religii, wszystkie sposoby są dobre! Czy jest się nestoriani-nem, manichejczykiem, czy buddystą... — powiedział Świetlisty Punkt.

—Zgadzam się z tobą! Żeby utrzymywać religie przy życiu i je rozpowszechniać, potrzebne są pieniądze, i to duże. Klasztory Wielkiego Wozu posiadają ogromne majątki ziemskie, a także połowę powierzchni większości dużych miast w środkowych Chinach, pod postacią dochodowych nieruchomości, w których czynsze są wysokie. Ofiary składane przez najbogatszych pozwalają na utrzymanie klasztornych wspólnot, które w pewnych wielkich klasztorach przekraczają liczbę dwudziestu tysięcy mnichów! Klasztory zapewniają również schronienie i wikt najbiedniejszym. Biorą pieniądze od bogatych, żeby poprawić warunki życia ludu...

— Co ty masz w ręku? — zapytała nagle Umara, zwracając się do Świetlistego Punktu.

Na otwartej dłoni Wysłannika Napełnionego Spokojem leżało coś białego o obłym kształcie, a także maleńkie czarniawe kuleczki.

—Oto, co zwierzchnik Kościoła Światłości z Turfanu kazał mi przywieźć: kokony i jajeczka jedwabnika morwowego w okresie uśpienia, kiedy to można przewozić je bez szkody. Wypadek zniszczył hodowlę naszych jedwabników. Powierzono mi zadanie udania się do Chang'anu, żebym zdobył to, dzięki czemu można będzie wznowić tkanie jedwabiu! — mówił kuczanin, który nie śmiał jednak wyjawić Pięciu Zakazom, że to on sam zniszczył kokony, żeby połączyć się z Nefrytowym Księżycem.

—Słyszałam o tym! Zapasy jedwabiu mojego ojca są właściwie wyczerpane, a jego tkalnia prawie już nie pracuje! — dodała Umara.

Wzięła kokon do ręki i przeciągnęła palcami po jego jedwabistym oprzędzie.

—Jaki on miękki!

—To normalne, przecież to jedwabna nić owinięta wokół larwy — powiedział Świetlisty Punkt.

—Przywieźć kokony i jajeczka, taki był więc cel twojej podróży do Chang'anu! Są to rzeczy, których wywożenie poza Wielki Mur jest surowo zabronione pod karą utraty głowy! — zauważył zdumiony Pięć Zakazów.

—To dlatego woleliśmy ominąć Nefrytową Bramę. Ale udałem się do Chang'anu w jeszcze innym celu: chciałem odnaleźć Nefrytowy Księżyc i zabrać ją do Turfanu!

—Teraz rozumiem, dlaczego na was doniesiono! Uprowadzić za jednym zamachem piękną dziewczynę i kokony! Nie wahałeś się podjąć wielkiego ryzyka!

—Kiedy ma się szlachetny cel, trzeba ryzykować. Tego nauczyło mnie życie.

Obie młode kobiety kołysały łagodnie w ramionach nakar-

mione dzieci, przy żarzących się węglach ogniska, które zaczynało już dogasać.

—Masz śliczne oczy! — powiedziała cicho Nefrytowy Księżyc.

—Mam je po ojcu i matce! Ale twoje też są piękne... — odparła ze śmiechem Umara.

Zachowywały się jak stare przyjaciółki, niemal siostry!

Dwie pary jeszcze przez długą chwilę siedziały obok siebie, pogłębiając znajomość i odkrywając nadzwyczajne podobieństwo swych losów, które miłość tak bardzo odmieniła. Każde z nich pod wpływem uczucia zerwało z dotychczasowym życiem.

Przybysze z Chang'anu opowiedzieli, jak uciekli agentom Wielkiego Cenzoratu, ci drudzy zaś wyjaśnili, w jaki sposób, w sercu pustyni Gobi na obrzeżach Dunhuangu, zdołali uciec pijanym Persom.

I jedni, i drudzy wyrażali przekonanie, że miłość zdolna jest wznieść się ponad wszystko.

Było więc rzeczą najbardziej naturalną w świecie, że kiedy następnego ranka ruszali w drogę, jedni w kierunku wielkich Chin, drudzy ku pustyniom środkowej Azji, przyrzekli sobie, że nigdy nie stracą się z oczu, i wypowiedzieli życzenie, aby życie sprawiło, iż pewnego dnia ich drogi znowu się przetną.

—Gdybyśmy chcieli was kiedyś odnaleźć, w jakim miejscu najpewniej cię spotkam? — zwrócił się Pięć Zakazów do Świetlistego Punktu.

—W Kościele Światłości w Turfanie. Gdyby mnie tam nie było, zadbam o to, żeby udzielono ci informacji na mój temat! A ty gdzie będziesz?

—Z pewnością w Luoyangu. Gdy tylko tam dotrę, na pewno przekonam mistrza Czystość Pustki, żeby zwolnił mnie ze ślubów. Nie tylko przywiozę mu to, po co wysłał mnie do Krainy Śniegów, ale w dodatku Klasztor Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa będzie miał boskie dzieci, do których

będą się cisnąć tłumy, żeby oddać im cześć... Niebiańskie Bliźnięta pozwolą mi uzyskać zrozumienie mego przełożonego.

Tuż przed rozstaniem Świetlisty Punkt wręczył Pięciu Zakazom złożone ubrania.

—To mundur chińskiego żołnierza i szata taoistycznego kapłana, o których mówiłem ci wczoraj wieczorem. Bez nich z pewnością byśmy tu nie dotarli! Te ubrania nie są nam już potrzebne. Weź je. Mogą wam się przydać! — powiedział.

—Nie sądzisz chyba, że teraz ja wezmę się do handlowania leczniczymi ziołami na chińskich targowiskach? — zażartował Pięć Zakazów.

—Kto wie! Jestem pewny, że mając pod ręką manipę i dzieci, mógłbyś odnieść sukces!

Buddyjski mnich wybuchnął śmiechem.

— Nikt nie weźmie nigdy mnicha Wielkiego Wozu za taoistycznego kapłana! W czasie nowicjatu nasi mistrzowie uczyli nas, żebyśmy nie wierzyli w teorię tchnień *qi* ani w nic, co ma źródło w alchemii! Całkiem słusznie oskarżali taoistycznych kapłanów o to, że są szarlatanami!

Niebieskawe szczyty okolicznych gór, okryte lekkimi porannymi mgiełkami, zapowiadały ładny zimowy dzień.

—Czas ruszać! I nas, i was czeka długa droga! — powiedział Pięć Zakazów.

—To dziwne, znamy się od wczorajszego wieczoru, a mam wrażenie, jakbym żegnał starych przyjaciół — odparł w zamyśleniu Świetlisty Punkt.

Czyż i jedni, i drudzy mogli nie uznać tak oczywistego faktu po tym, jak odsłonili powody swej obecności na tym kamienistym pustkowiu?

—Wiem, skąd się to bierze! — wykrzyknęła Umara, a w jej głowie pobrzmiewało wzruszenie. — Kochacie się tak samo jak my. Oto, co nas zbliża!

—Dobrej drogi i niech was chroni Błogosławiony Budda! — rzekł Pięć Zakazów.

—Niech prorok Mani, orędownik światłości, towarzyszy wam wszystkim! Wiedzcie, że zawsze będziecie mile widziani u nas, w Turfanie! — odpowiedział Świetlisty Punkt.

—I niech mój Jedyny Bóg osłania was w swej nieskończonej dobroci! U nas, w Luoyangu, będziecie witani jak u siebie w domu! — dokończyła Umara.

—Nic nie mówisz? — zwrócił się Świetlisty Punkt do Nefrytowego Księżyca, która milczała.

—Wolę nie wybierać między Buddą i Jedynym Bogiem. Wierzę za to w dobroczynne działanie gwiazd szczęścia i miłości. A szczególnie w konstelacje Wolarza i Tkaczki, które łączą się co roku, w dzień święta zakochanych, na moście rzuconym przez Żółtego Cesarza nad Drogą Mleczną, która zwykle je rozdziela! Wydaje mi się, że gwiazdy te już bardzo nam pomogły, ponieważ każde z nas spotkało bratnią duszę! — szepnęła młoda Chinka, objawiając ukochanemu głębię swych myśli.

Stojący nieco z boku manipa przymknął oczy, wyciągnął ręce i zaczął mruczeć modlitwę.

—Co tam robisz, manipo? — zapytał go Świetlisty Punkt, który przyglądał mu się od dłuższej chwili.

—Proszę Błogosławionego Buddę, żebyście wszyscy czworo zostali w waszych przyszłych żywotach obdarowani cudownym talizmanem. Wydaje mi się, że na to zasługujecie! *Om!*

—Co nazywasz cudownym talizmanem? — zainteresował się kuczanin.

—Są to oczy Błogosławionego Buddy, które oddał biednemu niewidomemu w czasie jednej ze swych niezliczonych poprzednich egzystencji! Stary lama zapewnił mnie pewnego dnia, że ten, kto ma takie oczy, na pewno odnajdzie swoją drogę, a wtedy, jak za sprawą czarów, wkroczy na Drogę Wyzwolenia! Modlę się, żeby Oczy Buddy wyręczały całą waszą czwórkę w patrzeniu na świat! — szepnął wędrowny mnich, po czym złożył ręce, przytknął zetknięte kciuki do czoła i skłonił się kilka razy.

Podbudowani niezachwianą wiarą i życzeniem, tak szczerze wyrażonym przez wędrownego mnicha, Świetlisty Punkt i Nefrytowy Księżyc ruszyli w drogę.

Kiedy ich sylwetki znikły na horyzoncie, także Pięć Zakazów dał sygnał do marszu.

Twarz omiatały mu nieprzyjemne podmuchy wiatru, który niósł drobny pył z pustyni.

Czuł się jednak doskonale.

To spotkanie rozgrzało jego serce. Wspólnota losów z losami istot, które się kochały, nie wyznając tej samej wiary, niezmiernie go uradowała.

Nie był więc pierwszym ani ostatnim, któremu to się przydarzyło.

Skorzystał ze spokoju, jaki poczuł w głębi serca, żeby wyjąć z sakwy długie pudło, dla którego przemierzył tyle równin, płaskowyżów, pustyń, rzek, potoków i gór. A ponieważ był to dobry sposób na upewnienie się, że nikt go nie okradł, ścisnął w dłoni, niczym berło, futerał z *Sutrą o logice Czystej Pustki*.

Czy ten święty zwój nie stał się dla niego czymś w rodzaju talizmanu?

Ile niebezpieczeństw pokonał, żeby dowieźć jego autorowi ten skomplikowany tekst, tak głęboki, ale zarazem tak trudny, że tylko wielcy egzegeci, zaprawieni w lekturze i medytacji, mogli zgłębić jego sens!

Jakże spieszno mu było oddać Czystości Pustki cenny tekst.

Jakże pilno mu było opowiedzieć przełożonemu o podróży i spotkaniu z młodą nestorianką.

Korzystając z okazji, poprosiłby go o przebaczenie, że opuścił ścieżkę mnicha.

Czy mógł liczyć na zrozumienie czcigodnego przełożonego, który znany był z tego, że nie uznawał odstępstw od klasztornych reguł?

Jeśli zajdzie taka potrzeba, da Czystości Pustki do zrozumienia, że to po trosze on sam, wysyłając go do Samye,

wywołał tę lawinę zdarzeń, które uniosły i przytłoczyły Pięć Zakazów.

Jednak przede wszystkim liczył na to, że nieocenionym wsparciem będzie obecność dwojga boskich dzieci.

Niebiańskie Bliźnięta!

Czyż te maleńkie istotki, przytulone jedna do drugiej w koszyku, nie świadczyły o nadzwyczajnych okolicznościach, jakie przez cały czas towarzyszyły wyprawie Pięciu Zakazów?

Gdyby nie one, z całą pewnością nie znalazłby się tu, u bram chińskiego cesarstwa, z ukochaną kobietą...

Te rozmyślania tak go pochłonęły, że dopiero po jakimś czasie zauważył smutek malujący się na twarzy Umary.

— Czemu jesteś smutna, moja ukochana?

Młoda chrześcijanka odpowiedziała mu po chwili wahania, jakby zamierzała wyjawić jakąś tajemnicę.

—Nie pożegnałam się w Dunhuangu z jedynym przyjacielem, jakiego tam miałam! Wiesz, to ten chłopiec, który polował na świerszcze, kiedy staliśmy razem na skalistym urwisku, Kłębek Kurzu! Obiecałam mu wtedy, że przejedziemy się razem po pustyni! Musiał być bardzo zawiedziony...

—Z pewnością jeszcze się z nim spotkasz! Wytłumaczysz mu wtedy, dlaczego nie zdążyłaś się z nim pożegnać. Jestem przekonany, że on to zrozumie! — odparł łagodnie Pięć Zakazów.

—Tak myślisz?

—Jestem tego pewny, moja Umaro!

Ponieważ odkrywanie w oczach Umary choćby cienia smutku sprawiało mu przykrość, Pięć Zakazów gorąco pragnął ją pocieszyć.

Nie domyślał się, jak bliski jest prawdy, przepowiadając jej spotkanie Kłębka Kurzu, i to w niezwykle dramatycznych okolicznościach...

Kiedy znaleźli się wreszcie na chińskiej ziemi, po pokonaniu usypiska kamieni, które w tym miejscu udawało Wielki

Mur, wzniesiony prawie tysiąc lat temu przez sto tysięcy jeńców wojennych pojmanych przez pierwszego cesarza Qin Shi Huangdiego, twarz młodej chrześcijanki znowu się rozjaśniła.

—Więc ten Wielki Mur jest taki niski? — mruknęła zdziwiona, a potem się roześmiała.

—To nie do wiary! — dorzucił manipa. — Wchodzimy do wielkich Chin jak czubek noża w masło jaka!

4

Pustynia Gobi

Dojść tam, gdzie nie docierają inni!

Już od wielu godzin kroki Szalonego Obłoku wiodły go w kierunku położonego na widnokręgu maleńkiego punktu, którym kończyło się przygnębiające, płaskie, kamieniste pustkowie.

Stopniowo uświadamiał sobie, że ten punkt jest w rzeczywistości budowlą, a dokładniej, wieżą.

Dojść tam, gdzie nie docierają inni! — powtórzył w myślach jeszcze raz, krzywiąc usta.

Oto, co przydarzało się człowiekowi, którego zasadą było zawsze iść tam, gdzie inni nigdy nie postawili stopy: maszerując od miesięcy pod wiatr, bez stawiania sobie pytań, skończył na tym, że zgubił się na

kamienistej, pozbawionej kropli wody pustyni!

Rysująca się przed nim potężna budowla nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do tożsamości mieszkańców rudery, w pobliżu której została wzniesiona.

Był to okrągły wysoki budynek, pozbawiony okien i otoczony schodami oplatającymi go niczym warkocz wieśniaczki.

Szalony Obłok, zachowując ostrożność i starając się nie czynić hałasu mogącego zwrócić uwagę ewentualnych mieszkańców ruiny, zaczął wspinać się po stopniach, które, jak przypuszczał, pozwalały dotrzeć na samą górę.

Dojść tam, gdzie nie docierają inni...

Nawet na tych schodach, które przyprawiały go o zawrót głowy, nie mógł wyrzucić z myśli tego przeklętego zdania.

Znalazłszy się na górze, wydał okrzyk przerażenia na widok tego, co zresztą spodziewał się ujrzeć.

Para sępów, którym zakłócono ucztę, zaczęła bić ogromnymi skrzydłami, wzlatując w błękitne niebo.

Pośrodku płaskiego tarasu na szczycie wieży leżał wypatroszony trup, a jego białe kości ukazywały się już spod strzępów ciała, które jeszcze się ich trzymało, podczas gdy oczodoły, widoczne w kłębowisku włosów zlepionych zaschniętą krwią, pozbawione już były oczu, prawdopodobnie wydziobanych przez ptaki.

Na całym tarasie leżały strzępy ciał, włosów i kości.

Szalony Obłok nie pomylił się więc, gdy na widok okrągłej budowli pomyślał, że natrafił na jedno z mazdaistycznych sanktuariów, które nazywano „wieżami milczenia".

Mazdaizm nie był mu obcy.

W trakcie kształtowania się jego religijnych poglądów na uniwersytecie buddyjskim w Benares, gdy będąc młodym mnichem Małego Wozu, nie odkrył jeszcze tantryzmu, pewien mistrz zapoznał go z wielkimi religiami, których wyznawców należało nawracać.

Buddyzm uważany był za religię uniwersalistyczną, której rola polegała na ukazywaniu wszystkim, bez względu na ich wierzenia, Drogi Zbawienia i Wyzwolenia. Dotyczyło to wyznawców starożytnych religii indyjskich, biorących początek w wedyzmie, które miały pośród bogów zarówno groźnych niszczycieli i złośników, jak Siwa i Jama, jak i istoty nastawione pokojowo i dobrotliwe, jak Indra i bóg miłości Kama, a także Wisznu, którego niezliczone *awatary* ukazywały jego potęgę

i skuteczność. Dotyczyło to także zwolenników herezji chrześcijańskich, od śmiałych nestorianów po dyskretnych nazarejczyków, jakobitów i członków Kościoła armeńskiego.

Na drogach środkowej Azji spotkać można było wyznawców wielu różnych religii.

Były wśród nich wyznania spoza kręgu typowego monoteizmu, przybyłe z Mezopotamii, z Syrii, a nawet ze starożytnego Egiptu, z ich boskimi orszakami, w których odnajdywało się imiona Mitry, Baala i Astarte, Izydy, Eskulapa, a nawet Apollina, które, wskutek zbytniego oddalenia od swoich centrów, zatracały się stopniowo w piaskach wschodnich pustyń.

Za to inne wierzenia odkrywały tam żyzną glebę, sprzyjającą ekspansji.

Tak było z mazdaizmem, który dynastia perskich Sasanidów narzuciła jako religię państwową, charakteryzującą się kultem Zaratustry, pośrednika między ludźmi i dwojgiem wielkich bóstw, Ahura Mazdą (Ormuzdem), bogiem Słońca, i Arymanem, władcą ciemności. Ezoteryzm wyznania przysporzył mu nowych wyznawców, przyciąganych magicznymi praktykami, do których należało umieszczanie trupów na szczycie wieży milczenia, miejscu żałobnego obrzędu i zarazem pochówku.

Szalony Obłok nie przejmował się jednak tym, że znalazł się sam na zupełnym pustkowiu, na szczycie jednej z owych wież.

A gdyby dojrzeli go ci straszni mazdaiści, czy nie próbowaliby go pojmać, żeby wbić mu sztylet w serce, a potem ofiarować jego trupa bogom, aby mógł, jak mówią, stać się „przyszłym ciałem", obmytym z wszelkich grzechów?

Wydawało się jednak, że z rudery nie dochodzą żadne hałasy.

Słyszał tylko skrzypienie niedomkniętych drzwi.

Musiał zrobić tylko jedno: pójść i zobaczyć, skąd to skrzypienie dochodzi.

Z bijącym sercem, gotów zanurzyć sztylet w brzuchu ewentualnego napastnika, zszedł z wieży i lisim krokiem ruszył ku drzwiom.

Uchylił je.

Jedyne pomieszczenie rudery było puste. Unosił się w nim zapach spalenizny i zgnilizny. Nad wygasłym paleniskiem stał na brązowym trójnogu czajnik. Szalony Obłok dotknął go i stwierdził, że jest zimny.

Mazdaistyczne sanktuarium wydawało się opuszczone.

Nagle nogi zdrętwiały mu od chłodu, który powoli przeniósł się do brzucha, a potem kleszczami ścisnął serce.

Jak zawsze ból zaatakował z taką siłą, że walka z nim była beznadziejna.

Szalony Obłok wiedział z doświadczenia, że nie zazna ulgi, póki nie połknie czarnej pigułki.

Od czasu gdy wiele lat temu spróbował ich po raz pierwszy, udoskonalił ich skład dzięki chińskiemu handlarzowi opium. Podał mu on dobry sposób na otrzymanie masy *yangao* z białawego i kleistego soku, który wydzielała nacięta makówka, roślina zwana przez Greków *opion,* a przez Persów *apyun,* od nazwy regionu Turcji, z którego pochodziła, podczas gdy łacińscy medycy, lepiej znający jej właściwości, nadali jej miano *papaver somniferum.*

Pozostawione na powietrzu mleczko z makówki zamieniało się stopniowo w brunatną papkę, którą Chińczycy opatrzyli ładną nazwą *fushougao,* czyli „ciastko szczęścia i długowieczności".

Wystarczało poczekać, aż zjełczeje, owinięta w liście maku, aby otrzymać czarniawe plastry, które można było przechowywać przez całe dziesięciolecie. Przewożono je Jedwabnym Szlakiem w skrzyniach z drewna mangowego.

Sięgający po ciasto szczęścia i długowieczności prędko popadali w nałóg. To właśnie przytrafiło się Szalonemu Obłokowi.

Głód narkotyku chwytał go bez ostrzeżenia, o każdej porze dnia, wprowadzając w straszny cykl, z którego nie sposób się było wyzwolić nawet na jeden dzień.

Tak więc, mając usta spieczone od bólu wywołanego skurczem żołądka, musiał wrócić chwiejnym krokiem do stóp wieży,

żeby wydobyć z sakwy, którą tam zostawił, skórzaną saszetkę. Drżącą ręką wyjął z niej zbawienną pigułkę i pospiesznie uniósł do ust, wzdrygając się z zamkniętymi oczami.

Dojść tam, gdzie nie docierają inni...

Fatalne słowa wróciły, wypełniając jego głowę wciąż tym samym obsesyjnym refrenem.

Gdy tylko poczuł pigułkę pod językiem, jak zawsze zdarzył się cud i ból brzucha natychmiast ustąpił. Jego nozdrza wypełnił rozkoszny zapach miodu, cynamonu i tymianku z opiumowej substancji, a jednocześnie poczuł w ustach orzeźwiającą świeżość.

Usiadłszy na pierwszym kamiennym stopniu wieży milczenia, przygnębiony i oszołomiony, ale spokojniejszy, Szalony Obłok podjął próbę przegnania ze swego umysłu wszelkich myśli.

Na próżno, czuł się tak poruszony widokiem wieży, że nie przestawał myśleć o drodze, jaką przebył od urodzenia aż do tego ponurego miejsca, w którym poczuł się rozpaczliwie samotny.

Przed nim, jak okiem sięgnąć, rozciągało się szare kamieniste pustkowie, nad którym krążyły drapieżne ptaszyska.

W tej niegościnnej okolicy, której nie należało przemierzać w gorących godzinach dnia, trzeba było być wężem, skorpionem, jadowitym owadem albo skarlałą ciernistą rośliną, aby przeżyć...

Albowiem przeżycie zależało od eliminowania innych istot... Tak! Życie na pustyni istniało tylko za tak wysoką cenę!

Jakże odległy wydawał mu się czas wczesnego dzieciństwa, kiedy to rodzice, tak biedni, że nie byli w stanie go wyżywić, umieścili go w Klasztorze Przebudzenia, nieopodal miasta Benares, dokładnie tam, gdzie Gautama Budda, usiadłszy w cieniu świętego figowca, doznał oświecenia i stał się Przebudzonym!

Szalony Obłok nosił wówczas imię Rahula, imię syna Buddy, i był pyzatym malcem o kręconych włosach. Rodzice, oddając

syna do klasztoru, nie tylko oszczędzali sobie trudów jego utrzymania, ale też zyskiwali liczącego się sprzymierzeńca, zapewniającego im odrodzenie się w lepszej postaci, ponieważ poświęcał on swoje życie modlitwie, medytacji i dobrym uczynkom. Tylko mnisi mogli osiągnąć nirwanę.

Albowiem w tym punkcie nauczanie Buddy było jasne: aby ostatecznie uciec od bólu istnienia i wobec groźby odrodzenia się pod mniej świetną postacią niż ta, którą się porzucało, należało poświęcić się całkowicie poszukiwaniu drogi zbawienia.

Tak więc w ciągu dwudziestu lat młody Rahula skończył nowicjat i został przykładnym mnichem w jednej z najbardziej szanowanych wspólnot klasztornych Indii.

Stał się wzorem dla innych mnichów.

Zawsze pierwszy na nogach rano i ostatni w łóżku wieczorem, w odróżnieniu od większości nowicjuszy nie uchylał się od żadnej domowej roboty, choćby najmniej godnej, i to pomimo wyczerpującego codziennego kopiowania przez piętnaście godzin setek stronic sutr, których należało również nauczyć się na pamięć. Każdego wieczoru wychowawcy zmuszali młodych uczniów do ich bezustannego recytowania.

W siedemnastym roku życia nowicjusz Rahula okazał się więc jednym z najmłodszych nabytków klasztoru, zdecydowanie godnym złożenia ślubów.

Był to zresztą minimalny wiek wymagany do ich złożenia.

Stanął mu przed oczami dzień wyświęcenia, *upasampada,* jakby to było wczoraj.

Pomimo iż jego świadomość spowijały narkotyczne opary, przypomniał sobie ze wzruszeniem dziecięcą radość, jaką odczuwał, wymawiając zdanie, którym ubiegający się „prosił wspólnotę o przyjęcie na jej łono w celu głoszenia prawdy i słusznych poglądów".

Rozpłakał się, gdy wychowawca podał mu swoją czarkę na jałmużnę i trzy szaty w kolorze szafranu, które miały służyć mu do śmierci.

Licząc od dnia wyświęcenia, Rahula musiał odczekać już tylko dziesięć lat, żeby stać się *thera,* „starym", to znaczy mnichem, który zyskiwał prawo nauczania innych boskiego słowa Błogosławionego.

Ale Rahula, mimo licznych zalet, głębokiej wiary i zapału do pracy, nigdy nie został jednym z tych, których zwano *thera.* Wydarzył się nadzwyczajny wypadek, który kazał mu zejść z drogi, jaką obrał.

Odkrycie tantryzmu zepchnęło go do obozu grzeszników, a jednocześnie pozwoliło ocenić, do jakiego stopnia odraza okazywana przez Mały Wóz praktykom seksualnym była absurdem, a nawet hipokryzją.

Rahula znalazł się w ramionach kobiety i bynajmniej na tym nie ucierpiał.

Dość wspomnieć, że Klasztor Przebudzenia robił wszystko, aby uniemożliwić nowicjuszom przebudzenie zmysłów.

Wraz z poznaniem miłości fizycznej Rahula doświadczył tego, co tantryści nazywają „ekstazą zmysłów": dzielonej z kimś rozkoszy, płynącej z połączenia dwóch ciał w upojeniu, które zbliżało miłość fizyczną do mistycznej komunii.

Odkrycie, że mistycyzm i erotyka mogą doskonale się stopić, było dla Rahuli ogromnym wstrząsem, który skłonił go do przemyślenia, a nawet postawienia pod znakiem zapytania wierzeń, praktyk i reguł, jakie aż do tej pory wpajali mu przełożeni, a które on przyjmował tak, jakby były czymś najnaturalniejszym w świecie.

Teraz doszedł do przekonania, że miłość i boskość są tym samym, choć większość religijnych autorytetów robiła wszystko, aby ukryć przed uczniami tę prawdę.

Czyż nie mówiono, że *arhat,* czyli człowiek święty, może wpaść w ekstazę w trakcie medytacji, podobnie jak mężczyzna i kobieta przeżywający wspólnie orgazm?

Jednak reguły rządzące życiem wyznawców Małego Wozu mówiły jak najwyraźniej: dla mnicha albo mniszki, którzy popadli w jeden z trzydziestu *sanghadisesa,* czyli „grzechów

ciężkich", do których należały oczywiście praktyki seksualne, nie było już miejsca we wspólnocie.

Złamanie ślubów czystości nie sprawiło Rahuli żadnego kłopotu.

Nigdy zresztą nie odczuwał najmniejszego wstydu ani wyrzutów sumienia, że wybrał prąd religijny, który nazywano tantryzmem.

Tantra to wyjątkowo złożone sanskryckie słowo oznaczające zarazem „wątek" i „doktrynę".

Zgodnie z tym, czego doświadczył Szalony Obłok, tantryzm był czymś więcej niż tylko odmianą praktyk buddyzmu czy innych religii Indii.

Mówiąc prawdę, twórcy tantryzmu urządzili to tak, że stał się on prawdziwą „postawą religijną" i prawdziwą „religią ponad religiami".

Stworzony w Indiach sto lat temu, co czyniło zeń nowy, dopiero rozwijający się prąd religijny, tantryzm odznaczał się głównie swobodnym podejściem do spraw seksu.

Stapiając ezoteryczne teorie i praktyki, prowadził swych wyznawców do tajemnej inicjacji, do odkrycia rytuałów, które czyniły z ekstazy seksualnej filozofię i dostarczały im uczucia niezmierzonej wolności i siły.

Tantryzm miał wynieść człowieka do poziomu bogów i istot wyższych, takich jak bodhisattwowie i buddowie.

Jednak, o czym Szalony Obłok, podobnie jak wszyscy inni wtajemniczeni, nigdy nie mówił, ponieważ była to tajemnica, tantryzm krańcowo zrytualizował praktykowanie miłosnej gry i zachęcał do rozmaitych doświadczeń, a nawet je zalecał.

I właśnie rozkosze seksu, i tylko one, zamieniły Rahulę w Szalony Obłok, człowieka różniącego się zdecydowanie od czystego i skromnego mnicha, jakim był wcześniej.

Do jego pierwszego spotkania z tantryzmem doszło za sprawą zapachu.

Nie przeczuwał, co mu się przydarzy, gdy wszedł do ponurego

budynku w głębi podwórza w dzielnicy garbarzy w Benares, żeby poprosić o jałmużnę na jedzenie!

W dławiącym odorze ekskrementów, przyprawiającym o mdłości podczas wędrówek po wąskich uliczkach, między wózkami i taczkami, na których piętrzyły się skóry, pobożnego mnicha Rahulę uderzył nagle przyjemny zapach kadzideł, nadpływający z głębi budynku, do którego właśnie wszedł.

Po wypełniającym powietrze fetorze odniósł dziwne wrażenie, jakby nagle coś poprowadziło go za rękę do idyllicznego zakątka, zachęcając, by porzucił nędzę i brud ogromnego miasta i wkroczył do boskiego świata.

Wydało mu się to dziwne i nierealne.

Nigdy nie wdychał tak cudownego zapachu.

W woni kadzideł jego nozdrza wyróżniły subtelny aromat goździków, melisy i żywicy tropikalnych drzew, czysty niczym krystaliczne dźwięki muzycznego utworu.

Miał wrażenie, że trafił do zaczarowanej krainy, czuł się, jakby płynął na małej chmurce, gdy szedł długim i krętym korytarzem w kierunku miejsca, które było tak zadymione, że nie było nic widać.

Wydawało mu się, że dostrzega płomień paleniska, nad którym wisi mały pojemnik, z pewnością zawierający wonne substancje.

Im bardziej zbliżał się do płomieni, tym bardziej dym dobywający się z pojemnika przyprawiał go o zawrót głowy.

To stąd rozchodziły się te boskie zapachy.

Coś nieodparcie przyciągało całą jego istotę.

Ale niezależnie od tych upajających wrażeń, Rahula odkrył coś jeszcze bardziej subtelnego: słodki głos kobiety.

Zwróciła się do niego dokładnie w chwili, gdy zagłębił się w pachnącą chmurę, gęstą jak ściana błękitnawej waty, która wydawała mu się nie do przebycia.

— Wejdź. Nie bój się! Wystarczy, że zrobisz jeszcze parę kroków! Nie pożałujesz!

Wypowiedziane przez kobietę słowa kazały mu wejść w ścia-

nę dymu, tak niebieską, że jej jaskrawa intensywność była niewytłumaczalna.

— Nie boję się! Czuję się tak dobrze! Jak w raju! Znalazłem się w ramionach Buddy! — odparł, mając świadomość zmąconą przez dym z opium.

Biedny Rahula wybuchnął w końcu śmiechem, jakby chodziło nie o niego, ale o kogoś innego. Doskonale zdawał sobie sprawę z bluźnierczego charakteru postanowienia, jakie dopiero co powziął, lecz nie dbał o to.

Młody mnich nie miał pojęcia o wywołującym euforię działaniu substancji halucynogennych, które wdychał teraz pełną piersią. Jego organizm zaczął popadać w uzależnienie i od tego pamiętnego dnia Rahula nie mógł żyć bez codziennej dawki opium, realgaru* i odtrutki przeciw jadowi węża, znajdujących się w małych czarnych pigułkach.

— Podejdź bliżej! — odezwał się kobiecy głos.

Śmiejąc się na całe gardło, zrobił kilka chwiejnych kroków, mając wrażenie, że płynie na niebieskawej chmurce wypełniającej pomieszczenie, gdy naraz uderzył o coś miękkiego.

Wyciągnął rękę i stwierdził, że to ciało kobiety.

Poczuł zapach jaśminu i cynamonu, którym kusicielka nasyciła swoją brązowozłocistą skórę.

Przez jej nos przechodził pierścień z wielkim diamentem.

Kobieta uśmiechała się, widział jej zęby błyszczące jak perły w mięsistej oprawie ciemnych warg.

Zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu i stwierdził, że jest zupełnie naga.

Mimo rosnącej euforii, Rahula doznał tak silnego wstrząsu, że omal nie upadł na wznak przed tym ozdobionym jedynie klejnotami kobiecym ciałem, pierwszym, jakie ujrzał w życiu.

Widząc oszołomione spojrzenie młodego chłopca, który ledwo trzymał się na nogach, wspaniała istota wyciągnęła do niego ręce.

* Realgar (arab.) — siarczek arsenu.

Ciemną karnację kobiety podkreślał naszyjnik ze złoconych kulek, a także ciężkie srebrne bransolety, opasujące jej nadgarstki i kostki u nóg.

Mimo oszołomienia pachnącymi oparami Rahula wyraźnie widział jej smukłe kształty i rozłożone nogi.

Musiała nie mieć na całym ciele ani jednego włoska, bo widać było wyraźnie różowe wargi sromowe, które zafascynowały młodego mnicha Małego Wozu.

Było to coś zupełnie innego niż to, w co natura wyposażyła jego.

Ale rzeczą wprost niewiarygodną było to, że te pulsujące „usta" zdawały się przemawiać!

Opiumowy dym zrobił swoje, ale młody mnich o tym nie wiedział.

Ku zdumieniu Rahuli te usta, tam w dole, mówiły do niego!

Szeptały czułe słowa...

Jednocześnie poczuł pod szafranową szatą, że jego członek zaczyna twardnieć i zamienia się w niezgrabny i zawadzający szpikulec; jednak wdychane opary sprawiły, że młodzieniec nie czuł potrzeby ukrycia go.

Widząc to, kobieta wzięła go za rękę i poprowadziła ją do sutka jednej ze swych piersi, twardego jak kamień, podczas gdy skóra jej brzucha, po której zaraz potem przeciągnęła jego dłoń, była miękka i ciepła.

Dla zachwyconego Rahuli była to zupełna nowość, a nade wszystko coś niezwykle przyjemnego!

Kobieta przywarła do niego, wciskając mu język do ust.

Młody mnich nie wyobrażał sobie, że można z taką przyjemnością ssać czyjś język, niczym jakiś przysmak.

Poczuł, że kobieta jedną ręką muska czubek jego stwardniałego członka, drugą zaś zaczyna ściągać z niego mnisią szatę.

W końcu uklękła przed nim, jakby był obrazkiem Buddy, przed którym zamierza złożyć ofiarę.

To, co nastąpiło, było zaskakujące i jakże rozkoszne!

Zachwycająca nieznajoma zabrała się do lizania i ssania stwardniałego narządu, przypominającego lingę, falliczny słup ofiarny, na który kapłani lali mleko i świętą wodę z Gangesu, aby ściekły do *joni,* kamiennego pojemnika symbolizującego narząd kobiecy, a potem, na znak czci i uszanowania, namaszczali święty słup masłem i papką z drewna sandałowego wymieszaną z płatkami kwiatów.

Jakże przyjemne wydało się Rahuli zetknięcie wilgotnych i ciepłych ust z delikatnym, rozpalonym namiętnością napletkiem jaspisowego wisiorka, który okazał się narzędziem rozkoszy!

Jakże pragnął, aby klęczała tak u jego stóp godzinami, aż po końcowe uwolnienie, którego nadejście przeczuwał, w miarę jak jego członkiem zaczynały wstrząsać coraz silniejsze spazmy, odbijające rytm uderzeń serca, podczas gdy kobieta wydawała donośne odgłosy ssania.

Pojękiwała tak samo jak on, kiedy wzięła go za rękę, aby wprowadzić dwa jego palce do „ust" w swym podbrzuszu...

Wnętrze tych ust bez języka było jeszcze bardziej rozgrzane i wilgotne niż tych, których dotyk czuł przed chwilą i które znowu zabrały się do ssania jego członka.

W tym momencie poczuł się tak, jakby tych dwoje ust go wchłonęło.

I jedne, i drugie były równie zachłanne. Ochoczo zatopił się w obu.

Instynktownie obrócił palce *w joni* pięknej nieznajomej, co wyrwało z niej takie jęki, że zadał sobie w duchu pytanie, wciąż jeszcze jako neofita w miłosnych zmaganiach, czy nie zadał jej bólu!

Kobieta, która jękami dawała do zrozumienia, że odczuwa coraz większą przyjemność, zaczęła wolną ręką pieścić swoje piersi.

Dzięki doświadczeniu po mistrzowsku pokierowała wszystkim tak, aby oboje odczuwali narastającą rozkosz.

W chwili gdy poczuł, że za chwilę całe jego ciało, od głowy

po trzewia, wybuchnie niczym skorupa wulkanu przed wypłynięciem rozżarzonej lawy, aby uwolnić ukryte w nim siły, zmroził go nagle widok stojącego tuż obok mężczyzny.

Osobnik ten zdawał się z zainteresowaniem obserwować zabiegi, którym oddawała się kobieta, zamieniając Rahulę w gotową eksplodować kulę rozkoszy.

Obecność intruza natychmiast podziałała na Rahulę jak wiadro zimnej wody, wylane na rozżarzone węgle ogniska.

Śmiertelnie zawstydzony, uwolnił niezręcznie swoje palce i narząd z obu ust kobiety i prędko obciągnął szatę.

Czując silny ból głowy, nieco oprzytomniawszy, stwierdził, że aromatyczne opary rozwiały się, a z pojemnika nie dobywa się już dym.

Mężczyzna, który przerwał jego uniesienia, ubrany był tylko w bufiaste spodenki z białej bawełny.

Miał tak samo smagłą cerę jak kobieta.

Na jego nagim atletycznym torsie, płaskim i guzowatym jak deska z sykomory, widać było duże ciemne blizny, a jeden z sutków, czarnych i gruzełkowatych jak owoce morwy, przebijał duży pierścień z brązu.

Miał wychudłą twarz i palące spojrzenie, jakie można było zobaczyć u joginów trwających w mistycznym zapamiętaniu, oddających się umartwieniom na skrzyżowaniach niektórych ulic Benares. Hinajana odnosiła się do nich bardzo nieufnie.

Jego długie białe włosy, upięte w kok na czubku głowy, kontrastowały z młodzieńczym wyglądem szczupłej twarzy o ostrych rysach, na której nie było śladu zmarszczek.

—Witaj! — odezwał się mężczyzna, który zauważył zawstydzenie Rahuli.

—Gdzie ja jestem? — zapytał mnich, niezdarnie ukrywając zakłopotanie.

Pod jego szatą wciąż sterczał członek, sztywny jak drzewce chorągwi rozwiniętej na wietrze.

Ale ten widok zdawał się nie peszyć nieznajomego, który uśmiechał się do Rahuli.

—Trafiłeś w sam środek tantrycznego rytuału! Wyglądasz na kogoś, kto nadaje się do seksualnych praktyk! Jak masz na imię? — zapytał asceta.

—Rahula. Jak syn Błogosławionego! Jestem buddyjskim mnichem.

—Podobało ci się to, co ci zrobiłam? Jeśli o mnie chodzi, mój mały Rahulo, to wybornie smakował mi twój linga! — uśmiechnęła się kokieteryjnie kobieta, która podniosła się, a potem go uściskała.

Życzliwość, jaką oboje mu okazywali, pomogła Rahuli pozbyć się zawstydzenia. Jego odpowiedź poszybowała prościutko jak lot strzały.

—Ja też byłem zachwycony wrażeniami, jakie obudziły we mnie twoje podwójne usta!

—Ale ja mam tylko jedne! To, co uważasz za drugie, u dołu brzucha, to moja *joni!* — wykrzyknęła z rozbawieniem piękna nieznajoma, podczas gdy mężczyzna zanosił się od śmiechu.

—Miałem uczucie, że jestem na Drodze Wyzwolenia... Wiecie, Wielkiego Wyzwolenia, o jakim mówił Gautama, zanim roztopił się w nirwanie! Nigdy dotąd nie potrafiłem wyobrazić sobie, na czym ono polega. Teraz zaczynam lepiej to rozumieć! — powiedział cicho Rahula, oczarowany nowym doświadczeniem.

—- Trzeba było dojechać do końca! Nie poczułbyś się zawiedziony! — wykrzyknął mężczyzna.

—Chodzi o to, że... przestraszyliście mnie/panie! Trochę się też wstydziłem!

—Następnym razem odkryjesz pełną rozkosz! Zobaczysz, jakie to cudowne! Tak rozkoszne i dobroczynne dla duszy i dla ciała, że nie będziesz mógł się bez tego obyć! — dodał mężczyzna z brązowym kółkiem w piersi.

—Wchodząc tu, nie spodziewałem się, że spotka mnie coś takiego!

—W trakcie naszych rytuałów nie wolno nam odczuwać żadnego wstydu wobec innych... Dzielimy wszystko bez naj-

mniejszego umiaru, seksualna rozkosz powinna dojść aż do szczytu! Poddaj się temu, a nie pożałujesz! — szepnął mu do ucha mężczyzna, po czym dał znak kobiecie, która znowu uklękła przed nim i tym razem pozwoliła mu odczuć pełną satysfakcję.

Kiedy napięcie sięgnęło zenitu, po raz pierwszy przeniknęła go niewysłowiona rozkosz, która wyrwała mu z gardła okrzyk, potężny jak ryk dzikiej bestii. W tej samej chwili ogarnęło go uczucie niezwykłego wyzwolenia, jakby wszystkie włókna jego ciała od zawsze czekały tylko na ten moment.

Następnie asceta dokładniej wyjaśnił neoficie, wyczerpanemu przyjemnymi zabiegami, jakich nie szczędziła mu kobieta o ciemnej i błyszczącej skórze, co tu robili.

—Przychodzimy dopełnić cotygodniowego rytuału, który ma na celu przybliżenie nas do Wyzwolenia. To jest najlepszy sposób, aby rzeczywiście zrozumieć *śiunyatę*.

—Mówisz o tej „powszechnej pustce", którą tak trudno jest pojąć biednym ludziom, takim jak my? — zapytał zdumiony młody mnich.

—Tak! Przeciwnie do tego, co uważają ludzie, Wyzwolenie osiąga się przez seksualną wolność. Nasi wrogowie, którymi są sami zazdrośnicy, oskarżają nas o oddawanie się dzikim rytuałom, podczas gdy my poprzestajemy na czczeniu mnóstwa bóstw, których imiona zostały objawione przez siddhów...

—Moi mistrzowie uczyli mnie tylko, że *śiunjatę* osiąga się przez medytację i modlitwę...

—Wierz mi, nasza metoda jest dużo bardziej skuteczna od tej, jaką się wam wpaja! Tak jakby medytacja była czymś, czego można się nauczyć!

—O jakich bóstwach wspomniałeś przed chwilą? — zainteresował się Rahula, któremu ból głowy przeszedł jak za sprawą cudu i który zaczynał odczuwać przyjemne odrętwienie, rozchodzące się po całym ciele.

—O Indrze, Jamie, Marze, Śiakti, Mahakali, a nawet Ganapatim, bogu słoniu! — odparł mężczyzna z kokiem.

—Ależ to są bogowie dawnych religii, do których Błogosławiony kazał nam odnosić się nieufnie! — wykrzyknął osłupiały Rahula.

—Dobrze, dobrze, młodzieńcze, zrozumiesz wszystko, kiedy wyjaśnię ci, że tantryzm obejmuje wszystkie kulty. Nie przeciwstawia się ani Gautamie, ani innym bogom! — oświadczył mężczyzna uroczystym, mocnym głosem.

Następnie na oczach zdumionego Rahuli zdjął bufiaste białe spodenki, odsłaniając ogromny jędrny członek, dziwacznie ozdobiony wianuszkiem pereł, który powodował nabrzmiewanie fioletowych żyłek.

—Dlaczego ktoś jest *siddhąl* — wyjąkał biedny Rahula, ze wszystkich sił starając się nie zasnąć, choć czuł ogarniające go odrętwienie.

—Ten człowiek tutaj jest *siddhą,* to znaczy „doskonałym", „świętym"! Ma na imię Lujipa! Jest najlepszym z nas! — wykrzyknęła kobieta, wskazując mężczyznę z kokiem, którego ogromny członek, sterczący niby kamienna kolumna, połyskiwał naszyjnikiem z pereł.

Ów niewiarygodny narząd przypominał jedno z owych potwornych bóstw, całkowicie pozbawionych oczu, ust i nosa, których kształty przyjmowały na przykład kolumny w prastarych świątyniach, jakie mnich Małego Wozu miał okazję parokrotnie odwiedzać.

—Jesteś więc *arhatem,* takim jak ten, o którym mówi Budda? — zapytał bliski omdlenia Rahula.

—Tak! Istotą, która nie jest już człowiekiem, ale bogiem również nie! — odparła zdecydowanie kobieta.

—W takim razie, dlaczego takim jak ja mnichom zakazuje się dotykania choćby jednego włosa mniszki?

—Wszystko to jest dobre dla ciężko pracujących biedaków! Dla tych, którzy muszą poświęcić dziesięć tysięcy żywotów, zanim osiągną wcielenie, w którym możliwe jest Wyzwolenie! Natomiast my, wyznawcy tantry, wolimy zmierzać wprost do celu, niż zapuszczać się w jakieś boczne dróżki! — wykrzyknęła

kobieta, która najwyraźniej miała w swych ustach, tych górnych, odpowiedź na wszystkie pytania.

—Im śmielej będziesz łamał pięć zakazów, to jest zakaz kradzieży, zabójstwa, pijaństwa, rozwiązłości i kłamstwa, tym wyraźniej objawią ci się dowody tej boskiej nauki! Nie wszystkich stać na zachowania tak mało zgodne z przyjętymi normami, ale wierz mojemu doświadczeniu, jest to dużo bardziej radykalny sposób na znalezienie drogi Wyzwolenia! — dodał niskim głosem Lujipa.

—Ale czy to nie paradoks, brać na opak wszystkie zakazy *Vinajil* — ośmielił się zapytać Rahula.

—Kiedy stoisz przed kołem, możesz zdecydować, czy obrócić je w lewo, czy w prawo: w obu przypadkach punkt górny stanie się dolnym i na odwrót. Ten, kto śmie dojść tam, gdzie nie docierają inni, jest oczywiście najsilniejszy ze wszystkich! — rzucił mężczyzna.

Dojść tam, gdzie nie docierają inni! Było to zdanie, które od tej chwili Rahula bezustannie powtarzał sobie w duchu i które dręczyło go dniem i nocą.

— Popatrz tylko na to, co zamierzam teraz zrobić, i weź z tego przykład! — wykrzyknął nagle Lujipa, chwytając za uszy białego królika, którego wyjął z jutowej torby leżącej na ziemi.

Na oczach zdumionego Rahuli Lujipa jednym uderzeniem odrąbał zwierzęciu głowę, a potem podniósł niczym bukłak do ust otwartą, ociekającą krwią ranę, w jaką zamieniła się nasada szyi ssaka.

Kiedy odjął trupa od ust, dół jego twarzy wyglądał jak czerwona maska.

Wstrząśnięty Rahula nie mógł powstrzymać okrzyku grozy.

—Nie trzeba się bać! Przyrzeknij mi, że następnym razem nie będziesz krzyczał!

—No, mój mały Rahulo, przyrzeknij! — zachęciła go kobieta.

—Przyrzekam! Przyrzekam! — zdołał wyjąkać Rahula,

w chwili gdy makabryczny rytuał dopełnił się we krwi i zgrozie.

I rzeczywiście, nie uwolnił się więcej od tej fascynacji.

Mimo wstrętu, jaki obudziło w nim niegodziwe poświęcenie małego królika, Rahula złapał się na tym, że chce znowu posmakować wrażenia, iż jest siedliskiem pożądania, którego eksplozja dostarczyła mu tylu przyjemności.

Nie podejrzewał, że przyjemność tę wzmocniły narkotyki i że nigdy już nie obędzie się bez przeżywania tej tak intensywnej rozkoszy.

Odniósł wrażenie, że został przygarnięty przez tych dwoje nieznajomych, którzy oddawali się tajemnemu erotycznemu rytuałowi.

A ponieważ nałykał się halucynogennych substancji, tylko niejasno przypominał sobie seksualną orgię, kiedy Lujipa i pozbawiona owłosienia kobieta zademonstrowali mu rozmaite pozy i techniki, jakby chcieli wtajemniczyć w nie młodego mnicha, który znalazł się wśród nich przez przypadek.

Doskonale za to pamiętał słowa, jakie do niego kierowano.

—Łączymy się erotycznie, żeby obudzić *maithunę,* czyli doznanie przyjemności zmysłowej płynące ze stopienia się tożsamości *samata* i wielkiego szczęścia *mahasukha!* — wyjaśnił Lujipa między jękami rozkoszy, podczas gdy mięsiste usta kobiety połykały jego ogromny narząd aż do pierwszego rzędu wianuszka z pereł.

—Chcesz dopełnić z nami rytuału? Jeśli tak, zrobimy to we trójkę! — zaproponował Lujipa.

—Och! Tak, mój mały Rahulo, zgódź się! Tak bardzo tego chcę.

Porzuciwszy narząd ascety, kobieta uklękła jak do modlitwy, z oczami zasnutymi mgiełką, przed młodym mnichem.

Począwszy od tej chwili, wszystko w głowie Szalonego Obłoku się pomieszało.

Ponieważ działały na niego opary opium, pierwszego rytuału

maithuny, w którym spółkował to z mężczyzną, to z kobietą, a potem z obojgiem naraz, zostały mu w pamięci strzępy wspomnień, mieszanina ekstazy i zadowolenia, ale także rozkosznych napięć, prowadzących do piorunujących wyzwoleń i przenikliwych bólów, które kończyły się zawsze przypływem przyjemności...

Tak było wtedy, gdy poczuł narząd ascety w swoim odbycie, poruszający się posuwiście, aż z brzucha wyszła mu dziwna fala i popełzła do czubka jego członka, który zdawał się opróżniać w nieskończoność, tak że pod koniec rytuału nie miał już nawet kropli płynu dla nienasyconych ust kobiety. Jej jęki przeszły we wrzaski przerywane słowami, które rozbawiły go tak, że śmiał się jak dziecko:

— Uwielbiam to, Rahulo! Jesteś pyszny, Rahulo! Jaki pysz ny! Och, mój mały Rahulo, jak mi smakuje twój linga!

Pod koniec tego doprowadzonego do skrajności rytuału *maithuny* młodzieniec, który miał przyjąć imię Szalony Obłok, nie wiedział, co się z nim dzieje.

Miał wrażenie, że płynie na chmurze, a potem po prostu zasypia z wyczerpania.

Zbudził go głos ascety.

Jego twarz wyłoniła się nagle z mroku, zawieszona nad twarzą młodego mnicha, który leżał wyciągnięty na plecach, na podłodze.

Nie miał pojęcia, gdzie jest.

Do rzeczywistości przywołały go czerniejące tuż obok wygasłe węgle rytualnego ognia.

Czaszka pękała mu z bólu, tak że prawie nie mógł otworzyć oczu, a kiedy to robił, pojawiały się przed nimi sine plamy.

— Teraz, Rahulo, kiedy zostałeś już wtajemniczony, powi nieneś zmienić wyznanie, bo jeśli nie, to nie wyjdziesz stąd żywy. Tantryczne obrzędy muszą pozostać tajemnicą!

Lekko ochrypły głos Lujipy brzmiał bardzo stanowczo.

Asceta spoglądał twardym wzrokiem, nie mniej ostrym niż czubek sztyletu, który przyłożył do gardła Rahuli.

Pogrążony w chmurze sinawej mgiełki, Rahula nie bał się wcale tego ostrza, zaczynał jednak boleśnie odczuwać jego nacisk.

— Nie macie już kadzideł do palenia? Mam w głowie ognistą kulę! One pachniały tak przyjemnie! —jęknął.

Nie dbał o sztylet, pod którego ostrzem perliła się już kropla krwi.

A potem sina mgiełka zamieniła się nagle w czerwoną.

Rahula miał powody, aby nie wiedzieć, iż doświadcza właśnie pierwszego w swym życiu, prawdziwego narkotycznego głodu.

— Lujipo, widzisz przecież, że chłopiec cierpi. Nic nie wskórasz, jeżeli będziesz go straszył. Dlaczego sądzisz, że nas zdradzi? Zachowa milczenie. Ma taką ochotę zacząć od nowa! Rozszyfrowałam go w trakcie rytuału! Prawda, mój mały Rahulo, że chciałbyś poczuć, jak rośnie w tobie *kundalini?* — szepnęła kobieta, pochylając się nad nim.

Spojrzał na jej wargi, poruszające się w czerwonawej chmurze. Jej górne usta były tak samo mięsiste jak te na dole.

—No pewnie. Byłbym gotów zacząć natychmiast! — usłyszał własny głos. — Ale co to jest *kundalini?*

—Celem rytuału tantrycznego — wyjaśnił Lujipa — jest skanalizowanie energii kosmicznej zawartej w ludzkiej istocie. Przybiera ona postać *kundalini.* Ten wąż płci żeńskiej, zwinięty spiralnie u podstawy twojego kręgosłupa, rośnie wtedy aż do głowy.

—Jest to więc to, co w sobie czułem, ta przyjemna wibracja, która szła z krocza i unosiła się aż do mojego czoła?

—Tak! Ale zanim boski wąż kundalini dotrze do twojego mózgu, przenika przez *czakry* i *padmy* twojego lotnego ciała, które składa się z siedemdziesięciu dwóch tysięcy kanałów i ośrodków.

Więc to tam, w samym środku czaszki tantrycznego jogina, żeńska energia *kundalini* jednoczy się z boskim pierwiastkiem męskim.

A wtedy świadomość wyznawcy, potrafiącego już „modlić się bezwiednie" i recytować mantry, których nigdy się nie uczył, także osiąga wyżyny dostępne bogom.

A formuły, jakie towarzyszą nieubłaganemu rozprzestrzenianiu się energii kosmicznej, pochodzą z niewysłowionego świętego języka, którym mogła obdarzyć istoty ludzkie jedynie moc, jaką ma *kundalini.*

— Więc jak, mój drogi Rahulo, chcesz zostać wyznawcą tajemnej tantry? — zapytał asceta, odejmując sztylet od szyi mnicha.

Polecił mu usiąść przy ścianie, po czym wsunął mu do ust małą ciemną pigułkę.

Po chwili czerwona chmura, która przesłaniała mu oczy, rozpłynęła się wraz z ognistą kulą tkwiącą aż dotąd we wnętrzu jego czaszki.

Był dojrzałym owocem, gotowym spaść z drzewa...

—Dzięki tobie pojąłem w końcu, co to jest Wyzwolenie! Nie wątpię, że twoja metoda jest dobra! — powiedział cicho.

—No widzisz, mój drogi Lujipo, od tak dawna szukasz ucznia i właśnie go znalazłeś, jestem tego pewna! — dodała kobieta. — Oto twój uczeń! Przekażesz mu wszystko, czego nigdy nie śmiałeś dzielić z innymi!

Uśmiechnęła się do Rahuli i ich spojrzenia się skrzyżowały. Wydała mu się jeszcze piękniejsza niż w chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy w aureoli błękitnawej chmury, owianą zapachem miodu, tymianku i cynamonu, który na zawsze pozostał w jego świadomości.

— Przyjmiesz imię Szalony Obłok i będziesz przychodził tu odtąd co tydzień praktykować z nami zespolenie *maithuna* — powiedział *siddha* Lujipa, ujmując go pod brodę, żeby skłonić do uniesienia głowy.

W ten sposób, kończąc swój pierwszy tantryczny rytuał, w który wciągnęło go tych dwoje, Rahula zmienił wyznanie na tę religię skrajności i doktrynę ekstazy.

—Szalony Obłok jest teraz moim jedynym imieniem. Szalony Obłok tu wróci. Szalony Obłok uwielbia rytuał *maithuna.* Szalony Obłok dał się przekonać Lujipie! — wykrzyknął z tak szczerym zapałem, że *siddha,* uświadamiając sobie, że oto znalazł duchowego syna, wziął go w ramiona jak ojciec dziecko.

—Może byś się przeniósł i zamieszkał tam gdzie ja? — zaproponował.

—Czy ona także z tobą mieszka? — zapytał właściciel imienia Szalony Obłok, wskazując kobietę, która poprawiała na swym posągowym ciele czarną suknię wyszywaną w srebrzyste motywy, w której wyglądała cudownie.

—W moim klasztorze nie mieszkają razem mężczyźni i kobiety... A ona ma na imię Śiakti!

Po raz pierwszy usłyszał imię niezwykłej kobiety o dwóch ustach.

— To moje tantryczne imię, mieszkam w Benares, a mój mąż jest bogatym kupcem, który nie wie, że jego żona jest jedną z najlepszych uczennic Lujipy... — dodała z uśmiechem.

Następnego dnia po tym pamiętnym inicjacyjnym seansie Szalony Obłok opuścił Klasztor Przebudzenia, aby dołączyć do wspólnoty tantrystów, na której czele stał Lujipa.

Zamieszkiwała ona o dobre pół dnia marszu od centrum miasta i zajmowała fortecę zbudowaną na szczycie skalnej ostrogi, na którą wchodziło się schodami wyciętymi w kamieniu. Wspólnota tantryczna *siddhy* Lujipy liczyła zaledwie tuzin wyznawców. Ludziom tym nie służyła codzienna czarna pigułka podawana przez mistrza, i z trudem wychodzili z otępienia, w jakie popadali wczesnym rankiem, zaraz po przebudzeniu.

Lujipa napotykał więc na wielkie trudności przy formowaniu charakterów uczniów, którzy mieli pójść za nim wąską ścieżką Wyzwolenia, którą sam wytyczył.

Przybycie Szalonego Obłoku nie mogło nastąpić w lepszym momencie. Jego organizm, w odróżnieniu od organizmów innych adeptów, lepiej znosił ten konieczny dodatek, który

wprawiał połykających pigułki w stan błogości, chroniąc ich przed straszliwymi napadami narkotykowego głodu.

Albowiem nikt spośród tych, którzy weszli do tego piekielnego kręgu, nie był w stanie się z niego wydostać.

W niezdobytym orlim gnieździe, które Lujipa i Szalony Obłok opuszczali raz w tygodniu, żeby praktykować *maithuną* w towarzystwie pięknej Śiakti, młody mnich przejął od swego nowego mentora skarb jego praktyk, wiedzy, a także nagłych intuicyjnych przebłysków. Przekraczać wszelkie zasady, zawsze i wszędzie; bezustannie rzucać wyzwanie wszystkim zakazom; nie bać się niczego i nigdy; kroczyć wciąż dalej i dalej; ośmielać się myśleć, że jest się czymś więcej niż sam Budda, którego metoda i wymagania były tak trudne do wprowadzenia w życie, że jeśli nie było się *arhatem,* kroczenie jego tropem Ścieżką Wyzwolenia stawało się czystą iluzją: takie były wyzwania, do jakich droga tantry zachęcała swoich wyznawców.

Była to doktryna tym bardziej uwodzicielska, że nie zobowiązywała do odrzucenia tradycyjnych bogów, przeciwnie, godziła starożytną religię z doktryną Błogosławionego.

Tak przedstawiały się dziwaczne i dalekie od normy przekonania Lujipy, które jego nowy uczeń uznał za normalne, a nade wszystko słuszne.

Im dalej Szalony Obłok posuwał się na ścieżce tantry, tym głębiej wierzył w jej doniosłość.

Bo ostatecznie czyż sam Siddhartha Gautama nie powiedział, że każdy mnich, jeśli tylko będzie pobożny, może stać się buddą, osiągnąć to ostatnie stadium, w którym nie ma już potrzeby odradzania się, ponieważ dotarło się do przedsionka raju?

Przekazywanie przez Lujipę tantrycznego płomienia Szalonemu Obłokowi przebiegło zadziwiająco szybko.

W rzeczy samej, uczeń bardzo prędko przerósł mistrza, nie tylko na polu seksualnej dzielności, ale także w ćwiczeniach kontrolowania oddechu i bólu, którym oddawał się Lujipa.

Dzięki nim Szalony Obłok potrafił zmusić swoje giętkie jak liana ciało do przyjmowania niewiarygodnych pozycji. Zadawał też sobie straszliwe cierpienia, nie wydając przy tym najcichszego okrzyku, i nie uronił ani kropli krwi, gdy ciął i przebijał sobie mięśnie.

I dobrze, gdyż Lujipa, któremu mieszaniny opium, rozchodnika, realgaru i odtrutki przeciw jadowi węża zżarły żołądek, zmarł dokładnie po roku, co do dnia, po nawróceniu Szalonego Obłoku na tantryzm.

Wówczas pochodnię doktryny przejął Szalony Obłok.

Postanowił wyruszyć na drogi, aby szukać wyznawców, którzy podążyliby za nim ścieżką tantry.

Jego pasja i rozmach, zwielokrotnione siłą przekonania i charyzmą, dokonały cudów.

Głoszone przez niego bez najmniejszego wstydu wezwanie do uprawiania seksualnej ekstazy, które w sposób całkowicie wolny od skrępowania i poczucia winy pozwalało młodym mnichom i mniszkom odkryć rozkosze cielesne, podnosiło wciąż liczbę wyznawców, gotowych za nim iść.

Sekretne przekazywanie doktryny rozwijało się doskonale.

Kandydaci do wtajemniczenia w tantrę napływali licznie; jednych pociągało seksualne współżycie i zbiorowe orgie, innych połykanie cudownych pigułek, które uszczęśliwiały jak za sprawą czarów, jeszcze innych urzekał tajemny charakter tej religijnej szkoły, której rozgłos nie przestawał rosnąć.

Bo w istocie, czyż nie posiadała ona podwójnego waloru — z jednej strony czciła starożytnych bogów, a z drugiej pozwalała wyznawcom, bez ryzyka boskiego odwetu, na wszelkie rodzaje deprawacji, jako że nie były już one złymi uczynkami.

Poświęcając się bez reszty zdobywaniu nowych wyznawców, po jakimś czasie Szalony Obłok zrozumiał, że uzależnił się od czarnej pigułki, którą Lujipa podał mu w trakcie pierwszego rytuału *maithuny*.

Od czasu gdy brał swą codzienną dawkę, nie cierpiał już na narkotyczny głód, a przede wszystkim czuł się dużo silniejszy,

dużo bardziej skoncentrowany i skuteczny w wyczerpującym zadaniu zdobywania nowych wyznawców, jakie pochłaniało go od rana do wieczora w Benares.

Stopniowo ścieżka tantry zdobyła licznych zwolenników, mimo iż zobowiązywali się oni do zachowania tajemnicy. Mieli też zakaz pochopnego pozyskiwania nowych wyznawców, ponieważ należało zachować wszelkie środki ostrożności, aby zapewnić sobie całkowitą dyskrecję.

Była to doktryna rozwijająca się w ukryciu; religia cienia i tajemnicy, która, wykorzystując jako przynętę swoją zagadkowość, zaczynała siać spustoszenie w buddyjskich wspólnotach, głównym źródle jej nowych zwolenników.

Dzięki wysiłkom, jakie podjęli Lujipa i Szalony Obłok, tradycyjne wspólnoty zaczęły uważać ścieżkę tantry za samodzielną szkołę religijną, z którą należało się liczyć, choć liczba jej uczniów pozostawała nieznana, za jeden z podziemnych prądów, które rozwijały się, nie ujawniając swojej nazwy.

Wprawdzie Szalony Obłok nie ważył się powiedzieć tego nikomu, ale w swej paranoicznej megalomanii, w jakiej pogrążył go nawyk brania substancji halucynogennych, całkiem po prostu widział w sobie nowego Buddę, dużo silniejszego od Siddharthy Gautamy, z jego trochę śmiesznym współczuciem dla innych, by nie wspomnieć o jego niechęci do przemocy, a także o jarzmie drobiazgowych klasztornych reguł.

On, Szalony Obłok, wymagał postaw dużo lepiej przystosowanych do rzeczywistości.

Głosił ni mniej, ni więcej, tylko buddyzm wyzwolony ze wszystkich nienaturalnych skrupułów, wolny od zacofanej moralności.

Marzył o buddyzmie tantrycznym, który wchłonąłby ostatecznie trzy główne nurty tej religii: mahajanę, hinajanę i lamaizm tybetański.

Jego argumentacja opierała się na dowodzeniu, że liczy się tylko Wyzwolenie, i nic więcej.

Mniej ważne było, jakimi sposobami się do niego dochodziło, ważne — aby robić to skutecznie.

Ten pragmatyzm i całkowity brak moralnych skrupułów zdziałały cuda, gdyż bardzo prędko, dzięki werbowaniu nowych wyznawców i organizowaniu tajemnych rytuałów, Szalony Obłok mógł zacząć marzyć o legalności dla drogi tantry.

Nieznany nikomu pobożny mnich hinajany zapragnął stać się wielkim mistrzem, dyskutującym jak równy z równym z głowami trzech wielkich oficjalnych buddyjskich prądów, i to w sytuacji, gdy jego sława nie wyszła nawet poza mury otaczające święte miasto Benares.

Mimo to wieść o drodze tantry dotarła do Chin, gdzie niektórzy mistrzowie *chan,* pochodzący ze szkoły zwolenników szybkiego oświecenia, nie byli dalecy od uznania tantryzmu za przyszłego i groźnego rywala, z powodu podobieństwa, jakie dostrzegali między jego metodami dążenia wprost do Przebudzenia poprzez współżycie seksualne a zalecaną przez nich medytacją na siedząco.

Ten paralelizm dróg „subitystów" i „tantrystów" pozwolił Szalonemu Obłokowi dojść do przekonania, że rozprzestrzenienie się tantryzmu w środkowych Chinach jest najzupełniej możliwe i że istnieje tam już bardzo poważny kierunek, któremu należy się przyjrzeć.

Wtedy właśnie głupi wypadek zmusił go do udania się do Tybetu.

W czasie jednej z tantrycznych ceremonii, której uczestnicy nadużyli pigułek Szalonego Obłoku, pewien młody mężczyzna poszedł na brzeg Gangesu, gdzie postawił sobie szałas z suchych gałęzi, po czym podłożył pod niego ogień i wszedł ze śpiewem na ustach na stos, którego płomienie tak dotkliwie go poparzyły, że rzucił się do świętej rzeki i od razu poszedł na dno.

Nieżyczliwi świadkowie natychmiast donieśli władzom o poczynaniach Szalonego Obłoku.

Nie miał wyboru i musiał wyjechać jak najdalej od Benares.

Przygnębiony, postanowił udać się do Tybetu, tego Dachu Świata, nadzwyczajnej krainy położonej w połowie drogi między domeną ludzi i domeną bogów, ponieważ jej wysokie góry, niczym oś świata, góra Sumeru, sięgały błękitnego nieba, którego były bramami.

Przez wiele miesięcy przemierzał doliny dopływów Gangesu i pokonawszy tysiąc niebezpieczeństw, dotarł do Lhasy, „najbliższej niebu stolicy" kraju. Swą pielgrzymkę wykorzystał do rekrutowania nowych wyznawców, którzy zdumiewali się jego pokazami kontrolowania bólu i sztuczkami, jakie demonstrował na poboczach dróg.

Już wtedy Lhasa była miastem niezwykłym.

W stolicy Krainy Śniegów, zarazem ośrodku religijnym i handlowym, który nie został jeszcze zdominowany przez ogromny klasztor Potala, bywało bardzo niewielu gości z innych krajów. Wyjątkiem były tylko oficjalne delegacje chińskie, wysyłane przez cesarza Taizonga, a potem Gaozonga w celu odnawiania skomplikowanych powiązań, subtelnej mieszaniny rywalizacji i podporządkowania, jakie władcy dynastii Tang utrzymywali z następcą zmarłego w roku 650 wielkiego króla Tybetu, Songstena Gampo.

Dzięki datkom, jakie wręczali mu gapie, Szalony Obłok przeżył z trudem w świecie, w którym panowała tak wielka nieufność, że po przybyciu tutaj odniósł wrażenie, iż cofnął się w czasie.

W oczach młodego Hindusa, który przybywał z wielkiego miasta, życie w Krainie Śniegów nadal było prymitywne jak w starożytnych czasach.

Nie zamierzał tu zostać, chciał dotrzeć do Chin, spodziewając się doświadczyć tam większej gościnności, gdy pewnego dnia podeszło do niego trzech ludzi, a jeden z nich był niewidomy.

—Szukamy sprawiedliwego, który wyręczy nas w ciągnięciu losów. Zgodziłbyś się to zrobić? — zapytał jeden z nich, Hindus.

—Nie znam się na grach hazardowych! — odparł z uśmiechem Szalony Obłok.

— To bez znaczenia. Zawiążemy ci oczy, a potem weźmiesz trzy przedmioty i włożysz je do trzech koszyków — wyjaśnił Hindus.

Niewidomy musiał być Tybetańczykiem, natomiast trzeci, najstarszy, miał jaśniejszą cerę i skośne oczy Chińczyka.

Wszyscy trzej mieli na sobie mnisie szaty, a ich misternie rzeźbione czarki na jałmużnę świadczyły o tym, iż zajmują wysokie pozycje w hierarchii swoich wyznań.

Szalony Obłok bez wahania, a nawet z pewnym rozbawieniem, zgodził się pójść z nimi.

To niewinne ciągnięcie losów okazało się jednak nieoczekiwaną szansą, dzięki której znalazł się w samym ogniu swej walki o dominację tantryzmu, mógł też zgłębić sekrety prawdziwego „świętego świętych".

Albowiem, wbrew oczekiwaniom, zdołał zdobyć zaufanie tych trzech ludzi, którzy najzupełniej przypadkowo poprosili go, aby rozstrzygnął kwestię związaną z niezwykle tajemniczą sprawą.

Ci trzej ludzie nie przewidzieli, że prosząc młodego jogina o wylosowanie trzech ponumerowanych kul, zaczęli hodować na swym łonie żmiję, która miała ich w końcu ukąsić.

Ciągnięcie losów, do którego zabrał się w dobrej wierze, zaowocowało wydarzeniami, które ułożyły się w łańcuch, ale Szalony Obłok, rozmyślając o tym na schodach wieży śmierci, nie potrafił ich ze sobą połączyć.

W jego skołatanym umyśle wszystko się pomieszało: wczoraj i dziś, rzeczywistość i marzenia, obrazy wirtualne i rzeczywiste.

Lhasa, losowanie, poznanie przełożonych trzech buddyjskich nurtów, następne spotkania, Samye, natknięcie się na Buddhabadrę, misja powierzona manipie, zamordowanie przełożonego z Peszawaru, kamienna pustynia, po której błądził bez celu, aż wreszcie ta opuszczona rudera i trupy "wydane przez wyznawców mazdaizmu na żer drapieżnikom...

Był natomiast pewny tego, że wielokrotnie widział się z nimi wszystkimi, głowami buddyjskich szkół, i rozmawiał z nimi

jak równy z równym, a jakże! Był wśród nich mistrz Czystość Pustki, przełożony największego chińskiego klasztoru w Luo-yangu, był czcigodny lama Gampo z Samye, najstarszego klasztoru Tybetu, a także Buddhabadra, przełożony klasztoru w Peszawarze, w którego posiadaniu znajdowała się jedna z najcenniejszych relikwii indyjskiego buddyzmu, Oczy Buddy.

Stając się niechcący świadkiem spotkania w Lhasie, którego miejsce i czas były znane tylko trzem mistrzom, odzyskał nadzieję na zrealizowanie nadludzkiego zadania, które miało poprowadzić go wprost ku nirwanie, a być może jeszcze wyżej, do stanu boskiego, a polegało na umożliwieniu tantryzmowi połknięcia trzech pozostałych gałęzi buddyzmu i stania się jego jedynym nurtem.

Pomysł Szalonego Obłoku nie był wolny od ambicji filozoficznych i metafizycznych.

Już na samym początku buddyzm zerwał z religiami Indii, bo ani ludzie, ani zwierzęta i rzeczy nie mają *atmana,* to jest duszy, jaźni czy samoistnej esencji, a tym, co uważano za rzeczywistość namacalną i niezmienną, rządzi zasada nietrwałości.

Skutkiem tego w oczach Buddy wszystko było *anatmanem.*

Wszystkie pierwotne wierzenia hinduistyczne kładły natomiast nacisk na istnienie *atmana,* który według nich świadczył o istnieniu bogów, takich jak Siwa, Wisznu, Mara i wielu innych, którzy swym tchnieniem wlewali duszę i swojego *atmana* w żywe istoty i rzeczy.

A ponieważ rytuały tantryczne, oparte na pochodzących z głębin wieków praktykach magicznych i szamańskich, można było zastosować zarówno do buddyzmu, jak i hinduizmu, stanowiły one jedyny sposób na połączenie tych dwóch głęboko przeciwstawnych koncepcji wszechświata i miejsca w nim bogów i ludzi.

Tak więc Szalony Obłok zaczął snuć plany podniesienia tantryzmu do rangi jedynej religii i czynnika godzącego te dwa religijne światy.

Stopniowo wszystko to dojrzewało w jego głowie, odkąd był świadkiem drugiego spotkania w Lhasie, które miało miejsce pięć lat po pierwszym.

W swym szaleństwie Szalony Obłok wbił sobie do głowy, że na ostateczne narzucenie tantryzmu pozwoli mu tylko bardzo specjalny rytuał, którego przebieg obmyślił w każdym detalu.

Był to rytuał, w którym musiało znaleźć się to, co trzech religijnych przywódców nazywało „świętymi rękojmiami", a które on starał się pozyskać na wszelkie sposoby.

I prawie mu się udało, gdyż wszedł w posiadanie tego, co znajdowało się w sercu z sandałowego drewna Buddhabadry!

Wspomnienie to wyrwało mu z piersi gorzkie westchnienie.

Jak mógł dopuścić, żeby uciekła mu taka sposobność!

Był pewny, że włożył małą szkatułkę Buddhabadry do swojej sakwy. Jej zniknięcie sprawiło, że lata wysiłków i cierpliwego oczekiwania poszły na marne.

Ponieważ teraz trzeba było zacząć wszystko od nowa, jeśli to w ogóle możliwe. Istniało prawdopodobieństwo, że nie będzie już spotkania w Lhasie z powodu niezgody, jaka z tajemniczych powodów zdawała się gnieździć między lamą Gampo, Czystością Pustki i tym dziwnym Buddhabadrą!

Buddhabadrą, którego ostatnie słowa wydobywały się powoli, okruchami, na powierzchnię zamglonej świadomości Szalonego Obłoku.

Aby ułatwić sobie uporządkowanie tego, co kłębiło się w jego głowie, połknął kolejną pigułkę.

Natychmiast jego nozdrza wypełnił zapach miodu, cynamonu i tymianku.

Ukazał mu się wyciągnięty na ziemi Buddhabadrą, z którego brzucha wylewały się zakrwawione wnętrzności. Przypominał sobie dokładnie, że zbliżył się do ciała i stwierdził, że to, co widzi, nie jest senną marą.

Kto więc mógł dokonać tak dzikiego mordu na przełożonym Klasztoru Jedynej Dharmy z Peszawaru? — zadawał sobie pytanie, siedząc na kamiennym schodku wieży śmierci.

Morderca musiał się wśliznąć między nich... a po drodze skradł małe serce z sandałowego drewna, zawierające relikwie!

Przed oczami wirowały mu niewyraźne obrazy rytualnej walki z przełożonym z Peszawaru w jakimś dziwnym, zrujnowanym miejscu, i młodej dziewczyny o pięknej twarzy *apsary,* która uleciała w niebo...

Potem w jego świadomości pojawiła się czarna dziura. Wydostając się z niej, zauważył, że Buddhabadra leży martwy u jego stóp, z rozpłatanym brzuchem.

Jakże był wściekły, gdy stwierdził zniknięcie małego serca. Szukał go wszędzie, bez skutku!

Wpadłszy w szpony zwątpienia, Szalony Obłok zadawał sobie pytanie, czy to, co mu się przydarzyło, nie jest aby skutkiem jakiejś klątwy.

Za sprawą jakiego zbiegu okoliczności znalazł się tu, na tych schodach, na zupełnym pustkowiu?

Niczego nie mógł sobie przypomnieć.

Był pewny tylko tego, że Buddhabadra nie żyje, a szkatułka z sandałowego drewna zniknęła.

Od ilu tygodni, a może nawet miesięcy tak błądził?

Nie miał pojęcia.

Ta posępna wieża śmierci podobała mu się nie bardziej niż wielki czamy skorpion, który wyłonił się zza kamienia i uniósł przeciwko niemu swe żądło. Szalony Obłok szybko go rozdeptał.

Czuł się straszliwie samotny, opuszczony przez bogów i Buddę.

Bez sandałowej szkatułki nie mógł spełnić żadnego ze swych marzeń.

Rozwiewała się nadzieja na zwieńczenie podniecającego zadania, tej nieporównanej, zbawczej, boskiej misji, której poświęcił ciało i duszę, wszystko.

Skoro nie posiadał już dwóch świętych rękojmi, nie musiał wracać do Dunhuangu, żeby zdobyć egzemplarz *Sutry o logice*

Czystej Pustki, złożony przez autora w Klasztorze Zbawienia i Miłosierdzia.

Gdyż aby dopełnić owego rytuału, powinien mieć wszystkie trzy przedmioty.

Co robić?

Przygnębiony i tak wyczerpany, że nie miał nawet siły jęczeć, poprzestał na kontemplacji uspokajającego bezmiaru pustyni.

Co mogło się kryć za tym opustoszałym widnokręgiem?

Być może rozciągało się tam terytorium pustki, przestrzeń Nieskończonej Czystości, w której tak słodko byłoby się rozpłynąć... albowiem ta pustka dawała władzę, jasność i siłę, które czyniły ludzi równych bogom, prorokom i buddom.

Zająć miejsce w szeregu bóstw, czyż nie to, koniec końców, było przedmiotem jego najgorętszych pragnień?

Ale równie dobrze ta pustka mogła pochwycić i wciągnąć w spiralę nicości...

Szalony Obłok unicestwiony w pustce, jak echo głosu w przestrzeni; Szalony Obłok zamieniony w pył pustyni; Szalony Obłok wchłonięty w procesie powolnego znikania... Tego się bał i ten paniczny strach sprawiał, że z każdym dniem był coraz bardziej szalony i coraz mniej się kontrolował, zupełnie jak błądzące po górach dzikie psy, które równie dobrze mogły czule polizać dziecko, jak pożreć je łapczywie...

Dojść tam, gdzie nie docierają inni...

W uszach brzmiało mu wciąż to zdanie, podczas gdy wydawało się, że widzi za piaszczystym pustkowiem, które gdzieś w oddali łączyło się z niebem, wpisaną w błękit swoją własną twarz.

Była to twarz dziwna i posępna, niepokojąca twarz, której przekrwione oczy go przerażały.

Uszczypnął się w ramię.

Nie śnił.

Siedział tu naprawdę, czując strach przed samym sobą, przed własną twarzą, która ukazała się na widnokręgu nicości.

Dojść tam, gdzie nie docierają inni...

Ten dręczący refren stał się nie do zniesienia.

Aby nie pozostać twarzą w twarz z samym sobą, trzeba było ruszyć znowu w drogę, błądzić, słuchając instynktu.

Być w ruchu! Zawsze i wciąż od nowa.

Trzeba było rzucić się do działania, albowiem to, co niemożliwe, pewnego dnia w końcu się pojawiło...

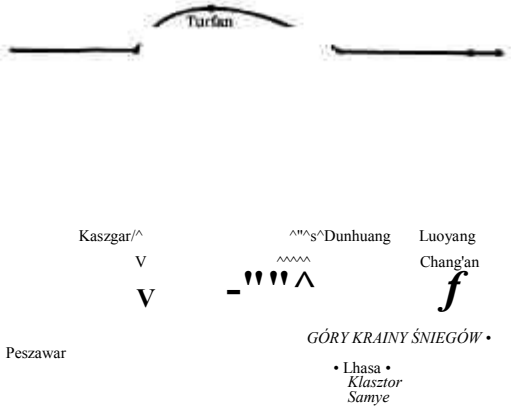

5

Pałac cesarski, Chang'an, Chiny,
15 września 656 roku

Cesarzowa Wu Zhao pospiesznie złożyła hołd, jakiego przynajmniej raz na miesiąc oczekiwał od niej cesarz Chin i jego nefrytowy drążek.

W porównaniu z organem Gaozonga narząd Niemowy, którego popróbowała dwa tygodnie wcześniej, był prawdziwym drągiem.

Ponieważ miała na niego chętkę, pewnego wieczoru postanowiła zaprosić go do swej łożnicy, gdy Gaozong wyjechał na inspekcję Wielkiego Muru.

Nieco zaskoczony, ogromny Turko-Mongoł pozwolił, aby rozebrała go do naga swymi doświadczonymi dłońmi.

—Jesteś zgorszony? — szepnęła.

—Ja nie zgorszony, moja pani! — mruknął obojętnie, jakby po wszystkich intymnych chwilach, jakie z nią spędził, oczekiwał tego, co mu się właśnie przydarzyło.

Wu Zhao nigdy nie oglądała tak muskularnego męskiego torsu.

Ogromne bicepsy Niemowy, pokryte tatuażami i błyszczące,

jakby były z laki, nabrzmiały niczym skórzane bukłaki, gdy

uniósł ją w ramionach, żeby położyć delikatnie na ogromnym łożu, gdzie zapragnęła, przyjmując odpowiednią pozę, aby wziął ją od tyłu.

Czy nie była to czysta rozkosz, dać się porwać istocie tak silnej i dzikiej, która mimo tego poczynała sobie nader delikatnie?

Ale co ważniejsze, Wu Zhao poczuła się natychmiast zalana rozkoszą, ledwo wprowadził do jej intymnej szczeliny ogromną żołądź, wieńczącą jego wisiorek.

Już od lat, od czasu gdy został jeńcem wojennym, Niemowa nie obcował z kobietami.

Nie zwlekał więc zbyt długo z wylaniem się w nią strumieniem tak potężnym i gorącym, że zachwycona Wu Zhao miała wrażenie, że jej ciało przeszyła ognista klinga.

— Jeszcze! Jeszcze! — krzyczała bez cienia wstydu cesarzowa Chin, którą to cudowne doznanie doprowadzało do szaleństwa.

Niemowa zachował się niczym grzeczny uczeń i znowu zabrał się do dzieła z taką samą energią, stosując się do coraz wymyślniej szych życzeń Wu Zhao, która za każdym razem doznawała rozkoszy tak wielkiej, że musiała wgryzać się zębami w jedwabną chustkę, żeby nie krzyczeć.

Gdy wreszcie nad ranem rzuciła się na imponujący instrument rozkoszy, żeby złożyć mu ostatni hołd, gdyż wielkimi krokami zbliżała się godzina ubierania, ledwo zdołała objąć go ustami, tak był wielki.

Narząd Niemowy przypominał ozdobne rękojeści szabli z brązu, zastrzeżonych dla generałów chińskiej armii, które kończyły się wielkim guzem w kształcie zamkniętego lotosu.

W porównaniu z tym narządem nefrytowy trzonek cesarza wydał jej się więc tego ranka wyjątkowo mały.

— To było cudowne, ale trwało bardzo krótko, moja słodka przyjaciółko! Kiedy jest mi tak dobrze, chciałbym jeszcze, ale trochę dłużej! — zażartował cesarz, wkładając spodnie.

— Wasza Wysokość, nie dorzucajcie szronu do śniegu! Gdybyście wiedzieli, jak mnie boli głowa! —jęknęła Wu Zhao.

Specjalnie użyła tego wybiegu, aby dać Gaozongowi do zrozumienia, że lepiej nie zaogniać sytuacji.

W rzeczywistości z powodu opóźnienia miesiączki przypuszczała, że jest w ciąży, ale było o wiele za wcześnie, żeby mówić o tym mężowi.

Kilka miesięcy temu upewniła się, oczywiście dzięki Niemowie, że cesarz jest bardzo niestały, i bała się, żeby ta nowina nie skłoniła go do jeszcze energiczniejszego uganiania się za dziewicami, na które, jak mówiono na dworze, stał się łasy.

—Nie chcesz, pani, żebym wezwał lekarza, który by cię zbadał?

—Nie ma w kraju dobrego medyka, zwłaszcza od czasu, gdy taoistyczni uzdrowiciele stracili prawo wstępu do cesarskiego pałacu! Ostatni znachor, jaki mnie badał, przyłożył tylko palce do moich skroni, zapewniając, że ból głowy przejdzie! Ale tak się nie stało. Nigdy nie zdołam się wyleczyć bez odpowiednich środków! — odparła nadąsana.

—Nikt nigdy nie pogodzi konfucjańskiego mandaryna z taoistycznym mistrzem *fangshi!* Nie ma rady, wszystko ich dzieli! — westchnął cesarz.

Była to aluzja do nieustannych walk o władzę, które konfucjaniści toczyli od niepamiętnych czasów z taoistami.

Ci pierwsi, gdy nie pochodzili z arystokracji, dostarczali w wielkiej liczbie wysokich urzędników, których dynastia Tang rekrutowała drogą konkursów, dokonując bezlitosnej selekcji.

Służąc państwu, ludzie ci stawali się oświeconymi technokratami, mającymi usuwać piasek z trybów skomplikowanej maszynerii cesarskiej administracji, choć najczęściej okazywali, niestety, większą pilność w chronieniu własnych interesów niż w służeniu krajowi.

Natomiast taoizm, ze swoim irracjonalizmem, zamiłowaniem do praktyk magicznych i alchemicznych, a przede wszystkim troską o własne dobro, co czyniło z niego filozofię z zasady

indywidualistyczną, uważany był przez rzeczników wspólnotowej moralności społecznej, jakimi zawsze byli konfucjaniści, za główne źródło niezgody i społecznej dezintegracji.

Tak więc religijny i filozoficzny prąd, którego kapłanów nazywano ekscentrykami i „długowłosymi mnichami", tak naprawdę nie urzekał świętością warstwy wysokich urzędników i polityków, którym udało się nawet wydać rozporządzenie zakazujące tym kapłanom wchodzenia do cesarskiego pałacu bez upoważnienia.

Kilka miesięcy temu cesarzowa wywołała mały skandal, gdy postanowiła korzystać z usług jednego z tych długowłosych mnichów, z którym grywała od czasu do czasu w szachy.

Ceniła sobie oryginalność tego człowieka, który szpikował rozmowy zabawnymi powiedzonkami i wprowadzał urozmaicenie do konwencjonalnych stosunków, jakie znudzona Wu Zhao zobowiązana była utrzymywać z damami dworu, w ogromnej większości głęboko nią pogardzającymi.

Oszczercy z dworu w Chang'anie prędko oskarżyli władczynię o to, że oddaje się w towarzystwie tego kapłana o dziwnym wyglądzie magicznym rytuałom, które moralność konfucjańska mogła tylko potępić.

Wu Zhao musiała się więc tłumaczyć przed cesarzem, w którym inspiratorzy oszczerstw podstępnie obudzili wątpliwości.

Sprawa zakończyła się w łóżku cesarzowej, która błyskawicznie znalazła skuteczne i przekonujące sposoby, by cesarski małżonek zapomniał o tych drobnych wybrykach.

— Gdy tylko usłyszę o dobrym taoistycznym lekarzu, przysięgam ci, moja droga, że go tu przyślę! — zapewnił cesarz, złożywszy pocałunek na czole małżonki.

Zbliżała się pora audiencji i musiał wrócić do swych komnat, gdzie czekali marszałkowie dworu, aby ubrać go na tę okazję.

Cesarz nie mógł bowiem pokazać się publicznie bez atrybutów władzy: długiego żółtego płaszcza podszytego jedwabiem w lecie i futrem z norek zimą, a także przeróżnych

klejnotów ze złota, nefrytu i szmaragdów. Z jego szyi musiała zwisać „kłódka długiego życia", *changmingsuo,* z czystego złota, z wygrawerowanymi przez złotnika jednym ciągiem znakami, składającymi się na formułę „długie życie".

Zostawszy sama, Wu Zhao stwierdziła, że bardzo źle się czuje.

Powodem tego nie była jednak silna migrena, do której już przywykła, ani nieznośny pas bólu, ściskający jej skroń mocniej niż tiary, które musiała wkładać na oficjalne uroczystości.

Była zdenerwowana, albowiem bardziej niż czegokolwiek obawiała się, że zawiedzie Czystość Pustki, zwierzchnika chińskiego Wielkiego Wozu, który, licząc miliony mnichów, był najsilniejszą organizacją w chińskim społeczeństwie, jeśli nie liczyć cesarskiej armii.

Z upływem czasu uświadamiała sobie coraz wyraźniej, że jeśli chce zrealizować swoje cele, zostać cesarzową i zastąpić na tronie Gaozonga, którym z każdym dniem coraz bardziej pogardzała, niezbędne jest jej poparcie buddystów.

Niedobór jedwabiu w środkowych Chinach, wraz z nagłym wstrzymaniem handlu tkaninami przemycanymi z Dunhuangu, spowodował wyschnięcie wszystkich źródeł zaopatrzenia, dzięki którym mogłaby dotrzymać obietnicy danej przełożonemu Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu, że dostarczy jedwabiu potrzebnego do uszycia chorągwi.

Przeczuwała zresztą, że pewnego dnia będzie jej potrzebne wsparcie ludu, więc aby poprawić swoją reputację i zdobyć jego przychylność, zdołała przekonać cesarza, żeby wydał kilka rewolucyjnych dekretów.

Niektóre dotyczyły rolników.

Aby zachęcić ich do hodowania jedwabników i wyrównać niedobór jedwabiu, coraz bardziej dotkliwy dla cesarskiej gospodarki, zezwolono biednym chłopom na uprawianie ziemi położonej u stóp miejskich murów, co rozwścieczyło niejedną rodzinę spośród arystokracji i latyfundystów.

Po ogłoszeniu tego dekretu wzdłuż murów opasujących najmniejsze nawet mieściny pojawiły się pola prosa i jęczmienia, choć jeszcze wczoraj mieszkańcy mieli surowy zakaz wstępu na te ziemie, uważane za tereny wojskowe.

Inny dekret, także wydany z inicjatywy Wu Zhao, który sprawił, że dowódcy sztabowi zaczęli zgrzytać zębami i przeciwko któremu stary generał Zhang protestował ze wszystkich sił, zmierzał do zmniejszenia liczebności cesarskiej armii.

Dekret ten miał być ostrzeżeniem dla kręgów wojskowych, które stanowiły rdzeń władzy i aż dotąd dawały oparcie Gaozongowi, oraz sprawić, że podatki na wojsko nie będą dla społeczeństwa takim obciążeniem. Militarne podboje nie były już powodem do dumy, jako że wszyscy albo prawie wszyscy mieszkańcy terenów przygranicznych przyłączyli się do chińskiego imperium, które nigdy nie rozciągało się tak daleko, wykraczając hen poza świętą i symboliczną granicę, jaką był Wielki Mur.

„Zwrócić ludowi nadwyżkę, którą państwo niesłusznie mu zabiera", mawiała Wu Zhao i dbała, by to zdanie powtarzano poza cesarskim pałacem.

Z tych samych powodów cesarzowa uzyskała zgodę na zdecydowane ograniczenie wydatków na budownictwo publiczne.

Dwie stolice, główna — Chang'an, i wschodnia — Luoyang, były najpiękniejszymi miastami świata.

Chang'an przecinało czternaście alei z północy na południe i osiem z zachodu na wschód. Przez miasto poprowadzono kanały, pozwalające dotrzeć łodziami do stu dziesięciu zamkniętych dzielnic i dwóch ogromnych targowisk.

Wzdłuż najszerszych alei stały wspaniałe budowle, które miały symbolizować potęgę i dobrobyt ich właścicieli, czy to bogatych rodzin lub kupców, czy to instytucji publicznych finansowanych z podatków.

Większość budowli administracyjnych zgrupowana była w miejscu zwanym „cesarskim miastem". Było ono położone na południe od pałacu cesarskiego i znajdowały się w nim gmachy Spraw Państwowych, Kancelarii, Wielkiego Sekretariatu i Rady Państwa.

Na wzór głównej stolicy Chin, na planie szachownicy został wzniesiony Luoyang, trochę tylko mniejsza wersja wielkiej siostry, z którą łączył je liczący prawie czterysta kilometrów i żeglowny niemal na całej długości kanał. Dwór przebywał tu chętnie latem, z uwagi na chłodniejszy klimat niż w Chang'anie.

Całe terytorium najgęściej zaludnionego i najpotężniejszego kraju świata pokrywała sieć dróg i kanałów. Ich budowę rozpoczął osiem i pół wieku temu Qin Shi Huangdi, pierwszy cesarz Chin. Tangowie odbudowali je wszystkie, aby uczynić z nich szlaki komunikacyjne, przeznaczone do transportu ludzi i wszelkiego rodzaju towarów napływających do wielkich chińskich miast.

W roku 608 przedłużono drogę wodną, która miała otrzymać nazwę Wielkiego Kanału Cesarskiego, łączącego Luoyang z regionem Pekinu, odległym o przeszło tysiąc pięćset kilometrów.

Oznaczało to, że przygotowana przez Wu Zhao z myślą o podatnikach ulga zjawiła się w najbardziej odpowiednim momencie.

Pragnąc poprawić swój wizerunek władczyni chroniącej interesy prostych ludzi, starała się wydawać dekrety o charakterze społecznym, ale najważniejsze z nich dotyczyły religii.

Tak więc dzięki uwodzicielskim talentom zdołała sprawić, że cesarz zadekretował środki zachęcające do studiowania buddyjskich sutr oraz tekstów taoistycznych, a także ustanowił opłatę od nowo wzniesionych pagód na całym terytorium Chin.

Ten ostatni dekret pozwolił Wu Zhao dozować mądrze i według swej woli przepływy ogromnych sum, co łączyło nurt Wielkiego Wozu z innymi dziedzinami gospodarki.

Obniżając tę opłatę, faworyzowała buddystów, podnosząc ją, karała ich.

Czystość Pustki, który nie był człowiekiem naiwnym, podzielił się z nią zastrzeżeniami, jakie narzucenie tego nowego podatku budziło w buddystach.

—Możecie na mnie liczyć! Im Wu Zhao będzie potężniejsza, tym lepiej Wielki Wóz będzie się miał w tym kraju! — odpowiedziała mu.

—Państwo zacznie w końcu decydować o życiu i śmierci duchowych instytucji, jakimi jesteśmy... Czy to słuszne?

Po takich obawach, nawet jeśli przełożony z Luoyangu wyszeptał je nieśmiało, cesarzowej jeszcze bardziej leżało na sercu dotrzymanie obietnicy dostarczenia jego klasztorowi jedwabiu potrzebnego do uszycia tysięcy chorągwi, zawieszanych na ścianach wielkich sal modlitewnych.

Niedostatek zarówno legalnego, jak i nielegalnego jedwabiu był dla Wu Zhao bardzo niewygodny.

Tego właśnie ranka miała tak ostrą migrenę i czuła się tak bardzo wyczerpana, że zaczęło ją ogarniać znajome uczucie zniechęcenia.

W jej umyśle kłębiły się wciąż te same pytania, sączące cichą muzykę zwątpienia.

Czy walka, jaką prowadzi przeciwko kręgom wspierającym legalną władzę, nie jest ponad jej siły?

Czy to rozumne, by kobieta, która za całą broń ma tylko urodę i intelekt, podkopywała fundamenty Państwa Środka, na przekór potężnej i chytrej arystokracji wojskowej i cywilnej Trzystu Rodzin?

Ściskała ze wszystkich sił maleńki srebrny medalionik, z którym nigdy się nie rozstawała, a w którym zamknięty był portret Maitrei, Buddy Przyszłości, namalowany w żywych kolorach rzęsą słonia przez słynnego miniaturzystę z północnych Indii.

Do kontynuowania samotnej walki zachęcała ją gorąca wiara w Błogosławionego. Ale głównej podniety dostarczało jej dziecko, którego się spodziewała.

Z całego serca pragnęła, aby był to chłopiec.

Bo wtedy, jak mówiło przysłowie, „drzewo stałoby się okrętem", a ona wyciągnęłaby z tego korzyść, dysponując męskim zastępcą, gdyby małemu Li Hongowi przydarzyło się coś złego.

Z narodzinami dziecka, mającymi nastąpić za siedem miesięcy, wiązała ogromne nadzieje. Aby ostatecznie umocnić swój wpływ na małżonka, nie powiedziała mu jeszcze o tym.

Od kilku miesięcy pogarszało się zdrowie cesarza Chin, który coraz częściej miewał drgawki i porażenie nerwu twarzowego, co nie powstrzymywało gó od przygód z młodymi kobietami, które specjalnie dla niego wybierano.

Od kilku tygodni cesarz obdarzał względami piękną sasanidzką brankę o długich kręconych włosach, którą kazał uwolnić. Jego nowy romans nie przestawał być tematem plotek i groził wywołaniem małego skandalu na dworze, czemu Wu Zhao mogła się tylko przyglądać, zaciskając zęby.

Pragnąc posłuchać śpiewu świerszcza, w nadziei, że przyniesie jej ulgę, przywołała Niemowę, który pospieszył po małą, okrągłą klatkę do wewnętrznego ogródka, gdzie wisiała na gałęzi karłowatego klonu, a potem zawiesił ją w komnacie cesarzowej.

Jednak wbrew jej oczekiwaniom, monotonna muzyka owada nie tylko nie ukoiła bólu, ale zdawała się odnosić odwrotny skutek. Ból stał się wprost nie do wytrzymania.

Zażądała, by Niemowa zrobił coś, co nie było dozwolone na dworze — a mianowicie sprowadził taoistycznego medyka.

— Niemowo, mówiono mi, że od kilku dni na wielkim targowisku sprzedaje leki taoistyczny kapłan. Ma podobno dwoje dzieci, z których jedno jest małą małpką, a drugie małym chłopcem. Ze wszystkich stron zbiega się tłum, żeby oglądać to nadzwyczajne zjawisko. Wiesz coś o tym?

—Nic! — chrząknął z zakłopotaniem służący.

—W takim razie pójdziesz zasięgnąć języka. I jeśli to, co opowiadają, jest prawdą, przyprowadzisz mi go po zakończeniu targu! — poleciła.

Kiedy Niemowa dotarł na wielki targ leczniczych ziół, wokół straganu medyka tłoczył się już gęsty tłum.

— Zbliżcie się, podejdźcie bliżej! Sprzedaję wszelkie możliwe leki! —wołał donośny męski głos, dochodzący zza ściany, jaką tworzył zbity tłum.

Bez wątpienia musiał to być ów medyk.

Ogromny Mongoł roztrącił ludzi, którzy skwapliwie ustępowali mu drogi. Ci, którzy znali jego reputację, bali się go jak zarazy, a tych, którzy nic o nim nie wiedzieli, przerażała jego postura i groźny wygląd.

Sprzedawca ziół musiał być tym taoistycznym kapłanem, którego Wu Zhao kazała mu odnaleźć i o którym od kilku tygodni mówiono w całym Chang'anie. Jego stragan zastawiony był małymi wiklinowymi koszyczkami. W jednych znajdowały się wielobarwne proszki, w innych liście albo suszone korzenie. Pomagał mu jakiś rozczochrany człowiek.

Za ich plecami siedziała młoda, pełna wdzięku kobieta, a obok niej warował z wywieszonym językiem płowy pies o długiej sierści. Kobieta trzymała na kolanach dwoje dzieci, z których jedno miało twarz pokrytą włosami, przez co przypominało małpkę.

Gapie i kumoszki podniecały się widokiem, jak je żartobliwie nazywano, „boskich dzieci".

—Popatrzcie no na to kochane maleństwo z owłosioną buzią, czyż nie jest urocze?! — wołano.

—Co za śliczny mały koczkodan! — rzuciła jakaś kobieta.

— Nigdy nie widziałam czegoś podobnego! Ich ojciec musiał być bogiem, jeżeli nie miały boskiej matki! — wy krzyknęła inna.

Pięć Zakazów nie narzekał na brak zajęcia, jeśli sądzić po liczbie klientów, którzy po ostrych targach odchodzili zaopatrzeni w parę gramów proszku, nie zapominając poprosić o przywilej dotknięcia ubranek dzieci, szczególnie tego, którego buzia pokryta była włosami.

Stanąwszy naprzeciwko taoistycznego kupca, Niemowa podał mu złożoną we czworo kartkę, opatrzoną woskową pieczęcią, na której widniał feniks.

Gdy Pięć Zakazów rozłożył list i zaczął czytać, z trudem ukrył zdumienie.

Napisane znakami, jakich używali skrybowie z administracji, pismo było aż nadto jasne.

Byłabym wdzięczna, gdybyście zechcieli, panie, pójść z doręczycielem tego pisma. On przyprowadzi was do mnie, do pałacu cesarskiego, gdzie nie zostanie wam wyrządzona żadna krzywda. Wystarczy, że zmienicie ubranie i straż nie będzie was niepokoić. Jak najpilniej muszę skorzystać z waszej wiedzy medycznej. Proszę przyjść natychmiast! Cesarzowa Wu.

Pięć Zakazów odwrócił się pospiesznie, żeby pokazać kartkę Umarze.

—Jeśli pod listem rzeczywiście figuruje jej podpis, to wydaje mi się, że trudno będzie odrzucić to zaproszenie! — powiedziała zakłopotana, przeczytawszy list.

—Nie mam wątpliwości, że ona jest jego autorką! — mruknął Pięć Zakazów, wskazując lektykę w cesarskich barwach, która zatrzymała się koło straganu, gdy uzbrojeni strażnicy rozpędzili razami bata gapiów i kupujących.

—Pójdę do niej sam. Zostań tu, Umaro. Wrócę najszybciej, jak się da.

—Pięć Zakazów, nie zostawiaj mnie samej! Chcę iść z tobą!

—A dzieci? — szepnął. — Co z nimi zrobimy? Są takie małe! Nie zostawimy ich przecież na straganie z ziołami pod opieką manipy!

—Zabierzemy je ze sobą! — ucięła dziewczyna.

—A ja? — zapytał zaniepokojony manipa.

— Pójdziesz z nami, jak one! — rzuciła niczym srogi generał w sukience, na oczach trochę tym zdziwionego Niemowy.

Jeśli nie liczyć cesarzowej, olbrzym nigdy nie spotkał równie wdzięcznej i stanowczej młodej kobiety. Takie myśli chodziły mu po głowie, kiedy pomagał jej usadowić się z Niebiańskimi Bliźniętami w lektyce Wu Zhao, podczas gdy Pięć Zakazów pakował cenny towar ze swojego straganu.

Lektyka ruszyła, a za nią biegł potulnie wielki pies, który także zdawał się nie mieć najmniejszego zamiaru porzucać swoich panów.

Ani Pięć Zakazów, któremu Niemowa wręczył strój urzędnika dziewiątej i ostatniej klasy, ani Umara, emanująca urodą i wdziękiem, nie wyobrażali sobie wspaniałości cesarskiego pałacu najpotężniejszej dynastii na ziemi.

Gdy Niemowa polecił tragarzom zatrzymać się na przestronnym, wyłożonym płytami dziedzińcu, w środku którego ogrodnicy z fryzjerskimi nożyczkami w rękach kręcili się wokół setek miniaturowych drzew w donicach z brązu, ustawionych w równych rzędach, młodzi ludzie nie mogli powstrzymać się od westchnienia zachwytu.

Niemowa dał znak Pięciu Zakazom, że ma iść z nim sam.

Ruszyli przez niezliczone ganki i portyki, wzdłuż wysokich ślepych ścian i długimi korytarzami, które zdawały się nie mieć końca, aż wreszcie Pięć Zakazów stanął przed obliczem władczyni.

Wu Zhao siedziała, czekając spokojnie, aż fryzjerka skończy wpinać złote szpilki w jej upięte w węzeł włosy.

Zbliżywszy się, młody wyznawca mahajany mógł przekonać się na własne oczy, że to, co mówiono o jej urodzie, dalekie było od przesady.

Ujrzawszy Pięć Zakazów, cesarzowa poleciła spojrzeniem fryzjerce, żeby zostawiła ich samych.

— Ptak migreny dziobie moją czaszkę! Co możesz dla mnie zrobić? — zwróciła się do gościa, gdy tylko się wyprostował,

złożywszy przedtem głęboki ukłonu, jak mu nakazał na migi Niemowa.

—Wasza Wysokość, dysponuję wszelkiego rodzaju środkami! Proszkami z ziół i z kamieni... — odparł wciąż lekko pochylony mnich.

—Gdzie je masz? Potrzeba mi skutecznych leków, i to prędko!

—Wasza Wysokość, wszystkie moje medykamenty znajdują się w lektyce na dziedzińcu.

—No dobrze, więc chodźmy tam! — rzuciła rozdrażniona cesarzowa, a potem spiesznie zeszła na podwórzec, na którym Umara uspokajała płaczące dzieci.

—To te niezwykłe dzieci! Słyszałam o nich! A to naznaczone jest czymś w rodzaju *durhy*\ — wykrzyknęła zachwycona Wu Zhao, pochylając się z uwagą nad owłosioną twarzyczką dziewczynki, podczas gdy Lapika, obawiając się, że jej maleńkiej podopiecznej może się stać coś złego, zaczęła powarkiwać.

Manipa natychmiast uciszył psa.

—Chodźmy do mojej komnaty, tam będzie nam wygodniej! — powiedziała cesarzowa. Pięć Zakazów wybierał tymczasem spośród ziół i proszków te, które zwykle stosowano na ból głowy.

—Wasza Wysokość, ta suka jest ich karmicielką. Czy Wasza Wysokość pozwoli, żeby z nami poszła? — zwróciła się do Wu Zhao wcale nieonieśmielona Umara. Cesarzowa przyzwoliła z uśmiechem.

Znalazłszy się w apartamentach władczyni, młoda chrześcijanka, nadal czując się swobodnie, ułożyła Niebiańskie Bliźnięta przy nabrzmiałych sutkach Lapiki.

Pięć Zakazów wsypał do czarki z wodą mieszankę proszków z mięty i rzewienia, którą zalecił mu jeszcze w trakcie nowicjatu stary mnich, przekonany, że jest to niezawodny środek na ból głowy.

— Twój medykament nie wygląda źle! Dziób ptaka migreny

nie wydaje mi się już taki ostry! — powiedziała cesarzowa w chwilę po wypiciu leku.

Wydawała się bardziej odprężona, rozbawiona tym, co rozgrywało się przed jej oczami.

Dwoje najedzonych dzieci zasypiało przy piersi płowej suki. Jeśli chodzi o manipę, to jego wystrzępione odzienie tak kontrastowało z przepychem obić i kobierców, że przypominał widmo albo jednego z duchów nawiedzających okolice piekieł, strefę przeznaczoną dla tych, którzy żyją w grzechu.

—Wasza Wysokość, to jest lek pewnej dobrej kobieciny... a raczej starego mnicha! Rzadko działa natychmiast. Trzeba go brać trzy razy dziennie przez trzy dni! — powiedział cicho Pięć Zakazów, o wiele bardziej onieśmielony niż jego ukochana.

—W takim razie będziesz tu przychodził tyle razy, ile będzie trzeba! I otrzymasz za to zapłatę! Za każdym razem będziesz musiał zmienić strój. Taoistycznym kapłanom nie wolno wchodzić do cesarskiego pałacu bez pozwolenia kancelarii! — wyjaśniła Wu Zhao.

—Wasza Wysokość, jestem na usługi Waszej Wysokości!

—Znasz się na ziołach. W jakiej świątyni cię wykształcono? — zapytała, spoglądając na niego życzliwie.

Pięć Zakazów zawahał się, jakiej odpowiedzi udzielić cesarzowej Chin.

Nie wyobrażał sobie, że mógłby okłamać tę kobietę.

Wydało mu się podłością oszukiwanie protektorki Wielkiego Wozu, tej, której imię wymawiały codziennie podczas porannych modłów tysiące nowicjuszy, dziękując jej za wszystkie dobrodziejstwa, jakimi obsypywała klasztory w całych Chinach.

Byłby to z pewnością śmiertelny grzech, o wiele cięższy niż zakochanie się w młodej dziewczynie, gdy złożyło się już śluby czystości, po prostu dlatego, że byłby to z jego strony błąd intencjonalny. A spośród wszystkich czynów popełnianych przez ludzi liczyły się tylko te, które nosiły znamiona złego uczynku.

Spojrzał na cesarzową, powtarzając w duchu gotową odpowiedź.

—Wasza Wysokość, tak naprawdę, nie jestem ani sprzedawcą leczniczych ziół, ani taoistycznym kapłanem! — oświadczył mocnym głosem, zebrawszy się na odwagę.

—Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała Wu Zhao zdziwiona, po czym stanęła przed nim, jakby chciała mieć pewność, że dobrze zrozumie jego słowa.

Pięciu Zakazom nie zajęło wiele czasu podjęcie decyzji, żeby powiedzieć jej całą prawdę o sobie.

W komnacie zapadła cisza, zakłócana tylko mlaskaniem dzieci, które zabrały się znowu do łakomego ssania suki. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na reakcję cesarzowej.

—Wasza Wysokość, jestem pomocnikiem mistrza Czystości Pustki, przełożonego Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu! Mam na imię Pięć Zakazów i jestem mnichem Wielkiego Wozu — ciągnął Pięć Zakazów.

—To niewiarygodne, co mówisz! Zaledwie kilka tygodni temu miałam tu przed sobą, na twoim miejscu, Pierwsze z Czterech Słońc Oświetlających Ziemię, jego pomocnika! Co zatem robiłeś na targowisku z leczniczymi ziołami? O ile mi wiadomo, nie tam jest miejsce mnicha Wielkiego Wozu!

—Próbowałem zgromadzić pieniądze potrzebne na opłacenie barki, którą prędzej dotarlibyśmy do Luoyangu! Ale, Wasza Wysokość pojęlibyście dziwaczność naszej sytuacji dopiero wtedy, gdybym szczegółowo opowiedział moją historię! — Pięć Zakazów dał znak Umarze, żeby do niego podeszła.

—Mamy mnóstwo czasu, słucham cię! — odparła Wu Zhao. Słowa młodego mnicha tylko wzmogły jej ciekawość.

—Padłem ofiarą splotu niespodziewanych wydarzeń... — zaczął Pięć Zakazów i opowiedział coraz bardziej zdumionej cesarzowej o wszystkim, co zdarzyło się w jego życiu od czasu, gdy jego przełożony wysłał go do Tybetu.

— Pięć Zakazów, jesteś niezwykle odważny! To pięknie! Podoba mi się to, co zrobiłeś! — wykrzyknęła Wu Zhao, gdy zakończył swoją opowieść.

Cesarzowa, która miała słabość do buntowników łamiących zakazy, podążających za wszelką cenę za swoimi marzeniami, wydawała się urzeczona lojalnością i odwagą, jakiej dowody dał ten młodzian.

Czyż nie zdecydował się pokonać tysiąca niebezpieczeństw, ratując powierzoną mu przez lamę z Samye dwójkę niezwykłych dzieci, którym groził okrutny los?

Czyż nie wykazał się odwagą, zakochując się w młodej cudzoziemce, mimo iż złożył śluby zakonne, które mu tego zabraniały?

Wu Zhao nigdy nie bała się łamania różnych tabu, toteż poczuła się bliska temu młodemu mnichowi o sympatycznym obliczu, którego śmiałość i prawość nie budziły wątpliwości.

—Wasza Wysokość, kocham Pięć Zakazów tak, jak on mnie! — wykrzyknęła Umara, której dwubarwne, rzucające złote odblaski oczy zdawały się wyzywać cesarzową Chin.

—To widać! — odparła kwaśno cesarzowa.

—Pragniemy się pobrać i mieć dzieci! Ale muszę przekonać mistrza Czystość Pustki, żeby zwolnił mnie ze ślubów. Mam nadzieję, że mnie zrozumie... — dodał zamyślony Pięć Zakazów.

—Prawdą jest, że niektórzy mistrzowie bywają nieprzejednani wobec tych, w których pokładają duże nadzieje. W samej rzeczy, Czystość Pustki ma opinię przełożonego, z którym nie ma żartów — podkreśliła cesarzowa.

—Bardzo się tego obawiam, Wasza Wysokość. Będę próbował wyjaśnić mu, że moje intencje były jak najczystsze. Nie szukałem tej młodej kobiety! To ręka Buddy mnie ku niej poprowadziła!

—A mój Jedyny Bóg postąpił tak samo! — dodała Umara.

—Jesteś więc wyznania monoteistycznego? — zapytała

Wu Zhao, coraz bardziej zaintrygowana swymi gośćmi, którzy przebyli co najmniej tak samo niezwykłą drogę jak ona.

— Mój ojciec, Wasza Wysokość, jest założycielem wspól noty nestorianów w oazie Dunhuang. Czcimy jednego Boga, stworzyciela wszystkich rzeczy na ziemi i w niebie.

Umara nie zauważyła nieufności, jaka przez chwilę zagościła w oczach cesarzowej.

Niektórzy oskarżali nestorianów — choć aż dotąd żaden z nich nie zdołał dostać się do środkowych Chin — o spiski i intrygi w głównych oazach Jedwabnego Szlaku. A niedawne wynurzenia Zielonego Kolca skłaniały cesarzową do zachowania ostrożności.

Mimo wszystko piękna Umara, niewinna i szczera, nie wyglądała na szpiega ani intrygantkę.

—W jaki sposób zamierzasz uzyskać od Czystości Pustki zgodę na powrót do stanu świeckiego? — zapytała Wu Zhao Pięć Zakazów.

—Mam nadzieję, że jego serce zmięknie na widok Niebiańskich Bliźniąt. To one sprawiły, że moje życie tak właśnie się potoczyło... Gdyby nie one, Persowie by nas zabili, a wtedy jak mógłbym spotkać miłość mego życia? — wyjaśnił młody wyznawca mahajany, tuląc Umarę.

Nie trzeba było wiele czasu, aby ta potężna miłość i niewinność, jakiej dowody dawali młodzi ludzie, poruszyły cesarzową.

—Kto wie, być może mogłabym pomóc ci przekonać twojego przełożonego! — szepnęła.

—Wasza Wysokość, to by było cudowne! — westchnęła młoda nestorianka.

Klaszcząc jak mała dziewczynka, ośmieliła się nawet pocałować Wu Zhao w rękę, a ta chętnie jej na to pozwoliła, chociaż było to niezgodne z dworskim protokołem.

— Jeśli mistrz Czystość Pustki pozwoli mi poślubić Umarę, będziemy mogli zaopiekować się Niebiańskimi Bliźniętami, a ich obecność w klasztorze Wdzięczności za Cesarskie Dob rodziejstwa z całą pewnością przyciągnie tłumy wiernych...

— Na targowiskach zbiega się zawsze mnóstwo gapiów, żeby oglądać te boskie maleństwa! — zauważyła Umara.

Wu Zhao popatrzyła na niemowlęta.

Leżały zawinięte w kołderki, niczym dwa klejnoty na poduszeczce szkatułki.

Rzeczywiście prezentowały się nadzwyczajnie, zwłaszcza dziewczynka była wprost śliczna. I wcale nie przeszkadzało, że buzię miała w połowie czerwonawą i pokrytą meszkiem, co upodabniało ją do dziwnej maski, z rodzaju tych, jakie nosili aktorzy w operze.

Cesarzowa zamyśliła się.

Przyglądając im się, nabrała pewności, że te dzieci mogą przynieść spore korzyści. Pięć Zakazów nazwał je tak trafnie...

Ich obecność w klasztorze znacznie zwiększy napływ wiernych, a gdyby Czystość Pustki nie wygnał swego pomocnika, obecność dzieci mogłaby okazać się jeszcze ważniejsza niż ufundowanie chorągwi...

—Rozważywszy wszystko, myślę, iż mam w ręku mocne argumenty, aby w odpowiedniej chwili przekonać Czystość Pustki, żeby zwolnił cię ze ślubów — odezwała się w końcu cesarzowa.

—Co powinienem zrobić, Wasza Wysokość? — zapytał Pięć Zakazów, którego serce wypełniła nadzieja.

—Najlepiej będzie, jeśli zamieszkacie u mnie. Włócząc się po ulicach stolicy, narazilibyście się na niebezpieczeństwo! Wezmę was na służbę i nikt nie będzie mógł się temu sprzeciwić.

—Wasza Wysokość, naprawdę bylibyście gotowi zrobić to dla nas? Czy goszczenie obcych nie narazi Waszej Wysokości na kłopoty? — powiedziała drżącym głosem Umara, przepełniona wdzięcznością.

—Nigdy nie przerażało mnie podejmowanie ryzyka! A poza tym, będziecie bardzo użyteczni! Dużo bardziej, niż się wam wydaje! — dodała tajemniczo.

—Wasza Wysokość, w imieniu całej naszej piątki dziękuję

z głębi serca! — Pięć Zakazów skłonił się, a jego twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

— Niemowo, urządzisz moich gości w trzecim ogródku przyjemności Pawilonu Rozrywek. Będziecie się tam czuli swobodnie. Miejsce jest spokojne, a na drzewach mieszka mnóstwo ptaków. Wasze małe Niebiańskie Bliźnięta poczują się tam doskonale!

Tak więc tego dnia groźna cesarzowa Wu Zhao, o której mówiono, iż rządzi za kulisami, pociągając za odpowiednie sznurki i wyręczając w tym Gaozonga, kobieta, która wiedziała o najbłahszym spisku zawiązanym w pałacowych korytarzach i budziła taką grozę, że twarze wysokich urzędników na jej widok oblekały się strachem, zmieniła się nagle w przemiłą panią domu.

Pawilonem Rozrywek nazywano elegancki ośmiokątny budyneczek, zbudowany przez Taizonga, który słuchał tam muzyki i oddawał się kaligrafii.

Przed śmiercią stary cesarz lubił spędzać popołudnia na ogromnym łożu, w towarzystwie uroczych muzykantek, które czarowały jego uszy —jak powiadano, nie tylko — dźwiękami cytar, bębenków i fletów.

A ponieważ Gaozong nie odróżniał dźwięku organków od czyneli, pawilon nie był wykorzystywany, aż wreszcie zaanektowała go Wu Zhao, która odtąd mogła nim rozporządzać według własnej woli.

Liczył on cztery przestronne pomieszczenia, umeblowane tak elegancko, że gdy Niemowa wprowadził nowych lokatorów, wydali oni okrzyk zachwytu.

I to tutaj, tego samego wieczoru, Pięć Zakazów i Umara, wreszcie spokojni i ukryci przed wścibskimi spojrzeniami, mogli po raz pierwszy bez reszty oddać się miłości.

Przez całe życie mieli wspominać rozkoszne doświadczenie, jakim było wzajemne odkrywanie swych ciał pod wypełnioną

łabędzim puchem cesarską kołdrą, pod którą wsunęli się z radosnym śmiechem.

Aż dotąd ciągle byli w drodze i nigdy sami, musieli więc zadowalać się jedynie ukradkowymi pieszczotami.

Materac był tak miękki, że zapraszał do coraz bardziej upajających pieszczot, choć królewskie łoże miało w sobie coś onieśmielającego.

Inicjatywę i tym razem przejęła Umara.

— Tak cię pragnę, kochany! Aż dotąd nie było nam dane posmakować siebie nawzajem! Czy nie nadeszła odpowiednia chwila? — powiedziała do młodzieńca, który tego wieczoru miał zostać jej kochankiem.

Zamiast odpowiedzi Pięć Zakazów położył ją na łożu wielkiego Taizonga, a potem delikatnie rozebrał.

Jakże poruszyło go oglądanie po raz pierwszy kształtów Umary, jej brzucha o nieskalanej białości, ozdobionego rozkosznym pępuszkiem, ledwie widocznego runa w jej intymnym zakątku, którego wargi były równie różowe jak czubki uniesionych ku niebu drobnych piersi, nabrzmiałych pożądaniem!

— Masz skórę tak delikatną jak nasze niemowlęta! Twój pępek przypomina usta recytujące poemat... — szepnął, błądząc wargami po brzuchu dziewczyny, której napięta skóra drżała pod ich dotknięciem.

Odpowiedziała mu, przywierając do niego ustami i splatając swój język z jego językiem.

Pożądanie przydało ich ruchom gorączkowości, która miała narastać aż do cudownego finału.

Stanowiła ona motyw przewodni ich pierwszego intymnego rytuału, którego przebieg zdawali się znać na pamięć, jakby oddawali mu się wspólnie od niepamiętnych czasów.

Nic dziwnego, że kiedy Pięć Zakazów pokonał słodką zaporę dziewiczej niewinności kochanki, wydała ona cichy krzyk, lecz nie bólu ani zaskoczenia, ale radości, tak ogromna była przyjemność, jaką odczuwała.

Gdy wszystkie przeszkody zostały już pokonane, zaczęli

pieścić się od nowa bez najmniejszego skrępowania, i tak przez całą noc, aż świt zaskoczył ich wyczerpanych i spoconych, splecionych ramionami, albowiem zasnęli, uszczęśliwieni niczym młode dzikie zwierzątka, nasycone po nocnym polowaniu.

Kiedy się zbudzili, stwierdzili ze zdumieniem, że śniło się im to samo: nad ich głowami błyszczały gwiazdy, ułożone w kształt olbrzymiego serca.

Umara leciutko ugryzła ukochanego w ucho i szepnęła:

— Pomyśleć tylko, że u nas, nestorianów, grzech cielesny poza sakramentem małżeńskim karany jest piekłem! Co jednak jest złego w połączeniu się z ukochaną istotą? Czy to nie sam Jedyny Bóg, stworzyciel wszystkiego, urządził to tak, że mężczyzna i kobieta odczuwają rozkosz, gdy łączą się ich ciała? Miłość jest z pewnością najpiękniejszym darem Boga dla jego dzieci!

Zamiast odpowiedzi Pięć Zakazów pogłaskał długie, jedwabiste i kręcone włosy ukochanej, rozsypane na jej ramionach niczym falujący płaszcz.

—Masz rację, kochana! Zdecydowanie podzielam twoje zapatrywania na miłość! Ale jeśli chodzi o twojego Jedynego Boga, dla nas, buddystów, ten pogląd jest zupełnie bezsensowny! Idea, że wszystko miałoby zależeć od Jedynego Boga, trochę mnie przeraża! — szepnął, przytulając się do jej piersi.

—Wcale nie masz przerażonej miny.

—Gdybyś wiedziała, jak cię kocham!

—Czy także Budda nie uczynił siebie przedmiotem kultu, bliskiego uwielbieniu, jakie my, nestorianie, okazujemy naszemu Bogu w trakcie obrzędu, który nazywamy mszą? — Umara nie dawała za wygraną.

—Budda to człowiek, któremu cnota i wiedza pozwalają wznieść się aż do ostatecznego zgaśnięcia! Taka droga dostępna jest dla każdego, jeśli tylko przyłoży się do pracy nad sobą! Wystarczy być współczującym i dobrym dla innych.

—Mam nadzieję, że twój przełożony będzie współczujący i dobry dla ciebie!

—Dlaczego miałabyś w to wątpić?

—Czy przywódcy religijni nie mają skłonności do usprawiedliwiania wszelkich środków, za pomocą których osiągają swoje cele? Na przykład mój ojciec zlekceważył monopol dynastii Tang na jedwab!

—Przełożony mahajańskiego klasztoru powinien praktykować dobro!

—Niestety, mam w pamięci przykład czegoś dokładnie odwrotnego! — powiedziała posmutniała nagle Umara.

—Co masz na myśli? — zapytał Pięć Zakazów.

Dziewczyna milczała, wpatrując się w zamyśleniu w sufit.

—Powiedz mi wszystko, Umaro!

Już otwierała usta, żeby mu odpowiedzieć, lecz niespodziewanie się rozmyśliła. Uświadomiła sobie, że to okrutne, narażać ukochanego, wyjawiając mu taki sekret.

—Pięć Zakazów, boję się, że wyrządzę ci krzywdą... — szepnęła.

—Osłania nas Błogosławiony, kochana, nie musisz się niczego obawiać. Wyrzuć z serca czarne myśli! — szepnął, obejmując ją czule.

—Tym, co dziś jest najważniejsze, jest nasza miłość i nic więcej, i czy wierzymy w Boga, czy w Buddę, to bez znaczenia. Obiecaj mi, mój Pięć Zakazów, że pewnego dnia się pobierzemy i będziemy mieli dzieci! — rzuciła porywczo.

—Niech cię wysłucha twój Bóg, Umaro. Jeżeli chodzi o Buddę, jestem pewny, że on już nas zrozumiał!

Umara wzięła Pięć Zakazów za ręce i zatopiła spojrzenie dwukolorowych oczu, jaśniejących tysięcznymi odblaskami, ale nie wolnych od niepokoju, w oczach ukochanego mężczyzny, jakby tylko tam mogła znaleźć zapewnienie, że będą żyli szczęśliwie, razem, i że nie stanie jej się nic złego.

Oczywiście Umara nadal wierzyła w swego Jedynego Boga.

Doszła jednak do wniosku, że ta wiara nie zabrania jej wcale kochać Pięciu Zakazów ze wszystkich sił, choćby nawet bez sakramentu małżeństwa, jaki praktykowali nestorianie.

Pięć Zakazów doszedł do takich samych wniosków.

Nadal był przekonany, że tylko Szlachetna Ośmioraka Ścieżka może zapewnić ludziom zbawienie, ale jego miłość do młodej nestorianki, nawet jeśli nie podkopała jego wiary, głęboko zmieniła jego wizję życia i świata.

Każde z nich, pozostając wiernym swej religii i szanując przekonania drugiego, odkryło, że w przeciwieństwie do tego, co twierdziły ich wyznania, ludzie mogli osiągnąć szczęście na ziemi, a nie wyłącznie w raju czy w stanie nirwany...

Tak, być szczęśliwym znaczyło być takim dzisiaj, w tej chwili, a nie jutro albo nie wiadomo kiedy!

Zarówno Umara, jak i Pięć Zakazów byli w trakcie poznawania tej prawdy, tak bardzo ludzkiej i tak mało boskiej!

—Kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy, nie przestawałam prosić Boga, żeby nasze drogi się skrzyżowały. Zostałam wysłuchana! — szepnęła dziewczyna, siedząc okrakiem na brzuchu kochanka.

—Daję słowo, Umaro, że gdybym cię nie poznał, moje życie byłoby pozbawione sensu, nawet jeśli byłem ostatnim człowiekiem na ziemi, który zdałby sobie z tego sprawę! — wykrzyknął Pięć Zakazów, dotykając jej piersi.

Ogarnięci pożądaniem czuli się, jakby znali się od tysięcy lat, choć od ucieczki z Dunhuangu upłynęły zaledwie trzy krótkie miesiące.

—Oby mój Bóg i twój Budda oświecili nas i osłonili! To wszystko, czego pragnę... — wyszeptała Umara między dwoma westchnieniami, dokładnie w chwili, w której zaczęła ogarniać ją fala rozkoszy, gdy Pięć Zakazów wszedł w nią, nie napotykając tym razem żadnej przeszkody.

—Sprawy mogły potoczyć się gorzej! — wysapał.

Od spotkania ze Świetlistym Punktem i Nefrytowym Księżycem w pobliżu Wielkiego Muru ich wędrówka aż do stolicy Tangów przebiegła bez najmniejszych zakłóceń.

Bardzo prędko Pięć Zakazów poznał korzyści, jakie mógł ciągnąć z udawania taoisty. Dobrze, że Świetlisty Punkt wpadł na pomysł, by podarować mu ubranie. Wyświadczył mu w ten sposób ogromną przysługę.

Wyraźną oznaką nerwowości władz, które postanowiły zakończyć nielegalny handel jedwabiem, były patrole policji na Jedwabnym Szlaku, pojawiające się coraz częściej, w miarę jak zbliżali się do stolicy, najpierw co dwadzieścia, potem co sześć *li.* Sprawdzały one towary wiezione przez konwoje i notowały nazwiska cudzoziemców, które umieszczano potem na bambusowych tabliczkach, by przekazać je do kartoteki wydziału policji zajmującego się jedwabiem.

Przebrawszy się za wędrownego taoistycznego medyka, Pięć Zakazów zdołał uniknąć pułapek, w jakie bez tej zmiany wyglądu wpadłby nieuchronnie wraz z Umarą, manipą i Niebiańskimi Bliźniętami.

Udając uzdrowiciela spod znaku *yin* i *yang,* młody mahajanis-ta kupił zioła i proszki, potrzebne do zapełnienia straganu.

Następnie odwiedził pierwsze targowisko i odniósł sukces, głównie dzięki obecności niemowląt. Wystarczyło pokazać ich buzie i już zbiegali się tłumnie gapie, aby ogołocić z towaru stragan medyka, który z pewnością obdarzony był nadnaturalną mocą, sądząc po niezwykłych maleństwach, których musiał był ojcem.

Reszty dokonało przekazywanie wieści z ust do ust, jako że Jedwabny Szlak był miejscem, gdzie najszybciej można się było dowiedzieć o różnych nowościach. Im bardziej zbliżali się do Chang'anu, tym większy oddźwięk wywoływało ich przybycie na kolejne targowisko.

Klienci ciągnęli ze wszystkich stron, a wraz z nimi srebro, zwłaszcza że manipa potrafił wydukać parę słów po chińsku i doskonale zachwalał towar. Już sam jego dziwaczny wygląd i niezwykłe miny zachęcały do kupowania.

Dzięki zyskom Pięć Zakazów mógł uzupełnić zapas ziół i proszków, toteż jego stoisko dorównywało pod względem

bogactwa medykamentów straganowi Małego Supełka Łatwego do Rozwiązania.

Ich przybycie do Chang'anu było triumfem.

Gydy wchodzili przez Bramę Zachodnią, już od kilku tygodni w stolicy krążyła plotka, że pewien taoistyczny sprzedawca leczniczych ziół dał życie parze wyjątkowych dzieci, a jego lekarstwa są równie cudowne jak owe dzieci.

Po kilku dniach wokół ich straganu na największym stołecznym targowisku ziół gromadziły się takie tłumy, że oszołomiony powodzeniem Pięć Zakazów, nie wiedząc, w co włożyć ręce, zaczął się obawiać, że zabraknie mu ziół i proszków, gdy nieoczekiwanie, w środku targowego dnia, został wezwany przez cesarzową.

—Przebranie nie będzie ci już potrzebne! Znowu możesz być sobą, moim czułym kochankiem — szepnęła Umara.

—Czy nie byliśmy trochę nieostrożni, przyjmując propozycję Wu Zhao? Ona może z nami teraz zrobić, co zechce!

—Ta kobieta budzi moje zufanie. Gdybyś nie myślał tak samo, nie opowiedziałbyś jej całej swojej historii!

—Opowiedziałem jej wszystko, choć nie minęła nawet godzina od momentu, gdy ją zobaczyłem! To dziwne — mruknął młodzieniec, pieszcząc piersi ukochanej.

—Zgadzam się, to dziwne! —potwierdziła Umara drżącym głosem.

Wraz z pożądaniem, które znowu odezwało się w głębi istoty Pięciu Zakazów, zjeżyły się wszystkie włoski na jego brzuchu i ramionach, a jednocześnie uniósł się członek gotowy do działania.

— Dlaczego to zrobiłeś, Pięć Zakazów? Nikt cię do tego nie zmuszał! — drążyła Umara.

Pomimo stanowczego tonu dziewczyny młody mnich, czując narastające podniecenie, nie spieszył się z odpowiedzią. Był poza tym zbyt zajęty eksplorowaniem wilgotnych i gorą-

cych głębin boskiej doliny swojej kochanki, która natychmiast zareagowała na jego zabiegi.

— To dziwne, Umaro, ale trudno by mi było uwierzyć, że cesarzowa Chin nie jest dobrą kobietą! — powiedział w końcu, gdy wyrwał już z niej ostatni jęk rozkoszy.

Teraz ona z kolei pogrążyła się w milczeniu.

—Poza tym — szepnął, biorąc ją w ramiona jak dziecko i obsypując pocałunkami — nie uważasz, że będziemy potrzebowali jej pomocy, aby mój mistrz *dhyany* przebaczył mi i zwolnił mnie ze ślubów?

—Nawet gdyby tego nie uczynił, i tak bym za ciebie wyszła! Za mnicha albo niemnicha! Zdecydowałabym się żyć z tobą, nawet gdyby zabronił mi tego ojciec! — zapewniła z uśmiechem, w którym objawiał się jej silny charakter, a przenikająca ją niezachwiana pewność, aby iść za głosem serca, usuwała wszelkie uprzedzenia i obawy.

Umara była niezwykle dzielną dziewczyną.

Jednak znalazłszy się nagle w samym środku Chin, o podbiciu których tak marzył jej ojciec, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo będzie potrzebowała tej siły charakteru, energii i niewzruszonego optymizmu.

6

Oaza Dunhuang, Jedwabny Szlak

— Co tu robisz, Świetlisty Punkcie, o tak późnej godzi nie? — zapytał zdziwiony Diakonos, a w jego głosie słychać było ulgę.

Wikary Addaia Aggaia, wyrwany w środku nocy z łóżka głośnym waleniem w drzwi kościoła, wciąż rozczochrany, z oczami zamglonymi od snu, nie miał zbyt pewnej miny, gdy uchylał zakratowane okienko, przez które mógł spojrzeć na nocnych gości bez odryglowywania drzwi wejściowych.

Zaniepokoił się jeszcze bardziej, gdy zabrawszy na wszelki wypadek kij, zbiegał po kilka stopni naraz, zadając sobie pytanie, kto mógł przyjść tak późno, żeby niepokoić biskupa.

Czyżby policja? Podstęp złodziejaszków, planujących niespodziewaną napaść? Czy po prostu jacyś dowcipnisie?

Tak więc, kiedy stanął nos w nos z młodym kuczaninem z Turfanu, jego niepokój prędko ustąpił miejsca zdumieniu.

— Niech Jedyny Bóg będzie z tobą! Nie mamy dokąd pójść. Wszystkie tanie zajazdy w oazie są pełne, a na dworze jest zimno. Pomyślałem, że Kościół nestorianów nie zostawi nas na lodowatym wietrze...

Za plecami Świetlistego Punktu rysowała się ładna buzia drobnej Chinki.

— Wchodźcie prędko! Starajcie się nie robić hałasu. Wszyscy śpią — szepnął Diakonos, otwarłszy drzwi.

Świetlisty Punkt i Nefrytowy Księżyc robili wrażenie wyczerpanych. Mieli na sobie podarte i zakurzone ubrania, nałożone jedno na drugie, żeby osłonić się lepiej przed lodowatym zimowym wiatrem, który od kilku dni wiał bez przerwy od strony pustyni.

—Wiedziałem, że mogę liczyć na gościnność siostrzanego Kościoła! — sapnął kuczanin, osuwając się na ławkę w korytarzu.

—Co robisz w Dunhuangu? Myślałem, że siedzisz w swojej szklarni z morwami w Turfanie! — dziwił się nestorianin.

—Napełniony Spokojem wysłał mnie do środkowych Chin po gąsienice i kokony, żeby wznowić wytwarzanie przędzy. Właśnie stamtąd wracam.

—A kim jest ta młoda kobieta? — zapytał z podejrzliwą miną Diakonos.

Wydało mu się dziwne, że młody uczeń nie podróżuje sam.

—To moja przyjaciółka. Wytłumaczę się przed Addaiem Aggaiem!

—Ale dopiero jutro. Biskup śpi. Od czasu jak utracił córkę, podupadł na zdrowiu. Bardzo się zmienił. Teraz odpoczywa i nie ma mowy, żeby go budzić!

—Wiem! Musi być mu smutno... — wyrwało się Świetlistemu Punktowi.

—Wiesz? Co chcesz przez to powiedzieć, Świetlisty Punkcie? Naprawdę wiesz coś o Umarze? — wykrzyknął nestorianin, poruszony do żywego.

—Nic nie wiem! Powiedziałem po prostu, że Addaiowi Aggaiowi musi być niewymownie smutno, że stracił córkę. To wszystko! Gdybyś wiedział, jaki jestem zmęczony... Kiedy człowiek sypia pod gołym niebem, gotów postradać rozum! — wyjąkał kuczanin.

—Widzę! Widzę! Mimo wszystko jednak, nie wygląda na to, żeby zniknięcie córki biskupa cię zaskoczyło... — stwierdził Diakonos.

—Na Jedwabnym Szlaku wszyscy wiedzą o wszystkim, wieści rozchodzą się tam bardzo prędko! — westchnęła Nefrytowy Księżyc, która odezwała się po raz pierwszy, co ściągnęło na nią jeszcze bardziej podejrzliwe spojrzenie Diakonosa.

—Nie masz pod ręką jakiegoś jęczmiennego placuszka? — zapytał Świetlisty Punkt, którego żołądek od dłuższego czasu kurczył się z głodu.

Po wyczerpaniu się zapasów już od dwóch dni nie mieli niczego w ustach.

Diakonos przyniósł im ciastka na miodzie i gorącą herbatę, na które rzucili się, nie dając się prosić, a potem poprowadził ich do przestronnej sypialni, gdzie nestorianie gościli podróżnych.

W pomieszczeniu zastawionym rzędem wąskich łóżek tego wieczoru nikt nie nocował.

— Chyba nie zamierzasz wyjawiać biskupowi, że zaledwie kilka dni temu spotkaliśmy jego córkę! — szepnęła Nefrytowy Księżyc do Świetlistego Punktu, kiedy zostali sami.

W izbie, w której zapewne od tygodni nie rozpalano ognia w kominku, panował lodowaty ziąb, toteż przytuliła się do niego pod grubą derką z koziej wełny, którą dał im Diakonos.

—Co ci przyszło do głowy! Tylko ktoś, kto mnie dobrze nie zna, mógłby pomyśleć, że nie dotrzymam przyrzeczenia, jakie daliśmy słodkiej Umarze, że nie powiemy nikomu o jej ucieczce z Pięcioma Zakazami! Rzeczywiście, trzepnąłem językiem, ale to z powodu zmęczenia... Na szczęście pomogłaś mi się z tego wykaraskać!

—Próbowałam przeszkodzić Diakonosowi w dalszym zasypywaniu cię pytaniami.

—Dałaś dowód bystrości umysłu, moja droga. To dobrze!

—Kocham cię! — szepnęła w odpowiedzi Nefrytowy Księżyc, po czym zasnęła w jego ramionach.

Gdy następnego dnia, po przywracającej siły nocy, Diakonos zaprowadził ich przed oblicze Addaia Aggaia, uwagi Świetlistego Punktu nie uszła posępna mina i nieufne spojrzenie, jakim obrzucił go nestoriański biskup.

—Wasza wielebność pozwoli, że się przedstawię: mam na imię Świetlisty Punkt. Jestem współpracownikiem Napełnionego Spokojem, zajmuję się wytwarzaniem jedwabnej przędzy.

—A co robisz w Dunhuangu? Powinieneś karmić gąsienice i układać je na morwowych liściach, żeby otoczyły się kokonem, z którego odwija się cienką nić.

Pobrzmiewający nutą rozczarowania głos Addaia Aggaia wyrażał tyleż zniechęcenia, co nieufności.

— Wracam ze środkowych Chin, dokąd udałem się po kokony i jajeczka jedwabników, żeby postawić na nogi naszą hodowlę. Pozwoliłem sobie poprosić was o gościnę na kilka dni, żeby odzyskać siły! —wyjaśnił rzeczowo Świetlisty Punkt, pokazując biskupowi zawartość swojej kieszeni.

Wydawało mu się, że najszybciej zdobędzie zaufanie tego kapłana o surowym obliczu, jeśli nie będzie ukrywał przed nim celu swej wyprawy.

—Wysłał go do Chang'anu Doskonały Kościoła Światłości w Turfanie. I chłopak dobrze sobie poradził, bo nie brakuje na drogach kontroli. Teraz, kiedy źródło znowu bije, za parę tygodni będziemy wreszcie mogli dzięki niemu znowu uruchomić fabrykę — wtrącił z rozradowaną miną Diakonos.

—Zobaczymy! — mruknął smutno biskup.

Bo trzeba powiedzieć, że od czasu zniknięcia uwielbianej córki Addai Aggai wegetował raczej, niż żył.

Co najmniej dwie albo trzy godziny dziennie spędzał na roztrząsaniu wspólnie z grubą Goleą, która wyglądała teraz jak sterana życiem staruszka, okoliczności zniknięcia ukochanej córki.

Co mogło się przydarzyć dziecku tak mądremu, tak przywią-

zanemu do ojca i dbającemu o to, by nie dawać mu powodów do niepokoju?

Gdy wczesnym rankiem, po suto zakrapianej uczcie, jaką wydał z okazji powrotu wody do małego źródła, wyszedł z tkalni, udał się do karłowatego drzewa, pod którym, jak myślał, Umara spędziła noc.

Ku jego wielkiemu zdumieniu, nie było jej tam.

Zaniepokojony, zaczął ją wołać i szukać po całej okolicy.

Wraz z mnichami robotnikami przetrząsnął dokładnie mały parów, lękając się obsesyjnie, że znajdą jej poszarpane ciało u stóp urwiska, z którego mogła spaść.

Po Umarze nie było śladu! Wyparowała.

Biskup ani przez chwilę nie podejrzewał, że córka mogła uciec.

Jego podejrzenia skierowały się oczywiście na Madżiba i jego ludzi.

Pers stanowczo zapewniał, że nie miał z tym zniknięciem nic wspólnego, gdyż sam wpadł we wściekłość, stwierdziwszy nieobecność Pięciu Zakazów i manipy, a przede wszystkim boskich dzieci. Zrozpaczony i rozzłoszczony Addai Aggai nie ustępował: wszystko musiał uknuć Madżib, nie mogło być inaczej.

Obaj byli tak wściekli, że w końcu rzucili się do walki na pięści, wspierani każdy przez swoich ludzi.

Wywiązała się regularna potyczka między ludźmi Madżiba i mnichami Addaia Aggaia, których było więcej niż Persów, a przede wszystkim byli trzeźwiejsi, ponieważ mniej pili, więc kiedy przynieśli okute kije i zaczęli używać sobie na czaszkach przeciwników, ci niezwłocznie poprosili o łaskę.

—Drogo mi za to zapłacisz! Oby trupa twojej córki rozszarpały sępy! — ryknął nieprzytomny z wściekłości Madżib, dając swoim ludziom rozkaz odwrotu.

—Idź do diabła! — odpowiedział Addai Aggai.

Tak przejął się zniknięciem córki, że zapomniał o przymierzu, jakie Pers zaproponował mu poprzedniego wieczoru, na po-

czątku uczty: nestorianie mieli dostarczyć Persom jedwabi a w zamian perska rodzina królewska na wygnaniu, po odbiciu Persji i wygnaniu z niej muzułmanów, podałaby im pomocną dłoń w ich marszu do Chin.

Ważniejsze od tego strategicznego układu było dla perskiego herszta wyznanie biskupa, że podzielił się on rolami z manichejczykami z Turfanu, co mogło mieć poważne konsekwencje.

—A więc to manichejczycy z Turfanu wytwarzają przędzę, a wy tylko tkacie jedwab! A ja myślałem, że odkryłem w Dunhuangu oazę, której nazwę staramy się poznać w Persji od lat. Daleki byłem od myśli, że zamieszany jest w to także Turfan! — mruknął zdziwiony wyznawca Ahura Mazdy, któremu ta informacja otworzyła nowe perspektywy.

—To tajemnica! Przyrzeknij, że nie zdradzisz jej nikomu! Żeby było jasne, ja ci nic nie powiedziałem! — wykrzyknął biskup, żałując, że okazał się zbyt gadatliwy.

Był tak zrozpaczony z powodu zniknięcia córki, że nie przywiązywał wagi do tego, co powiedział człowiekowi, który teraz śmiertelnie go nienawidził.

Od tego smutnego ranka dni sączyły się jak piasek w klepsydrze.

Bez Umary życie straciło dla Addaia Aggaia sens.

Najstraszniejsze było zdanie sobie sprawy, że jego wiara i miłosierdzie nie pomagają mu pokonać smutku, który zalał jego serce, tak jak burze pokrywają piaskiem wotywne stele stawiane u stóp wydm na pustyni Gobi. Gdy budził się z krótkiego snu, w jaki zapadał po długich godzinach czuwania, prześladował go promienny obraz jedynej córki, utraconej, jak się obawiał, na zawsze...

Czy Jedyny i Niewidzialny Bóg, któremu przypisywano taką potęgę i któremu poświęcił całe swoje życie, pozwoli mu ją odzyskać?

Nie wiedział tego i w końcu w to zwątpił.

Jak powinien zwracać się do tego Boga, tak dalekiego

i potężnego, niemal nieosiągalnego? Dlaczego nie potrafił znaleźć właściwych słów, żeby poprosić go o pomoc?

Bywały dni, kiedy biskup próbował wmówić sobie, że Bóg wystawił go na próbę, żeby go sprawdzić.

Ale dlaczego trzeba było tak wielkiego cierpienia, żeby przekonać się o żarliwości jego wiary? Czemu miała służyć walka o Kościół, jaką bezustannie prowadził, jeśli Bóg okazywał tak mało wdzięczności?

Czasem Addai Aggai zbierał się na odwagę i próbował przypomnieć sobie grzechy, które mogłyby usprawiedliwić surową karę Bożą.

Nie znajdował jednak odpowiedzi.

Mówił sobie, że Bóg, zabierając mu jedyną córkę, okazał się niesprawiedliwy i potraktował swego pokornego sługę jak kozła ofiarnego.

Przypuszczenia, w jakich gubił się bezustannie nestorianin, osłabiały go zarówno fizycznie, jak i moralnie.

— Kiedy już będziemy gotowi podjąć na nowo zaopat rywanie waszej fabryki, zawiadomimy was o tym... To sprawa kilku tygodni. Dlaczego macie tak zmartwioną minę, czcigodny ojcze? Czego tak naprawdę się obawiacie? — pytał kuczanin, zachęcony spojrzeniem Diakonosa, który pragnął podnieść swego biskupa na duchu.

Pytanie przypomniało Addaiowi Aggaiowi o ważnych sprawach. Jego twarz jeszcze bardziej pociemniała, kiedy przemówił, zmęczony i zrezygnowany:

— W Dunhuangu nie jest bezpiecznie. Musiałem przegnać stąd Persów, którzy próbowali położyć rękę na moim jedwabiu. Odjechali wściekli. Od tej pory krąży pogłoska o zemście, jaką szykują, próbując olśnić wschodnich Turków wieścią, że ta oaza jest istną kopalnią złota! Jeśli to, co mówią ludzie, jest prawdą, to jedna z najpiękniejszych pereł Jedwabnego Szlaku zamieni się niebawem w jedną wielką ruinę! — rzekł, po czym

zaczął przemierzać nerwowo wzdłuż i wszerz izbę, zaciskając pięści.

Był zrozpaczony.

—Kimże są ci wschodni Turcy, że aż tak was przerazili? — zapytał Świetlisty Punkt, także trochę zaniepokojony.

—Rządzi nimi król zwany kagan i już dawno temu zagarnęli bogactwa Sogdiany, kraju najlepszych kupców na świecie. Ponieważ są to nomadowie, dokądkolwiek się udadzą, rabują i mordują bez litości. Filarami ich imperium są piasek i wiatr! Dlatego właśnie chińska armia nigdy nie zdołała ich ujarzmić. Kiedy ktoś myśli, że ci Turcy są w jakimś miejscu, oni są już gdzie indziej... — odparł posępnym tonem ojciec Umary.

—Ależ trzeba walczyć, chwycić za broń, zorganizować obronę! Dunghuang jest tego wart! — wykrzyknął młody kuczanin.

—W Dunhuangu są tylko zakonnicy i kupcy. Chiński garnizon liczy mniej niż trzydziestu ludzi! Wierz mi, młody człowieku, obrona przed krwiożerczymi wojownikami, którzy ledwo potrafią zrobić parę kroków, bo są przyzwyczajeni do siedzenia na koniach od rana do wieczora, i mogą zaatakować nas równie dobrze jutro, jak i za trzy tygodnie, a nawet za rok, będzie naprawdę trudna...

—Czy buddyści wiedzą o zagrożeniu? Mówi się, że jest ich tu wielu. Być może mają środki, żeby opłacić najemnych żołnierzy — podsunął Świetlisty Punkt, mając na myśli około trzydziestu tysięcy mnichów mahajany, którzy mieszkali w trzydziestu wielkich i małych klasztorach w oazie.

—Mam wystarczająco dużo kłopotów z własnym Kościołem! Władze chińskie ledwo nas tutaj tolerują; jeśli pójdę ostrzec buddystów, którzy powinni wiedzieć o zagrożeniu równie dobrze jak ja, ryzykuję, że oskarżą mnie o jakieś konszachty z Turkami... albo ukarzą mnie, jak roznosicieli złych wieści, których książęta każą pozbawiać głów, żeby ich nie słuchać — jęczał biedny biskup.

—Ale jakim prawem Turcy zachowują się jak bezkarni rabusie bez sumienia tu, gdzie Chiny ustanowiły swój protek-

torat? — Świetlisty Punkt był niezwykle wzburzony wyjaśnieniami biskupa.

—Chińczycy robią, co mogą, ale im bardziej ich terytoria oddalone są od Wielkiego Muru, tym mniej środków poświęcają na utrzymanie pokoju.

—Czy w takim razie nie powinni się stąd wycofać? Koniec końców, Sogdianie, kuczanie i turfańczycy wydają mi się wystarczająco liczni, aby się bronić i prowadzić interesy!

—Narody rzemieślnicze, które wytwarzają bogactwa i nimi handlują, mogą stracić wszystko, jeśli zaatakują ich najeźdźcy, których jedynym celem jest grabienie i podpalanie. Ci wschodni Turcy to nomadowie, którzy potrafią strzelać z łuku w pełnym galopie i trafiać w sam środek tarczy. Kilka lat temu ich ziemie rozciągały się od Sogdiany aż po południową Syberię. Nie mają sobie równych w zawłaszczaniu ogromnych, prawie bezludnych terytoriów i plądrowaniu miast, które są łatwą i ponętną zdobyczą. Ich miecze są silniejsze niż księgi rachunkowe... — Biskup smutno pokiwał głową.

—Ale czy należy zachowywać się jak bezbronna ofiara?

—Nie mam broni! Ani żołnierzy, a tym bardziej koni! Moją jedyną ochroną są mury mojego kościoła, a sam widzisz, że nie są ani dość wysokie, ani grube...

—Wobec tego czemu nestoriańskie biskupstwo nie przeniesie się do Turfanu? Jestem pewny, że mój Doskonały nie odmówiłby wam gościny... — rzekł Świetlisty Punkt po chwili namysłu.

—To byłby odwrót. Poświęciliśmy lata, żeby się tu usadowić, w ostatniej oazie Jedwabnego Szlaku przed Wielkim Murem. Gdybym miał przenieść się gdzie indziej, to raczej w kierunku środkowych Chin, żeby osiągnąć w końcu nasz cel. Ale to nie jest możliwe... — westchnął biskup i wyszedł, by odprawić poranną mszę.

Dwa dni później, w chwili gdy Świetlisty Punkt wraz z Nefrytowym Księżycem zamierzali pożegnać się z Addaiem Ag-

gaiem, jeszcze bardziej przygnębiony niż przy poprzednim spotkaniu biskup odciągnął młodego kuczanina na bok i patrząc mu prosto w oczy, opowiedział o swoim nieszczęściu.

—Widzę, Świetlisty Punkcie, że jesteś człowiekiem prawym i odważnym. Z pewnością doszła do twoich uszu wieść, że moja ukochana córka zaginęła w tajemniczych okolicznościach.

—W istocie, na Jedwabnym Szlaku krąży taka plotka!

—Umara była moim jedynym skarbem. Gdybyś spotkał ją któregoś dnia albo o niej usłyszał, czy byłbyś łaskaw dać o tym znać lejącemu łzy ojcu? — zapytał cicho biskup, bliski płaczu.

—Obiecuję wam to i przyrzekam. Ale jestem przekonany, że wasza córka żyje i że pewnego dnia zobaczycie ją znowu — wyjąkał Świetlisty Punkt, poruszony rozpaczą biskupa.

Rozdarty wewnętrznie, młody kuczanin szukał sposobu, aby złagodzić ból ojca, nie łamiąc przyrzeczenia danego Umarze.

—Co każe ci tak mówić? — zapytał drżącym głosem nestorianin.

—Mówię to, co myślę! Choć to może wydać wam się dziwne, ta pewność przenika mnie, odkąd tu jestem! — odparł Świetlisty Punkt, któremu wydało się, że dostrzega w smutnych oczach Addaia Aggaia maleńką iskierkę nadziei.

—Oby Bóg cię wysłuchał, mój synu! — szepnął biskup, kładąc prawą dłoń na kształtnej głowie chłopaka.

Podszedł do okna. Widać było przez nie sanktuarium, którego wzniesienie w tej oazie na Jedwabnym Szlaku wymagało tak wielkiego wysiłku. Był to ostatni etap, po którym, tak przynajmniej myślał jeszcze niedawno, jego Kościół osiągnąłby wreszcie cel. Po chwili podjął bezbarwnym głosem, jakby to, co zamierzał powiedzieć pełnemu wigoru młodzianowi, było niezmiernie trudne:

—Czy zechcesz przekazać Napełnionemu Spokojem wiadomość ode mnie?

—Zrobię to bardzo chętnie!

— Powiedz mu, że jeśli pomoże mi odnaleźć córkę, jestem gotów mu ustąpić... Zrozumie doskonale!

—„Ustąpić mu", ale co to znaczy, wielebny ojcze?

—To, że Kościół nestoriański w Dunhuangu pozwala Kościołowi manichejskiemu z Turfanu znaleźć się w Chinach przed nim. Wierz mi, nigdy nie myślałem, że zostanę zmuszony do tak wielkiego poświęcenia...

—Przekażę waszą propozycję mojemu Doskonałemu, gdy tylko dotrę na miejsce. Przypuszczam, że bardzo go ona poruszy — powiedział manichejczyk, kłaniając się nisko na znak szacunku dla duchowej wielkości biskupa.

Addai Aggai otworzył małą szafkę, wyjął z niej śliczną szklaną fiolkę wypełnioną brązowozłocistym płynem i podał kuczaninowi.

— Dasz to młodej kobiecie, która ci towarzyszy. Wydaje mi się miła. Sprzedał mi to za ogromną cenę manichejski kupiec. Miało być dla Umary. Jestem pewny, że spodoba się tej małej Chince. To są perfumy Maniego!

Tak nazywano w oazach Jedwabnego Szlaku pochodzącą z Persji mieszankę ekstraktów aloesu, ambry, nenufaru i piżma, za którą przepadały bogate księżniczki i piękne kurtyzany.

—Jestem wzruszony waszym gestem, ojcze. Także Nefrytowy Księżyc doceni jego wartość, zważywszy na to, dla kogo te perfumy były przeznaczone! — wykrzyknął Świetlisty Punkt, ujęty życzliwością Adaia Agaia.

—Niech Bóg błogosławi ciebie i twoich bliskich! A ponieważ wygląda na to, żeś się zadurzył w tej pannie, niech Bóg osłania także i ją! — dodał biskup, gdy jego gość zabierał się do odejścia.

Nadszedł czas, aby ruszyć znowu w drogę i pozostawić ojca Umary pogrążonego w smutku.

—Kiedy udaję się do Turfanu, trzeba mi na to trzech tygodni nieustannego marszu! — powiedział Diakonos.

—Liczymy na to, że utrzymamy dobre tempo. Będziemy się zatrzymywali tylko po to, żeby się przespać — odparł z uśmiechem kuczanin.

—Jesteście młodzi! Z pewnością maszerujecie prędzej niż ja! Powodzenia! — dodał Diakonos, który wcześniej zaopatrzył wędrowców w zapas suszonych owoców i ryżu.

—Do zobaczenia! Żegnajcie i dzięki za wszystko! — krzyknął Świetlisty Punkt, kiedy Diakonos zamykał za nimi drzwi małego biskupstwa.

—Myślisz, że Napełniony Spokojem wykaże tyle zrozumienia co Addai Aggai? Wątpię w to! — powiedział młody kuczanin, gdy ruszyli znowu Jedwabnym Szlakiem.

—Prawda, że smutek i przygnębienie czynią ludzi bardziej wyrozumiałymi! Czy ten biskup okazałby się tak dobry, gdyby nie stracił córki? Niestety, nie ma co do tego żadnej pewności! — odparła sentencjonalnie Nefrytowy Księżyc.

Ciągnące szlakiem karawany szły teraz w dużo większych odstępach. Tak było zawsze, kiedy minęło się oazę Dunhuang, w której zatrzymywało się wielu chińskich kupców. Dzięki temu można było iść dużo szybciej.

Tak więc nie więcej niż dwanaście dni później młodzi mogli stwierdzić, że pustynne wzgórza znaczone ruinami starożytnych umocnień, pamiątek po nieustających walkach, jakie niegdyś tu toczono, ustąpiły miejsca polom uprawnym i wielkim ogrodom, zraszanym wodą z Gór Błękitnych, których ośnieżone szczyty odcinały się na tle nieba.

Niewiele czasu zabrało im dotarcie do Hami, nazywanego także Yiwu, malowniczej oazy, którą w roku 640 cesarz Taizong uczynił swoim kolejnym protektoratem.

Jedynym widomym tego śladem w kosmopolitycznym mieście, w którym znajdował się największy targ futer na Jedwabnym Szlaku, była chorągiew chińskiego gubernatora, trzepocąca na budynku trochę tylko większym od innych, który pałacem był tylko z nazwy i służył gubernatorowi za główną kwaterę.

Rozglądając się z zainteresowaniem, przemierzyli główny plac miasta liczącego około dwudziestu tysięcy dusz. Przyby-

wający aż z Syberii handlarze wystawiali tu na sprzedaż runo jaków, kóz i wielbłądów, z którego Ujgurzy robili wełnę, a Tybetańczycy filc, a także futra norek, soboli, lisów, królików, nutrii i szczurów piżmowych, świstaków, śnieżnych panter, a nawet tygrysów, które czasami osiągały cenę złota.

Jedwabne okrycia, podbite cennymi futrami i przeznaczone dla królów i księżniczek, należały do najdroższych na świecie. Jedwabny Szlak mógłby równie dobrze nazywać się „Szlakiem Futrzanym".

—Czy któregoś dnia będę mogła nosić płaszcz z mory podszyty sobolem? — zażartowała Nefrytowy Księżyc, spytawszy jakiegoś kupca o nazwę zwierzęcia, którego futro o złocis-tobrązowym odcieniu, miękkie i połyskliwe, było tak rzadkie, że przeważnie przeznaczano je dla cesarza Chin.

—Nie potrzebujesz tego, żeby być piękną, kochana! Wolę cię nagą niż w płaszczu z najcenniejszego choćby futra!

—Gdybyś jutro stał się bogaty, wrócimy tu i kupisz mi takie futro? — szepnęła dziewczyna, przesuwając czule dłoń po włosach ukochanego.

—Tak się stanie, jeśli zechce tego Mani!

Noc, którą spędzili na miłosnych igraszkach w maleńkiej izbie w zajeździe położonym tuż koło,rogatek, była rozkoszna po wymuszonej podróżą wstrzemięźliwości, i to mimo rosnącego niepokoju, jaki Świetlisty Punkt odczuwał w miarę zbliżania się do Turfanu i do rozmowy z Doskonałym.

Aby dotrzeć do Błyszczącej Perły Jedwabnego Szlaku z Hami, położonego w połowie drogi między Dunhuangiem i Turfanem, trzeba było przebyć skalisty bezmiar, w którym tylko bardzo bystre oko mogło wypatrzyć resztki miast starożytnego królestwa Gaochangu.

— Mijamy teraz Góry Płomieniste, których skały przybierają czerwony odcień, kiedy padają na nie promienie zachodzącego słońca. To znak, że dotrzemy na miejsce przed nocą! — powiedział pewnego dnia o zmierzchu Świetlisty Punkt.

Wskazał imponujące skały, przypominające dziwne stwory,

których powierzchnia przywodziła na myśl pomarszczoną skórę słonia.

—Niektórzy kupcy opowiadają, że czerwieniejąc, góry te zaczynają się poruszać i stają się groźne nawet dla tych, którzy ośmielają się na nie patrzeć! Przejdźmy między nimi, nie czyniąc hałasu, jak myszka koło kota! — dodał, biorąc Nefrytowy Księżyc za rękę.

—Ale ja wcale nie czuję się jak myszka! Te skały nie napawają mnie strachem! — wykrzyknęła dziewczyna, wybuchając śmiechem.

Prawdę mówiąc, Nefrytowy Księżyc nie bała się niczego, a jeśli już, to tylko utraty mężczyzny, którego bardzo kochała i dla którego półtora miesiąca temu opuściła Chiny.

Nagle zza zakrętu wyłoniły się pierwsze domy o ścianach z suszonych cegieł i dachach zdobionych gołębiami z terakoty, zapowiadające oazę Turfan.

Przyspieszyli kroku, aby zastukać do bramy imponującej osady, w środku której stał ośmiokątny budynek Kościoła Światłości z czerwonego wapienia.

—Tę budowlę wzniesiono z kamienia pochodzącego z gór, które mijaliśmy — zauważyła Nefrytowy Księżyc, olśniona wspaniałością tego miejsca.

—Doskonały uważa, że nic nie jest zbyt piękne dla Kościoła Światłości! — odrzekł młody kuczanin, a potem poprosił Ucznia, który otworzył im drzwi, żeby zaprowadził ich niezwłocznie do Napełnionego Spokojem.

Gdy Świetlisty Punkt wraz z Nefrytowym Księżycem weszli do komnaty Doskonałego, ten medytował nad *Księgą Maniego,* której bogato iluminowany egzemplarz leżał otwarty na jego kolanach.

Jego wychudła od postów, czyli „poskramiania lwa", twarz rozjaśniła się na widok Świetlistego Punktu, lecz po chwili zasępiła.

Zanosiło się na trudną rozmowę i młody uczeń zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru, musi rzucić się na głęboką wodę

i próbować udobruchać surowego mistrza, którego żarzące się jak węgle oczy wpatrywały się w niego wrogo.

Położywszy na stole woreczek zawierający kokony i jajeczka jedwabników, Świetlisty Punkt stanął na wprost mistrza.

— Mój czcigodny Mistrzu Doskonały, spełniłem powierzoną mi misję, ale chciałbym też prosić was o wybaczenie! Zgrzeszyłem względem Trzech Pieczęci! Nie jestem już godny być Uczniem! Będę zawsze tylko Słabym, zwykłym niedowiarkiem, który niewart jest światła mojego Kościoła, a jeszcze mniej choćby odrobiny szacunku Maniego, jego wielkiego i dobrego proroka! Miejcie litość nade mną! — wykrzyknął, rzucając się na kolana przed Napełnionym Spokojem.

Według manichejskiego obrzędu akt wyznania grzechów, który był połączony z rytuałem postu, powinien odbywać się na kolanach.

Grzech przeciwko Trzem Pieczęciom był grzechem ciężkim, ponieważ przewinienia świadome odnosiły się zarazem do ust (kłamstwa), rąk (czynów) i łona (lubieżności).

—Jeśli Słaby chce otrzymać w Kościele Światłości przebaczenie za złamanie Trzech Pieczęci, musi wyznać całą prawdę swojemu Mistrzowi Doskonałemu! — rzucił podejrzliwie Napełniony Spokojem.

—Jestem gotów wyznać ją wam, Mistrzu Doskonały. To ja zniszczyłem hodowlę jedwabników... Wiedziałem, że wyślecie mnie po kokony do środkowych Chin, a zostawiłem tam, w Chang'anie, młodą robotnicę, w której zakochałem się do szaleństwa! Tak, kłamałem! Tak, czyniłem źle, i niestety, dotknąłem ciała kobiety, którą kocham! Uświadomiłem sobie, że nie mogę bez niej żyć! Teraz, kiedy ją odnalazłem, jestem gotów zrobić wszystko, żeby jak najlepiej służyć interesom Kościoła Światłości... Chodzi o kobietę, która stoi przed wami, mój Mistrzu Doskonały, u mego boku. Nazywa się Nefrytowy Księżyc. Nie ponosi żadnej winy za moje grzechy. Nie nalegała, żebym wrócił do Chang'anu. Kiedy byłem tam po raz pierwszy, porzuciłem ją, nie uprzedziwszy jej nawet, że wracam do

Turfanu! Nefrytowy Księżyc naraziła się na tysięczne niebezpieczeństwa, żeby przybyć tu ze mną!

W kilku zdaniach, wypowiedzianych donośnym i tylko nieznacznie drżącym głosem, zostało wyrażone wszystko.

—Wiedziałem o twoim związku z Nefrytowym Księżycem! Czy jest przynajmniej manichejką? — spytał Napełniony Spokojem.

—Jak młoda Chinka mogłaby być wyznawczynią Kościoła Światłości, skoro nie ma on nawet prawa obywatelstwa w Państwie Środka? — zdziwił się Świetlisty Punkt.

—Niech ci będzie! Co do reszty, to ładne nowiny mi przynosisz! Mam na myśli zniszczenie naszej hodowli jedwabników! Dlaczego wyrządziłeś takie zło Kościołowi Światłości? Dlaczego postąpiłeś tak niegodziwie?! — krzyknął oburzony Doskonały.

—Powinienem udać się tam, nie niszcząc naszej hodowli. Mogłem tak postąpić, wiem o tym!

—A przy okazji przysporzyłeś mi jeszcze większych kłopotów! Wiesz, że nikt tutaj nie zna się na tym tak dobrze jak ty?! — grzmiał Doskonały.

Świetlisty Punkt dojrzał światełko nadziei: słowa mistrza świadczyły o tym, że przebaczenie młodemu Uczniowi nie jest niemożliwe.

—Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak źle postępuję! Zaślepia mnie miłość. Powodowała mną siła, nad którą nie panowałem. Gdybyście wiedzieli, jak tego żałuję! Pragnę tylko, Mistrzu Doskonały, odkupić mój błąd, wkładając wszystkie moje siły we wznowienie wytwarzania jedwabnej przędzy w Kościele Światłości! — wyjąkał zalany łzami Świetlisty Punkt, wciąż klęcząc.

—To moja wina! Zrobiłam wszystko, żeby Świetlisty Punkt się we mnie zakochał! — odezwała się po chińsku Nefrytowy Księżyc.

Poruszona szczerością wyznania ukochanego, pospieszyła mu z pomocą.

Stanęła wyprostowana przed Wielkim Doskonałym, w zachwycającej wojowniczej pozie, zasłaniając kochanka, jakby chciała go ochronić przed gniewem Doskonałego.

Młody kuczanin powstrzymał się i nie przełożył Napełnionemu Spokojem słów Nefrytowego Księżyca, gdyż postawiłyby one pod znakiem zapytania jego własne wyjaśnienia.

— Aby tu dotrzeć, naraziliśmy się na ogromne niebezpieczeństwo! I mimo to Świetlisty Punkt dotrzymał słowa. Dostarczył wam to, czego trzeba, aby wznowić wytwarzanie jedwabnej przędzy, choć równie dobrze mógł nigdy więcej nie wrócić do Turfanu. Czyż nie jest to dowód jego głębokiego przywiązania do Kościoła Światłości? Błagam was, abyście wzięli pod uwagę przynajmniej to! — dodała, i tym razem Świetlisty Punkt przetłumaczył jej słowa.

Zdumiony porywczym wystąpieniem młodej kobiety, Napełniony Spokojem spojrzał na nią mniej wrogo, a nawet z rozbawieniem.

Niewiele brakowało, a posłałby jej uśmiech.

Ta urocza Chinka, pomyślał, ma niezwykłą siłę przekonywała. Życzyłby takiej wszystkim wyznawcom Kościoła Światłości.

Zaś co do tego narwańca, Świetlistego Punktu, to można było zarzucić mu wszystko, albo prawie wszystko, z wyjątkiem braku szczerości.

Koniec końców, czy on sam również nie prowadził podwójnej gry, jak ten młody Uczeń, który przecież pokajał się i prosił o przebaczenie?

Czy sam był uczciwy wobec Świetlistego Punktu?

Kiedy poprosił go o udanie się do Chin, dobrze się pilnował, aby mu nie wspomnieć o misji Ujgura Torlaka, którego wysłał do Chang'anu, żeby tam szpiegował, przybrawszy dziwne imię Zielony Kolec.

A czy teraz mógł być pewny tego ostatniego?

Minęły przeszło trzy miesiące bez żadnej wiadomości od niego, choć zważywszy na powagę sytuacji, powinien przysłać raport!

Wielki Doskonały odniósł wrażenie, że oszukali go wszyscy współpracownicy, na których liczył.

Pod tym względem młody kuczanin, pomimo uczynków, które robiły z niego grzesznika, być może nie był taki najgorszy, jako że wrócił i przyznał się do winy.

—A czy przynajmniej przestrzegałeś postu? — mruknął biskup zrzędliwie.

—Nigdy nie przestałem jeść ryżu i warzyw, Mistrzu Doskonały! — odparł spiesznie uczeń.

Młody kuczanin nie cierpiał mięsa, ponieważ nigdy go nie jadł i podczas swych wędrówek żywił się potrawami mącznymi, warzywami i nabiałem.

Napełniony Spokojem dał mu znak, żeby się zbliżył.

—Twoja towarzyszka jest czarująca! Ale zdajesz sobie sprawę, że zdradziłeś swoją wiarę, naruszając regułę czystości, do jakiej każdy szanujący się Uczeń jest zobowiązany? — szepnął mu do ucha.

—Powiedziałem wam, Mistrzu Doskonały, że tu chodzi o miłość! Wcześniej nie wiedziałem, co to takiego! Ona chwyta nas za kołnierz i prowadzi dokąd chce, jak poganiacz wielbłąda, pociągając za łańcuch przewleczony przez jego nozdrza!

—I co teraz będzie z twoją wiarą w Maniego?

—Na miłość nic nie można poradzić. Jak wiara, miłość spada na nas bez ostrzeżenia niczym boski dar. Jestem przekonany, że to Mani, który nadal służy mi za przewodnika, chciał, żeby tak się stało! — wykrzyknął młodzieniec.

Słowa Ucznia, który najwyraźniej i w jak najlepszej wierze nie uważał swego postępowania za naganne, zbiły nieco z tropu Doskonałego.

Było oczywiste, że Świetlisty Punkt ma zupełnie inne wyobrażenia na temat grzechu niż on.

Dla dobrego manichejczyka, jakim był Napełniony Spokojem, naruszenie Trzech Pieczęci oznaczało wygnanie z Kościoła Światłości i wpadnięcie grzesznika w mroczną otchłań zła.

Jednak Wielki Doskonały, troszcząc się o przyszłość swego Kościoła, zdawał sobie sprawę, że bez pomocy tego młodego i porywczego ucznia wspólnota manichejczyków z Turfanu może pożegnać się z planami podbicia Chin.

Czy rozsądne było przyjmowanie za pewnik, że wyznawcy Kościoła Światłości są wolni od wszelkich ludzkich pokus i że we wszystkich okolicznościach będą poczynali sobie jak czyste duchy, podporządkowując się najsurowszym regułom?

Kościoły wszelkich religii zawsze były mieszaniną tego, co duchowe i doczesne, mieszaniną, w której czynniki materialne kłóciły się z aspiracjami duchowymi. Religijne ambicje zakładały korzystanie ze środków materialnych, które oddalały je po trochu od pierwotnej czystości intencji ich założycieli...

A jeśli chodzi o duchowieństwo, to jego członkowie byli przecież ludźmi z krwi i kości.

Z tych właśnie powodów Wielki Wóz, mimo ślubów ubóstwa, jakie składali mnisi, którzy wzorem Błogosławionego mieli żyć wyłącznie z jałmużny, stał się największą zorganizowaną potęgą ekonomiczną swoich czasów.

Co miała wspólnego z Manim i jego nauką nielegalna działalność gospodarcza, jaką Napełniony Spokojem musiał podjąć, aby sprostać potrzebom Kościoła Światłości?

—Trzeba ci wiedzieć, że rozpaczliwie czekałem na informacje od ciebie! Zżerała mnie niepewność! — wyznał Doskonały.

—Nie mogłem wrócić wcześniej do Turfanu! I tak mamy szczęście, żeśmy tu dotarli!

—Co chcesz przez to powiedzieć?

—Niewiele brakowało, a chińskie władze by nas uwięziły. Musieliśmy w pośpiechu opuścić Chang'an! Doniósł na nas niejaki Zielony Kolec, który powiedział nam, że jego obowiązkiem jest ukryć nas po tym, jak zamordowano kupca jedwabnego, u którego mieszkaliśmy! — wyjaśnił Świetlisty Punkt.

Napełniony Spokojem wytrzeszczył oczy.

—Zadenuncjował was? Zielony Kolec? Co ty opowiadasz? — wyjąkał.

—Powiedz mu, że ten człowiek zdradził nas przed administracjąjedwabiu, obiecując nam wcześniej, że będzie nas chronił! I że przedtem ten rozpustnik próbował mnie uwieść! — wykrzyknęła Nefrytowy Księżyc z miną tygrysicy gotowej do skoku.

Młody uczeń przetłumaczył swemu duchowemu mistrzowi słowa ukochanej, po czym dodał:

—Niewiele brakowało, a drogo zapłacilibyśmy za to, że nosiłem na nadgarstku czerwoną nitkę... Zielony Kolec skorzystał z tego, żeby nas wciągnąć w pułapkę!

—Jestem wstrząśnięty! Nie można już ufać nikomu!

—Więc ten człowiek to wasz agent... — stwierdził Świetlisty Punkt.

—Niestety, tak! Wysłałem go, żeby zajął się ochroną naszych interesów!

—Powiedz twojemu Doskonałemu, że ten jego agent to obrzydliwiec! Zdrajca godny pogardy! —poprosiła Nefrytowy Księżyc, której piękne skośne oczy wypełniły się łzami.

Smutek malujący się na jej twarzy dowodził, że nie kłamała.

Świetlisty Punkt pospiesznie przetłumaczył jej słowa.

—Wyjaśnij Nefrytowemu Księżycowi, że rozumiem jej złość -— zapewnił Doskonały, a potem poprosił swego sekretarza, Ormula, który przysłuchiwał się rozmowie milczący i przestraszony, żeby podał herbatę.

—Dlaczego nie powiedzieliście mi o Zielonym Kolcu? — zapytał Świetlisty Punkt.

—Jego obecność w Chang'anie miała pozostać tajemnicą. Naraziłem cię na niepotrzebne ryzyko.

—Nie znacie mnie. Nawet gdyby mnie aresztowali, nie wyjawiłbym niczego!

—Bez wątpienia masz rację! — odparł ze smutkiem Napełniony Spokojem, żałując swego postępowania.

— Ale ja nie mam o to pretensji. Na waszym miejscu

postąpiłbym tak samo! — powiedział uprzejmie Świetlisty Punkt.

— To nie zmienia faktu, że Torlak postąpił bardzo źle! — zagrzmiał Napełniony Spokojem, a jego gniew na młodego Ucznia ustąpił miejsca szczerej życzliwości. — A przede wszystkim bardzo niebezpiecznie, powiedziałbym nawet: zabój czo dla naszych interesów! Pewnie wszystko wygadał władzom.

W tym momencie wrócił Ormul i postawił na stole wielką tacę z imbrykiem i czarkami.

— Świetlisty Punkcie, usiądź tu koło mnie, chcę się dowie dzieć, co tam się wydarzyło, aż do twojego pospiesznego wyjazdu — polecił Uczniowi Wielki Doskonały.

Popijając gorącą herbatę, młody kuczanin, który miał doskonałą pamięć, zaczął opowiadać o wypełnionej burzliwymi wydarzeniami podróży, jaką odbył z Turfanu do Chang'anu i z powrotem.

Mówił o przybyciu bez kłopotów do Chang'anu, gdzie nawiązał na nowo kontakt z Nefrytowym Księżycem, o zamordowaniu jedwabnego kupca, u którego mieszkała dziewczyna, o przeniesieniu się wraz z nią do malarza Szybkiego Pędzelka za namową Zielonego Kolca, który zdołał zdobyć ich zaufanie, o dziwnym pobycie w pokoiku, gdzie byli podglądani, oraz o godnym pożałowania epizodzie, w wyniku którego odpowiedzialny za sieć Czerwonego Kordonka, rozwścieczony agent zadenuncjował ich chińskim władzom, wreszcie o szaleńczej ucieczce ze stolicy, która udała im się mimo działań tajnej policji dzięki temu, że on przebrał się za taoistę, a Nefrytowy Księżyc za chińskiego żołnierza...

W miarę jak kuczanin ujawniał coraz to nowe szczegóły, Napełniony Spokojem coraz szerzej otwierał usta, przechodząc od konsternacji do oszołomienia.

Nefrytowy Księżyc nie kłamała, mówiąc, że musieli pokonać tysięczne przeszkody, nim stanęli tu przed nim!

Zwierzchnik Kościoła manichejskiego próbował przede wszystkim ocenić, jak bardzo haniebna zdrada Zielonego Kolca

utrudni mu rozprowadzanie jedwabiu, którego sprzedaż miała dostarczyć środków na ekspansję Kościoła Światłości w Chinach.

Najgorsze było to, że prawdopodobnie agent wyjawił wszystkie sekrety chińskim władzom, narażając na niebezpieczeństwo także nestoriańskich partnerów!

Należy jak najprędzej ostrzec Addaia Aggaia. Ale co mu powiedzieć?

Czy nestorianin nie straci do niego zaufania, kiedy odkryje, że Napełniony Spokojem kazał utworzyć w Chang'anie własną sieć nadzoru?

Przygnębienie Doskonałego sięgnęło szczytu dopiero wtedy, gdy Świetlisty Punkt przedstawił mroczne perspektywy, o jakich nestoriański partner powiedział mu kilka dni temu w Dunhuangu.

—Mój przyjaciel Addai Aggai wydał ci się więc szczególnie zaniepokojony? — zapytał bezdźwięcznym głosem Napełniony Spokojem.

—A nawet bardzo zmartwiony, mistrzu. Był przybity. Wygląda na to, że boi się ataku Turków, w wyniku którego oazę strawi ogień, a krew jej mieszkańców zostanie przelana.

—To byłoby straszne! Tylko tego nam brakowało! —jęknął Napełniony Spokojem.

—On nie żartował! Przypuszcza, że taka będzie zemsta wścibskich Persów, których musiał odprawić.

—Czy twoim zdaniem jest on gotów podjąć znowu tkanie jedwabiu, kiedy wznowimy dostawy przędzy?

—Biorąc pod uwagę to, co usłyszałem z jego ust, zrobilibyśmy najlepiej, gdybyśmy w przyszłości mogli się obyć bez nestorianów... Zwłaszcza że, według słów biskupa, Persom zależy na tkalni, i żeby nią zawładnąć, skłonią Turków do najazdu na Dunhuang!

—W takim razie możliwe, że będziemy musieli przemyśleć nasze plany... — westchnął Napełniony Spokojem. Jego mina nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że jest przerażony.

Niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad ostatnią wielką oazą na Jedwabnym Szlaku przed Wielkim Murem, stawiało pod znakiem zapytania podział ról między dwiema religijnymi wspólnotami, który aż dotąd tak dobrze się sprawdzał i pozwalał zalewać chiński rynek jedwabiem.

—Zgadzam się z wami. Od tej chwili, Mistrzu Doskonały, najlepiej będzie liczyć tylko na własne siły... Narazilibyśmy się na wielkie ryzyko, gdyby przewidywania Addaia Aggaia miały się spełnić!

—Tym bardziej że chińska administracja musi być postawiona na nogi, zwłaszcza po tym, jak Zielony Kolec, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wyjawił nasze sekrety. Niech będzie przeklęty i rzucony w regiony południa! — rzekł zrzędliwym tonem Napełniony Spokojem, coraz bardziej wściekły na zdrajcę.

Dla żarliwego manichejczyka, jakim był Wielki Doskonały, regiony południowe były obszarem absolutnego zła, piekielnych ciemności, do których trafiały dusze największych grzeszników, w przeciwieństwie do regionów północnych, uważanych za domenę dobra.

—Za kilka tygodni, Mistrzu Doskonały, wznowię wytwarzanie jedwabnej przędzy. Z pewnością znajdziemy sposób, żeby tkać jedwab i rozprowadzać go na rynku chińskim — podsumował młody kuczanin, pragnąc wnieść do rozmowy odrobinę optymizmu.

—Niech cię wysłucha Mani! Nie będzie to prosta sprawa! Zwłaszcza tkanie. Ale na Jedwabnym Szlaku można spotkać tkaczy wełny... Jeśli chodzi o sprzedaż towaru w środkowych Chinach, to obawiam się, że będziemy musieli zorganizować ją sami! — stwierdził Napełniony Spokojem.

—Będzie to okazja dla Kościoła Światłości, żeby wreszcie znaleźć się po drugiej stronie Wielkiego Muru!

—Jesteś niepoprawnym optymistą, Świetlisty Punkcie, ale to dobrze. Być może masz rację!

Na kościstej twarzy Napełnionego Spokojem pojawił się w końcu nieśmiały uśmiech, który dał kuczaninowi do zrozumienia, że sprawy mają się dobrze.

—Jeśli o to chodzi, Mistrzu Doskonały, to mam dla was jeszcze jedną wiadomość.

—Jaką, mój synu? — zapytał mistrz, który chętnie nazywał Uczniów „synami", gdy był z nich zadowolony.

—Córka biskupa Addaia Aggaia, Umara, znikła bez śladu. Niepocieszony ojciec kazał mi powiedzieć wam, że zgodzi się „ominąć swoją kolejkę", jeśli pomożemy mu ją odnaleźć!

—Po raz pierwszy czyni mi taką propozycję! Dowodzi ona, że Umara znaczy dla niego więcej niż wszystko inne... Musiał być bardzo przygnębiony, skoro tak powiedział. Skończy się na tym, że któregoś dnia zmieni zdanie. Nie wierzę, by tak łatwo zrezygnował z wyprzedzenia swego głównego rywala! O ile w sprawach jedwabiu staliśmy się chwilowymi sprzymierzeńcami, o tyle w tym, co dotyczy marszu naszych Kościołów do Chin, będziemy zawsze nieprzejednanymi rywalami! — oznajmił Napełniony Spokojem.

—On cierpi męczarnie, bo nie ma o niej wieści...

—No, ale jeśli mi nie powiesz, gdzie jest dziewczyna, nie wiem, jak moglibyśmy zadowolić jej biednego ojca!

—Być może któregoś dnia się tego dowiem! — rzucił tajemniczo młody kuczanin.

—Zaufaj mojemu doświadczeniu, Świetlisty Punkcie, tego dnia Addai Aggai zmieni zdanie!

Doskonały z Turfanu nie był człowiekiem, dla którego istniały ważniejsze rzeczy niż jego Kościół Światłości!

Jak wszyscy manichejscy duchowni, którzy zajmowali wysokie pozycje w kościelnej hierarchii, tak i Napełniony Spokojem był przekonany, iż nic nie ma prawa stanąć na przeszkodzie pasji, jaka ożywiała go od brzasku do późnej nocy, aby służyć zwycięstwu boskiego słowa proroka Maniego, pośrednika, dzięki któremu ludzie mogli mieć nadzieję, że znajdą się po stronie dobra, jako że, pozostając w rozdarciu między siłami

dobra i zła, z racji swych niezliczonych słabości skłaniali się raczej ku temu drugiemu.

Nieustanne posty, którym poddawał się zwierzchnik Kościoła manichejskiego z Turfanu, jak świadczyła o tym jego przeraźliwa chudość, a także włosiennica, którą bez wahania wkładał na gołe ciało w rocznicę Męczeństwa Maniego, czyniły z jego życia ciężką próbę, którą przechodził samotnie — nie zniósłby jej zresztą nikt inny — mając za jedyną podporę modlitwę i wiarę w proroka.

Do Doskonałego podszedł Ormul i szepnął mu na ucho, że nadeszła godzina wieczornej modlitwy, a to oznaczało koniec rozmowy.

Dla Ucznia wybiła godzina prawdy.

Właśnie teraz powinien poprosić Napełnionego Spokojem o przebaczenie.

— Mistrzu Doskonały, błagam o wasze przebaczenie i proszę z głębi serca, abyście zechcieli zwolnić mnie ze ślubów Ucznia. Dzięki temu będę mógł połączyć się z tą oto kobietą i mieć dzieci! — oświadczył odważnie, stanąwszy naprzeciwko Wielkiego Doskonałego.

Napełniony Spokojem uniósł najpierw jedną, potem drugą brew, ale jego usta, blade i cienkie jak kreska, pozostawały uparcie zamknięte.

— Miejcie litość nad nami! Kiedy jest skrucha, powinno być i przebaczenie! Świetlisty Punkt otworzył przed wami serce! Nie zmuszajcie mnie, abym skłoniła ukochanego mężczyznę do przejścia na wiarę w Prawdę Błogosławionego Buddy! — odezwała się drżącym głosem Nefrytowy Księżyc, zdając sobie sprawę, że Doskonały łatwo się nie podda.

Świetlistemu Punktowi nie pozostało nic innego, jak tylko przetłumaczyć słowa ukochanej, które zabrzmiały jak wyzwanie.

— Wybaczenie grzechu śmiertelnego nie jest proste! — odparł Doskonały, udając, że jest obrażony.

— Dla nas, buddystów, intencje, które poprzedzają czyny, liczą się bardziej niż te ostatnie, które są tylko wynikiem tamtych. Jeśli Świetlisty Punkt postąpił źle, to dlatego że był we mnie zakochany i chciał mnie odnaleźć! Powinniście więc mieć pretensje do mnie, a nie do niego! — zapewniła porywczo Nefrytowy Księżyc.

Usta Napełnionego Spokojem skrzywiły się w nikłym uśmiechu.

—Oto prawdziwie dzielna kobieta! Jedna z tych dusz, których nasz Kościół tak bardzo potrzebuje, aby pomagały zanieść jak najdalej dobre słowo! — powiedział, spoglądając jej prosto w oczy, po czym odwrócił się do młodego kuczanina i zapytał: — Pozostaniesz wierny Kościołowi Światłości? Wesprzesz jego wielki marsz w kierunku Chin?

—Tak, mistrzu! Możecie na mnie liczyć. Od jutra zacznę z zapałem rozkładać w naszej szklarni jedwabniki i kokony na liściach morwy — szepnął młodzieniec, znów padając na kolana.

—Porozmawiamy o tym wszystkim, gdy nadejdzie odpowiednia chwila! Jesteś na dobrej drodze! Zawdzięczasz to w dużej mierze swojej towarzyszce! — zakończył Doskonały, uśmiechając się szeroko.

—Czy mogę przynajmniej prosić was o błogosławieństwo, aby moje działania były odtąd zgodne z waszymi życzeniami?

Napełniony Spokojem skinął przyzwalająco i Świetlisty Punkt opuścił głowę.

Dłonie Doskonałego wydały mu się delikatne i kojące, gdy ten położył je na jego głowie i, przymknąwszy oczy, wyrecytował kilka wersetów Wielkiego Przebaczenia Oczyszczającego Światła.

Wyszedłszy od Napełnionego Spokojem, szczęśliwy i uspokojony Świetlisty Punkt wiedział, że uzyskał rozgrzeszenie, o jakie prosił.

Zrozumienie Doskonałego pozwoliło mu pozostać wiernym Maniemu i manicheizmowi.

Albowiem w razie rzucenia trwałej anatemy Kościół Światłości bez wątpienia utraciłby w osobie Świetlistego Punktu jednego z najbardziej oddanych Uczniów, który w przyszłości miał odegrać wielką rolę w ekspansji manicheizmu.

Napełniony Spokojem, któremu niewątpliwie nie brakowało intuicji, dobrze wyczuł to wszystko i złagodził tak w pierwszej chwili surową postawę.

—Nefrytowy Księżycu, nigdy nie zdołam ci się odwdzięczyć za twoją odwagę! Zadziwiłaś Napełnionego Spokojem lojalnością oraz szczerością swoich słów! Jeżeli mistrz mi przebaczy, co wydaje się prawdopodobne, będę zawdzięczał to tobie!

—Nie musiałam specjalnie się wysilać. Jeżeli to zrobiłam, to dlatego, że cię kocham, mój Świetlisty Punkcie!

Czyż nie była to najpiękniejsza odpowiedź, godna równie pięknego komplementu?

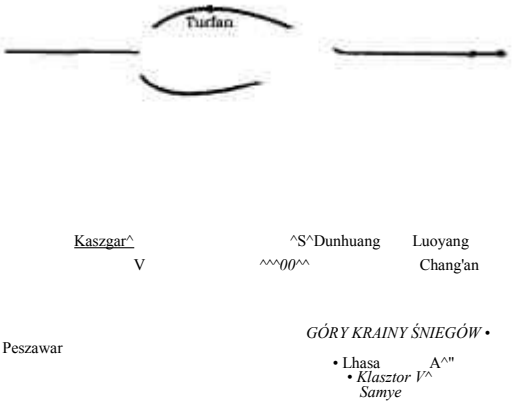

1

Klasztor Samye, Tybet

Oręż Prawa stał naprzeciwko lamy Tö Linga, po drugiej stronie wąskiej szpary w ciężkich drzwiach ozdobionych maskami demonów.

—Chciałbym zostać przyjęty przez czcigodnego lamę Gampo! Natychmiast!

—Kimże jesteście, że domagacie się takiej łaski, nie uprzedziwszy o swoim przybyciu? Nikt nie może bezkarnie przeszkadzać naszemu przełożonemu, którego dni wypełniają tysiące ważnych spraw!

—Nazywam się Oręż Prawa, jestem mnichem Małego Wozu i prawą ręką czcigodnego Buddhiabadry. Poszukuję go. Wyjechał z Peszawaru i nie wrócił do Klasztoru Jedynej Dharmy. Cała wspólnota jest zaniepokojona i czuje się osierocona. Wiem, że tu był. Pewien człowiek widział go nawet w okolicy waszego klasztoru, zaraz po tym, gdy, wedle słów kornaka, zgubił się w śnieżnej zamieci z naszym białym słoniem.

Niczym śmiały wywiadowca, hinduski mnich dokładnie wiedział, dokąd zmierza, i wydawał się pewny tego, co mówi.

Ze słów manipy Oręż Prawa wysnuł wniosek, że Buddhabadra w żadnym wypadku nie mógł zginąć w śnieżnej zamieci,

gdyż wędrowny mnich spotkał go później w towarzystwie Szalonego Obłoku i bez białego słonia w górskiej grocie położonej w pobliżu Samye.

W przeciwieństwie do tego, co wcześniej przeczuwał, jego nieoceniony przełożony zawrócił po własnych śladach, w kierunku najstarszego klasztoru krainy Bod.

Jeśli nadal prawdopodobna była hipoteza o zaginięciu w śnieżnej zadymce świętego słonia z Klasztoru Jedynej Dharmy, to w odniesieniu do Buddhabadry przypuszczenia te nie znajdowały uzasadnienia.

W jakim zatem celu wrócił on do Samye?

Oręż Prawa głęboko wierzył, że rozwiąże tę zagadkę.

Nie wątpił bowiem, że jeśli znajdzie klucz do tej tajemnicy, dalsze kroki doprowadzą go prosto do miejsca, gdzie powinien przebywać jego nieoceniony przełożony.

—Mistrz Buddhabadra rzeczywiście spędził tu kilka dni. Czego więcej chcecie się dowiedzieć? — zapytał nieufnie lama.

—Muszę porozmawiać z waszym przełożonym! Sprawa jest poważna. Nie mam wieści od Buddhabadry i zaczynam się obawiać, czy nie ma jakichś poważnych kłopotów! — nalegał Oręż Prawa.

—W takim razie uwiążcie słonia do drzewa. Drzwi klasztoru są za wąskie, by mógł wejść do środka. Buddhabadra zrobił to samo ze świętym białym słoniem.

Oręż Prawa wydał kornakowi stosowne polecenia i ten uwiązał Sing-singa do pnia jednego z dwóch wielkich modrzewi, które niczym strażnicy o tysiącu ramion rosły z obu stron głównej fasady klasztornego budynku, opadającej spod chorągwi i girland kaskadą dziwacznych pinakli.

Kryjące się w kamiennym obramowaniu, pokrytym rzeźbami potworów o splątanych zwierzęcych ciałach, ciężkie drzwi otworzyły się w końcu na całą szerokość.

Lama Tö Ling dał znak Orężowi Prawa, żeby wszedł na ogromny dziedziniec klasztoru Samye.

O tej godzinie tłoczyli się już na nim mnisi i nowicjusze.

Przestronny klasztor w dzień przypominał ul, w którym wszyscy się krzątali, jedni przy zajęciach gospodarskich, inni przy naprawie pawilonów i pagód, a także malowaniu rzeźb ze stiuku lub drewna, zdobiących ściany, gdyż ich kolory musiały być zawsze żywe i nieskazitelne. Jednak większość mnichów oddawała się modlitwie i obrządkom kultowym.

Po raz pierwszy mnich Małego Wozu z Klasztoru Jedynej Dharmy oglądał buddyjski klasztor tybetański.

Był wstrząśnięty, ponieważ to, co zobaczył i usłyszał, wydawało mu się niezwykłe.

Harmider, w którym pogrążył się tuż po przekroczeniu bramy, prawie go ogłuszył.

Niektóre z obracających się bezustannie wielkich młynków modlitewnych, poruszanych przez mnichów i nowicjuszy, brzęczały, inne wydawały dziwne gwizdy i szumy, podobne do monotonnych deklamacji. Z kamiennych sal dobiegały, wraz z chmurami dymu ze spalających się powoli kadzideł, modlitewne śpiewy i niekończące się recytacje mantr. Chrapliwe albo nosowe głosy mnichów zdawały się dochodzić z zaświatów. Obejmowały dźwięki od najwyższych do najniższych, basowych, a ich dziwne brzmienie nie przestawało wypełniać powietrza.

Przypominające odgłosy wichru w czasie burzy, gdy wpada on gwałtownie z gorących pustyń do chłodnych himalajskich dolin, modlitewne śpiewy tworzyły poszum, który wydał się Orężowi Prawa przerażający.

Z trudem posuwał się za lamą, tak wielki tłok panował na niezliczonych dziedzińcach i w korytarzach, które musieli przebyć.

Mnich z Peszawaru miał wrażenie, że zanurzył się w innym świecie.

Na ścianach i sklepieniach pełno było zabawnych masek demonów z wystającymi kłami, obrazów mściwych boginek, trzymających przy ustach naczynia z czaszek *kapała,* wypeł-

nione krwią ofiar, a także scen jak ze straszliwej masakry, z kawałkami ciał zwisającymi w chorobliwych girlandach, przy czym niektóre z nich składały się z czaszek połączonych jelitami. Nie brakło też symboli cierpienia, nietrwałości, choroby i śmierci, których zadaniem było wspierać medytacje.

Czego Buddhabadra szukał w tak dziwnym miejscu?

Nauczyciele z Peszawaru zaznajomili Oręż Prawa ze wszystkim, co decydowało o tym, że lamaizm tybetański był tak różny od Małego Wozu.

Buddyści z Krainy Śniegów, w przeciwieństwie do braci z północnych Indii, gdzie religijność odznaczała się tą samą subtelnością i umiarkowaniem co obrazy przedstawiające Błogosławionego, nie pogardzali przerażającymi maskami ani krwawymi bóstwami o zębach dzikich bestii, którymi zapełnione były ich sanktuaria.

Czyż złośliwi ludzie nie zapewniali, że w niektórych zagubionych świątyniach Tybetu wciąż praktykowano składanie ofiar z ludzi?

Te przerażające postacie ze ścian niekończących się korytarzy i ogromnych sal modlitewnych wprawiły Oręż Prawa w ponury nastrój.

Czy atmosfera Klasztoru Jedynej Dharmy, którego nagie ściany cudownie odbijały spokój i pogodę, miała cokolwiek wspólnego z tym ulem, w którym się właśnie pogrążał?

Czy buddyzm jest wystarczająco uniwersalny, by godzić tak wielkie różnice?

— Zaczekajcie tu chwilę. Zapytam go, czy może was przyjąć! — powiedział lama, stając przed zamkniętymi drzwiami.

W chwilę potem wprowadził Oręż Prawa do lamy Gampo.

Jego złe samopoczucie znikło wraz z wejściem do ciemnego pomieszczenia, w głębi którego na tle jedynego okna odcinała się wysoka sylwetka.

Oręż Prawa miał wreszcie przed oczami mitycznego przełożonego najważniejszego klasztoru Krainy Śniegów.

Ślepota czcigodnego Gampo, którą zauważył, gdy stary

przełożony odwrócił twarz ku światłu, pogłębiła jeszcze wrażenie, jakie wywierał duchowy zwierzchnik tybetańskiego lamaizmu.

—Niech boska mądrość Błogosławionego oświeci nas wszystkich! Mistrzu, nazywam się Oręż Prawa i składam wam wizytę, żeby prosić was o wiadomości o moim nieocenionym przełożonym, mistrzu Buddhabadrze z Peszawaru! — powiedział, pochyliwszy się przed niewidomym lamą.

—Niech Koło Prawa będzie także z tobą, Orężu Prawa! Wiadomości o Buddhabadrze? Ja także chciałbym je poznać!

Lama Gampo mówił gardłowym głosem, harmonizującym ze spokojną pogodą jego oblicza o białych oczach, oddzielając w osobliwy sposób sylaby.

—Czcigodny mistrzu, trwam w niewiedzy jak dusze grzeszników, które błądzą między piętrami piekła i nieba, mając usta zawiązane sznurkiem, tak że ledwo mogą jeść i pić...

—Wydaje mi się, że jesteś w bardzo ponurym nastroju, Orężu Prawa! Dusza, która czyniła dobro, nie powinna obawiać się *bardo!*

—Nie wiem, w jakim celu mój przełożony przybył tu, do waszego klasztoru, ale musiał mieć ważny powód... Bo jeśli nie, to dlaczego zabrał ze sobą świętego białego słonia? Te zwierzęta, a wiem już coś niecoś na ten temat, nie są stworzone do chodzenia po wysokogórskich perciach, gdzie zieją przepaści bez dna!

—Zadziwiasz mnie! Buddhabadra nie wyjawił ci zatem powodów swej wizyty u nas? Niektórzy zapewniali mnie o czymś zupełnie innym! — wykrzyknął przełożony Samye.

—Nie wiem, kto mógł was wprowadzić w błąd. O pobycie w Samye mistrza Buddhabadry dowiedziałem się tylko dzięki zbiegowi okoliczności! Gdy wyruszyłem na jego poszukiwanie, błądziłem bez celu! Było to czyste szaleństwo, ale nie miałem wyboru. Całą moją wspólnotę pogrążyła w smutku nieobecność człowieka, którego uważa ona za swego prawdziwego ojca. Błagam was, mistrzu, pomóżcie mi!

Lama Gampo usiadł na wąskiej ławeczce, na której spędzał dużą część dni i nocy, medytując z ciężką *małą* w dłoniach.

Wydawało się, że jest zakłopotany, jakby słowa Oręża Prawa nie zgadzały się z tym, co sobie dotychczas wyobrażał.

Namyślał się przez dłuższą chwilę.

—Orężu Prawa, nie wiem, doprawdy, co mógłbym dla ciebie zrobić! Nie jest mi znany los Buddhabadry — rzekł wreszcie ostrym głosem, dając do zrozumienia, że nie powie nic więcej.

—Wszyscy buddyjscy mnisi powinni współczuć swoim bliźnim. Nie macie prawa pozostawiać mnie w niewiedzy! Szedłem miesiącami, pokonałem dziesiątki przełęczy, zmagałem się z zimnem i ze śnieżnymi panterami, żeby stanąć przed wami! A wszystko po to, aby dowiedzieć się, co się tu wydarzyło! — zaprotestował Oręż Prawa, zdecydowany złagodzić nieprzejednaną postawę przełożonego.

—Są przysięgi, Orężu Prawa, których nie wolno złamać, nawet na prośbę człowieka, któremu jest się życzliwym... W każdym razie taki jest mój punkt widzenia. I nawet jeśli nie wszyscy go podzielają, muszę respektować przyrzeczenie, że nie zdradzę tajemnicy, jaka wiąże mnie z Buddhabadrą! — oświadczył stanowczo stary buddysta, jakby zwracając się do młodego mnicha, chciał uczynić wyrzut Buddhabadrze.

Oręż Prawa nie zrozumiał znaczenia tego, co powiedział lama Gampo.

—Te powody niewiele znaczą — odparł. — Dla mnie najważniejszą sprawą jest odnalezienie mojego nieocenionego przełożonego. Błądzę we mgle, zarówno jeśli chodzi o to, co dotyczy pobytu Buddhabadry w tym klasztorze, jak i tego, co wydarzyło się potem! Powiedzcie mi przynajmniej tyle, abym podążał we właściwym kierunku. Nie proszę o nic więcej! — błagał mnich, padając do stóp przełożonego.

—Przysiągłem milczeć!

—Wszyscy moi bracia z Klasztoru Jedynej Dharmy czekają na wieści o swym duchowym ojcu. Nie chciałbym powiedzieć

im, że lama Gampo mi nie pomógł, lekceważąc współczucie, jakie winien jest swoim współbraciom!

—Nie zamierzam powiedzieć ci nic więcej.

—Będę mniej tajemniczy od was. Mistrza Buddhabadrę widziano w grocie niedaleko waszego klasztoru, w towarzystwie niejakiego Szalonego Obłoku.

—Skąd o tym wiesz? — zapytał przełożony, teraz nieco zbity z tropu.

— Od pewnego manipy, który spotkał go twarzą w twarz!

Na surowej twarzy starego Tybetańczyka malowało się zaskoczenie.

Żarliwość i szczerość mnicha z Peszawaru, w połączeniu z tym, co powiedział, wyraźnie nim wstrząsnęły. Pogrążył się na dłuższą chwilę w rozmyślaniach, a potem westchnął i rzekł:

— Pomimo powagi twego oświadczenia, Orężu Prawa, nie mogę podjąć pochopnie tak poważnej decyzji i dopuścić się złamania przysięgi.... Pozwól mi pomedytować trochę i roz ważyć wszystkie za i przeciw. Wróć tu jutro rano. Noc niewątp liwie przyniesie mi dobrą radę.

Następnego dnia serce Oręża Prawa biło jak oszalałe, kiedy Tö Ling prowadził go przed oblicze niewidomego przełożonego.

—Czy jesteś gotowy dochować tajemnicy? — zapytał lama Gampo wprost.

—Macie moje słowo, mistrzu. Będę milczał!

—Przez całą noc rozmyślałem i recytowałem mantry. Poruszyło mnie twoje strapienie. Przebyłeś długą drogę i nie chcę wypuszczać cię stąd, nie udzielając ci żadnych wyjaśnień. Buddhabadra przybył do Samye po to, by uczestniczyć w bardzo ważnym spotkaniu.

—W bardzo ważnym spotkaniu? Mówicie mi za dużo albo za mało, mistrzu! Trudno wyobrazić sobie, żeby Buddhabadra przybył aż do Krainy Śniegów z jakiegoś błahego powodu!

Wydawało się, że te rozsądne słowa trafiają do przekonania staremu ślepcowi.

—To są... hmm.. spotkania... hmm... które odbywają się co pięć lat. Spotykają się trzej przedstawiciele wielkich szkół buddyjskich: Wielkiego i Małego Wozu oraz lamaizmu z kraju Bod, który mam zaszczyt reprezentować.

—Ale jaki jest cel tych spotkań? Te szkoły zazwyczaj ze sobą rywalizują.

—Staramy się współistnieć w pokoju! Ale powiedziałem ci za dużo! Uczestnicy tych spotkań przysięgli, że nigdy nikomu o nich nie powiedzą — uciął lama.

—Nawet tym, którym najbardziej ufają?

—Z chwilą gdy jakiś sekret wyjdzie na jaw, przestaje być sekretem!

—A zatem w Samye odbyło się jedno z tych spotkań...

—Tak! Lub raczej powinno się odbyć! Gdyż byliśmy zmuszeni je odłożyć...

—Wasze słowa napawają mnie przerażeniem, mistrzu. Niczego nie rozumiem! Dlaczego więc Buddhabadra podjął trud przybycia tu wraz ze świętym białym słoniem, który wychodzi z klasztoru tylko po to, żeby obnosić cenne relikwie? Żeby uczestniczyć w wydarzeniu, które się nie odbyło?

—Rozumiem, że jeśli patrzy się na to wszystko z zewnątrz, może się to wydać nieco dziwne...

—To najdelikatniejsze słowo, jakiego można użyć! Postępując tak, Buddhabadra pogrążył moją wspólnotę w smutku, a przede wszystkim sprowadził na nią kłopoty. Skoro nie ma świętego białego słonia, nie będzie można urządzić Wielkiej Pielgrzymki do Relikwiarza Kaniszki, podczas której tłum wiernych towarzyszy w procesji Oczom Buddy! To, co powiedzieliście, mistrzu, zamiast mnie uspokoić, pogrąża w otchłani rozpaczy! — wykrzyknął Oręż Prawa.

—Oczy Buddy? Powiedziałeś „Oczy Buddy"?

To odezwał się milczący aż do tej chwili jak karp lama Tö Ling. W jego głosie pobrzmiewał niepokój.

—Rzeczywiście. Nie możecie nie wiedzieć, że w Relikwiarzu Kaniszki, którym opiekuje się i którego strzeże mój klasztor, przechowuje się cenną i czcigodną relikwię, oczy, które Błogosławiony Budda ofiarował biednemu ślepcowi w trakcie jednego ze swych niezliczonych poprzednich wcieleń! — wyjaśnił Oręż Prawa.
—Ach! Wiem o tym doskonale! — mruknął lama Gampo.
—I ty miałeś w ręku tę relikwię, tak sławną w całym buddyjskim świecie? — zapytał lama Tö Ling.
—Święte Oczy zamknięte są w szkatule z czystego złota w kształcie piramidy, która z kolei zamurowana jest na szczycie relikwiarza. Na czas Wielkiej Pielgrzymki murarze wyjmują szkatułę, żeby można było pokazać ją tłumowi, ułożoną w koszu na grzbiecie świętego słonia. Nikt nigdy nie otworzył tej szkatuły, do której klucz, jak powiadają, zaginął wieki temu...
—Jesteś pewny, że nikt nie ma tego klucza? — zapytał niewidomy przełożony.
—Dlaczego pytacie mnie o to, mistrzu Gampo? — zdziwił się Oręż Prawa. — Jedyną osobą, która może znać odpowiedź na to pytanie, jest Buddhabadra — dodał. — To z nim należałoby rozmawiać. Gdyby tylko było wiadomo, gdzie on jest!
—Niestety! Nie mam o tym najmniejszego pojęcia! Nie wiedziałem, że widziano go z tym Szalonym Obłokiem... Prawdę mówiąc, jestem tym tak samo zaniepokojony jak ty — odparł lama Gampo.
—W takim razie powiedzcie mi przynajmniej, jaki jest cel tych spotkań. To, że ostatnie się nie odbyło, jeśli dobrze rozumiem wasze słowa, stało się źródłem kłopotów! — wykrzyknął przygnębiony mnich hinajany.
—Nie powiem ci nic więcej. Mam surowy zakaz wyjawiania czegokolwiek, co dotyczy tych rozmów.
—Mistrzu Gampo, jeśli dobrze rozumiem, odgrywacie szczególną rolę w dążeniu do pokojowego współistnienia trzech gałęzi buddyzmu, gdyż inaczej te spotkania nie odbywałyby się

w Samye! — rzucił Oręż Prawa, podejmując próbę nakłonienia lamy Gampo, żeby wyjawił mu nieco więcej.

—Skłamałbym, gdybym temu zaprzeczył! — odrzekł lama.

—Nie pełnicie przypadkiem roli przywódcy, z racji waszej ogromnej wiedzy?

Słowa, które mogły ujść za zwykłe pochlebstwo, odpowiadały rzeczywistości. Niewidomy przełożony odpowiedział:

—Masz intuicję, Orężu Prawa. Ograniczę się do powiedzenia ci, że co pięć lat uczestniczę w tych spotkaniach jako osoba w pewnym sensie gwarantująca ich skuteczność. Jestem najstarszy z uczestników. Tak więc właśnie w Samye dochodzi do tego, że „ugoda zostaje przedłużona na następne pięć lat"!

—„Ugoda zostaje przedłużona na następne pięć lat"! Ale co się kryje za tym tajemniczym stwierdzeniem, mistrzu Gampo?

—Wiedz, że za tym stwierdzeniem, jak je nazywasz, kryją się czyny! A nawet czyny ważne i święte! Mój młody przyjacielu, mógłbyś mi powiedzieć, czemu służą słowa, jeśli nie współgrają z czynami? — odparł surowo mistrz Gampo, jakby chciał udzielić lekcji zbyt ciekawemu wyznawcy hinajany.

—Powiedzcie mi o tych czynach, mistrzu, to jest wszystko, co pragnę wiedzieć! Przyrzekam wam, że jeśli spełnicie moją prośbę, nie będę pytał o nic więcej... Będzie mi wtedy o wiele łatwiej odnaleźć mojego przełożonego.

Podniecenie mnicha z Peszawaru, przekonanego, że jest już blisko celu, sięgnęło zenitu.

Ale jego rozczarowanie dorównało nadziejom, gdy usłyszał odpowiedź lamy:

— Nie dowiesz się niczego więcej. I tak powiedziałem za dużo. Pora, abym udał się do sali modlitewnej, żeby uderzyć w wielki bęben.

I niewidomy przełożony wyszedł, oparłszy rękę na ramieniu lamy Tö Linga.

Zbity z tropu zagadkowymi słowami tybetańskiego mnicha, Oręż Prawa opadł na ławkę.

Do jakiej ceremonii albo rytuału mogło odnosić się wyrażenie „zgoda zostaje przedłużona na następne pięć lat"?

Jedyną pewną rzeczą było to, że tajny pakt między trzema buddyjskimi nurtami przewidywał co pięć lat spotkania, którym przewodniczył lama Gampo.

Oręż Prawa błyskawicznie przebiegł w myślach tysiące wersetów sutr, które wpajali mu nauczyciele, gdy był młodym nowicjuszem, przed swoją *upasampada,* tą najbardziej ze wszystkich uroczystą chwilą, podczas której przyszły mnich, z ogoloną głową, trzymając na ręku zapasowe szaty i czarkę na jałmużnę, składał przysięgę, że będzie przestrzegał czterech reguł umartwiania *nisgara,* a także czterech zakazów *akaraniya* (nierządu, kradzieży, morderstwa i świadomego nadużycia nadnaturalnych mocy duchowych), dzięki czemu stawał się pełnoprawnym członkiem wspólnoty.

Nie przypominał sobie, aby w którymkolwiek z tych świętych tekstów, nawet tych najmroczniejszych i najbardziej ezoterycznych, jakich uczono się pod koniec nowicjatu, czytał dziwną formułę: „zgoda zostaje przedłużona na następne pięć lat".

Kto mógłby mu pomóc rozwiązać tę zagadkę?

Popatrzył na kamienne ściany pomieszczenia.

Z pewnością cela mistrza Gampo, o nagich ścianach, sprzyjała skupieniu.

W przeciwieństwie do reszty klasztoru, spojrzenia nie niepokoiła tu żadna przerażająca rzeźba ani obraz w jaskrawych barwach.

Zamknął oczy, aby się skoncentrować, i przypomniał sobie wszystko, czego dowiedział się od przełożonego Samye.

Buddhabadra co pięć lat udawał się do Krainy Śniegów, żeby zawrzeć coś w rodzaju paktu o nieagresji z bratnimi szkołami, pozostającymi mimo wszystko rywalami.

Jeśli dobrze zrozumiał, ostatnie spotkanie nie doszło do skutku.

W tym musiał tkwić powód, dla którego Buddhabadra zawrócił tu samotnie, poleciwszy koniakowi iść przodem.

Orężowi Prawa trudno było wydedukować coś więcej.

Dlaczego Buddhabadrze zależało na tym, żeby zostać samemu?

Co zrobił z białym słoniem?

Jaki mógł być powód, dla którego nieoceniony przełożony spotkał się z tym dziwnym Szalonym Obłokiem, którego obecność w pobliżu Samye najwyraźniej zaniepokoiła lamę Gampo?

W tym punkcie tajemnica, nawet jeśli Oręż Prawa dostrzegał jej kontury, stawała się jeszcze bardziej tajemnicza.

Oręż Prawa nie mógł odpędzić niepokoju, ponieważ zachowanie Buddhabadry wydawało mu się niewytłumaczalne.

Narażanie na ryzyko życia świętego zwierzęcia, odgrywającego tak ważną rolę w obrzędach Klasztoru Jedynej Dharmy, po to tylko, aby udać się na spotkanie w Samye, było absurdem. Chyba że obecność białego olbrzyma uzasadniona była czymś, co wymykało się analizie...

W chwili gdy jego umysł zaczęło ogarniać zwątpienie, mnich z Peszawaru doznał olśnienia.

Jak mógł nie pomyśleć o tym wcześniej?

Jeśli dobrze się zastanowić, hipoteza była kusząca. A w każdym razie dawała początek wyjaśnieniu całej tej zagadki.

Lecz aby uwiarygodnić to przeczucie, musiał wrócić do Peszawaru.

Chwila była odpowiednia. Od rozstania z Pięcioma Zakazami Oręż Prawa czuł się samotny, a ogrom gór wzmógł w nim tęsknotę za ojczystymi stronami.

Nadszedł czas, by wrócić do Jedynej Dharmy, między swoich.

Musieli umierać z niepokoju po tym, jak zostawił ich w trudnym położeniu, na parę dni przed Małą Pielgrzymką.

Kontynuowanie poszukiwań pośród niebosiężnych gór Krainy Śniegów, w których zgubił się ślad Buddhabadry, nie miało sensu.

Gdyby wrócił do Peszawaru, miałby większe szanse uchwycenia najcieńszej choćby nici, która umożliwiłaby mu odkrycie przyczyn tajemniczego zniknięcia Buddhabadry.

Nie tracąc ani chwili, poszedł do kornaka, żeby polecić mu przygotowanie Sing-singa do drogi, po czym wrócił pożegnać się z Tö Lingiem, który przyglądał mu się w milczeniu z wejściowego ganku klasztoru.

—Gdybyście któregoś dnia napotkali osobnika o imieniu Szalony Obłok, idźcie swoją drogą, a w każdym razie nie okazujcie mu litości. Ten człowiek przynosi nieszczęście, powiedziałbym nawet, że jest groźny! — powiedział, klepiąc Oręż Prawa po ramieniu.

—Dlaczego tak mówicie, lamo Tö Lingu?

—Mam swoje powody!

Pokonując przełęcz, zagubiony w myślach Oręż Prawa nie odwrócił się nawet, by popatrzeć na złocone wieżyczki i dachy klasztoru, miejsca sławetnego spotkania, na które Buddhabadra udał się, podejmując wielkie ryzyko.

Droga powrotna do Peszawaru dłużyła się Orężowi Prawa niemiłosiernie.

W Krainie Śniegów tak było zawsze: im bardziej się komuś spieszyło, tym dalej zdawały się cofać szczyty gór.

Daremnie narzucał szybkie tempo, maszerując przed Sing-singiem i koniakiem. Krajobraz pozostawał nieruchomy, a dni zdawały się nie kończyć i jeden był podobny do drugiego.

Na szczęście topnienie śniegów, które o tej porze roku zaczynało zamieniać najmniejsze nawet strumyczki w rwące potoki, a wodospady w gigantyczne kaskady, ułatwiało zadanie słoniowi Sing-singowi.

Nawet tam, gdzie podczas drogi do Samye lód i szron sprawiały, że wspinanie się na stoki było niebezpieczne, teraz błoto i żwir pozwalały zwierzęciu schodzić bez większych trudności.

Na wsiąkających powoli w ziemię śniegach mieniły się już krwistoczerwone korony jaskrów lodowcowych, a po błękicie nieba śmigały nad głową Oręża Prawa jaskółki, jednak ich widok go nie rozweselał.

Popędzając zwierzę, przynaglając kornaka i śpiąc nie więcej niż po kilka godzin, zdołał dotrzeć wyczerpany do Klasztoru Jedynej Dharmy w dwa razy krótszym czasie, niż gdy szedł w tamtą stronę!

Gdy wartownicy dojrzeli go schodzącego z gór, wszyscy mnisi zebrali się na głównym dziedzińcu, żeby ustawić się w szereg i wiwatować.

Sing-sing został ozdobiony papierową girlandą.

Z chwilą wejścia w obręb murów Jedynej Dharmy Oręż Prawa słyszał ciągle to samo zdanie, które wypowiadały usta wszystkich, od najstarszego mnicha do najmłodszych nowicjuszy:

— Buddhabadra nie wrócił! Nieoceniony Buddhabadra ciąg le jeszcze nie wrócił!

Ta rozdzierająca serce, niemal żałobna melodeklamacja mówiła o zamęcie, w jakim pogrążyli się niepocieszeni uczniowie, osieroceni przez duchowego mistrza.

Mimo wyczerpania Oręż Prawa zebrał resztkę sił i stanął na balkonie wychodzącym na główny dziedziniec klasztoru, aby możliwie najdonośniejszym głosem opowiedzieć całej wspólnocie, tłoczącej się u jego stóp, jak się sprawy mają.

Niełatwo przyszło mu znaleźć odpowiednie słowa.

— Moi drodzy bracia, przede wszystkim nie trzeba tracić nadziei...

Ledwie rozpoczął, a ze wszystkich stron ozwały się lamenty i jęki.

Co miał powiedzieć w obliczu tak wielkiej rozpaczy?

Wszyscy oczekiwali w gruncie rzeczy tylko jednego, że Oręż Prawa przyniesie im dobre wieści o Buddhabadrze.

On zaś obawiał się, że jeśli opowie im szczegółowo o swej podróży, a zwłaszcza o spotkaniu z Pięcioma Zakazami, manipą i Niebiańskimi Bliźniętami, w końcu się w tym pogubią.

Skoro wyruszył na poszukiwanie nieocenionego przełożonego, to jego bracia w wierze mogliby nie zrozumieć, dlaczego postanowił pomóc mnichowi Wielkiego Wozu wyrwać się ze

szponów bandy perskich zbójów, a na dodatek, mając coś lepszego do roboty, zgodził się dotrzeć z nim aż do Dunhuangu, gdzie nie było cienia szansy na spotkanie Buddhabadry...

Odbył tak dziwaczną wędrówkę, że trudno by mu było zdać z niej sprawę. Obawiał się, że cała wspólnota uzna go za kłamcę.

Co więcej, przyrzekł, że nie będzie rozpowszechniał tego, co powiedział mu lama Gampo na temat tajemnych spotkań przedstawicieli trzech szkół buddyzmu.

Tak więc uznał, że najlepiej będzie, jeśli powie jak najmniej, a jednocześnie podniesie współbraci na duchu.

—Najdrożsi bracia, moja podróż do Krainy Śniegów nie była daremna!

—A nie powiedziałeś mi, że idziesz po kadzidła na Małą Pielgrzymkę i wrócisz, nim ona się rozpocznie? — wykrzyknął nieco kwaśno Kosz na Ofiary.

—Nie musiałem mówić ci prawdy! Jedyna Dharma była pogrążona w smutku, a ja nie chciałem go pogłębiać, ogłaszając, że wyruszam na poszukiwanie naszego nieocenionego przełożonego. Wiedział o tym tylko Klejnot Doktryny! — odciął się Oręż Prawa.

—Błogosławiony Budda nie chciał, żeby nasz nieoceniony przełożony wrócił do klasztoru! Byłem tego pewny! Czy na jego miejscu nie postąpilibyśmy tak samo? Ja go rozumiem! Był tak blisko tego, by zostać *arhatem* i uciec od niekończącego się cyklu narodzin i śmierci, że pragnął to wykorzystać i rozpłynąć się w nicości... Będzie go nam bardzo brakowało w czasie Wielkiej Pielgrzymki, zwłaszcza po katastrofie Małej! — jęknął jakiś głos, któremu natychmiast zawtórowały lamenty innych.

—Kto to powiedział? — zwrócił się Oręż Prawa do tłumu.

—To ja, Klejnot Doktryny! Rzeczywiście, powiedziałeś mi w sekrecie, dokąd wyruszasz, ale mimo to musiałem improwizować, prezentując serce z sandałowego drewna tłumowi pielgrzymów. Jednak wielu spośród nich, zawiedzionych, że

nie niesie go święty słoń, żywo protestowało! Musiałem wziąć wszystko na moje barki! Na szczęście są jeszcze mocne, Orężu Prawa! — Mnich zmierzył nieufnym spojrzeniem rywala, którego nienawidził.

— Nie wyglądasz na kogoś, kto szczególnie cierpiał! — syknął rozdrażniony Oręż Prawa.

Pozostający od niepamiętnych czasów w złych stosunkach z Orężem Prawa mnich Klejnot Doktryny bardzo źle przyjął fakt, że kilka lat temu Buddhabadra postawił wyżej jego rywala i mianował go swoją prawą ręką.

Mimo iż był pobożny, spędzał czas na oczernianiu Oręża Prawa, którego uważał za uzurpatora.

Wyglądało na to, że jego słowa, wygłoszone wyłącznie po to, by narobić Orężowi Prawa wstydu, podziałały, gdyż mały tłumek mnichów zaczął zrzędzić, a potem wrzeć.

Protestowali głośno, zachęceni wyzwaniem, jakie Klejnot Doktryny rzucił Orężowi Prawa.

— Precz z Orężem Prawa! Precz z pomocnikiem Buddhabadry!

Oręż Prawa stracił cierpliwość.

—Jeżeli chcecie wiedzieć wszystko, to powiem wam, że kiedy udawałem się na poszukiwanie Buddhabadry, w okutej szafie w celi Buddhabadry nie było Rzęsy Buddy. Wasz nieoceniony przełożony zabrał ją ze sobą! — wrzasnął, gotów powiedzieć całą prawdę.

—W takim razie dlaczego nam o tym nie powiedziałeś? — zapytał mnich o imieniu Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Nie bez zaskoczenia Oręż Prawa zdał sobie sprawę, że stoi przed nim już nie jowialny, zawsze koleżeński mnich, ale rozsierdzone wrogie indywiduum, prawdopodobnie podjudzane przez Klejnot Doktryny.

Podczas jego nieobecności rywal spiskował przeciwko niemu!

— A co by to dało? Wolałem zamówić u stolarza z Peszawaru kopię! Dzięki temu mogliście przynajmniej zorganizować

Małą Pielgrzymkę. Co byście zrobili, gdybym wyruszył do Krainy Śniegów jak gdyby nigdy nic?! —- krzyknął Oręż Prawa.

—A skąd się wzięła rzęsa, która znajduje się w relikwiarzu? — zakwakał śmiesznym głosem Kosz na Ofiary, którego potrójny podbródek aż trząsł się z podniecenia.

—Stąd! To moja rzęsa! — Oręż Prawa położył palec wskazujący na swoim prawym oku.

—To oburzające! To nie do pomyślenia! — ryknął Klejnot Doktryny.

W gruncie rzeczy Oręż Prawa nie był zdziwiony tymi wymówkami. Wyglądało na to, że ten atak został przygotowany już dawno.

—Oburzająca i nie do pomyślenia byłaby sytuacja, gdybym wyjechał i zostawił was z kłopotem, wiedząc, że szkatułki z sandałowego drewna nie ma w szafie Buddhabadry. Przynajmniej jestem szczery, Klejnocie Doktryny. Do zrobienia tego wszystkiego dla naszej *sanghi* skłonił mnie nie tylko ogromny szacunek, ale i głębokie przywiązanie do każdego z was! — podsumował Oręż Prawa, a jego słowa wywołały niemrawe oklaski.

—Ty wypełniłeś swój obowiązek, a ja mój: wyjaśniłem wszystkim wiernym, którzy narzekali na brak świętego białego słonia, że podczas najbliższej Wielkiej Pielgrzymki mają prawo ujrzeć obie relikwie Najświętszego Buddy. Jego Rzęsę i Promienne Oczy! — sprecyzował Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, a jednocześnie przed Orężem Prawa pochylił się na znak szacunku wiekowy mnich o przygarbionych plecach.

—Mam nadzieję, że ich nie zawiedziemy! — szepnął w zamyśleniu Oręż Prawa, jakby do siebie, nie zdając sobie sprawy, że Szlachetna Ośmioraka Ścieżka słyszy jego słowa.

—Gdybyśmy nie mogli dotrzymać tego przyrzeczenia, wierni nigdy by nam tego nie wybaczyli. Trzeba było widzieć zawód w oczach tysięcy mężczyzn i kobiet zapełniających ten dziedziniec, kiedy słuchali tłumaczenia, że święty słoń wyru-

szył do Krainy Śniegów! Za ich jękami kryła się głucha siła, gotowa wybuchnąć...! — wykrzyknął mnich, wykrzywiając się ze złości.

—Na szczęście przyszło ci na myśl, żeby rozdać im placki z miodem, co trochę ich uspokoiło... — dodał ze znaczącą miną Klejnot Doktryny.

—Pozostaje mi tylko pożegnać was i życzyć wam dobrej nocy! — rzucił w końcu Oręż Prawa tym, którzy zgotowali mu tak chłodne przyjęcie.

Wszyscy się rozeszli, a Sing-singa odprowadzono do budynku przeznaczonego dla słoni.

Wyczerpany Oręż Prawa pragnął choć trochę odpocząć w swojej izbie i odzyskać siły.

Nie spał jednak długo. Już o świcie, uzbrojony w mały młotek z brązu i rzeźbiarskie dłuto, pospieszył z bijącym sercem w kierunku wysokiej stupy — Relikwiarza Kaniszki.

Imponujący pomnik wznosił się dumnie, oblany różową poświatą wschodzącego słońca, przy końcu alei z rzędami stuletnich cyprysów, która zaczynała się przy głównej bramie Klasztoru Jedynej Dharmy.

To tędy, troskliwie wypieloną brukowaną drogą, kroczyła co pięć lat procesja, podczas której święty biały słoń, idąc po rozkładanych przez wiernych drogocennych kobiercach, niósł Święte Oczy Buddy, które wydobywano ze skrytki na szczycie olbrzymiego relikwiarza tylko na tę okazję.

Aby dotrzeć do skrytki, w której zamurowywano złotą szkatułkę, trzeba było wejść po wewnętrznych schodach aż na ostatnią z ośmiu platform, a potem, nie bacząc na zawrót głowy, wspiąć się po bambusowej drabince, umocowanej do ceglanej ściany pokrytej płaskorzeźbami z motywem lotosu.

Dotarłszy na sam szczyt budowli, Oręż Prawa, z trudem łapiąc oddech, spojrzał w dół na ogromną podstawę pomnika, ozdobioną festonami niczym szeroka spódnica.

Oglądany z góry cokół relikwiarza stapiał się z brukiem świętego placu, na którym go wzniesiono.

W oddali, na tle mglistego, podświetlonego wstającym słońcem widnokręgu, majaczyły mury klasztoru.

Aby nie dostać zawrotu głowy, Oręż Prawa skupił się i zabrał do pracy.

Za pomocą małego młotka z brązu i dłuta przebił cienką ściankę z gliny zmieszanej ze słomianą sieczką.

Ku jego wielkiemu zaskoczeniu okazało się, że glina jest wilgotna i krucha, co wskazywało, że musiano ją mieszać całkiem niedawno.

Zrozumiał, dlaczego tak łatwo dostał się do wnętrza niszy, gdy tylko usunął małą kupkę szarego kurzu.

Miał złe przeczucie.

Mała piramida z litego złota, o rączkach z kości słoniowej przedstawiających zwrócone ku sobie koziorożce, arcydzieło jubilerstwa dynastii kuszańskiej, leżała przewrócona i otwarta.

Włamywacz nie musiał nawet forsować zamka.

W przeciwieństwie do tego, co mówiła legenda, ktoś, jak pozwalały się tego domyślać słowa lamy Gampo, posiadał klucz.

Mała złota szkatułka była pusta.

Po relikwiach nie było śladu.

Oręż Prawa nie potrafił powiedzieć, czy Oczy Buddy istniały tylko w legendzie, czy też rzeczywiście znikły ze szczytu jednej z najbardziej czczonych wież-relikwiarzy Indii.

Cała sprawa wydawała się coraz bardziej tajemnicza.

Oręż Prawa zszedł ostrożnie ze szczytu relikwiarza.

Co robić?

Jeśli ogłosi tę nowinę braciom, z pewnością się załamią!

Obarczyć całą winą Buddhabadrę, albowiem było oczywiste, że to on zabrał Oczy Buddy do Krainy Śniegów?

Niebezpiecznie i być może niesprawiedliwie, a także szkodliwie dla wspólnoty Jedynej Dharmy było mówić głośno o zniknięciu świętych relikwii.

Jedynym rozwiązaniem było więc ich odnalezienie.

Ale jak i gdzie?

Bez wątpienia tam, gdzie ukrył się Buddhabadra...

Wrócić do Samye! Opowiedzieć wszystko lamie Gampo... i tam podjąć śledztwo.

Biedny Oręż Prawa, przejęty pragnieniem czynienia dobra, nie domyślał się, że już za chwilę spotka go niespodzianka, która zniszczy wspaniałe zamki na lodzie, jakie właśnie budował...

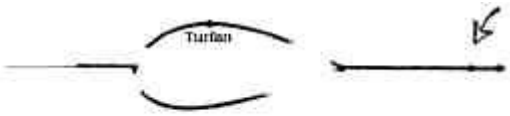

8

Chiny, Luoyang, letnia stolica Tangów, 12 kwietnia 657 rok

W Klasztorze Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu panowało zamieszanie jak przed bitwą.

Powietrze wypełniał unoszący się wszędzie zapach wosku.

Nowicjusze z ryżowymi szczotkami i ścierkami w rękach szorowali klasztorne budynki: cedrowe podłogi lśniły, jakby były pociągnięte laką, a ławy w salach modlitewnych miały nowe jedwabne poduszki.

Po raz pierwszy cesarzowa we własnej osobie kazała zapowiedzieć się przełożonemu, mistrzowi Czystości Pustki.

Osiem dni temu posłała mu krótki liścik, w którym powiadamiała o swym zamiarze

oddania mu wizyty, jaką on złożył jej w poprzednim roku.

Przełożony natychmiast wydał stosowne polecenia, aby klasztor lśnił czystością, a z ciężkich szaf z różanego drewna stojących w bibliotece wyjęto najpiękniejsze chorągwie i zawieszono na murach.

Klasztor Czystości Pustki zamienił się więc w galerię buddyjskiego malarstwa.

Na cześć cesarzowej wystawiono najwspanialsze obrazy

Błogosławionego i jego boskiego orszaku: współczującego bodhisattwy Guanyin — Awalokiteświary, Buddy Przyszłości Maitrei, i Amidy, panującego w Zachodnim Raju.

Na wspaniałych religijnych malowidłach o delikatnej polichromii bystry dostojny gość mógł odnaleźć cały buddyjski panteon.

Przed tymi arcydziełami paliły się tysiące świec i kadzidlane pręciki, włożone w wielkie dzbany z brązu, wypełnione po brzegi popiołem. Na ścianach wisiały płaskorzeźby buddów i bodhisattwów —jedne z drewna cedrowego, inne, mniejsze, były dziełem brązowników oraz specjalistów od złoceń, które sprawiały, że postacie oświetlone tysiącami świec skrzyły się niby cenne klejnoty.

Cesarzowa Chin podjęła tę podróż dla dwóch spraw, które jednakowo ją niepokoiły.

Po pierwsze, chciała uspokoić Czystość Pustki, który być może niecierpliwił się, czekając na spełnienie obietnicy, jaką złożyła rok temu, że dostarczy mu jedwabiu potrzebnego na chorągwie.

Drugim powodem, dla niej ważniejszym, było to, że pragnęła podnieść się na duchu.

Dla żarliwej buddystki, za jaką się uważała, był to w istocie jedyny sposób, aby się upewnić, że nieszczęście, jakie ją dotknęło, nie świadczy, iż Błogosławiony Budda przestał otaczać ją opieką, jak to robił nieprzerwanie, od czasu gdy za sprawą wielkiego Taizonga przestała być zniewoloną kurtyzaną.

Nie znała bowiem nikogo prócz Czystości Pustki, komu mogłaby zwierzyć się ze swych zmartwień. Tylko wielki mistrz *dhyany* mógł wstawić się za nią u Oświeconego.

—Nie zapomniałam o was. Z powodu braku jedwabiu na rynku musiałam po prostu odłożyć na później dostarczenie wam tego, co dostarczyć przyrzekłam — powiedziała, od razu przechodząc do rzeczy.

—Wiem. Tu, w Luoyangu, też nie można dostać najmniejszego zwoju jedwabiu...

—Prowadzę zlecone mi przez cesarza śledztwo dotyczące nielegalnego handlu jedwabiem. Jego brak na rynku podsuwa pomysły osobom bez skrupułów. Istnieje sieć handlarzy, którą organizowano stopniowo...

—Wiem o tym, Wasza Wysokość! — przyznał z roztargnioną miną przełożony największego klasztoru mahajany w Chinach.

Dziwna rzecz, ale słowa Wu Zhao przypomniały mu o warunkach ugody, jaką półtora roku temu tak naiwnie zawarł z Buddhabadrą, wierząc, że pozwoli mu to zaradzić skutkom ostatniego spotkania, które skończyło się fiaskiem z powodu nieobecności Szalonego Obłoku: kokony i gąsienice, dające Jedynej Dharmie możliwość zarobienia dużych pieniędzy dzięki wytwarzaniu jedwabiu w Indiach, za małą szkatułkę z sandałowego drewna w kształcie serca... umowa, co do której miał pewność, że uległa unieważnieniu z powodu braku wiadomości od przełożonego z Peszawaru.

— Wasz wysłannik, Pierwsze z Czterech Słońc Oświetlających Ziemię, powiedział mi o waszym zaniepokojeniu co do rozwoju szkoły Wielkiego Wozu... Mam nadzieję, że jesteście spokojniejsi i nie macie już powodów do zmartwień! — powiedziała cesarzowa, próbując sprowokować go do większej otwartości.

To natychmiast poskutkowało.

—Niestety, Wasza Wysokość, wcale tak nie jest! Wysłałem jednego z moich najbardziej bystrych mnichów z misją, której celem było uśmierzenie moich obaw. Jednak chłopak, najwierniejszy i najprzebieglejszy ze wszystkich, a ponadto niezrównany w sztuce walki, nie wrócił z tybetańskiego klasztoru, do którego miał się udać. Nie mogę uwierzyć, że coś mu się przytrafiło... — odrzekł z przejęciem mnich, porzucając nagle rezerwę.

—Może gdzieś zboczył? Ostatecznie w szerokim świecie, jaki rozciąga się między Chinami i krajem Bod, istnieją wielkie pokusy!

—To niemożliwe, Wasza Wysokość. Ten młody mnich cieszy się moim ogromnym zaufaniem! To żarliwy buddysta.

—A jeśli spotkał piękną kobietę i się w niej zakochał? — podsunęła Wu Zhao, posyłając Czystości Pustki znaczące spojrzenie.

Aż dotąd udawało jej się poprowadzić go tam, dokąd pragnęła.

—W takim wypadku zasłużyłby sobie jedynie na lodowate piekło i nic więcej! Pięć Zakazów złożył śluby czystości i przysiągł wspólnocie Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, że poświęci jej całe życie! Ten młodzieniec ma wyjątkowe zalety, tak fizyczne, jak i umysłowe. Zrobiłem z niego jednego z moich pomocników. W wielkim klasztorze w Luoyangu czekają na Pięć Zakazów najwyższe religijne funkcje! Nie potrafię wyobrazić sobie takiej zdrady z jego strony!

—Czy bylibyście gotowi mu przebaczyć?

—Nigdy! — wykrzyknął ostrym jak klinga miecza głosem mistrz Czystość Pustki, którego oczy zaczęły ciskać wściekłe błyski.

—Czy przełożony Wielkiego Wozu nie może zwolnić ze ślubów mnicha, który z ważnych powodów obrał inną życiową drogę?

—Nigdy nie zrobiłem czegoś takiego i mam nadzieję, że tak zostanie. Każdy musi poddać się swemu przeznaczeniu. Jeśli jest się buddyjskim mnichem, kroczy się wyraźnie wytyczoną drogą! Szlachetna Ośmioraka Ścieżka jest jedyną, która może doprowadzić do stanu *arhata,* to, znaczy stanu bliskiego bodhisattwie! Czy to nie jest piękna przyszłość?

—Ale życie zmusza czasem do zboczenia z najpewniejszej drogi! Ja jestem tego żywym przykładem. Powinnam być teraz niewolnicą na służbie u sprzedawcy mebli albo jakiegoś notariusza... a jestem cesarzową!

—Nie dotyczy to ludzi, których ożywia wiara w Prawdę, a wy, Wasza Wysokość, co pragnę podkreślić, należycie do

nich! Natomiast co do Pięciu Zakazów, jeśli to o niego chodzi, miałbym jeszcze mniej powodów, aby iść wobec niego na najmniejsze ustępstwo! Takie zachowanie byłoby z jego strony zdradą, zważywszy na zaufanie, jakim go obdarzyłem, powierzając mu tę delikatną misję! — zagrzmiał Czystość Pustki, zapominając o powściągliwości, jaka przystoi mnichowi.

Cesarzowa Chin zrozumiała, że drążenie tego tematu jest daremne i że temu biedakowi, Pięciu Zakazom, byłoby trudno osiągnąć to, o co mu chodzi, nawet gdyby wstawiła się za nim bardziej otwarcie.

W oczach przełożonego dostrzegała nieprzejednanie, jakie można było zobaczyć u kapłanów, którzy byli też wielkimi mistykami.

Ich głód absolutu i niezłomność przekonań były tak wielkie, że z trudem przyznawali, zwłaszcza bliskim uczniom, prawo do zachowań właściwych istotom z krwi i kości, jakimi przecież byli!

Tak wielka zapalczywość przełożonego wytrąciła z równowagi Wu Zhao, która przybyła tu, aby szukać pocieszenia. Niezmierzona otchłań, jaka oddzielała ją od Czystości Pustki, pozbawiła ją pewności siebie.

Zadała sobie pytanie, czy naprawdę należy do tego samego świata co on?

Czy ten nieludzki mistycyzm ma coś wspólnego z jej własną religijnością, złagodzoną pragmatyzmem?

Czy najzwyczajniej w świecie nie obrała fałszywej drogi, mając nadzieję na otrzymanie pocieszenia od tak surowego człowieka?

Ponieważ prawdziwą surowością odznaczał się raczej wielki teoretyk Czystej Pustki, a nie ta kobieta, zdolna zarówno do najgorszego, jak i najlepszego!

— Mistrzu Czystość Pustki, straciłam małą córeczkę! — wykrzyknęła nagle, po czym zalała się łzami.

Zdumiony mistrz *dhyany* popatrzył na piękną, mokrą od łez twarz cesarzowej Wu Zhao.

Istnieją osoby, którym ludzie przypisują tak wielką siłę wewnętrzną, że ich widok, gdy płaczą jak dziecko, które rozbiło sobie głowę, wydaje się nierealny.

W oczach Czystości Pustki cesarzowa była jedną z takich osób.

Kilka dni temu położna, matrona równie gruba, co szorstka w obejściu, przyjmując poród cesarzowej Chin, z tych samych powodów powiedziała jej prawdę, nie owijając w bawełnę.

—Wasza Wysokość, dziecko nie żyje! Ale była to tylko dziewczynka! — szepnęła, trzymając w swych doświadczonych rękach posiniałe już i zniekształcone maleńkie ciałko.

—Rzeczywiście, czułam, że się nie rusza! — jęknęła Wu Zhao, której pobladłą twarz pokrywały maleńkie kropelki potu z powodu ogromnego wysiłku związanego z trudnym porodem.

Do pokoju władczyni wkroczył wówczas orszak lekarzy z pigułkami i miksturami, jakie podawano rodzącym.

Nikt nie zapłakał, nikt nie rzucił jej nawet współczującego spojrzenia.

Jak mogło być inaczej?

Była to mała dziewczynka, która urodziła się martwa.

Dla rządzącej linii fakt ten nie miał więc żadnego znaczenia.

Nie wypadało litować się nad cesarzową, zwłaszcza jeśli nazywała się Wu Zhao i miała opinię zaciekłej wojowniczki, gotowej na wszystko, aby osiągnąć cel...

Także Gaozong, zajęty uganianiem się za młodymi, ledwie dojrzałymi nałożnicami, dowiedziawszy się, jakiej płci było martwe dziecko, nie znalazł najmniejszego słowa pocieszenia, kiedy stanął przy łożu żony.

Cesarzowa cierpiała w milczeniu.

Doszła do wszystkiego sama, nie miała matki ani siostry, kuzynki czy opiekunki, a tym bardziej nikogo zaufanego, chyba tylko prócz Niemowy, komu mogłaby powierzyć smutek tak wielki, że zaprowadził ją do przedsionka rozpaczy.

— Dziesięć gwiazd nie potrafiłoby zasłonić księżyca, Wasza Wysokość! — szepnęła tylko do męża kilka dni po porodzie.

Przywołując to przysłowie, które było aluzją do pierwszeństwa, jakie przyznawano synom prawowitej małżonki względem dzieci urodzonych przez konkubiny, miała nadzieję zmiękczyć jego serce.

Przewidywała rozmowę na ten temat, wystroiła się więc w najpiękniejsze szaty, które pozwalały dojrzeć przez wycięcie gorsetu jej kształty, trochę tylko zdeformowane przez ciążę.

Trudziła się jednak nadaremnie.

Cesarz oglądał się już tylko za młodszymi od niej i zachowywał się tak, jakby niczego nie usłyszał.

Wu Zhao uświadomiła sobie, że jest zupełnie sama na świecie i musi samotnie stawić czoło nieszczęśliwym i szczęśliwym darom, jakimi obsypywał ją los.

Jedyną pociechę znajdowała w pewności, że świat zalewa podobne słońcu światło Błogosławionego Buddy, jeśli nawet bywały dni, gdy gwiazda ta tak była przesłonięta chmurami, że wydawała się jej blada i nierealna.

Cesarzowa doszła do wniosku, że Czystość Pustki nie jest człowiekiem, który pomoże jej pokonać zły los, i to ją przygnębiło.

Zmusiła się więc, aby osuszyć łzy i stać się znowu taką jak zwykle: nieubłaganą i potężną władczynią imperium Tangów.

—Cesarzowa Chin przeprasza, że pozwoliła sobie na chwilę słabości. Po prostu zmęczyła ją podróż statkiem z Chang'anu, z powodu spiętrzenia przez wiatry wód Wielkiego Kanału! — powiedziała.

—Przygotowaliśmy dla Waszej Wysokości izbę cesarską w Klasztorze Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa. Spał w niej tylko dwa razy wielki Taizong — odparł grzecznie Czystość Pustki.

Izba była tylko nieco większa od izby mnicha. Znajdowała

się na pierwszym piętrze głównej pagody klasztoru, dzięki czemu można było uczestniczyć w obrzędach, nie wstając z łóżka.

Przez dwa dni Wu Zhao wracała więc do sił, przyglądając się mnichom i mniszkom, idącym szeregiem, aby słuchać wykładów, a potem modlić się w chmurze kadzideł przed świętymi posągami.

Niczym najpobożniejsza z wiernych pościła i wkładała prostą suknię z grubej wełny, dołączając swoje błagania do modłów mistrzów, którzy prosili Błogosławionego i jego pośredników, żeby pomogli im osiągnąć nirwanę.

Z dala od świata czuła się bezpieczna.

Dobrze było znaleźć się daleko od dworu.

Zatęskniła za czasami, gdy po śmierci Taizonga była mniszką.

A potem, niestety, wypadło jej pożegnać się z Czystością Pustki i jego zaciszną przystanią.

Gaozong nie pozwalał, aby jego żona pozostawała dłużej poza Chang'anem.

Płynąc kanałem, obrośniętym kwitnącymi migdałowcami, które oglądały śmierć dziesiątków tysięcy jeńców wojennych w czasie jego kopania, rozmyślała nad tym, co jej powiedział wielki mistrz *dhyany,* gdy się z nim żegnała.

Nie była pewna, jakie wnioski ma z tego wysnuć.

Czy to było wołanie o pomoc? A może utajona groźba?

—Wasza Wysokość, mahajana potrzebuje waszego wsparcia. Czy można na nie liczyć? — zapytał z naciskiem przełożony.

—Moja wiara pozostaje nienaruszona. Bez niej byłabym niczym! — zapewniła szczerze Wu Zhao.

—Szkoła Wielkiego Wozu byłaby mocnym filarem imperium, którego władca wyznawałby swoją wiarę tak gorąco jak wy, Wasza Wysokość.

—Postaram się dostarczyć wam jedwab na chorągwie przed końcem roku księżycowego! Gdyby nie kłopoty z jego zdobyciem, już bym wam go dostarczyła! — zapewniła podekscyto-

wana, obawiając się, że przełożony dał jej w ten sposób do zrozumienia, iż nie może zapomnieć o obietnicy...

—Wasza Wysokość, mówię nie o tym, ale o czymś o wiele ważniejszym! — odpowiedział nieco zirytowany Czystość Pustki.

—Jak mam to rozumieć?

—Chodzi o was, o nikogo innego. Ten kraj, Wasza Wysokość, będzie potrzebował cesarza o waszym harcie ducha, którego pierwszym posunięciem będzie nadanie buddyzmowi rangi oficjalnej religii Państwa Środka.

Jego słowa tak zaskoczyły Wu Zhao, że nie miała nawet dość przytomności umysłu, aby zareagować we właściwy sposób.

Zakłopotana, wyjąkała tylko jakąś zdawkową odpowiedź.

Teraz jednak, płynąc ogromną cesarską barką, wprawianą w ruch przez stu wioślarzy, którzy poruszali wiosłami w rytm uderzeń bębna, lepiej rozumiała znaczenie tego, co powiedział zwierzchnik Wielkiego Wozu.

A jeśli chodziło jedynie o coś za coś?

Wsparcie buddystów dla cesarzowej, w zamian za uczynienie Wielkiego Wozu oficjalną religią Państwa Środka — oto, co zasugerował jej mistrz chińskich buddystów.

Porozumienie na szczycie!

Tajemny pakt, który pieczętował przymierze między władzą duchową i świecką w największym kraju świata!

Pomocna dłoń, wyciągnięta do niej przez Czystość Pustki, pozwalała jej rozważyć posunięcie prowadzące do unii tronu i ołtarza, o jakiej rozmyślała od dłuższego czasu.

Albowiem przymierze, które Wu Zhao zawsze uważała za konieczny warunek wprowadzenia w życie swoich wielkich planów, znajdowało się oto w zasięgu ręki!

Czyż nie był to dowód, że Boski Błogosławiony nadal ją ochrania i oświeca swoją mądrością?

Czy nie popełniała błędu, wątpiąc w jego wsparcie?

Po raz kolejny skonstatowała, że jej największym wrogiem jest to straszliwe zwątpienie, które czasami brało jąwe władanie i dręczyło, skazywało na tysięczne cierpienia i przytłaczało tak,

że zmuszała się do największego wysiłku, aby tłumaczyć sobie wciąż na nowo, że jest na dobrej drodze i że w żadnym wypadku nie wolno jej z niej zboczyć.

Otwartość mistrza Czystości Pustki stanowiła najlepszą zachętę do wytrwania.

Nie mogła dopuścić, aby przeszkodziła jej w tym śmierć małej córeczki.

Z półprzymkniętymi oczami, podniesiona nieco na duchu, Wu Zhao siedziała na rzeźbionym fotelu w tylnej części pokładu barki, wachlowana przez służących, którzy pochylali się z szacunkiem za każdym razem, gdy przechodzili, i wyobrażała sobie siebie jako władczynię Chin, podczas gdy po obu stronach przesuwały się pola ryżowe.

Kobieta władczynią Chin!

Z wizyty u przełożonego z Luoyangu wyniosła przede wszystkim przeświadczenie, że ten szalony sen, ten dziwny pomysł, który ktoś mógł wziąć za kaprys, był w istocie głęboko przemyślanym projektem, jak najbardziej możliwym do zrealizowania.

Tak więc, wróciwszy do Chang'anu, cesarzowa odzyskała energię i pewność siebie.

Była nie do poznania, dużo mniej smutna i niespokojna niż przed wyjazdem.

A w każdym razie dużo mniej zdenerwowana niż Pięć Zakazów i Umara, którzy czekali przed drzwiami Pawilonu Rozrywek, dokąd pospieszyła, żeby zdać im sprawę z rozmowy z Czystością Pustki.

Cesarzowa powiedziała wprost:

— Twój były przełożony nie jest człowiekiem, który łatwo zapomina... Nie zdradziłam mu, że jesteś u mnie na służbie. Sam powiedział mi o misji, jaką ci powierzył. Nie dopuszcza ani na moment myśli, że mogłeś się zakochać. Kiedy wspomniałam o takiej możliwości, zwyczajnie się rozzłościł!

—Byłam tego pewna! -—jęknęła Umara. — Mistrzowie nie są zbyt wyrozumiali dla swych uczniów! Przypomniałam sobie, jak mój ojciec postępował z Diakonosem...
—Buddystów ożywia współczucie i niechęć do stosowania przemocy. Dlaczego więc Czystość Pustki odmawia mi swego miłosierdzia, choć nie zrobiłem nic złego, a w dodatku nie wyrzekłem się mojej wiary? — wykrzyknął wzburzony Pięć Zakazów.
—Nie powinieneś się zniechęcać, znajdziemy sposób, żeby staruszek zmienił zdanie — odezwała się Wu Zhao, pragnąc pocieszyć swego protegowanego.
—Ale jak? On jest taki surowy... Nowicjusze z Luoyangu tak się go boją, że nie śmią nawet spojrzeć mu w twarz — bąknął zniechęcony Pięć Zakazów.
—Zostałby moim wielkim dłużnikiem, odmawiając mi takiej przysługi — rzuciła tajemniczo cesarzowa.
—Wątpię, aby to było możliwe! — szepnął mnich.
—Jej Wysokość wie, co mówi! — wtrąciła się Umara, rzucając Pięciu Zakazom wymowne spojrzenie. Lepiej nie drażnić cesarzowej, podając w wątpliwość jej słowa.
—Obiecałam, że dostarczę mu jedwab na chorągwie. Mają tam zwyczaj zastępowania ich co rok nowymi, ale brak jedwabiu na rynku nie pozwala Czystości Pustki tego zrobić.
—Dlaczego brakuje jedwabiu? — zainteresowała się Umara.
—Popyt nań nie przestaje rosnąć w krajach Zachodu. A jedwabnik jest tylko małym, kruchym robaczkiem. Zdarza się często, że gąsienice wysychają i umierają, zanim zaczną wydzielać nici na kokon!
—Czy tę chorobę jedwabników da się wyleczyć? — drążyła dziewczyna.
—Niektórzy buddyści zapewniają, że w ten sposób motyl daje ludziom do zrozumienia, że nie godzi się na poświęcanie larwy! — wyjaśniła cesarzowa.
—Nigdy bym o tym nie pomyślał! To prawda, że los dusz, które odradzają się w jedwabnikach, nie należy do tych najbar-

dziej godnych pozazdroszczenia.... — mruknął zamyślony Pięć Zakazów.

—Już od miesięcy administracja jedwabiu próbuje znaleźć lekarstwo na tę epidemię, bez najmniejszego powodzenia. Nieliczne zwoje jedwabiu, które wychodzą ze Świątyni Nieskończonego Przędziwa, gromadzone są w centralnym magazynie państwa jako rezerwy strategiczne, po które sięga się, gdy na przykład nie wystarcza pieniędzy na zapłacenie żołdu oficerom w czasie wojny. Wszystkie inne cesarskie manufaktury stoją bezczynne! — dodała lekko rozdrażniona Wu Zhao.

—I nie ma sposobu, żeby sięgnąć po ten jedwab z rezerw magazynu centralnego? — zapytała naiwnie młoda nestorianka.

—Klucz do tego składu, pilnowanego dniem i nocą przez trzystu ludzi, jest w rękach cesarza. Gaozong ma go zawsze przy sobie, w wewnętrznej kieszonce pasa... A ja jestem tylko żoną cesarza Chin, a nie cesarzem.

—Któregoś dnia moglibyście, pani, nim zostać! — wykrzyknęła Umara.

—Co każe ci tak mówić? — roześmiała się Wu Zhao. Pięć Zakazów spojrzał zdziwiony na ukochaną.

—Wasza Wysokość, wszyscy w Dunhuangu twierdzili, że tak naprawdę to wy rządzicie Chinami.

—Nie należy wierzyć temu, co mówią ludzie!

—Ale jako kobiecie, mnie by się to podobało — ciągnęła z uśmiechem młoda nestorianka.

—Kto wie, może zacznę rządzić, mając wsparcie takiej osoby jak ty! — zażartowała cesarzowa.

Władczynię rozczuliła spontaniczność młodej dziewczyny.

—Jeśli sytuacja się nie zmieni, nie będę mogła spełnić przyrzeczenia, jakie złożyłam Czystości Pustki! Będzie miał do mnie o to żal przez długi czas!

—A ja nigdy nie otrzymam jego przebaczenia! — zauważył Pięć Zakazów, którego ta ewentualność chyba specjalnie nie niepokoiła, po czym zapytał: — Zatem w Chang'anie nie ma już nielegalnego jedwabiu?

—Niestety, ani kawałeczka!

—Więc handel ustał? — zaniepokoiła się Umara.

—W zeszłym miesiącu kazałam wstrzymać śledztwo dotyczące siatki handlarzy jedwabiem z tego prostego powodu, że cały przemyt zniknął z powodu braku towaru! Nie ma już jedwabiu ani na czarnym rynku, ani na oficjalnym! — odrzekła Wu Zhao.

Umara i Pięć Zakazów byli świadkami jednej z tych szybkich zmian nastroju cesarzowej, której zachowanie zawsze wprawiało w zakłopotanie jej rozmówców, ponieważ nie potrafili przewidzieć, jak zareaguje na takie czy inne ich uwagi.

Na jej twarzy malował się niepokój i wydawało się, że utraciła całą pogodę ducha, tak jakby zapomniała o tym, co przeżyła w Luoyangu.

Patrzyli na nią, jak chodzi tam i z powrotem, załamując ręce. Lapika zaczęła ocierać się o jej nogi, liżąc kraj sukni, haftowanej złotą i srebrną nicią.

— Musimy pomóc tej kobiecie! Popatrz tylko na jej strapienie! Żal mi jej... — szepnęła poruszona Umara, pochylając się do ucha ukochanego.

Pięć Zakazów zastanawiał się, jak ma się zachować.

Czy aby pocieszyć cesarzową, powinien zdradzić tajemnicę, opowiadając o Świetlistym Punkcie i manichejskim jedwabiu?

Przyjrzał się Umarze i dojrzał w jej oczach zachętę do wyjawienia Wu Zhao tego, co wie.

—Wasza Wysokość, być może mam sposób na to, żeby kłopoty Waszej Wysokości się skończyły... — odezwał się w końcu po chwili zastanowienia.

—Słucham cię — westchnęła przygnębiona cesarzowa.

—W drodze do Chang'anu, w pobliżu Wielkiego Muru spotkaliśmy młodą, bardzo sympatyczną parę. Ona była Chinką i nazywała się Nefrytowy Księżyc, a on kuczaninem i miał na imię Świetlisty Punkt.

—Nefrytowy Księżyc, co za śliczne imię, a przynajmniej rzadko spotykane! — powiedziała cesarzowa.

—Była to urocza para. Świetlisty Punkt wyjaśnił nam, że zna się na hodowli jedwabników; był wyznania manichejskiego i wracał do siebie, do Turfanu, z mocnym postanowieniem uruchomienia na nowo wytwórni jedwabnej przędzy Kościoła Światłości! Co do Nefrytowego Księżyca, to pracowała w cesarskiej tkalni Nieskończonego Przędziwa — wyjaśnił Pięć Zakazów.

—Nie wiem, co on mógłby dla mnie zrobić! Turfan to przecież na drugim końcu świata! A gdyby przypadkiem dowiedziano się, że cesarzowa Chin spiskuje z cudzoziemcami, żeby stać się podporą handlu jedwabiem, którego zakazuje państwo, mogłoby to wywołać trochę zamieszania, nie uważasz? — rzekła zrzędliwie.

Mimo to wiedziała, że piękna para, jaką tworzyli Umara i Pięć Zakazów, jest wobec niej szczera, bo chociaż nic ich do tego nie zobowiązywało, wyjawili jej to, co już wiedziała od Zielonego Kolca.

— Wasza .Wysokość, gdybyście sobie tego życzyli, mog libyśmy odegrać rolę pośredników, dzięki czemu pozostalibyście poza podejrzeniami! — podsunęła Umara.

Cesarzowa popatrzyła na nią z dziwną miną, jakby ujrzała w zupełnie innym świetle młodego mnicha i młodą nestoriankę, którzy z miłości rzucili wyzwanie wszystkim zakazom, schodząc z wytyczonych ścieżek i nie martwiąc się tym, że może to sprowadzić na nich jakieś nieszczęście.

Czyż ona nie postępowała tak samo?

Cesarzowa Chin, o której dworska arystokracja mówiła, że potrafi tylko siać terror i kocha wyłącznie siebie, czuła się dziwnie bliska tej parze zakochanych, którą przyjęła pod swój dach.

Przyglądając się przystojnemu mnichowi o atletycznej sylwetce i uwodzicielskim uśmiechu, mówiła sobie nawet, że gdyby nie był ukochanym Umary, nie wahałaby się go uwieść...

— Wasza Wysokość, zgadzam się z Umarą. Jeśli się zdecy dujecie, myślę, że będziemy mogli dostarczyć wam zwoje

manichejskiego jedwabiu. Wystarczy udać się do Turfanu i porozumieć z tym młodym kuczaninem. Jestem pewny, że on, mając obietnicę waszego wsparcia, umiałby przekonać Doskonałego z Kościoła Światłości. Z jego słów wynikało, że Napełniony Spokojem stara się wszystkimi sposobami wprowadzić swój Kościół do stolicy Państwa Środka! Nie ulega wątpliwości, że w zamian za wasze poparcie zgodziłby się na taki układ — powiedział Pięć Zakazów.

—Od lat Wielka Kancelaria spraw wewnętrznych i wyznaniowych przygotowuje uchwały, które mają umożliwić praktykowanie manicheizmu w środkowych Chinach... ale konfucjanistom zawsze udawało się temu przeszkodzić — odrzekła w zamyśleniu Wu Zhao.

—Gdybyście zapewnili Wielkiego Doskonałego z Turfanu, że zamierzacie podjąć wszelkie wysiłki, aby te uchwały wprowadzić w życie, on skorzystałby z tej okazji! — zapewnił młody mahajanista.

—Ale jak ten Napełniony Spokojem miałby się na to zgodzić, nawet mnie nie znając! W imię czego szef manichejskiego Kościoła miałby zaufać cesarzowej Chin?

—Wasza Wysokość, wasza sława, w przeciwieństwie do tego, co zdajecie się sugerować, sięga daleko poza granice Wielkiego Muru! — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—Tego rodzaju negocjacji nie można prowadzić na odległość! Jestem więźniarką zamkniętą w tym pałacu. Kto będzie omawiał warunki ugody z twoim Świetlistym Punktem i jego mistrzem? Kto to zorganizuje? Jak gotowy towar zostanie przewieziony do Chang'anu? — drążyła nieufnie cesarzowa.

—Myślę, że nasz przyjaciel, tybetański mnich, byłby gotów wyruszyć natychmiast do Turfanu, żeby przygotować całe przedsięwzięcie! —powiedział Pięć Zakazów, a potem odwrócił się do manipy i wyjaśnił mu, o co chodzi.

—Złożyłem przysięgę, że będę towarzyszył tobie i Niebiańskim Bliźniętom aż do Luoyangu... Nie chciałbym, żeby Błogo-

sławiony potraktował moją wyprawę do Turfanu jako jej złamanie... — odrzekł manipa, trochę zmartwiony.

— Wyświadczysz nam ogromną przysługę, podejmując się tej misji. Nasze przybycie do Luoyangu trochę się opóźni, ponieważ ja udam się tam dopiero po twoim powrocie! — Pięć Zakazów nie wyobrażał sobie, aby teraz, biorąc pod uwagę nastawienie Czystości Pustki, mógł stanąć przed jego ob liczem.

Twarz wędrownego mnicha rozjaśnił szeroki uśmiech.

—Kiedy mam wyruszyć? *Om!* — wykrzyknął rozradowany i wykonał salto do tyłu.

—Jeśli dobrze zrozumiałam, manipa wziąłby na siebie przekazanie mojej propozycji Kościołowi Światłości z Turfanu? — upewniła się Wu Zhao, zadziwiona tą akrobatyczną sztuczką.

—On się zgadza, Wasza Wysokość! — odparł Pięć Zakazów.

—Wasza Wysokość, nie zmieniam raz danego słowa! *Om mani peme hung!*

—Manipa wyruszy jutro do Turfanu i obiecuję wam, że za niecałe sześć miesięcy będziesz mogła, pani, podarować mistrzowi Czystości Pustki pierwszy zwój jedwabiu na jego malowane chorągwie! — oświadczył Pięć Zakazów.

—Mam pełne zaufanie do Świetlistego Punktu. Jestem pewna, że będzie umiał przekonać Napełnionego Spokojem do tego interesu, który Wasza Wysokość mu proponuje — dodała z zapałem Umara.

Jej twarz promieniała radością, kiedy cesarzowa składała na jej czole czuły pocałunek, żegnając się przed powrotem do swoich apartamentów.

Gdy tego wieczoru młodzi znaleźli się w łóżku, pod wpływem wyrzutów sumienia, jakie dręczyły ją od tygodni, Umara doszła do wniosku, że najwyższy czas podzielić się z ukochanym strasznym sekretem, który aż dotąd zachowała dla siebie.

Odepchnęła go więc łagodnie i kazała mu usiąść grzecznie naprzeciwko siebie.

— Muszę opowiedzieć ci o potwornej scenie, jakiej byłam świadkiem. Pozwól, mój kochany, że ci wyjaśnię, dlaczego znalazłeś mnie na urwisku, które wznosi się nad pustynią, po naszym pierwszym spotkaniu na Jedwabnym Szlaku — wy szeptała, drżąc.

Niepokój i strach, widoczne w jej oczach, mówiły o śladach, jakie to wydarzenie pozostawiło w jej duszy.

Dość jej było przymknąć powieki, by ujrzeć znowu zrujnowaną pagodę, w której Szalony Obłok zamordował Buddha-badrę. Powracały, równie wyraźne jak pierwszego dnia, obrazy straszliwie umęczonego ciała, z którego wypruto wnętrzności.

—Wyglądasz na poruszoną! Mów! Powiedz coś więcej! — prosił Pięć Zakazów, przytulając ją.

—Widziałam, jak pewien człowiek wypruwał wnętrzności drugiemu. Na moich oczach. To było straszne... — szlochała.

—Kiedy to się wydarzyło, kochana?

—To było w opuszczonej pagodzie, niedługo przed naszym pierwszym spotkaniem na Jedwabnym Szlaku. Ciągle prześladuje mnie po nocach widok tego szaleńca, który rzucił się na swoją ofiarę, żeby otworzyć jej brzuch, jak to się robi z pokrywą kufra!

Łzy młodej nestorianki wymownie świadczyły o cierpieniu, jakiego zaznała, zachowując dla siebie tak straszny sekret.

Dobierając starannie słowa, opowiedziała zaszokowanemu młodzieńcowi o ohydnym wydarzeniu, jakiego była mimowolnym świadkiem.

—Dobrze zrobiłaś, że opowiedziałaś mi o tym morderstwie. Teraz, Umaro, powinnaś wyrzucić tę okropną scenę z pamięci. Jestem pewny, że złe wspomnienie się zatrze. Pomogę ci w tym. Trzeba zapominać o przykrych sprawach, łącznie z tymi najbardziej odrażającymi! — mówił, starając się ją pocieszyć.

—Trudno jest zapomnieć, gdy człowiek wie, kim są zabójca i jego ofiara!

—Czyżbyś znała imiona tych ludzi?

—Niestety, tak! Znam imię ofiary. Chodzi o Buddhabadrę, przełożonego Orężа Prawa...

—I nic nie powiedziałaś Orężowi Prawa?! — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—Gdybyś wiedział, jak tego żałuję! Kiedy usłyszałam, jak wymawiał to imię po raz pierwszy, podczas naszej ucieczki z tkalni, byłam tak poruszona, że chciałam powiedzieć mu wszystko, ale żaden dźwięk nie wyszedł z moich ust! —jęknęła, załamując ręce.

—Rozumiem, to był dla ciebie zbyt wielki ciężar! Ukryłaś to tak głęboko, że nie mogłaś wyrzucić z siebie prawdy ot tak, natychmiast! — szepnął Pięć Zakazów.

—Gdybyś wiedział, jak przeklinam strach i niepokój, które mnie sparaliżowały. Zachowałam się niegodnie!

—Nie płacz, kochana. Jeśli zabrakło ci odwagi, okoliczności cię usprawiedliwiają!

—Ale na myśl o biednym Orężu Prawa, który nadal szuka Buddhabadry, nie domyślając się, że ten nie żyje, serce mi się kraje! Gdybyś wiedział, jak chciałabym być ptakiem, żeby polecieć i go ostrzec! — westchnęła, spoglądając opuchniętymi od płaczu oczami.

—W końcu się zorientuje, że szuka go na próżno, i wróci do Peszawaru. Jestem przekonany, że kiedy wyjaśnimy mu powody twojego zachowania, zrozumie i nie będzie miał do ciebie żalu! — zapewnił Pięć Zakazów, po czym dorzucił: — Skoro poznałaś imię ofiary, to przypuszczam, że nie uszło twej uwagi także imię mordercy!

Umara zadrżała.

Postać mordercy była jej tak wstrętna, tak go nienawidziła i zmuszała się, żeby zatrzeć jego obraz w pamięci, że wymówienie jego imienia było ponad jej siły.

Musiała jednak, mimo wszystko, wypowiedzieć głośno imię ponurego osobnika ogarniętego morderczym szałem, którego manipa tak często wspominał.

—Szalony Obłok! — rzuciła w końcu ochrypłym głosem. — Mam nadzieję, że nigdy więcej nie usłyszymy o tym człowieku, jeżeli nadal należy do gatunku ludzkiego...

—Przede wszystkim miałaś szczęście, że wyszłaś z tego bez szwanku, kochana. Kiedy o tym myślę, przechodzą mnie dreszcze!

—Na szczęście ani Buddhabadra, ani Szalony Obłok nie spostrzegli, że tam jestem. Po zamordowaniu swego towarzysza Szalony Obłok zapadł w coś w rodzaju letargu, dzięki czemu mogłam stamtąd uciec z... — urwała nagle.

—Z czym, Umaro? Jest jeszcze coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć? — zapytał Pięć Zakazów, zaintrygowany tym, że jego ukochana nie dokończyła myśli.

—Nie, najdroższy, nie ma niczego prócz tego morderstwa! Wybacz mi moje wzburzenie! Opowiadanie o tym sprawia, że nie panuję nad sobą...

—Umaro, możesz powiedzieć mi całą prawdę! Między nami nie powinno być żadnych sekretów!

—Powiedziałam ci wszystko — szepnęła dziewczyna, wyczerpana wysiłkiem, na jaki musiała się zdobyć.

Pięć Zakazów wstał z łóżka i wrócił po chwili z podłużnym futerałem, który był powodem jego wyprawy do Tybetu. Nie wyjmował go z sakwy od czasu, gdy opuścił Samye.

— Teraz moja kolej, kochana, żeby ci powierzyć pewien sekret. Popatrz na to pudło, Umaro, i otwórz je! Przysiągłem mistrzowi Czystości Pustki, że dochowam tajemnicy. Ale jak mógłbym nie dać ci dowodu takiej samej szczerości i otwartości, jakie ty mi dałaś?

Gdy młoda nestoriańska chrześcijanka otwierała futerał z *Sutrą o logice Czystej Pustki,* jej drobne dłonie drżały jak liście osiki.

Wyjęła cenny zwój, a potem, odwinąwszy delikatnie jedwabną taftę, zaczęła ostrożnie rozkładać go na łóżku.

Pośrodku dedykacji, pieczęci i różnych notatek pozostawionych tam przez najsławniejszych egzegetów, którzy mieli okazję

mieć go w ręku, ukazał się tytuł, subtelne połączenie poezji i ezoteryzmu, wypisany pismem kancelaryjnym. Jak to często bywało, najsławniejsi czytelnicy sutr umieszczali na nich dedykacje, trzeba więc było być specjalistą od ich odcyfrowywania, aby dostrzec pomiędzy wszelkiego rodzaju napisami te, które pozostawił pierwszy mnich skryba.

— Tytuł kazania napisany jest większymi znakami niż dedykacje. Jeśli moja mała nestorianka go odnajdzie, dostanie wielkiego całusa od swojego kochanka buddysty! — zażartował Pięć Zakazów, który chciał rozwiać posępny nastrój Umary, w jakim pogrążyło ją wspomnienie zabójstwa Buddhabadry.

Dzięki dobrej znajomości chińskiego i bystremu oku Umara odczytała tytuł bez najmniejszych trudności.

—*Sutra o logice Czystej Pustki,* napisana przez czcigodnego mistrza *dhyany* Czystość Pustki... — ogłosiła triumfalnie.

—Brawo, Umaro, na tej stronicy jest tyle napisów i formułek, że trzeba biegle czytać, żeby w tym galimatiasie odnaleźć imię autora! — pochwalił Pięć Zakazów.

—Jest też jakiś tekst, który wydaje się napisany w języku tybetańskim! — wykrzyknęła Umara, pokazując palcem kilka linijek.

—Nie umiałbym odcyfrować tybetańskiego, słodka Umaro!

—Mój ojciec nie wpadł na pomysł, żeby umożliwić mi naukę tego języka! Szkoda. Bardzo bym chciała wiedzieć, o czym mówią te trzy linijki... — westchnęła, jakby cichy wewnętrzny głos podpowiadał jej, że jest to ważna informacja, której ujawnienie wywoła ogromne zamieszanie.

—*Sutra o logice Czystej Pustki napisana przez czcigodnego mistrza dhyany Czystość Pustki!* — powtórzył Pięć Zakazów. — Filozoficzne kompendium, na pisaniu którego mój mistrz spędził ponad dziesięć lat. Dzieło życia, poświęconego medytacji i studiowaniu świętych sutr. Ambicją mojego przełożonego nie było nic innego, tylko wznieść się tym traktatem ponad *Sutrę Lotosu Dobrego Prawa...*

Sutra Lotosu Dobrego Prawa, dzięki której każdy człowiek mógł osiągnąć stan buddy, była najstarszym podręcznikiem religijnym, którego tysięcy wersów musieli uczyć się na pamięć od najmłodszych lat wszyscy nowicjusze.

—Co za ambicje ożywiały Czystość Pustki, że zapragnął stworzyć dzieło dorównujące *Dobremu Prawu!* — zastanawiała się Umara, która wiedziała, że to kazanie jest fundamentem Wielkiego Wozu.

—Czystość Pustki zostawił ten egzemplarz na przechowanie w Samye, najstarszym klasztorze kraju Bod.

—Co go natchnęło, żeby wystawiać cię na tysiąc niebezpieczeństw dla zwykłej kopii kazania?

—Wyjaśnił mi, że kopie można policzyć na palcach jednej ręki, i dlatego uważał za konieczne odzyskanie tej księgi!

—Autor nie posiada więc oryginalnego egzemplarza *Sutry o logice Czystej Pustki!*

—Nie! Zgodnie z jego słowami, schowano go we wnętrzu groty z księgami, wydrążonej w jakimś urwisku w okolicach Dunhuangu!

Z ust młodej nestorianki wyrwał się okrzyk zdumienia.

—Posłuchaj, Pięć Zakazów, myślę, że doskonale wiem, gdzie znajduje się oryginał dzieła Czystości Pustki! Teraz mam nawet pewność, że trzymałam go w rękach, jak tę kopię! — wykrzyknęła, a jej śliczne oczy płonęły. — Skrytka z księgami Klasztoru Zbawienia i Miłosierdzia znajduje się w grocie na tym samym urwisku, na skraju którego jest skalny taras, miejsce naszego spotkania — dodała jednym tchem.

—Czy to był powód, dla którego się tam znalazłaś?

—Odkryłam ją przypadkiem razem z Kłębkiem Kurzu, w czasie jednej z naszych wypraw. Ściana, gdy się w nią pukało, wydawała w tym miejscu taki odgłos, jakby za nią nic nie było. Z zadziwiającą łatwością zrobiliśmy otwór w sztucznej skale, i znaleźliśmy skrytkę wypełnioną cennymi księgami.

—Nie do wiary, że coś takiego mogło się wydarzyć!

—Przypominam sobie bardzo dobrze egzemplarz sutry Czystości Pustki. Futerał, w którym go umieszczono, był wyłożony czerwonym jedwabiem!
—Czystość Pustki, wspominając swoją sutrę, mówił mi o tym czerwonym jedwabiu, którym wysłany był futerał! — odrzekł cicho Pięć Zakazów, którego ten zbieg okoliczności poważnie zastanawiał.
—Ta okolica była naszym ulubionym miejscem spacerów. Wracaliśmy tam w wielkiej tajemnicy, jak spiskowcy, podnieceni tym bajecznym skarbem, który traktowaliśmy jak naszą własność. No i tego pamiętnego, i jakże szczęśliwego dnia, mój drogi Pięć Zakazów, wpadliśmy na siebie!
—A raczej padliśmy sobie w ramiona! — wykrzyknął mnich i przycisnął usta do ust kochanki.

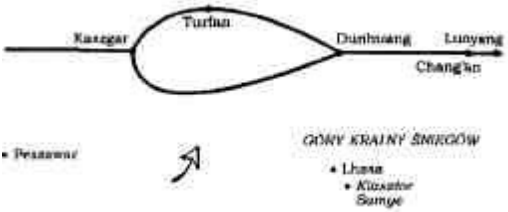

9

Okolice źródeł Rzeki Niebieskiej, Chiny

Powodem, dla którego Szalony Obłok zbliżył się do tego domostwa, był unoszący się nad nim słup białego dymu. Postanowił poprosić jego mieszkańców o nocleg.

Był tak głodny, iż wydawało mu się, że żołądek odłączył się od jego ciała i poszybował na chmurce.

A tam, skąd leciał dym, z pewnością gotowano jedzenie...

Zawiedziony stwierdził, że unosi się on ze zwykłego ogniska, podsycanego przez starego człowieka korzystającego z bezdeszczowej pogody, żeby spalić chwasty przed stodołą, w której składał siano na zimę.

Zajęty robotą wieśniak nie zauważył Szalonego Obłoku.

W tym momencie tantryście wydało się, że słyszy ryk słonia.

Dochodził z drugiej strony gospodarstwa, które rozłożyło się na końcu zagonu prosa, o kilka kroków od niego.

Przycupnąwszy za pochyłym kamiennym murem, Szalony Obłok uszczypnął się, żeby się upewnić, że nie śni.

Na podwórzu małej biednej zagrody kołysał głową ogromny słoń. Stojący przed nim chłopiec czyścił mu kły.

Niczym gigantyczny stóg słomy, ogromne zwierzę wystawało

ponad otaczające go ściany i wypełniało sobą niemal całe obejście, gdzie zwykle młócono pszenicę i proso.

Po dokładnym przyjrzeniu się, mimo błota i kurzu na jego skórze, można było stwierdzić, że słoń jest biały!

Jego obecność tutaj była z pewnością czymś niezwykłym. W tym regionie pustynnych płaskowyżów południa Chin i pogranicznych obszarów Tybetu jedynymi znanymi domowymi zwierzętami były woły, owce, kozy i jaki, które latem gospodarze przepędzali z jednego pastwiska na drugie, a z nadejściem zimy i śniegu zaganiali do obory.

Natrafienie na jedno z tych świętych zwierząt, spotykanych tylko w Indiach, a do tego jedynie w największych klasztorach, które stać było na ich kupno, wydało się Szalonemu Obłokowi czymś tak nierzeczywistym, a nawet absurdalnym, że po raz nie wiadomo który zadał sobie pytanie, czy nie ma halucynacji.

Uszczypnął się, przetarł oczy i poklepał się po policzkach.

Ale nie, nie śnił.

Nie było wątpliwości, że zwierzę, wahadłowym ruchem kołyszące trąbą, było na pewno świętym białym słoniem, który musiał spaść z nieba (bo i czemu miałoby tak nie być?) do małej chińskiej czy tybetańskiej zagrody. Szalony Obłok postanowił ostrożnie się do niej zakraść.

Koło nóg słonia, których rozmiary przywodziły na myśl okorowane pnie drzew, wieśniacy postawili okrągłą kadź, wypełnioną apetyczną mieszanką bulw i owoców, pokrojonych w drobną kostkę.

Szalony Obłok, którego żołądek kurczył się z głodu, chętnie zanurzyłby w niej dłoń.

Tymczasem chłopiec odszedł i Szalony Obłok został sam, twarzą w twarz ze słoniem.

Przyszło mu do głowy, że to odpowiedni moment, by zaspokoić głód.

Zwierzę zachowywało się spokojnie.

Jego małe ciekawe oko przyglądało się z rozbawieniem, gdy

Szalony Obłok zaczął głaskać go po nasadzie trąby, próbując podejść do kadzi.

Nagle w jego umyśle, oszołomionym nadużywaniem substancji halucynogennych, błysnęła myśl.

Sprawa była oczywista.

Mógł to być tylko biały słoń Buddhabadry!

Szalony Obłok przypomniał sobie teraz o dziwnym proroctwie, jakie przełożony z Peszawaru wygłosił w zrujnowanej pagodzie koło Dunhuangu, zapewniając go, że biały słoń nie zdechł, a nawet że któregoś dnia się na niego natknie.

I oto dowód, że Buddhabadra się nie mylił!

Jak można było nie pomyśleć o tym wcześniej?

To na pewno nieprzypadkowe spotkanie.

Albowiem w oczach Szalonego Obłoku nic nie było nigdy sprawą przypadku, gdyż wszystko, z zasady, brało się z tantry!

Racząc się z zapałem pokrojonymi owocami i warzywami, podsumował korzyści, jakie mógł wyciągnąć z posiadania takiego zwierzęcia.

Cóż za wspaniały prezent na dalszą drogę!

Mając białego słonia, nie będzie musiał przyciągać uwagi tłumu na ulicach i targowiskach nacinaniem sobie ciała, a tym bardziej demonstrowaniem odporności na ból. Obecność niezwykłego zwierzęcia najlepiej zaświadczy o jego nadnaturalnych zdolnościach. Wystarczy poprosić przyszłych wyznawców tantryzmu, żeby poszli za nim, a oni, osłupiali, posłuchają go natychmiast.

A że cuda nigdy nie zdarzają się pojedynczo, wbił sobie do głowy, że zwierzę to zaprowadzi go któregoś dnia do szkatułki w kształcie serca, którą uważał za utraconą na zawsze, a która zawierała skarby Małego Wozu i lamaizmu tybetańskiego.

Już od miesięcy błądził bez celu, aż wreszcie poczuł, że ogarnia go coraz większe zniechęcenie, a jego marzenie o połączeniu trzech prądów buddyzmu rozwiewa się.

Gdyby miał świętego słonia z Klasztoru Jedynej Dharmy, jego wędrówka nabrałaby wreszcie sensu!

Nie należał do ludzi, którzy pozwoliliby uciec tego rodzaju okazji.

W chwili gdy zamierzał zrobić kolejny krok w kierunku słonia, żeby sprawdzić, czy łatwo będzie rozwiązać węzeł na jego powrozie, z chałupy wyszedł rozczochrany i umorusany chłopczyk.

Szalony Obłok odskoczył, żeby ukryć się za zwierzem.

Dziecko wlało do szaflika wiadro wody. Mieszanka warzyw i owoców wypłynęła na wierzch, a słoń zrobił krok do tyłu.

Dostrzegłszy intruza, przestraszony chłopak uciekł do chałupy, z której wyskoczył po chwili wieśniak z maczetą i rzucił się w kierunku Szalonego Obłoku.

—Ja przyjaciel! Ja przyjaciel! Ja spokojny! Ja lubić słonia! — wyjąkał mnich łamanym chińskim, przeklinając w duchu chłopa, który przeszkodził mu w realizacji zamiarów.

—Nie właź tu! Wracaj, skądeś przyszedł! Nie zbliżaj się do słonia! — rzucił groźnie wieśniak.

—On podkradał mu jedzenie! — zawołał oburzony chłopak.

—Byłem głodny. Zjadłem trzy owoce i może ze dwa kawałki warzyw!

Wieśniak był barczystym mężczyzną. Podchodził żwawo do Szalonego Obłoku z uniesioną ręką, gotów zadać cios. Za jego plecami skradała się kobieta z widłami w rękach.

Widząc, że nie jest tu mile widziany, Szalony Obłok nie miał wyboru, musiał pospiesznie opuścić podwórze zagrody. Gospodarz zatrzasnął za nim bramę.

Mnich ukrył się za małym kopcem, który wznosił się po drugiej stronie strumyka. Stamtąd, wściekły i urażony, połknąwszy pigułkę, by się uspokoić, przyglądał się świętemu zwierzęciu, spokojnie spożywającemu posiłek godny miana prawdziwej uczty.

Był zmęczony i zniechęcony, ale nie potrafił odejść. Miał wrażenie, że przepuścił okazję, nie zdążył chwycić pomocnej boskiej dłoni, która się do niego wyciągnęła.

Oparł się plecami o karłowate drzewko i poczuł, że ogarnia go odrętwienie silniejsze od głodu, który nadal go dręczył.

Powtarzało się to zawsze w pewnych momentach dnia, po kolejnej pigułce: musiał uciąć sobie małą drzemkę, po której zwykle czuł się lepiej.

Nie spał zbyt długo, gdyż obudziły go przeraźliwe krzyki dochodzące z zagrody.

Otworzył jedno oko i stwierdził, że stóg siana stoi w płomieniach.

Koło ognia kręcił się gorączkowo staruszek, który wydawał rozpaczliwe wrzaski, na próżno starając się ugasić pożar uderzeniami wideł.

Obok niego stał wieśniak z żoną i synkiem. Osłupiali patrzyli, jak idzie z dymem zapas paszy, potrzebny ich bydłu na zimę. Wyschnięte siano paliło się gwałtownie, jeśli sądzić po strzelających w górę płomieniach, sięgających już całkiem wysoko.

Szalony Obłok puścił się biegiem w kierunku pożaru.

Nadarzała się wspaniała okazja, żeby zrobić dobre wrażenie na chłopskiej rodzinie i zabrać słonia Buddhabadry.

Ujrzawszy go, jak pędzi, wieśniacy nie mieli nawet czasu, żeby go zatrzymać: Szalony Obłok wszedł już, jakby nigdy nic, w sam środek płonącego stosu.

—Ależ on się upiecze! — wykrzyknęła kobieta.

—Niech zdycha! — warknął wieśniak.

Natomiast staruszek powiedział, robiąc zdziwioną minę:

— Robicie błąd, że źle o nim mówicie. Ten człowiek musi być bogiem ziemi She we własnej osobie, opiekunem zbiorów! Popatrzcie tylko, jak się bawi płomieniami. Popatrzcie, jak depcze piętami żar. Trudno w to uwierzyć, ale to sam bóg She, w swej wielkiej dobroci, okazuje dzielność, gasząc ten pożar! Chwała mu!

I rzeczywiście, Szalony Obłok jak gdyby nigdy nic przemierzał tam i z powrotem grubą ścianę ognia, przechodząc z jednej strony na drugą, zgarniając siano widłami na środek stogu, żeby zapobiec rozprzestrzenieniu się pożaru. W mgnieniu oka udało mu się na oczach zdumionej rodziny ugasić płomienie.

Gratulował sobie, że jest ubrany w odporny na ogień, srebrzysty płaszcz.

Wytargował na rynku w Lhasie od hinduskiego kupca tę długą włochatą suknię, utkaną z azbestowych włókien.

W Chinach niektórzy uważali, że azbest, mineralne włókno o dużej giętkości i odporności na płomienie, które wydobywano z kopalni położonych na północ od oazy Hami, jest sierścią specjalnej rasy białego szczura, żyjącego w okolicach piekieł.

W rzeczywistości azbest, z powodu odporności na ogień, był już przedmiotem bardzo lukratywnego handlu w różnych królestwach, których żołnierze dzięki niemu mogli rzucać się do ataku na wrogie fortece, nic sobie nie robiąc z wrzącego oleju, jaki lali im na głowy oblegani.

Wieśniacy skłonili się niemal do ziemi przed Szalonym Obłokiem i zaczęli prosić tego boga o ludzkim obliczu, który tak dobrze znosił płomienie, żeby oszczędził im życie.

—O, boski She! Otocz nas swoją opieką! — błagał staruszek, dotykając rąbka płaszcza Szalonego Obłoku.

—Udzielę wam błogosławieństwa, ale w zamian będziecie musieli oddać mi świętego słonia! — oświadczył mnich łamanym chińskim.

—Ale ja zamierzałem sprzedać go na targu! Kiedy go znalazłem, błądził chory i przemarznięty po górach, był przerażająco chudy! To cud, że wrócił do zdrowia. Wydałem majątek, żeby go wyleczyć i wykarmić! Dziś wart jest tyle, co moje zbiory z dziesięciu tysięcy lat! — jęknął wieśniak, załamując ręce.

—Mój ojciec ma rację. Rób, co ci każe! Jeżeli ten człowiek nie jest bogiem ziemi, to z pewnością obdarzony jest nadludzkimi mocami, tak dobroczynnymi, jak i złośliwymi! Nie mamy pod ręką nawet najmniejszej kropelki śliny smoka, żeby uchronić się od jego wpływu! Trzeba natychmiast oddać mu białego słonia i błagać, żeby sprowadził na nas pomyślne tchnienia! Bo inaczej wszystkich nas pozabija! — tłumaczyła kobieta.

Przekonana, że ma do czynienia z She we własnej osobie, drżała jak bambus na wietrze.

— Moja córka mówi prawdę! Nie wolno nigdy wywoływać niezadowolenia boga Sol! — jęknął staruszek.

Zasmucony wieśniak dał chłopcu znak, żeby odwiązał słonia i przyprowadził go temu, który czuwał nad zbiorami.

— Dzięki waszemu darowi będziecie mieli dziesięć tysięcy lat urodzaju! Bóg She daje wam na to swoje słowo! — rzucił Szalony Obłok i odszedł ze zwierzęciem.

Podejmując na nowo wędrówkę, bał się tylko tego, że rolnik zmieni w ostatniej chwili zdanie, patrząc, jak znika niebywałe bogactwo, jakie mógł zyskać, sprzedając słonia z klasztoru w Peszawarze.

Tak więc Szalony Obłok starał się nie wpadać w euforię aż do zmierzchu, gdy znalazłszy się daleko od zagrody, stwierdził z ulgą, że nie ma powodu do obaw.

Podarunek tantry, święty biały słoń należał do niego!

To wspaniałe!

W czasach młodości, gdy był jeszcze świeżo upieczonym mnichem Małego Wozu w Benares, widywał święte białe słonie. Traktowano je lepiej niż ludzi, a ich opiekunowie troszczyli się o nie i otaczali je miłością.

Bogate, ale pobożne kurtyzany, aby uzyskać przebaczenie za miłosne ekscesy, które obciążały ich sumienie, malowały węglami śmiejące się oczy tych świętych zwierząt i przed procesją ozdabiały ich szyje wspaniałymi girlandami z kwiatów bugenwilli, a nogi srebrnymi bransoletkami, do których doczepione były dzwoneczki.

Nigdy jednak Szalony Obłok nie miał okazji zbliżyć się do słonia tak białego i dostojnego jak ten.

W dodatku, jeśli gospodarz mówił prawdę, a nie było powodów, by musiał kłamać, był to słoń cudem uratowany, a więc mógł być tylko reinkarnacją samego Ganesza.

Według starodawnych hinduskich wierzeń, ten bóg z głową słonia był Władcą Początków.

Syn Siwy i Parwati na polecenie matki nie wpuścił do domu swego ojca, bo go nie rozpoznał. Ten ostatni, nie uznając go już za syna, jednym cięciem szabli pozbawił go głowy. W odpowiedzi na łzy Parwati Siwa wysłał demoniczne karły *gany* po głowę pierwszej żywej istoty, jaką napotkają. Był nią słoń, którego głowę Siwa przyłożył spiesznie do martwego ciała Ganesza, aby przywrócić mu życie.

Od tej chwili ta sympatyczna boska istota o głowie słonia, zbyt radosna, aby być ascetą, siedząca okrakiem na szczurze, który służył jej za wierzchowca, z kobrą owiniętą wokół pasa, miseczką ryżu, wnykami i ościeniem zawieszonymi na trąbie, symbolizowała szczęśliwe połączenie Siwy i Parwati.

Była też jednym z głównych bóstw tantryzmu hinduskiego, którego przesłanie niósł ludziom Szalony Obłok.

Cudowne pojawienie się świętego słonia było znakiem, że Budda, ale także Siwa, by nie zapomnieć o Wisznu i Krysznie, spoglądali łaskawym okiem na działania zmierzające do zespolenia wszystkich religii świata w jedną.

Czyż nie zapowiadało to pomyślnego obrotu spraw?

Doświadczenia następnych dni to potwierdziły: w Chinach, które Szalony Obłok odwiedził po zdarzeniu w wiejskiej zagrodzie, biały słoń robił wrażenie na wielu ludziach, jako że nikt nie widział dotąd takiego zwierzęcia.

Jego właściciel musiał więc być mściwym bogiem albo nieśmiertelnym taoistą, który przybył, aby zaglądać do ludzkich serc.

Wystarczyło, że wkroczył do miasteczka, a jego mieszkańcy gromadzili się wokół niego, sądząc, że oto zjawiła się boska istota, żeby żądać od nich pokajania się za to, że nie oddawali jej należnej czci.

Zatrzymywał się na głównym placu i nie musiał nic robić, tylko czekać na ofiary i modlitwy wieśniaków, którzy zbliżali się w końcu, uważali bowiem, że powinni skorzystać z tak

bliskiego kontaktu z bogiem, którego mogli wreszcie poprosić o wszelkiego rodzaju łaski.

Szalony Obłok, którego kieszenie wypełniały się złotymi i srebrnymi taelami, tworzył ze swym słoniem parę zarazem niezwykłą i skuteczną!

Stał się czymś w rodzaju żywego boga, a za nim szło wielu ludzi. Wieść, że przybywa, budziła coraz większą sensację.

Czasami ludzie rozbiegali się na widok Szalonego Obłoku i jego zwierzęcia, wrzeszcząc o cudzie i denerwując czarownika *fangshi,* który stał na stołku i zachwalał swoje usługi.

Innym razem mieszkańcy wioski powitali świętego słonia i jego niezwykłego opiekuna jak prawdziwych triumfatorów, tworząc szpaler po obu stronach drogi i wymachując bukietami piwonii.

Szalony Obłok, mając przy sobie spokojnego słonia, któremu musiał zapewnić codziennie porządną porcję smacznej żywności, a sobie zapas małych pigułek, bez których życie byłoby dla niego nie do zniesienia, stawał się coraz większym optymistą i czuł, że rosną mu skrzydła.

Mimo to pewnego pięknego ranka stwierdził z przestrachem, że jego umysł znowu opanowują dawne obsesje! Szedł właśnie prostą i jednostajną drogą, prowadząc słonia na postronku, gdy odniósł nieprzyjemne wrażenie, że nadciągają stare koszmary!

Dojść tam, gdzie nie docierają inni! Dojść, gdzie nie docierają inni! Dojść, gdzie nie docierają...

Piekielny refren zapukał do jego głowy i znowu się w niej zagnieździł.

Mówiąc prawdę, nie przestawał nawiedzać go od pamiętnego pożaru stogu siana, dzięki któremu wszedł w posiadanie białego słonia.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zareaguje, to ta kłopotliwa i irytująca obsesja go zniszczy. Jeśli chce się jej pozbyć, będzie musiał znaleźć odpowiedź na pewne pytanie.

Powinien skończyć to łażenie bez celu, jakiemu oddawał się

od tragicznego epizodu, zakończonego zamordowaniem Buddhabadry.

Dojść tam, gdzie nie docierają inni...

No właśnie, czyli dokąd? Dokąd skierować kroki?

Wtedy właśnie pomyślał o tej pogłosce.

Wciąż docierała do jego uszu, od czasu gdy zaczął przemierzać wiejskie drogi od wioski do wioski.

Mówiła o tym, że w Chang'anie, wielkiej północnej stolicy, gdzie, jak powiadano, ludzie są tak bogaci, że ich domy mają dachy ze złota, żyje niezwykła kobieta, której pisany jest los jedyny w swoim rodzaju.

Nazywa się Wu Zhao, jest żoną cesarza i zdołała, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zostać prawdziwą władczynią Chin, największego kraju świata...

To, co szeptano na temat kurtyzany, która została cesarzową, było dziwne, ale także fascynujące, i mogło tylko obudzić w Szalonym Obłoku chęć, aby dowiedzieć się więcej. Aby poznać ją lepiej, powinien podjąć próbę zbliżenia się do legendarnej istoty, której piękność skłaniała niektórych ludzi do twierdzenia, że jest reinkarnacją bodhisattwy Guanyin.

Tak więc, w ciągu kilku dni, decyzja narzuciła się mordercy Buddhabadry sama.

W końcu znalazł miejsce, do którego nie odważyłby się pójść nikt inny, prócz niego!

Chodziło o środkowe Chiny, a dokładnie o Chang'an.

Siadłszy na grzbiecie swego wspaniałego i czcigodnego słonia, wyszedłby więc, niczym żywy relikwiarz, na spotkanie tłumom w samym sercu Państwa Środka, najpiękniejszym i największym mieście świata.

I tam zwróciłby na siebie uwagę samej cesarzowej, kobiety zadziwiającej w swych sprzecznościach, której nikt wprawdzie nie odmawiał żarliwej wiary, ale nie zapominano przecież także o jej zepsuciu.

Stopniowo, dzięki zasięganiu języka w oberżach i na targowiskach, Szalony Obłok pozbierał okruchy niezwykłej historii

tej kobiety, która zaczęła od zera i dzięki swej urodzie została dostrzeżona przez cesarza Taizonga, a potem wydobyta przez jego syna z klasztoru, gdzie musiałaby dokończyć swoich dni jako mniszka.

Jej życie stało się już legendą.

Bo w istocie, po obu stronach Wielkiego Muru nie było karczmy, herbaciarni ani domu rozpusty, gdzie nie mówiono by o Wu, dużo więcej zresztą niż o samym Gaozongu.

Legenda cesarzowej zaczynała też utrwalać się w formie pisanej, z jednakową przesadą zarówno w wychwalaniu jej, jak i w potępianiu...

Czyż nie opowiadano, że broni ludu przed tyranią szlachetnie urodzonych?

Czyż nie wspierała budowania pagód, w których biedni żebracy znajdowali zawsze miskę zupy?

Czyż nie zdołała ograniczyć armii, dzięki czemu żołnierze stali się mniej aroganccy i nie tak skuteczni w szabrowaniu, którego dopuszczali się w miastach, gdzie kwaterowali?

Czyż nie wystarczyło, że udała się do biednego wieśniaka, aby jego zbiory w następnym roku okazały się obfite i zapewniły mu bogactwo?

Wielu ludzi nazywało ją z szacunkiem „cesarzową biedaków".

Czasami mówiono też o niej źle, z taką samą przesadą, z jaką chwalono.

Bo czyż dla urzeczywistnienia swoich celów nie sięgała po wszelkie sposoby, łącznie z zabójstwami, mając zawsze u boku olbrzymiego służącego z obciętym językiem, który potrafił dusić ofiary jedną ręką?

Czyż nie była pozbawioną czci i wiary uzurpatorką, której oddanie buddyzmowi służyło za pretekst, aby pogrążyć zacny konfucjanizm?

Czyż nie popierała nielegalnego handlu jedwabiem, tak jakby nie dość jej było manipulowania chorym małżonkiem?

Czy nie wykorzystywała swego czaru, aby bezwstydnie kolekcjonować kochanków?

Nazywano ją Jedwabną Cesarzową.

Faktem było, że Wu Zhao nie pozostawiała obojętnym nikogo w całym kraju.

Jeśli rozważyć to, co Szalony Obłok usłyszał na jej temat, była wcieleniem intymnego przymierza wiary i seksu, stopienia rzeczy świętych i rozkoszy zmysłowych, cielesnej i zarazem duchowej ekstazy!

Jednym słowem, uosobieniem tego, czego sam Szalony Obłok nie przestawał zalecać, odkąd Lujipa odsłonił przed nim tajniki tantryzmu!

Czyż nawrócenie takiej kobiety na tantryzm nie było najpiękniejszym i najbardziej podniecającym wyzwaniem?

Dojść tam, gdzie nie docierają inni!

Kto, jeśli nie on, ośmieliłby się dotrzeć do samego serca chińskiej władzy i próbować pozyskać Jedwabną Cesarzową?

Aby nagrodzić się za tak genialny pomysł, ponieważ nie zatrzymał się w najbliższej oberży, żeby wzmocnić się czarką *sangu,* czyli liści konopi indyjskich namoczonych w mleku jaka, za którymi przepadał, ale które źle przyjmował jego żołądek, pozwolił sobie na dodatkową pigułkę.

Jeśli nawet były one mniej skuteczne niż *sang,* po którym wspaniale bujał w obłokach, znosił je dużo lepiej niż ulubiony napój mieszkańców chińsko-tybetańskiego pogranicza.

Poczuł, że ogarnia go uniesienie.

Popatrzył na białego słonia.

— Zgadzasz się, o Ganeszu, żeby uwieść cesarzową? Zmienię imię na Biały Obłok, dzięki czemu lepiej się do siebie dostroimy. Co o tym myślisz? — zapytał słonia, głaszcząc jego ogromne pomarszczone czoło.

Święte zwierzę odpowiedziało lekkim pochyleniem głowy, co tantrysta wziął za przyzwolenie.

Poczuł się nagle niezwyciężony i potężny, twardy jak diament.

Był pewny, że osiągnie cel.

Nie trzeba mu będzie wiele czasu, aby ta niezwykła kobieta go dostrzegła.

Wystarczy, żeby zatrzymał się w jakimś dobrze widocznym miejscu, w samym środku miasta, aby rozeszła się wieść o jego przybyciu.

Pogrąży się w medytacji, usiadłszy w pozycji lotosu przed świętym słoniem, który posłuży mu za strażnika, i będzie udzielał takiej samej odpowiedzi wszystkim pytającym: że czeka, choćby miało to trwać całe stulecie, aż przyjmie go Wu Zhao w pałacu cesarskim, aby mógł objawić jej prawdę.

Do uszu zainteresowanej z pewnością dotrze wieść, że świątobliwy mnich w towarzystwie niezwykle rzadkiego słonia, prawdopodobnie reinkarnacji boga Ganesza, pragnie przekazać władczyni Chin równie ważne, co niezwykłe przesłanie.

Szalony Obłok wyobrażał już sobie, że przyjmuje posłańca władczyni jedwabiu, który przyniósł zaproszenie od niej.

Zgodziłby się iść za nim do cesarskiego pałacu, ale postawiłby warunek, aby pod dostojnymi stopami słonia rozłożono cenne kobierce z czystej wełny, jak to się działo w Indiach podczas pielgrzymek.

Stanąłby przed Jedwabną Cesarzową półnagi, z zamkniętymi oczami.

Otworzyłby je dopiero po dłuższej chwili, aby dać tej kobiecie do zrozumienia, że ma przed sobą niezwykłą istotę, która już teraz stoi jedną nogą w zaświatach.

Potem zrobiłby wszystko, aby wprowadzić cesarzową biedaków w tantryzm, wyjaśniając jej, że swymi działaniami ona już dotarła do serca tej filozofii i praktyki religijnej.

Nie wątpił ani przez chwilę, że ją przekona.

Wyjaśni jej, że jeśli zgodzi się pójść trochę dalej na drodze tantry, osiągnie pełnię swych możliwości.

Uczyni wszystko, aby czym prędzej ją sobie podporządkować.

Władczyni jedwabiu o wspaniałym ciele nie pragnie z pewnością niczego innego.

Zaspokajając jej oczekiwania, pieściłby ją od stóp do głów, dzieląc z nią niewysłowione rozkosze jogi *kundalini,* aż po tę niezapomnianą chwilę, gdy orgazm wyzwala energię skoncen-

trowaną w wielkim, skręconym jak lina wężu, który rozciągnąłby się wówczas od podstawy kręgosłupa aż po czubek głowy, sprawiając, że na jej wysokości rozprysnąłby się lotos i obsypał tysiącem płatków mózg tej kobiety.

A wtedy, dzięki energii, jaką Szalony Obłok napełniłby jej ciało, Wu Zhao wzniosłaby się ponad nie, niczym mglisty obłok ponad ziemię, wyzwalając stopniowo swoją *prana,* witalną esencję, która z kolei roztopiłaby się w najwyższej szczęśliwości, *sahasrara.*

A kiedy istota ludzka osiąga stadium *sahasrary,* stan niewysłowionego szczęścia, którego nic już nie potrafi zakłócić, faktycznie przestaje być sobą.

Albowiem znajduje się blisko wyzwolenia i jej cielesna powłoka nie ma już żadnego znaczenia: staje się duchem napełnionym czystą radością!

Szalony Obłok przysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki nie pozwoli władczyni jedwabiu przeżyć chwili, w której jej ciało rozpłynie się całkowicie w niewymownej zmysłowej rozkoszy.

Kaszgar / ^Ns^Dunhuang Luoyang

V Chang'an

Peszawar *GÓRY KRAINY ŚNIEGÓW* •

• Lhasa •

Klasztor Samye

10

Oaza Dunhuang, Jedwabny Szlak

Om mani peme hung!

Martwa oaza, oto czym stało się miejsce, w którym spotkali się Umara i Pięć Zakazów.

Manipa nie wierzył własnym oczom.

Z małego handlowego miasteczka zostały tylko opuszczone spalone domy, z których wciąż jeszcze dobywały się kłęby dymu i dochodził zapach spalenizny.

Z miasta uciekli wszyscy, którym udało się przeżyć. Na ulicach leżały trupy mężczyzn, ale także kobiet i dzieci. Nadpsute szczątki, których nie pożarły wałęsające się psy, padły już ofiarą robaków i much. Od czasu do czasu przebiegał galopem spłoszony koń, który uciekł zapewne z płonącej stajni i nie wiedział, co z sobą począć.

Ten obraz zniszczenia kontrastował ze wspomnieniami, jakie wędrowny mnich

wyniósł z barwnego kosmopolitycznego miasta, w którym spotykały się wszystkie rasy świata i wszystkie znane rzemiosła, gdzie kilka miesięcy temu przebywał z Pięcioma Zakazami, Orężem Prawa i Persami.

Wszędzie unosił się słodko-kwaśny zapach, który jest zapachem śmierci.

Jeśli sądzić po licznych śladach krwi, musiało tu dojść do potwornej rzezi.

W miejscu gdzie był targ, walały się strzępy ubrań, skorupy naczyń i kawałki mebli, pośród martwych ciał sprzedawców i klientów.

Manipa przypomniał sobie ze ściśniętym sercem, że to właśnie tutaj Pięć Zakazów chciał kupić smażone pączki, ale poczciwa kobieta dała im je w prezencie.

Nagle zobaczył starego człowieka siedzącego przed wejściem do pagody o murach pokrytych sadzą.

Przeraźliwie wychudzony, zdawał się bardziej kruchy od trzciny. Był to buddyjski mnich, łatwo rozpoznawalny po żółtej szacie.

Jego nieprzytomne oczy mówiły o okrucieństwie scen, jakich prawdopodobnie były świadkami.

Gdy manipa się do niego zbliżył, stary mnich robił wrażenie, jakby go nie dostrzegł. Nadal wpatrywał się w pustkę.

Zachowując wielką ostrożność, manipa dotknął jego ramienia.

—Co tu robisz, mój bracie? — zapytał starego mnicha, który jedną nogą był już na tamtym świecie.

—Masz szczęście, bo mówię po tybetańsku! — odparł staruszek.

—*Om mani peme hung!* — szepnął wędrowny mnich, ujmując go za ręce, a potem przyłożył je krawędziami dłoni do swego czoła.

—Bez wątpienia rabusie uznali, że jestem za stary, i darowali mi życie! Płaczę na ruinach i czekam, aż Błogosławiony weźmie mnie pod swoją opiekę! Zmuszam się też do medytacji, żeby przegnać z pamięci okropieństwa i niesprawiedliwość, jakie oglądałem!

—Co zostało z klasztorów Wielkiego Wozu?

—Popioły, przyjacielu! Mój klasztor, ten Zbawienia i Miłosierdzia, był największy ze wszystkich. Postawiono go w środku pustyni, nad którą dominował z majestatycznego urwiska. Został

splądrowany! Był bogaty, pełen posągów i starych ksiąg! Mój przełożony, Skupienie Powagi, kazał ukryć najcenniejsze księgi naszej wspólnoty w grocie wydrążonej w skale, ale tureckie żołdactwo zniszczyło je wszystkie!

—Bezcenne skarby poszły więc z dymem!

—Budda uczył nas o nietrwałości wszystkich rzeczy. I oto namacalny tego przykład! — jęknął staruszek.

—A co się stało z mnichami i nowicjuszami z twojego klasztoru, o mój czcigodny bracie?

—Na szczęście moja wspólnota, uprzedzona na czas, zdołała uciec przed przybyciem Turków. A kłopot ze mną polega na tym, że nie chcą mnie już nosić moje stare nogi! Więc żeby nie stracili czasu z mojego powodu, uprosiłem ich, żeby mnie tu zostawili.

—Nestoriańską wspólnotę spotkał pewnie los nie do pozazdroszczenia!

—Grabieżcy rozpoczęli od dokładnego splądrowania siedziby nestoriańskiego biskupa. Krążyła plotka, że zależało im na samym biskupie, Addaiu Aggaiu.

—Gdzie jest ten człowiek?

—Kto to może wiedzieć? Moi bracia z Klasztoru Zbawienia i Miłosierdzia uciekli. Ja nie byłem w stanie zejść po drewnianych schodach, no i trzeba było mnie zrzucić z balkonu, w sam środek kapy, którą trzymało czterech mnichów! Gdy znalazłem się tutaj, ubłagałem dwóch braci, którzy mnie nieśli, żeby mnie tu zostawili. Myślę, że dobrze zrobiłem, bo inaczej zostaliby zabici...

Wstrząśnięty manipa wziął staruszka za rękę i pogłaskał ją, próbując go trochę pocieszyć.

—Chcesz jeść albo pić? — zapytał.

—W moim wieku wystarczy kilka ziarenek ryżu i dwa łyki herbaty!

—To za mało!

—Spędziłem siedem lat zamknięty w grocie na kamiennym płaskowyżu, który rozciąga się ponad moim klasztorem! Jestem przyzwyczajony! — zapewnił asceta.

—Siedem lat! Jak ci się musiał dłużyć czas!

—Nie tak bardzo, żeby dojść do czwartego stopnia medytacji, tego, który według Błogosławionego pozwala mnichowi wejść w nieskończoną przestrzeń i osiągnąć oświecenie!

—Nigdy nie znalazłbym w sobie tyle cierpliwości — westchnął wędrowny mnich.

—Czas się nie liczy, gdy poznaje się Szlachetną Ośmioraką Ścieżkę! Niedługo skończę osiemdziesiąt lat, ale wiem na ten temat nie więcej niż trzyletnie dziecko! — odrzekł skromnie stary asceta.

—Nie powinieneś tu zostawać. Chodź ze mną!

—Dokąd chcesz mnie zabrać? Nie utrzymam się na nogach! Tak długo siedzę nieruchomo na tym kamieniu, że moje kończyny zdążyły całkiem zesztywnieć.

—To nie miejsce dla tak świątobliwego człowieka jak ty, pośrodku tego pogorzeliska! — nalegał manipa.

—Idź swoją drogą, wędrowny mnichu, i myśl o sobie! Na pewno masz się czym zająć. Co do mnie, to śmierć mnie stąd zabierze. Liczę, że nim przyjdzie, dojdę przynajmniej do trzeciego stadium medytacji. Jestem już niedaleko. Dobrze mi tu!

Powiedział to tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Manipa zostawił więc z żalem starego ascetę jego medytacjom i ruszył dalej przez miasto.

Chciał zobaczyć, jak wygląda Klasztor Zbawienia i Miłosierdzia, poszedł więc w kierunku urwiska, w którym był wydrążony.

Poczerniałe ściany świadczyły o losie, jaki rabusie zgotowali wielkiemu klasztorowi. Manipa dotarł do stóp naturalnego tarasu, tam gdzie grał w kości z Orężem Prawa, gdy Pięć Zakazów postanowił wspiąć się po sznurowej drabince i stanął twarzą w twarz z Umarą.

Kryjówka na księgi została zdewastowana przez Turków, jeśli sądzić po stosach strzępów stronic i zwojów leżących na ziemi.

Najeźdźcy podarli święte księgi, zamieniając w nicość tysiące godzin spędzonych przez pokolenia kopistów i tłumaczy, dzięki którym buddyzm podążał w kierunku Chin, aby stać się najważniejszą religią tego kraju!

Załamany manipa wrócił do starego ascety siedzącego przed pagodą, gdzie zostawił go kilka godzin temu.

Tu i tam w wąskich uliczkach wyłaniały się teraz z mroku cienie, a jego uszu dochodziły zza niektórych stojących jeszcze ścian szlochy, lamenty i stłumione krzyki. Małe grupki mieszkańców opuszczały swe kryjówki, żeby się czegoś dowiedzieć i uratować to, czego nie zrabowano.

Gdy dotarł do starego mnicha, stwierdził, że ten siedzi z opuszczoną głową, jakby przyglądał się sprzączce swego pasa.

— *Om mani peme hung!* O, mój czcigodny bracie! Błagam cię, nie zostawaj tu! Pozwól, że się tobą zajmę! Będę szedł tak wolno jak ty! — prosił.

Ale tamten nie odpowiadał.

Wędrowny mnich ostrożnie uniósł jego głowę.

Zobaczył przerażony, że stary asceta osiągnął stadium medytacji, do którego dążył.

Manipa poczuł dreszcze. Wystrzegając się przyglądania ponuremu i przygnębiającemu widowisku spustoszonej oazy, unikając wygasłych spojrzeń kobiet rozpaczliwie szukających swoich dzieci albo mężów, spiesznie opuścił to tak niegdyś ożywione miasto, które zamieniło się w smutny stos popiołów. Był tak przygnębiony, że nawet nie próbował się pomodlić.

Znalazłszy się znowu na Jedwabnym Szlaku, stwierdził, że najazd tureckiego żołdactwa opróżnił drogę z karawan.

Wszyscy próbowali gdzieś się ukryć, mając nadzieję, że unikną grabieżców, jedni w karczmie, inni w przygodnym obozie rozłożonym w górach tak, żeby nie było go widać z gościńca.

Tybetańczyk mknął więc jak strzała szlakiem, na którym kiedyś, w towarzystwie Umary, Pięciu Zakazów i Niebiańskich

Bliźniąt musiał stale torować sobie drogę między stadami kóz i rzędami wielbłądów, kołyszących się jak okręty pod ciężarem ogromnych ładunków.

Okazało się, że gwałt i wojna są nieprzejednanymi wrogami handlu.

Kiedy ominąwszy Hami, przebył Góry Płomieniste i ujrzał w oddali Turfan, zorientował się, że pokonanie dystansu dzielącego Perłę Jedwabnego Szlaku od Dunhuangu zajęło mu nie więcej niż dziesięć dni.

Miasto manichejczyków, w odróżnieniu od oazy, w której osiedlili się nestorianie, wydało mu się przystanią zbytku i wyrafinowania.

Turcy na szczęście go nie tknęli.

Na straganach kupców zwisały mieniące się złotymi odblaskami kiście winogron, za którymi przepadała cesarzowa, a które władze miasta pod chińskim protektoratem wysyłały na dwór na początku każdej zimy, na znak hołdu. Ponieważ Turfan był ośrodkiem handlu złotem i nefrytami, jubilerzy, pragnąc zwabić bogatych klientów, rozkładali na progach swoich sklepików wspaniałe wełniane kobierce w żywych kolorach, które deptano jak zwykłe plecione maty. Z rąk do rąk przechodziły sztuki złota, srebra i brązu z Chin i Sogdiany, ale także z Syrii i Persji, a nawet rzymskie sestercje i greckie tetradrachmy, jako zapłata za przyprawy korzenne, futra, zwoje jedwabiu i inne cenne towary. Zarówno kupcom, jak i klientom obojętne było pochodzenie monet, ponieważ liczyła się tylko ich waga.

Porównując ten widok z losem, jaki dotknął oazę, manipa mógł się przekonać o kruchości tego wielkiego targowiska narodów, miejscu wymiany kulturalnej i religijnej, w którym chęć zysku łączyła się nierozerwalnie z pragnieniem zrobienia kroku w nieznane.

Z mieszania się ras i kultur powstawały nowe rasy i kultury, jeszcze bardziej złożone, a tym samym bardziej wyrafinowane od swoich pierwowzorów.

Lecz ta subtelna równowaga była krucha i wszystko to mogło zostać zniszczone, jak w Dunhuangu, za sprawą nieopisanej gwałtowności grabieżców i wojowników.

Na szczęście okazywało się, że ta potrzeba wymiany, a także pragnienia, by nie rzec marzenia, jakie budziła ona w ludziach, były tak potężne i nieodparte, że unicestwione przez barbarzyńców odcinki Jedwabnego Szlaku powstawały zawsze z popiołów jak za sprawą cudu, choć czasami trwało to bardzo długo.

Podobnie jak przyroda odżywa na obszarach dotkniętych pożarem, tak i ludzie z zapałem usuwali gruz, odbudowywali domy i zdewastowane świątynie, a jednocześnie zaczynano plotkować i targować się na bazarach, które pewnego pięknego dnia znowu zapełniały się towarami.

Ponieważ siły życia zawsze w końcu przeważały nad siłami śmierci i zniszczenia.

Po takich potwornościach myśl o ujrzeniu znowu Świetlistego Punktu poprawiła Tybetańczykowi humor. Aby uniknąć pytania o drogę, zaczął przemierzać jedną po drugiej uliczki małego miasta, szukając cieplarni z hodowlą jedwabników, którą zajmował się Świetlisty Punkt.

Pokręciwszy się tu i tam, zapytał w końcu swoją nie najlepszą chińszczyzną sprzedawcę arbuzów.

—Ta mała pałacyk tu naprzeciwko? Co to być? — wskazał dom wyglądający trochę bardziej okazale niż sąsiednie. Na jego dachu trzepotała chorągiewka w kolorach dynastii Tang.

—W tym domu mieszka chiński gubernator miasta, Hong, co znaczy Czerwony. Chociaż gra tylko w szachy i popija herbatę, powinieneś się u niego pokazać. A idąc tam, lepiej mieć papiery w porządku. A zresztą, zrobisz, jak zechcesz. Ja mam prawo sprzedawać tu moje arbuzy, ponieważ płacę za pozwolenie! — odparł z godnością zapytany, który mówił dużo płynniej po chińsku niż manipa.

—A gdzie się znajdować Kościół Światłości?

—Dwie ulice dalej na prawo!

Teraz już bardzo prędko odnalazł kościół i znalazłszy się przed nim, ruszył za. jakimś manichejczykiem, który wyszedł z niego z miną konspiratora.

Człowiek ten zaprowadził go prosto do małej cieplarni z jedwabnikami.

— Co za piękna niespodzianka, manipo! Czemu zawdzię czamy honor twych odwiedzin? Jak się mają Pięć Zakazów i Umara? A przemiłe Niebiańskie Bliźnięta?

Towarzysz Nefrytowego Księżyca sortował właśnie jedwabniki na środku pomieszczenia, gdzie podrastały w ogromnych dzbanach. Gdy tylko ochłonął z zaskoczenia, nie krył radości z odwiedzin wędrownego mnicha.

—*Om!* Pięć Zakazów wysłał mnie tu w pilnej sprawie! A powód wyda ci się nieprawdopodobny!

—Mimo to zdradź mi go!

—Dobrze! *Om!* Cesarzowa Wu Zhao we własnej osobie potrzebuje pilnie jedwabnej mory.

—Chce, żebyśmy zorganizowali dostawę?

—Otóż to. *Om!* Potrzebuje jej tak bardzo, że zapragnęła nawet, aby odżył handel nielegalnym jedwabiem w środkowych Chinach.

—No, to rzeczywiście zdumiewające!

—A w dodatku cesarzowa gotowa jest pomóc Kościołowi Światłości w rozprowadzaniu towaru!

—Wu Zhao miałaby złamać prawo swojego kraju?

—Dała ponadto do zrozumienia Pięciu Zakazom, że w ramach rewanżu zgodziłaby się wesprzeć oficjalne zaistnienie tego Kościoła w Chang'anie. Twój Doskonały mógłby otworzyć tam świątynię! Polecono mi zanieść mu tę dobrą nowinę.

—Jej życzliwość nie dziwi mnie tak bardzo, jak cała reszta. Napełniony Spokojem wie bardzo dobrze, że chińskie władze ociągają się z wydaniem dwóch ważnych dekretów. Pierwszy ma pozwolić manichejczykom na otwarte praktykowanie ich

religii, a drugi przewiduje wyjęcie spod prawa nestorianów. Mówi się, że ich ogłoszeniu przeciwstawiają się zaciekle konfucjaniści. Przypuszczam, że cesarzowa może doprowadzić do ich wydania...

—Muszę porozmawiać o tym z Napełnionym Spokojem! *Om!* Będziesz tak dobry i zaprowadzisz mnie do niego?

—Kiedy powtórzysz mu to, co mi powiedziałeś, manipo, Doskonały nie będzie posiadał się z radości! Naprawdę, pomimo wszystkich plotek, ta Wu Zhao wie, dokąd zmierza! — wykrzyknął z podziwem młody kuczanin.

Świetlisty Punkt się nie mylił.

Napełniony Spokojem był zaskoczony i uradowany, kiedy manipa, którego słowa Świetlisty Punkt, jak wszyscy wielojęzyczni kuczanie, przełożył z łatwością godną doświadczonego tłumacza, opowiedział mu o celu swojej wyprawy.

Wędrowny mnich zastał Doskonałego w bibliotece Kościoła Światłości, gdzie nadzorował pracę nad iluminowaniem egzemplarza *Wielkiej Księgi Maniego,* którą chiński malarz ozdabiał właśnie żywymi kolorami.

—To, co mi opowiadasz, nie dziwi mnie zbytnio. Cesarzowa Chin ma opinię doskonałej szachistki — oświadczył z uśmiechem Napełniony Spokojem.

—To prawda, ona zawsze wie, jaki będzie następny ruch! — dorzucił Świetlisty Punkt.

—Jaką więc odpowiedź mam jej zanieść? — zapytał manipa.

—Że czuję się zaszczycony jej zaufaniem! Oczywiście, będziemy z nią współpracowali, i to z wielkim zapałem! Bo w istocie, Wu Zhao może bardzo pomóc rozwojowi naszego Kościoła Światłości w Chinach... Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że otrzymamy wsparcie tego rodzaju. Dość pomyśleć o nieufności gubernatora Turfanu, który ledwo mnie pozdrawia! — wykrzyknął Doskonały.

—Kiedy będziecie gotowi dostarczyć do Chang'anu pierwsze zwoje jedwabiu? — zapytał Tybetańczyk.

Napełniony Spokojem odwrócił się do Świetlistego Punktu.

—Mniej więcej za trzy miesiące — odpowiedział kuczanin. — To czas potrzebny na znalezienie warsztatu tkackiego i rzemieślnika, który będzie umiał go uruchomić! Od mojego powrotu jedwabniki nie próżnowały. Mamy już na składzie trochę szpulek przędzy.

—Jeden z naszych, Azja Moghul, nauczył się w latach wczesnej młodości tkać dywany w Persji. Możesz go zatrudnić! Będzie ci służył cenną pomocą.

—Tak zrobię, mistrzu Napełniony Spokojem! — obiecał Świetlisty Punkt, pochylając się z szacunkiem przed Wielkim Doskonałym.

—A jak się miewa Nefrytowy Księżyc? — zapytał Napełniony Spokojem byłego Ucznia, z którym nie widział się od jakiegoś czasu.

Świetlisty Punkt zauważył, że Napełniony Spokojem postawił to pytanie żartobliwym tonem. Był to dobry znak. Propozycja Wu Zhao wprawiła go w świetny nastrój.

—Cudownie. Moja żona próbuje mi pomagać, i to z dobrym skutkiem. Nie zdołam odwdzięczyć się wam, mistrzu, za zezwolenie na małżeństwo i za zwolnienie mnie z przysięgi Ucznia. Mogę już chyba podzielić się z wami dobrą nowiną. Nefrytowy Księżyc oczekuje dziecka! — odparł młodzieniec.

—Pobraliście się? — zapytał rozbawiony tybetański mnich.

—Miesiąc temu! — odrzekł z dumą Świetlisty Punkt.

—Życzę wam, żebyście byli szczęśliwi i mieli liczne potomstwo. *Om!* — wykrzyknął manipa, po czym wykręcił piruet.

Młody kuczanin bez większego trudu przekonał Doskonałego, żeby pozwolił mu wziąć ślub z małą Chinką.

Sposób, w jaki okazał skruchę podczas ich pierwszego spotkania, a także ujawnienie podłego zachowania Zielonego Kolca, skłoniły mistrza do okazania wyrozumiałości.

A zresztą, szybko doszedł do wniosku, że jest to jedyny sposób na wznowienie produkcji jedwabiu, który był niezbędny, by Kościół Światłości mógł rozkwitać.

Czy zwierzchnik Kościoła nie powinien przyjąć pragmatycznej postawy, gdy tyle czarnych chmur gromadziło się na widnokręgu?

Lepiej było zapomnieć o grzechach Świetlistego Punktu i wybaczyć mu jego zachowanie.

Tak więc Napełniony Spokojem unieważnił przysięgę celibatu, którą Uczeń składał w dniu konsekracji na członka pierwszego stopnia kleru manichejskiego Kościoła, zobowiązując się poświęcić całe życie kultowi Boskiej Światłości.

Podejmując taką decyzję, Napełniony Spokojem stanął przed poważnym problemem rytualnym.

Nigdzie, w żadnym tekście Kościoła manichejskiego, nie było napisane, że Doskonały ma prawo zwolnić Ucznia z przysięgi.

Według kościelnej reguły, wszyscy członkowie kleru manichejskiego Kościoła mieli nimi pozostać aż do śmierci.

Wielki Doskonały z Turfanu był więc zmuszony zaimprowizować ceremonię, której najdrobniejsze szczegóły ustalił osobiście.

Błagając Maniego o wybaczenie odstępstwa od dogmatu, wymyślił rytuał, który miał na celu przywrócenie Świetlistego Punktu do stanu świeckiego.

Rozważywszy dokładnie tę kwestię, Wielki Doskonały postanowił w końcu wypowiedzieć w odwrotnym porządku, to jest od końca, święte formułki, dzięki którym wierny stawał się Uczniem. Wymazał też symbolicznie z jego czoła ślad pozostawiony przez święte oleje, jakimi namaścił go w trakcie identycznej ceremonii kilka lat temu.

Tak więc w oczach Napełnionego Spokojem Świetlisty Punkt stał się znowu zwykłym człowiekiem, który mógł teraz pojąć za żonę Nefrytowy Księżyc.

Wszystko wróciło na swoje miejsce.

Od tego momentu były Uczeń, pragnąc pokazać Napełnionemu Spokojem, iż ten dobrze uczynił, przebaczając i dając mu szansę, zabrał się z zapałem do pracy, aby wznowić wytwarzanie kokonów.

Ich pierwszy tysiąc leżał już na ażurowych półeczkach umocowanych do ścian w głębi pomieszczenia, i była to dobra wróżba co do możliwości przywrócenia w ciągu paru tygodni stałego tempa produkcji jedwabnej przędzy.

Wysiłki Świetlistego Punktu nie okazały się więc daremne.

Także Nefrytowy Księżyc przyczyniła się do tego sukcesu.

— Jak mogę wam pomóc, kiedy będę czekał na pierwsze próbki materiału, żeby zawieźć je do Chang'anu i pokazać Wu Zhao? — zapytał Tybetańczyk, zachwycony tym, że wszystko przebiega jak najlepiej.

kuczanin odpowiedział:

—Przydasz się w cieplarni. Dzięki temu będzie mi łatwiej nadzorować urządzenie pracowni tkackiej.

—*Om!* Jestem gotów iść tam od razu! Nie lubię siedzieć bezczynnie! — wykrzyknął manipa.

—Mistrzu, muszę jak najprędzej skontaktować się z Azją Moghulem. Gdzie go znajdę? — zapytał Doskonałego Świetlisty Punkt.

—O tej godzinie powinien być w prezbiterium świątyni. Klęczy przed Ołtarzem Światłości i przeżywa w modlitwie Mękę Maniego. To jeden z naszych najpobożmejszych Doskonałych, ale jest też doskonałym tkaczem! — odparł Napełniony Spokojem.

Wszyscy udali się do kościoła, gdzie pogrążony w medytacji Azja Moghul przyjął ich ze zdziwioną miną.

—Pomożesz Świetlistemu Punktowi ustawić warsztat do tkania jedwabiu w jego pracowni — zwrócił się do niego Napełniony Spokojem.

—Ale czy to nie oderwie mnie od moich duchowych obowiązków? — zapytał Pers, który spędził młodość w Szirazie, w fabryce jedwabnych kobierców, gdzie jego ojciec był podmajstrem.

—Będziesz wykonywał użyteczną pracę dla naszego Kościoła. Któregoś dnia wszystko ci wyjaśnię — odparł Wielki Doskonały.

Azja Moghul nie mógł nie posłuchać polecenia człowieka, który był też, jako Wielki Doskonały, jego duchowym mistrzem.

Okazało się, że Pers rzeczywiście może nadzorować wykonanie warsztatu tkackiego. Pod jego okiem cieśla z Turfanu zbudował maszynę, która pozwalała uzyskiwać tkaninę przyzwoitej jakości, nawet jeśli nie była ona tak wykwintna jak jedwab wytwarzany w tkalni Addaia Aggaia. Kilka dni potem to nieco prymitywne, ale doskonale działające urządzenie zostało przeniesione do cieplarni z jedwabnikami, a po kilku tygodniach pierwsze zwoje zaczęto składać na stos w małym magazynie, który Świetlisty Punkt przygotował specjalnie w tym celu.

—Niedługo będziesz mógł wyruszyć, żeby pokazać je Wu Zhao — powiedział do manipy Napełniony Spokojem, który widział postępy w realizacji ogromnego zadania, jakiemu Świetlisty Punkt poświęcał się z takim zapałem.

—Wydaje mi się, że Jej Wysokość zdecydowanie woli żółtą i czerwoną morę! — oświadczył wędrowny mnich.

—Mora to materia najtrudniejsza do tkania. Na tym warsztacie byłoby to nawet niemożliwe! Potrzebna jest specjalna maszyna, jakie potrafią budować tylko Chińczycy. Może poradziłbym sobie z brokatem, ale nie z morą! — wyjaśnił zakłopotany Azja Moghul.

Odpowiedział mu Świetlisty Punkt:

—A gdybyśmy sprowadzili do Turfanu chińskiego inżyniera? Z jego pomocą moglibyśmy skonstruować maszynę do tkania mory. Mistrzu Doskonały, gdybyście poprosili o niego cesarzową Wu Zhao, z pewnością by wam nie odmówiła! Czyż nie staliśmy się jej rzeczywistymi sprzymierzeńcami, od czasu gdy upoważniła nas otwarcie do wprowadzenia Kościoła Światłości do środkowych Chin?

—Jeśli to konieczne, jestem gotów wyruszyć w drogę powrotną, żeby powiedzieć jej o waszym życzeniu — rzekł manipa do Napełnionego Spokojem.

Wędrowny mnich szybko zabierał się do rzeczy.

Bo rzeczywiście, w pracowniach ministra jedwabiu w Chang'anie stało kilka warsztatów tkackich, z których każdy miał kilkadziesiąt wrzecion poruszanych kółkami, połączonymi ze sobą paskami napędowymi. Pozwalały one tkać z niezrównaną szybkością piękną morę doskonałej jakości.

Ale warsztaty te uważano niemal za skarb narodowy i przekazanie osobom nieupoważnionym ich planów było karane śmiercią! Do biura administracji jedwabiu wchodzili tylko wybrani inżynierowie, których moralna postawa była sprawdzona i którzy po zatrudnieniu pozostawali pod stałym nadzorem agentów Wielkiego Cenzoratu.

W tych okolicznościach nawet Wu Zhao nie mogła uzyskać dostępu do planów tych maszyn ani przekonać żadnego z ich konstruktorów, żeby udał się do Turfanu i wyjaśnił manichejczykom zasadę ich działania.

Napełniony Spokojem, którego życie nauczyło, że kiedy pragnie się coś osiągnąć, lepiej posuwać się małymi kroczkami, postanowił powstrzymać ich zapędy.

—Zanim zwrócimy się do Wu Zhao z tego rodzaju propozycjami, zaczniemy od wytwarzania najlepszych tkanin, na jakie nas stać! Po powrocie do Chang'anu manipa przekaże cesarzowej to, co pragnęła otrzymać. I jeśli Jej Wysokość będzie zadowolona, to, jak mawiał nasz prorok Mani, cała reszta przyjdzie sama.

—Takie rozwiązanie wydaje mi się bardziej rozsądne — dodał Azja Moghul. — Najpierw będziemy tkali gęsty materiał o splocie prążkowanym, starając się uzyskiwać piękne kolory. Jeśli starczy nam cierpliwości i precyzji, dokonamy tego! Nie mamy jeszcze mądrego pieska, ale on prędko się zjawi!

—Mistrzu Doskonały, co tu ma do rzeczy jakiś mądry piesek? — zapytał zdziwiony Świetlisty Punkt.

—Nie znasz historyjki o maleńkiej psinie, która potrafiła trzymać w zębach zapaloną lampę i zatrzymywała galopującego konia, stając mu na drodze? — uśmiechnął się Doskonały.

—Nigdy jej nie słyszałem!

—Był to prezent, jaki król Gaochangu, bo tak Chińczycy nazywali wówczas naszą oazę, wysłał na cesarski dwór tuż przed wstąpieniem na tron cesarza Taizonga, żeby zdobyć przychylność chińskiego imperium. Powiadają, że ta mała psina przybyła z Rzymu! Od tej pory mianem „mądrego pieska" określa się daninę, jaką Turfan składa co roku chińskiemu cesarzowi, żeby nadal cieszyć się jego protekcją... — wyjaśnił Napełniony Spokojem zdumionemu Świetlistemu Punktowi.

—Więc ten niewiarygodny zwierzak urodził się w Rzymie! Mieliście na myśli imperium Da Qin, rozciągające się gdzieś nad morzami Zachodu, w których łowi się purpurowe małże? — upewnił się kuczanin.

Odpowiedział mu Azja Moghul.

—Powiadają, że w Da Qin jest morze, w którym żyją małże z perłami błyszczącymi jak księżyc. W morzu tym można też znaleźć płótno utkane z puchu morskiej owcy i z czerwonych gałązek. Książęta tego imperium, którzy kąpią się w wodzie o cudownych właściwościach, pozwalają obywatelom składać skargi w specjalnej urnie! Tamtejsi lekarze potrafią otwierać mózgi chorych, żeby wyjmować z nich owady powodujące ślepotę! — dorzucił perski tkacz, który w latach młodości w Szirazie nasłuchał się opowieści podróżników o tym, jak to w wodach Morza Śródziemnego, w imperium rzymskim zwanym przez Chińczyków Da Qin albo Folin, łowi się perłodajne ostrygi i koral, uważany przez starożytnych Rzymian za krew meduzy Gorgony, która rozpuściła się w morzu, kiedy Perseusz obciął jej głowę.

—Prawda, że Jedwabny Szlak ciągnie się aż do Konstantynopola... — wtrącił Napełniony Spokojem.

W roku 646 poseł dworu chińskiego został przyjęty przez bizantyjskiego cesarza Konstantyna II, który ofiarował wysłannikowi Tangów wspaniałe wielobarwne wyroby szklane, nazywane przez Chińczyków *liuli,* a nade wszystko odtrutkę przeciw jadowi węża, nadzwyczajny lek, wymyślony przez greckich lekarzy z Aleksandrii.

A z Konstantynopola można już było popłynąć do Rzymu, oddalonego o ponad czterdzieści tysięcy *li* od chińskiej stolicy, Chang'anu.

Niektórzy podróżnicy, odważniejsi od innych, zapewniali w ten sposób łączność między dwoma światami, które już o sobie wiedziały, i starali się przekonywać na własne oczy, czy fantastyczne opowieści są prawdą.

Na Zachodzie dominującą religią było chrześcijaństwo, na Wschodzie buddyzm.

I na Wschodzie, i na Zachodzie ludzie pragnęli ozdabiać kościoły i świątynie tym, co najpiękniejsze.

O ironio, i tu, i tu duchowni uczyli, jakim dobrodziejstwem jest ubóstwo, ale dla utrwalenia swojej wiary i jedni, i drudzy potrzebowali złota, szlachetnych kamieni, nefrytu, kości słoniowej, koralu, cennego drewna i oczywiście jedwabiu.

—W Da Qin kobiety przepadają za jedwabnymi tkaninami! Kto wie, być może krocząc w kierunku Rzymu, Kościół Światłości zwróci się także i do nas! Mam nadzieję, mój drogi Świetlisty Punkcie, że zrozumiałeś, czego od ciebie oczekujemy... — dorzucił z uśmiechem Wielki Doskonały.

—Mamy mnóstwo pracy. Trzeba się do niej zabrać, nie tracąc ani chwili! — wykrzyknął szczęśliwy jak dziecko Świetlisty Punkt, obejmując żonę w pasie.

—Niech wam Mani błogosławi, Nefrytowy Księżycu i Świetlisty Punkcie! — wykrzyknął radośnie Napełniony Spokojem, a potem ruszył w kierunku manichejskiej świątyni.

Wszyscy wrócili do swoich zajęć, a Azja Moghul zabrał się z zapałem do regulowania warsztatu tkackiego.

— Jakżebym chciał pewnego dnia udać się do Da Qin! Nie przestają mówić o jego stolicy, która nazywa się Rzym. Podobnie jak Chang'an, to ogromne piękne miasto ze wspaniałymi pałacami. Powiadają, że jego mieszkańcy także zwą je „pępkiem świata", tak jakby Da Qin było na Zachodzie tym samym, czym Chiny na Wschodzie, Państwem Środka... — mówił w zamyśleniu Świetlisty Punkt.

—Ja też! Gdybyś wiedział, jak się rozmarzyłem, słuchając o tej morskiej owcy pokrytej puchem, z którego robią tam płótno! Jakżebym chciała ją pogłaskać! — zaśmiała się mężowi do ucha Nefrytowy Księżyc, delikatnie je kąsając.

—Nie mamy morskich owiec, musimy więc żywić nasze jedwabniki. Widzę, że trzeba dosypać morwowych liści do pojemników... — odparł jej ukochany.

—Kocham cię, Świetlisty Punkcie! — szepnęła, całując go.

—Jakże mi spieszno zobaczyć owoc, który nosisz w swoim brzuszku, mój Nefrytowy Księżycu! Dzień, w którym kochanek zamieni się w ojca, będzie dla mnie najszczęśliwszy! — wykrzyknął Świetlisty Punkt, po czym poszedł po mały sierp, żeby naścinać świeżych liści, którymi żywiły się gąsienice.

Młody kuczanin i młoda Chinka, oboje równie piękni, co inteligentni, byli tak szczęśliwi, że manipa patrzył na nich wzruszony i rozczulony.

Nieszczęśni!

Nie przeczuwali, niestety, że niedaleka jest chwila, w której los znowu ich rozdzieli...

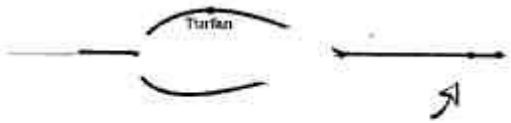

Kaszgar *f* ^S*V„D"nriuaTiig Luoyartg
V ^t,**^000^ Chang'an

GÓRY *KRAINY ŚNIEGÓW* •
Peszawar
• Lhasa
• *Klasztor Samye*

11

Pałac cesarski,
Chang'an, Chiny,
28 października
657 roku

W ogródku Pawilonu Rozrywek zapowiadał się jak zwykle spokojny wieczór.

Zapadł już mrok i pod czerwieniejącym listowiem drzew pachniały jesienne kwiaty.

Wkrótce miała nadejść pora układania Niebiańskich Bliźniąt do snu. Teraz szczebiotały, raczkując na podłodze.

Za kilka tygodni dzieci, powierzone przez lamę Tö Linga Pięciu Zakazom, staną na swoich małych nóżkach. Zarówno Umara, która bardzo się do nich przywiązała, jak i jej towarzysz, nie mogli się doczekać

chwili, gdy maleństwa zaczną stawiać pierwsze kroczki.

—Nie nadaliśmy im jeszcze imion, czy nie czas, aby to zrobić? — zwróciła się Umara do Pięciu Zakazów.

—To prawda, one nazywają nas już mamą i tatą! Zgadzam się z tobą, najwyższy czas nadać im imiona! — odparł z uśmiechem młodzieniec.

Aż dotąd wystarczało im nazywanie dzieci zdrobniałymi określeniami, takimi jak „Dwie Ślicznotki", „Orzeł i Reszka",

czy „Spadłe z Nieba". Wszędzie, gdzie się z nimi pokazali, gapie nadawali im imiona *xiaoming*,* jeszcze bardziej zabawne. Umara wzięła dzieci na kolana i niczym dobra mama zaczęła głaskać je delikatnie po główkach. Dopiero co nakarmiła je jarzynowym przecierem z gotowanymi skrzydełkami kurczaka.

—Mam pomysł! — wykrzyknął nagle Pięć Zakazów. — Może damy im imiona Lotos i Klejnot?

—Świetna myśl! Lotos i Klejnot, śliczne! Od jutra tłumy buddystów będą zachwycone, że mogą oddawać cześć Lotosowi i Klejnotowi!

—Byłby to także dobry sposób, żeby powiązać je z mantrą *Om manipeme hung!* „Klejnot jest w lotosie". Ta sakramentalna formuła, powtarzana przez buddystów, odwołuje się do bod-hisattwy Awalokiteświary, który wstawia się za ludźmi u Błogosławionego Buddy.

—Wiem. Wyjaśniałeś mi, że to od niej pochodzi określenie manipa.

—Wędrowny mnich, który pomagał mi wieźć dzieci, będzie bardzo zadowolony, kiedy się o tym dowie. Czy te Niebiańskie Bliźnięta nie stoją już jedną nogą na ziemi, a drugąw nirwanie? Poza tym, oboje znajdą się teraz pod boską ochroną bodhisat-twy-pośrednika!

Pięć Zakazów wydawał się zadowolony ze swojego pomysłu.

—Które nazwiemy Lotosem, a które będzie nosić imię Klejnot? — zapytała Umara.

—Tobie zostawiam wybór, kochana!

—Chłopiec mógłby zostać Lotosem, a dziewczynka Klejnotem. Co o tym myślisz?

—Zgadzam się.

—Doskonale to wymyśliliśmy, zwłaszcza jeśli idzie o dziewczynkę. Pomimo owłosienia jest taka ładna! Jej buzia to sam urok! — wykrzyknęła Umara, podając Pięciu Zakazom dziecko,

* *Xiaoming* (chin.) — pieszczotliwe, zdrobniałe imię, nadawane dzieciom, niezależne od nazwiska rodowego.

które od tej chwili nosiło imię Klejnot, choć częściej mówiono na nią Klejnotka.

Mówiąc to, dziewczyna chciała jeszcze raz zwrócić uwagę na dziw natury, jakim było to dziecko, naznaczone skazą zajmującą dokładnie połowę buzi.

Klejnotka miała tak subtelne rysy, że dziwne znamię upodabniało jej twarz do przedzielonej krawędzią nosa maski, w której rysy stworzenia odbiegającego od normy stapiały się z urodą dziewczynki o niezrównanej piękności.

Kiedy patrzyło się na jej braciszka Lotosa, można było stwierdzić, że mimo uderzającego podobieństwa Niebiańskich Bliźniąt, dziewczynka miała o wiele bardziej subtelne rysy.

Wybryk natury spotykał się tu ze wzniosłością; tak niespotykana i zarazem piękna powierzchowność musiała świadczyć o boskim pochodzeniu Klej notki.

Dziewczynka, niczym istota, która zstąpiła z nieba, została stworzona po to, aby oddawać jej nabożną cześć.

Trzeba było widzieć, jak troszczyły się o nią służące i opiekunki dzieci z cesarskiego pałacu. Najpobożniejsze z nich rzucały się nawet na ziemię przed tym wesołym i zachwycającym dzieckiem, do którego Umara tak bardzo się przywiązała.

—Mój słodki Klejnocik! Jakżebym chciał wiedzieć, jaka przyszłość cię czeka! — powiedział cicho Pięć Zakazów.

—Myślisz, że bliźnięta naprawdę poczęła jakaś boska istota? — zapytała Umara.

—Twoje oczy mówią mi, że w to wątpisz.

—Mój Bóg nie naznaczyłby tak swego dzieła.

—Nie jestem pewny, czy Budda mógł się do tego przyczynić. Nasz przyjaciel manipa twierdzi, że te bliźniaki pochodzą od Górskiego Demona. A tutejsi Chińczycy są tak przesądni, że w tego rodzaju zjawisku widzą natychmiast boską rękę Błogosławionego lub nawet Drogę Tao!

—Mam nadzieję, że to dziecko nie wpadnie w rozpacz, gdy zobaczy, jak wygląda! — powiedziała zaniepokojona nagle Umara.

Albowiem w miarę upływu czasu Umara, która jako chrześcijanka nie wyobrażała sobie, aby Klejnotka mogła zostać poczęta przez jakiegoś bożka, coraz częściej zadawała sobie pytanie, jaka będzie reakcja małej dziewczynki, gdy dowie się, że ma skazę.

Na razie kazała usunąć z Pawilonu Rozrywek wszystkie lustra. Unikała też spacerowania z dziewczynką nad brzegiem basenu, zbyt blisko wody.

Chciała wyjaśnić Klejnotowi, że jest normalną dziewczynką i że wszystkie stworzenia Jedynego Boga, bez względu na to, jak wyglądają, są sobie równe.

Między Umarą i małym Klejnotem zawiązało się głębokie porozumienie.

Po kilku miesiącach młoda chrześcijanka zachowywała się jak matka Niebiańskich Bliźniąt.

Zapadła noc i w ogrodzie Pawilonu Rozrywek zrobiło się chłodno.

Nadszedł czas, aby Umara ułożyła dzieci do snu w sypialni przylegającej do komnaty kochanków.

Gdy wróciła, Pięć Zakazów czekał na nią w cesarskim łożu. Mieli przed sobą noc miłości, równie gorącą i czarowną jak poprzednie, bo ich namiętnych pieszczot nie hamował wstyd.

Jedno pragnęło dać rozkosz drugiemu we wszystkim, czego to drugie oczekiwało. Współgrali jak dwa muzyczne tony, *huanzhong* o naturze *yang,* i *zhonglu* typu *yin,* albo dziurka i pasujący do niej klucz.

Owe dwa doskonale dopełniające się tony pochodziły z pierwszej i z ostatniej z dwunastu piszczałek, których wzorce ustalił muzyk Linglun na prośbę mitycznego Żółtego Cesarza. Nieskończonej dobroci tego nader szczodrego władcy z dawnych czasów, do którego godnych następców pragnął należeć pierwszy cesarz Qin Shi Huangdi, Chińczycy zawdzięczali pismo, liczenie i cyfry, a także przepis na wytwarzanie jedwabiu...

— Kiedy kocham się z tobą, czuję się tak, jakbym została

przeniesiona do raju. Słuchając opowiadań ojca o tym miejscu, do którego sprawiedliwe dusze trafiają po opuszczeniu cielesnej powłoki, wątpiłam w jego istnienie. Od czasu kiedy jestem z tobą, wiem już, że raj istnieje naprawdę, pojawia się w chwili, gdy łączymy się ze sobą! — szepnęła rankiem Umara, czule głaszcząc kochanka po włosach.

—Błogosławiony powiedział kiedyś: „Istnieje dziedzina, w której nie ma ziemi ni wody, ognia ni wiatru, nieskończonej świadomości, ani nawet nicości: jest to koniec bólu istnienia, nirwana". Ale w przeciwieństwie do tego, co można usłyszeć tu i tam, nasza nirwana nie odpowiada waszemu pojęciu raju, ponieważ odnosi się do stanu, w którym istota ludzka już nie cierpi, gdyż zdołała ugasić wszelkie ognie, jakie w niej płoną! W twoim raju dusze są wiecznie szczęśliwe, podczas gdy w mojej nirwanie już nie cierpią!

—Czy to tak naprawdę nie jest tym samym?

—Wszystko zależy od tego, co nazwiemy szczęściem! My, buddyści, dążymy raczej do wygaszenia wszelkich odczuć. To tak, jakby szczęście istniało tylko jako przeciwieństwo nieszczęścia...

—To prawda, kochany, że odkąd cię poznałam, boję się, że mogłabym cię stracić, i z tego powodu cierpię!

—Ja też, odkąd się w tobie zakochałem, odczuwam strach, że mogłoby mi ciebie zabraknąć!

—Słuszne jest to, co powiedziałeś przed chwilą: jeśli ludzkie istoty chcą zaznać szczęścia, powinny pogodzić się z cierpieniem... — szepnęła w zamyśleniu młoda chrześcijanka.

—W ten sposób buddyści wyjaśniają nawet istnienie *dukhy,* cierpienia: poprzez pojęcia pożądania i szczęścia. Gdy człowiek zaczyna czegoś pożądać albo czymś się cieszy, doświadcza męki w dniu, w którym to coś utracił! Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co bym czuł, gdyby dotknęło cię jakieś nieszczęście! — westchnął Pięć Zakazów, który nie przestawał łapać się na tym, jak bardzo życiowa filozofia, którą mu wpajano, rozmija się z doświadczeniami z prawdziwego życia.

—Czy mamy z tego powodu przeklinać dzień, w którym nasze drogi się przecięły? Wolałabym już raczej cierpieć po przeżyciu chwil szczęścia, niż prowadzić ponurą egzystencję pozbawioną wszelkich doznań, miłych i niemiłych! Moim zdaniem wszystkie istoty mają prawo do szczęścia na ziemi, a nie dopiero w tym odległym raju, o którym nie wiedzą przecież nic, jako że nikt go nigdy nie widział!

—Masz rację, moja mała Umaro. Tak samo jest ze mną: nigdy nie będę żałował dnia, w którym cię ujrzałem. Były to dla mnie jakby drugie narodziny! Od tej chwili stałem się kimś innym. Inaczej patrzę na życie. Śmiem nawet twierdzić, że przedtem umykał mi jego głęboki sens... — szepnął młodzieniec, pieszcząc jej małe, jędrne piersi.

—Kochamy się. To jest nasz raj i nirwana.

Każde z nich na swój sposób oddzielało religijne nakazy od życiowych spraw, które stawały im na drodze.

O ile buddyjska wiara Pięciu Zakazów pozostała nienaruszona, to mimo wszystko jego spotkanie z Umarą zmieniło sens niektórych słów, które ją wyrażały.

Należało do nich na przykład pojęcie „oświecenia".

Termin ten, aż dotąd pozostający w jego oczach czystą abstrakcją, teraz wypełniony był sensem.

Było to połączenie zachwytu i pewności, jakie poczuł w najgłębszych zakamarkach serca, gdy jego spojrzenie napotkało po raz pierwszy spojrzenie Umary.

Dla Umary słowem tym było „objawienie", za pomocą którego ojciec tyle razy wyjaśniał jej reakcję proroka Mojżesza, gdy Bóg pokazał mu się pod postacią gorejącego krzaka, a potem przekazał mu Dziesięć Przykazań, ryjąc je błyskawicami na kamiennych tablicach. Teraz zrozumiała jego znaczenie.

Dzięki Pięciu Zakazom Umara doznała „objawienia" miłości.

Podobnie „niestałość" i *anatman,* czyli brak jaźni, które według Buddy charakteryzowały naturę istot żywych i czyniły je podatnymi na zranienie, nie były zgodne z obrazem kochanki, jaki nosił w sercu Pięć Zakazów.

Umara była dla niego czymś więcej niż tylko kobietą z krwi i kości; posiadała osobowość, która czyniła z niej istotę niepowtarzalną. Miała więc duszę.

Dlaczego zatem Błogosławiony zadecydował, że wszystko ma być tylko nieosobowym *anatmaneml*

Jakie były powody tak wielkiego zwątpienia?

Dlaczego ma być tak, że ludzie rodzą się w matni zwanej światem, którym rządzi tragiczne i bolesne prawo cierpienia i nietrwałości i który należy czym prędzej opuścić?

Dlaczego napisano w Ewangeliach, że szczęścia nie osiąga się nigdy na ziemi i że łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu człowiekowi wejść do raju?

Czy religie mają służyć wyłącznie ludziom nieszczęśliwym?

I czemu to bogowie i buddowie, którzy powinni kochać wszystkie żyjące istoty, pozwalają im zaznawać głodu, nędzy, chorób i samotności?

Jak pogodzić religijną wiarę ze szczęściem i indywidualnym rozwojem?

Takie właśnie pytania nurtowały Pięć Zakazów, gdy rozbierał swą młodą kochankę, która znów otwierała przed nim bramy swych intymnych pałaców, umożliwiając mu złożenie w nich przyjemnej wizyty.

Kiedy w nią wszedł, nie mogła powstrzymać się od okrzyku, tak wielka była rozkosz, w jakiej pogrążała się falującymi przypływami, zdającymi się nadchodzić bez końca, a każdy następny sprawiał, że zapominała o poprzednim...

—Nie pozwalasz mi wstać z łóżka — szepnęła Umara i wybuchnęła śmiechem.

—Co mam zrobić, kochanie, żebyś mi wybaczyła? — zażartował.

—Idź i zerwij dla mnie jedną z tych wielkich piwonii z ogródka Pawilonu Rozrywek. To już ostatnie w tym roku. Wczoraj wieczorem wydawały mi się takie piękne!

—Nie ruszaj się! Zaraz wracam! — wykrzyknął młodzieniec, wyskakując z łóżka.

Postanowił wybrać puszysty kwiat bez skazy, który ukazywał swe czerwone wnętrze, gdy odgarnęło się ząbkowane płatki. Piwonie obsypały cały krzak i wypełniały zapachem powietrze.

Szykował się już, żeby zerwać najładniejszą, kiedy ktoś klepnął go w ramię.

O tej godzinie, na długo przed przybyciem cesarskich ogrodników, w ogródku Pawilonu Rozrywek nie powinno być nikogo.

Zaniepokojony odwrócił się energicznie i stanął twarzą w twarz z nieznajomym mężczyzną, który spoglądał na niego z dziwną miną.

— Zdaje się, że jesteśmy sąsiadami... Nazywam się Zielony Kolec. Umieszczono mnie w Pawilonie Wodnego Zegara, tuż obok Pawilonu Rozrywek, za murem, którym kończy się ten ogród — wyjaśnił, mówiąc przez nos.

Zielony Kolec! To imię nie było Pięciu Zakazom obce. Nie mógł jednak sobie przypomnieć, gdzie je słyszał, zaskoczony pojawieniem się intruza.

Osobnik ten, o mało wyrazistych rysach, wskazał palcem wysoki ceglany mur przy końcu ogrodu otaczającego pawilon, w którym Wu Zhao umieściła Pięć Zakazów, Umarę i Niebiańskie Bliźnięta. W jego dolnej części znajdowała się okrągła dziura. Widać było przez nią fontannę zasilającą mechanizm wodnego zegara, od którego wziął nazwę sąsiedni pawilon.

—A ja mam na imię Pięć Zakazów.

—Wiem, kim jesteś. Po drugiej stronie muru słychać wszystko, co tu się dzieje! — oznajmił intruz bez najmniejszego skrępowania.

—Jesteś więc aż tak ciekawski? — mruknął mnich, urażony dwuznacznością tonu Zielonego Kolca.

—Dni ciągną się jak wieczność, kiedy nie ma nic do roboty! Poza tym twoja kochanka i ty wydajecie takie... specjalne odgłosy! Powiem ci otwarcie, czasami nie śpię przez całą noc! Są wieczory, kiedy wydaje mi się, że jestem tam razem z wami... — zaśmiał się tamten drwiąco.

Przymrużone oko Zielonego Kolca, który wydawał się zadowolony ze swego żartu, wyraźnie nie spodobało się Pięciu Zakazom.

— No cóż, spróbuj znaleźć sobie jakieś zajęcie! W parku cesarskiego pałacu są tysiące drzew, które wymagają przycięcia! — odparł zagniewany Pięć Zakazów, chcąc pozbyć się natręta.

Pochylił się, żeby zerwać kwiat, kiedy tamten wykrzyknął ze wściekłą miną:

—Nie powinniście ufać Wu Zhao! Cesarzowa nigdy nie dotrzymuje słowa! Lepiej wiedzieć o tym zawczasu...

—Dlaczego tak mówisz? — Pięć Zakazów był zbity z tropu.

—Mam swoje powody! Wierz mi, są więcej niż wiarygodne. Mówię na podstawie doświadczenia — odparł Zielony Kolec, po czym prędko odwrócił się plecami do mnicha.

Wróciwszy do pawilonu, Pięć Zakazów opowiedział Umarze o dziwnym zachowaniu i słowach osobnika, którego spotkał w ogródku.

—Powiedział ci, jak ma na imię? — zapytała Umara.

—Zielony Kolec!

—To imię nie jest mi obce.

—Także i mnie, ale w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach je słyszałem!

—Czy nie wymieniali go Świetlisty Punkt i Nefrytowy Księżyc w wyschniętym strumieniu?! — wykrzyknęła Umara, zaciskając drobne piąstki.

—Rzeczywiście! I jeśli dobrze pamiętam, nie wyrażali się o nim pochlebnie. Według nich, właśnie Zielony Kolec doniósł na nich władzom...

—Nie mamy żadnego powodu, żeby w to wątpić!

—Człowiek, którego spotkałem, jest więc zdrajcą. Miał minę obłudnika...

—Pięć Zakazów, nie masz pojęcia, jak mnie to zaniepokoiło! Co on tu robi, w cesarskim pałacu, szpiegując nas? — Umara wyglądała na wystraszoną.

— To dziwne! Może to jakiś podstęp cesarzowej! Powiadają, że w wysokich kręgach władzy przezornie jest zabezpieczać się na różne sposoby... — mruknął w zamyśleniu Pięć Zakazów.

I rzeczywiście, oboje mieli powody do niepokoju...

Albowiem Torlak, albo inaczej Zielony Kolec, poczuł się opuszczony przez cesarzową Wu Zhao.

Nie mógł się doczekać znaku od swej protektorki.

Już od miesięcy spędzał dni bezczynnie i dręczące go poczucie nieprzydatności, w połączeniu z frustracją wywołaną przysłuchiwaniem się miłosnym figlom kochanków, których najcichsze nawet westchnienia dochodziły do jego uszu, jeszcze raz zamieniły tego osobnika, rozgoryczonego, że nie może zaspokoić swoich popędów, w niebezpiecznego złośliwca.

Gdy Wu Zhao pozyskała Ujgura dla swych przedsięwzięć, dwukrotnie kazała mu przyjść do swego buduaru, aby wyciągnąć z niego, co wie na temat wytwarzania i rozprowadzania przemycanego jedwabiu. Jednak jego informacje okazały się nieprzydatne, gdy handel ustał.

Proponując mu, żeby dla niej pracował, cesarzowa zaczęła od tego, że umieściła go poza zasięgiem jego więziennych dozorców.

Ale Ujgur zapragnął grać główną rolę i stwierdziwszy, że cesarzowa okazuje mu niewielkie zainteresowanie, poczuł się rozgoryczony.

Dawny tajny agent Napełnionego Spokojem był jedną z tych głupich i zarazem niegodziwych osób, zachowujących się jak skorpion z bajki, co to uważał siebie za chytrego i ukąsił żabę, na której grzbiecie płynął na drugi brzeg rzeki, sprowadzając na płaza śmierć, po czym sam utonął!

Uwaga, jaką rzucił Pięć Zakazów, sprawiła, że ten rozczarowany i zgorzkniały osobnik poczuł się, jakby został spoliczkowany.

Zaraz po powrocie do Pawilonu Wodnego Zegara usiadł blady z wściekłości przed wielkim kołem, którego czerpaki nabierały i przelewały wodę, kierowaną zmyślnym kanałem do wielkiej marmurowej wanny.

Ten rozpustny mnich po prostu go znieważył.

Już od tygodni z uchem przyklejonym do muru swojego ogródka Ujgur podsłuchiwał wszystko, co mówili kochankowie, i znał całą ich historię...

Sprawy uległy przyspieszeniu kilka tygodni temu, gdy wielce zdumiony Zielony Kolec usłyszał samą cesarzową, która odwiedziła parę tych zdeprawowanych turkawek, żeby zwierzać się i nakłaniać do udzielenia jej pomocy!

Jeśli Wu Zhao o nim zapomniała, mogła to zrobić tylko z ich powodu...

Wściekły i urażony usłyszał, jak Pięć Zakazów proponował Wu Zhao, że posłuży za pośrednika między nią i manichejczykami z Turfanu w sprawie dostarczenia jedwabiu na chorągwie dla klasztoru Czystości Pustki!

To był szczyt wszystkiego!

Cesarzowa nie tylko zupełnie o nim zapomniała, ale faworyzowała tę parę zakochanych, których miłosne zapasy zakłócały mu sen.

Nie bacząc na ryzyko, na jakie mógł go narazić taki krok, myślał tylko o tym, aby jak najprędzej rzucić w twarz Pięciu Zakazom, co o nim myśli!

W końcu załamał się i sam puścił soki pod koniec nocy, w trakcie której wydawało mu się, że jest w ich sypialni, tak głośno krzyczała Umara.

Stało się! Opróżnił swój woreczek jednym strumieniem, niczym strzelająca trucizną kobra.

I chociaż powinien wiedzieć z własnego doświadczenia, że zazdrość i nienawiść są złymi doradcami i nikt nie szanuje zdrajców, nie troszczył się o to, zbyt wielka niechęć zalała jego serce.

Nauczyciele etyki powtarzali chińskim dzieciom zdanie, jakie wypowiedział wielki filozof i prawodawca Han Feizi: „Nie służy niczemu czekanie koło pnia, aż zjawi się zając, żeby roztrzaskać sobie o niego głowę!".

Usłyszawszy tę maksymę, Zielony Kolec uznał ją za własną.

Na co czekał, aby wyrównać rachunki ze wszystkimi, którzy go upokorzyli?

Czy siedząc bezczynnie w cieniu tego wodnego zegara, nie zgnuśnieje do reszty w oczekiwaniu, aż niełaska dosięgnie tą, której tak głupio zaufał, kiedy zaproponowała mu swoją protekcją, a która tak go zawiodła?

Przywykły do czynienia zła, Zielony Kolec doszedł do punktu, w którym szczęście innych stało się dla niego nie do wytrzymania, a już zwłaszcza szczęście Umary i Pięciu Zakazów. Ożywiali boleśnie w jego pamięci idyllę Świetlistego Punktu i Nefrytowego Księżyca.

Dwie pary kochanków bezustannie przypominały mu o jego samotności i o impasie, w jakim się znalazł, odkąd Wu Zhao zamknęła go w tym nieszczęsnym Pawilonie Wodnego Zegara, gdzie nikt nigdy go nie odwiedzał oprócz szambelana przynoszącego posiłki.

Doszedł do wniosku, że pomści doznane krzywdy tylko wtedy, gdy zawiadomi odpowiednie władze o obecności Pięciu Zakazów i Umary w cesarskim pałacu, zniesławiając przy okazji cesarzową...

Ale tym razem z oczywistych powodów nie mógł zrobić tego osobiście.

Siepacze Wielkiego Cenzoratu pragnęli wystawić mu rachunek za jego współpracę z Wu Zhao.

Powinien więc dokonać tego anonimowo. Będzie to rozsądniejsze, a równie skuteczne.

W Chang'anie nie brakło pisarzy, którym mógł podyktować swój raport, donosząc w nim ze szczegółami nie tylko o wybrykach dwojga zakochanych, korzystających potajemnie z gościny w pałacu, ale także o niewiarygodnym układzie, którego warunki tak dobrze utkwiły mu w pamięci.

A wtedy wszyscy dowiedzą się o knowaniach cesarzowej.

Kazałby dostarczyć pismo prefektowi Li, a dla większej pewności przekazać jego kopię ministrowi jedwabiu, Skuteczności Pozorów.

Nie ulegało wątpliwości, że ten donos wywrze piorunujące wrażenie.

Grom uderzył po kilku dniach, późnym popołudniem, o tej szczególnej porze, którą Umara i Pięć Zakazów lubili spędzać razem, rozkoszując się upajającymi woniami, jakie wypełniały nagrzany słońcem ogródek ich pawilonu.

Zdumieni kochankowie ujrzeli, że wbiega do nich cesarzowa we własnej osobie, mając za plecami nieodłącznego Niemowę z klatką w ręku.

Była bardzo wzburzona.

Jej wizyta o tak późnej godzinie oznaczała, że chodzi o coś ważnego.

— Pięć Zakazów, Umaro, musicie uciekać! Agenci Wiel kiego Cenzoratu weszli już przez Piątą Bramę cesarskiego pałacu! — oznajmiła Wu Zhao, wciąż jeszcze zdyszana od biegu długimi korytarzami.

Niepokój, jaki obudziły w kochankach groźne słowa Zielonego Kolca, okazał się, niestety, usprawiedliwiony.

— O co chodzi, Wasza Wysokość? — zapytała Umara.

Młoda chrześcijanka wpatrywała się w cesarzową Chin z groźną, wyzywającą miną.

— Nie ma chwili do stracenia! Brygady specjalne są na waszym tropie. Na szczęście Niemowa ostrzegł mnie na czas. Agenci Wielkiego Cenzoratu zamierzają was uwięzić! Ktoś musiał na was donieść!

Pięć Zakazów zauważył z przykrością, że Wu Zhao użyła zaimka „was", a nie „nas".

—Ale gdzie mamy się ukryć? Czy w pałacu jest jakieś dyskretne miejsce, w którym moglibyśmy przeczekać burzę? — zapytał Pięć Zakazów.

—Nawet o tym nie myślcie! W pałacu jesteście jak w klatce. Musicie uciec jak najdalej stąd, i to szybko! — wykrzyknęła Wu Zhao.

—Na drugą stronę Wielkiego Muru? — spytała z niedowierzaniem Umara.

—Nie po to się namęczyliśmy, przekraczając Wielki Mur, żeby zaraz wracać! — prychnął wzburzony Pięć Zakazów.

—A jednak musicie się na to zdecydować! Po drugiej stronie Wielkiego Muru oczka policyjnej sieci, którą na was zastawiono, są nieco rzadsze — odparła surowo cesarzowa.

Jej słowa podziałały na młodych jak cios maczugą.

Już myśleli, że są u celu, jako że Chang'an oddalony był zaledwie o dwa dni żeglugi kanałem od Luoyangu, i oto mieli wyruszyć z powrotem!

—Czy sytuacja jest aż tak beznadziejna, że musimy opuścić Chiny? — jęknęła Umara.

—Niestety, nie ma innego wyjścia! — odparła smutno cesarzowa.

—Gdzie znajdziemy schronienie? — szepnęła Umara, a jej oczy zaszły łzami.

—Z pewnością powinniście udać się tam, gdzie nigdy nie docierają policyjne zbiry, które są na waszym tropie! — szepnęła gorączkowo cesarzowa.

—W takim razie najlepiej będzie szukać schronienia w kraju Bod. Tylko ktoś bardzo przebiegły mógłby się domyślić, że tam jesteśmy! — rzekł po chwili zastanowienia Pięć Zakazów.

—Dobra myśl! Uciekajcie więc do Samye! A gdy wszystko się uspokoi, wyślę do was zaufanego posłańca i będziecie mogli wrócić. A tymczasem wymogę na Czystości Pustki, żeby przebaczył Pięciu Zakazom, którego sumienie odnajdzie wreszcie spokój! — odrzekła Wu Zhao.

Wracać do Samye!

Pięć Zakazów nigdy nie wyobrażał sobie, że któregoś dnia zostanie do tego zmuszony!

Co do przebaczenia wielkiego mistrza *dhyany,* to nie wierzył, aby udało się je uzyskać za czyimś pośrednictwem, nawet gdyby to było pośrednictwo cesarzowej. Znał legendarną surowość przełożonego i był przekonany, że uda mu się zmiękczyć

jego serce tylko wtedy, gdy sam stanie przed nim, żeby błagać o łaskę.

Mimo tak niefortunnego obrotu spraw był tak związany z Umarą, że gdy zastanowił się dobrze nad wszystkim, doszedł do wniosku, że niezbyt martwi go perspektywa porzucenia Chang'anu i powrotu na szlak, choćby ten prowadzący do kraju Bod, jeśli tylko znajdzie się na nim razem z nią.

Bo czyż najgorszą rzeczą nie jest utrata wielkiego szczęścia — budzenia się co rano w ramionach kochanki?

—A niebiańskie dzieciątka? Śpią jak aniołki! — przypomniała sobie zaniepokojona Umara.

—Nie macie czasu, żeby je zabrać. Straże Wielkiego Cenzoratu mogą się tu wedrzeć w każdej chwili! — zagrzmiała Wu Zhao.

—Ale co się z nimi stanie? Lotos i Klejnot nie są niczemu winne! — jęknęła dziewczyna głosem zdławionym ze wzruszenia.

—Musicie zostawić je u mnie. Zajmę się nimi! Na cesarskim dworze nie brakuje opiekunek. Dzieci będą traktowane jak mali książęta! Zaufajcie mi, będę się nimi opiekowała z wielką troskliwością — zapewniła cesarzowa.

—Wasza Wysokość, tak się do nich przywiązałam, że uważam je za własne dzieci! — szepnęła załamana nestorianka, którą ogarnęło przygnębienie na myśl o rozstaniu z Niebiańskimi Bliźniętami.

—Umaro, myślę, że cesarzowa ma rację. Jeśli już musimy uciekać, to nie powinniśmy narażać tych dzieci na najmniejsze niebezpieczeństwo... — wtrącił Pięć Zakazów, zasmucony zaniepokojeniem ukochanej.

—No dobrze, niech będzie! Ale Wasza Wysokość musi dać mi słowo, że zaopiekuje się Niebiańskimi Bliźniętami tak, jakby w ich żyłach płynęła krew Waszej Wysokości! — zwróciła się Umara do Wu Zhao, zatapiając wzrok w oczach cesarzowej.

—Postaram się zająć nimi tak dobrze jak ty! Jutro rano przyjdą po nie niańki — zapewniła cesarzowa, a potem dodała,

coraz bardziej zdenerwowana: — A teraz pospieszcie się! Jeśli znajdą was tu agenci Wielkiego Cenzoratu, nie będę mogła nic dla was zrobić. Mam nadzieję, że to rozumiecie!

W chwili gdy cesarzowa szykowała się do odejścia, Umara stanęła przed nią i zadała pytanie, które paliło jej wargi:

—Wasza Wysokość, dlaczego pozwoliłaś wydać edykt, który zabrania nestorianom swobodnego wyznawania ich religii w cesarstwie Chin, podczas gdy manichejczycy otrzymali takie prawo?

—Nie jest w mojej mocy wstrzymać taki czy inny dekret! — odpowiedziała małżonka Gaozonga.

—Ludzie mówią co innego, Wasza Wysokość. Przypisują wam, pani, władzę, która daje także prawo! — odparła Umara.

—W zeszłym miesiącu Dunhuang został splądrowany przez Turków. Właśnie z powodu nestorianów, z którymi chcieli wyrównać rachunki zawiedzeni wyznawcy Ahura Mazdy! Zniszczono wszystkie buddyjskie klasztory w oazie. Źródłem tych kłopotów jest Kościół nestoriański. Jeśli o mnie chodzi, to nie mam z tym nic wspólnego! — wyjaśniła podenerwowana Wu Zhao, ruszając do drzwi Pawilonu Rozrywek.

—Czy ograbiono też Klasztor Zbawienia i Miłosierdzia? — ośmielił się zapytać zaniepokojony Pięć Zakazów.

—Niestety, tak! Obrabowano nawet słynną grotę z cennymi księgami tego klasztoru! Jest rzeczą normalną, że wielkie Chiny nie wpuszczają na swoje terytorium cudzoziemców, którzy nieodpowiedzialnym zachowaniem wywołują takie zakłócenia porządku publicznego! — rzuciła cesarzowa i zostawiła ich samych.

Trzy dni wcześniej w całym Chang'anie krążyła pogłoska, że cesarzowa Chin zezwoliła na wydanie dwóch dekretów odnoszących się do manicheizmu i nestorianizmu, zachodnich religii mających swe ośrodki na Jedwabnym Szlaku.

Jak to było w zwyczaju, Wielka Kancelaria cesarstwa, której obowiązkiem było redagowanie dekretów, ogłosiła je na afiszach

umocowanych do drewnianych tablic na balkonach wysokiej Wieży Ogłoszeń, aby nikt nie zlekceważył ich istnienia.

Dominująca nad stolicą surowa i okazała budowla została wzniesiona w epoce królestwa Qin, zanim przekształciło się ono w pierwsze cesarstwo chińskie.

Zdyszana i wściekła Umara popędziła do stóp wieży, aby spróbować odczytać teksty, o których cesarzowa nie wspomniała jej ani słowem.

Niestety, rozprawiały się one jak najsurowiej z nestorianami.

Pierwszy zabraniał im pod karą śmierci, z uwagi na wywołane przez ich Kościół naruszenia porządku, przekraczać w przyszłości Wielki Mur i wznosić na terytorium chińskim najmniejsze choćby świątynie.

Drugi zezwalał Kościołowi manichejskiemu na budowę „siedzib" na chińskiej ziemi, pod warunkiem że poprosi on uprzednio administrację chińską o zezwolenie.

Nie wierząc własnym oczom, oburzona tak wielką dyskryminacją, po kilkakrotnym odczytaniu ogłoszeń Umara rzuciła się w ramiona Pięciu Zakazom, lejąc gorące łzy.

—Przyznaj, że to niesprawiedliwe! — szlochała. — Za tym kryje się cynizm, o jaki nie posądzałam władz tego kraju! Kiedy dowie się o tym mój biedny ojciec, on, który poświęcił życie, żeby wyprzedzić Kościół Światłości, zapłacze tak samo jak ja!

—Prawdą jest, że jeżeli chodzi o handel jedwabiem, cesarzowa bardziej potrzebuje manichejczyków niż nestorianów.

—Być może byliśmy naiwni, pokładając nadzieje w tej kobiecie i ofiarowując jej nasze serca, kiedy zaproponowaliśmy jej, że posłużymy za pośredników między nią a manichejczykiem Napełnionym Spokojem...

—O jakich społecznych niepokojach wspomina ten dekret? — zastanawiał się Pięć Zakazów, zaskoczony obrotem wydarzeń.

Teraz, gdy cesarzowa zjawiła się, żeby osobiście udzielić im odpowiedzi, Umarę zaczął dręczyć niepokój o los ojca.

Co stało się z biednym Addaiem Aggaiem?

Zginął czy też uszedł z życiem?

Ale — o czym Pięć Zakazów nie wiedział — tak samo głęboko zasmuciło Umarę splądrowanie schowka z cennymi księgami.

Małe serce z sandałowego drewna, które Umara umieściła w bezpiecznej zdawałoby się kryjówce, aby zabrać je stamtąd w odpowiedniej chwili, było stracone na zawsze.

Aż dotąd nie śmiała powiedzieć Pięciu Zakazom o tym skarbie.

Cóż za tajemniczy powód przeszkodził jej podzielić się z ukochanym mężczyzną tajemnicą małego relikwiarza klasztoru w Peszawarze?

W każdym razie nie była to odpowiednia chwila, aby zrobić to teraz. Powiększyłoby to jeszcze niepokój ukochanego.

Skazana na milczenie, była tak załamana, że Pięć Zakazów musiał jej pomóc w zapakowaniu do podróżnej sakwy rzeczy, które mogły okazać się niezbędne w podróży.

—Miejmy nadzieję, że naszemu manipie nie przydarzyło się nic złego! — powiedział, spoglądając smutno na Umarę.

—To prawda, że musiał zastać w Dunhuangu same zgliszcza! Nie śmiem nawet pomyśleć, jak wygląda teraz nasze biskupstwo... — szepnęła, spoglądając błyszczącymi od łez oczami.

—Pospiesz się, Umaro!

—Chcę uściskać Lotosa i Klejnotkę! — szepnęła.

Dwoje dzieci, śpiących w swojej komnacie, każde we własnym maleńkim łóżeczku, nie poruszyło się nawet, kiedy pochyliła się nad nimi, żeby pogłaskać je delikatnie po główkach.

Tylko Klejnotka uśmiechnęła się leciutko, gdy usta Umary musnęły jej włosy.

Młoda nestorianka zapłakała.

Tak przywiązała się do Niebiańskich Bliźniąt, że rozstanie z nimi było bardzo bolesne.

Co się stanie z tymi biednymi dziećmi, wciąż jeszcze niepotrafiącymi chodzić, gdy zabraknie im jej opieki?

Straszne było pozostawić je własnemu losowi!

Z pewnością cesarzowa Wu Zhao zajmie się ich wychowaniem i utrzymaniem.

Ale czy można było zaufać tej tajemniczej i zawziętej kobiecie o zmiennym usposobieniu, która bez wahania pozwoliła, aby państwo wyjęło spod prawa Kościół, do którego należała Umara, nie uprzedzając jej jednym choćby słowem?

Zasmucona, ze ściśniętym sercem, Umara zamknęła cicho drzwi komnaty i podeszła do Pięciu Zakazów, który zakładał Lapice kaganiec.

— Pójdzie z nami. Bliźnięta nie potrzebują już jej mleka. Założyłem jej kaganiec, bo nie chcę, żeby biedne zwierzę zaczęło szczekać z radości, kiedy się połapie, że opuszczamy pałac, w którym siedzi zamknięte od miesiąca! Zna dobrze drogę do Samye. Jest tam ktoś, kto zdziwi się na jej widok!

Pięć Zakazów miał na myśli lamę Tö Linga, który dał mu sukę żywicielkę, gdy obarczał go opieką nad kilkudniowymi zaledwie dziećmi.

Opuścili w pośpiechu Pawilon Rozrywek, starając się robić jak najmniej hałasu, a potem ruszyli do tylnych drzwi cesarskiego pałacu, używanych tylko przez ogrodników i stajennych.

Ominęli przestronne dziedzińce, które prześcigały się w tajemniczych i poetyckich nazwach, takich jak Jasność Umysłu, Niebiańskie Łaski, Szczera Powaga czy Niezrównani Przodkowie, i rozciągały się za wewnętrznymi podwórcami o kasetonowych, bogato zdobionych sklepieniach, prowadzącymi ku ciemnym korytarzom, przy których z kolei znajdowały się niezliczone izby strażników i służby, siedzącej leniwie na ławeczkach w oczekiwaniu na rozkazy.

Albowiem cesarski pałac nigdy nie świecił pustkami i stale zaludniony był armią eunuchów i szambelanów, na których w obecnych okolicznościach lepiej było się nie natknąć.

Zadaniem wszystkich tych ludzi, na poły szpiegów, na poły sług, z których jeden pilnował drugiego, było trwać w gotowości

i zaspokajać kaprysy władcy, gdyż zarówno życzeniom cesarza, jak i jego małżonki, należało czynić zadość natychmiast.

Mogło chodzić na przykład o przyrządzenie na polecenie ministra albo wysokiego urzędnika jakiegoś specjalnego dania, i kucharz ryzykował głową, jeśli nie potrafił ugotować go w wymaganym czasie i zanieść niezwłocznie cesarskiej parze.

Zdarzały się też polecenia dużo dziwniejsze, jak wyrażone pewnego pięknego dnia przez Gaozonga życzenie, żeby przyprowadzono mu tresowanego śnieżnego lamparta, lub przez Wu Zhao, żeby przynieść jej specjalną jedwabną poduszkę wypełnioną łabędzim puchem, mającą złagodzić bóle głowy.

Na szczęście kuchenne drzwi były jeszcze otwarte, przemknęli więc przez nie na oczach trzech obojętnie spoglądających odźwiernych z amputowanymi stopami, a potem zagłębili się w pobliskie uliczki, gdzie niezwłocznie wmieszali się w tłum.

Z Lapiką u boku, która truchtała już bez kagańca, przeszli dużo łatwiej niż kilka miesięcy temu Nefrytowy Księżyc i Świetlisty Punkt, przez rogatki stolicy Tangów.

Zapadła już noc i mżyło, musieli się więc schronić w pierwszym napotkanym zajeździe.

Tego wieczoru, po raz pierwszy od czasu gdy znaleźli się w środkowych Chinach, nie mogli się kochać.

W sali, która służyła za sypialnię, panował nieopisany odór. Uciążliwe sąsiedztwo przypadkowych ludzi nie zachęcało nawet do tego, żeby się objąć. Poprzestali więc na tym, że skulili się jedno przy drugim, z Lapiką u swoich stóp, i zasnęli.

Nazajutrz bez żalu porzucili zajazd i przyrzekli sobie, że w przyszłości będą się starali spędzać noce w spokojniejszych miejscach.

Jesień zaczerwieniła już liście drzew, obdarzając przyrodę niezrównaną paletą żywych barw, jakie zdolna była wydobyć ta właśnie pora roku, wtrącona niczym cud między lato i zimę.

—Powiedz mi, kochany, jak oceniasz zachowanie Wu Zhao? — zapytała Umara, kiedy maszerowali za stadem owiec, które pasterze pędzili na pastwiska, zieleniejące jeszcze na horyzoncie.

—To z pewnością wyjątkowa kobieta, tak pod względem zalet, jak i wad!

—Bardzo mnie zawiodła! Była tak chłodna, kiedy przyszła nas ostrzec... — szepnęła młoda chrześcijanka.

—Umaro, trudno jest być cesarzową Chin! Zwłaszcza w sytuacji, w jakiej znajduje się Wu Zhao, sama przeciwko całemu dworowi w Chang'anie. Ta kobieta nigdy nie może odwrócić się do nikogo plecami! Mimo wszystko ostrzegła nas na czas. Gdyby nie ona, siedzielibyśmy teraz w lochach Wielkiego Cenzoratu!

—Jak ona poradzi sobie z Niebiańskimi Bliźniętami? Obawiam się, że te niewinne istotki spotka straszny los!

—Zajmie się nimi jak należy. Gdybyśmy mieli je dzisiaj ze sobą, trzeba by było nieść je na rękach... W tamtą stronę było łatwiej, dzięki ogierowi Wprost Przed Siebie!

—Czy do takiej wyrozumiałości nie skłania cię fakt, że ta kobieta wspiera Wielki Wóz? — zapytała Umara smutno.

Pięć Zakazów zobaczył, że oczy córki Addaia Aggaia wypełniają się łzami.

—Umaro, stawiam moją miłość do ciebie na pierwszym miejscu. Gdyby moja religia dyktowała mi, co mam robić, nie byłoby mnie tutaj, na tej drodze, u twego boku! — powiedział.

—Przepraszam cię! To dlatego, że jestem niespokojna! Musiałam porzucić Niebiańskie Bliźnięta, nie wiem, co się stało z moim ojcem... wszystko to sprawia, że tracę zmysły!

—Najdroższa, wewnętrzny głos mówi mi, że biskup Addai Aggai żyje! — wykrzyknął Pięć Zakazów, gotów zrobić wszystko, żeby tylko pocieszyć ukochaną, nie znosił bowiem widoku jej nieszczęśliwej miny.

Przestraszone przez Lapikę owce zbiły się na drodze w ciasne stadko, nie pozwalając maszerować w szybszym tempie.

—Oby mój Jedyny Bóg potwierdził twoje przeczucie, dając mi jakiś znak! Ale Jahwe jest tak wielki i niedostępny! Na próżno proszę go, żeby do mnie przemówił, on pozostaje rozpaczliwie milczący... — szepnęła przygnębiona dziewczyna.

—Gdy tylko mogę, proszę Błogosławionego Buddę, żeby w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomagał też nestoriańskiego biskupa Addaia Aggaia. Tak jak nasza Lapika, wytresowana do zabijania wilków i niedźwiedzi, potrafi pilnować owiec! — powiedział Pięć Zakazów, biorąc Umarę za rękę.

Widok stada przerażonego obecnością psa sprawił w końcu, że młoda kobieta się uśmiechnęła.

— O, mój Pięć Zakazów, kocham cię! Jesteś promieniem słońca! Tworzymy jedną istotę. Czuję, że bez ciebie nie byłabym wiele warta! Różnice między naszymi religiami niewiele znaczą. Liczy się tylko to, że jesteśmy razem, ty i ja!

Pragnąc zakończyć już to pocieszanie, Pięć Zakazów objął czule ukochaną.

—Z każdym mijającym dniem, Umaro, coraz wyraźniej widzę, ile bym stracił, gdybym cię nie spotkał! Prawdopodobnie zostałbym w końcu przełożonym Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa i spędzałbym pół dnia na medytacji, nie dowiedziawszy się, co to jest miłość — powiedział, żeby poprawić jej nastrój.

—Przełożonym największego klasztoru mahajany w Chinach! To nie byłoby takie złe!

Z zadowoleniem stwierdził, że Umarze wraca dobry humor.

—Niewątpliwie, ale lepiej jest, kiedy klucz znajduje otwór zamka, do którego został wykuty! — odparł cicho, obejmując ją.

—Kto jest kluczem, a kto zamkiem, kochany? — zapytała, drżąc z pożądania.

—Czasami kluczem jestem ja, a czasami ty!

Wsunął palce przez wycięcie sukni, żeby dotknąć jej piersi.

— Pięć Zakazów, nie tutaj! Nie na dworze! — syknęła rozradowana. — Ktoś nas zobaczy!

— Kto? Owce? — wykrzyknął młodzieniec, wybuchając śmiechem.

Nic nie mogło stłumić głodu, jaki odczuwali wobec siebie.

Czy związek mężczyzny i kobiety o tak różnych korzeniach, w świecie i w epoce, w których Kościoły ocierały się o siebie, ale nie łączyły nigdy z powodu dzielących je różnic, nie był nadzwyczajnym dowodem miłości?

Jedno i drugie wiedziało, że we dwoje są dużo silniejsi niż w pojedynkę!

Szybki marsz przychodził im z łatwością.

Utrzymując dobre tempo, wkrótce dotarli do południowo--zachodniej części Chin.

Im bardziej oddalali się od umiarkowanego klimatu okolic Chang'anu, tym bardziej przyroda stawała się niegościnna.

Inaczej, niż to sobie zaplanowali, Pięć Zakazów postanowił w oczywistej trosce o bezpieczeństwo uniknąć tym razem Jedwabnego Szlaku i skierować się wprost do Samye drogą południową.

Idąc nią, trzeba było przebić się przez górski masyw Emei Shan, przejść po niepewnych kładkach zawieszonych nad przepaściami, przekroczyć ogromne rzeki, Niebieską i Mekong, których koryta o spienionych nurtach biegły niemal równolegle, oddzielone wysokimi górami.

Po pokonaniu tej podwójnej przeszkody wędrowcy ujrzeli rozległe pasmo wzgórz. Coraz węższe drogi wiły się przez pofalowaną okolicę, która niczym gigantyczne schody pozwalała dotrzeć, jak za sprawą czarów, na płaskowyż tybetański.

Dość powiedzieć, że widok niebosiężnych gór był nagrodą, na którą trzeba było ciężko zapracować!

W istocie, wędrówka do Tybetu południowym szlakiem miała w sobie coś z inicjacji, tak męcząca była wspinaczka.

Trzeba było piąć się do góry, potem schodzić, znowu drapać się na przełęcze, po pokonaniu których droga schodziła jeszcze niżej, aby wystrzelić na jeszcze większą wysokość: oto, co czekało na osłabionych brakiem tlenu wędrowców, tak bardzo

zmęczonych, że często odnosili wrażenie, iż góry oddalają się od nich.

Aby dotrzeć do kraju Bod, trzeba było być ascetą, a w każdym razie znajdować przyjemność w cierpieniu i wyrzeczeniach.

Z tych powodów tą trudną drogą do Samye wędrowali głównie buddyjscy mnisi.

Ludzie ci, niezajmujący się handlem jedwabiem, korzeniami i futrami, przemierzali Tybet, a potem kontynuowali pielgrzymkę do Indii śladami Buddy. Obierali tę drogę, żeby odwiedzić Dach Świata, o którym mówiono, że przypomina nirwanę, ponieważ znajduje się tak blisko niej.

Mimo codziennej wspinaczki dwoje młodych maszerowało w dobrym tempie, a sił dodawał im entuzjazm i miłość.

Drzwi chat najczęściej zamykały się przed nimi, gdyż na widok pary młodych, dobrze ubranych ludzi, którzy nie wyglądali jak Tybetańczycy, a na domiar złego szli w towarzystwie groźnego psa, górale dochodzili do wniosku, że to upiory, przybyłe prosto z piekieł.

Na szczęście zdarzało się, że witano ich z otwartymi ramionami.

Zostali więc zaproszeni do *thabkhang,* izby służącej zarazem za kuchnię i sypialnię, do której przylegały inne izby i maleńka domowa kapliczka, gdzie królował posążek Awalokiteśwary, przed wiszącą na ścianie tanką. Ojciec rodziny poszedł do spiżarni po produkty na świąteczny posiłek: jaja, masło z mleka jaka, mąkę z palonego jęczmienia i kulki wędzonego mięsa.

Potem zaparzono herbatę po tybetańsku, podaną w wysokich okrągłych naczyniach, w których wymieszano ją z masłem jaka i szczyptą soli.

Ojciec rodziny rozprysnął kilka kropli na cztery strony świata, jako symboliczną ofiarę dla wszystkich żywych istot, z którymi bezwzględnie należało podzielić się posiłkiem, i mogło się wreszcie zacząć ucztowanie.

Pięć Zakazów wiedział, że aby posuwać się naprzód, nie poddając się zmęczeniu, trzeba iść powoli, a przede wszystkim

miarowo, gdyż gwałtowne przyspieszenie w połowie stoku wystawiało wędrowca na wielką próbę, zarazem fizyczną i moralną. W miarę jak wraz z rosnącą wysokością spadała temperatura po zachodzie słońca, wyczynem stawało się także spanie pod gołym niebem. Już nie grzało gęste i ciepłe futro Lapiki, do którego się przytulali, obejmując się przy trzaskającym ognisku.

Pośród tych wspaniałych krajobrazów, wyniosłych szczytów i niekończących się lodowców gatunek ludzki był zjawiskiem rzadkim niczym kwiat szarotki. Pokonując wielkie przestrzenie między osadami, nie spotykali żywej duszy, i wobec jednostajności widoków, urozmaiconych jedynie ścieżkami wijącymi się po zboczach, czasem w cieniu, a czasem w słońcu, jeden dzień był podobny do drugiego.

Według powiedzenia, o którego prawdziwości Umara i Pięć Zakazów przekonali się na własnej skórze, aby dotrzeć do Krainy Śniegów, „trzeba było zasłużyć na to dziesięcioma tysiącami dobrych uczynków"!

12

Luoyang, letnia stolica
Tangów, Chiny,* 5 *grudnia
657 roku

Kiedy Wu Zhao podeszła do ogromnej pracowni na świeżym powietrzu, muzyka dłut rzeźbiarzy, spod których wylatywały kamienne odpryski przy każdym precyzyjnym i mocnym uderzeniu w białą skałę ogromnego urwiska Longmen, zamieniła się w ogłuszający stukot.

Dzięki wysiłkowi i precyzji prędko zarysowywała się majestatyczna postać siedzącego Buddy prawie dwudziestometrowej wysokości.

Po ukończeniu gigantyczny posąg miał przedstawiać zasiadającego na kwiecie lotosu jak na tronie Wajroczanę, Kosmicznego Buddę, którego tors miał być przyozdobiony pięcioma siedzącymi buddami.

Cisnący się do stóp imponującego dzieła

wierni natychmiast odczytali symboliczną wymowę ułożenia ogromnych smukłych rąk, z których prawa zastygła w geście *abhaya-mudra,* czyli uspokojenia, lewa zaś w *varada-mudra,* geście ofiarowywania.

Posąg nosił też wszelkie znamiona *mahapurusza,* czyli „Wielkiego Bytu", które według tekstów miały być obecne na ciele

Gautamy od chwili jego przyjścia na świat w Kapilawastu, skąd pochodziła jego rodzina: guz na czaszce *usznisza,* opadający na czoło kosmyk włosów *urna,* a także wydłużone uszy, długie palce i szerokie ramiona.

Umawiając się na spotkanie z cesarzową Wu Zhao na tym ogromnym placu budowy, położonym o dwie godziny marszu na północ od Luoyangu, nad brzegiem rzeki Yi, gdzie tysiące robotników krzątało się od świtu do zachodu słońca, Czystość Pustki miał na uwadze dwa cele.

Po pierwsze, pragnął osobiście pokazać to święte miejsce władczyni, która jeszcze go nie oglądała.

Półtora wieku wcześniej Północna Dynastia Wei, której władcy nie wahali się otwarcie głosić buddyjskiej wiary, postanowiła wykorzystać urwisko, na którym ludzie z epok prehistorycznych ryli już rysunki, i zaczęła zlecać rzeźbienie tysięcy postaci buddów.

Jednak przełożony Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa zaprosił Wu Zhao głównie po to, aby nadzorca rzeźbiarzy, którzy krzątali się wokół olbrzymiego Buddy, mógł zrobić szkice twarzy cesarzowej z przodu i z profilu, i posłużyć się nimi, jako źródłem inspiracji.

Albowiem gigantyczny posąg siedzącego Buddy z Longmen miał mieć twarz cesarzowej.

Ten pomysł wykiełkował w przebiegłym i subtelnym umyśle wielkiego mistrza *dhyany* już kilka miesięcy temu.

Celem tego kroku było zapewnienie przychylności Wu Zhao dla mahajany, a jednocześnie miało to być podziękowanie za gest, jaki uczyniła, powierzając Klasztorowi Czystości Pustki Niebiańskie Bliźnięta.

Czyż nadanie rysów jej twarzy ogromnemu Wajroczanie, zwanemu też Buddą Chwały, przed którym z pewnością będą padać na twarz setki tysięcy pielgrzymów, nie było najlepszym sposobem na to, aby ostatecznie zapewnić sobie życzliwość kobiety popierającej buddyzm tak żarliwie, że marzyła o nadaniu mu statusu oficjalnej religii Państwa Środka?

— Wasza Wysokość, dzięki temu przyszłe pokolenia będą mogły poznać twarz tej, której krokami kierowała zawsze wiara w Szlachetną Ośmioraką Ścieżkę! — zakończył pom patycznie przełożony Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa z Luoyangu, gdy przybył do Chang'anu, żeby oficjalnie poprosić cesarzową o użyczenie swoich rysów gi gantycznemu pomnikowi.

Mile połechtana w swej próżności cesarzowa natychmiast zgodziła się na propozycję Czystości Pustki.

Dlatego nie zwlekała z odpowiedzią na zaproszenie, i jej przybycie na plac budowy kilka tygodni później wywołało nieopisany zamęt z powodu owacji, jaką zgotowali jej robotnicy.

Wu Zhao była szczęśliwa i dumna. Przynajmniej ci ludzie szanowali ją i okazywali jej życzliwość.

Mimo wszystko, pragnąc zachować powściągliwość, zareagowała spokojnie na prośbę gospodarza, aby pozwoliła zbliżyć się nadzorcy rzeźbiarzy, który podbiegł, zaopatrzony w szkicownik.

— Niech podejdzie! Będę się starała stać nieruchomo! — obiecała skromnie, ciesząc się w duchu z figla, jakiego przy współudziale Czystości Pustki płatała właśnie swoim nieprzejednanym wrogom. Wyobrażała sobie ich wściekłość, gdy odkryją, że największy posąg Buddy, jaki kiedykolwiek wyrzeźbiono, ma jej rysy twarzy.

Gdy jest się cesarzową Chin, to nawet na przyjaznym terenie należy zachowywać się z godnością, zwłaszcza tu, na placu budowy, na którym wszyscy ci krzątający się gorliwie mężczyźni i kobiety patrzyli tylko na nią, uważając ją za twardą jak żelazo, niemal boską istotę.

Ujęta tą oznaką szacunku i zaufania ze strony Wielkiego Wozu Wu Zhao przyglądała się ogromnej skalnej masie, z której wyłaniały się kształty posągu. Wkrótce miano przystąpić do gładzenia skrobakami fałd szaty, w których kryło się pięciu dodatkowych buddów, symbolizujących kontynenty. Robota miała być wykonana jak najdokładniej, aby szerokie załamania tkaniny wyglądały piękniej niż w rzeczywistości.

Jedynie głowa olbrzymiego Wajroczany była wciąż jeszcze zarysowana tylko z grubsza.

Kobieta, która miała dać posągowi twarz, mówiła sobie w duchu, że chętnie przybyłaby tu za kilka miesięcy, żeby sprawdzić, czy rzeźbiarz, który szkicował właśnie jej portret, dobrze wywiązał się z zadania.

—Co to za postać, która znajduje się na prawo od Buddy Wajroczany? — zapytała Wu Zhao przełożonego Czystość Pustki.

—To Ananda. Kuzyn i ukochany uczeń Błogosławionego. Ten, który towarzyszył mu wszędzie i był przy nim, gdy Błogosławiony osiągnął nirwanę. Pomyślałem, że jego miejsce jest właśnie tu.

—Mistrzu Czystość Pustki, jego twarz przypomina waszą! — zauważyła cesarzowa z rozbawieniem.

—Wasza Wysokość jest wyjątkowo spostrzegawcza... — bąknął mnich.

Wu Zhao się nie pomyliła.

Pragnąc zaznaczyć swój wpływ na buddyzm Wielkiego Wozu, Czystość Pustki dał rzeźbiarzowi do zrozumienia, żeby inspirował się jego twarzą przy modelowaniu oblicza kuzyna i ucznia Błogosławionego.

—Co zamierzacie wstawić do tamtych nisz na górze? — zainteresowała się cesarzowa, wskazując dziesięć zagłębień wydrążonych w skale.

—Umieścimy tam najpiękniejsze *jataki* Błogosławionego. Zostaną przedzielone Czterema Znakami — odparł mistrz *dhyany*.

Wu Zhao doskonale znała *jataki,* owe niezliczone budujące opowieści o wcześniejszych wcieleniach Buddy, w których pojawiał się on pod najmniej spodziewanymi postaciami, od miłosiernego jelenia, który wyciągnął z ognia podróżnych zabłąkanych w lesie, aż po uczynnego jarząbka, a w jednej z nich był nawet królem tak szczodrym, że zgodził się oddać swoje ciało na żer sępowi, aby uratować gołąbkę...

Co do Czterech Znaków, chodziło tu o przynoszące szczęście znaki chińskiego pisma, Fu, Lu, Xi i Shou, które symbolizowały Błogosławieństwo Nieba, Bogactwo, Szczęście i Długowieczność, a których pochodzenie sięgało epoki archaicznej i znacznie wyprzedzało wprowadzenie buddyzmu. Ich umieszczenie świadczyło o trosce Wielkiego Wozu, aby nie odcinać całkowicie ludności od jej konfucjańskich korzeni, ale przeciwnie, wpisać nowo przybyłą religię w chińskie tradycje odziedziczone po przodkach.

—W istocie, każdy wierny, który otrzymał minimum wykształcenia, rozpozna te Cztery Znaki. Umieszczenie ich tam to świetny pomysł! Jeśli chodzi *oj ataki,* będziecie musieli wybrać najbardziej urocze i najcudowniejsze, te poruszające dusze i umysły. Widziałam ludzi, którzy nawrócili się na buddyzm po wysłuchaniu *jataki!* — powiedziała z uśmiechem cesarzowa.

—Wasza Wysokość, przy okazji ponownych odwiedzin tego placu budowy, który należy i do was, przekażecie nam listę poprzednich wcieleń Błogosławionego, które lubicie najbardziej — odrzekł uroczyście Czystość Pustki, po czym zaproponował Wu Zhao, żeby wspięła się na najwyższe piętro rusztowania, które otaczało gigantycznego Buddę.

—Wasza Wysokość, rozciąga się stamtąd wspaniały widok na całe Longmen, które wiele wam zawdzięcza. Bez waszej pomocy te olbrzymie posągi nigdy by tu nie stanęły! — dodał.

Jego słowa odnosiły się do finansowego wsparcia udzielonego mu dzięki interwencji cesarzowej przez cesarską administrację do spraw wyznań, która nie bez oporu zgodziła się zasilić wznoszenie Dziesięciu Tysięcy Buddów w Longmen znaczną częścią podatku pobieranego z tytułu budowy pagód.

Znalazłszy się na górze, na wąskiej kładce, Wu Zhao poczuła zawrót głowy, tak wielkie wrażenie wywarł na niej widok mrowiących się w dole ludzi. Wydało jej się nawet, że poruszają się kamienne postacie na urwiskach z Dziesięcioma Tysiącami Buddów, na których rzeźby mieszały się z robotnikami.

Przy posągu Wajroczany pracowała dobra setka rzeźbiarzy. Głośne okrzyki „Ho! Ciągnąć! W górę!" nadzorców kierujących przenoszeniem jednego za drugim skalnych bloków z otwartego w urwisku kamieniołomu aż do stóp gigantycznego posągu, mieszały się ze stukotem dłut i młotków, wściekle uderzających o kamień.

Tu i tam girlandy kwiatów i owoców na przenośnych ołtarzach świadczyły o czci, jaką robotnicy oddawali temu niewiarygodnemu panteonowi boskich postaci, wyłaniających się stopniowo ze skalnej ściany.

—Piękna budowa! Wspaniałe urwisko Dziesięciu Tysięcy Buddów godne jest swej nazwy! Przetrwa wieki — szepnęła Wu Zhao, schodząc z rusztowania. Za nic w świecie nie chciała pokazać Czystości Pustki, że kręci jej się w głowie.

—Wypiłabym chętnie łyk herbaty! —powiedziała, znalazłszy się na dole.

—Wasza Wysokość, proponuję, żebyśmy usiedli w tamtym pawilonie, gdzie podadzą wam wszystko, czego sobie zażyczycie! — odrzekł przełożony klasztoru z Luoyangu, wskazując elegancki bambusowy domek, wzniesiony na brzegu rzeki Yi.

Czekał tam na nich Niemowa.

Sługa, dla którego ciało cesarzowej nie miało już żadnych tajemnic, miał jak zwykle obojętną minę.

Kto mógłby podejrzewać, że zostali kochankami?

Gdy cesarzowa usiadła, służący przyniósł czarki z seledynowej porcelany.

Postawił na brązowym trójnogu wodę do zagotowania. Poczekał, aż bąbelki osiągną wymiar, jak mówiono, „oczu langusty", po czym wlał ją do imbryka, do którego wsypał garść liści herbacianych trzech różnych gatunków, „Czubki włosów z Gór Żółtych", „Wiosenny ślimak", i „Smocza studnia", a potem dodał skórki pomarańczy, liście mięty, a także maleńki kawałeczek daktyla i łuskę cebuli.

Następnie ukląkł ceremonialnie przed Wu Zhao, żeby wymieszać te składniki maleńką miotełką.

Buddyści, którzy bez wahania przejmowali najbardziej tradycyjne elementy chińskiej cywilizacji, nazywali herbatę „rośliną przebudzenia", na pamiątkę hinduskiego mnicha Bodhidharmy, jednego z założycieli szkoły Wielkiego Wozu, który, jak mówiono, aby ukarać się za to, że uległ pokusie snu w trakcie medytacji, obciął sobie powieki i zakopał je w ziemi, gdzie wypuściły korzenie, i w ten sposób narodził się pierwszy krzew herbaciany...

Wu Zhao wypiła łyk, zamykając przy tym oczy.

Lubiła to ustępujące nagle parzenie w gardle, jakie odczuwała, pijąc gorącą herbatę.

—Jak zachowują się Niebiańskie Bliźnięta po dwóch miesiącach przebywania pod waszą opieką? — zapytała przełożonego Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa.

—Jak najlepiej, Wasza Wysokość. Zaczynają mówić. Klejnotka zaczyna składać zdania. Dojrzeje szybciej niż brat! Mniszka zajmująca się nimi robi to gorliwie i z miłością. Ponieważ wiedziałem, że o nie zapytacie, pozwólcie, że je wam pokażę! — odparł i dał znak jakiemuś mnichowi.

Po chwili opatulone w ubranka z moltonu Niebiańskie Bliźnięta ukazały się pod bambusowym zadaszeniem na rękach mniszki, która niosła je ostrożnie niczym relikwie.

—Dzień dobry pani! Ładna! Ładna! — zaszczebiotała dziewczynka na widok cesarzowej.

—One naprawdę są coraz bardziej zachwycające! Widzę, że się o nie troszczycie! — wykrzyknęła Wu Zhao, uśmiechając się szeroko do chłopczyka i dziewczynki. Dzieci bez śladu onieśmielenia wyciągały do niej rączki, wydając radosne okrzyki.

Cesarzowa Chin wzięła Klejnot na kolana i jej wargi musnęły czoło dziewczynki, która klasnęła w dłonie i przytuliła się do jej piersi. Jej buzia była śliczna, tak po stronie normalnej, jak i owłosionej!

— Nie usiedzą na miejscu, biegają po salach modlitewnych i korytarzach klasztoru! Cała wspólnota zachwyca się Niebiań skimi Bliźniętami — powiedziała mniszka.

—Jeżeli ich obecność któregoś dnia stanie się dla was kłopotliwa, nie wahajcie się powiedzieć mi o tym.

—One są radością całej wspólnoty! — zapewniła mniszka.

—Klasztor czuje się zaszczycony, że powierzyliście mu opiekę nad tymi dziećmi. Jestem pewny, że wyciągnie z tego ogromne korzyści! — dodał Czystość Pustki.

Jeśli Wu Zhao chciała usłyszeć od mistrza *dhyany* zapewnienie, że miała dobre przeczucie, proponując mu zaraz po ucieczce Umary i Pięciu Zakazów do Tybetu wzięcie w opiekę tych dwojga dzieci, nie musiała go o to prosić.

— Wasza Wysokość, odkąd wierni i pielgrzymi dowiedzieli się, że klasztor gości Niebiańskie Bliźnięta, każdego dnia przychodzą setkami składać ofiary, także w brzęczącej monecie, przed pawilonem, w którym kazałem je umieścić. Większość pragnie dotknąć sukienki małej Klejnotki, w której widzą niedokończoną reinkarnację! Wkrótce ich obecność przyniesie nam dochody równe tym, jakie mamy z pielgrzymki! — rzekł z zadowoleniem mistrz *dhyany*.

Cesarzowa słusznie zatem przewidywała, że dzieci z Tybetu przyciągną licznych pielgrzymów. W ten chytry sposób zrekompensowała niemożność dostarczenia Czystości Pustki obiecanego jedwabiu na chorągwie.

— Nie pomyliłam się zbytnio, kiedy zaproponowałam wam przygarnięcie tych bliźniąt! Przypomnijcie sobie, jak musiałam nalegać... — rzuciła, żeby przygotować teren, na który zamierzała poprowadzić teraz Czystość Pustki.

Aby zmusić go do przejścia do defensywy, wspomniała o wahaniu, jakie okazał nieufny z natury przełożony, który w wyglądzie małej dziewczynki widział jedynie wrodzoną wadę, gdy Wu Zhao zjawiła się u niego, żeby zasugerować wzięcie pod opiekę bliźniąt, które nazywała niebiańskimi.

Zareagował wówczas milczeniem i był tak bardzo zakłopotany, że zmuszona była napomknąć, iż jego odmowa postawi pod znakiem zapytania wsparcie, jakiego udzielała jego poczynaniom.

Teraz jednak przełożony chińskiego klasztoru mahajany dysponował dzięki niej nadzwyczajnym atutem, jakim były te dwie małe, żywe relikwie.

Była więc pewna swego i oceniła, że nadszedł odpowiedni moment, aby ponownie omówić z przełożonym sprawę Pięciu Zakazów.

Nie zamierzała zostawiać własnemu losowi młodego mnicha, któremu obiecała, że zrobi, co w jej mocy, aby wyjednać przebaczenie u Czystości Pustki. Chciała w ten sposób naprawić niezręczność, jaką popełniła wobec Umary tuż przed jej ucieczką, związaną z ogłoszeniem dekretu wyjmującego spod prawa nestorianów. Wyrzucała sobie, że jej niedelikatność zepsuła pożegnanie. Bała się jednak agentów Wielkiego Cenzoratu, którzy mogli odkryć, że gościła Umarę i Pięć Zakazów potajemnie.

Nie zdążyła wyjaśnić im, że nie przyczyniła się w żaden sposób do wydania rzeczonych dekretów, i dowiedziała się o ich ogłoszeniu w tym samym czasie co oni. Jeśli potrzebne były dowody na istnienie podziemnej potęgi wrogów Wu Zhao, to ogłoszenie dekretów było tego świadectwem. Kiedy wypytywała o nie Gaozonga, jego zaskoczenie nie było udawane. Dekrety były dziełem cesarskiej biurokracji, która działała czasami bez oficjalnego wsparcia politycznych autorytetów, jakby na potwierdzenie powiedzenia, że wszystko, co nie jest wyraźnie zakazane, jest jak najbardziej dozwolone...

Cesarzowa dobrze życzyła Umarze i Pięciu Zakazom.

Zazdrościła im miłości, jaką się darzyli.

Jak ona, walczyli o to, by żyć tak, jak chcą. Nie posługiwali się jednak tą samą bronią i w przeciwieństwie do niej nie musieli zabijać.

Cesarzowa Chin miała świadomość, że Umara zawzięcie dąży do szczęścia, i chętnie zamieniłaby wspaniałe cesarskie stroje na skromne szaty nestoriańskiej chrześcijanki.

Wiedziała z doświadczenia, że szczęście i władza, miłość i bogactwo rzadko chodzą parami i że w większości przypad-

ków, jeśli chce się mieć udane życie, należy stłumić w sobie żądzę władzy.

Mała Umara stała się wzorem dla potężnej Wu Zhao, która postanowiła dołożyć starań, aby Pięć Zakazów uzyskał przebaczenie swego przełożonego.

— Wasza Wysokość, dobrzeście zrobili, nalegając. Niebiańskie Bliźnięta będą bardzo pożyteczne dla klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa — powiedział skromnie stary mnich, odnosząc się do uwagi cesarzowej.

Chwila była odpowiednia, aby poruszyć drażliwą kwestię.

— Mistrzu Czystość Pustki, chciałam zwierzyć się wam z czegoś bardzo ważnego! — zaczęła cicho Wu Zhao, dając znak, żeby poszli na brzeg rzeki, z dala od niedyskretnych uszu.

Przełożony mahajany spojrzał na nią zdziwiony. Nie spodziewał się takiego zachowania po małżonce Gaozonga.

—Te święte dzieci przywiózł z Samye Pięć Zakazów, któremu wręczono je w koszyku, nie mówiąc, co się w nim znajduje! Ten młodzieniec dał dowód ogromnej odwagi i wielkiego poświęcenia, przywożąc je aż tutaj. Ktoś inny nie zdołałby doprowadzić do szczęśliwego końca tak niebezpiecznej i delikatnej misji! Czy nie zasłużył w ten sposób na wasze przebaczenie? — spytała cesarzowa wielkiego mistrza mahajany, zatapiając spojrzenie w jego oczach.

—Więc Pięć Zakazów wrócił do Chin? — wyjąkał zdziwiony.

—Przez kilka dni gościłam go nawet w Chang'anie, razem z Niebiańskimi Bliźniętami!

—Jeśli tak to wygląda, to trzeba mu powiedzieć, żeby złożył mi wizytę. Mam z nim do pomówienia...

Jak wszyscy ludzie nieznoszący przymuszania ich do czegokolwiek, Czystość Pustki nie potrzebował wiele czasu, aby odzyskać pewność siebie.

— Czy bylibyście gotowi mu przebaczyć? — zapytała Wu Zhao, mając świadomość, że jej rozmówca nie należy do tych, którzy łatwo opuszczają gardę.

Władczyni przyglądała się dużemu karpiowi, który wyskoczył z wody, zostawiając za sobą welon tęczowych kropelek.

Czyż nie była to dobra wróżba, zachęcająca do wyjawienia Czystości Pustki, dokąd udali się uciekinierzy?

Z powodu wielkich płetw w karpiu, czyli *liyu,* widziano okrytego zbroją wojownika, zdolnego przeciwstawić się Wielkiemu Smokowi, drzemiącemu w łożysku Żółtej Rzeki, a ogon tej dostojnej ryby uważano na dworze Tangów za jedną z ośmiu naj wykwintniej szych potraw, obok języka kanarka, rybiego mleczu, małpich warg, niedźwiedzich łap, wolego szpiku, wielbłądziego garbu i jeleniego ogona.

—Do kraju Bod. Pięć Zakazów uznał, że klasztor, do którego go wysłaliście, jest miejscem wystarczająco niedostępnym, by posłużyć za schronienie — wyjaśniła cesarzowa.

—A więc ta Umara i mój Pięć Zakazów wyruszyli do Samye! Prawda, że niełatwo odnaleźć to miejsce... — mruknął mnich.

Wu Zhao wiele by dała, żeby poznać powody jego obojętności. Jeszcze przed chwilą wyglądał na zdenerwowanego, kiedy mówiła mu o jego dawnym pomocniku.

Ale w jego spojrzeniu, z którego emanował jedynie spokój, nie można było niczego wyczytać.

—Zgodzicie się przyjąć go, kiedy wróci z Samye?

—Drzwi mojej izby nigdy nie są zamknięte! Niech przyjdzie, i sobie porozmawiamy! Duchowy mistrz powinien prowadzić dialog ze swymi uczniami bez pośredników! — odpowiedział łagodnie Czystość Pustki.

Najwyraźniej mistrz *dhyany* nie chciał zobowiązywać się do niczego w tak ważnej sprawie, gdyż wiązała się ona z władzą, jaką każdy przełożony klasztoru Wielkiego Wozu miał nad mnichami.

Nieco zawiedziona Wu Zhao stwierdziła, że teraz nic więcej nie wskóra.

Czystość Pustki zabierał się do powrotu na plac budowy na urwisku Longmen, gdy cesarzowa postawiła mu ostatnie pytanie:

—Mistrzu Czystość Pustki, wiecie o istnieniu tego ogromnego głazu, który buddyjscy mnisi umieścili przed laty w korycie rzeki Luoe? Powiadają, że na obu jego bokach wyryte są tajemne przepowiednie!
—Rzeka Luoe wpada do tej płynącej powyżej Luoyangu. W miejscu gdzie któryś z moich dalekich poprzedników rzucił ten święty głaz, jej koryto jest tak zamulone, że niestety nie widziałem kamienia na własne oczy, ale nie wątpię ani przez chwilę, że się tam znajduje! To jest nawet pierwsza tajemnica, jaką każdy przełożony Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa przejmuje od swojego poprzednika! Ten głaz to rodzaj niewidzialnego talizmanu, który przechodzi z jednego pokolenia mnichów na drugie i pozwala im upewnić się, że nowy przełożony klasztoru nie jest uzurpatorem. Ale dlaczego Wasza Wysokość o to pyta?
—Chciałam mieć pewność, że rzeźbiony głaz nie jest tylko legendą.
—Znajduje się pod powierzchnią wody od niepamiętnych czasów.
—A co mówią napisy, które na nim wyryto?
—O ile nie można mieć żadnych wątpliwości co do istnienia samego głazu, to muszę stwierdzić, że ta kwestia jest trochę niejasna.
—Jak mam to rozumieć?
—Jedni utrzymują, że te tajemnicze napisy odnoszą się do przepowiedni związanych z Buddą, inni — że chodzi o przyszłe wydarzenia, dotyczące cesarstwa chińskiego. Prawdę mówiąc, należałoby wysłać nurków, żeby wyciągnęli głaz z wody. To jedyny sposób na wyjaśnienie zagadki! — odparł Czystość Pustki, jak zwykle nieprzenikniony i powściągliwy.
—Rozumiem... rozumiem... To interesujące! — mruknęła zamyślona Wu Zhao.
—Wasza Wysokość, czy wolno mi zapytać, co skłania was do interesowania się słowami, jakie wyryto na głazie z rzeki Luoe? — zapytał przełożony z Luoyangu.

— Och! Nic konkretnego! Mam tylko pewne domysły na ten temat! — odparła wymijająco Wu Zhao.

Zarówno cesarzowa Chin, jak i mistrz Wielkiego Wozu, należeli do osób, których myśli niełatwo było rozszyfrować, nawet jeśli zabierał się do tego ktoś, kto dorównywał im intuicją...

Cesarzowa rzuciła ostatnie pytanie:

—Mistrzu Czystość Pustki, czy Błogosławiony Budda mógłby się znowu odrodzić?

—Z całą pewnością nie! Gautama Budda osiągnął nirwanę i dzięki temu ostatecznie wyszedł z cyklu narodzin i śmierci. Błogosławiony przebywa poza światem, dlatego nigdy nie będzie mógł postawić na nim stopy.

—A czy w imię miłosierdzia dla wielkiego grzesznika doceniłby zdolność tegoż do rozpowszechniania jego nauki, mimo iż grzesznik naruszył jego święte zasady?

—O jakim grzeszniku Wasza Wysokość mówi? — spytał zaskoczony przełożony z Luoyangu.

Wu Zhao zatopiła wzrok w rzece i pływających w niej karpiach.

Jej zachowanie wydało się Czystości Pustki niezmiernie dziwne.

Do jakiej żyjącej w grzechu osoby mogły odnosić się słowa małżonki Gaozonga?

Jeśli miała na myśli Pięć Zakazów, to uważał, że postawił sprawę jasno: nie może być mowy o przebaczeniu z góry, choćby nawet na prośbę władczyni.

Powtórzył więc pytanie.

— Och! Zapytałam w związku z pogłoską krążącą w połu dniowych Chinach. Dowiedziałam się o niej dzięki siatce moich szpiegów i informatorów i bardzo mnie ona zaintrygowała. Mówi o dziwnym osobniku, który podróżuje z miasta do miasta na grzbiecie białego słonia! Człowiek ten jest ponoć obdarzony nadzwyczajną mocą. Jedni twierdzą, że może być bodhisattwą, inni — że to Budda Gautama we własnej osobie! Wszędzie

gdzie się zjawia, zbiegają się wierni. Powiadają nawet, że potrafi leczyć, dotykając głowy chorego...

—W żadnym razie nie może chodzić o Buddę Gautamę! Nie wolno wierzyć podobnym plotkom, Wasza Wysokość! Ci, którzy je rozpowszechniają, to ignoranci albo kłamcy! — oświadczył surowo wielki mistrz *dhyany,* któremu spieszno było iść do rzeźbiarskich mistrzów, żeby przekazać im instrukcje.

—Najbardziej dziwi mnie ten biały słoń. Mówią, że przypomina śnieżną górę! Czy bodhisattwa Puxian nie używał jako wierzchowca nieskalanego słonia? — spytała cesarzowa.

—Biały słoń Puxiana Mądrego posiada sześć kłów, a jego baldachim ozdobiony jest płonącymi perłami. A zresztą stąpa tylko po kwiatach lotosu. Byłbym zdziwiony, Wasza Wysokość, gdyby okazało się nim wspomniane przez was zwierzę.

—Według pogłosek, słoń, którego mam na myśli, jest biały jak śnieg góry Emei!

—Kolor nie ma znaczenia! Jeden z moich indyjskich krewnych ma świętego słonia o jasnej skórze. W hinajanistycznych klasztorach północnych Indii zwierzęta te są przyuczane do noszenia relikwii. Nawet jeśli wyrazy „słoń" i „wróżba Wielkiego Pokoju" wymawia się tak samo, zapewniam was z żalem, Wasza Wysokość, że jesteście na fałszywym tropie! Biały słoń, o którym mówicie, nie może być słoniem Puxiana!

—Rozumiem! A gdybym wam powiedziała, że ten osobnik dosiada lwa, a przy tym stąpa po lotosowym kobiercu, czy bylibyście skłonni dojrzeć w nim reinkarnację Mandżuśriego, ucznia Buddy, który ma za zadanie przepędzać niewiedzę? — zapytała drwiąco.

—Wasza Wysokość, są to sprawy, które nie powinny być, jak sądzę, przedmiotem żartów! Mam wielką nadzieję, że pewnego dnia Mandżuśri Wenshu, który ma lwa za wierzchowca, wysłucha waszych modłów! — odparł przełożony Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, w którego słowach można było wyczuć przyganę.

— Och! Nic konkretnego! Mam tylko pewne domysły na ten temat! — odparła wymijająco Wu Zhao.

Zarówno cesarzowa Chin, jak i mistrz Wielkiego Wozu, należeli do osób, których myśli niełatwo było rozszyfrować, nawet jeśli zabierał się do tego ktoś, kto dorównywał im intuicją...

Cesarzowa rzuciła ostatnie pytanie:

—Mistrzu Czystość Pustki, czy Błogosławiony Budda mógłby się znowu odrodzić?

—Z całą pewnością nie! Gautama Budda osiągnął nirwanę i dzięki temu ostatecznie wyszedł z cyklu narodzin i śmierci. Błogosławiony przebywa poza światem, dlatego nigdy nie będzie mógł postawić na nim stopy.

—A czy w imię miłosierdzia dla wielkiego grzesznika doceniłby zdolność tegoż do rozpowszechniania jego nauki, mimo iż grzesznik naruszył jego święte zasady?

—O jakim grzeszniku Wasza Wysokość mówi? — spytał zaskoczony przełożony z Luoyangu.

Wu Zhao zatopiła wzrok w rzece i pływających w niej karpiach.

Jej zachowanie wydało się Czystości Pustki niezmiernie dziwne.

Do jakiej żyjącej w grzechu osoby mogły odnosić się słowa małżonki Gaozonga?

Jeśli miała na myśli Pięć Zakazów, to uważał, że postawił sprawę jasno: nie może być mowy o przebaczeniu z góry, choćby nawet na prośbę władczyni.

Powtórzył więc pytanie.

— Och! Zapytałam w związku z pogłoską krążącą w pału dniowych Chinach. Dowiedziałam się o niej dzięki siatce moich szpiegów i informatorów i bardzo mnie ona zaintrygowała. Mówi o dziwnym osobniku, który podróżuje z miasta do miasta na grzbiecie białego słonia! Człowiek ten jest ponoć obdarzony nadzwyczajną mocą. Jedni twierdzą, że może być bodhisattwą, inni — że to Budda Gautama we własnej osobie! Wszędzie

gdzie się zjawia, zbiegają się wierni. Powiadają nawet, że potrafi leczyć, dotykając głowy chorego...

—W żadnym razie nie może chodzić o Buddę Gautamę! Nie wolno wierzyć podobnym plotkom, Wasza Wysokość! Ci, którzy je rozpowszechniają, to ignoranci albo kłamcy! — oświadczył surowo wielki mistrz *dhyany,* któremu spieszno było iść do rzeźbiarskich mistrzów, żeby przekazać im instrukcje.

—Najbardziej dziwi mnie ten biały słoń. Mówią, że przypomina śnieżną górę! Czy bodhisattwa Puxian nie używał jako wierzchowca nieskalanego słonia? — spytała cesarzowa.

—Biały słoń Puxiana Mądrego posiada sześć kłów, a jego baldachim ozdobiony jest płonącymi perłami. A zresztą stąpa tylko po kwiatach lotosu. Byłbym zdziwiony, Wasza Wysokość, gdyby okazało się nim wspomniane przez was zwierzę.

—Według pogłosek, słoń, którego mam na myśli, jest biały jak śnieg góry Emei!

—Kolor nie ma znaczenia! Jeden z moich indyjskich krewnych ma świętego słonia o jasnej skórze. W hinajanistycznych klasztorach północnych Indii zwierzęta te są przyuczane do noszenia relikwii. Nawet jeśli wyrazy „słoń" i „wróżba Wielkiego Pokoju" wymawia się tak samo, zapewniam was z żalem, Wasza Wysokość, że jesteście na fałszywym tropie! Biały słoń, o którym mówicie, nie może być słoniem Puxiana!

—Rozumiem! A gdybym wam powiedziała, że ten osobnik dosiada lwa, a przy tym stąpa po lotosowym kobiercu, czy bylibyście skłonni dojrzeć w nim reinkarnację Mandżuśriego, ucznia Buddy, który ma za zadanie przepędzać niewiedzę? — zapytała drwiąco.

—Wasza Wysokość, są to sprawy, które nie powinny być, jak sądzę, przedmiotem żartów! Mam wielką nadzieję, że pewnego dnia Mandżuśri Wenshu, który ma lwa za wierzchowca, wysłucha waszych modłów! — odparł przełożony Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa, w którego słowach można było wyczuć przyganę.

Przełożony najważniejszego klasztoru Wielkiego Wozu zawsze potępiał dworowanie z religii. Niejeden z jego nowicjuszy odpokutowałby za takie zachowanie całymi miesiącami przebywania w pustelni.

Ale Wu Zhao, zaintrygowana pogłoską, która powoli stawała się legendą, nie przejmowała się tym. Chciała wiedzieć, kto jest tym zadziwiającym człowiekiem.

—Czy nie mógłby to być Amitabha, Budda Światłości?

—Wasza Wysokość, ten osobnik nie może być Amitabha! Budda Nieskończonej Światłości włada Rajem Zachodnim, Ziemią Doskonałego Szczęścia, która położona jest w nieznanej odległości od naszego świata! Południe Chin znajduje się bardzo daleko od niego — odparł Czystość Pustki, wnosząc oczy do nieba.

Ton mistrza rozdrażnił Wu Zhao. Bąknęła więc coś na pożegnanie i pospieszyła do lektyki.

Czystość Pustki, świadom, że być może potraktował cesarzową trochę zbyt ostro, był tym zmartwiony.

Jak każdy doświadczony człowiek z kręgów władzy wiedział, że nie należy upokarzać potężnych osób, bo prędzej czy później odpłacą pięknym za nadobne.

Byłoby straszne, gdyby konsekwencje jego zachowania zaszkodziły Wielkiemu Wozowi.

Czystość Pustki uznał, że powinien czym prędzej sprawić, by cesarzowa nie odjechała zasmucona.

Podbiegł więc do zakratowanego okienka lektyki z malowanego drewna, bogato rzeźbionej w motywy liści i ptaków, którą chwilę potem sześciu tragarzy dźwignęło na ramiona.

—Wasza Wysokość! Jeśli dobrze się zastanowić, to... no cóż, jeśli ten osobnik na białym słoniu leczy chorych, znaczy to, że jest lekarzem! Wezwijcie go na swój dwór! Nigdy nie wiadomo... — podsunął, żeby naprawić popełnioną niezręczność.

—Myślę, że wiem, co robić, i nie omieszkam powiadamiać was o wszystkim na bieżąco! — odparła urażonym tonem Wu Zhao.

—Niech Błogosławiony zaleje was słodkim i boskim światłem! Wasza Wysokość, wspiera was cały Wielki Wóz! — wykrzyknął Czystość Pustki, pochylając się w stronę lektyki.

—Nie wątpię! — westchnęła cesarzowa.

Wu Zhao nie poleciła jednak tragarzom niosącym lektykę, żeby zanieśli ją do cesarskiego pałacu w Luoyangu, gdzie przebywała od kilku dni, ale kazała im udać się na brzeg rzeki Luoe, dokładnie w miejsce, gdzie według opowiadań wrzucono niegdyś głaz z wyrytymi przepowiedniami.

Po obu stronach rzeki rosły wierzby płaczące, nazywane „drzewami miłości". Ich długie gałęzie zanurzały się w wodzie, niczym włosy kogoś szykującego się do kąpieli. Koryto rzeki rozszerzało się w tym miejscu, tworząc rodzaj małego jeziora, pośrodku którego widać było potężny wir, jakby woda uciekała do podziemnego tunelu.

To tu, pod grubą warstwą błota zabarwiającego rzekę na kolor zielonego nefiytu, powinien spoczywać święty głaz z tajemniczymi napisami.

Cesarzowa wiedziała, jakie korzyści może wyciągnąć z tego prastarego tekstu.

Miała w głowie plan, który pozwalał sprytnie wykorzystać kamień leżący tu od wieków.

„Woda, która kapie długo, kropla po kropli, w końcu przebija kamień", powiada *Księga Pieśni,* zbiór dawnej poezji, liczący kilka tysięcy lat.

Dość było postanowić, aby ten głaz z rzeki Luoe stał się jej własnością.

Przyczajony w błotnistej głębinie czekał, aż Wu Zhao wyda rozkaz, żeby wydobyć go z wody.

Ten głaz stanie się jej sprzymierzeńcem. Dawno temu, przybywając na dwór w Chang'anie, odkryła nie bez zdziwienia, jakim szacunkiem darzyli kamienie ludzie wykształceni i artyści.

Podziurawione i zwietrzałe od wiatru i wody, dzięki czemu wydawały życiodajne tchnienia *qi,* „kamienie-krajobrazy" zwane *jingshi,* były wiernymi odpowiednikami Pięciu Świętych Gór Chin, z ich poszarpanymi szczytami i głębokimi dolinami. Stawiane na cokołach z palisandru albo z bogato zdobionego drewna różanego, służyły za podstawki na pędzle malarzom i kaligrafom. Inkrustowane odciskami muszli, owadów i paproci były przedmiotem wymiany między kolekcjonerami, którzy gotowi byli wydać fortunę, aby je mieć. Niektórzy taoistyczni medycy zalecali rozcieranie ich na proszek długowieczności; gdy przybierały, na wzór *huashi,* charakterystyczny kształt jaj dinozaura, uważano, że zniósł je feniks.

Jeśli chodzi o „kwiaty deszczu", czyli *caishi,* o których mówiono, że to kamienne kwiaty spadłe z nieba, ozdabiano nimi chętnie miniaturowe ogrodowe sadzawki.

Wreszcie w ogrodach świątynnych, na ziemi równomiernie posypanej żwirem, stawiano *chanshi,* kamienie medytacji, przed którymi siadywali buddyjscy mnisi. Miały one kształty tak dziwne, że wydawały się nierealne, i w jednej chwili pozwalały umysłowi uciec od rzeczywistości.

O ileż jednak ważniejsze od tamtych „kamieni marzeń" były „kamienie z napisami"!

Albowiem jeśli skała nosiła napisy albo rysunki wykonane ludzką ręką, stawała się *shishu,* czyli „kamienną księgą".

Zaś teksty wyryte w kamieniu, z uwagi na to, że nie można było ich wymazać, zyskiwały status „niebiańskich przykazań".

Istniało wiele skalistych zakątków, czczonych jako prawdziwie święte miejsca, w których prehistoryczni ludzie zostawili po sobie ślady w kamieniu, w postaci rysunków zwierząt, a nawet pikantnych scen, przedstawiających spółkowanie, na których żaden szczegół nie umykał dłutu rzeźbiarza.

Od czasu wielkich dynastii Shang, a potem Zhou, epoki, w której opracowano chińskie kodeksy, ta cześć dla znaków pisanych przenosiła się z pokolenia na pokolenie, zwłaszcza w odniesieniu do napisów pozostawionych na rytualnych brązach.

Ostatni cesarz z dynastii Han nakazał więc około roku 200 po Chrystusie, aby wyryto na wapiennych płytach dzieła Trzynastoksięgu, a jego daleki potomek, Taizong, ojciec Gaozonga, kazał urządzić w Chang'anie „las steli", który nie był niczym innym, jak tylko niezwykłą kamienną biblioteką, mającą za zadanie przechować największe dzieła literatury i historii Chin.

Czasami jednak kamienna księga zawierała „inskrypcje ukryte", i w takim wypadku odsłaniała swoje przesłanie tylko oczom obdarzonym szczególnymi zdolnościami.

Aby rozszyfrować ich sens, trzeba było być kapłanem, wróżbitą albo medium.

Wu Zhao była pewna: na zatopionym głazie musi znajdować się niebiańskie przesłanie, odnoszące się do niej.

Czuła, że jeśli będzie trzeba, znajdzie wystarczająco przenikliwe oczy, które odsłonią jego ukrytą treść.

Tego dnia pogrążony w rzece Luoe głaz stał się „kamieniem cesarzowej Wu Zhao".

— Przyjrzyj się dobrze tej rzece — zwróciła się do Niemowy. — Tam, pod wodą, kryje się kamienny sprzymierzeniec, który pomoże mi zrealizować moje cele.

Byli sami, tragarze czekali z lektyką nieco dalej.

— Wierz mi, Niemowo, tego kamienia nie wrzucono tam przypadkiem — dodała.

I świerszcz zdawał się z nią zgadzać, gdyż ukryty w cieniu jednej z wielkich rąk Niemowy, trzymającego cenną małą klatkę, podczas gdy druga pieściła piersi cesarzowej, niespodziewanie zaczął śpiewać.

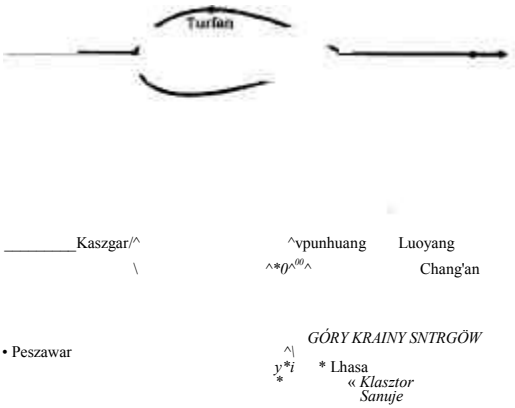

13

W drodze do Samye, w górach Tybetu

Już od przeszło dwóch miesięcy wędrowali, poprzedzani przez płowego psa, który myszkował po okolicy, węsząc z zapałem za najdrobniejszymi śladami pozostawionymi przez zwierzęta. Ożyło w nim dawne przyzwyczajenie do wielkich przestrzeni, gdzie wśród gęstej, niskiej roślinności roiło się od fauny niewidocznej dla ludzkiego oka.

Tego popołudnia, za zakrętem ścieżki, na której jaki zostawiły parujące jeszcze ślady swego przejścia, uwagę Pięciu Zakazów zwróciło dziwne zachowanie Lapiki.

Droga biegła w tym miejscu wzdłuż stoku, porośniętego roślinami tak wysokimi, że zieleniły się mimo warstwy śniegu.

Pies zatrzymał się nagle, chwytając wiatr, tak jakby szykował się do wypłoszenia zwierzęcia, które schowało się za zaspą.

— Popatrz na nią, Umaro, jak szczerzy kły! Gdzieś tam, całkiem blisko, musi się kryć śnieżna pantera, albo może i niedźwiedź, gotów na nas skoczyć! — wykrzyknął niezbyt pewny siebie Pięć Zakazów.

Ledwo dokończył zdanie, Lapika napięła się jak łuk, roz-

pędziła, i skoczyła z otwartą paszczą w kierunku śnieżnego

kopca, zza którego wypadł jakiś człowiek, wrzeszcząc ze strachu:

— Powstrzymajcie go! Ta bestia gotowa mnie pożreć!

Pięć Zakazów rzucił Lapice rozkaz, żeby wróciła do nogi, co suka zrobiła natychmiast ku wielkiej uldze wędrowca, który o mało nie padł jej ofiarą. Miał twarz zaczerwienioną od mrozu.

Pomimo dziwacznej czapki, oszronionych brwi i strachu, który wykrzywił jego rysy, oszołomiona Umara rozpoznała w nim Kłębka Kurzu.

Mały towarzysz jej zabaw, z którym znalazła skrytkę z księgami w Dunhuangu, z takim samym zaskoczeniem przyjął jej obecność w tym miejscu.

— Kłębek Kurzu! Co ty tu robisz, w samym środku Tybetu? Co za niespodzianka! Tak się cieszę, że cię widzę... Ale uros łeś! — wyjąkała zdumiona.

Młody Chińczyk przerósł ją i wyglądał zupełnie inaczej niż podczas ich ostatniego spotkania w ogrodzie biskupstwa jej ojca.

Otrzepał się ze śniegu, mogła więc przyjrzeć się jego sylwetce. Na ramieniu miał małą podróżną torbę, którą musiał uważać za cenną, jeśli sądzić ze sposobu, w jaki trzymał ją zsiniałymi rękami.

—Schowałem się w zagłębieniu! Zobaczyłem z daleka, że wchodzicie z psem na górę. Jak wszyscy uciekinierzy, jestem trochę nieufny. Gdybym wiedział, że to ty, nie chowałbym się! — wyjaśnił.

—Uciekinierzy powinni rozumieć się nawzajem! — zażartowała Umara.

Pięć Zakazów, który znał chłopca tylko ze słyszenia, zauważył, że Umara rozpromieniła się na jego widok. Była naprawdę uradowana nieoczekiwanym spotkaniem, dzięki któremu mogła wreszcie wytłumaczyć się przed Kłębkiem Kurzu ze swego nagłego zniknięcia z Dunhuangu.

Za to ten ostatni, bardzo zakłopotany, spoglądał na nią z ponurą miną.

Nie mógł pogodzić się z tym, że Umara uciekła bez słowa wyjaśnienia. Bardzo cierpiał, gdy stwierdził zniknięcie dziewczyny, którą tak polubił.

Czym zawinił, że potraktowała go w ten sposób?

Niczym ktoś, kto dostał w głowę maczugą, zawiedziony i zdezorientowany, pełen żalu i strachu, błądził całymi dniami po Dunhuangu i okolicach, szukając dziewczyny. Od czasu ich pierwszego spotkania była jedyną osobą na świecie, która się dla niego liczyła.

Zraniony i wściekły, nie wiedział, co z sobą zrobić, przekonany, że ciąży na nim przekleństwo. Trzeciego dnia spotkał kogoś, kto udzielił mu pewnych wyjaśnień. Postanowił wyruszyć do Samye.

Tego samego wieczoru Kłębek Kurzu, chłopak o nieprzeniknionej twarzy, wychudły z powodu trudów ucieczki, odpowiadał na pytania Pięciu Zakazów i Umary, którzy nie zdawali sobie sprawy z nacisku, jaki na niego wywierali. Rozmowa przypominała przesłuchanie. Chcieli jak najprędzej poznać okoliczności, które sprawiły, że młody Chińczyk znalazł się w tym miejscu, w kraju Bod, w niegościnnym regionie, omiatanym przez lodowate wichry, gdzie tak rzadko można było napotkać żywą duszę...

—Jeśli dobrze rozumiem, udało ci się uciec. Z oazy pewnie nic nie zostało! — rzekł przygnębiony Pięć Zakazów, gdy Chińczyk wyjaśnił pokrótce, jak został zmuszony do ucieczki po napadzie Turków na Dunhuang.

—Dlaczego zdecydowałeś się przybyć tutaj? — zapytała w końcu Umara.

Dawny towarzysz jej zabaw nie potrzebował wiele czasu, aby domyślić się ze sposobu, w jaki tych dwoje dotykało się i na siebie patrzyło, że ma do czynienia z zakochaną parą.

— Czyż nie powiadają u nas, że „na Dachu Świata żaden prześladowca nigdy nie schwyta człowieka"? — rzekł do Pięciu Zakazów. Unikał spoglądania na Umarę, jakby chciał dać jej sygnał, że ma jej wiele do wybaczenia.

Kłębek Kurzu chował wobec niej urazę, toteż za nic w świecie nie wyjawiłby im powodu, dla którego się tu znalazł.

— Znam to powiedzenie równie dobrze jak ty! Turcy nie będą szukali cię w tych stronach — zapewnił Pięć Zakazów, daleki od podejrzeń, że Kłębek Kurzu nie powiedział mu wszystkiego.

Oboje nadal zasypywali młodego Chińczyka pytaniami. Odpowiadał im monosylabami, a i te trzeba było wyciągać z niego niemal siłą.

—Pożar strawił wszystkie budynki z drewna i gliny. Kiedy opuszczałem oazę, była w ruinie — odpowiedział z ponurą miną na kolejne pytanie Pięciu Zakazów o skutki splądrowania miasta przez grabieżców.

—A co się stało z kościołem nestoriańskim, który mój ojciec zbudował z kamienia? — zapytała drżącym głosem Umara, bo słowa przyjaciela budziły coraz większy niepokój.

—Został złupiony. Kiedy tamtędy przechodziłem, zobaczyłem tylko kupę popiołów. To on był głównym celem napastników — wyjaśnił Kłębek Kurzu.

Wstrząśnięta Umara zaczęła szlochać.

Co się stało z jej ukochanym ojcem?

Czy zdążył uciec? A Diakonos, który zajmował się tkaniem jedwabiu, czy też zdołał ujść napastnikom? A biedna Golea, kochająca ją jak własną córkę, czy znalazła schronienie, jeśli w ogóle została pszczędzona przez tych podłych Turków?

Myślała też o wszystkich współbraciach, jakichś trzystu członkach Kościoła nestoriańskiego, którzy także padli pewnie ofiarą napastników.

Pięć Zakazów, widząc, że jego ukochana bliska jest załamania, ścisnął jej rękę.

—Przerażające! Taka piękna oaza! A buddyjskie klasztory wydrążone w okolicznych urwiskach?

—Żaden nie uniknął pożogi. Zostały zniszczone! — mruknął uciekinier.

—Łącznie z grotami?

—Zniszczone i spalone, jak domy w mieście! Nie ostało się żadne ścienne malowidło! Bandyci nie oszczędzili niczego!

—Ale ja mówię o grotach i skrytkach na księgi i skarby, które mnisi drążyli w urwisku... — sprecyzował Pięć Zakazów.

—Powiedziałem, że w Dunhuangu zostało splądrowane wszystko, chyba wyrażam się jasno! Ja też bardzo się bałem. Od miesięcy idę prosto przed siebie i nie śmiem się obejrzeć — odparł oschle chłopak, który jeszcze rok temu był tak miłym towarzyszem zabaw Umary.

Widok okrutnej rzezi, jaką Turcy urządzili mieszkańcom oazy, przeraził go i zmusił do szaleńczej ucieczki do kraju Bod. Tu Kłębek Kurzu miał nadzieję uleczyć urazy i zapomnieć o obciętych głowach i płonących stosach, na które pijani żołdacy rzucali porąbane na kawałki ciała, wyjąc z radości.

Umara, która domyślała się powodów jego powściągliwego zachowania, dała znak Pięciu Zakazom, żeby zostawił ich samych.

Usiadła bliżej Kłębka Kurzu, ale on nadal unikał jej wzroku, wpatrując się w płomienie ogniska, które rozpalił Pięć Zakazów, żeby ugotować zupę z pokrzyw.

—Kłębku Kurzu, przyznaję, że możesz mieć do mnie żal. Wyjechałam, nie pożegnawszy się z tobą, i musiałeś pomyśleć, że cię porzuciłam. Przebacz mi! Gdybym opowiedziała ci o okolicznościach naszej ucieczki z Dunhuangu, zrozumiałbyś, dlaczego nie mogłam postąpić inaczej, chociaż bardzo tego żałowałam — szepnęła cicho.

—Błądziłem całymi dniami, szukając cię! Co wieczór wracałem do Dunhuangu, coraz bardziej zrozpaczony. Aż do chwili, gdy od nestoriańskiego zakonnika dowiedziałem się, że nawet twój ojciec nie wie, gdzie jesteś... Jak widzę, rzuciłaś mnie dla innego! — powiedział urażony.

—Nie mogłam zrobić nic innego, mój Kłębuszku Kurzu. Pięć Zakazów i ja w ostatniej chwili zdecydowaliśmy się na ucieczkę!

—Okoliczności nie mają dla mnie większego znaczenia. Mam powody, żeby czuć do ciebie żal! Bardziej niż mnie wolałaś innego!

Nagle Umara zdała sobie sprawę, że za zachowaniem jej młodego przyjaciela kryje się zawód miłosny!

A więc to tak! Kłębek Kurzu z pewnością się w niej zakochał, a ona, w swej naiwności, nawet tego nie zauważyła...

A zresztą, dość było spojrzeć w oczy chłopaka, gdy wreszcie na nią spojrzał.

Czyż nie wyrażały zarazem złości i oburzenia, a nade wszystko ogromnego smutku, doświadczanego przez kogoś, kto poczuł się zdradzony przez jedyną bliską duszę?

—Co ci jest, Umaro, nie czujesz się dobrze? — zapytał ją szeptem Pięć Zakazów, kiedy Kłębek Kurzu ułożył się do snu nieco z boku, owinięty skórą jaka.

—Kłębek Kurzu ma do mnie żal o to, co zrobiłam. Zupełnie jakby został porzucony! — szepnęła Umara, wpatrując się w zamyśleniu w żar dogasającego ogniska.

—Powiedz mi, czy on się aby w tobie nie zadurzył?

—Być może. Ale przysięgam, odkryłam to dopiero dzisiaj!

Następnego dnia trójka wędrowców dotarła do przyklejonej do skalnego zbocza wioski, której główny placyk zapełniony był tłumem młodych ludzi w kolorowych strojach i białych płóciennych turbanach. U ich kostek zwisały maleńkie grzechotki, a w rękach trzymali bojowe toporki. Stojący rzędem bębniści uderzali do taktu w swoje instrumenty, pobudzając wieśniaków do rytmicznego tańca.

Pięć Zakazów ujrzał starego mężczyznę, który siedział na kamiennej ławce i przyglądał się widowisku. Zapytał go po tybetańsku, co tu się dzieje.

— To rytualny taniec *bang]* Opowiada o wojnie między *dewami* i ich przeciwnikami, złymi *asurami,* o owoce z drzewa rosnącego na szczycie góry Sumeru! — odparł staruszek syczą cym głosem.

Pięć Zakazów zauważył, że nie ma on ani jednego zęba.

—W niebie została stworzona biel; w niebie został stwo- rzony błękit; potem została stworzona nieskalana góra pokryta lodem; potem został stworzony zewnętrzny ocean; w środku tego morza zostało stworzonych dziewięć skórzanych worków; z tych worków wyszło nagle dziewięć mieczy; potem został stworzony bóg, Pierwotny Ojciec, który ciska piorunami, i opiekuńcza matka, zwana Morską Muszlą! — wykrzyknął pieśniarz w żółtym turbanie do młodych ludzi, którzy przestali uderzać w bębny i stanęli przed nim bez ruchu.

—Gdzie znajduje się góra Sumeru? — zapytał Pięć Zaka- zów, zwracając się do bezzębnego starca.

—Trzeba wejść na Dach Świata; ona jest jeszcze trochę wyżej! Można się na nią dostać po sznurowej drabinie — odparł z przekonaniem stary Tybetańczyk.

—Nie wiedziałem, że istnieje taki bóg, Pierwotny Ojciec! — wykrzyknął zdumiony Pięć Zakazów.

Dla niego, jako wyznawcy mahajany, góra Sumeru oznaczała jedynie środek świata, geometryczną i metafizyczną abstrakcję, podobną *bindu,* centralnemu punktowi, wokół którego rysowano mandalę.

—Bóg góry Sumeru to stos kamieni — dodał staruszek, zaskoczony niewiedzą swego rozmówcy. — Ma od wschodu białą lwicę, od południa niebieskiego smoka, od zachodu tygrysa i od północy dzikiego jaka.

—Kraj Bod to także ziemia fantastycznych zwierząt! — stwierdziła z rozbawieniem Umara, gdy jej ukochany prze- tłumaczył słowa staruszka.

Bön, pierwotna religia Tybetu, pełna była dziwów, które mogły zaszokować kogoś, kto po raz pierwszy o nich słyszał.

Według przekazów, świat powstał dzięki poćwiartowaniu demona o głowie przeżuwającego zwierzęcia, lub może demonicznego stwora o wyglądzie ropuchy, a nawet poszatkowania tygrysicy pijącej mleko i zjadającej ludzi!

W tym kraju, w którym góry były tak święte i niedostępne, że nazywano je zarazem „filarem świata" i „ćwiekiem mocującym ziemię", rządziły boskie istoty o przerażających obliczach, pożerające ludzi i zwierzęta, prześcigające się w żarłoczności i krwiożerczości.

W tradycyjnej religii tybetańskiej wszystko sprowadzało się do nieustannej wojny między siłami nieba i podziemnych światów, należało więc wchodzić między nie, aby życzliwi bogowie z góry mogli zejść i wyrównać rachunki ze złymi bogami z dołu, co umożliwiał sznur *mu,* zwany także „wietrzną drabiną", podobną świetlistej kolumnie w kolorach tęczy, która wychodziła z ziemi i pięła się aż po firmament, gdzie przebywały dobroczynne i opiekuńcze boskie istoty.

Dzięki ofierze okadzania, głównej części rytuału *bang,* wyznawca bön mógł mieć nadzieję na pokonanie drzwi nieba, reprezentowanych przez baranią czaszkę, do której pozwalała dotrzeć wietrzna drabina.

Natomiast drzwi ziemi, które można było pokonać po „wbiciu w nie ćwieka ziemi", symbolizowała maska w kształcie psiego pyska.

Trojgu wędrowcom, którzy nie mieli pojęcia o mitologii bön, tego rodzaju widowisko wydawało się fascynujące i dziwaczne.

Ale czekały ich jeszcze inne niespodzianki...

W rogu placyku wieśniacy ustawili bowiem pomost, na którym umieścili figurki z masła wymieszanego z mąką, przedstawiające fantastyczne zwierzęta: smoki o psich głowach, lwy z długim włosiem, owce o głowach małp i dziwne czworonożne ptaki.

— Ależ one się topią! — wykrzyknęła Umara, zbliżywszy się do prowizorycznej konstrukcji.

Między figurkami ustawiono mnóstwo świec, które prześwietlały je na wylot i promieniowały takim żarem, że dziwaczne stwory zaczęły się roztapiać, przybierając jeszcze bardziej potworne kształty.

—Nie ma drugiej takiej religii! — szepnęła w zamyśleniu Umara, gdy po obfitym posiłku opuszczali wioskę.

—Kto wie? To, cośmy tam widzieli, to wiara w bogów, od której Błogosławiony chciał odwieść ludzi. Ale być może ci bogowie rzeczywiście ochraniają tych, którzy wierzą w nich tak szczerze... Koniec końców, jeżeli to ich uszczęśliwia... — powiedział Pięć Zakazów.

—Mój ojciec twierdził zawsze, że powinno się mówić innym o swoich przekonaniach. Odkąd cię pokochałam, nie jestem pewna, czy miał rację — odrzekła Umara, przytulając się do ukochanego.

Jak widać, pomocnik Czystości Pustki, dużo bardziej skłonny do tolerowania odmiennych poglądów niż jego mistrz, zachęcił kochankę do przyjęcia podobnej postawy.

Co do Kłębka Kurzu, który przez cały czas starał się dociec, jak wielkie uczucie łączy Pięć Zakazów i Umarę, to zamknął się on w ponurym milczeniu.

Dalsza wędrówka całej trójki przebiegła mimo wszystko bez większych kłopotów.

Zakłócały ją jedynie śnieżne pantery, krążące nocą wokół ich obozowiska, ale Lapika przepędzała te raczej bojaźliwe bestie, którym tylko brak zwierzyny, na którą mogły zapolować, kazał zbliżać się do ludzi.

Gdy po przejściu ostatniej przełęczy Umara ujrzała złocone dachy Samye między dwiema stupami, które jej towarzysz określił ładnym mianem „Górskich Klejnotów", nie mogła powstrzymać westchnienia zachwytu.

— Te posągi na szczycie dachu są cudowne! — wykrzyknęła, wskazując Koło Prawa o ośmiu szprychach, które wieńczyło

główny budynek, podtrzymywane przez dwie zwrócone ku sobie łanie.

—Te dachy pokryte są czystym złotem. To najstarszy, ale i najbogatszy klasztor kraju Bod. Tu nic nie jest zbyt piękne, żeby czcić Buddę — wyjaśnił Pięć Zakazów.

—Tyle wspaniałości na samym końcu świata! Jakie to dziwne! — szepnęła dziewczyna.

Bramę otworzył lama Tö Ling, który wytrzeszczył oczy, jakby zobaczył upiora. Rozpoznał jednak Pięć Zakazów.

—Dzień dobry, czcigodny lamo. Mój widok pewnie was zaskoczył, ale nie możecie nie wiedzieć, że Samye jest miejscem, do którego chętnie się wraca! — zażartował na powitanie Pięć Zakazów.

—Jesteś sam?

—Jeżeli macie na myśli dzieci, to są w Chang'anie, w dobrych rękach.

—Zostawiłeś je tam?

—Nie miałem wyboru. Opowiem wam później. Gości je i opiekuje się nimi cesarzowa Chin we własnej osobie! Nie mogły znaleźć się w lepszych rękach.

—Rozumiem! W istocie, mógł je spotkać gorszy los — westchnął z ulgą lama.

Pięć Zakazów uśmiechnął się szeroko, po czym dał znak przyjaciołom, że mogą się zbliżyć.

— Jest nas troje. Umara, Kłębek Kurzu i twój sługa przyszli prosić o gościnę czcigodnego lamę Gampo, przełożonego najświetniejszego klasztoru Samye!

Tö Ling dał znak, żeby weszli do środka.

— Musicie być głodni. Rozgośćcie się w sali jadalnej, a ja tymczasem pójdę uprzedzić przełożonego o waszym przybyciu. Mam nadzieję, mój drogi Pięć Zakazów, że chętnie wysłucha twojej opowieści.

Stopniowo żołądki przybyłych rozgrzały się przy garnku dymiącej zupy na baraninie, przyprawionej korzeniami. Nabierali ją chochlą i polewali ryż w czarkach.

— Lama Gampo kazał wam powiedzieć, że będzie szczęśliwy, mogąc was przyjąć jutro rano — oświadczył Tö Ling, który wrócił od przełożonego pod koniec posiłku.

Kłębek Kurzu od ucieczki z Dunhuangu nie zjadł nawet łyżki zupy, toteż zdawało się, że był w mniej ponurym nastroju. Spoglądał na Umarę z uśmiechem, jakby jego żal do niej nieco zmalał.

Była czarującą dziewczyną, a on zakochał się w niej. Zawsze żył samotnie, a teraz poczuł, że ogarnia go słodkie odrętwienie po zjedzeniu gorącej smakowitej potrawy, i nie mógł stłumić odżywającej na nowo nadziei!

Czy Umara nie powinna należeć do niego?

Czyż nie jest jedyną osobą, dla której znalazł miejsce w swym sercu?

Jej piękność została stworzona tylko dla niego. Tylko jego mogła obdarzyć słodyczą. Tylko dla niego przeznaczona była jej mądrość.

Przyjaźniąc się z nią w Dunhuangu, bawiąc się i galopując po pustyni, Kłębek Kurzu wmówił sobie w swej naiwności, że Umara jest dla niego najdroższą istotą na świecie. I nagle poczuł, że nadzieja na jej odzyskanie jeszcze się nie rozwiała.

Trzeba było napaści Turków i strachu, że zostanie złapany, aby wreszcie obudził się z letargu, w jakim pogrążyło go zniknięcie ukochanej. Przypominał zwierzę, które wpadło do wartkiego strumienia i nie potrafi się z niego wydostać.

Ujrzawszy ją, doświadczył przejmującego wrażenia, że bolesna rana w jego sercu otwiera się na nowo i że wzbiera w nim zazdrość.

Nie mógł znieść świadomości, że uciekła z innym, w dodatku takim samym Chińczykiem jak on.

Dlatego też, zasypany pytaniami o okoliczności ucieczki, uważając, że nie powinien zwierzać się z niczego Umarze w obecności jej kochanka, ograniczył się do zdawkowych wyjaśnień i nie powiedział jej, że pobiegł do skrytki na księgi

i zabrał z niej serce z sandałowego drewna — spoczywało teraz na dnie jego sakwy. Ani słowem nie nawiązał też do spotkania trzy dni po grabieży, które zadecydowało o tym, że udał się do Samye.

Gdy następnego ranka Tö Ling zaprowadził troje wędrowców przed oblicze lamy Gampo, stary niewidomy przełożony, siedzący w fotelu z różanego drewna, wywarł wielkie wrażenie na Kłębku Kurzu. Jego świecące białkami oczy zdawały się przewiercać duszę na wylot.

—Witajcie w Samye! Zdaje się, że jedno z was zna już to miejsce, nawet jeśli młodzieniec ten odwiedził je bez mojej wiedzy! — rzekł przełożony lamajskiego klasztoru doskonałym chińskim, którego znajomość świadczyła o jego wszechstronnym wykształceniu.

—Ja jestem tym młodzieńcem, mistrzu! W istocie, przebywając tu, nie miałem okazji was pozdrowić! —- odparł Pięć Zakazów, a potem przedstawił Umarę i Kłębek Kurzu.

—Gdyby Tö Ling uprzedził mnie wówczas o twojej wizycie, chętnie bym cię przyjął... — mówił mistrz Gampo, podczas gdy jego zawstydzony sekretarz stał z opuszczoną głową.

—Mimo to moja wizyta była owocna: dostałem to, po co przybyłem, wraz z dodatkiem w postaci Niebiańskich Bliźniąt! — odrzekł młodzieniec.

—Lama Tö Ling powiedział mi o wszystkim, co dotyczy dzieci, które powierzył rok temu twojej opiece. Jeśli dobrze zrozumiałem, znajdują się obecnie w pewnym miejscu...

—Mistrzu, ich los nie jest obojętny samej cesarzowej Chin, Wu Zhao!

—Zważywszy na reputację waszej władczyni, nie zrobiła tego jedynie z dobroci serca.

—- Wspominała często, że widzi w Niebiańskich Bliźniętach reinkarnację buddyjskich świętych! — odezwała się cicho Umara, zwracając się po raz pierwszy do mistrza Gampo.

— Więc cesarzowa nadal niezachwianie wierzy w słowo Błogosławionego? — zapytał przełożony.

—Bez najmniejszych wątpliwości, mistrzu. Spotyka się często z mistrzem Czystością Pustki, u którego zasięga porad. Wspiera Wielki Wóz w obliczu licznych napaści ze strony konrucjanistów, którzy nie pogodzili się z przyjęciem tej plebejuszki do rodziny cesarskiej, a jeszcze mniej z tym, w jaki sposób została małżonką cesarza Gaozonga... — odparł Pięć Zakazów.

—Gdyby potrafiła zapobiec katastrofie, która nam grozi, byłbym gotów poprzeć ją i oddać na jej służbę wszystkie klasztory kraju Bod!

Głęboki głos lamy Gampo drżał lekko, zdradzając zaniepokojenie.

—Czcigodny mistrzu, o jakiej katastrofie mówicie? I w jaki sposób cesarzowa Wu Zhao mogłaby przyczynić się do jej zażegnania? — zareagował natychmiast Pięć Zakazów.

—Ponieważ Czystość Pustki przysłał cię tu po *Sutrę o logice Czystej Pustki,* uważam, że to zwalnia mnie z obowiązku milczenia — zaczął niewidomy mnich, zwracając się do Pięciu Zakazów, jakby zamierzał wygłosić dłuższą przemowę.

—Wyznaję od razu, wielebny mistrzu, że nie dostarczyłem tej sutry Czystości Pustki... Nie pozwoliła mi na to konieczność nagłego opuszczenia Chang'anu! Żałuję, ale tak właśnie to wygląda, choć starałem się, jak mogłem...

—Nie wątpię. Ważne jest, aby była bezpieczna. Dzięki temu będziesz mógł ją odzyskać we właściwej chwili. A także oddać w dobre ręce Niebiańskie Bliźnięta. Stwierdzam przeto z przyjemnością, że z wielką troską traktujesz to, co zostało ci powierzone. To dobrze! Rzadko spotyka się osoby odznaczające się takim poczuciem obowiązku... — rzekł lama Gampo.

—Miałem dobrego nauczyciela. Mistrz Czystość Pustki wpoił mi to poczucie, gdy byłem jeszcze młodym nowicjuszem Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa — wyjaśnił skromnie Pięć Zakazów, który, nie chciał zawczasu wyjawiać lamie Gampo, że cenna sutra leży u jego stóp, w wyłożonym

jedwabiem futerale, troskliwie owiniętym w derkę i wsuniętym do podróżnej sakwy.

—Czy powiedział ci, dlaczego napisał duchowy testament, a nade wszystko, dlaczego kazał ci przywieźć go do Luoyangu? — zapytał ciepłym, głębokim głosem mistrz Gampo.

—Nie mówił o tym ani słowa. Mimo to, rozważywszy sprawę, uznałem, że ten egzemplarz *Sutry o logice Czystej Pustki* musiał odgrywać rolę ważniejszą od jego treści. Bo jeśli nie, to po co miałby mnie prosić, żebym tu przyjechał i go odzyskał?

—Rozumujesz jak należy. Musisz wiedzieć, że w oczach autora, który jest zwierzchnikiem szkoły Wielkiego Wozu, rozprawa ta, jako wyczerpujący podręcznik medytacji, przedstawia kwintesencję jego doktryny. Nurt Wielkiego Wozu traktuje więc tę sutrę jako swoją rękojmię.

—Nie wiem, doprawdy, do czego mojej szkole miałaby być potrzebna jakaś, jak ją nazywacie, rękojmia! — odparł Pięć Zakazów, który nie zrozumiał słów lamy Gampo i nie wiedział, dokąd on zmierza.

—Sutra ta posłużyła za rękojmię w ramach szczególnego paktu o nieagresji, który kilka lat temu zawarły między sobą trzy szkoły buddyjskie — rzekł niewidomy lama.

—Czy tybetański lamaizm i Mały Wóz także dały jakieś rękojmie? — chciał wiedzieć Pięć Zakazów.

—Tak! A jak inaczej można zawrzeć sprawiedliwy pakt? — odparł stary ślepiec, zdziwiony nieco tym pytaniem.

—Jakie są rękojmie pozostałych szkół, czcigodny mistrzu?

—Chodziło o coś równie cennego jak sutra Czystości Pustki, o coś, co doskonale oddaje sposób myślenia zarówno lamaizmu, jak i Małego Wozu.

—Mistrzu Gampo, zauważyłem, że mówicie o dwóch innych rękojmiach w czasie przeszłym, jakby już nie istniały! Co to oznacza?

Przełożony kołysał miarowo ręką trzymającą *małą,* i wydawało się, że w jego ślepych oczach maluje się przygnębienie.

—Dobrześ to pojął, bo dwie inne rękojmie zniknęły, niestety! — szepnął.

—Co to było?

—Dwa diamenty i jedwabna mandala! Diamenty były wielkie jak przepiórcze jaja, a co do mandali, to obaj artyści, ten, co ją wyhaftował, i malarz, który pokrył ją malunkami, poświęcili na to dwa lata!

—Dlaczego powiedzieliście o diamentach „były"? — drążył Pięć Zakazów.

—To stara historia... coś złego, czemu położono kres. Lub raczej czemu powinno się położyć kres, gdyby sprawy potoczyły się normalnie... — odparł wymijająco stary mnich.

—Te słowa jeszcze bardziej zbijają mnie z tropu, czcigodny mistrzu! Jest w tym jakaś tajemnica, która zamiast się wyjaśnić, wciąż się zaciemnia! — stwierdził Pięć Zakazów.

—W istocie, komuś z zewnątrz wszystko to może się wydać mroczne...

—Te diamenty musiały mieć wielką wartość! — zauważył Pięć Zakazów, który pomyślał, że wyjaśnienia, jakie otrzymał od starego ślepca, niczego nie wyjaśniły.

—Chociaż nie jestem złotnikiem, mogę cię zapewnić, nie obawiając się pomyłki, iż kamienie tak ogromne i o tak wielkim blasku są tak rzadkie, że nie mają ceny!

—A skąd wiecie tak dokładnie, ile trwało sporządzanie jedwabnej mandali? — dopytywał się Pięć Zakazów w pogoni za prawdą.

—Ponieważ była to nasza rękojmia, którą osobiście zamówiłem u hafciarza i u miniaturzysty, który natychmiast przybył tu z Lhasy. Ta mandala stała się jednym z bezcennych skarbów Samye — wyjaśnił lama Gampo nieco rozdrażniony uporem, z jakim młody chiński mnich zarzucał go pytaniami.

W słabo oświetlonym pomieszczeniu, w którym lama miał zwyczaj oddawać się medytacji, zapadło posępne milczenie.

— Wygląda na to, mistrzu, że zniknięcie dwóch rękojmi bardzo was smuci... — wtrąciła Umara.

— Dużo gorzej, córko, ono mnie przytłacza! — westchnął przełożony.

Młoda chrześcijanka w milczeniu słuchała jego słów, których sens rozumiała dużo lepiej niż biedny Pięć Zakazpw.

— Ale skąd bierze się wasze strapienie? Gdybyśmy znali jego powód, być może moglibyśmy wam pomóc... — dodała nieśmiało. Zdawała sobie sprawę, że jest w posiadaniu bardzo ważnej informacji, dotyczącej dwóch zaginionych rękojmi.

Stary mistrz odwrócił się do córki Addaia Aggaia.

— Więc to ty jesteś Umara? — zapytał.

Nie widział jej, ale była tak grzeczna i miła, że się uśmiechnął.

—We własnej osobie, czcigodny mistrzu, i pragnę w miarę moich skromnych możliwości uczynić wszystko, by wam pomóc.

—Obawiam się, że będzie tego wiele! — mruknął mnich, wciąż się uśmiechając.

—Podpisuję się pod słowami Umary, mistrzu. Jeśli będę mógł wam pomóc, zrobię to równie chętnie — dodał spiesznie Pięć Zakazów.

Białe oczy lamy Gampo odwróciły się teraz w jego stronę.

Zapał tych młodych ludzi wydawał mu się szczery i wolny od jakichkolwiek ukrytych myśli.

Czy więc nie zasługiwali na dokładniejsze wyjaśnienia?

Chociaż wolałby nie zdradzać sekretu, jakiego dotrzymanie poprzysiągł dwom pozostałym mnichom, zdecydował w końcu, że może powiedzieć nieco więcej temu młodemu mężczyźnie i młodej kobiecie, do których poczuł sympatię. Oczywiście nie było mowy, by wyjawić wszystko.

— Widzisz, mój Pięć Zakazów, zaginięcie dwóch rękojmi może doprowadzić do zerwania przymierza między trzema buddyjskimi nurtami. Zagrożony jest pokój między nimi, po zwalający wszystkim wyznawcom Buddy żyć we wzajemnym zrozumieniu i prowadzić bardziej skuteczną, wspólną walkę przeciwko wpływom cudzoziemskich religii! Jeśli zapanuje niezgoda, Szlachetne Prawdy Błogosławionego czeka niepo-

myślna przyszłość! — zaczął swe wyjaśnienia mistrz Gampo posępnie.

—Czy to oznacza, że umowa, o której wspomnieliście, została wzmocniona rytuałem? — zapytał Pięć Zakazów.

—Można tak powiedzieć, niestety! Wobec braku rękojmi nie da się dopełnić rytuału. Powrócą z całą pewnością konflikty i kłótnie! Ale ważniejsze od rytuału jest zaufanie, którego zabrakło... A wszystko to z powodu pewnego szalonego osobnika, którego, niestety, obdarzyliśmy pewnego dnia zaufaniem! — westchnął przełożony. Jego palce przebierały nerwowo paciorki *mali,* nie starał się nawet ukryć niepokoju.

—Czcigodny mistrzu, aby zrozumieć, o co chodzi, i spróbować wam pomóc, muszę dowiedzieć się więcej o tym rytuale, który musi być jedyny w swoim rodzaju, jeśli dobrze rozumiem — naciskał Pięć Zakazów.

—Jego istnienie było utrzymywane w tajemnicy. Dopełniano go w Lhasie, gdzie jego uczestnicy mieli pewność, że nic im nie przeszkodzi, a także dlatego, że to święte miasto jest najbliższe niebu. Stąd nazwa „spotkania w Lhasie", jaką nadaliśmy obrzędowi, który, bardzo się tego obawiam, nie odbędzie się już nigdy więcej! — odpowiedział głucho stary lama.

Spotkanie w Lhasie!

Pięć Zakazów usłyszał po raz pierwszy o takim spotkaniu. Coraz bardziej zbity z tropu, gubił się w domysłach.

Przede wszystkim z niepokojem stwierdził, że Czystość Pustki unikał wyjaśnienia mu istoty misji, jaką mu powierzył. A chodziło w niej o to, aby odzyskać ni mniej, ni więcej, tylko „rękojmię" Wielkiego Wozu, niezbędną dla dopełnienia rytuału.

Poczuł się co najmniej rozczarowany takim brakiem zaufania.

Jeśli określenie „manipulacja" było tu na miejscu, to tylko tym słowem można było określić postawę Czystości Pustki.

Co się kryło za jego machinacjami? Z pewnością coś, co mogło mieć jakieś dramatyczne konsekwencje, jeśli sądzić po zaniepokojeniu, którego lama Gampo nie próbował ukryć przed swymi gośćmi...

Kłębek Kurzu przysłuchiwał się tej rozmowie bez słowa.

W końcu, na widok strapienia starego niewidomego mnicha, ruszyło go sumienie.

Podchwycił przelotne spojrzenie Umary i nie uszło jego uwagi, że dziewczyna jest zakłopotana tak samo jak on.

To, co powiedział mistrz Gampo, rozwiązywało zagadkę zawartości małego serca z sandałowego drewna, a jednocześnie dawało nadzieję.

Wściekły i przepełniony pragnieniem, by zająć miejsce Pięciu Zakazów, Kłębek Kurzu dojrzał tu niezawodny sposób na zdobycie serca dziewczyny.

Młody Chińczyk wiedział o czymś, czego dotąd nie powiedział, a czego znaczenie uświadomił mu stary lama.

Był tak pewny swego, że z trudem ukrywał radość, jaka zaczęła się w nim rodzić.

Dość mu było przywołać w pamięci podniecenie Umary, gdy szli do skrytki z księgami na urwisku, żeby sprawdzić, czy ich „wielki skarb", jak go nazywali, znajduje się nadal w tym tak sprytnie wybranym miejscu.

Sposób, w jaki dziewczyna klękała, a potem z nadzwyczajną ostrożnością otwierała małe pudełko, bojąc się, że zobaczy je puste, mówił o tym, jak wiele znaczył dla niej tajemniczy skarb. Musiała przeżyć nie lada rozczarowanie na wieść o splądrowaniu groty.

Z pewnością była przekonana, że wielki skarb znalazł się w kieszeni jakiegoś rabusia, i smuciło ją to tym bardziej, że rozumiała teraz, jak cenna była rękojmia, ukryta w małym sercu.

Kłębek Kurzu smakował już triumf, jaki spodziewał się odnieść, gdy oznajmi Umarze, iż niepotrzebnie się martwiła, ponieważ on zadbał o to, żeby uchronić skarb przed grabieżą.

Wystarczyłoby wyjawić obecnym, jakiego dokonał wyczynu: popędził do skrytki z księgami tuż przed przybyciem hordy Turków, którzy zdewastowali ją, stwierdziwszy, że nie ma w niej złota, broni ani srebra, a tylko stare szpargały w postaci zapisanych zwojów papieru i jedwabiu.

— Jeszcze nie wszystko stracone, mistrzu! Tak się składa, że mam przy sobie dwa bezcenne skarby, które służą za rękojmię! — oświadczył skromnie dla większego efektu, po czym wyjął z podróżnej sakwy małą szkatułkę z sandałowego drewna w kształcie serca. — Pobiegłem po nią, zanim skrytka z księgami została splądrowana przez Turków! — dorzucił z dumą.

Wypiął pierś i ze znaczącą miną zatopił spojrzenie w oczach Umary. Na widok uśmiechu, jaki rozjaśnił jej piękną twarz, był przekonany, że natychmiast padnie mu w ramiona. Otworzył pudełko i wyłożył jego zawartość na niski stół, przy którym siedział lama Gampo.

Na środku stołu pyszniły się teraz dwie cenne rękojmie, które ich właściciele złożyli na spotkaniu w Lhasie w imieniu lamaizmu i Małego Wozu: jedwabna malowana mandala, nie większa od chustki, pośrodku której jaśniały intensywnym blaskiem dwa ogromne diamenty, oszlifowane w kształt migdałów.

Niezwykłe kamienie zdawały się fosforyzować niczym gwiazdy, które spadły z nieba.

Kościste, o pożółkłej jak pergamin skórze ręce lamy Gampo musnęły relikwie. Uniósł do nosa mandalę i dwa kamienie.

—Nie ma wątpliwości — szepnął — to z pewnością te brakujące rękojmie! Wraz z egzemplarzem sutry, po którą posłał cię Czystość Pustki, stanowią elementy wymagane do wypełnienia rytuału spotkania w Lhasie!

—Oto relikwie zwane Oczami Buddy! Te wyjątkowe kamienie szlachetne pochodzą z Relikwiarza Kaniszki w Pesza-warze. Zaś w przypadku świętej mandali mantry wadżrajany, która klasztorowi Samye zawdzięcza swoje ufundowanie, chodzi o najcenniejszą relikwię tybetańskiego lamaizmu! Mistrz Gampo nie miał już nadziei na jej odzyskanie! Obie znikły niedługo po tym, jak zostały pokazane w Lhasie — wyjaśnił gościom poruszony Tö Ling.

—Oczy Buddy! — wykrzyknął zdumiony Pięć Zakazów.

—Podczas jednej z niezliczonych poprzednich egzystencji Błogosławiony Budda oddał swoje oczy biednemu ślepcowi. Wyobrażają je te diamenty. Według tradycyjnych przekazów, sam król Kaniszka kazał oszlifować je jako kamienie bliźniacze o niezwykłych rozmiarach i czystości, wstawić w oblicze brązowego posągu Błogosławionego, a wreszcie złożyć w relikwiarzu, który nosi jego imię! Posąg z brązu stopiono i odlano z niego armatę podczas najazdu Hunów Heftalitów na Peszawar. Uratowano tylko diamenty, a potem zamknięto je na szczycie relikwiarza, w szczerozłotej szkatułce. Dlatego są one najświętszą relikwią całych północnych Indii! Miliony wiernych zjawiają się tam w czasie Wielkiej Pielgrzymki z nadzieją, że pewnego dnia ujrzą ów relikwiarz na własne oczy. Dla nich znaczy to tyle, co popatrzeć na świat oczami Błogosławionego... — wyjaśnił lama Gampo, a jego twarz o białych oczach rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

—Oczy Buddy! Teraz lepiej rozumiem, dlaczego tak często mówił o nich manipa! — pokręcił głową Pięć Zakazów.

—Nie ma w tym nic dziwnego. Tu, w Tybecie, ów budujący gest Błogosławionego ukazują liczne malowidła na ciemnym tle, wykonane przez naszych najlepszych malarzy — dodał Tö Ling.

—Ale jeśli diamenty są tutaj, jak radzą sobie w Peszawarze podczas Wielkiej Pielgrzymki? — zapytał zaciekawiony Pięć Zakazów.

—Dobre pytanie! Mam wrażenie, jakbym słyszał obiekcje samego Buddhabadry... — rzekł z rozbawieniem stary ślepiec.

—O jakich obiekcjach mówicie?

—Gdyby nie otworzono małej skrzyneczki z czystego złota, żeby sprawdzić jej zawartość, co byłoby zresztą okazaniem obawy, że ktoś mógł popełnić świętokradztwo, nikt by nie wiedział, że nie ma w niej diamentów, z wyjątkiem tego, który je wyjął, to znaczy samego Buddhabadry... — wyjaśnił przełożony Samye, jakby chodziło o coś najzwyklejszego w świecie.

—Czy mandala mantry wadżrajany jest tak samo cenną relikwią jak Oczy Buddy? — dopytywał się Pięć Zakazów.

—Jest to nawet świętszy przedmiot dla Samye, i dla całego lamaizmu tybetańskiego! — odrzekł mistrz Gampo i znowu zanurzył nos w skrawku jedwabiu. — Mantra Wozu Diamentowego Gromu jest przedstawieniem Niewysłowionej Najwyższej Rzeczywistości, Wadżrasattwy. Jej wykonanie powierzyłem największemu tybetańskiemu malarzowi, który poświęcił dwa lata na stworzenie środkowego malowidła. Jest ono naszyte na jedwabne tło. Jego wyhaftowanie zabrało tyle samo czasu staremu rzemieślnikowi. Moi następcy będą czcili w tym unikalnym przedmiocie symbol najczcigodniejszego klasztoru buddyjskiego w kraju Bod...

Nikt nie spostrzegł, że Kłębek Kurzu, dziwnym trafem, zaczął kiwać głową, jakby już wcześniej znał wartość świętych relikwii.

—Co nazywacie mandala, mistrzu Ramahe Gampo? — zapytał, jako że nie miał pojęcia o lamaizmie tybetańskim.

—Mandala to sanskryckie słowo oznaczające „koło" albo „krąg" — odpowiedział niewidomy przełożony. — W kraju Bod określa obrazowe przedstawienie, w dwóch lub trzech wymiarach, konkretnej domeny, w jakiej działa jakieś bóstwo, pod postacią diagramu utworzonego wokół osi i punktu centralnego, *bindu.* Dlatego mandale przypominają często plany idealnie symetrycznych świętych miast.

—Rozpaczliwie pragnęliśmy odzyskać któregoś dnia świętą mandalę wadżrajany! I klasztorowi Samye trafiła się ta niezwykła okazja, czy nie tak, czcigodny mistrzu Gampo? — wykrzyknął wielce rozradowany Tö Ling.

—Szalonemu Obłokowi nie udało się wywieść nas całkiem w pole... Zaproponował, że zatrzyma tę mandalę dla siebie! Żałuję, że nie okazałem się wtedy ostrożniejszy! Nie powinienem był się na to godzić... — mruknął jakby do siebie niewidomy przełożony.

Pochylony nad geometrycznym diagramem środkowego malowidła mandali, Pięć Zakazów podziwiał nadzwyczajną subtelność linii i barw, a także głęboki ezoteryzm, który nie pozwalał człowiekowi z zewnątrz zrozumieć jego ukrytego znaczenia.

—Malarz namalował szczegóły twarzy tych postaci rzęsą słonia! Popatrzcie tylko, z jaką finezją to zrobił! — wykrzyknął lama Tö Ling, niczym zachwalający towar kupiec na jarmarku.

—Nigdy nie widziałem czegoś tak niezwykłego! Cóż za precyzja! Tym ustom, kiedy patrzy się z bliska, nie brakuje żadnej zmarszczki... — mruknął w najwyższym zdumieniu Pięć Zakazów.

—Tradycja Samye nakazuje, żeby dwa razy w roku mnisi odtworzyli w naturalnych proporcjach postacie z małej świętej mandali. Malują je cierpliwie na całej powierzchni głównego dziedzińca naszego klasztoru barwnymi proszkami, które rozsypują na ziemi — tłumaczył lama Tö Ling, w którego głosie słychać było coraz większe przejęcie.

—A kiedy stajemy nad nimi, nierzadko oblewa nas Światło Błogosławionego, jak to ma miejsce dziś, w ten tak niezwykły dzień! Pomyśleć tylko, że zacząłem już podejrzewać mistrza Czystość Pustki, iż wszedł w układy z tym ponurym osobnikiem, który pewnego dnia zaproponował, że będzie jej strzegł! — dodał przełożony.

—Wspomnieliście o rzęsie słonia... Mogę wam wyjawić, że w tym pudełku znajduje się też rzęsa! — odezwał się Kłębek Kurzu, po czym pochylił się, wyjął ostrożnie ze szkatułki maleńki włosek i pokazał go obecnym.

—Więc przyniósł i ją! Co za dziwny upór! — powiedział w zamyśleniu lama Gampo.

—Jeśli sądzić po rozmiarach włoska, nie jest to rzęsa słonia — stwierdził Tö Ling.

—Święta Rzęsa Błogosławionego nie mogłaby być włoskiem słonia! — zauważył niewidomy starzec.

—Święta Rzęsa Błogosławionego? Co ona tu robi? Myślałem, że każda ze szkół dawała tylko jedną rękojmię? — zapytał Pięć Zakazów.

—Wyobraź sobie, że zadaję sobie to samo pytanie! — odparł lama Gampo.

Pięć Zakazów doszedł do wniosku, że ponieważ znalazły się tu dwie inne rękojmie, nadszedł czas, żeby położyć na niskim stole tę, którą ma on.

—Nie pozostaje mi nic innego, jak dołożyć do tych rękojmi trzecią! Jak wam już mówiłem, musiałem zatrzymać ją przy sobie w oczekiwaniu na możliwość przekazania jej autorowi... — powiedział obojętnie i położył na stole futerał, w którym znajdowała się *Sutra o logice Czystej Pustki.*

—Sądziłem, że zostawiłeś ją w Chang'anie, razem z Niebiańskimi Bliźniętami! — wykrzyknął lama Gampo, którego dziwne, puste spojrzenie wyrażało mimo to ogromne zaskoczenie.

—Nie rozstałem się ze świętym zwojem od czasu, gdy został mi tu wręczony! — wyjaśnił pomocnik wielkiego mistrza *dhyany.*

—To istny cud, czcigodny mistrzu Gampo! — krzyknął nieposiadający się z radości lama Tö Ling.

—To nie do wiary, ale znów możemy wypełnić Potrójny Kosz! Spotkanie w Lhasie znowu może się odbyć... — stwierdził niewidomy przełożony, powąchawszy cylindryczne pudło wyłożone czerwonym jedwabiem, w które wsunięty był święty zwój.

Dał znak Tö Lingowi, żeby się zbliżył, i szepnął mu do ucha kilka słów.

— Musicie być głodni i spragnieni! — dodał.

Chwilę potem jeden z mnichów przyniósł na ogromnej srebrnej tacy, takiej samej, na jakie zbierano dary wiernych, herbatę z masłem jaka i placki z miodem.

— Teraz, kiedy rękojmie są tutaj, pozostaje nam zapytać, jak zostaną wykorzystane! Dlaczego powiedzieliście, że Po-

trójny Kosz znowu jest pełny? — chciał wiedzieć Pięć Zakazów, któremu podniecenie nie pozwalało jeść ani pić.

—Nie będziemy mogli wam pomóc, jeśli nie powiecie nam trochę więcej, czcigodny mistrzu — dodała słodkim głosem Umara.

—Ponieważ zawdzięczam wam cud napełnienia na nowo Potrójnego Kosza, byłbym niewdzięcznikiem, gdybym nie zaspokoił waszego życzenia... — oświadczył mistrz po dłuższym zastanowieniu, które pozwoliło mu rozważyć wszystkie za i przeciw.

Goście jedli i pili w milczeniu, czekając na tę jedyną chwilę, gdy czcigodny mistrz wyjawi im sekret, którego jedni ani drudzy nie mogliby nigdy poznać, gdyby nie zadecydowały o tym przypadek, przeznaczenie, traf, wola Buddy czy Boga.

Głosem jeszcze głębszym niż zwykle niewidomy mnich rozpoczął swoją opowieść.

—Nadszedł czas, aby z różnych powodów, ale przede wszystkim dla większej jedności wobec naporu religii przybyłych z Zachodu, trzy wielkie prądy buddyzmu położyły kres rywalizacji. Ich przywódcy postanowili więc, że co dziesięć lat będzie się odbywało spotkanie w Lhasie, w Pagodzie Gęsi.

—Dlaczego wybrano właśnie Lhasę, czcigodny mistrzu?

—Ponieważ miasto to jest stolicą kraju Dachu Świata, który, jak góra Sumeru, jest osią całego wszechświata. Co więcej, Pagoda Gęsi to sanktuarium, które nie pełni już roli, do jakiej zostało przeznaczone. Spotkanie miało się odbyć — łatwo zrozumiecie, dlaczego — w miejscu neutralnym i zarazem z dala od ciekawskich spojrzeń! — wyjaśnił lama Gampo.

—Co dzieje się na spotkaniach w Lhasie? — zapytał Pięć Zakazów, a jego głos drżał z niecierpliwości.

—Głównym celem tych spotkań jest wymiana „cennych rękojmi". Każdy uczestnik, po umieszczeniu w Potrójnym Koszu rękojmi, która jest w jego posiadaniu, zabiera inną, tę, która przypadła mu w wyniku losowania. Przedstawiciel maha-jany bierze na przykład rękojmię Małego Wozu, a przedstawiciel

lamaizmu tybetańskiego rękojmię Wielkiego Wozu. Na każdym kolejnym spotkaniu los decyduje o przejściu rękojmi z jednej szkoły do drugiej. Wydaje się to skomplikowane, kiedy się o tym mówi, ale w rzeczywistości jest całkiem proste.

—Rozumiem! W ten sposób żadna ze szkół nie ulegnie pokusie zaatakowania drugiej, jako że tamta jest depozytariuszem najcenniejszego dobra tejże szkoły! — wykrzyknął Pięć Zakazów.

—Dobrze to zrozumiałeś — pochwalił stary lama. — Ponadto co pięć lat odbywa się w Samye spotkanie, które ma na celu podtrzymanie ugody. Chodzi o to, aby wszyscy zwierzchnicy szkół, dla upewnienia się, że ugoda trwać będzie przez następnych pięć lat, okazali innym cenną relikwię, która przypadła im na spotkaniu w Lhasie.

—A to ci sprytny sposób! Przypomina postępowanie z zakładnikami, często synami księcia albo i króla, których wymieniały między sobą Walczące Królestwa, w czasach gdy Chiny nie były jeszcze cesarstwem! — zauważył Pięć Zakazów.

—W istocie, procedura ma na celu uniknięcie nieporozumień! — dodał niewidomy lama.

—Wasze słowa pozwalają wywnioskować, że mimo wszystko do jakiegoś doszło! — zauważył młody mahajanista.

—Sześć lat temu, w Lhasie, losowanie zadecydowało, że każda szkoła odzyska własny skarb! Wielkiemu Wozowi przypadła *Sutra o logice Czystej Pustki,* lamaizmowi tybetańskiemu święta mandala wadżrajany, a Małemu Wozowi Oczy Buddy...

—Przestały więc pełnić rolę rękojmi! — wykrzyknęła Umara.

—Dlaczego nie przeprowadziliście ponownego losowania? — dopytywał się Pięć Zakazów, którego logiczny umysł dążył do usunięcia za wszelką cenę słabych punktów, jakie dostrzegał w słowach lamy Gampo.

—Ponieważ Szalony Obłok, człowiek, którego wyznaczyliśmy, żeby przeprowadzał wszystkie losowania, energicznie nas od tego odwodził. Ten drań przekonał nas, żeby powierzyć mu

wybraną losowo jedną rękojmię, argumentując, że ten krok zagwarantuje pokój między szkołami. Dalecy od podejrzewania go o dwulicowość, uznaliśmy nawet tę myśl za genialną! W sytuacji gdy wskutek losowania przestała działać zasada spotkania w Lhasie, Szalony Obłok posłużył nam w pewnym sensie za poręczyciela. W ten sposób przejął, przy naszej pełnej zgodzie, świętą mandalę wadżrajany. Możesz więc wyobrazić sobie konsternację nas wszystkich, gdy po daremnym oczekiwaniu przez trzy kolejne dni stwierdziliśmy, że nie zjawił się na ostatnim spotkaniu pośrednim, tym z roku ubiegłego! — wyjaśnił niewidomy starzec, którego trójka wędrowców słuchała w skupieniu.

—Zatem Szalony Obłok próbował was oszukać! Ale jak mogliście dopuścić do waszych spotkań tego osobnika, którego dziwne zachowanie dowodzi jego dwulicowości? — wykrzyknął wzburzony Pięć Zakazów.

—Jak to zwykle bywa, za sprawą czystego przypadku! Nigdy nie wolno nikomu ufać za bardzo. Zdarzyło się to w trakcie przedostatniego spotkania w Lhasie, sześć lat temu. Szukaliśmy kogoś uczciwego i szczerego, kto wyręczyłby nas w ciągnięciu losów i przydzielaniu rękojmi.

—A jak robiliście to wcześniej?

—Każdy z nas rzucał przypadające mu kamyki na ziemię. Według tego, jak upadły, decydowaliśmy, kto bierze tę czy inną rękojmię. Pewnego razu ręka Buddhabadry, na którego przyszła kolej, zaczęła drżeć tak bardzo, że musiał kilka razy rzucać kamyki, które padały zawsze w taki sam sposób, uniemożliwiając przeprowadzenie przydzielania. No i to on dał nam radę, tuż przed drzwiami Pagody Gęsi, żebyśmy zwrócili się do nieznajomego ascety, który na oczach zdumionego tłumu zadawał sobie rytualne rany. Układały się one na jego brzuchu w napis *Om!* Uznaliśmy, że człowiek ten musi być niewinny i możemy poprosić go, żeby ciągnął losy... Zgodził się bez wahania i wywiązał z zadania tak doskonale, że pozwoliliśmy mu uczestniczyć w całym spotkaniu. Potem zaprosiliśmy go na

następne, sześć lat temu. Żadnemu z nas nie przyszło do głowy, ile to będzie nas kosztowało!

—Rozumiem, człowiek, któremu powierzyliście rolę poręczyciela, okazał się zdrajcą!

—To prawda! Pomyśleć tylko, że osobnik ten twierdził, iż poszukuje syntezy trzech buddyjskich prądów, jakie reprezentujemy, zapewniając, że każdy z nich darzy szacunkiem... a wszystko po to, żeby nam schlebić i sobie z nas zakpić. To odrażające! — prychnął lama Gampo, na którego pięknym wychudzonym obliczu o białych oczach malowało się oburzenie.

—Wydaje się oczywiste, że to podłe indywiduum, zawładnąwszy mandalą, planowało ukraść Oczy Buddy i *Sutrę o logice Czystej Pustkil* Ale w jakim celu?

—Właśnie! Aby zrealizować syntezę trzech prądów buddyzmu, o jakiej marzył. Ten megaloman musiał roić sobie o spotkaniu w Lhasie, którego byłby jedynym uczestnikiem! Tym razem, w Samye, trafiła mu się doskonała okazja... — dodał w zamyśleniu lama Gampo, jakby także on odkrywał pewne oczywistości, które aż dotąd mu umykały.

—Ten osobnik nie cofnie się przed niczym, żeby zrealizować swoje cele! — zauważył Pięć Zakazów.

—Jest szalony, ale bystry i utalentowany, a zarazem obdarzony umiejętnością przekonywania, bez której nie zdołałby pozyskać naszego zaufania! Poza tym ma przerażającą siłę woli...

Tak więc mistrz Gampo wyjawił wielką tajemnicę, mimo iż trzech uczestników spotkań w Lhasie przysięgło przed obrazem Błogosławionego Buddy, że będą strzegli jej aż do śmierci i przekażą ją wyłącznie swoim następcom.

Ale na Pięć Zakazów, który pogrążył się w rozmyślaniach po wysłuchaniu tej niewiarygodnej opowieści, czekały jeszcze inne niespodzianki.

Zastanawiał się nad trzema cennymi rękojmiami, które dziwnym zbiegiem okoliczności, pod każdym względem przy-

pominającym cud, znalazły się w miejscu, w którym powinny były znaleźć się rok temu, przy okazji owego spotkania, tak zresztą nieudanego.

Jakimi krętymi drogami dotarły one aż tutaj?

Jakże godne swego imienia są te Oczy Buddy, mówił sobie w duchu, spoglądając na diamenty lśniące oślepiającym blaskiem na tle wspaniałej barwnej mandali, która zastępowała szkatułkę.

— Te kamienie są wielkie jak jaja białego orła Dungchung karmo, który żyje na strzelistym drzewie, posadzonym w środku świata! — zauważył Tö Ling.

Dungchung karmo było tybetańską nazwą Garudy, białego orła, który służył za mitycznego wierzchowca bogowi Wisznu.

—Mogę ich dotknąć? — zwrócił się Pięć Zakazów do Kłębka Kurzu.

—Trzeba zapytać o to Umarę! — odparł ze znaczącą miną Chińczyk.

Zaskoczony Pięć Zakazów odwrócił się do młodej chrześcijanki, a ta spuściła oczy.

—To ty, Kłębku Kurzu, masz prawo decydować, kto może wziąć do ręki mandalę wadżrajany, Świętą Rzęsę i Oczy Buddy, bo to przecież ty ocaliłeś je przed grabieżą! Dla mnie to wszystko już przeszłość...— powiedziała jednym tchem zawstydzona Umara.

—Jeśli o mnie chodzi, to nie oddaję czci żadnym relikwiom. Nie mam swojego boga ani buddy czy mistrza! — wykrzyknął Chińczyk, bardzo niezadowolony z odpowiedzi dziewczyny.

Nie kłamał, gdyż nie otrzymał żadnego religijnego ani tym bardziej ogólnego wykształcenia, jako że jedyną szkołą była mu ulica.

—Nie wierzysz więc w nic? — zapytał lama Tö Ling, z miną wyrażającą zarazem politowanie i zgorszenie.

—Wierzę w ludzi; wierzę w dobro i zło; bardzo chciałbym uwierzyć w miłość! Tego dnia byłbym u szczytu szczęścia! — wyznał Kłębek Kurzu, nie odrywając oczu od Umary.

—Co zamierzasz zrobić z relikwiami, które przyniosłeś? Ja oddaję moją do dyspozycji klasztoru Samye — zwrócił się do niego Pięć Zakazów. Siedzący nieruchomo lama Gampo nie odezwał się słowem.

—Pięć Zakazów zadał ci pytanie, Kłębku Kurzu. Co zamierzasz zrobić z relikwiarzem z sandałowego drewna? — spytał Tö Ling.

Pragnąc zachęcić go do podjęcia właściwej decyzji, patrzył to na chłopca, to na lamę Gampo.

— To pudełeczko należy do Umary, to ona je znalazła! A ja zrobiłem tylko tyle, że je ukryłem, nim rozpoczęła się grabież Dunhuangu! Umaro, tylko ty możesz zadecydować. Nie robię ci zresztą prezentu z tych kamieni ani ze świętej mandali, jako że to ty je znalazłaś! — wykrzyknął rywal Pięciu Zakazów, rzucając temu ostatniemu wyzywające spojrzenie.

Miał nadzieję, że Umara pochwyci w locie piłkę, którą właśnie rzucił, bardzo z siebie zadowolony.

Zdumiony jego słowami Pięć Zakazów popatrzył z niepokojem na ukochaną.

Odkrycie, że Umara miała w rękach Oczy Buddy i legendarną mandalę z Samye było dla niego ciosem. Miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg i zaczyna go pochłaniać.

Jak mogła nie powiedzieć mu o tym znalezisku?

— Ale za sprawą jakiego cudu te cenne rękojmie trafiły w twoje ręce, dziewczyno? Zwierzenie za zwierzenie, wydaje mi się, że powinnaś czuć się zobowiązana, żeby mi to wyjaśnić! — odezwał się niewidomy przełożony.

Czując, iż potworność sceny, która stanęła jej znowu przed oczami, ściska ją za gardło, młoda nestorianka postanowiła opowiedzieć o straszliwej zbrodni, jakiej była świadkiem, nie pomijając faktu, że zabrała pudełko, gdy zobaczyła, że Szalony Obłok zasnął.

— Przysięgam, że zabrałam serce z sandałowego drewna zupełnie przypadkiem! — zakończyła we łzach, po czym rzuciła się do stóp przełożonego, niczym mała dziewczynka do stóp ojca.

—Ton twojego głosu upewnia mnie, że nie kłamiesz! Uważam, iż twoja opowieść jest wiarygodna — orzekł starzec, okrywając szerokimi rękawami ramiona Umary.

—A więc Szalony Obłok zamordował Buddhabadrę! Zawsze podejrzewałem, że to osobnik niespełna rozumu! Ale to, co nam opowiedziała Umara, jest potworne! — jęknął Tö Ling.

—Pomyśleć tylko, że zaledwie parę dni temu był tu przejazdem jego pomocnik, który próbował go odnaleźć! — westchnął przygnębiony lama Gampo.

—Mówicie o Orężu Prawa? — zapytał Pięć Zakazów, nie patrząc na Umarę. Był przybity tym, co usłyszał.

Czy mógł zresztą nie mieć żalu do córki Addaia Aggaia o tak grzeszne przemilczenie, które postawiło pod znakiem zapytania zaufanie, którym aż dotąd ją obdarzał?

—Tak, o nim! Biedny mnich przemierzał kraj Bod w poszukiwaniu swego mistrza i jego świętego białego słonia! — wykrzyknął Tö Ling.

—Białego słonia? Spotkałem takiego po drodze! Daję słowo! — wykrzyknął triumfalnie Kłębek Kurzu, uradowany tym, że przypadła mu rola dostarczyciela informacji, które musiały mieć najwyższą wagę, jeśli sądzić po milczącej reakcji jego zdumionych słuchaczy.

—Jeśli spotkałeś w tej okolicy białego słonia, mogło to być tylko święte zwierzę z Klasztoru Jedynej Dharmy w Peszawarze. W kraju Bod nigdy nie widuje się słoni! — zapewnił go Tö Ling.

—Gdzieś go widział? — zapytał lama Gampo.

—Zwierzę znajdowało się w wiejskiej zagrodzie, której właściciele gościli mnie przez jedną noc. Z początku myślałem, że mam przed sobą zjawę, gdy ta ogromna biała góra wyłoniła się ze stajni!

—Skąd wiedziałeś, że to słoń? — zapytał rozbawiony Pięć Zakazów.

—Widziałem te zwierzęta malowane w sutrach ku chwale bodhiisattwy Dizanga, dosiadającego białego słonia o sześciu

kłach! Chłopi, którzy się nim zajmowali, mieli syna trochę młodszego ode mnie, z którym się zaprzyjaźniłem. Powiedział mi, że jego ojciec polował na sobola, gdy nagle natknął się na słonia, w połowie przysypanego śniegiem. Zdołali go wyleczyć i mieli nadzieję, że sprzedadzą go drogo na targu w środkowych Chinach.

—Co za niewiarygodna historia! — wykrzyknął Tö Ling.

—Zaiste! — przyznał Pięć Zakazów. Nowina, którą chciał czym prędzej podzielić się ze swym przyjacielem, Orężem Prawa, złagodziła nieco jego smutek.

—Zbliża się godzina naszego rozstania. Umaro, nie powiedziałaś Pięciu Zakazom, czy może dotknąć Oczu Buddy! — zwrócił się do młodej chrześcijanki mistrz Gampo, który przypomniał sobie, że nadchodzi pora modłów.

—Oczywiście, że może! Jeśli tego pragnie, może je sobie nawet wziąć! — szepnęła ze ściśniętym gardłem Umara, nie ośmielając się spojrzeć na ukochanego.

—Relikwie te należą do Klasztoru Jedynej Dharmy w Peszawarze — odparł Pięć Zakazów. Mimo rozczarowania bardzo chciał wziąć do ręki Oczy Buddy, które manipa nazywał tak ładnie „bezcennym talizmanem". Zastanawiał się przez chwilę, po czym sięgnął po nie.

Dwa święte kamienie z Relikwiarza Kaniszki, które od wieków były przedmiotem czci milionów wiernych, znalazły się w zagłębieniu jego dłoni, jakby wykonywał gest *varada-mudra,* czyli ofiarowywania.

Trzymał w dłoni Oczy Buddy!

Z powodu swych rozmiarów i czystości musiały mieć ogromną wartość materialną, jeśli wziąć pod uwagę ceny, za jakie jubilerzy z Jedwabnego Szlaku sprzedawali diamenty mniej okazałe.

A przecież nie były tym, za co uważali je pielgrzymi, którzy podążali do Peszawaru, żeby wziąć udział w procesji do przechowującego je relikwiarza, nie były prawdziwymi oczami Buddy. Dwa wielkie kamienie stanowiły tylko ich symbol.

Zatopiony w rozmyślaniach Pięć Zakazów wyobrażał sobie wściekłość i rozpacz, jaka ogarnęłaby tłum wiernych, gdyby ktoś powiedział, iż biały słoń z klasztoru niesie jako relikwię dwa diamenty, odznaczające się wprawdzie nadzwyczajnymi rozmiarami i blaskiem, ale z całą pewnością niebędące oczami Buddy.

Z tych powodów Pięć Zakazów, jak każdy podobny mu wierny wyznawca mahajany, nie należał do tych, którzy darzyli relikwie aż taką czcią, że byli gotowi wszczynać święte wojny, aby wejść w ich posiadanie.

Ledwie odłożył diamenty na jedwab, gdy Kłębek Kurzu, uzbrojony w swój najpiękniejszy uśmiech, pospiesznie włożył wszystko do serca z sandałowego drewna i wręczył je Umarze.

—Dziękuję ci, Kłębku Kurzu, ale myślę, że trzeba zostawić te relikwie tutaj! Wielebny lama Gampo wyjaśnił nam, że święta mandala od dawna należy do klasztoru Samye. Uważam za oczywiste, że tu wróci — powiedziała dziewczyna, coraz bardziej załamana z powodu ponurej miny Pięciu Zakazów.

—Być może! Ale czemu nie miałabyś zatrzymać przy sobie przynajmniej Oczu Buddy i Świętej Rzęsy? Sam odkryłem ten święty włosek, taki maleńki i wciśnięty w kąt pudełka, mimo to uważam, że należy do ciebie — oświadczył Kłębek Kurzu, pragnąc ze wszystkich sił sprawić przyjemność wybrance swego serca.

—Święta Rzęsa i Oczy Buddy będą tu bezpieczne! Po wydarzeniach w Dunhuangu lepiej, żeby zaczekały spokojnie na prawowitego właściciela. Te relikwie nie należą do mnie! Jeśli znalazły się w moich rękach, to nie dlatego, że chciałam je sobie przywłaszczyć! — odparła młoda chrześcijanka.

—Mylisz się, Umaro! Powinnaś zachować to, co do ciebie należy. Jestem pewny, że Pięć Zakazów jest tego samego zdania! — rzucił wyzywającym tonem Kłębek Kurzu, zwracając się do swego rywala.

—Nie potrzebuję tych relikwii! Powinny zostać tutaj! — wykrzyknęła zniecierpliwiona Umara.

—Co do mnie, to nie zmieniłem zdania. Powierzam sutrę Czystości Pustki klasztorowi Samye i wyrażam pragnienie, czcigodny mistrzu, aby któregoś dnia mogło się odbyć w Lhasie kolejne spotkanie. Wydaje mi się, że jest to szlachetne przedsięwzięcie, i żałuję, że okoliczności uniemożliwiły właściwy przebieg waszego spotkania pośredniego — odparł urażonym tonem Pięć Zakazów i wstał, żeby się pożegnać.

—Oby Błogosławiony wysłuchał twoich życzeń, synu! Nie przestaję go o to błagać... — rzekł cicho niewidomy starzec.

—Kto wie, mistrzu? Być może będziecie potrzebowali tych relikwii prędzej, niż myślicie... — dodał uprzejmie Pięć Zakazów.

—Umaro, dziękuję ci za zaufanie, jakie okazujesz swym gestem temu przybytkowi. Zamkniemy relikwie na cztery spusty w bibliotece klasztoru i pozostaną tam tak długo, jak będzie trzeba! Wierz mi, będziemy ich strzegli jak źrenicy własnego oka, nawet jeśli moje nie służą mi do niczego, niestety! — obiecał czcigodny mistrz Gampo, a potem także się podniósł. Kłębek Kurzu obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

Nadszedł czas, żeby się pożegnać z przełożonym, który udawał się do sali modlitewnej, aby poprowadzić kolejne modlitwy w tym dniu.

Pięć Zakazów był załamany.

Miał ochotę zostawić wszystko, wspiąć się na któryś ze szczytów Dachu Świata i nigdy stamtąd nie wrócić, lub może przywołać na pomoc taoistycznego smoka, żeby poprowadził go przez chińskie morza i pozwolił mu skosztować nefrytowej pomarańczy, dzięki której zapomniałby o wszystkich zmartwieniach, z Umarą włącznie.

Dotrzymanie przyrzeczenia danego Czystości Pustki nie miało już dla niego znaczenia. Na nic mu była *Sutra o logice Czystej Pustki* z jej ezoteryczną sofistyką.

Wychodząc z izby lamy Gampo, był zdruzgotany, czuł się zdradzony przez istotę, którą tak bardzo kochał.

Co do Kłębka Kurzu, to był on prawie tak samo wytrącony z równowagi jak jego rywal.

Jego plany wzięły w łeb.

Umara nie tylko nie podchwyciła pomysłu, który jej podsunął, rezygnując z zatrzymania Oczu Buddy i Świętej Rzęsy, ale nie wydawało się, żeby odczuwała wobec niego choć odrobinę wdzięczności.

Dwaj Chińczycy mieli jednakowo ponure miny, gdy nieco później, po południu, lama Tö Ling zaprosił ich, żeby wraz z Umarą obejrzeli klasztorną bibliotekę.

Główny archiwista pokazał im skarb, na jaki składała się ogromna kolekcja iluminowanych rękopisów, dzieła kopistów, którzy, wysuwając języki, pilnie nad nimi pracowali, pochyleni nad długimi stołami, zastawionymi miriadami maleńkich pojemniczków z roślinnymi barwnikami we wszelkich odcieniach kolorów tęczy.

Lama otworzył też pomieszczenie bez okien, z masywnymi drzwiami, w którym zamknięto na cztery spusty cztery „cenne rękojmie".

Gdy nadszedł wieczór, ani Umara, ani Pięć Zakazów nie zwrócili uwagi na rozgoryczenie, z jakim Kłębek Kurzu życzył im dobrej nocy.

Upokorzony i zawiedziony zrozumiał, że młoda nestorianka woli Pięć Zakazów niż jego i że mała szkatułka w kształcie serca nic dla niej nie znaczy wobec uczuć, jakimi obdarzyła młodego i urodziwego chińskiego mnicha Wielkiego Wozu.

A zresztą sposób, w jaki na niego patrzyła po spotkaniu u lamy Gampo, choć był ponury i na nią obrażony, odtrącając jej pojednawcze gesty, mówił wiele o uczuciach młodej chrześcijanki!

W tej sytuacji Kłębek Kurzu nie miał żadnej szansy, żeby ją zdobyć, toteż rzuciwszy się na łóżko w swojej izbie, zaczął szlochać z wściekłości.

Czy po uratowaniu szkatułki nie lepiej było sprzedać cenne rękojmie jubilerowi albo sprzedawcy starożytności, włożyć do kieszeni sporą sumkę pieniędzy i pędzić spokojny żywot gdzieś na uboczu, starając się ostatecznie zamknąć rozdział związany z Umarą?

Dlaczego los tak się na niego uwziął, każąc mu ją spotkać na jednej z niezliczonych ścieżek największego górskiego masywu świata, skoro oddała serce innemu?

Umara i Pięć Zakazów byli nie mniej poruszeni.

Gdy znaleźli się sami w swojej izbie, powitani radośnie przez Lapikę, pobladła i drżąca Umara rzuciła się z płaczem do stóp ukochanego.

Pięć Zakazów, który przez cały dzień musiał robić dobrą minę do złej gry, w końcu mógł wyładować złość.

Wielkie płowe psisko zauważyło, że między jego opiekunami dzieje się coś poważnego, i zbite z tropu, zwinęło się w kłębek w kącie izby.

— Umaro, dlaczego nie powiedziałaś mi o tym pudełku? Myślałem, że między nami nie ma żadnych sekretów... Po czułem się tak, jakbyś wbiła mi ostry sztylet w serce! Między nami wszystko skończone! — wykrzyknął wzburzony.

Niezdolna wykrztusić słowa, Umara rozpłakała się na dobre.

— Powiem ci, co zamierzam zrobić — ciągnął Pięć Zaka zów. — Wrócę do Luoyangu i poproszę Czystość Pustki, żeby mi wybaczył... Wrócę do życia, którego nie powinienem był nigdy porzucać. Jakiż byłem naiwny! Jak mistrz Gampo, kiedy uwierzył Szalonemu Obłokowi!

Umara płakała tak, że ledwo mogła mówić.

— Pięć Zakazów, wybacz mi! Myślałam, że postępuję dobrze. To p...pudełko leżało na ziemi koło trupa Budhab...b...badry. Zabrałam je bezwiednie. A gdy już byłam na zewnątrz, to je o...otworzyłam. Zawartość wydała mi się tak nadzwyczajna, że pobiegłam schować je w bezpiecznym miejscu, w tej skrytce z k...k...księgami, którą odkryłam razem z K...kłębkiem K...kurzu! Komu mogłam o nim ppowiedzieć, jeżeli nie jemu?

Te tłumaczenia nie tylko nie uspokoiły młodzieńca, ale jeszcze bardziej go rozwścieczyły.

—Ale dlaczego nie opowiedziałaś mi o tym wcześniej? Znamy się od miesięcy! — krzyknął, porwał z łóżka poduszkę i cisnął ją na ziemię.

—Bałam się!

—Masz mnie za głupca? Jak mogłaś się mnie bać?

—Pewna osoba nie kazała mi nigdy i nikomu mówić o tym pudełku, pod groźbą, że sprowadzę nieszczęście na tego, komu o nim powiem! Bałam się, że zrobię ci krzywdę, jeśli wyjawię, co zawierał relikwiarz z sandałowego drewna... — wyjąkała, pociągając nosem, po czym spróbowała przytulić się do Pięciu Zakazów.

—Kto wbił ci do głowy takie bzdury?

Jak wszyscy zawiedzeni kochankowie, Pięć Zakazów nie wierzył jej.

—To był Skupienie Powagi! Przysięgam na głowę mego ukochanego ojca! To święta prawda! A zresztą wiem, że miał rację, kiedy widzę, jakie nieszczęście sprowadziłam na ciebie, wyjawiając ci... — zdołała wykrztusić przez łzy, między dwoma szlochnięciami.

—Masz na myśli przełożonego Klasztoru Zbawienia i Miłosierdzia z Dunhuangu? Ależ to niewiarygodne! Co on robi w całej tej historii, Umaro?

Córka biskupa Addaia Aggaia lała łzy tak rzęsiste, że szal, który przyciskała do piersi, był zupełnie mokry.

— Poszłam pokazać mu to, co znalazłam w szkatułce. Byłam pewna, że są to wartościowe rzeczy. W swej naiwności chciałam zaproponować mu, żeby je ode mnie odkupił. Ten wielki mahajański klasztor miał opinię niezmiernie bogatego. Tuż przed naszym spotkaniem odkryłam, że ojciec popadł w kłopoty z powodu wstrzymania tkania jedwabiu. Pomyślałam, że to może być skuteczny sposób na zdobycie pieniędzy dla naszego Kościoła w momencie, gdy jego zasoby finansowe tak nagle wyschły!

—A więc poszłaś do Skupienia Powagi, żeby spieniężyć świętą mandalę i Oczy Buddy — stwierdził nieco łagodniejszym tonem Pięć Zakazów.

—Zapewniam cię, myślałam, że robię dobrze!

—I co ten człowiek ci powiedział?

—Udał, że nie kojarzy z niczym tego, co mu pokazałam, i uparcie odmawiał wyjaśnienia mi, co to naprawdę jest. Byłam przekonana, że mnie okłamuje. Zapewnił mnie w końcu, że te przedmioty nigdy nie powinny znaleźć się w moich rękach i przyniosą nieszczęście każdemu, komu odważę się o nich powiedzieć, ponieważ rzucają straszliwy urok. Więc najlepiej będzie, jeżeli zostawię je u niego na przechowanie!

—Ten podlec Skupienie Powagi po prostu chciał cię oszukać!

—Byłam naiwna i mu uwierzyłam, kiedy zapewnił mnie, że te skarby rzucają zły urok. Stąd moje milczenie!

—Dlaczego nie zostawiłaś ich u niego? — drążył Pięć Zakazów.

—Po prostu dlatego, że chciałam zdobyć pieniądze! Jeszcze podczas rozmowy straciłam zaufanie do tego Skupienia Powagi. Zrozumiałam, że chce wejść w posiadanie tych skarbów.

—No i ukryłaś pudełko w skrytce!

—Skupienie Powagi nalegał, żebym mu je oddała! Widząc, że nie wypuszczam go z rąk, próbował nawet nie dopuścić, żebym wyszła z tym pudełkiem z jego izby. Napierał na mnie tak, że jego cuchnący oddech prześladował mnie długo potem! Zagroziłam mu, zapewniając, że mój ojciec wie o tym, że do niego poszłam, i Skupienie Powagi wreszcie ustąpił... Wierz mi, zrobił to niechętnie...

—I trzymałaś to wszystko w sekrecie! Teraz lepiej rozumiem dlaczego, moja słodka, kochana Umaro!

Wzruszony Pięć Zakazów wziął ją w ramiona.

— Nie mogłam postąpić inaczej! Po prostu przejęłam się słowami tego mnicha i przerażała mnie myśl, że ci zaszkodzę, kochany, mówiąc o tym pudełku! Tylko Jedyny Bóg wie, ile

mnie to kosztowało! Mam nadzieję, że nie będziesz już miał do mnie żalu... — mówiła, ocierając łzy.

—Jakżebym mógł, kochana? To raczej ten Skupienie Powagi zachował się podle. Jako buddysta uważam jego postępowanie za niedopuszczalne, zwłaszcza u mnicha jego rangi!

—Pomyśleć, że ktoś zrobił to małe pudełeczko, żeby budziło takie żądze! Lepiej mu będzie w bibliotece Samye — podsumowała Umara i mocniej przytuliła się do ukochanego.

Umara i Pięć Zakazów tej nocy oddali się miłosnym igraszkom z jeszcze większym zapałem niż dotąd.

Krótkotrwały kryzys wzmocnił tylko żarliwość ich uścisków.

Teraz, gdy intymne zakątki obojga nie miały dla nich żadnych tajemnic, wystarczało niewiele, aby wyzwolić dreszcz pożądania, które niosło ich rosnącą falą aż na szczyt rozkoszy.

Umara skropiła się perfumami, nim dołączyła do Pięciu Zakazów, który czekał na nią w łóżku.

Była naga i jej brzuch, gładki niczym piaszczyste wydmy pustyni Gobi, wibrował podnieceniem. Małe różowe wargi jej sromu, widoczne pod delikatnym puszkiem, pulsowały łagodnie, gdy wyciągnięty na plecach kochanek zaczął pieścić je czubkiem swego stwardniałego trzonka.

Kiedy kciukami i palcami wskazującymi ujął czubki jej rozkosznych piersi, pochyliła się nad nim i najszerzej rozchyliła swoje smukłe uda.

— Jesteś źródłem, a ja chcę z niego pić, moja kochana słodka Umaro! — szepnął Pięć Zakazów, próbując wyczuć, jak bardzo jest podniecona.

Przesunął ją do przodu, tak że u wejścia swej intymnej furtki miała teraz język kochanka; jego koniuszek zagłębiał się w niej jak najsłodszy miecz, wywołując falowanie jej brzucha, którego powierzchnia napięła się jak skóra na bębenku.

— Nie mogłabym zapanować nad sobą po torturach, jakie mi zadałeś! — jęczała.

—Daj się ponieść rozkoszy, kochana. Jestem tylko biednym niewolnikiem, umierającym z pragnienia w ramionach księżniczki, której najmniejsze pragnienie będzie mi rozkazem... — wyszeptał, a potem zanurzył twarz między gorącymi udami omdlewającej kochanki.

—Jak dobrze czuć twój rozedrgany język... Mam wrażenie, jakby z mojego brzucha tryskało źródło miłości! — Pochyliła się nad nefrytowym trzonkiem kochanka, żeby obdarzyć go pieszczotami.

—Źródło wiecznej młodości o smaku owocu cedratu! Wiesz, że w Chinach nazywamy ten owoc „ręką buddy", z powodu dziwnego kształtu, który przypomina otwartą dłoń? — powiedział ze śmiechem Pięć Zakazów.

Jeszcze kilka miesięcy temu nie pozwoliłby sobie na podobne żarty w jej obecności, sięgając po to określenie cedratu, które buddyjscy przełożeni na próżno usiłowali wykreślić ze słownika.

Zdawał sobie sprawę, że miłość Umary czyni z niego wolnego człowieka, istotę nieulegającą religijnym przesądom.

Jego wiara w Buddę i jego naukę pozostała nienaruszona.

Co więcej, odkąd połączył swoje życie z życiem tej młodej nestorianki, miał wrażenie, że jest jeszcze głębsza.

Nim Umara zabrała się znowu do oddawania miłosnej czci narządowi kochanka, zdołała w przerwie między dwoma oddechami wśliznąć się językiem do jego ucha, co lubiła coraz bardziej.

Podobnie jak to się działo z buddyjską wiarą Pięciu Zakazów, także chrześcijańskie przekonania młodej kobiety, oparte na wierze w Jedynego Boga, który jest miłością", nie przestały się umacniać od czasu odkrycia, na czym dokładnie polega miłość między mężczyzną i kobietą.

Leżąc na wąskim łóżku izby, której drzwi zaryglowali, żeby nikt im nie przeszkodził, pochłonięci byli obdarzaniem się nawzajem miłością.

Nie potrzebowali żadnej tantry ani pierwiastków *yin* i *yang,*

aby dopasować się do siebie tak doskonale, jak jedyny kluczyk od wytwornej szafki z różanego drewna, w której cesarzowa Wu Zhao przechowywała swoje klejnoty, pasował do zamka ze złoconego brązu.

Jego mechanizm był zresztą tak skomplikowany, że opierał się wszystkim wytrychom cesarskiego pałacu w Chang'anie...

A Bóg tylko wie, ile tych wytrychów było!

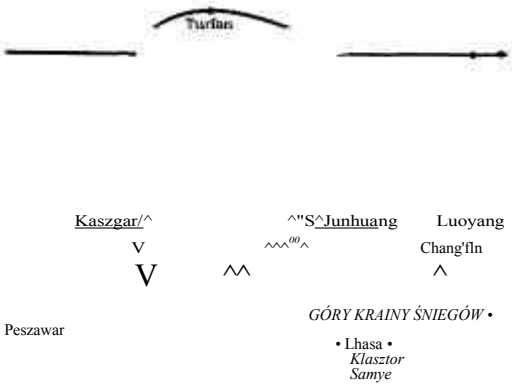

14

Pałac generała Zhanga, Chang'an, Chiny

— Należało posłać tej uzurpatorce Jadowitą Piątkę i więcej by się o tym nie mówiło! Zwłaszcza że znowu jest w ciąży! Oby przynajmniej nie był to chłopiec! — zabrzmiał uszczypliwy głos generała Zhanga, który przed przybyciem gości spalił dyskretnie specjalną mieszankę, która miała łagodzić nastrój.

Na *Wudu, czyli* Jadowitą Piątkę, składały się takie niezbyt miłe zwierzątka, jak wąż, pająk, skorpion, ropucha i stonoga, i chociaż aptekarze sporządzali z ich jadu lub z wysuszonej i rozkruszonej skóry silnie działające wywary, dodające sił staruszkom i chorym, lepiej było nie nastąpić na któreś z nich w lekkich sandałach!

Po cotygodniowej partii polo konfucjanista i były pierwszy minister

cesarza Taizonga miał plecy jak z waty. Ta przybyła z Persji gra robiła furorę na dworze Tangów, gdzie od czasu gdy rozmiłował się i rozsmakował w niej ów słynny władca, grali w nią wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Tego popołudnia wokół starego dygnitarza zebrał się prawdziwy trybunał, mający zadecydować o wszczęciu stosownego postępowania, by postawić cesarzową Wu Zhao w stan oskarżenia.

Dla tych wysokiej rangi, ale bezsilnych wobec małżonki Gaozonga ludzi był to jedyny sposób na danie ujścia frustracji, wywołanej całkowitą niemożnością zapanowania nad sytuacją, którą oceniali jako coraz groźniejszą. Uzurpatorka nie przestawała bowiem wywierać wpływu na coraz słabszego i zarazem kapryśnego małżonka."

Tylko nienawiść do cesarzowej połączyła tych ludzi, którzy poza tym rywalizowali ze sobą i gorąco się nienawidzili.

W ich gronie znaleźli się oczywiście minister jedwabiu Skuteczność Pozorów i prefekt Li, a także sekretarz generalny administracji cesarskiej Lin Shi, wuj byłej żony Gaozonga, pani Wang, oraz Han Yuan, wielki kanclerz cesarski.

—Dobrześ to rozegrał, przygotowując bez jej wiedzy wydanie dekretów dotyczących manichejczyków i nestorianów! — powiedział stary generał do wielkiego kanclerza, którego jednym z zadań było właśnie uruchamianie procedur prowadzących do publicznego ogłaszania rozporządzeń poprzez umieszczenie ich na murach Wieży Ogłoszeń.

—Mówią, że cesarzowa wpadła we wściekłość. Poskarżyła się Gaozongowi, ale było już za późno! Dekrety zostały wywieszone. Musiałem się jednak wykłócać, żeby tego dopiąć! — odparł Han Yuan, który wciąż cieszył się z tego wyczynu, tak silnymi wpływami cieszyła się Wu Zhao w kręgu służb administracyjnych.

Jak zawsze, zadanie pierwszego pchnięcia wziął na siebie stary wojskowy.

—Sytuacja — powiedział skrzekliwym głosem — zaczyna przyprawiać o zawrót głowy. Ona właśnie zbzikowała na punkcie dziwacznego osobnika, który zawitał do Chang'anu na grzbiecie białego słonia! Nie przeszkodziło jej nawet to, że jej cesarski brzuch ciągle rośnie!

—Odkąd zaczęła się z nim zadawać, wydaje się, jakby płynęła na małej chmurce... — parsknął sekretarz generalny Lin Shi, zachwycony wymyśloną przez siebie grą słów, albowiem ostatnia zdobycz Wu Zhao nosiła imię Biały Obłok.

Sekretarz był brodatym mężczyzną, równie chudym i suchym, jak Han Yuan był gruby i spocony.

—Nikt nie wie, skąd przybył ani kim jest nowy wybranek jej serca. Co do Gaozonga, przekonanego, że żona oczekuje jego dziecka, to jest on ostatnim człowiekiem, który potrafiłby czegokolwiek się domyślić! — dodał uszczypliwym tonem Lin Shi, którego wąskie usta sączyły tylko nienawiść i pogardę.

—Znalazła tego człowieka na targowisku z ziołami w środku miasta. Od trzech dni siedział tam półnagi w pozycji lotosu, nie jedząc i nie pijąc, tuż obok nieskalanie białego słonia, wielkiego jak góra mąki... Dobrze przygotował swoją sztuczkę i nie musiał czekać zbyt długo. Jestem pewny, że ona już wcześniej zwęszyła przybycie tego osobnika, do którego ustawiają się kolejki chorych, pragnących zostać wyleczonymi! Moi agenci donieśli mi, że na niektórych targowiskach doszło do prawdziwych rozruchów — dodał z poirytowaną miną prefekt Li.

—Szepcą, że ma on nawet bezsporne talenty, dzięki którym zapewnia nieśmiertelność — prychnął nerwowo minister jedwabiu, Skuteczność Pozorów.

—O ile mi wiadomo, nie jest to jednak taoistyczny *fang-shi!* — wtrącił wielki kanclerz cesarski, a grymas na jego twarzy świadczył o głębokiej pogardzie, jaką żywił względem osobników tego pokroju.

—Ona ciągle otacza się czarownikami i magami, a jeden dziwaczniejszy od drugiego! Wczoraj był nim jasnowidz, znawca fizjonomii, który twierdził, że odczytuje charaktery ludzi z ich twarzy! Innym razem taoistyczny uzdrowiciel zapewniający, że posiada proszek z nefrytowych owoców drzew z Wysp Nieśmiertelnych! Dzisiaj jest ten nawiedzony, podróżujący na białym słoniu! Jutro będzie z pewnością jakiś mazdaistyczny mag. Tylko jego brakuje w jej spisie upolowanej zwierzyny! — powiedział ze złością stary generał.

— Ta kobieta zawsze miała dar przyciągania awanturników. Przypomnijcie sobie tego dziwacznego wróżbiarza *fangshi,*

specjalistę od akupunktury. Zaśmiewano się, że przechadza się całkiem goły po prywatnych apartamentach cesarzowej! Ale były to kaprysy trwające nie dłużej niż dwa albo trzy dni. Ta awantura ciągnie się już prawie dwa miesiące! To sprawa bardziej niż niepokojąca! — podsumował Lin Shi.

—Wszystko to źle się skończy! — dorzucił minister jedwabiu, którego słowa były doskonałą ilustracją jego opinii głupca.

—Miejcie się na baczności! Ona jest sprytniejsza, niż się wam wydaje! Nadal robi wszystko, żeby zjednać sobie buddystów. Przyjrzyjcie się, jak zręcznie próbuje wkraść się w łaski uczonych konfucjanistów, którymi zresztą nadal pogardza! — westchnął Lin Shi.

Tym, co uderzało w wyglądzie generalnego sekretarza administracji cesarskiej, bardziej jeszcze niż jego pozbawiona zarostu, trochę zniewieściała twarz, była długość jego mandaryńskiego warkocza, który wychodził z czubka jego czaszki, golonej codziennie przez fryzjera, i sięgał do połowy pleców.

— Mówisz o antologiach poematów, pisanych rzekomo przez wybitne kobiety, jakie zamówiła w Akademii Północnej Bramy? To śmieszne! — prychnął były premier Taizonga.

Konfucjańscy uczeni, najbardziej zaciekle przeciwstawiający się uzurpatorce, rzeczywiście mieli zwyczaj zbierać się co czwartek w sali położonej na pierwszym piętrze Bramy Północnej pałacu cesarskiego.

—To może być śmieszne, mój generale, ale jest też bardzo skuteczne! Podarowała w ten sposób sześć miesięcy pracy rozgoryczonym archiwistom, skrybom i kopistom, którzy w większości są opłacani za to, że nic nie robią. Nade wszystko jednak umiała im się przypodobać. Moi agenci stwierdzają znaczną zmianę ich stosunku do Wu Zhao. Nie tylko przestali sarkać, ale bezustannie obsypującąpochwałami! — odciął się odważnie staremu konfucjaniście prefekt Li.

—Ładne rzeczy! Ci intelektualiści gotowi są zmienić po-

glądy za sprawą dwóch pociągnięć pędzelkiem! — Lin Shi pokręcił głową, aż jego długi warkocz zakołysał się powoli.

— Jeżeli o to chodzi, to zamiast o pędzelku, wspomniałbym raczej o *tiebi!* — dodał z nagłym ożywieniem prefekt Li.

Tiebi, czyli „pędzel z żelaza", służył do rycia w twardym kamieniu pieczęci, którymi uczeni, ministrowie, mandaryni, a nawet sam cesarz, znakowali urzędowe teksty, poematy albo malowidła.

—A gdybyśmy poszli do Gaozonga i powiedzieli mu, że jego żona doprowadza go do ruiny? — spytał zirytowany tym plotkowaniem sekretarz generalny administracji cesarskiej.

—Na cesarza Chin nie można liczyć. Spotkaliśmy się z zupełnym brakiem reakcji z jego strony, gdy Wielki Cenzorat próbował jak najdyskretniej uprzedzić go kilka miesięcy temu, że jego żona gości w samym środku pałacu cesarskiego dwójkę intruzów. To wiele mówi zarówno o postępach jego choroby, jak i o coraz większym oderwaniu od spraw państwa. Interesują go wyłącznie młode dziewczyny — mruknął prefekt Li.

—Pierwszorzędna nowina! Intruzi? W samym środku cesarskiego pałacu? Ależ ja chyba śnię! — wrzasnął wielki kanclerz Han Yuan do swego odwiecznego rywala, Wielkiego Cenzora.

Epizod ten był mu doskonale znany, udał jednak, że dowiaduje się o nim teraz, żeby wprawić w zakłopotanie prefekta Li.

— Jak na nieszczęście, to nie sen! Gościła byłego buddyjskiego mnicha i młodą nestoriankę. Kiedy próbowałem wytłumaczyć na wysokim szczeblu, że jest to sytuacja nie do przyjęcia... — ciągnął w prostocie ducha ten ostatni.

Przerwał mu ostro stary generał:

—Wszyscy znamy tę godną pożałowania historię! Nie ma sensu o niej przypominać. Biedny Gaozong jest całkowicie pod wpływem żony. Ona trzyma go pod pantoflem i nim manipuluje. Niestety, jej wpływ na niego ciągle rośnie!

—Ośmielę się wspomnieć, że ostatnio ma co innego w gło-

wie: zakochał się w młódce, która nie skończyła jeszcze piętnastu lat! — wtrącił Wielki Cenzor.

— Cesarz największego kraju świata wydany na pastwę młodych dziewczyn! Oto dlaczego żaden wysoki urzędnik nie robi już władcy prezentu z jelenia, narysowanego na papierze pakowym! — dodał Lin Shi, śmiejąc się z przymusem.

Według dawnego zwyczaju w ten sposób powiadamiano władcę o pragnieniu wspięcia się na wyższy szczebel administracji — słowo *lu* można było wymawiać tak, że oznaczało „jelenia", ale i „szczęście", „łaski", a nawet „wynagrodzenie".

—Urzędnicy to pragmatyczni ludzie! Kiedy czują się bezpieczni, wolą nie narażać się na afronty... — parsknął gruby Han Yuan.

—Nie mówicie przypadkiem o tej ulicznicy Helan Guochu? — spytał generał Zhang, którego mina świadczyła o tym, że niezbyt ceni ten rodzaj humoru.

—Faktycznie. Ona jest siostrzenicą Wu Zhao i jej ciocia nie bez powodu łaskawym okiem spogląda na tę idyllę! — odparł z mądrą miną Han Yuan.

Młoda Helan Guochu była córką starszej siostry Wu Zhao i głośny romans, jaki nawiązała z Gaozongiem, bawił plotkarzy.

—Okazuje się, że gotowa jest rzucić siostrzenicę w ramiona własnego męża! — westchnął stary Zhang.

—A te rzekome Niebiańskie Bliźnięta, które powierzyła wielkiemu klasztorowi w Luoyangu! Pozwala sobie twierdzić, że posiadają jakąś szczególną moc, zwłaszcza dziewczynka, która ma połowę twarzy pokrytą włosami, jak mały koczkodan! Nie wiadomo, skąd te dzieci się wzięły! Do czego to podobne? Jeszcze jedna tajemnica, której Wielki Cenzorat nie potrafił rozwikłać, choć to jego zadanie! — rzucił stary generał zjadliwie.

—To przecież moi ludzie powiadomili pana, drogi generale, że przekazała te dzieci do Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa — odparł Wielki Cenzor, którego ustawiczne docinki starego wojaka zaczynały irytować.

Popłynęła rzeka żółci i skarg na postępki uzurpatorki.

—Grozi nam susza i jej zachowanie z pewnością zacznie w końcu szokować ludzi!

—Żniwa w ubiegłym roku były nieudane, a susza zagraża także tegorocznym zbiorom... Jeśli na kraj spadnie głód, to ludzie mogą odebrać niebiański mandat Gaozongowi, ale nie Wu, która go zresztą nie otrzymała!

—Nie pada od dwóch miesięcy. Niebawem wyschnie rzeka Luo He... To dla Gaozonga zły znak...

—Panowie, dość tego gadania! Co proponujecie zrobić z tą uzurpatorką? Potrzebuję czynów. Dość mam słów! — rzucił stary generał, zirytowany dyskusją, która nie posuwała spraw do przodu.

Interwencja starego rozgoryczonego konfucjanisty, który czuł się znużony całą tą nienawiścią do cesarzowej, sprawiła, że w komnacie zapadło głuche milczenie.

Tak naprawdę nie było między spiskowcami nikogo, kto miałby dość odwagi i byłby gotów ponieść ryzyko, wytaczając cesarzowej proces, który zaprowadziłby ją na publiczny plac.

A jednak zebrani odczuwali pilną potrzebę takiego kroku, bo wszystkie ich dotychczasowe ataki na władczynię nie odniosły skutku.

Ku ich wielkiemu żalowi, Wu Zhao zdołała przekonać władcę, aby podarł przed obliczem wielkiego kanclerza cesarstwa, który aż pożółkł ze złości, dekret pozbawiający ją wysokiej rangi oficjalnej małżonki, jaki konfucjaniści wyłudzili od cesarza w chwili jego słabości, gdy Wu Zhao przebywała z wizytą na placu budowy w Longmen.

Następnie, pragnąc przenieść stolicę cesarstwa do Luoyangu, gdzie, jak twierdziła, panował przyjemniejszy klimat niż w Chang'anie, wymogła na Gaozongu, by kazał wybudować wspaniałą rezydencję, której wysoki mur zaczynał już rosnąć, choć z powodu kolejnych złych zbiorów podatki napływały nader opornie. A po to, aby rozpowszechnić modę na swój

ulubiony kwiat, piwonię, którą literaci opatrywali ładnym określeniem „kwiatu narodowego" o „niebiańskiej piękności", kazała posadzić na obrzeżach miasta całe pola tych kwiatów, symbolu dynastii Tang.

Przeniesienie dworu do Luoyangu było głównym celem cesarzowej.

Dzięki temu nie tylko znalazłaby się bliżej Czystości Pustki, ale przede wszystkim odcięłaby Gaozonga od konrucjanistów z Chang'anu, którzy byli jej największymi wrogami.

Ci ostatni, dowiedziawszy się o podstępie, nie szczędzili wysiłków, aby wyperswadować cesarzowi Chin spełnienie życzenia żony.

Aż dotąd okazały się one daremne.

Ich uraza i nienawiść do Wu Zhao wzrosły jeszcze bardziej.

W ciszy, jaka zapanowała w komnacie, do starego generała podszedł służący, aby przekazać mu jakąś wiadomość.

— Każ wejść temu człowiekowi! Ale biada ci, jeśli narazisz mnie na stratę czasu! — rzucił generał słudze, który czekał z szacunkiem na odpowiedź.

Chwilę potem do komnaty wpadł jakiś wyraźnie zdenerwowany osobnik.

Jego pobladła twarz i wytrzeszczone oczy świadczyły o strachu, jaki musiał go ogarnąć, zanim się tu zjawił.

—Czy nie jesteś tym Zielonym Kolcem, którego cesarzowa osobiście kazała wydostać z mojego więzienia, i od tamtej chwili nikt go więcej nie widział? — spytał na widok przybysza zaskoczony prefekt Li.

—Dlaczego miałbym was okłamywać? Tak, to ja — wyjąkał zapytany.

—Dzięki temu człowiekowi zniszczyliśmy zagraniczną siatkę handlarzy działającą w naszym kraju! — wyjaśnił Wielki Cenzor.

—A co masz nam do zakomunikowania, żeś się zdobył na ten, bądź co bądź, śmiały krok? — zapytał podejrzliwie generał Zhang.

—To dzięki mnie dwa miesiące temu trafił do Wielkiego Cenzoratu anonimowy list, donoszący o parze, którą cesarzowa Wu gościła potajemnie w pałacu cesarskim. Byłem po drugiej stronie muru, kiedy cesarzowa przyszła, żeby osobiście ich ostrzec i umożliwić im ucieczkę tuż przed przybyciem brygad specjalnych Wielkiego Cenzoratu! — wybełkotał Ujgur, a na jego czoło wystąpił pot.

—Jeśli dobrze rozumiem, jesteś jednym z tych, których nazywa się konfidentami! — zauważył słodkim nagle głosem były minister Taizonga.

—Przychodzę tu, mój panie, żeby potwierdzić to, co widziałem i słyszałem!

—A więc, według ciebie, Wu Zhao świadomie poinformowała tego młodzieńca i tę młodą kobietę o ich bliskim aresztowaniu przez Wielki Cenzorat? — spytał czerwony z wściekłości wielki kanclerz Han Yuan.

—Przecież to właśnie wam mówię! Zrobiła to, żeby uchronić kochanków przed waszym wymiarem sprawiedliwości! Byłem tego świadkiem!

—Dlaczego przyszedłeś, żeby nam o tym powiedzieć? — zainteresował się nieufny prefekt Li.

—Pragnę dostać list żelazny, który pozwoliłby mi dotrzeć do Turfanu. Nie mam tu już nic do roboty. Spędzam dni na słuchaniu śpiewu ptaków w Pawilonie Wodnego Zegara. Czuję się niepotrzebny. Chcę wrócić do siebie — szepnął Ujgur.

Od tygodni rozważał to posunięcie.

Gdy z uchem przyklejonym do muru ogrodu Pawilonu Rozrywek usłyszał, jak Pięć Zakazów opowiada Wu Zhao o spotkaniu Świetlistego Punktu w towarzystwie młodej Chinki niedaleko Nefrytowej Bramy, zawrzała w nim krew.

Mogło chodzić tylko o Nefrytowy Księżyc.

Jego podły rywal zdołał więc ją uprowadzić.

Od tej chwili Ujgur myślał tylko o tym, żeby tam wrócić i spróbować ostatniego manewru, który pozwoliłby mu odzyskać młodą kobietę. Jej wdzięki nie przestawały prześladować nocą

i dniem samotnego, żyjącego w luksusie więźnia, o którego istnieniu władczyni zdawała się zapomnieć na dobre.

—Z jakiego powodu Wu Zhao udzieliła wsparcia tym uciekinierom? — zapytał Lin Shi.

—Robiąc to, podjęła ogromne ryzyko! — wykrzyknął stary generał Zhang, pewien, że ma w ręku informację, która doprowadzi władczynię do upadku.

—Cesarzowa robiła, co mogła, aby wznowiono handel jedwabiem. Buddyjski mnich i młoda nestorianka, których gościła, mają układy z manichejczykami z Turfanu, wyspecjalizowanymi w tkaniu jedwabiu! Dziewczyna jest córką Addaia Aggaia, biskupa. Urządzili to tak, że nestorianie z Dunhuangu tkają przędzę wytwarzaną przez manichejczyków z Turfanu. Potem zajmują się jej rozprowadzaniem tutaj, w całkowicie nielegalny sposób... Nie kazałem pisać o tym w donosie, który otrzymaliście... Tak ważną informację można wyjawić tylko osobiście! — oświadczył teatralnym tonem Zielony Kolec, zachwycony efektem, jaki wywołały jego słowa.

—To są rzeczy nie do wiary! Wu Zhao wspiera ten obrzydliwy handel? — syknął cienki głos ministra jedwabiu, który docenił wreszcie wagę słów zdrajcy.

—Co za skandal! Znając tę kobietę, nie zdziwiłbym się, gdyby okazała się jego mózgiem... — westchnął wielki kanclerz cesarstwa, którego podwójny podbródek trząsł się z oburzenia.

—Przerażające! A więc rządzi nami kobieta, której nie wystarcza, że jest zwykłą uzurpatorką, ale ma konszachty z przemytnikami... Mojemu wielkiemu krajowi grozi upadek! Jeśli idzie o skuteczność Wielkiego Cenzoratu, co do której zadałem sobie w końcu parę pytań, to wiem już, czego się trzymać! — zagrzmiał Lin Shi, który dostrzegł sposób na ostateczne porachowanie się z tajną policją prefekta Li.

—Jak mówi przysłowie, mięso w cudzej misce zawsze wydaje się bardziej tłuste! — odciął się ni w pięć, ni w dziewięć prefekt Li, którego przygnębiona mina wskazywała, iż zabolało go to wymierzone w niego oskarżenie.

Spośród grona oszołomionych gości on był najwyraźniej tym, który w wyniku wiadomości Zielonego Kolca mógł stracić najwięcej. Z trudem opanował wściekłość, zaciskając pięści tak mocno, że aż zbielały mu końce palców.

Rozmowa przybierała taki obrót, że posiedzenie mogło się bardzo prędko skończyć oskarżeniem podległych mu służb.

Natomiast dawny pierwszy minister był tak zaszokowany opowieścią Zielonego Kolca, że poczerwieniał i rozkaszlał się, jakby stanęła mu w gardle ość karpia, za którym przepadał, zwłaszcza w sosie imbirowym.

Natychmiast podbiegł do niego służący z kamionkowym imbrykiem w ręku i niczym dziecku karmionemu z butelki dał popić z jego dziobka staremu wojskowemu, który był o krok od uduszenia się.

— Drodzy przyjaciele, jeśli pozwolicie, pragnąłbym prze słuchać tego osobnika w siedzibie Wielkiego Cenzoratu. To, co opowiada, zasługuje na sporządzenie specjalnego raportu! — wykrzyknął prefekt Li.

Czy w tej sytuacji nie było to najlepsze wyjście? Bezwzględnie potrzebował jakiegoś pretekstu, by usunąć gadatliwego Zielonego Kolca sprzed oczu dworaków, z których żaden nie myślał stanąć w obronie prefekta ani okazać mu najmniejszej wyrozumiałości.

Posunięciem tym dowiódł przynajmniej swoim kolegom, których jednoczyła wyłącznie nienawiść do Wu Zhao, że Wielki Cenzor troszczy się o interes państwa i wbrew przeciwnościom, gotów jest nieustępliwie kontynuować swą pracę jako organ nadzorczy i dochodzeniowy.

Ledwo dał znak, a do komnaty wpadło dwóch uzbrojonych ludzi, którzy stuknęli obcasami w przepisowej postawie na baczność.

Jednym ruchem brody Wielki Cenzor polecił im wyprowadzić Zielonego Kolca.

— Już raz wymknąłeś się bez pożegnania wskutek inter wencji cesarzowej, i to się więcej nie powtórzy, możesz mi

wierzyć! — syknął upokorzony prefekt do ucha Ujgura, którego dwaj agenci bez ceregieli powlekli w kierunku lektyki.

Prefekt Li poczuł ulgę, stwierdziwszy, że nikt nie zdążył zareagować. Miał nadzieją, że z obłudnego szpiega na żołdzie Napełnionego Spokojem wyciągnie zeznanie, podpisane jego własną ręką, które posłuży za nieodparty dowód, iż cesarzowa Wu Zhao osobiście wspierała nielegalny handel jedwabiem i posunęła się do ukrycia w samym środku cesarskiego pałacu osobników, którzy maczali palce w aferze, a wreszcie pomogła im uciec, gdy tajna policja państwowa chciała ich aresztować.

Wysoki urzędnik był pewny, że w ten sposób weźmie odwet, a ponadto na dobre zamknie usta nieprzychylnym mu osobom, które spędzały dni na oczernianiu agentów Wielkiego Cenzoratu...

Pokonawszy niekończące się schody, Zielony Kolec znalazł się więc znowu w lochu, z którego kazała go wyciągnąć cesarzowa.

Wydał mu się jeszcze bardziej ponury i wilgotny niż za pierwszym razem.

Cele Wielkiego Cenzoratu musiały być pełne więźniów, gdyż w odróżnieniu od swego pierwszego pobytu i mimo grubych kamiennych murów, słyszał rozdzierające krzyki i nieustające jęki.

Bez wątpienia w podziemiach szło w najlepsze torturowanie tych, którzy popełnili „zbrodnie przeciwko państwu".

Była to pora roku, kiedy do ścigającej przestępców administracji podatkowej płynął strumień donosów.

Podatnik, który doniósł na swego sąsiada albo innego bliźniego, mógł liczyć na zwolnienie z podatku, pod warunkiem że był on niższy od podatku przestępcy. Ten system donosicielstwa, odziedziczony po prawodawczej praktyce władz, jaką wprowadził w życie pierwszy cesarz Qin Shi Huangdi, pozostawał

filarem systemu przymusu, stosowanego przez państwo dla zapewnienia społecznej zwartości opartej na zniewoleniu i terrorze.

Obywatel, którego cesarz miał ochraniać przy pomocy cesarskiego wojska, a przede wszystkim żywić *a minima,* dostarczając mu kawałek ziemi, umożliwiający przeżycie jemu i jego rodzinie, a w przypadku posuchy, czerpiąc środki z zapasów magazynów państwowych, nie miał innej drogi, niż poddać się wspólnocie i pochylić kark przed totalitaryzmem, w którym jednostka mogła tylko milczeć i być posłuszną.

Terytorium Tangów w granicach Wielkiego Muru podzielone było na podprefektury, prefektury i okręgi, w których cesarscy urzędnicy, pragnący zasłużyć sobie na jak najszybszy awans, wykonywali jedynie rozkazy przychodzące z góry, troskliwie wszystko zapisując, gdyż liczyło się tylko to, co zostało zapisane na papierze albo wyryte w kamieniu.

Poza Wielkim Murem, w protektoratach ustanowionych przez Taizonga, nadzór był mniej ścisły, ale miejscowym władzom zalecano, aby danina wysyłana co roku cesarzowi Państwa Środka była większa od zeszłorocznej...

Warunki tej nierównej wymiany, w której ludność traktowana była przez rządzących jak zakładnicy, zostały ustalone w *Kodeksie Dynastii Tang,* obszernym traktacie prawa publicznego, którego pierwsze drzeworytowe wydanie ukazało się w roku 624.

Ten podzielony na szesnaście rozdziałów, pełniący w zasadzie rolę kodeksu karnego dokument, na który złożyło się przeszło pięćset artykułów, ustalał precyzyjnie kary za każde przestępstwo czy zbrodnię.

Do najcięższych zaliczono tu przestępstwa przeciwko integralności państwa, od przewinień, jakich dopuszczali się urzędnicy podczas wykonywania swych obowiązków, poprzez fałszerstwa, naruszanie godziny policyjnej, a przede wszystkim zatajanie zbrodni, o których im donoszono, aż po defraudacje w stadninach i magazynach państwowych.

Kodeksowi nie umykało nic, albo prawie nic. Chwilami wręcz karykaturalna troska o to, aby oddawać wszystko w ręce sędziów, doskonale maskowała podstawową cechę tego systemu sprawowania władzy, która czyniła z niego totalitaryzm doskonały: albowiem to państwo, i tylko ono, decydowało o winie tego czy innego obywatela.

Oczywiście, gdyby nie było terroru, cała ta maszyneria obracałaby się na próżno.

Tak więc każda przyłapana na gorącym uczynku osoba, która odmawiała współpracy z groźnym systemem, a to właśnie przytrafiło się Zielonemu Kolcowi, karana była śmiercią.

Oznaczało to, że kwalifikując czyny, jakie można było zarzucić Ujgurowi, który w tak niebezpiecznie fałszywym świetle przedstawił służby Wielkiego Cenzoratu, prefekt Li miał niemal nieograniczony wybór wykroczeń.

Gdy straże doprowadziły go do sali tortur więzienia Wielkiego Cenzoratu, Zielony Kolec zaczął krzyczeć z przerażenia.

— Opowiesz mi wszystko, co ci leży na sercu! A potem podpiszesz zeznanie przeciwko cesarzowej. I wówczas będziesz mógł pojechać, dokąd będziesz chciał — powiedział prefekt Li, podczas gdy jego siepacze, ściągnąwszy Ujgurowi koszulę, zaczęli go przywiązywać do specjalnego krzesła.

Do sali wkroczył jak na scenę, żeby wywrzeć tym większe wrażenie, kat o ogolonej czaszce i ospowatej twarzy.

Można go było łatwo rozpoznać po skórzanym fartuchu, u którego zwisały, ułożone w ponurym porządku według wielkości i rodzajów, przeróżne kleszcze, skalpele, igły i inne narzędzia do ściskania, kłucia i cięcia, jedne bardziej przerażające od drugich.

Było tam wszystko, co mogło posłużyć do zadawania torturowanemu najstraszliwszych i najbardziej wyrafinowanych cierpień.

— Powiedziałem wszystko, co wiem! Dlaczego wtrącacie mnie znowu do więzienia? Zostałem potraktowany niesprawiedliwie — jęknął więzień, dzwoniąc ze strachu zębami.

Gorzko żałował decyzji, aby wszystko opowiedzieć.

—Masz tu kawałek białego papieru. Wystarczy, że złożysz podpis u góry po prawej stronie. Ja biorę na siebie wypełnienie go! Wiem już co do słowa, co skryba tu napisze!

—Nigdy nie zdołam napisać po chińsku imienia Zielony Kolec! Zupełnie nie znam pisanego języka! — odparł więzień płaczliwie, kręcąc się na krześle.

—No cóż, w takim razie ja cię go nauczę! — zagrzmiał prefekt Li i dał znak katu. Gdy ten się zbliżył i powiedział do niego: — Uważaj! Nigdy nie wolno zaufać takiemu *she*\

Znak *she* oznaczał węża, podstępne zwierzę, które należało rozgnieść obcasem, nim zdążyło ukąsić.

Czy epitet, jakiego użył prefekt Li, nie zapowiada najgorszego? — zapytał się w duchu Zielony Kolec. W tej samej chwili jego twarz zbladła tak, że zaczęła przypominać oblicze upiora.

— Zostawiam cię w towarzystwie tego człowieka. Jestem pewny, że gdy tu wrócę, będziesz umiał podpisać się po chiń sku! — wykrzyknął Wielki Cenzor.

Ponieważ nie znosił widoku krwi, wolał, aby kat robił swoje nie w jego obecności. Wracał do torturowanego dopiero wtedy, gdy ten przeszedł już zalecane udręki.

A wtedy wystarczało zazwyczaj, że nastawił ucha, a wyznania płynęły same: ofiary gotowe były przyznać się do wszystkiego, żeby tylko powstrzymać rękę kata. Czasami nie zdążyły nawet potwierdzić wysuniętych przeciwko nim oskarżeń i usprawiedliwić zastosowanych tortur, gdyż ich zakrwawione, poszarpane narzędziami oprawcy ciała okrywały się śmiertelną bladością.

Kat starannie rozłożył na małym stoliku narzędzia, po czym z precyzyjną drobiazgowością przystąpił do pracy, niczym rzemieślnik biegły w budzeniu panicznego strachu.

Zaczął od zakneblowania chustką ust Zielonego Kolca, po czym kazał mu położyć obie ręce na stoliku. Wybrał cztery

cienkie igły, podobne do używanych przy akupunkturze, i zaczął wbijać je powoli pod paznokcie wskazującego i środkowego palca najpierw jednej, a potem drugiej ręki Ujgura.

Wbijanie igieł pod paznokcie, tortura idealnie nadająca się do wymuszania zeznań, stało w hierarchii kar zaraz po biciu trzcinką, a potem bambusową pałką, której suche uderzenia powodowały odpadanie ciała od kości. Były to najłagodniejsze kary, jakie wymiar sprawiedliwości rezerwował dla winnych. Narażały one na znacznie mniej przykre inwalidztwo niż obcięcie stóp, zwykła kara dla złodziei recydywistów, a przede wszystkim nie były tak radykalne jak ścięcie głowy, którym karano za zbrodnie stanu. Zamordowanie urzędnika publicznego bez względu na jego rangę, dezercja i naruszenie dóbr państwa, na przykład uszkodzenie publicznego budynku albo oszustwo podatkowe i celne powyżej pewnej kwoty, nieuchronnie prowadziły winnych do śmierci.

Zielony Kolec na próżno gryzł wściekle knebel. Zaledwie kat zaczął mu wciskać zaostrzony żelazny pręcik pod paznokieć skurczonego wskazującego palca pierwszej ręki, poczuł ból tak nieznośny, że wydało mu się, jakby wyruszył w zaświaty.

Stracił przytomność i miał wrażenie, że szybuje niby orzeł nad wydmami pustyni Gobi.

Kat, pochłonięty swą drobiazgową rzeźnicką robotą, nie zauważył, że jego wijąca się z wywróconymi oczami ofiara dostała ataku serca, wywołanego przerażeniem i straszliwym bólem.

Ujgur Torlak, *alias* Zielony Kolec, latał właśnie nad Turfanem, poszukując Nefrytowego Księżyca.

Na próżno przepatrywał uliczki miasta, pikował nad ogródkami, krążył nad fontannami i targowiskami, nigdzie nie dostrzegał śladu pięknej Chinki o wspaniałym ciele, którego tak bardzo chciał posmakować.

Widziane z góry kopuły manichejskiej świątyni wydawały się nie większe niż odwrócone czarki. W środku dziedzińca

dostrzegł czubek głowy Napełnionego Spokojem w otoczeniu innych Doskonałych, którzy czuwali przy nieruchomym ciele, wyciągniętym na marach. Rzucił się gwałtownie w dół, żeby się zbliżyć. Na widok spadającego na nich drapieżnika wszyscy Doskonali, jak jeden mąż, sięgnęli po łuki i napięli je. Pikujący Ujgur ujrzał nadlatujące ku niemu mrowie strzał, które przebiły go na wylot. Z rozpostartymi skrzydłami opadł na dziedziniec Kościoła Światłości.

W chwili gdy miał zwalić się na kamienne płyty, nagle otworzył oczy.

Zobaczył nie mniej niż dziesięć igieł, które kat wbił mu pod paznokcie wszystkich palców obu rąk: oto, jaki los czekał nędznika i donosiciela!

Do pomieszczenia wrócił prefekt Li i jego groźna twarz powoli nachyliła się nad nim.

—Jestem pewny, że już umiesz napisać po chińsku swoje imię! — mruknął, polecając katowi, żeby wyjął więźniowi knebel.

—Pomóż mi, o Mani, ty, który cierpiałeś mękę przez dwadzieścia sześć dni! Otwórz dla mnie swoje ramiona! — zawył szpieg Napełnionego Spokojem.

—Ponieważ nie wygląda na to, żebyś mnie zrozumiał, nie unikniesz duszenia! — wykrzyknął nieprzytomny z wściekłości Wielki Cenzor, nie spodziewając się najmniejszego oporu ze strony osobnika, którego drugą naturą zdawało się donosi-cielstwo.

Kat umocował do szyi Zielonego Kolca dwie wydrążone deszczułki połączone sznurkami, przez które przetknięty był krótki kijek. Wystarczyło go obrócić, aby spowodować ucisk na żyły i tętnice na szyi.

— Myślę, że gdy poczujesz, że się dusisz, będziesz umiał napisać swoje imię po chińsku!

Ale Zielony Kolec postanowił co innego. Ujrzał, że owym trupem na marach, przy którym czuwali manichejczycy z Turfanu, jest on sam.

Kiedy to odkrył, zrozumiał, że nadeszła jego ostatnia godzina, i w żadnym razie nie chciał kończyć życia przebity strzałami swoich braci z Kościoła Światłości.

Być może nawiedziła go ostatnia nadzieja, że miłosierny Mani wymaże niegodziwosci Torlaka i przyjmie go do królestwa Błogosławionych, owego raju, w którym pragnął się znaleźć każdy manichejczyk.

Nie mógł stanąć przed nim z tyloma niegodziwymi uczynkami i plamami na honorze, z powodu których stał się złym człowiekiem, a co gorsza, tchórzem i zdrajcą.

Nadszedł czas, aby odpokutował za grzechy.

Przez zwykłą nienawiść i zazdrość doniósł na niewinnych ludzi i wyrządził krzywdę tym, którzy na to nie zasługiwali.

Zobaczył, że jest zwykłym śmieciem.

Pełen pogardy do samego siebie pragnął już tylko jednego: żeby nieznośny ból, zadawany przez kata, dorównał cierpieniom od ognia, jaki manichejczycy rozpalali w marcu każdego roku w trakcie rytuału oczyszczania duszy, kiedy to rozpamiętywali mękę Maniego.

W ataku wściekłości prefekt Li postanowił sam przekręcić rączkę tego urządzenia do duszenia i ujrzał, mimo krwi, którą zbroczone były obrzękłe dłonie Ujgura, że jego paznokcie tworzą kąt prosty z końcami palców.

—No więc, co z tym imieniem Zielony Kolec? Wystarczą dwa znaki, żeby je napisać! Jestem pewny, że znasz je doskonale! — szepnął, przysuwając usta do ucha ofiary, gdy pierwsze suche trzaski dały znać, że kręgi szyjne zostały naruszone.

—Jak możesz myśleć, że mógłbym teraz napisać cokolwiek? — szepnął wyniośle Ujgur, rzucając Wielkiemu Cenzorowi wyzywające spojrzenie szklistych oczu.

Były to ostatnie słowa Zielonego Kolca, wygłoszone w chwili, gdy unosił swoje umęczone, nienadające się już do niczego ręce.

Zaślepiony wściekłością Wielki Cenzor, urażony wyzwaniem, jakie Ujgur rzucił mu w twarz, jeszcze raz obrócił trzonek.

W izbie tortur rozległ się ostatni krzyk, podczas gdy prefekt Li mruczał pod nosem powiedzonko, które zaświadczało, jak niewielkim szacunkiem otaczano w środkowych Chinach osła, do którego porównał Zielonego Kolca.

— Gdy już przestał obracać młyński kamień, pozostaje tylko go zabić!

Ale Ujgur, którego głowa opadła na piersi, niczym u połamanej marionetki, nie usłyszał tego makabrycznego żartu.

Z tej prostej przyczyny, że już nie żył.

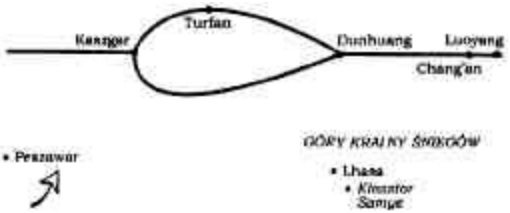

15

Klasztor Jedynej Dharmy, Peszawar, Indie

Naprzeciwko Oręża Prawa stała dobra pięćdziesiątka starych i młodych mnichów o gładko ogolonych czaszkach, w szatach w kolorze szafranu, mniej lub bardziej wypłowiałych w zależności od tego, od jak dawna ci, co je nosili, przebywali w klasztorze. Wszyscy „pierwsi w szeregu" lub „odpowiedzialni" za coś w Klasztorze Jedynej Dharmy wpatrywali się w niego z najwyższą uwagą.

Doświadczając bardzo nieprzyjemnego uczucia, że stoi przed trybunałem, zaniepokojony Oręż Prawa mówił sobie w duchu, że to może źle się skończyć.

Pragnął jednak, aby nie doszło do konfrontacji, zanim przekaże swoim braciom nowiny, spośród których jego odkrycie, że Oczy Buddy zniknęły, mogło podziałać na nich jak prawdziwe trzęsienie ziemi.

— Zostawiłeś nas samych w czasie Małej Pielgrzymki, a teraz twierdzisz, że zajmiesz się Wielką! Nie zapominaj, że aby złagodzić gniew wiernych, obiecaliśmy im, iż tym razem pokażemy nie tylko Świętą Rzęsę w sercu z sandałowego drewna, ale również szkatułę ze złota, w której spoczywają współczujące Oczy Błogosławionego Buddy...

Mnich, który okazywał tyle nieufności i zjadliwości, nazywał się Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Oręż Prawa odebrał to jako zniewagę, gdyż jeszcze do niedawna mnich ten należał do tych członków wspólnoty, którzy byli mu życzliwi.

Pochodzący z Turfanu i wychowany w klasztorze Wielkiego Wozu, mnich ten zjawił się tu jakieś dwadzieścia lat temu, gdy był jeszcze młodym nowicjuszem. Przybył z wielkim mistrzem chińskiej *dhyany,* któremu niósł bagaże. Stary mnich zmarł nagle w trakcie pobytu w Peszawarze, co sprawiło, że mistrz Buddhabadra bez wahania przygarnął młodego chłopca, który nie wiedział, co ze sobą począć.

Szlachetna Ośmioraka Ścieżka był człowiekiem serdecznym i jowialnym, zawsze skłonnym do wyświadczania przysług. Pragnął nade wszystko, aby wyznający buddyzm pierwotny hinduscy bracia pamiętali, że ukształtował go największy chiński klasztor Wielkiego Wozu w Turfanie.

Lubiany przez młodych nowicjuszy, których nadzorował przy zamiataniu i pracach porządkowych, zgodził się zostać mnichem odpowiedzialnym za czystość w Klasztorze Jedynej Dharmy. Wykonywał to skromne, ale ważne zadanie z oddaniem i pasją.

Dzięki temu został najbliższym przyjacielem Klejnotu Doktryny, mnicha, który zaczął spiskować przeciwko Orężowi Prawa, swemu odwiecznemu rywalowi, gdy ten wrócił z wyprawy do Krainy Śniegów z pustymi rękami.

Od tej chwili Klejnot Doktryny zaczął wyrażać się w najsurowszych słowach o nieobecnym przełożonym, którego postępowanie porównywał bezustannie do niewybaczalnej dezercji, a także o jego prawej ręce, którego oskarżał po cichu, że w tej tajemniczej sprawie odegrał podejrzaną rolę.

Dzięki rozsiewaniu plotek i szkalowaniu Oręża Prawa Klejnot Doktryny skaptował w końcu Szlachetną Ośmioraka Ścieżkę.

Dwaj mężczyźni nie wahali się stawiać publicznie pytań o prawowitość uznawania przełożonego, który w niewytłuma-

czalny sposób zniknął wraz z sercem z sandałowego drewna i Rzęsą Błogosławionego.

Ostatni epizod, niczym kropla wody przepełniająca czarę, podsycił podejrzenia, jakie większość mnichów Klasztoru Jedynej Dharmy już i tak żywiła wobec postępowania Buddhabadry.

Klejnot Doktryny ośmielił się nazwać Oręż Prawa obłudnikiem, który nie wyjawił współbraciom wszystkich powodów tego, że ich nieoceniony przełożony nie wrócił do Peszawaru.

Otwarta wrogość Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżki zasmuciła więc Oręż Prawa, który stawiał teraz czoło pięćdziesięciu mnichom, oczekującym od niego rozwiązania nierozwiązywalnego problemu, jakim było dla wspólnoty zniknięcie Oczu Buddy.

—Pytam was: macie do mnie zaufanie? — zapytał ostro Oręż Prawa, zirytowany uwagą byłego przyjaciela.

—Co proponujesz, aby nasz klasztor odzyskał święte relikwie, bez których jest niczym? — odpowiedział Klejnot Doktryny, gotów ruszyć do ataku.

—Brak Oczu Buddy to to samo, co pozostawienie Wielkiego Relikwiarza Kaniszki, by zgnił! — dorzucił mnich Kosz na Ofiary.

—Jeżeli nie chcemy, żeby zawiedzeni wierni nas pozabijali, nie mamy innego wyjścia, jak tylko wycofać się do grot w górach! — wykrzyknął inny mnich.

—Przyrzekam wam, że zrobię wszystko, żebyśmy odzyskali Oczy Buddy! Ale najpierw muszą ustać podejrzenia wobec mnie. Jeśli w naszej wspólnocie nastąpi rozprzężenie, zaczną się kłopoty. Rozłam zawsze kończy się źle, gdy trzeba stawić czoło trudnościom! — zagrzmiał Oręż Prawa, starając się podnieść na duchu swych braci.

Albowiem wieść o zniknięciu relikwii pogrążyła ich w przygnębieniu.

Świadom tego, że mnisi będą głęboko poruszeni w dniu, w którym dowiedzą się o wszystkim, postanowił na razie nic nie mówić.

Jako człowiek obowiązkowy, pragnący utrzymać spokój we wspólnocie, za którą czuł się odpowiedzialny, gotów był zrobić wszystko, aby odzyskać relikwie. Gotów był także znaleźć coś, co mogłoby je zastąpić, gdyby okazało się to konieczne.

Jednak Klejnot Doktryny i Szlachetna Ośmioraka Ścieżka postanowili inaczej. Jakież było jego zaskoczenie, gdy pokonawszy ostatni stopień schodów, stwierdził, że u stóp relikwiarza czeka na niego mała grupka mnichów.

Śledzili go!

—Usłyszeliśmy, że popełniasz czyn świętokradczy, polegający na rozbiciu cienkiej ścianki zamykającej świętą niszę — rzucił drżącym ze złości głosem Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Orężu Prawa, jesteś nam winien wyjaśnienie, dlaczego dopuściłeś się tak straszliwej profanacji. Tę niszę otwiera się tylko przed Wielką Pielgrzymką. Nie możesz milczeć! Dlaczego wszedłeś na górę, żeby splądrować relikwiarz? Powiedz prawdę! Wiesz, ile kosztuje mnicha zejście z drogi Prawdy? — dodał złowrogo Klejnot Doktryny.

Pozostali mnisi mruczeli słowa przygany.

—Jacy z was głupcy! Właśnie dlatego, że zbliża się Wielka Pielgrzymka, przyszedłem sprawdzić, czy na szczycie relikwiarza wszystko jest w porządku! Miejcie do mnie zaufanie! — odparł Oręż Prawa, zirytowany ich nieufnością i niechęcią, ale nie ośmielił się jeszcze powiedzieć im prawdy.

—Jeśli nie powiesz prawdy, Orężu Prawa, czeka cię Lodowate Piekło, w którym będziesz się błąkał z zaszytymi ustami, i nie będziesz mógł się pożywić! — odrzekł Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Grupa mnichów natarła na niego, rzucając mu w twarz oskarżenia, a niektórzy z nich twierdzili nawet, że jest kłamcą.

Oręż Prawa zrozumiał, że nie ma innego wyjścia i musi powiedzieć wszystko, bez względu na konsekwencje.

— No cóż, jeśli chcecie wiedzieć, to tam na górze nie ma już Oczu Buddy! Piramida, w której powinny się znajdować, jest pusta! Nie została nawet rozbita, ale po prostu otwarta

przez kogoś, kto musiał mieć do niej klucz! Jedyna Dharma jest klasztorem bez relikwii, a ta wielka wieża na relikwie nie jest mu już potrzebna! Moi przyjaciele, mam zaszczyt oświadczyć wam, że zostały nam pod opieką cienie i wiatr! — wykrzyknął pobladły z wściekłości.

Nic dziwnego, że mnisi, wstrząśnięci wiadomością i zaskoczeni tonem, jakim mówił, milczeli.

Przygnębieni i przybici, opuścili głowy i wbili wzrok w ziemię.

—To niepojęte! Kto mógł popełnić taką zbrodnię? Po zakończeniu ostatniej Wielkiej Pielgrzymki kazano mi umieścić w niszy relikwiarz z czystego złota, a zaraz potem zamurował jąwyznaczony do tego rzemieślnik! —jęknął Klejnot Doktryny, przerywając nabrzmiałą zgrozą ciszę.

—Muszę natychmiast znaleźć tego człowieka! Gdzie on mieszka? — krzyknął Oręż Prawa, który pragnął okazać wspólnocie swą dobrą wolę i zręcznie skorzystał z okazji, jaką nieoczekiwanie podsunął mu rywal.

Mnich z zaokrąglonym brzuszkiem o imieniu Potrójny Kosz, mówiący dziwnie cienkim głosem, podał mu nazwę uliczki, gdzie przypuszczalnie mieszkał ów murarz.

Nie tracąc ani chwili, Oręż Prawa zostawił przygnębionych braci i pospieszył do starej dzielnicy Peszawaru, gdzie po długim błądzeniu i dopytywaniu się znalazł mały domek z gliny, w którym mieszkał ów rzemieślnik z żoną i dziesięciorgiem dzieci.

Mężczyzna, którego oczy płonęły w kościstej twarzy, jak u wszystkich kamieniarzy i malarzy ściennych, umierających młodo wskutek wdychania pyłów, był bardzo skrupulatny.

Przysiągł Orężowi Prawa na głowę swego ostatniego potomka, że nie wchodził na szczyt relikwiarza od czasu, gdy zamurował niszę po zakończeniu Wielkiej Pielgrzymki.

— Mistrz Buddhabadra więcej do mnie nie przyszedł. Jak zresztą ośmieliłbym się tknąć tymi biednymi rękami szczero-

złoty relikwiarz? Tak cenny klejnot powinien bezwzględnie pozostać w swoim świętym miejscu! Za to kiedy jeden jedyny raz zobaczyłem Buddhabadrę w tej dzielnicy, udawał się do jubilera! — dodał roztrzęsiony.

—Gdzie jest jego warsztat? Proszę cię, zaprowadź mnie do niego, a będziesz miał za co wyżywić swoją liczną rodzinę! — wykrzyknął Oręż Prawa i spiesznie wyciągnął zza pasa sakiewkę, by podsunąć ją murarzowi pod nos.

—Ten rzemieślnik musiał przenieść się gdzie indziej. Od zeszłego roku jego warsztat jest zamknięty! —jęknął z żalem ten ostatni, widząc, że umyka mu okazja zarobienia większej ilości pieniędzy niż przez trzy miesiące morderczej pracy.

—Czy był to sprzedawca kamieni szlachetnych?

—Nie! Ten ojciec licznej rodziny, któremu niestety, jak i mnie, zaledwie udawało się ją wyżywić, szlifował tylko kamienie, które wielcy złotnicy z dzielnicy jubilerów przynosili mu rano i odbierali wieczorem!

Wydawało się, że ten wynędzniały człowiek o pałających gorączką oczach mówi prawdę.

Z pewnością nie maczał palców w kradzieży Oczu Buddy.

Po powrocie do klasztoru Oręż Prawa poinformował mnichów, którzy oczekiwali go niecierpliwie, o tym, co powiedział rzemieślnik.

Trzeba było zdać sobie sprawę z oczywistego faktu: ktoś po zakończeniu ostatniej Wielkiej Pielgrzymki wszedł na szczyt relikwiarza i przywłaszczył sobie to, co znajdowało się w małej złotej skrzynce w kształcie piramidy, o wspaniałych rączkach z kości słoniowej przedstawiających zwrócone ku sobie kozły.

Oręż Prawa nie miał najmniejszych wątpliwości: sprawcą tego czynu, który pogrążył w przygnębieniu jedną z największych i najbardziej czcigodnych wspólnot indyjskiego Małego Wozu, mógł być tylko Buddhabadra.

Teraz już wszystkie wnioski łączyły się w doskonale spójną całość.

Zanim wyruszył do Krainy Śniegów ze świętym białym słoniem, którego główną rolą było właśnie obnoszenie tej relikwii, przełożony z Peszawaru ukradł ją, nie zadając sobie nawet trudu, aby zamknąć złotą piramidę! Co do samej relikwii, Buddhabadrze musiało zależeć na kamieniach szlachetnych, bo jeśli nie, to po co chodziłby do tego rzemieślnika?

No właśnie, w jakim celu? Czy po to, żeby sprzedać mu Oczy Buddy?

Chyba nie!

Nie chciał posądzać nieocenionego przełożonego o oddawanie się ordynarnemu handlowi, a ponadto chodziło o relikwię tak świętą, że zwykły szlifierz kamieni nie zdołałby jej sprzedać.

Czy w tych okolicznościach nie należało przyjąć, że Buddhabadra poszedł do niego, aby pociąć kamienie?

Ta hipoteza była bardziej prawdopodobna.

W każdym razie teraz było już oczywiste, że Buddhabadra, przełożony Klasztoru Jedynej Dharmy w Peszawarze, był świętokradcą i złodziejem świętych relikwii, a ponadto zostawił własnemu losowi wspólnotę, za którą był odpowiedzialny i która stanęła teraz wobec problemu, jak przetrwać!

Czy wspólnota Jedynej Dharmy domyślała się, że jej Nieoceniony Przełożony cierpiał na rozdwojenie, a nawet roztrojenie jaźni?

W oczach Oręża Prawa historia ta miała wiele niejasnych punktów. Był świadom tego, że niektóre jej aspekty jeszcze mu się wymykają.

Dlaczego przełożony z Peszawaru uznał za konieczne zabrać świętą relikwię do Krainy Śniegów?

Dlaczego zostawił otwarty relikwiarz, dzięki czemu można było stwierdzić kradzież? Przecież gdyby był zamknięty, nikt, wobec braku klucza, nie śmiałby go sprofanować, podejmując tak niestosowną próbę jego otwarcia!

Wróciwszy do klasztoru z wizyty u majstra murarskiego, Oręż Prawa, w obliczu spoglądających z trwogą mnichów,

którym zrelacjonował swoją wyprawę do Peszawaru, powiedział sobie w duchu, że wybiła godzina prawdy.

Wydawało się, że wszystko oskarża przełożonego.

A jednak od czasu, gdy lama Gampo wyjawił mu, choć tylko ogólnikowo, powody wędrówki Buddhabadry do Krainy Śniegów, nie miał tyle odwagi, aby rzucić go na pożarcie swoim braciom.

Nie znając prawdziwych motywów, jakie nim powodowały, uważał, że powinien zachować lojalność wobec Buddhabadry.

Albowiem w tym właśnie tkwił główny problem.

Czy mógł darzyć Buddhabadrę zaufaniem? Bardzo tego pragnął!

Czy w tych okolicznościach najlepsze wyjście nie polegało na tym, żeby wyjaśnić wszystko w cztery oczy z nim samym, a więc zaczekać cierpliwie na jego powrót, nawet jeśli rozwiązanie problemu Wielkiej Pielgrzymki było sprawą pilną?

Ostrożność nakazywała więc nie dzielić się miażdżącymi podejrzeniami, jakie ciążyły na Buddhabadrze, ze wspólnotą, której najbardziej znaczący przedstawiciele stali teraz przed nim.

— Dopóki mistrz Buddhabadra nie pomoże nam rozwiązać tej zagadki, nie możemy wyciągać żadnych wniosków z tego, co powiedział majster murarski. Co do mnie, zawsze miałem zaufanie do przełożonego! Niech ci, którzy się z tym nie zgadzają, podniosą rękę! — zagrzmiał Oręż Prawa.

Nie uniosła się żadna ręka.

Stwierdził z zadowoleniem, że nikt nie śmie stanąć otwarcie przeciwko Buddhabadrze.

Dyskusja skupiła się teraz na skutkach niewiarygodnego ograbienia Wielkiego Relikwiarza.

— Co teraz zrobimy? Bez świętych relikwii nie mamy racji bytu! Jesteśmy w położeniu człowieka, którego goni słoń i grozi mu wpadnięcie do studni! — jęknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Nawiązał tutaj do słynnej buddyjskiej przypowieści, która wskazywała ludziom, że nie uratują się bez boskiego wsparcia Błogosławionego.

Mówiła ona o biednym człowieku, który zaplątał się w korzenie drzewa rosnącego nad studnią, gdy rzucił się do niej, żeby uciec przed atakiem oszalałego słonia, po czym zorientował się, że nie wydostanie się na powierzchnię, ponieważ dwa szczury podgryzały właśnie rzeczone korzenie, w których ułożyły się dwa jadowite węże szykujące się, żeby go ukąsić, a jednocześnie ukryty w głębi studni potwór otwierał paszczę, aby jednym kłapnięciem pożreć tego, który myślał, że schronił się w bezpiecznym miejscu!

Wszyscy utkwili spojrzenie w Orężu Prawa, zadając sobie w duchu pytanie: co robić?

—Niczym ów uwięziony w studni, jestem równie bezradny, jak wy — odparł Oręż Prawa.

—Czy Buddhabadra nie zwierzył ci się nigdy z czegokolwiek, co dotyczyło Oczu Buddy? -— zapytał jeden z mnichów.

—Nigdy! Przysięgam wam!

—Czy to nie on zabrał Oczy Buddy do Krainy Śniegów, wraz z białym słoniem, który miał wyłączne prawo je nieść? Jeśli nie, to po co mu były kłopoty z tym zwierzęciem, skoro mógł pokonać wysokie góry na doświadczonym i pewnie stąpającym koniu? — zapytał jak gdyby nigdy nic Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Pytanie zasługiwało na odpowiedź i Oręż Prawa stwierdził, co prawda bez większego zaskoczenia, że nie jest już jedynym, który podejrzewa nieocenionego przełożonego o tę zbrodnię.

Czy broniąc go i zaprzeczając oczywistym prawdom, nie narażał się na to, iż zostanie potraktowany jak jego wspólnik i natychmiast straci zaufanie współbraci?

Oręż Prawa doszedł więc ze smutkiem do wniosku, że nie ma sensu bronić Buddhabadry za wszelką cenę.

— Ja też gubię się w domysłach, tak jak ty. Jeśli mam być szczery, nie jestem daleki od tego, żeby podzielić twój pogląd...

To dlatego podjąłem trud wejścia na szczyt relikwiarza, chociaż przebywanie na wysokości przyprawia mnie o zawrót głowy. Jeśli więc nasz Nieoceniony tak postąpił, musiał mieć po temu nader ważne powody! — rzekł przygnębiony.

— Już sam fakt, że zabrał ze sobą świętego białego słonia, wystarcza, żeby posądzić go o dokonanie przestępstwa! — odezwał się drżącym z oburzenia głosem Klejnot Doktryny.

Jedynym wyjściem w tej sytuacji było zyskać na czasie, w nadziei, że nadejdzie dzień, w którym Buddhabadra sam wytłumaczy się ze wszystkiego.

— Nic nie wskazuje, Klejnocie Doktryny, aby to było przestępstwo. Trzeba się strzec zbyt pochopnych osądów! Porywczość prowadzi często do potępienia niewinnych. Pomyśl trochę o wyczynie tego, który miał kok w kształcie muszli! Uczy on nas cierpliwości. We wszystkich okolicznościach trzeba dużo czasu, zanim wyciągnie się ostateczne wnioski! Podej rzenia nie są dowodami! — wykrzyknął Oręż Prawa.

Jataka „O cierpliwości" opowiadała o tym, jak to w jednym z poprzednich żywotów Śiakjamuni przyjął postać ascety o imieniu Śiakjaczarja, który nosił włosy spięte w kok w kształcie muszli. Gdy pewnego dnia medytował u stóp drzewa, jakiś ptak zniósł w nim jaja. Skończywszy medytację, asceta złożył ślubowanie, że nadal będzie medytował, nie poruszając się, aż pisklęta, które wyklują się z jaj, dorosną na tyle, że będą mogły same odfrunąć.

—Czasami czekanie prowadzi do przegranej! Bo przecież nasza najbliższa Wielka Pielgrzymka nie zaczeka! — rzucił stanowczo Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Buddhabadra ukradł nam nasze relikwie! Sprawił, że staliśmy się niczym! Nie mamy innego wyjścia, tylko posypać głowy popiołem i stąd odejść! —jęknął gruby Potrójny Kosz.

Ze wszystkich stron ozwały się posępne lamenty: „Zostaje nam tylko odwołać Wielką Pielgrzymkę i zamknąć Jedyną Dharmę!", „Nieoceniony już nim nie jest, on nas po prostu zamordował!", „Jak Buddhabadra mógł popełnić takie wiarołomstwo?!".

Niczym dzieci osierocone przez ojca, zakonnicy płakali gorącymi łzami, prześcigając się w przeklinaniu zdrajcy i renegata, który ich porzucił.

— Bracia moi, jeśli dopuścimy myśl, że Buddhabadra tak właśnie postąpił, to z pewnością zrobił tak dlatego, że nie mógł inaczej! Dla niego liczył się zawsze tylko jego klasztor i Szlachetna Prawda Błogosławionego — zaprotestował Oręż Prawa.

Gdy rozchodzili się o późnej godzinie, żeby wrócić do swoich izb po rozważeniu bez większego powodzenia wszelkich aspektów sprawy, Oręż Prawa stwierdził ze smutkiem, że atmosfera stała się jeszcze bardziej napięta niż na początku zebrania.

Nie posunęli do przodu żadnej kwestii, a Wielka Pielgrzymka zapowiadała się jako przedsięwzięcie nad wyraz ryzykowne.

Wstrząśnięta i zawiedziona społeczność Klasztoru Jedynej Dharmy, pozbawiona relikwii, które były jedyną racją jej istnienia, rozbita i zdana na łaskę losu, przypominała groźnie zarysowaną budowlę.

Wróciwszy do swojej izby, Oręż Prawa, przygnębiony rozdarciem, które bardzo źle wróżyło na przyszłość, wyczerpany trwającym cały dzień poszukiwaniem domu majstra murarskiego, położył się na brzuchu i pogrążył w półśnie na wąskim twardym posłaniu. Jak zwykle w podobnych chwilach, roztrząsał zagadkowe słowa „utrzymać zgodę", wygłoszone przez mistrza Gampo. Nie przestawały go one dręczyć od czasu, gdy je usłyszał, i towarzyszyły mu podczas bezsennych nocy, które ostatnio zdarzały mu się nader często.

„Utrzymać zgodę jeszcze przez pięć lat".

Zdanie to niczym mantra powtarzało się w jego umyśle, gdy poczuł na plecach łagodny dotyk czyjejś ręki.

Odwrócił się gwałtownie.

Był to Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, który tym razem spoglądał na niego zdecydowanie mniej wrogo.

— Zjadliwość jest złym doradcą. Ponadto powinniśmy od nosić się do siebie ze współczuciem. Przychodzę prosić cię

o przebaczenie za gniew, jaki ci okazuję od twojego powrotu z Krainy Śniegów — powiedział poważnie. Oręż Prawa nie posiadał się ze zdumienia.

Jakim sposobem mógł w tak krótkim czasie zmienić zdanie?

—A co o podjęciu przez ciebie tego kroku myśli Klejnot Doktryny? — zapytał trochę nieufny Oręż Prawa, siadając na posłaniu.

—Nie wie, że jestem u ciebie. Dosłownie przed chwilą pojąłem, że zaślepiła go zazdrość. On nie postępuje w dobrej wierze i wiem, że mną manipulował! Dlatego przyszedłem zawrzeć z tobą pokój. Jestem pewny, że byłeś szczery, kiedy zapewniałeś nas, iż Buddhabadra nie powiedział ci niczego, co dotyczyło powodów jego podróży!

—Jeśli tak się rzeczy mają, to jesteś jedynym, który tak myśli! Nasi bracia już mi nie wierzą. Są nawet pewni, że ich okłamuję... — rzucił z chmurną miną Oręż Prawa.

—Powinienem był wyraźnie i głośno krzyknąć w obecności wszystkich, że jesteś uczciwy i bez skazy. Gorzko żałuję, że tego nie zrobiłem.

Oręż Prawa był coraz bardziej zaskoczony.

Czy mnich z Turfanu jest wobec niego lojalny?

W każdym razie pewne było, że przyjął postawę, która ostro kontrastowała z podejrzliwością, jakiej dowody dawał tak niedawno.

Oręż Prawa nie dostrzegał w jego lekko skośnych oczach cienia nieszczerości: Szlachetna Ośmioraka Ścieżka robił wrażenie, że mówi prawdę.

—Od kilku godzin rozmyślam, modląc się i medytując. Być może znalazłem rozwiązanie, dzięki któremu Jedyna Dharma znowu będzie miała świętą relikwię! — powiedział cicho.

—W takim razie mów prędko, o co chodzi, bo nie ma zbyt wiele czasu!

—Ona znajduje się w Turfanie!

—Na Jedwabnym Szlaku?

—Tak, w klasztorze Wielkiego Wozu, w którym odbywałem nowicjat. Jego przełożony, Dobrodziejstwo Potwierdzone, zawsze mówił, że gdyby pewnego dnia zabrakło mu nagle pieniędzy na zakup jedwabiu na chorągwie, które zawiesza się na ścianach sal modlitewnych, byłby gotów sprzedać świętą relikwię.
—Ten człowiek musiał mieć ogromne poczucie humoru... Jesteś pewny, że nie żartował?
—W żadnym razie!
—Jeśli przełożony tego mahajańskiego klasztoru był gotów się jej pozbyć, musi to być coś niewiele wartego!
—Mylisz się! Od co najmniej stu lat przedmiotem ogromnej czci jest tam paznokieć prawego palca wskazującego Błogosławionego. Kiedy byłem nowicjuszem, setki wiernych przychodziły każdego dnia, żeby się ukorzyć przed nefrytową wazą inkrustowaną złotem, w której jest zamknięty!
—I twoim zdaniem ten człowiek wymieniłby taki skarb na zwykłe chorągwie? — zapytał Oręż Prawa, którego twarz nieco się rozjaśniła.
—Nie możesz nie wiedzieć, że mahajana zaleca korzystanie z chorągwi, na których namalowane są kultowe postaci, z uszczerbkiem dla kultu relikwii, które porównuje z fetyszami pobudzającymi przesądy i niemającymi nic wspólnego z Prawdą Błogosławionego! Tak więc Dobrodziejstwo Potwierdzone widzi w paznokciu Błogosławionego jedynie przeżytek minionych czasów...
—Teraz rozumiem...
—Większość klasztorów Wielkiego Wozu zaleca, żeby wierni, jak oni to nazywają, „wytwarzali w sobie pustkę" właśnie przed chorągwiami, po to, aby mogli osiągnąć natychmiastowe oświecenie.
—Czy ten paznokieć wciąż się tam znajduje, a twój dawny przełożony byłby gotów na wymianę? — zapytał gorączkowo Oręż Prawa, w którym słowa Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżki obudziły nadzieję.

—Trzeba się tam udać. Tylko w ten sposób sprawdzimy, jak rzeczy się mają!
—Ale skąd wiadomo, że klasztor w Turfanie wciąż potrzebuje malowanych chorągwi? — zapytał z niespokojną miną Oręż Prawa.
—Od miesięcy rozchodzą się pogłoski na ten temat. Wielu podróżnych, którzy zatrzymują się u nas, mówi o niedostatku jedwabiu w Chinach! Zważywszy na to, ile nowych chorągwi potrzeba dla nowych mnichów, byłbym zdziwiony, gdyby nie zaczęło ich brakować! — oświadczył z uśmiechem turfańczyk.
—A jeśli fakty potwierdzą to, o czym mówi się na Jedwabnym Szlaku, to co moglibyśmy ofiarować twojemu Dobrodziejstwu Potwierdzonemu w zamian za paznokieć wskazującego palca prawej ręki Buddy? — zapytał Oręż Prawa, którego nie zaskoczyła wiadomość o braku chińskiego jedwabiu, gdyż sam przekonał się o jej prawdziwości kilka miesięcy temu w Dun-huangu, u Addaia Aggaia.
—Jedwab, u licha! — wykrzyknął triumfalnie jego rozmówca.
—Popatrz no na moje ręce, Szlachetna Ośmioraka Ścieżko! Niestety, to nie są ręce maga, który umiałby zamienić pustynny kurz w jedwabną przędzę! — Oręż Prawa wyciągnął przed siebie dłonie.
—Mam w związku z tym wspaniałą wiadomość: kilka lat temu pewien manichejski kapłan założył w Turfanie nielegalną hodowlę jedwabników — zaczął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, pewny wrażenia, jakie jego słowa wywrą na rozmówcy.
—Miałeś okazję sprawdzić tę pogłoskę? O ile wiem, od przybycia do Peszawaru nie odwiedziłeś swoich stron...
—Powiedział mi o tym przypadkiem jeden z moich cioteczny
nych braci, kupiec korzenny. Rozmawialiśmy o różnych sprawach i zapytałem go o nowiny z mojej rodzinnej oazy. Przejeżdżał tędy, kiedy ciebie tu nie było. Napomknął o tym w wieczór swego przybycia, kiedy przechadzaliśmy się na świeżym po-

wietrzu razem z Klejnotem Doktryny. Nie mam żadnego powodu, żeby wątpić w jego słowa, których wówczas nie doceniłem; ale przecież nie trafiło na głuchego! A zresztą, popatrz tylko, nie wymyśliłem tego krewnego, który wiózł ładunek pieprzu wart małego majątku! — wykrzyknął z zadowoloną miną Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, wyciągając rękę.

W otwartej dłoni turfańczyka Oręż Prawa zobaczył kilka ziaren pieprzu.

Poruszony zdumiewającą nowiną, nie zastanawiał się długo.

Koniec końców, co ryzykował, udając się do Turfanu w towarzystwie Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżki, żeby podjąć próbę zdobycia świętej relikwii, którą opiekował się przełożony Dobrodziejstwo Potwierdzone?

Czy kawałek paznokcia Błogosławionego nie mógł z powodzeniem zastąpić jego rzęsy?

Jeśli chodzi o Oczy Buddy, to niestety, sprawa wyglądała inaczej.

Los tych sławnych relikwii, od przeszło tysiąca lat czczonych tak żarliwie przez miliony wiernych, i z tego powodu zdecydowanie nie do zastąpienia, był związany z losem Buddhabadry...

Czy tymczasem Klasztor Jedynej Dharmy musiał pozbawiać się możliwości pozyskania mniej znaczących relikwii?

—Czy wiesz, jaką karę ponosi członek *sanghi* za okłamanie wspólnika, a co dopiero za całkowicie świadome wyciągnięcie go na drogi prowadzące donikąd?

—Wiem. To bardzo ciężkie przewinienie. Ale ja cię nie okłamuję, Orężu Prawa. Przysięgam ci, niczego przed tobą nie ukrywam.

—Czy wobec tego byłbyś gotów wyruszyć ze mną do twego rodzinnego miasta?

—Sam ci to zaproponowałem. Jeśli trzeba, nawet jutro! Z wielką radością odwiedzę moich wujów i ciotki, jeśli jeszcze żyją!

Turfański mnich wydawał się szczery i pełen dobrej wiary.

— Jutro powiemy o tym wspólnocie. Decyzja należy do niej. Nie chcę sprzeciwiać się jej życzeniom — oświadczył Oręż Prawa, któremu leżało na sercu odbudowanie zaufania między nim i pozostałymi mnichami.

Gdy nazajutrz Oręż Prawa, w towarzystwie Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżki, zwrócił się do nich w jednej z ogromnych sal modlitewnych Klasztoru Jedynej Dharmy, ich ponure miny wskazywały, że wciąż jeszcze rozmyślają o dyskusji z poprzedniego dnia.

W ciemnym kącie ogromnej sali Klejnot Doktryny z goryczą konstatował zdradę Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżki.

—Drodzy przyjaciele, chcemy przedstawić wam pewien plan. W Turfanie można dostać jedwab. Za tę materię być może moglibyśmy zdobyć relikwię! Co o tym myślicie? — zagaił Oręż Prawa.

—Większość klasztorów Wielkiego Wozu pozbywa się swoich relikwii za jedwab na chorągwie, przed którymi mnisi mahajany medytują — dodał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Bylibyście więc gotowi wyruszyć do Turfanu i wziąć na siebie wydobycie nas z tarapatów, w jakie popadliśmy? — zapytał pewien stary mnich, którego uszy, ozdobione ciężkimi brązowymi pierścieniami, były tak długie, że ich dolne końce ocierały się o ramiona.

—Zamierzamy nawet podjąć próbę zdobycia ważnej relikwii: paznokcia prawego palca wskazującego Błogosławionego! — odparł turfańczyk.

—Tego, który Błogosławiony opierał o kciuk, gdy czynił gest dawania nauki?

Pytanie to zadał ten sam stary zakonnik.

— Tego samego! Paznokieć ten jest przechowywany w klasztorze mahajany w Turfanie. Wierni pielgrzymują do niego co roku podczas święta wspominającego osiągnięcie przez Oświeconego nirwany — wyjaśnił Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Wydawało się, że słowa turfańskiego mnicha wywarły odpowiednie wrażenie, gdyż twarze mnichów zaczęły się nieco rozjaśniać.

W tym momencie Klejnot Doktryny, wściekły na swego przyjaciela za to, że złamał ich przymierze przeciwko Orężowi Prawa, wykrzyknął słowa zabarwione żółcią:

—Ruszasz w drogę, to jedno! Ale kto powiedział, że wrócisz?

—Błogosławiony Budda oświeci nas swą boską mądrością i pomoże nam wyjść zwycięsko z tej ciężkiej próby. Dziwią mnie twoje słowa, Klejnocie Doktryny! Można by pomyśleć, że wypowiedział je człowiek, który utracił wiarę — odciął się Oręż Prawa.

Ozwały się pomruki aprobaty świadczące o tym, że słowa Oręża Prawa trafiły do serc zebranych.

Gdy kilka dni później opuszczali konno Klasztor Jedynej Dharmy, wspólnota, wciąż jeszcze niespokojna, ale pełna nadziei, zgotowała im owację, życząc, żeby powiodło się przedsięwzięcie, co do którego wszyscy mieli świadomość, że jest to ich ostatnia szansa.

Nie stawił się tylko Klejnot Doktryny, który miotał się w swej izbie, przeklinając rywala.

Ani Oręż Prawa, ani Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, skupieni na realizacji celu, jaki sobie postawili, nie zdawali sobie sprawy, jak śmiertelnego wroga mają w jego osobie.

Mimo uroków, jakie próbował na nich rzucić Klejnot Doktryny, przywołując najgroźniejsze demony, podróż do Turfanu przebiegła bez przeszkód i trwała niecałe dwa miesiące. Drogi, inaczej niż zimą, były przejezdne, a na skrajach pokazywały się pierwsze letnie kwiaty.

Z wysokiego skalistego płaskowyżu, dominującego nad równinną okolicą, widać już było dalekie dachy Turfanu. Coraz bardziej rozpromieniony Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, pewny,

że niebawem uderzą go znajome zapachy, nagle zatrzymał konia.

Odnosił dziwne wrażenie, że Turfan, miasto określane mianem „Perły Jedwabnego Szlaku", wygląda jakoś inaczej.

Daremnie wytrzeszczał oczy, nie dostrzegł dymu dobywającego się z kominów ani najmniejszego śladu życia na drogach prowadzących do miasta, choć zazwyczaj były one zatłoczone karawanami i stadami. Na próżno nastawiał uszu, nie doszedł ich gwar licznych targowisk oazy, w którym krzyki dzieci i śmiechy kumoszek mieszały się ze skrzypieniem kół wozów, a dźwięki fletów i bębenków małych wędrownych orkiestr z przekleństwami kupców i klientów, którzy szpikowali nimi swoje rozmowy, targując się o cenę towaru.

Gdy wjechali do Turfanu, przypominał on miasto umarłych.

Zbliżywszy się do pierwszych domów, stwierdzili z przerażeniem, że ich mieszkańcy się zabarykadowali, a wszystkie sklepy są zamknięte.

—Musiało się tu wydarzyć jakieś nieszczęście, bo wszyscy się pochowali! — zauważył Oręż Prawa.

—Dowiemy się, gdy kogoś spotkamy. A na razie, jeśli chcesz, moglibyśmy udać się prosto do miejsca nielegalnej hodowli. Według tego, co mówił mój krewny, znajduje się ona gdzieś blisko, zaraz za następnym skrzyżowaniem.

—Widzę, że nie tracisz czasu! To dobrze! — pochwalił Oręż Prawa, próbując dodać sobie otuchy.

Szli pustymi uliczkami.

— Powinna znajdować się tam, w głębi tego zaułka! Budynek co do joty odpowiada opisowi, jaki podał mój krewny! — wykrzyknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, wskazując barak przy końcu ślepej uliczki.

Przed strzaskanymi drzwiami siedział jakiś człowiek, trzymając się za głowę. Był zatopiony w myślach i dopiero gdy trącili go w ramię, podskoczył, wydając okrzyk strachu.

— Co tu robisz, manipo! Co za niespodzianka! Myślałem, że jesteś w Chang'anie! Przedstawiam ci Szlachetną Ośmioraka

Ścieżką. Urodził się tutaj — powiedział Oręż Prawa, rozpoznając wędrownego mnicha, który miał zrozpaczoną minę.

— Dzień dobra wam, wy prawa ręka Buddhabadry!

Dzięki pobytowi w Chang'anie manipa mówił trochę lepiej językiem ludzi Han, choć ciągle z okropnym akcentem.

— Co tu się dzieje? Nie wydaje mi się, żeby cię ucieszył mój widok! — odrzekł zaintrygowany Oręż Prawa.

Roztrzęsiony manipa z trudem powstrzymywał łzy.

—Mów! Co tu się stało? — nalegał mnich.

—*Om!* Uratowałem się. Wspomagał mnie Awalokiteśwara... *Om, mani peme hung!*

—Powiedz choć słowo! Czyż nie jestem twoim przyjacielem? Trzeba mówić, żeby uwolnić się od strachu! Jestem gotów cię wysłuchać! — nalegał łagodnie mnich z Peszawaru.

—Czy to nie tu znajduje się wytwórnia jedwabnej przędzy? — zapytał możliwie najpogodniej Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Rzeczywiście, to tutaj. Ale Tujue zniszczyli wszystko! Chodźcie zobaczyć! *Om!*—jęknął wędrowny mnich, dając im znak, żeby poszli za nim.

Z budynku, w którym hodowano jedwabniki, nie zostało prawie nic.

Oręż Prawa wszedł ze ściśniętym sercem w ruiny, między kamienne bloki i odłamki dzbanów, pośród których leżały pocięte pnie drzewek morwowych, świadczące o gwałtowności napaści. Na ziemi leżały garnki z brązu, w których parzono kokony, a tuż obok stosy zmiażdżonych larw między potłuczonymi naczyniami na farby. Na biegnących wzdłuż ścian półkach, które widać było w głębi, nie dostrzegli nawet jednego zwoju jedwabiu.

Wstrząśnięci mnisi z Peszawaru zadawali sobie pytanie, czy ich nadzieje się nie rozwiały.

— Manipo, ciągle jeszcze nie powiedziałeś mi, co tu ro bisz! — zwrócił się Oręż Prawa do wędrownego mnicha, stojąc pośrodku pomieszczenia zdewastowanego przez Turków, któ rych Chińczycy nazywali Tujue.

—Ja? *Om!* Pomagam manichejczykom tkać jedwab... — odparł posępnie wędrowny mnich.

—Ale kto cię tu przysłał?

—Pięć Zakazów! Żeby pomóc cesarzowej Chin.

—Cesarzowej Wu? — zdziwił się Oręż Prawa.

—Tak! *Om*\ Cesarzowej Wu Zhao! Bardzo piękna, bardzo inteligentna pani! Potrafi być bardzo uprzejma, ale jeśli trzeba, także bardzo niegodziwa! *Om!*

—Po co jej ten jedwab?

—Żeby zadowolić Wielki Wóz! — odparł krótko manipa.

—Widzę, że nie tylko my szukamy tej materii! — mruknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Turfański mnich miał bardzo posępną minę. Pojmował powoli, że jego plan może się okazać nadzwyczaj trudny do zrealizowania.

Szlochając, manipa dosłownie padł w ramiona Oręża Prawa.

—- *Om, mani peme hung!* Ja, ja się bardzo wstydzić! Ja podły manipa!

—Dlaczego tak mówisz? — zapytał łagodnie Oręż Prawa.

—Wczoraj złapali nas Tujue! *Om!* Jak ordynarny łup!

—Przecież to nie twoja wina, jeśli, jak mówisz, złapali cię jak ordynarny łup Tujue! — wykrzyknął Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Wódz Tujue postanowił mnie uwolnić! *Om!* Ja im wytłumaczyłem, że pochodzę z kraju Bod! Oni chcieli tylko Chińczyków! Nie mieli na swoich koniach miejsca dla zwykłego Tybetańczyka! *Om! Om!* — wyjąkał manipa, którego mina świadczyła zarówno o strachu, jak i o urazie, że nie został potraktowany jak człowiek Han.

—Przecież to oczywiste! Jesteś Tybetańczykiem, a Tujue dosiadają koni czystej krwi, znanych z wigoru! Nie zrobiłeś nic złego! — pocieszał go Oręż Prawa, który nie mógł pojąć, dlaczego z oczu wędrownego mnicha nadal leje się strumień łez.

—Przestań płakać. Powiedz sobie raczej, że udało ci się uciec, zwłaszcza jeśli przypomnisz sobie, że Tybetańczycy

zawsze rywalizowali z Turko-Mongołami! — dodał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

— Tak, ale żeby tego dokonać, popełniłem uczynek nie do wybaczenia! — jęknął bliski omdlenia wędrowny mnich.

Ciągle rozpaczliwie szlochając, wyjaśnił w końcu, że ledwo wyszedł z cieplarni, żeby przejść się po mieście, wpadł w zasadzkę zastawioną przez Turków na końcu uliczki, która prowadziła do tajemnego warsztatu manichejczyków.

Napastnicy wyglądali okrutnie i dziko. Ich herszt polecił mu, żeby zaprowadził ich do budynku z morwami. Grozili mu i lżyli go z racji jego pomarszczonej twarzy, która zdradzała tybetańskie pochodzenie. Przytknęli mu ostre końce swoich mieczy do szyi, na której zostały zresztą ślady, i w końcu manipa musiał być im posłuszny.

— Biada mi! Bez wahania skazałem dwoje niewinnych ludzi na śmierć! Nigdy więcej nie śmiałbym spojrzeć w twarz Pięciu Zakazom! *Om!* Cesarzowa Wu potraktuje mnie jak psa, i słusznie! *Om!* Lama Gampo mnie przeklnie! Jestem bardzo złym człowiekiem! *Om!* Opuścił mnie Awalokiteśwara, który powinien był powstrzymać mnie, żebym tego nie robił! *Om!*

Żal było patrzeć na rozpaczającego, wstrząsanego szlochem wędrownego mnicha. Zalewał się łzami, które ryły jeszcze głębsze bruzdy na jego pomarszczonej twarzy.

— Mógłbyś zaprowadzić nas do głowy Kościoła manichejskiego? — zapytał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, a potem dodał: — Chcemy mu powiedzieć coś ważnego!

Napełniony Spokojem przyjął ich, gdy tylko odźwierny powiedział mu o ich przybyciu.

Wielki Doskonały był załamany.

Wieść o zniszczeniu hodowli Świetlistego Punktu była dla niego przykrym ciosem, który stawiał pod znakiem zapytania wszystkie jego plany.

Po wzajemnej prezentacji Oręż Prawa przystąpił do rzeczy, i choć okoliczności temu nie sprzyjały, pokrótce wyjaśnił

manichejczykowi powody swego przybycia do Turfanu ze Szlachetną Ośmioraką Ścieżką.

—Ledwo znam przełożonego Dobrodziejstwo Potwierdzone! Pozostajemy w dobrych stosunkach z mahajanistami, ale nie przyjaźnimy siej Ale prawdę, mówiąc, mam dziś poważniejsze zmartwienia... —jęknął w odpowiedzi, gdy Oręż Prawa wyjawił mu cel swojej wizyty.

—Odnoszę wrażenie, że moje słowa niezbyt was przekonały! — rzekł trochę zawiedziony Oręż Prawa.

—Skoro nie mogę już nawet wytwarzać jedwabiu dla mojego Kościoła, nie wiem, jak mógłbym to zrobić z myślą o waszych potrzebach! — rzekł posępnie.

—Co więc myślicie robić, Mistrzu Doskonały, żeby zaradzić sytuacji? — zapytał naiwnie Szlachetna Ośmioraką Ścieżka.

—Od jakiegoś czasu cesarski dekret upoważnia manichejczyków do praktykowania religii w środkowych Chinach. Zamierzam pojechać jak najprędzej do Chang'anu i poprosić o audiencję u cesarzowej Wu Zhao, żeby wyjaśnić jej nasze położenie. A co z tego wyjdzie, zobaczymy! — zakończył Napełniony Spokojem, po czym dał znak Uczniowi, żeby odprowadził gości do drzwi.

Znalazłszy się na dworze, weszli do jakiegoś szynku, żeby napić się herbaty.

Oręż Prawa, przygnębiony tak niepomyślnym początkiem dnia, poczuł, że energia ucieka z niego niczym powietrze z bukłaka ze świńskiej skóry, takiego jak te, z których od niepamiętnych czasów flisacy budowali tratwy, służące Chińczykom do przeprawiania się przez Żółtą Rzekę.

Miał nieprzyjemne uczucie, że przyjechał do Turfanu nadaremnie.

Przebył taki kawał drogi, żeby spotkać na pół oszalałego manipę i usłyszeć od niego, że nielegalna produkcja jedwabiu w Turfanie ustała, a potem stanąć przed manichejskim Doskonałym, który gotów był odwiedzić cesarzową we własnej osobie, żeby przedstawić jej swoje problemy!

Dość, aby mieć pewność, że wyprawa zakończyła się klęską.

Stojący obok niego, jeszcze bardziej zawiedziony Szlachetna Ośmioraka Ścieżka nie odzywał się ani słowem, aż wreszcie znużony jego milczeniem Oręż Prawa zapytał go, co o tym wszystkim myśli.

Rozmowa skończyła się bardzo prędko.

— Jeśli pójdziemy do Dobrodziejstwa Potwierdzonego, to on roześmieje nam się w nos, i słusznie! Obawiam się, że niepotrzebnie wybraliśmy się w tę podróż... — podsumował mnich z Turfanu.

Bo rzeczywiście, czy mogli zapukać do drzwi położonego kilka ulic dalej klasztoru Wielkiego Wozu bez obawy, że zostaną wyproszeni? Nie mieli przecież najmniejszego zwoju jedwabiu, który mogliby zaproponować jego przełożonemu.

Ale to tam, w głębi niszy głównej pagody, spoczywał w alabastrowej wazie maleńki kawałek paznokcia Buddy, strzeżony przez ogromny cedrowy posąg, przedstawiający jego Przebudzenie w Uruwilwie, pod świętym Drzewem Bodhi.

Jednak wobec braku towaru na wymianę wszystkie plany brały w łeb. W najlepszym razie zostaliby grzecznie wyproszeni za drzwi, a w najgorszym — wyrzuceni jako zwykli oszuści, gdyby ośmielili się prosić, jak to naiwnie zasugerował Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, o oddanie relikwii klasztorowi w Peszawarze, nie oferując nic w zamian.

—Robi się późno. Proponuję, żebyśmy poszli do jakiegoś zajazdu i się przespali. Noc przynosi radę! — powiedział Oręż Prawa, który był zmęczony przygodami tego trudnego dnia.

—Zgodzicie się, żebym ruszył waszym śladem aż do krzepiącego łóżka? Nie wiem, dokąd iść, a padam ze zmęczenia! — jęknął manipa.

—Oczywiście! Gorąca zupa i wygodne łóżko dobrze ci zrobią! — zgodził się uprzejmie mnich z Peszawaru.

Zajazd położony był tuż przy wyjeździe z miasta, a sala jadalna była już wypełniona biesiadnikami, którzy w nieopisa-

nym gwarze, nad wielkimi pucharami wina, rozprawiali o najeździe Turków. Spocone służące roznosiły dzbany z trunkiem i stawiały je na ogromnych stołach.

Posiliwszy się talerzem klusek polanych bulionem z baraniny, cała trójka udała się do sypialni i zapadła w głęboki sen.

—Co zamierzasz zrobić, manipo? — zapytał Oręż Prawa rano, gdy wędrowny mnich, po którego twarzy widać było, że wypoczął, zszedł na śniadanie.

—*Om!* Wrócić do siebie, do kraju Bod, lub może udać się do Chang'anu, żeby uprzedzić Pięć Zakazów. Waham się jeszcze. Za wszelką cenę muszę odpracować ten zły uczynek, żeby nie odrodzić się jako owad, który skończy w brzuchu pierwszego zaskrońca, jaki się napatoczy! — odparł niepewnie wędrowny mnich, rozdarty między pragnieniem zakończenia tego rozdziału życia i zostawienia wszystkiego własnemu losowi a wiernością pomocnikowi Czystości Pustki.

—Nigdy nie wolno porzucać drogi obowiązku! Trzeba kroczyć Drogą Zbawienia i nigdy nie zawracać po własnych śladach, tak naucza Błogosławiony Budda — powiedział mnich z Peszawaru.

—Zgadzam się z tobą! *Om!* Pójdę tam, gdzie nakaże mi obowiązek!

—Nie możesz pozostawić Pięciu Zakazów w przekonaniu, że cesarzowa Chin otrzyma manichejski jedwab. Na twoim miejscu wróciłbym jak najprędzej do Chin, żeby go ostrzec... Oto dobry uczynek, który zatrze złe skutki poprzedniego — podsumował Oręż Prawa, któremu współczucie, jakie buddyjski mnich winien był bliźniemu, nie zabraniało bynajmniej stawiać wysokich wymagań zarówno innym, jak i sobie.

—Dobrze mówisz! Dzięki tobie do mojego serca wraca nadzieja — westchnął manipa.

Po śniadaniu wyszli z zajazdu, kontynuując rozmowę.

Mimo zacinającego piaskiem, silnego wiatru, jaki zaczął wiać w nocy, Jedwabnym Szlakiem znowu sunęły karawany na wielbłądach i koniach, ale także piesi, z osiołkiem lub bez,

którzy czasami szli w małych grupkach, a czasami samotnie. Zwierzęta uginały się pod worami ze zbożem i suszonymi warzywami, między które kupcy wciskali skórzane sakwy, zawierające cenniejsze towary: przyprawy z Kaszgaru, kość słoniową z Indii, złotą biżuterię z Sogdiany, koral z Morza Śródziemnego, kobierce z Persji lub nefryt z Chotanu.

Przestano obawiać się najazdu Turków i w oazie życie i handel wracało na starą ścieżkę.

Albowiem tacy są ludzie, zawsze i wszędzie: jeśli tylko istnieją warunki do handlu i wymiany, siły zapewniające dobrobyt przeważają w końcu nad siłami zniszczenia.

— Dokąd zamierzasz iść? — spytał Oręża Prawa Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

Kłopotliwe pytanie!

Czy należy ruszyć na prawo, ku zachodowi, w drogę powrotną, czy też na lewo, na wschód, w kierunku Chin?

Zatopiony w myślach Oręż Prawa wahał się ciągle, gdy usłyszał krzyki dochodzące zza piaszczystego pagórka, u stóp którego biegła droga.

—Manipo! Manipo! Popatrz no w tę stronę! To ja! Jestem tu! — wołał jakiś przerażony głos.

—Na Błogosławionego Buddę, *Om!* Coś takiego! — wykrzyknął manipa tak zaskoczony, że odezwał się po tybetansku i nawet tego nie zauważył.

Jego twarz, spalona wysokogórskim słońcem, pojaśniała. Na szczycie pagórka ukazała się zgrabna sylwetka Świetlistego Punktu.

—Tujue wyrzucili mnie ze swojego konwoju.

—Co za szczęście! *Om!*

—Zatrzymali jednak Nefrytowy Księżyc...

—Co się stało? Co on mówi? — zapytał zdezorientowany Oręż Prawa.

—Tujue potrzebowali jedwabiu. I to w wielkich ilościach. Ktoś ich prawdopodobnie nasłał na nas i na naszą hodowlę. Kiedy się zorientowali, że nie ma jeszcze ani jednego gotowego

zwoju, ich herszt wpadł w straszliwą wściekłość. Postanowił nas uprowadzić. A potem, niedługo po wyrzuceniu manipy, pozbył się i mnie.

—Dzięki ci, Awalokiteśwaro! *Om!* — westchnął wędrowny mnich.

—Najwyraźniej nie byłem im do niczego potrzebny, nie bardziej niż wędrowny mnich — ciągnął Świetlisty Punkt. — Pogardzili takim kuczaninem jak ja. Łapią tylko Chińczyków i niestety, także Chinki, żeby, jak sami mówią, posłużyć się nimi jako zakładnikami... Co do mojego biednego Nefrytowego Księżyca, to grozi jej spędzenie reszty życia w haremie, w mieście, które nazywa się Bagdad i leży nad brzegami rzeki Tygrys. To w każdym razie obiecał jej podlec o wilczej gębie, herszt Tujue, z wąsami do pasa... — Świetlisty Punkt był wyczerpany, co nie przeszkadzało mu zaciskać pięści z wściekłości.

—Bagdad! Ta nazwa nie jest mi obca... — odezwał się Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Ani mnie. To wielki port, z którego chiński jedwab przewozi się okrętami do miast tak wspaniałych, że według niektórych podróżników ich pałace pokryte są dachówkami z czystego złota! — wyjaśnił Oręż Prawa, beztrosko mylący Bagdad z Konstantynopolem lub Bejrutem, wielkimi morskimi portami, z których wyruszały na Zachód towary, dostarczane przez karawany z Jedwabnego Szlaku.

—To musi być daleko stąd! — jęknął Świetlisty Punkt.

—Tak daleko, że ja dowiedziałem się o tym mieście od ludzi, którzy słyszeli, jak o nim mówiono! — rzekł w zamyśleniu mnich z Peszawaru, który nieraz marzył o tych mitycznych stolicach, tak oddalonych od Indii, że niektórzy wątpili nawet w ich istnienie.

—Jeśli natychmiast nie rzucę się za nimi w pościg, mogę już nigdy nie zobaczyć mojej żony! — rozpaczał Świetlisty Punkt.

—Błagam cię o przebaczenie! — wykrzyknął manipa,

a potem, szlochając, opowiedział o czynie, do jakiego popchnął go paniczny strach przed Turkami.

— Tujue znaleźliby tę hodowlę, nawet gdyby nie natknęli się na ciebie! — pocieszył go Świetlisty Punkt, uspokajając w ten sposób jego sumienie, a potem usiadł pod murkiem, gdyż nie mógł zrobić ani kroku więcej.

Dwaj mnisi Małego Wozu zaprowadzili go do zajazdu, w którym spędzili noc, i tam przekonali go, żeby się napił herbaty z miętą i zjadł porcję smażonych moreli.

Manipa przedstawił mu obu mnichów i młody człowiek, mimo przygnębienia, znalazł siły, aby wyjaśnić im, czym zajmował się u Napełnionego Spokojem.

Oręż Prawa, który dostrzegł w tym tak niespodziewanym i cudownym spotkaniu światełko nadziei, zaproponował młodemu kuczaninowi kluski z mięsem, na co ten zgodził się w końcu, był bowiem bardzo głodny.

— Ile czasu potrzebujesz, żeby znowu rozpocząć tkanie jedwabiu? — zwrócił się do niego, gdy ten się posilił.

Mnich z Peszawaru był tak pochłonięty celem swej wędrówki, że nie myślał o tym, jak młodziutki mąż Nefrytowego Księżyca przyjmie jego pytanie.

—Najważniejsze jest dla mnie odnalezienie żony! Ona jest tym, co jest mi najdroższe na świecie. Oczekujemy dziecka. Mam nadzieję, że Turcy nie zrobiąjej krzywdy... Spadło na nas wielkie nieszczęście! — odpowiedział smutny i zamyślony, połykając jedną po drugiej kluseczki z mięsem.

—Wiesz, w jakim kierunku udali się porywacze, prócz tego, że mówili o Bagdadzie? — spytał mnich z Peszawaru.

—Niestety nie! Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że ruszyli tam, gdzie zachodzi słońce... — odparł zasmucony Świetlisty Punkt.

—Muszą być już daleko, mają bojowe konie szybsze niż błyskawica! — dodał Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, szczerze zmartwiony nieszczęściem młodzieńca.

—*Om!* Ich konie są szybkie jak strzała wypuszczona z ku-

szy! *Om!* — potwierdził manipa, celując palcem wskazującym w niewidzialną tarczę.

—Jeśli nam pomożesz, tkając piękny jedwab, zapewnimy ci tysiące godzin modlitw do Błogosławionego Buddy, który w końcu zadośćuczyni twojemu pragnieniu ujrzenia żony! Nie można wykluczyć, że Tujue zwrócą ci ją w zamian za tyle zwojów cennej tkaniny, ile waży twoja żona... — dodał mnich z Peszawaru.

—Mówisz poważnie? Te dzikusy oddałyby mi Nefrytowy Księżyc za tyle jedwabiu, ile ona waży? — spytał z niedowierzaniem kuczanin.

—Mnich Małego Wozu, który wpadłby na pomysł, żeby kłamać, popełniłby grzech, który zaprowadziłby go prościutko do piekła! — odparł Oręż Prawa.

—Nie mogę w to uwierzyć! To byłoby cudowne! — rzekł Świetlisty Punkt.

—Twoja reakcja pozwala przypuszczać, że zgadzasz się wrócić do swoich tkackich warsztatów! — zauważył Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

—Moglibyśmy ci pomóc. Jestem gotów zostać tu z tobą tak długo, jak będzie trzeba. A zresztą, w nieszczęściu nie jest dobrze zostawać samemu — nie ustępował Oręż Prawa.

—Ci dwaj mnisi mówią prawdę! *Om!* Nie powinieneś zostawać tu sam! To źle wpływa na duszę! — wtrącił manipa, zwracając się do łkającego manichejczyka.

—Gdybym był na twoim miejscu, Świetlisty Punkcie, zastanowiłbym się poważnie nad propozycją mojego towarzysza! — powiedział Szlachetna Ośmioraka Ścieżka, ściskając ramię kuczanina.

—Dlaczego tak się upieracie przy tym jedwabiu? Na co on wam? — zapytał były Uczeń Kościoła Światłości. Siła perswazji tych dwóch mnichów Małego Wozu zaczynała działać na jego wyobraźnię.

—Żeby doprowadzić do końca pewne pobożne przedsięwzięcie! — odparł wymijająco Oręż Prawa.

—Ręczę za uczciwość tych dwóch mnichów Małego Wozu, jako że bardzo dobrze znam tego tutaj! — Manipa wskazał Oręż Prawa.

—W takim razie, zobaczymy! Czemu nie... — westchnął zrezygnowany kuczanin.

Jakże daleko przebywał w tym momencie myślami ten sprytny młodzieniec. Jego pobielone pustynnym pyłem włosy podkreślały przygnębienie, o którym świadczył też przygaszony wzrok.

Zazwyczaj tak dumny, był u kresu wytrzymałości i nie potrafił zapanować nad rozpaczą, jaka zalewała go po uprowadzeniu ukochanej żony przez strasznych Turków.

Turecko-mongolska tłuszcza wzbudzała nienawiść i strach wszędzie, gdzie przeszła, grabiąc i mordując.

Nieustanne zbrojne wyprawy do Persji, potem do Sogdiany, przyczyniały się do powiększania imperium tureckich nomadów.

Pochodzący z Ałtaju wędrowni wojownicy, dosiadający najszybszych stepowych koni, które chętnie i bardzo drogo sprzedawali cesarskim stadninom Tangów, krwawi jeźdźcy, którym ośmielali się sprzeciwić tylko Ujgurowie, tak samo okrutni, za cenę przelanej krwi zdołali stworzyć rozległe imperium, a jego podział na dwie części, wschodnią i zachodnią, miał dać początek panowania dynastii Omajjadów.

W roku 601 zdołali nawet dotrzeć do bram Chang'anu.

Nie ulega wątpliwości, że zdobyliby miasto, gdyby nie wyjątkowo surowa zima, która zdziesiątkowała ich bydło.

A wtedy bieg historii uległby z pewnością zmianie i chińskie imperium Tangów, podobnie jak inne bogate, wspaniałe i wyrafinowane cywilizacje, upadłoby zalane barbarzyńcami.

Od tego czasu nastał dziwny zbrojny rozejm, oparty na zręcznym odpłacaniu pięknym za nadobne, w którym ważną rolę odgrywały stepowe konie, wymiana wysokiej rangi zakładników i cenne prezenty, dobierane według drobiazgowych zasad. Mimo to wciąż królowała nieufność między imperium Tangów, którzy pragnęli kontrolować jak najdalsze odcinki

Jedwabnego Szlaku, a potęgą nieuchwytnych, prowadzących koczowniczy żywot Turków, potrafiących dobrze wykorzystać słabe punkty przeciwnika, który był mniej groźny, niż mogło się wydawać.

O ile rzadko dochodziło do najazdów, to jeśli już się zdarzały, były wyjątkowo brutalne, jak ten, którego ofiarą kilka tygodni wcześniej padł Dunhuang.

Za to atak na Turfan miał inny charakter, jakby napastnicy zamierzali jedynie pozbawić manichejczyków zdolności do wytwarzania jedwabiu.

Zrozpaczony Świetlisty Punkt zdrzemnął się na krześle i Oręż Prawa doszedł do wniosku, że lepiej będzie pozwolić mu się przespać. Młody kuczanin był zbyt zmęczony tym, aby słuchać jego argumentów.

W przypływie nadziei Oręż Prawa oddał się marzeniom.

Był pewny, że przekona młodego kuczanina, aby wznowił wytwarzanie magicznej przędzy.

Znając tajniki tkania jedwabiu, trzeba było być szalonym, żeby z tego nie skorzystać, nawet jeśli Turcy porwali komuś żonę.

Wystarczy przekonać kuczanina, że tkanie jedwabiu jest najlepszym sposobem na odnalezienie Nefrytowego Księżyca. Mógłby opłacić nim zarówno porywaczy, jak i informatorów za wiadomości o niej.

Jedwab był kluczem do wszystkiego: do bogactwa dla tych, którzy kochali pieniądze, do relikwii dla wiernych, do władzy dla ambitnych...

A zresztą, nie przypadkiem w niektórych oazach Jedwabnego Szlaku, na przykład w Kizył albo w Dandan-Oilik*, malarze chętnie przedstawiali na ścianach górskich grot dziwnego boga mającego czworo ramion, troje oczu i czoło ozdobione złotą koroną, ubranego w kaftan z kwiecistej tkaniny i obutego

* Osada buddyjska Kizył położona jest o około piętnastu kilometrów od Kuczy, Dandan-Oilik około dwudziestu kilometrów od Chotanu.

w zabawne czarne buty z cholewami, którego ręce wywijały czółenkiem, grzebieniem tkacza, kubkiem do farbowania, a przede wszystkim tabliczką, przedstawiającą legendę chińskiej Jedwabnej Księżniczki, która miała potajemnie wywieźć do Chotanu nasiona morwy i jaja jedwabnika.

Ten dziwny Bóg Jedwabiu, tak znamienny dla chińskich i indyjskich wpływów na religijne wierzenia środkowej Azji, który w pierwotnej postaci był bogiem tkaczy i krawców, wystarczająco dowodził znaczenia boskiej tkaniny, tak miękkiej w dotyku, że Chińczycy porównywali ją do obłoczka na niebie.

Niezadowoleni, że muszą za nią bardzo drogo płacić i narażać się na tysięczne niebezpieczeństwa, by ją zdobyć, aby wymienić ją na przyprawy albo na złoto, ludzie w końcu ją ubóstwili, zapożyczając na tę okazję oblicze jednego ze swych najbardziej czcigodnych bogów.

Zarówno dla Wu Zhao, jak i Napełnionego Spokojem, ale także dla Świetlistego Punktu i Oręża Prawa, jedwab stał się najważniejszą rzeczą pod słońcem.

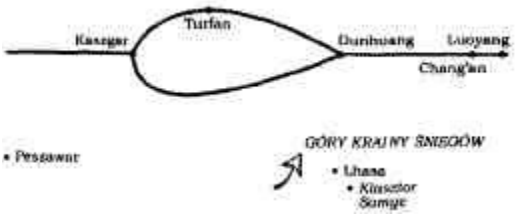

16

W górach Krainy Śniegów

Nie poświęcając najmniejszej uwagi wspaniałym pejzażom, jakie się przed nim otwierały, Pięć Zakazów parł przed siebie, mając tuż koło siebie Lapikę.

Tym razem pies nie gonił za świstakami czy pardwami ani nie skakał po porośniętych trawą zboczach, poszczekując wesoło. Trzymał się blisko pana, ocierając się o jego nogi, jakby chciał zapewnić mu stałą ochronę, a nade wszystko ulżyć jego strapieniu.

Albowiem Pięć Zakazów bardzo potrzebował pocieszenia.

Już od trzech dni maszerował z pustką w głowie, przytłoczony ogromnym nieszczęściem, jakie na niego spadło.

Na zawsze miał zachować w pamięci straszliwy moment, gdy stwierdził, że Umara zniknęła. Stało się to po powrocie ze spaceru z Lapiką po jodłowym lesie na północnym stoku góry, naprzeciwko klasztoru Samye, gdzie chodził przyglądać się motylom.

Umara czekała na niego zazwyczaj z czarką gorącej herbaty na progu małej izby pasterskiego szałasu. Stał on nieopodal klasztoru, pośród łąk, na których pasły się jaki i czarne owce. Tö Ling pozwolił im tu zamieszkać, w zamian za pilnowanie należących do klasztoru stad pod nieobecność pasterza.

Tego popołudnia Pięć Zakazów stwierdził z niepokojem, że ukochana nie wita go na progu...

Nagle płowe psisko zatrzymało się, łapiąc wiatr, o kilka kroków od szałasu, ale nie przypisał temu zbyt wielkiego znaczenia.

Wszedł do środka i stwierdził z przerażeniem, że domek jest pusty. Tymczasem Lapika obwąchiwała ściany, wydając ciche piski, niewróżące niczego dobrego.

Pięć Zakazów gorzko żałował, że zabrał ją ze sobą.

Targany najczarniejszymi przeczuciami obszedł najbliższą okolicę, wołając Umarę, a potem popędził do lamy Tö Linga, żeby go zapytać, czy nie widział jego ukochanej.

— Nie widziałem jej, drogi Pięć Zakazów. Nigdy nie przychodzi do klasztoru. Nie powinieneś się niepokoić, pewnie poszła na grzyby albo na jagody. Co, twoim zdaniem, mogło jej się stać? W Samye nikt nie ma żadnych powodów do obaw! — pocieszył go lama.

Nadszedł wieczór, potem chłodna i ciemna noc, podczas której Pięć Zakazów nie zmrużył oka, szczękając zębami na łóżku, i myślał o tym, że czuł się w nim dobrze tylko w ramionach ukochanej kobiety.

Minął następny dzień, potem noc.

Wczesnym rankiem trzeciego dnia, gdy Umary nadal nie było, Pięć Zakazów musiał przyjąć fakt, że jego ukochana zniknęła na dobre.

Mimo iż był buddystą, wychowanym w nieufności do taoistycznych teorii, mógł teraz stwierdzić, do czego redukuje się *yang* pozbawiony swego *yin:* miał dziwne uczucie, że chodzi na jednej nodze, czy też że jest tylko połową ptaka Biyiniao, chińskiego symbolu zakochanych, który miał jedno skrzydło i mógł latać tylko wtedy, gdy znalazł sobie parę...

Wtedy właśnie przeszyło go piorunujące przeczucie, którego oczywistość nie dopuszczała żadnych wątpliwości: Kłębek Kurzu!

Z całą pewnością, tylko on był zdolny zadać taki cios!

Jak mógł nie pomyśleć wcześniej o młodym Chińczyku, któremu mnisi z Samye dali inny szałas, za skalnym wzgórkiem, porośniętym krzewami borówek, stojący pośrodku łąk z pasącymi się jakami i czarnymi owcami?

Dość było przypomnieć sobie wściekłe spojrzenie, jakim obrzucił ich trzy miesiące wcześniej, gdy przekazywali mistrzowi Gampo trzy święte rękojmie.

Czyż dawny towarzysz zabaw Umary nie stwierdził z żalem, że nie udało mu się zdobyć jej serca?

Czyż się na nich nie boczył?

Zamknięty w milczeniu, z którego nie potrafił wydobyć go nikt, nawet lama Tö Ling, całymi dniami krążył z posępną miną po okolicznych wzgórzach, przyglądając się motylom i ptakom.

Mimo usilnych namów Umary odmawiał przychodzenia do nich na posiłki.

Właściwie to dobrze było, jeśli pozdrowił przez zaciśnięte zęby Pięć Zakazów, unikając spojrzenia mu w twarz, kiedy ten mijał jego szałas, idąc na spacer.

Z bijącym sercem Pięć Zakazów pobiegł jak szalony do szałasu młodego Chińczyka przez zarośla i łąki, między spłoszonymi zwierzętami, które uciekały przed płowym psiskiem, nieodstępującym go na krok.

Rzucił się do drzwi maleńkiej chatki Kłębka Kurzu, w połowie stoczonych przez robaki, ale nie musiał pokonywać ich uderzeniem ramienia: nie były zamknięte.

Domek był pusty. Wygaszone i zimne palenisko świadczyło o tym, że młody Chińczyk nie spędził tu nocy.

Wówczas, w obliczu wspaniałych gór, których grzbiety zaczynało różowić słońce, pod błękitnym niebem, na którym orły i sępy zakreślały powolne, finezyjne arabeski, wobec stad jaków i czarnych owiec, spoglądających na niego spokojnie, jakby odrodzili się w nich wierni, gotowi wysłuchać jego słów, Pięć Zakazów dał upust gniewowi i smutkowi.

Jego płacze i jęki, niesione odbitym od szczytów, potężnym

echem, dotarły aż do głównego budynku Samye, napełniając smutkiem serca lamy Gampo i Tö Linga.

Kłębek Kurzu uprowadził Umarę!

Jak mógł odnosić się tak ufnie do młodego chłopaka, który nie przestawał patrzeć na niego spode łba, odkąd się poznali?

Jak żałował swojej nieostrożności. Nie powinien był pozostawiać Umary sam na sam z jej dawnym przyjacielem, który spokojnie knuł swoją zemstę i wreszcie jej dokonał. A on tymczasem beztrosko uganiał się za motylkami!

W przystępie wściekłości rozrzucił czarki do herbaty i talerze stojące na stole, przy którym Kłębek Kurzu spożywał posiłki. Pożyczone od Tö Linga naczynia pospadały na ziemię i rozprysnęły się na tysiąc kawałeczków.

Wróciwszy do swego domku, Pięć Zakazów spędził dzień na męczącym wyczekiwaniu, zastanawiając się, co robić, po czym pogrążył się w długiej modlitwie.

Usiadł na progu w pozycji lotosu i zwrócił się twarzą w stronę poszarpanych górskich grani, zamknął oczy i wystawił twarz na promienie słońca, niczym na boskie światło Błogosławionego Buddy.

I w obliczu tych szczytów sięgających nieba, a więc nieosiągalnego raju, spróbował wytworzyć w swoim umyśle pustkę.

Jego mistrz tłumaczył mu zawsze, że jest to nieodzowny warunek wejścia w ów niewysłowiony stan, w którym dzięki porzuceniu ja można doświadczyć Świętej Prawdy Błogosławionego.

I w istocie, bardzo jej potrzebował!

Po raz pierwszy w życiu był tak przygnębiony i samotny; odczuł, czym jest *dukha,* ów ból istnienia, o którym Gautama mówił, że jest w nim pogrążony cały świat i wszystkie żywe istoty. Zapragnął zniknąć z powierzchni ziemi...

Nie mógł żyć bez Umary.

Nie miał wyboru, mógł tylko medytować i czekać, aż Budda okaże mu współczucie.

Pięciu Zakazom zawsze przychodziło z trudem pozostawienie myśli ich swobodnemu biegowi. Był to jednak warunek osiągnięcia stanu umysłu, w którym przebudzenie świadomości pozwalało dojrzeć niewidzialne i pojąć niepojęte.

Nie zwierzył się z tego nikomu, a już zwłaszcza Czystości Pustki, ale od czasu gdy rozpoczął nowicjat w Klasztorze Wdzięczności za Cesarskie Dobrodziejstwa w Luoyangu, nigdy nie udało mu się tego osiągnąć choćby na krótką chwilę.

To było silniejsze od niego: nie potrafił zapanować nad aktywnością swojego umysłu, który był ciągle w ruchu, i nie umiał się wyłączyć po to, aby myśli mogły popłynąć ku brzegom niewysłowionego.

Kiedy pewnego razu, ni stąd, ni zowąd, zwrócił się do Czystości Pustki z pytaniem, jak się do tego zabrać, ten odpowiedział mu słowami, które były trochę przestrogą, a trochę żartem:

„Tak naprawdę medytuje się tylko w moim wieku, kiedy człowiek jest już stary! Aby dojść do czwartego stopnia medytacji, trzeba zostać buddą. Co do wchodzenia w jej pierwsze stadium, jedyne, które jest dostępne biednym ludzkim istotom, jakimi jesteśmy, to trzeba ci wiedzieć, Pięć Zakazów, że jest to sprawa doświadczenia i praktyki... Twój umysł musi się z tym pogodzić...".

I cały problem tkwił właśnie w tym: umysł młodego nowicjusza, a potem mnicha, godził się z tym z największym trudem.

Mnich, którego mimo to Czystość Pustki wybrał na swego pomocnika, męczył się na próżno, i nigdy nie poczuł na swojej głowie dobroczynnych skutków łagodnego spojrzenia Błogosławionego, które z taką precyzją opisywały podręczniki medytacji *chan*.

Był to zresztą powód, dla którego poświęcił się tak żarliwie zgłębianiu sztuki walki.

Dzięki ćwiczeniom fizycznym, jakim oddawał się codziennie od świtu w parku Klasztoru Wdzięczności za Cesarskie Dob-

rodziejstwa, osiągał uspokojenie, w którym mózg przestawał rozumować.

Gdy wprawianie się w ruchach, tak giętkich i wdzięcznych, że przypominały taniec, nie wystarczało mu do skanalizowania rozsadzającej go energii, dość było, że rozłupał jednym uderzeniem dłoni trzy cegły ułożone jedna na drugiej, a odnajdywał spokój i pogodę ducha.

Pięć Zakazów wyciągnął z tego wszystkiego wniosek, że lepiej nadaje się do działania niż do medytacji.

Ale tym razem chodziło o wysoką stawkę.

Aby odnaleźć ukochaną, której nieobecność przyprawiała go o nieznośny smutek, potrzebował pomocy Błogosławionego, a także wszystkich jego towarzyszy: Anandy, jego ukochanego kuzyna, który służył mu z takim oddaniem; oczywiście miłosiernego Awalokiteświary — Guanyin; nie mógł pominąć Maitrei, Buddy przyszłości, Amitabhy z Czystej Ziemi Zachodu, ani nawet Kśitagarbhy-Dizanga, jedynego bodhisattwy noszącego strój mnicha, do którego wierni zwracali się chętnie, ponieważ zbawiał dusze umarłych.

Po dłuższej chwili Pięć Zakazów uświadomił sobie oczywisty fakt: jego umysł był tak opanowany zniknięciem Umary, że wszelkie próby myślenia o czymś innym niż o tym nieszczęściu kończyły się niepowodzeniem.

Doszedł do wniosku, że jest zdany tylko na siebie i że w tej sytuacji byłoby najlepiej, gdyby wyruszył bez zwłoki na poszukiwanie ukochanej.

Ale dokąd się udać?

W jakim kierunku ten podły Kłębek Kurzu mógł uprowadzić jego słodką Umarę? Na północ czy na południe, na wschód czy na zachód?

Gubił się w domysłach, a ogrom przepaści i skalnych ścian, które miał przed sobą, nie podnosił go na duchu.

Trzeba było ruszać w drogę. Musiał zdecydować się na to czym prędzej, pod groźbą, że utraci wszelką nadzieję na odnalezienie ukochanej.

Naraz zobaczył maleńkiego pajączka, który przeszedł z wahaniem po kamiennym progu. Gdy Pięć Zakazów był jeszcze małym dzieckiem, słyszał, jak mówiono, iż obserwacja, a potem odczytywanie najdrobniejszych śladów zostawionych przez idącego pająka, pozwala niektórym szamanom ustalić, co należy zrobić w pewnych sytuacjach.

Przez skojarzenie nawiedziła go pewna myśl, niezbyt może właściwa u żarliwego buddysty, ale w położeniu, w jakim się znalazł, nie przywiązywał wielkiej wagi do sposobów, jakie mogły ułatwić mu odnalezienie Umary. Czemu nie miałby użyć krwawnika *shicao,* rośliny wróżbiarzy, za pomocą której od najdawniejszych czasów przepowiadano w Chinach przyszłość?

Wyprowadzona ze słynnej *Księgi Przemian I-Ching* technika polegała na tym, że cięto tę roślinę na czterdzieści dziewięć kawałków i kładziono je na dwie kupki, jedną dla nieba, a drugą dla ziemi; następnie dzielono je znowu, na zmianę w liczbach parzystych i nieparzystych, aby odtworzyć sześćdziesiąt cztery heksagramy *I-Ching,* które wystarczało już tylko zinterpretować.

Rozejrzał się.

Na tej wysokości nie rosło nawet najmniejsze źdźbło krwawnika. A gdyby nawet, to i tak miałby kłopot z poprawnym odczytaniem diagramów.

Były tylko jaki i owce, których kości biodrowe, gdy rozgrzewało się je w płomieniach, pokrywały się pęknięciami; ich odczytywaniem zajmowała się osteomancja, jeszcze inna metoda wróżbiarska jego chińskich przodków.

Ale jeśli Pięciu Zakazom trudno by było odczytać trigramy, to tym bardziej nie potrafiłby zinterpretować pęknięć, które do złudzenia przypominały hieroglify pisane przez pierwszych Chińczyków.

Musiał uświadomić sobie jeszcze raz, że jeśli chce ustalić kierunek, w jakim powinien udać się w pościg za Kłębkiem Kurzu, może liczyć tylko na swój umysł.

Podniósł się zrezygnowany i zaczął chodzić tam i z powrotem przed drzwiami szałasu, w którym był tak szczęśliwy z Umarą.

Ponieważ klasztor Samye leżał w kotlinie, to jeśli się dobrze zastanowić, można było wydostać się stąd tylko w jeden sposób, przez przełęcz, tę samą, którą tu dotarli.

Kłębek Kurzu i Umara mogli więc skierować swe kroki tylko na południe, obierając zwykłą drogę, którą Pięć Zakazów dobrze znał, jako że pokonał ją już trzykrotnie.

Pozostało mu jedynie przemierzyć ją po raz czwarty, na tyle szybko, by dogonić ukochaną i jej porywacza.

Jednak gdy stanął przed przełożonym Gampo, do którego poszedł, żeby go powiadomić o zamiarze wyruszenia w drogę, nie zdołał nad sobą zapanować i dał wyraz swemu przygnębieniu.

—Czy nie powinienem ujrzeć w tym wielkim nieszczęściu, jakie na mnie spadło, znaku od samego Błogosławionego, który uczynił mi wyrzut, że opuściłem Szlachetną Ścieżkę, zdejmując mnisze szaty? Lecz, o ile ja sam jestem gotów ponieść karę, to uznałbym za niesprawiedliwość to, że cierpi także moja biedna Umara... — szepnął do niewidomego starca.

—Pięć Zakazów, nie wolno ci tak myśleć. Zwykłą rzeczą jest, że nurt unosi gałąź rzuconą do rzeki. Jeśli należy kogoś zganić, to raczej tego, który wysłał cię tu po raz pierwszy! — odparł głębokim głosem przełożony.

—Myślicie o mistrzu Czystości Pustki?! — wykrzyknął ze zdumieniem Pięć Zakazów.

—Myślę, że wyraziłem się jasno! — uciął lama Gampo, jakby chciał dać do zrozumienia, że surowo osądza postawę przełożonego z Luoyangu.

—Boję się, że już nigdy jej nie zobaczę. Nie mogę znieść tej myśli — lamentował młodzieniec. — Odkąd Umara stała się moją drugą połową, życie bez niej sprawia mi tyle bólu!

—Sam Błogosławiony powiedział swoim najbliższym uczniom: „Wolny od wszelkich gwałtownych pragnień, ob-

darzony mądrością mnich już tu, na ziemi, osiąga nieśmiertelny spokój, stan ostatecznego zgaśnięcia". Powinieneś inspirować się jego nauką! — odrzekł lama Gampo.

—Nie wyobrażam sobie, abym mógł być obdarzony mądrością, jako że nie uważam się już za mnicha. Jestem tylko człowiekiem, który gorąco kocha kobietę!

—Oto, mój synu, słowa niegodne buddysty! — odrzekł lama Gampo nie bez ironii, spoza której wyzierało jednak zrozumienie.

—Czcigodny mistrzu, doznałem oświecenia.... ale było to oświecenie miłością! Kiedy się kocha, człowiek czuje się dobrze i dużo łatwiej przychodzi mu obdarzać innych tym, co ma w sobie najlepszego. Ośmielam się więc żywić nadzieję, że Błogosławiony weźmie to pod uwagę! — powiedział poważnie Pięć Zakazów.

—Gdy czegoś pożądamy, z początku czujemy się szczęśliwi, ale później nieuchronnie zaczynamy cierpieć! A to dlatego, że utraciliśmy to, co dawało nam szczęście, lub też zaczęliśmy odczuwać wielką trwogę, iż to utracimy... Widzisz, Pięć Zakazów, szczęście istnieje tylko jako przeciwieństwo nieszczęścia. Nie zapominaj, że jedna ze Szlachetnych Prawd Najświętszego Buddy Gautamy wyjaśnia dokładnie, na czym polega ból istnienia — wyjaśnił mistrz Gampo.

—Nie pragnę bynajmniej przywłaszczać sobie Umary. Wystarcza mi, że ją kocham, to wszystko! Czemu taki biedny buddysta jak ja miałby być pozbawiony prawa do szczęścia, jakim cieszą się wszyscy?

Ogromna miłość do Umary kazała Pięciu Zakazom użyć słów, które mogły urazić starego mnicha. Na szczęście jednak przełożony Samye odznaczał się wielką mądrością i nie miał równego sobie w czytaniu w ludzkich sercach, nawet jeśli nie mógł czytać w ludzkich oczach.

— Pięć Zakazów, wiem, że jesteś szczery, i życzę ci najgoręcej, żebyś odnalazł tę młodą chrześcijankę—rzekł, ujmując młodzieńca za ręce.

Jego dłonie promieniowały łagodnym ciepłem, które podziałało uspokajająco na rozgorączkowanego Pięć Zakazów.

—Weź to! — dodał przełożony, zdejmując z szyi srebrny *gau,* relikwiarz w kształcie pąka lotosu, zawieszony na łańcuszku.

—Co jest w środku?

—Wiatr, Pięć Zakazów! Nic więcej prócz wiatru!

—Jakże to, wiatr?

—Czytałeś *Sutrę o logice Czystej Pustki?*

—Prawdę mówiąc, ten tekst zawiera tak subtelne sformułowania, że skłamałbym, udając, że zrozumiałem ich sens!

—Szkoda! Zawarta jest w niej apologia pustki. I to z tej nicości, której nic już nie zakłóca, wyłaniają się wciąż najbardziej iskrzące przebłyski. A w przyrodzie pustka sprowadza się do wiatru i jego tchnień! Daję ci ten mały prezent, żeby pomógł ci zastanowić się dobrze nad tym wszystkim... — podsumował z uśmiechem lama Gampo.

—Czy zechcielibyście udzielić mi błogosławieństwa? — zapytał Pięć Zakazów, rzucając się do jego stóp.

—Udzielam ci go z całego serca!

—Czy będę miał szczęśliwe życie, mistrzu?

— Idź ku twemu szczęściu! Ono cię w końcu odnajdzie.

Ostatnie słowa mistrza Gampo brzmiały mu w uszach, gdy ruszył w górę, ku przełęczy.

Na jego szyi wisiał podarowany przez niewidomego przełożonego talizman, który miał przypominać mu jego podnoszące na duchu słowa. Pięć Zakazów powtarzał je sobie, gdy czuł, że ogarnia go zniechęcenie i smutek.

Albowiem dręczyły go pytania, których samo sformułowanie przyprawiało o ból głowy.

Czy postąpił rozsądnie, rzucając się ślepo w ramiona młodej nestoriańskiej chrześcijanki?

Czy nie naraził się na to, że odetnie się od swojej wiary, a jednocześnie zostanie pozbawiony kobiety, bez której nie może żyć?

Jak by postąpił, gdyby wiedział zawczasu, że będzie tak cierpiał w dniu, w którym ją utraci? • -

Bezustannie roztrząsał te kwestie, aż w końcu znów pogrążył się w rozpaczy.

Dość było, że przypomniał sobie chwile, jakie spędził z Umarą, aby stwierdzić, że dręcząca go tęsknota i wyrzuty sumienia są tylko przeciwieństwem szczęścia, które smakowali z taką rozkoszą.

Miłość okazywała się więc także groźną pułapką, której szczęki zaciskały się nieubłaganie, w momencie gdy to, co było stworzone, aby się połączyć, ulegało rozdzieleniu, pozostawiając w samotności i łzach dwie istoty, skazane na to, że nigdy już nie miały odnaleźć własnej tożsamości, nieodwołalnie zmienionej pod wpływem tej drugiej osoby, bez której tak trudno było się obejść!

Przekonany, że ukochana przeżywa to samo, Pięć Zakazów bez trudu wyobraził sobie jej smutek, i to wzmagało jeszcze jego rozpacz.

Szedł w zapadającej nocy pod koniec pierwszego dnia wędrówki, pogrążony w myślach, i nawet nie spostrzegł, że ani razu się nie zatrzymał!

Już trzeci dzień gnał przed siebie na zawrotnych wysokościach drogą prowadzącą z doliny, w głębi której skrył się klasztor Samye, mając wciąż nadzieję, że dogoni Umarę i Kłębek Kurzu, gdy daleko przed sobą dostrzegł nieruchomą sylwetkę człowieka, który zdawał się na niego czekać.

Lapika wystawiła nos na wiatr i położyła uszy po sobie.

Był to zły znak, który kazał mu mieć się na baczności.

Zazwyczaj suka rzucała się wesoło, żeby powitać nieznajomych, jakich z rzadka spotykało się na podniebnych drogach Bod. Ale tylko wtedy, gdy mieli oni dobre zamiary, co bezbłędnie wyczuwała.

Zaniepokojony Pięć Zakazów kazał jej trzymać się z tyłu i zwierzę posłuchało, wydając pomruk niezadowolenia. Potem ostrożnie ruszył w kierunku sylwetki, która nie poruszyła się nawet o milimetr.

Zrobiwszy kilka kroków w stronę nieznajomego, stwierdził, że ten obrzuca go podstępnym spojrzeniem.

Miał rację, zachowując ostrożność.

Nieznajomy potrafił obchodzić się z bronią, jeśli sądzić po szybkości, z jaką w jego rękach błysnęły dwa wyciągnięte z rękawów sztylety.

Pięć Zakazów, który mógł mu przeciwstawić tylko gołe pięści, instynktownie stanął w pozycji obronnej.

Zaprawiony w sztuce walki, zmusił się, by zachować spokój. Nauczono go, że jeśli chce zaskoczyć przeciwnika, zwłaszcza uzbrojonego, powinien skupić się na sobie, aby skoncentrować siłę, zanim wyzwoli ją nagle jednym ruchem ramion i nóg. Chodziło bowiem o to, aby uderzyć przeciwnika z zaskoczenia, a przede wszystkim pozbawić go tchu i przewrócić na ziemię.

Od górskich zboczy odbił się długim echem ochrypły i dziki okrzyk, gdy ramiona i stopy Pięciu Zakazów przecięły jak błyskawica powietrze, a jego ciało rzuciło się w kierunku sztyletów, którymi wymachiwał nieznajomy.

Przegubem lewej ręki dosięgnął szyi mężczyzny, podczas gdy czubek jego prawej stopy zagłębił się w jego brzuchu, w okolicy wątroby.

Zaskoczony atakiem mężczyzna zachwiał się i wyjąc z bólu, przyklęknął na jedno kolano.

Pięciu Zakazom pozostało tylko dokończyć robotę: zmusić napastnika, żeby opuścił ręce, a potem przewrócić go na ziemię i ostatecznie unieszkodliwić, uciskając jego tętnicę szyjną.

Ścisnął tamtemu szyję w zgięciu ramienia, pomagając sobie drugą ręką.

Na pół uduszony mężczyzna ślinił się i miotał.

W chwili gdy Pięć Zakazów szykował się już, żeby zadać nieznajomemu decydujący cios, poczuł straszliwy ból w boku, jakby przeszyło go na wskroś ogniste ostrze.

Przyłożył dwa palce do bolącego miejsca i spojrzał na nie. Broczyło krwią.

Został zraniny, a jego przeciwnik zdołał tymczasem podnieść się na klęczki.

Pięć Zakazów odepchnął gwałtownie przeciwnika, instynktownie wziął nowy zamach, a potem wystrzelił ze wszystkich sił nogami w kierunku jego głowy.

Nie miał wyboru i w tym momencie była to dla niego kwestia przeżycia.

Mimo ostrego bólu szybko przywołał bodhisattwę Dizanga, którego płomienisty kamień, zwany też Świętą Perłą, rozświetlał świat ciemności, a który osądzał też dusze i jeśli zaszła potrzeba, dostarczał je do piekieł.

Przypomniał sobie formułkę, którą powtarzał jego mistrz sztuki walki, gdy uczył go zadawania morderczego ciosu: zamienić całe ciało w katapultę, której pociskiem będą nogi.

Uderzenie jego wyciągniętych stóp w szyję nieznajomego było tak silne, że Pięć Zakazów wyraźnie usłyszał trzask łamanych kręgów szyjnych.

Jednocześnie usłyszał, że Lapika warknęła i szczerząc kły, skoczyła do gardła opryszka, którego bezwładne ciało upadło na ziemię.

Ale niebywały wysiłek, na jaki musiał się zdobyć Pięć Zakazów, spowodował poszerzenie się rany, z której ciekła obficie krew. Poczuł taki ból, że oczy zasnuła mu mgła.

Skulony u jego stóp wielki płowy pies popiskiwał i lizał mu ręce.

Odzyskawszy oddech, Chińczyk stwierdził, że leżący twarzą do ziemi mężczyzna stracił przytomność. Jego dwa sztylety z brązu leżały na ziemi.

Ostatnim wysiłkiem zbliżył się do niego i pochylił, żeby odwrócić mu głowę. Była nienaturalnie wykręcona, a oczy wytrzeszczone. U podstawy jego posiniałej szyi kły suki zostawiły dwa otwory, z których wypływał z bulgotaniem strumień krwi.

Napastnik umierał. Osłupiały i o włos od omdlenia, Pięć Zakazów uświadomił sobie, że zabił człowieka, a to oznaczało...

Zobaczył kępę różaneczników i pomyślał, że pod ich osłoną łatwiej mu będzie odzyskać oddech.

Mając za plecami Lapikę, zgięty z bólu, zrobił z trudem pięć kroków, jakie dzieliły go od krzaków. Rana bolała coraz bardziej, gdy zdołał w końcu usiąść na miękkim listowiu, a potem zapadł w omdlenie, przywołując Dizanga.

Jakież było jego zdumienie, gdy stwierdził, że pochyla się nad nim nie bodhisattwa, ale kobieta o ładnej twarzy. Przypominała maskę jakiegoś bóstwa, spoglądającą skośnymi szczelinami oczu, które przedzielał długi i cienki nos, podkreślony pełnymi ustami, rozchylonymi w zachęcającym uśmiechu.

Pięć Zakazów zadał sobie pytanie, czy nie śni.

Ból w boku, który powrócił, dał mu do zrozumienia, że nie. Aby się upewnić, obmacał bolące miejsce i stwierdził, że rana jest zabandażowana.

Leżał na łóżku przykryty futrem, w słabo oświetlonej izbie. W ciepłym powietrzu unosił się zapach kadzidła.

— Wypij to! Zaparzyłam ci mieszankę ziół leczniczych i mąki z prosa — zachęciła go cichym głosem nieznajoma, mówiąca po tybetańsku.

Podała mu parującą miseczkę z terakoty i pomogła przełknąć gorący płyn. Pięć Zakazów poczuł dotyk jej miękkich ciepłych dłoni, które musnęły jego policzki.

—Gdzie jestem? — szepnął, a potem krzyknął z bólu, próbując usiąść.

—W moim domu. Nazywam się Yarpa. Tutaj oznacza to „ta, która jest bliska Niebu". Jestem kapłanką bön. Zajmuję się w tej dolinie oddawaniem czci Dziewięciu Bogom Światła, którzy mieszkają na górze... Znalazłam cię leżącego w krzakach, kiedy szukałam ziół w górach. Miałeś szczęście. Bardzo krwawiłeś — odpowiedziała z uśmiechem młoda kobieta.

—Chce mi się pić! —jęknął Pięć Zakazów.

—To normalne. Czuwam przy tobie już od dwóch dni. Dopiero co spadła ci gorączka. Byłeś rozpalony i majaczyłeś...

Nalała do miseczki nową porcję naparu i Pięć Zakazów przełknął ją z mniejszym trudem niż poprzednią.

—Był ze mną pies... — szepnął, przypomniawszy sobie nagle o Lapice.

—Z początku nie pozwalała mi się do ciebie zbliżyć. Kiedy zrozumiała, że chcę ci pomóc, zrobiła się łagodniejsza. Zostawiam ją pod okapem na dworze, przywiązaną do palika. Na pewno się ucieszy, jak zobaczy, że dochodzisz do siebie.

Ledwo skończyła mówić, gdy Pięć Zakazów, który stracił dużo krwi i był bardzo osłabiony, znów zasnął.

Dni i noce następowały po sobie, wypełnione zaspokajaniem pragnienia, spożywaniem lekkich posiłków, a przede wszystkim snem. Yarpa otaczała go troskliwą opieką, aż wreszcie pewnego ranka Pięć Zakazów poczuł się na tyle silny, żeby wstać i wyjść na dwór.

Kiedy wspierając się na ramieniu kobiety, której gęste, jedwabiste włosy muskały jego rękę, przekraczał próg jej domu po tylu dniach spędzonych w mrocznej izbie, słoneczne światło oślepiło go tak, że ledwo mógł otworzyć oczy.

Domek Yarpy stał w głębokiej dolinie otoczonej górskimi szczytami, które rysowały się na ciemnym błękicie nieba niczym gigantyczna korona białego kwiatu, podobnego kwiatowi udumbary, drzewa, które zakwitało niezwykle rzadko.

Podziwiając z otwartymi ustami dostojeństwo tego krajobrazu, zawieszonego w połowie drogi między ziemią i niebem, Pięć Zakazów nie mógł powstrzymać się od przypomnienia sobie boskich słów Błogosławionego, którymi opisał on ból istnienia: „Pycha króla przypomina górę, która wznosi się nad oceanem powszechnej niedoli; górę otoczoną chciwością i pożądliwością. Spojrzenie wielkich lgnie do jej zboczy, podczas gdy małym miażdży ona głowy swoimi stopami: takie głębokie są korzenie cierpienia!".

Po długich dniach spędzonych nieruchomo w łóżku Pięć Zakazów odkrywał z zachwytem potęgę i niepowtarzalność przyrody Krainy Śniegów. Wszystko było tu jakby bardziej

majestatyczne, wyższe i oddziałujące z większą siłą, barwniejsze i bardziej pachnące niż gdzie indziej, tak jakby tu, pośrodku gór Dachu Świata, świat rządził się innymi prawami.

— Nie miałbyś ochoty przejść się trochę? Tam na górze jest występ, który dominuje nad całą doliną! — zaproponowała kapłanka, obdarzając Pięć Zakazów urzekającym uśmiechem.

Wydała mu się wyjątkowo czarująca, gdy odsłoniła rząd błyszczących zębów, lśniących w słońcu niczym ośnieżone szczyty.

Ponieważ ciągle jeszcze trochę utykał, wyciągnęła do niego rękę i Pięć Zakazów, który czuł się bardzo osłabiony, nie mógł jej nie przyjąć.

W porównaniu z dłonią Umary, była nieco szorstka.

Ale najbardziej poruszający był lekko pieprzny zapach włosów Yarpy, z których emanowała jakaś nieokreślona, pierwotna dzikość, doskonale harmonizująca z jej urokiem.

Na wysokim występie rozrzucone były szczątki dzikich kóz, wskazujące, że musiał on służyć za biesiadny stół okolicznym sępom. Tu i tam w zieleniejącej dolinie stały kamienne domki. Z tej wysokości wydawały się maleńkie, jakby mieszkający w nich ludzie, jeśli chcieli przeżyć pośród tej niegościnnej przyrody, zapominali o potędze żywiołów, które ich otaczały.

—W tych domkach mieszkają moje owieczki — wyjaśniła Yarpa, kiedy przysiedli obok siebie na ogromnej skale, okrytej płaszczem z żółtych mchów, naznaczonych tu i ówdzie pomarańczowymi prążkami, upodabniającymi ją do ogona smoka, zwiniętego w kłębek na zboczu góry...

—Musisz być szczęśliwa, Yarpo, że możesz tu mieszkać! — westchnął Pięć Zakazów, zachwycony bogactwem barw i kształtów.

—Nie pozostaje ci nic innego, tylko zamieszkać tu ze mną! Dobrze się tu żyje, tak blisko Dziewięciu Bogów! — rzuciła ze śmiechem.

Pięć Zakazów spojrzał na nią, pytając się w duchu, czy żartowała, czy też mówiła poważnie.

— Chciałbym, żeby któryś z nich zaprowadził mnie na Dach Świata!

Po raz pierwszy od zniknięcia Umary przez głową przeleciała mu zabawna myśl.

— Kto wie! Trzeba tylko umieć się do nich odwołać! — powiedziała kapłanka i uśmiechnęła się do niego.

Schodzili, śmiejąc się niczym figlarne dzieci, pośród upajających zapachów i mieniących się, barwnych plam wysokogórskich roślin, szarotek, lilii i dzikich storczyków, moszeńców południowych i różaneczników.

Pięć Zakazów szybko odzyskiwał siły.

Dni naznaczane były teraz przyjemnymi spacerami z Lapiką pośród krajobrazów, których spokój i dostojeństwo zakłócało tylko pogwizdywanie świstaków, a nierzadko można było zobaczyć motyle, które miały tak wielkie skrzydła, że Pięć Zakazów wziął je początkowo za ptaki.

Z zadowoleniem stwierdził, że wraca mu energia, co zawdzięczał wyjątkowo wzmacniającemu pożywieniu i słodzonemu miodem mleku, które Yarpa kazała mu pić trzy razy dziennie.

Ten dziwny świat wpływał uspokajająco na jego umysł wyznawcy mahajany, zraniony straszliwym wstrząsem, jakiego doznał po zniknięciu Umary.

Wielki udział miała w tym łagodność charakteru kapłanki.

Mówiła mało i nigdy nie pytała go o powody, dla których znalazł się w tak odludnym miejscu.

Czuł się zarazem bezpieczny i odprężony, trochę jakby poza czasem, z dala od zgiełku świata, u tej cichej kobiety, która troszczyła się o niego, nic o nim nie wiedząc.

Pewnego wieczoru, kiedy leżał wyciągnięty na posłaniu i prawie zasypiał, rozmyślając spokojnie o parze wspaniałych orłów, które podziwiali podczas spaceru na skalny występ, poczuł po pieprznym zapachu, że Yarpa stoi przy jego łóżku.

O tej godzinie układała się zwykle do snu na wąskim posłaniu w izbie obok.

Usiadł i spojrzał na nią.

Jej twarz oświetlona była płomieniami z paleniska.

—Nie mogłam zasnąć! Chciałam zobaczyć, czy wszystko w porządku! — odezwała się.

—To miło z twojej strony! Wiesz, czuję się coraz lepiej. Niedługo będę mógł znowu ruszyć w drogę.

— Nie chcesz zostać tu trochę dłużej? Nie przeszkadzasz mi.

Oczy kapłanki emanowały czułością z odrobiną smutku, który sprawiał, że wydawała się jeszcze piękniejsza.

Zapragnął nagle jej dotknąć i niezgrabnie wyciągnął rękę.

I natychmiast, ujrzawszy znak, jakiego oczekiwała od wielu dni, rzuciła się na niego niczym górska pantera na swoją ofiarę, i przywarła namiętnie ustami do jego ust.

Poczuł, że ciepły i soczysty jak owoc język Yarpy próbuje pokonać barierę jego zębów, które w swej wstydliwości i zaskoczeniu trzymał zaciśnięte. Ale jej biegłość sprawiła, że wkrótce ustąpił.

Yarpa ujęła rękami jego głowę, a Pięć Zakazów poczuł, że jego nefrytowy wisiorek ogarnia charakterystyczne mrowienie, zapowiedź, że za chwilę wyprostuje się niczym drzewce chorągwi.

Młoda kapłanka zsunęła z siebie szatę i oczom Pięciu Zakazów ukazało się w całej wspaniałości jej nagie, brązowozłociste ciało, z którego czerwieniejące węgle paleniska wydobywały odblaski, jakby było drogocenną miedzianą wazą o urzekających kształtach.

Zanim zdążył powiedzieć słowo, Yarpa uklękła nad nim okrakiem i nieco szorstkimi palcami ściągnęła z niego spodnie, natrafiając na wyraźny znak, że i on jej pożąda.

Gdy tylko poczuł, że gorące wargi tybetańskiej kapłanki obejmują łagodnie czubek jego lancy, Pięć Zakazów, po długich tygodniach abstynencji, z największym trudem zapobiegł natychmiastowemu wytryśnięciu zdroju życia, który w nim wzbierał.

Porwany wirem podniecenia, zdołał ułożyć się tak, że jego

nefrytowy drążek znalazł się tuż u jej bramy, której zachwyca-jące różowe wargi otwierały się w głębi jej miękkich jak jedwab ud.

— Jak mi dobrze! — szepnęła, drżąc, podczas gdy jej płaski
brzuch twardniał jak pancerz pod dotknięciem narządu mło-
dzieńca.

Pięć Zakazów nie mógł już przeciwstawiać się pięknej Tybetance.

Znalazłszy się w jej objęciach, daremnie przywoływał słodką twarz Umary, próbując oprzeć się pokusie, która się w nim rodziła, ale to nie pomogło: miłosna energia i niewiarygodna zmysłowość tej kobiety pokonały kruche bariery, jakie próbował naprędce wznieść przeciw jej natarciu.

I koniec końców, na futrze jaka, w ramionach niewiasty równie dzikiej, co lubieżnej i gorącej, dał się porwać pożądaniu, aby zatracić się w niej i zalać swym płynem głębiny jej sekretnej groty, w której jego nefrytowy trzonek zagłębiał się pracowicie dobywając z kochanki drżenia, które wydłużały westchnienia rozkoszy, jaką i on odczuwał.

Wyczerpani uściskami, zasnęli jedno w ramionach drugiego i spali aż do wczesnego ranka.

Yarpa obudziła się na długo przed nim i zobaczyła, że płowa suka leży u ich stóp.

—Źle się zachowałem! — powiedział Pięć Zakazów, kiedy Yarpa przyniosła mu czarkę gorącego mleka z miodem.

—Dlaczego tak mówisz? Czy nie zestroiliśmy się, jak Cangpa i Czuczag, król i królowa Nieba, którzy mieli dzie-więciu synów i dziewięć córek, a każde z nich miało z kolei dziewięcioro dzieci, i tak dalej, aż w końcu zaludnili całą ziemię?

—Nie słyszałem o żadnym Cangpie ani o Czuczag!

—Ich legendarne połączenie upamiętniają nasze rytuały: król Nieba zstąpił na czubek wierzby pod postacią promienia w kolorach tęczy, na którym przysiadła

niebieska kukułka Ptaszek ten wzleciał i usiadł na głowie królowej Nieba, uderzył

trzy razy skrzydłami, a wtedy z narządu króla wyszły dwa promienie, jeden biały, jeden czerwony, i wniknęły do ciała królowej Nieba przez czubek jej głowy! To właśnie czułam, kiedy tej nocy wchodziłeś i wychodziłeś ze mnie... — powiedziała cicho Yarpa, głaszcząc jego ramiona.

—A gdybym ci powiedział, słodka Yarpo, że moje serce jest zajęte?

—Nie podobam ci się? — spytała, pochylając się nad nim tak nisko, że znowu poczuł pieprzny zapach jej włosów i niewy-słowiony aromat ciała.

Zakłopotany, podciągnął przykrycie pod brodę. Jeszcze jeden ruch kapłanki i bez wątpienia znowu uległby jej wdziękom, mimo wyznania, które właśnie uczynił.

— Tego nie powiedziałem! Czas, żebym wstał — wyjąkał zmieszany.

Lecz zagadkowa Tybetanka pochyliła się nad jego twarzą i musnęła nos, co skończyło się tym, że przypuściła na niego nowy atak, jeszcze bardziej ognisty niż poprzedni...

Ale teraz to on gorączkowo wgryzał się w jej wargi, pieszcząc jej włosy, a potem łapczywie przytulił ją do siebie, jakby jej usta były rytualną tykwą *hu,* wypełnioną rozkosznym nektarem, a on usychał z pragnienia.

Młoda kapłanka obnażyła jedną pierś, której sutek był już stwardniały, i to wystarczyło, aby młody mahajanista rzucił się na nią żarłocznie, niczym tygrys dopadający w dżungli tygrysicę, kiedy nastaje czas godów.

— Powiedz mi, że mnie choć troszeczkę kochasz... — szepnęła w chwili, gdy stopieni ze sobą tworzyli jedno.

Ale Pięć Zakazów, którego wstrząsane spazmami rozkoszy ciało napięło się jak łuk, przeżywał tak silną ekstazę w chwili, gdy jego strzała dosięgła celu, że nie mógł wymówić słowa.

—Chyba bez reszty się zatracę... — wysapał w końcu.

—W Krainie Śniegów wszystkie drogi prowadzą na Dach Świata, gdzie żyje biała lwica o turkusowej grzywie! Więc czego się obawiasz, Pięć Zakazów?

— Niczego... Trudno mi to wyjaśnić.

Nie chciał jej zmartwić i wahał się, czy powiedzieć coś więcej. Uznał to za oznakę, iż zaczyna się do niej przywiązywać.

Stwierdził z niepokojem, że jeśli nadal będą dawali upust namiętności, skończy się na tym, że nie będą mogli bez siebie żyć, a on stanie się więźniem Yarpy, niczym ptak złapany w sieć.

Chyba że natychmiast ją porzuci.

Jeśli ta słodka niewola nie jest jego przeznaczeniem!

Przeznaczeniem!

Kiedy odbywał swój nowicjat, słowo to było zakazane, i to tak surowo, że jego wymówienie karane było trzema uderzeniami rózgą.

Buddyści unikali go w rozmowach, sięgali natomiast po pojęcie *samsary,* nieskończonego cyklu śmierci i narodzin, symbolizowanego przez obracające się nieprzerwanie koło, do którego uwiązany jest każdy człowiek, a od którego można się uwolnić dopiero wtedy, gdy osiągnie się nirwanę.

Mistrzowie wpajali młodziutkim uczniom, że człowiek nie jest wolny w swoich wyborach, ponieważ pada ofiarą *samsary.* Należało więc dążyć, poprzez właściwe życie, do oddzielenia się od tego świata, który więził ich na wszystkie sposoby.

Mimo to niezliczone przygody, jakie Pięć Zakazów przeżył od opuszczenia Luoyangu, nauczyły go, co znaczy wolność i indywidualne wybory.

Wybierać! Decydować o sobie!

— Odezwij się, Lapiko, daj mi jakąś radę! Powiedz, co myślisz o tym wszystkim, moje wielkie psisko! — zwracał się czasami żartem do suki, która wywieszała w odpowiedzi swój ogromny jęzor i lizała mu ręce.

W przeciwieństwie do tego, co wpoili mu nauczyciele, życie ludzkie było jednym ciągiem wyborów, łącznie z biernym poddaniem się losowi.

Skądinąd, gdyby tylko zechciał, mógłby najspokojniej w świecie zdecydować się na pozostanie u pięknej Yarpy.

I choć rzecz wydawała się wyjątkowo trudna, mógł nawet postanowić, że spróbuje zapomnieć o Umarze.

Jeśli istniała jakaś kobieta, która mogłaby pomóc mu zatrzeć w pamięci wspomnienie młodej chrześcijanki, była nią właśnie Yarpa, której zalety okazywały się w tym wypadku nader skuteczne.

Yarpa, która zostawiała na jego ustach ostrzejszy, bardziej dziki smak niż młoda chrześcijanka, delikatniejsza i bardziej może przypominająca smakiem świeży owoc...

Nie bez przestrachu Pięć Zakazów złapał się na tym, że porównuje obie kobiety, jakby chodziło o dwa zwoje jedwabiu albo o dwie kiście winogron na straganie, między którymi przyszło mu wybrać!

Potem uświadomił sobie, że tego rodzaju myśli nigdzie go nie zaprowadzą, i zmusił się, aby przegnać je ze swego umysłu.

Układanie listy cnót i zalet Umary i Yarpy nie służyło absolutnie niczemu.

Skądinąd charaktery ich obu pozwoliły mu uświadomić sobie, że miłość i seks obejmują dużo bardziej złożone wzajemne relacje, niż mu się to wydawało na początku, i że nadal kocha młodą nestoriańską chrześcijankę.

Jeśli nawet uległ w końcu wdziękom i czarom pięknej kapłanki, jego miłość do Umary pozostawała nietknięta, czysta i jaśniejąca jak diament.

Kiedy miał w swych ramionach Yarpę, wydawało mu się, że obejmuje Umarę...

W rzeczywistości kochał Yarpę poprzez stojącą między nimi Umarę.

Piękna Tybetanka zadurzyła się w nim dużo bardziej niż on w niej, wystarczyło posłuchać, jak mówi „kocham cię"!

A wobec tego najmądrzej byłoby oddalić się od niej, i to jak najprędzej, ponieważ skazywał ją na tym większe cierpienie, im bardziej opóźniał swoje odejście.

Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że jeśli nie odnajdzie

Umary, to porzuci i utraci kobietę o wspaniałym i podniecającym ciele, zdolną tyle mu ofiarować.

Ale życie kryło w zanadrzu takie właśnie pułapki: zdarzały się chwile, w których otwierało się kilka dróg, między którymi należało wybrać, gdyż nie prowadziły do tego samego miejsca ani nie zapraszały do odbycia tej samej podróży.

I tylko nieprzewidywalna przyszłość mogła dać odpowiedź, czy wybór był, czy nie był dobry!

Tak więc, aby nie pomylić się w wyborze kierunku, trzeba było odwołać się do „pierwotnego" instynktu. Należało wsłuchać się w nieuchwytny szept wewnętrznego głosu, który czasami mówił to, czego nie pragnęło się usłyszeć.

Instynkt najwyraźniej nakazał Pięciu Zakazom zachować nadzieję, nie zatrzymywać się na drodze, ale przeciwnie, kontynuować poszukiwania i starać się odnaleźć ukochaną Umarę.

Tego ranka, po nocy, w trakcie której nie przestawali się kochać, Yarpa ubrała się pospiesznie.

Oczekiwała wieśniaka, który uprzedził ją poprzedniego wieczoru o swej wizycie.

Przygarbiony mężczyzna o pomarszczonej twarzy przyszedł poprosić ją, żeby dokonała egzorcyzmów nad jego dzieckiem, które sąsiedzi podejrzewali o to, że opanował je demon żyjący w drzewie rosnącym w pobliżu jego domu.

Yarpa wyszła razem z nim.

Z uwagi na to, że była kapłanką bön, potrafiącą rozmawiać zarówno z demonami, jak i bogami, nie mogła nie spełnić jego prośby.

Gdy wróciła późnym popołudniem, Pięć Zakazów czekał na nią, siedząc na progu domu.

—I co zrobiłaś z tym chłopczykiem? — zapytał.

—Kiedy upewniłam się, że nie mieszka w nim żaden demon, przepowiedziałam mu przyszłość... Będzie wojownikiem. To szlachetny zawód. Jego ojciec przyjął tę wróżbę z zadowoleniem.

—Naprawdę potrafisz przepowiedzieć, co przydarzy się człowiekowi?

—Jeżeli chcesz, mogę odczytać także i twoją przyszłość! Wystarczy, że przyniosę „kobierzec bogów". Nie ruszaj się, zaraz wracam. To nie potrwa długo! — wykrzyknęła, nie dając mu wyboru.

Nie zdobył się na to, żeby zaprotestować, wydało mu się też, że nie ma prawa jej tego zabraniać. Koniec końców, czyż nie był to także sposób na zdobycie potwierdzenia, czy dobrze zrobi, jeśli ją opuści?

Rozwinęła na ziemi to, co nazywała „kobiercem bogów".

Okazało się, że są to pasma wełny jaka, ufarbowane na różne kolory, które przechowywała w skrzyni pod łóżkiem.

Wywołując „Dziewięciu Bogów", ułożyła je w szachownicę w nogach łóżka, na którym spędzili tak przyjemne chwile, na oczach płowego psa, zadającego sobie na pewno pytanie, co też ta kobieta wyprawia.

Następnie zawiązała sobie oczy, wyjęła z tej samej skrzyni woreczek z glinianymi figurkami i rozstawiła je na chybił trafił. Te, które nie trzymały się prosto, przynosiły złą wróżbę.

W jednej chwili kobierzec bogów zapełniło nie mniej niż dwadzieścia laleczek, z których trzy się przewróciły.

—Masz szczęście. Tylko trzy złe na siedemnaście dobrych. To doskonała proporcja. Gwiazdy osłaniają cię, o Pięć Zakazów! Będziesz miał udane życie!

—Nie przywiązuję do tego wagi! Nie wierzę w żadne wróżby! Wierzę jedynie w Buddę! Powiedz mi tylko, czym wypełnią się moje przyszłe dni. Muszę to wiedzieć! Czy Błogosławiony zawsze będzie się mną opiekował? — wykrzyknął młodzieniec gorączkowo.

Piękna tybetańska kapłanka uklękła i pochyliła się nad dziwacznymi figurami geometrycznymi, na których stały figurki.

— Widzę cię w środkowych Chinach! —- szepnęła zroz paczona.

—Samego? — ośmielił się spytać.

—Chcesz, żebym oddaliła od ciebie złe losy? — zapytała drżąc, jakby nie usłyszała pytania.

—Czemu nie? — odparł, nie czując się na siłach, żeby zapytać powtórnie.

Czy miał coś do stracenia, pozwalając tej kobiecie, żeby robiła swoje? Obdarzyła go tyloma pieszczotami i dała dowody przywiązania, nie wyobrażał więc sobie, aby mogła rzucić na niego zły urok. Najwyżej będzie go namawiała, żeby z nią został!

Pochyliwszy się na dłuższą chwilę nad skomplikowanym wzorem powstałym ze splątania wełny i lalek, kapłanka sięgnęła po wiszący u powały dziwaczny ni to sierp, ni miecz, i kucnąwszy na podłodze, wbiła go ostrożnie w trzy figurki, które leżały na wielobarwnej szachownicy.

—Są trzy osoby, które źle ci życzą... — zaczęła.

—Możesz mi powiedzieć, kto to taki?

—Widzę chmurkę kurzu, pustą czarkę na jałmużnę i punkt w środku koła! — odpowiedziała bez wahania.

Rozpoznał bez trudu Kłębka Kurzu: to oczywiste, bo przecież to on porwał jego ukochaną.

Jeśli chodzi o Czystość Pustki, na którego zdawała się wskazywać pusta czarka na jałmużnę, to Pięć Zakazów skonstatował ze smutkiem, a nawet z urazą, że przełożony z Luoyangu z pewnością nadal ma do niego żal. Chyba że była to Wu Zhao, która mogła mieć do niego jakieś pretensje...

Co do koła z punktem w środku, to daremnie wysilał mózg, nie mógł dojść, do kogo mogły się odnosić słowa pięknej Yarpy.

—Co robisz? — spytał kapłankę, widząc, że unosi zaciśniętą pięść, po czym opuszcza ją na przewrócone figurki, jakby miała w dłoni niewidoczny sztylet.

—Każdej z nich zadaję cios w serce, co nazywamy robieniem „dziurki życia". Od tej chwili nie masz powodu, żeby bać się trzech osób chcących twojej zguby! — odpowiedziała tajemniczo.

— Dzięki stokrotne, Yarpo!

Zakończywszy odprawianie rytuału, podeszła i przytuliła się do niego.

— Kocham cię! Tak mi się podobasz! Mógłbyś zostać tu ze mną. Pobierzemy się i urodzę ci chłopczyka!

Kiedy przewróciła go na łóżko i zabrała się do ściągania z niego ubrania, Pięciu Zakazom przypomniało się spostrzeżenie, jakim podzieliła się z nim Umara przy okazji spotkania na środku pustyni sympatycznej pary — młodego kuczanina i młodej Chinki: jeśli wszyscy czworo rozumieli się tak dobrze, jakby byli starymi przyjaciółmi, to działo się tak dlatego, że kuczanin i Chinka pod względem pochodzenia znajdowali się w identycznej sytuacji jak oni, i łączyła ich, niezależnie od religijnych różnic, taka sama głęboka miłość.

Przed oczami stanęła mu też urzekająca historia gwiazdozbiorów Wolarza i Tkaczki, którą opowiedziała im Chinka Nefrytowy Księżyc.

Czyż przesłanie tej pięknej legendy o dwóch gwiazdach oddzielonych Drogą Mleczną, które spotykały się na przerzuconym nad nią moście każdego roku, w dniu święta zakochanych, nie było hymnem na cześć nadziei i słodkim przypomnieniem, że jeśli dwie rozłączone istoty nie przestają się kochać, pewnego dnia spotkają się znowu?

Tak bardzo pragnął w to wierzyć!

Gorące usta Yarpy połykały jego sterczący ku niebu narząd.

Pieszczoty tybetańskiej kapłanki, która całkowicie zawładnęła jego ciałem, były tak cudowne, że mimo jego rozpaczliwych wysiłków, kazały mu zapomnieć o córce Addaia Aggaia...

Pięć Zakazów był rozdarty.

Czy porzuci gotową zdobycz, żeby uganiać się za marzeniem?

Ale przede wszystkim musiał ustalić, kto jest marzeniem, a kto zdobyczą — słodka i czuła Umara, czy dzika i zmysłowa Yarpa?

Słowniczek

Anatman — bezosobowość, nie-ja.

Arhat (sanskr.) — dosł. „wartościowy człowiek", „czcigodny" — najwyższy stan osiągany przez buddystów hinajany; ktoś, kto jest wolny od wszystkich pragnień i przez to od konieczności odradzania się.

Atman — w hinduizmie najgłębsza istota osobowości ludzkiej, jaźń niezmieniająca się w cyklu reinkarnacji.

Awici (sanskr.) — dosł. bezlitosne, nieprzerwane — zwane również Piekłem Bezlitosnym, najstraszliwsze z piekieł.

Bardo (sanskr.) — stan pośredni między śmiercią a kolejnymi narodzinami trwający 49 dni, kiedy w „świadomej zasadzie" zmarłego ukazują się piękne bądź straszne wizje, będące odbiciem jego karmy.

Bodhi (sanskr.) — oświecenie, przebudzenie.

Brahman (sanskr.) — w hinduizmie i filozofii indyjskiej moc przenikająca wszystko, skoncentrowana w czynnościach i słowach sakralnych oraz w ludziach mających do czynienia z sacrum — kapłanach i braminach.

Cztery Szlachetne Prawdy — tworzą ramy nauk Buddy. W skrócie można je ująć tak: Istnieje cierpienie. Cierpienie ma przyczynę. Cierpienie ma koniec. Istnieje droga prowadząca do końca cierpienia.

Dharma (sanskr.) „prawda" — nauka udzielona przez Oświeconego (Buddę). Na jej kanon składają się trzy rodzaje nauk: Sutry (nauki wygłoszone przez samego Buddę), *Vinaja* (zasady dyscypliny podane przez Buddę) i *Abhidharma* (komentarz i dyskusje dotyczące Sutr i *Vinaji* autorstwa późniejszych uczonych). Te trzy rodzaje nauk noszą nazwę *Tripitaka*.

Dhyana (sanskr.) — głęboka medytacja.

Dukha (sanskr.) — cierpienie.

Gandhara — prowincja w starożytnych Indiach; obecnie należy w większej części do Pakistanu, w mniejszej do Afganistanu (Kandahar); po podbiciu przez Aleksandra Wielkiego stała się kwitnącym ośrodkiem kulturalnym i stolicą państwa hellenistycznego; od I wieku w państwie Kuszanów, ośrodek sztuki łączącej wpływy helleńskie i buddyjskie.

Han, ludzie Han (chin.) — Chińczycy.

Hinajana (sanskr.), Mały Wóz — nurt buddyzmu; w hinajanie wzorem do naśladowania jest jedynie Budda. Postuluje się zajęcie w pierwszej kolejności własnym wyzwoleniem i dążeniem do osiągnięcia stanu *arhata* („godnego"). Takim podejściem hinajana różni się zdecydowanie od mahajany, gdzie współczucie i pomoc innym czującym istotom stawia się wyżej niż indywidualne oświecenie.

Hipostatyczna unia — w teologii chrześcijańskiej jedność bóstwa (boskiej natury) i człowieczeństwa w osobie Jezusa (Boga-człowieka), która dokonała się w chwili Jego poczęcia.

Kaniszka — władca indyjski z plemienia Kuszanów, protektor buddyzmu, mecenas naukowców i artystów; na jego dworze przebywali słynni filozofowie buddyjscy — Aświaghosza i Nagardżuna.

Karma (sanskr.) właśc. karman — pierwotnie słowo to oznaczało „czynny", później jednak, w powiązaniu z teorią przyczynowości, zaczęło oznaczać swego rodzaju siłę, która powstaje w rezultacie każdego czynu popełnionego w przeszłości. Każde z naszych działań, pociągając za sobą dobro bądź zło, stanowi siłę (karman), która wpływa na naszą przyszłość. Każdy uczynek posiada wartość moralną pozytywną, negatywną lub obojętną i prowadzi do od-

rodzenia się człowieka jako istoty mniej lub bardziej oddalonej od stanu Buddy.

Kościół nestoriański — czyli Święty Apostolski Katolicki Asyryjski Kościół Wschodni lub Kościół Wschodni — kościół działający pierwotnie na terenach na wschód od Cesarstwa Rzymskiego. Przez wiele stuleci w Europie zupełnie nieznany.

Książki tybetańskie — nie mają one na ogół formy zwoju ani nie przypominają znanych nam książek; są to luźne podłużne kartki, ułożone jedna na drugiej pomiędzy zazwyczaj drewnianymi okładkami. Całość owinięta jest kawałkiem tkaniny, np. jedwabiu.

Kszatrija (sanskr.) — dosł. wojownik, rycerz od *kszatra* — posiadłość — członek dawnej wyższej kasty rycerskiej w Indiach.

Kucza i Kaszgar — oazy położone na południowym odgałęzieniu Jedwabnego Szlaku.

Kundalini (sanskr.) dosł. „zwinięty" — w indyjskiej tradycji jogi mistyczna siła życiowa lub energia duchowa spoczywająca w uśpieniu pod ostatnim kręgiem lędźwiowym do chwili, aż zbudzi ją praktyka jogi.

Lishu — chińskie pismo kancelaryjne, powstało na rozkaz cesarza Qin w 213 roku p.n.e. w wyniku uproszczenia pisma już istniejącego. W prawie niezmienionej postaci jest w dzisiejszych Chinach pismem urzędowym.

Mahajana (sanskr.), Wielki Wóz — nurt buddyzmu, który wyodrębnił się w I wieku p.n.e. Jego charakterystyczną cechą jest wiara w bodhisattwów, czyli ludzi, którzy mimo iż osiągnęli oświecenie, zdecydowali się świadomie odradzać po śmierci.

Manicheizm — od imienia twórcy Mani, Manes, Manicheusz; dualistyczny system religijno-filozoficzny, powstały w III w. w Persji, rozprzestrzeniony w Imperium Rzymskim, a później w środkowej i wschodniej Azji, głoszący kosmiczny konflikt dobra (duch, światło) i zła (materia, ciemność).

Mantra (sanskr.) — *mana* — „umysł", *tra* — „wyzwolenie" — w buddyzmie i hinduizmie formuła, werset lub sylaba, której powtarzanie ma pomóc w oczyszczeniu umysłu, co jest niezbędnym warunkiem uzyskania wyzwolenia i oświecenia.

Om mani peme hung (sanskr.) — to tybetańska wersja najsłynniejszej mantry buddyjskiej, która w sanskrycie brzmi: *Om mani padme hum*. *Om* symbolizuje mądrość stanu Buddy; ***mani*** — „klejnot", w domyśle „klejnot spełniający życzenia" — klejnotem tym jest oświecona i otwarta na potrzeby innych postawa; *peme* — „trzymający lotos" — lotos, którego piękne kwiaty wyrastają z bagna, symbolizuje przekształcenie tego, co nieszlachetne, w najwyższą jakość; ***hung*** symbolizuje aktywność stanu Buddy. W wersji chińskiej mantra ta brzmi: *Weng ma ni bei mi hong*.

Państwo Kuszanów — obecnie są to północne Indie, Pakistan, Afganistan, Uzbekistan, Tadżykistan oraz autonomiczny rejon chiński Xinjiang.

Parininvana (sanskr.) — całkowite wygaśnięcie, powrót do pierwotnej czystości Natury Buddy.

Samadhi (sanskr.) — błogostan powstający ze skupionego stanu umysłu.

Sangha (sanskr.) — wspólnota buddyjskich mnichów i mniszek, obecnie również wspólnota buddystów.

Stupa (sanskr.) — „kopiec", „szczyt" — najprostszy typ buddyjskiej budowli sakralnej, bywa mała jak kapliczka lub wielka jak dom.

Sutra (sanskr.) dosł. „sznurek" — zapis nauk Buddy. W buddyzmie oznacza kompendium rozległego zakresu studiów z dziedziny religii czy nauki.

Tantra — w buddyzmie i hinduizmie system rozwoju oparty o filozofię niedualistyczną, uznający, że wszystko, co istnieje, stanowi manifestację jednego bytu. W buddyzmie tybetańskim jest to jedność świadomości i pustki. Adepci tantry stosują różnego rodzaju praktyki, zawierające elementy jogi, medytacji czy magii, uznając, że wszystko to, umiejętnie użyte, może prowadzić do oświecenia.

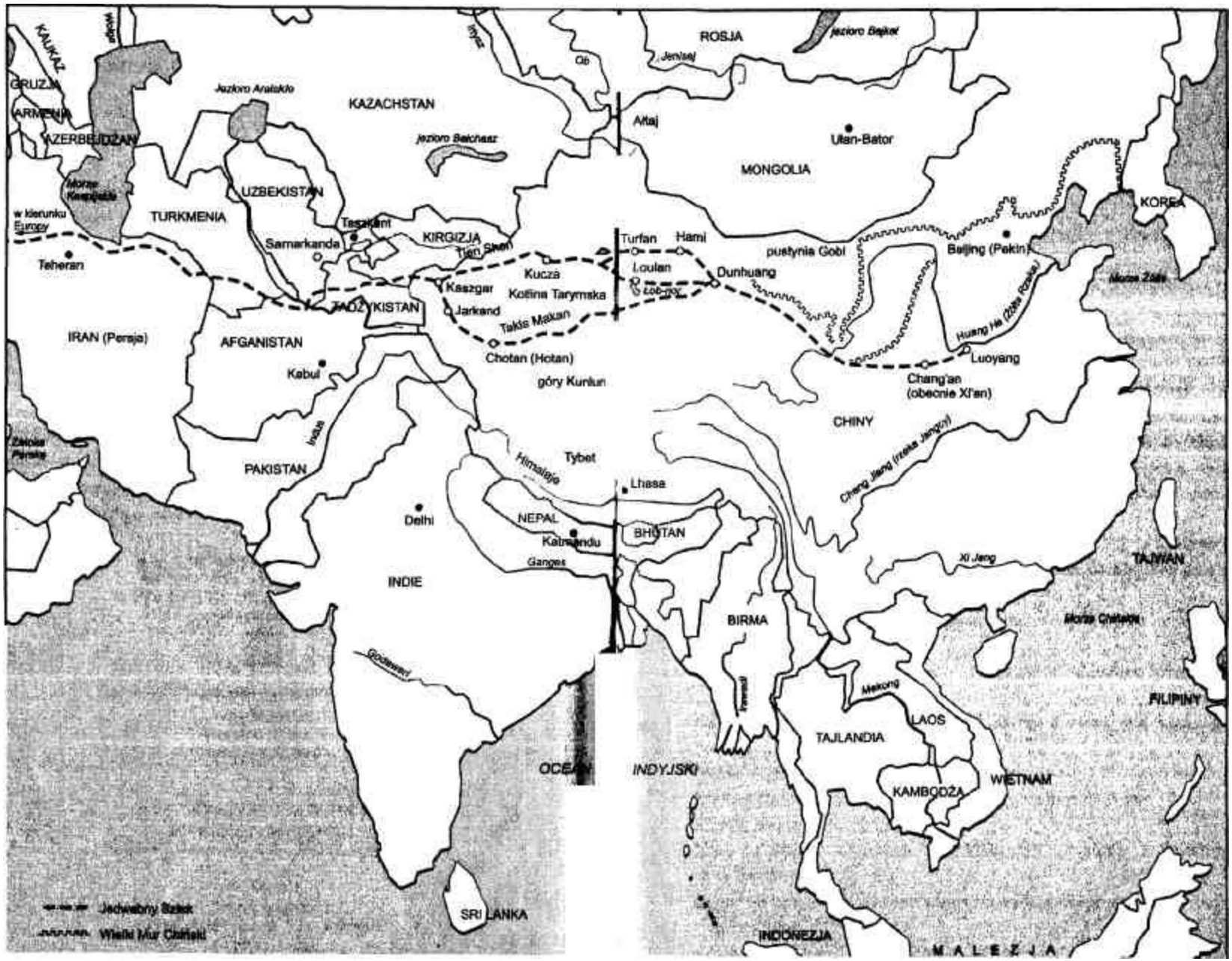
KAUKAZ
GRUZJA
ARMENIA
AZERBEJDŻAN
Jezioro Aralskie
KAZACHSTAN
Jezioro Bałchasz
ROSJA
Jezioro Bajkał
Ałtaj
Ułan-Bator
MONGOLIA
UZBEKISTAN
TURKMENIA
Morze Kaspijskie
w kierunku Europy
Teheran
Taszkient
Samarkanda
KIRGIZJA
Tien Shan
Turfan
Hami
pustynia Gobi
Beijing (Pekin)
KOREA
Loulan
Dunhuang
Kucza
Kaszgar
Kotlina Tarymska
Lob-nor
TADŻYKISTAN
Jarkand
Takla Makan
Morze Żółte
Huang He (Żółta Rzeka)
IRAN (Persja)
AFGANISTAN
Kabul
Chotan (Hotan)
góry Kunlun
Luoyang
Chang'an
(obecnie Xi'an)
CHINY
Zatoka Perska
Indus
PAKISTAN
Himalaje
Tybet
Lhasa
Chang Jiang (rzeka Jangcy)
Delhi
NEPAL
Katmandu
BHUTAN
Ganges
INDIE
Xi Jang
TAJWAN
BIRMA
Morze Chińskie
Godawari
Mekong
Irawadi
FILIPINY
LAOS
TAJLANDIA
OCEAN
INDYJSKI
KAMBODŻA
WIETNAM
Jedwabny Szlak
Wielki Mur Chiński
SRI LANKA
INDONEZJA
MALEZJA